

**Bernard Cornwell**

**Excalibur**

(Excalibur novel of Arthur)

Przełożył Paweł Korombel

Data wydania oryginalnego 1997

Data wydania polskiego 2000

*Dla Johna i Sharon Martinów*

## Postaci

AELLE król Sasów\* [\*W poprzednich dwóch częściach cyklu, w *Zimowym monarsze* i *Nieprzyjacielu Boga*, użyto nazwy Saksonowie.

]

AGRYKOLA wódz Gwentu

AMHAR nieprawdy syn Artura, brat bliźniaczy Loholta

ARGANTA księżniczka Demetii, córka Oengusa mac Airema

ARTUR nieprawdy syn Uthera, wódz Dumnonii, później namiestnik Sylurii

ARTUR-BACH wnuk Artura, syn Gwydra i Morwenny

BALIG żeglarz, szwagier Derfla

BALIN jeden z wojowników Artura

BALIZ niegdyś druid Dumnonii

BORS czempion i kuzyn Lancelota

BROCHVAEL król Powys po śmierci Artura

BUDYK król Broceliandii, szwagier Artura przez małżeństwo z jego siostrą, Anną

BYRTYG król Gwynedu

CEINWYN księżniczka Powys, umiłowana Derfla

CERDYK król Sasów

CHLODWIG król Franków

CILDYDD rządca Aqua Sulis

CULHWCH kuzyn Artura, wojownik

CUNEGLAS król Powys

CYWWYLOGA niegdysiejsza ulubienica Mordreda, obecnie służka Medrlina

DAFYDD skryba, przekładacz opowieści Derfla

DERFEL narrator tej historii, jeden z wojowników Artura, później mnich

DIWRNACH król Lleyn

EACHERN jeden z włóczników Derfla

EINION syn Culhwcha

EMRYS biskup Dumnonii, później biskup syluriańskiej Iski

ERCE matka Derfla, z Sasów

FERGAL druid Argantu

GALAHAD przyrodni brat Lancelota, jeden z wojowników Artura

GOWEN księżę Broceliandii, syn króla Budyka

GINEWRA żona Artura  
GWYDR syn Artura, z Ginewry  
HYDWYGG sługa Artura  
IGRAINE królowa Powys, po śmierci Artura oddana za żonę Brochvaelowi  
ISSA zastępca Derfla  
KADWG rybak i niegdysiejszy sługa Merlina  
LANCELOT wygnany król Benoic, teraz sprzymierzeniec Cerdyka  
LANVAL jeden z wojowników Artura  
LIOFA czempion Cerdyka  
LLADARN jeden z wojowników Artura  
LOHOLT syn Artura z nieprawego łoża, brat bliźniaczy Amhara  
MARDOK syn Mordreda, z Cywwylogi  
MERLIN druid Dumnonii  
MEURIG król Gwentu, syn Tewdryka  
MORFANS „Szpetny”, jeden z wojowników Artura  
MORGAN siostra Artura, oddana za żonę Sansunowi  
MORWENNA córka Derfla z Ceinwyn, oddana za żonę Gwydrowi  
NIALL dowódca straży Arganty, Tarczownik Czarny  
NIMUE kapłanka Merlina  
OENGUS MAC AIREM król Demetii, wódz Tarczowników Czarnych  
OLWENA SREBRNA zauszniczka Merlina i Nimue  
PERDDEL syn Cuneglasy, później król Powys  
PEREDUR syn Lancelota  
PYRLIG bard Derfla  
SAGRAMOR dowódca jednego z oddziałów Artura  
SANSUM biskup Dumnonii, później opat klasztoru Dinnewrac  
SCRACHA poślubiona Issie  
SEREN (1) córka Derfla z Ceinwyn  
SEREN (2) córka Gwydra z Morwenny, wnuczka Artura  
TALEZYN „Promiennego oblicza”, wslawiony bard  
TEWDRYK niegdyś król Gwentu, teraz pustelnik wiary chrześcijańskiej  
TUDWAL mnich z Dinnewrac  
UTHER niegdyś król Dumnonii, dziad Mordreda, ojciec Artura



## Miejscowości

Nazwy oznaczone gwiazdką są fikcyjne

AQUE SULIS Bath, Avon

BEADEWAN Baddow, Essex

BURRIAM Usk, Gwent

CAER AMBRA\* Amesbury, Wiltshire

CAER CADARN\* South Cadbury, Somerset

CAMLANN Dwalish Warran, Devon (wedle legendy)

CELMERESFORT Chelmsford, Essex

CIRCUCIM rzymski fort w pobliżu Sennybridge, Powys

CORINIUM Cirencester, Gloucestershire

DUN CARIC\* Castle Cary, Somerset

DUNAM Hod Hill, Dorset

DURNOVARIA Dorchester, Dorset

GLEVUM Gloucester

GOBANNIUM Abergavenny, Monmouthshire

ISCA (DUMNONIA) Exeter, Devon

ISCA (SYLURIA) Caerleon, Gwent

LACTODURUM Towcester, Northamptonshire

LEODASHAM Leaden Roding, Essex

LINDINIS Ilchester, Somerset

LYCCEWORD Letchworth, Hertfordshire

MAI DUN Maiden Castle, Dorset

MORIDUNUM Carmarthen

MYNYDD BADDON Little Solsbury Hill, w pobliżu Bath (wedle legendy)

SORVIODUNUM Old Sarum, Wiltshire

STEORTFORD Bishop's Stortford, Hertfordshire

THUNRESLEA Thundersley, Essex

VENTA Winchester, Hampshire

WICFORD Wickford, Essex

YNYS WAIR wyspa Lunday, Kanał Bristolski

YNYS WYDRYN Glastonbury, Somerset



# **CZEŚĆ PIERWSZA**

Ogniska Mai Dun



Niewieści ród! Jakże złowrogim cieniem odznacza się on w tej opowieści.

Kiedy zaczynałem rzecz o Arturze, mniemałem, iż składam rzecz o mężach; kronikę pełną brzęku mieczy i świstu włóczni, wygranych bitew i wytyczanych granic, złamanych traktatów i obalonych królów, bo czyż nie taki jest wizerunek historii? Kiedy wyliczamy genealogię naszych królów, nie wymieniamy imion matek i babek, ale powiadamy: Mardok był synem Mordreda, który zaś był syna Uthera, który zaś był synem Kustennina, który zaś był synem Kynnara i tak dalej, i dalej aż do wielkiego Beli Mawra, praojca nas wszystkich. Historia to opowieść głoszona ustami mężów i tworzona przez mężów, ale w tej opowieści o Arturze, jak łuska łososia we wzruszonej strudze, migoce niewieście lico.

Mężowie tworzą historię i nie da się zaprzeczyć, że to mężowie przywiedli Brytanię do upadku. Były nas setki, wszyscy przyodziani w skóry i żelazo, zbrojni w tarcze, miecze i włócznie, i myśleliśmy, że Brytania leży u naszych stóp, gdyż byliśmy wojownikami, ale starczyło jednego męża i jednej niewiasty, by rzucić Brytanię na kolana, a z tej pary nie kto inny, a niewiasta wyrządziła większą szkodę. Jedna jej kłątwa i armia mężów zesła między cienie, a ta opowieść oplata dzieje owej niewiasty, bo ona to była wrogiem Artura.

- Kto? - spyta niecierpliwie Igraine, kiedy pochylił się nad tą kartą.

Igraine jest moją królową. Nosi w łonie nowe życie, co wielce raduje nas wszystkich. Jej małżonek to Brochvael, król Powys, a Brochvaelowe ramię jest mi tarczą w Dinnewrac, małym klasztorze, gdzie piszę opowieść o Arturze - na życzenie mej królowej, zbyt młodej, by znać imperatora. Tak zwaliśmy Artura: imperator, amherawdr w języku Brytów, choć on sam rzadko używał tego tytułu. Piszę w języku Sasów, gdyż sam jestem Sasem i biskup Sansum, święty rządzący naszą małą społecznością, nigdy nie zezwoliłby mi snuć opowieści o Arturze. Nienawidzi go, złorzeczy jego pamięci, mianując zdrajcą, tak że Igraine i ja przedłożyliśmy mu, iż piszę ewangelię Pana Naszego Jezusa Chrystusa w języku Sasów, a że Sansum nie zna w mowie saskiego, a w piśmie żadnego języka, to jak do tej pory ów wybieg szczęśliwie osłania nasz zamiar.

Teraz mrok zasnuwa opowieść i dłoń z trudem składa słowa. Czasem, gdy myślę o mym umiłowanym Arturze, południe jego chwały jawi mi się jako słoneczny dzionek, ale jakże szybko nadciągnęły chmury! Później, jak ujrzymy, rozbiegną się one i słońce kolejny raz ozłoci pejzaż jego czynów, ale potem nadciągnie noc i świetlisty krąg runie za horyzont, by nigdy nie powrócić.

Nie kto inny, jak Ginewra, zarzucił całun na oblicze słońca. Stało się to w czas rebelii Lancelota, mniemanego przyjaciela Artura, bezprawnie pragnącego zasiąść na tronie Dumnonii. Wspomogli go w tym chrześcijanie, zmyleni przez swych przywódców, w tym

biskupa Sansuma, głoszących, iż ich to świętym obowiązkiem jest oczyścić krainę pogan przed przybyciem Pana Jezusa Chrystusa, który objawi się na ziemi po raz wtóry w Brytanii, w roku pańskim 500. Lancelota wspomógł również saski król Cerdyk, wiodąc straszliwy atak doliną rzeki Tamizy i zamierzając rozpołowić Brytanię. Dotarliby Sasi do Morza Germańskiego, a północne królestwa Brytanii odcięliby od południowych, jednakowoż, z łaski Bogów, pobiliśmy nie tylko Lancelota i jego chrześcijańską czerń, ale i Cerdyka. Lecz Artur pogiębiwszy wroga, odkrył zdradę Ginewry. Naszedł ją nagą w ramionach innego mężczyzny i wtedy jego słońce spadło z niebios.

- Doprawdy, nie pojmuję - mówi mi pewnego dnia, późnym latem, Igraine.

- Czego nie pojmujesz, zacna pani? - pytam.

- Artur kochał Ginewrę, tak?

- Kochał.

- Więc czemu jej nie wybaczył? Ja wybaczyłam mojemu małżonkowi Nwylle. - Ta była miłośnicą króla, ale dosięgła ją choroba skóry, dotkliwie szpecąc urodę. Podejrzewam, choć wystrzegalem się o to pytać, że Igraine sięgnęła po czary, by zniszczyć rywalkę. Moja królowa może i mieni się chrześcijanką, ale chrześcijaństwo to nie religia, która używałaby swoim wyznawcom tej słodkiej drakwi, jaką dla urażonej duszy jest zemsta. Po nią trzeba biec do staruchy, która wie, jakie rwać zieleń i jakie szeptać zaklęcia pod sierpem księżyca.

- Ty, pani, przebaczyłaś Brochvaelowi - powiadam. - Ale czy on by tobie wybaczył?

Igraine wzdraga się.

- Oczywiście, że nie! Spaliłby mnie żywcem, wedle prawa.

- Artur mógł spalić Ginewrę - mówię - i wielu mu to doradzało, ale on ją zaiste kochał, kochał namiętnie, i to dlatego ani nie mógł jej zabić, ani przebaczyć. W każdym razie nie od razu.

- Więc był głupcem! - wykrzykuje królowa. Jest bardzo młoda i ma tę cudowną pewność, jaka jest właściwa ludziom w tym wieku.

- Był bardzo dumny - mówię dalej. Może to duma czyniła go głupcem, ale w takim razie nie różniłby się od nas wszystkich. Milczę chwilę, pogrążony w myślach, po czym ciągnę: - Pragnął wielu rzeczy, pragnął wolnej Brytanii i pogiębienia Sasów, ale w głębi duszy pragnął tej stałej pewności, że jest zacnym mężem, a tę mogła mu dać tylko Ginewra. A gdy ona legła z Lancelotem, wziął to za dowód, że jest mężem poślednim. Oczywiście, było to dalekie od prawdy, ale zadało cios jego duszy. Krwawy cios. Nigdy nie widziałem męża, którego dusza by tak krwawiła. Ginewra rozszarpała mu serce.

- Więc uwięził ją? - Igraine wzdycha.

- Uwięził - potwierdzam i zaczynam wspominać, jak to musiałem zabrać Ginewrę do chramu świętego Thorny w Ynys Wydryn, gdzie siostra Artura, Morgan, stała się strażniczką szwagierki. Te dwie nigdy nie darzyły się uczuciem. Jedna poganka, druga chrześcijanka, i kiedy zamykałem za Ginewrą wieżę chramu, ujrzałem coś, co rzadko gościło na jej twarzy - łzy. „Zostanie tam - rzekł mi wcześniej Artur. - Do śmierci”.

- Mężczyźni to głupcy - powiada Igraine, po czym rzuca mi spojrzenie z ukosa. - Byłeś kiedy niewierny Ceinwyn?

- Nie - odpowiadam prawdziwie.

- A nie kusilo cię to kiedy?

- O, tak. Pożądliwość nie znika ze szczęściem, pani. Poza tym, jakąż wartość miałyby wierność, gdyby nie podległa próbie?

- Uważasz, że wierność jest tak wiele warta? - pyta, a ja zastanawiam się, któryż to nadobny wojownik w drużynie małżonka wpadł jej w oko. Brzemienność na razie stawia tamę wszelkim zberezeństwom, ale lękam się tego, co może zdarzyć się potem. Może nic. Uśmiecha się.

- Chcemy wierności od naszych kochanków, czyż więc nie jest to oczywiste, że oni chcą jej od nas? Wierność to dar składany tym, których kochamy. Artur podarował go Ginewrze, a ona mogła go zwrócić. Lecz pragnęła czegoś innego.

- Czego to?

- Sławy, a jemu każda sława była wstrętna. Zdobywał ją, ale się w niej nie nurzał. Ginewra pragnęła orszaku tysiąca konnych, świetlistych chorągwi płynących nad jej głową i całej Brytanii leżącej kornie u jej stóp. A on pragnął tylko jednego: sprawiedliwości i pełnych gumien po żniwach.

- I wolnej Brytanii, i pogwałcenia Sasów - sucho przypomina mi Igraine.

- Tego też - przyznaję jej rację. - I jeszcze jednej rzeczy. Tej pragnął ponad wszystkie inne. - Uśmiecham się na jej wspomnienie, a przychodzi mi na myśl, że ze wszystkich ambicji Artura tę najtrudniej przyszło mu ziszczyć, a ta skąpa garstka ludzi, która była mu przyjaciółmi, nigdy nie mogła uwierzyć, iż jej to naprawdę pragnie.

- Mów dalej - ponagla mnie Igraine, podejrzewając, że zapadam w drzemkę.

- Chciał jeno kawałek ziemi - mówię. - Dworzyszca, stadka bydła, własnej kuźni. Chciał zwyczajności. Chciał, by inni strzegli Brytanii, podczas gdy on będzie szukał szczęścia.

- I nigdy go nie znalazł? - dopytuje się moja królowa.

- Znalazł - zapewniam ją, ale nie stało się to tamtego lata Lancelotowej rebelii. To było lato krwi, pora zemsty, czasu, w którym Artur przygiął ku ziemi twardy kark Dumnonii.

Lancelot czmychnął na południe, do ojcowizny w Belgii. Artur palił się za nim pognać, ale najeźdźcy, Sasi Cerdyka, byli większym niebezpieczeństwem. Pod koniec rebelii ich armia doszła aż do Corinium i zdobyłaby miasto, gdyby bogowie nie zesłali na nią zarazy. Wnętrznosci Sasów opróżniały się bez ustanku, rzygali krwią, słabli z każdą chwilą, aż miękły im kolana, a kiedy zaraza osiągnęła szczyt, runęli na nich wojowie Artura. Cerdyk próbował zebrać ludzi, lecz ci uwierzyli, że bogowie ich opuścili, więc uciekli.

- Ale oni wrócą - rzekł Artur, kiedy staliśmy na krwawym pobojowisku, wśród szczątków straży tylnej Cerdyka. - Następnej wiosny. Wrócą. - Otarł Excalibura o zbroczony krwią płaszcz i wsunął go do pochwy. Zapuścił brodę, siwą. Dodawała mu lat, wielu lat, a ból, zrodzony z przeniwierstwa Ginewry, ściągnął twarz tak, że ci, którzy pierwszy raz stawali przed jego obliczem tego lata, drżeli z bojaźni, a on niczym nie łagodził srogości. Dawniej zawsze cierpliwy, wyhodował gniew, który wciąż się czaił, gotów zawrzeć przy byle prowokacji.

To było lato krwi, pora zemsty i los Ginewry został zamknięty za wrotami chramu, którym rządziła Morgan. Artur skazał oblubienicę na grób za życia i jego strażę miały przykazane trzymać ją tam do końca jej dni. Ginewra, księżniczka z Henis Wyren znikła z tego świata.

Nie bzdurz, Derflu! - skarcił mnie Merlin tydzień później. - Wyjdzie za dwa lata! Pewnie za rok. Gdyby Artur chciał, żeby znikła z jego życia, oddałby ją płomieniom, tak jak powinien. Nic tak nie poprawia niewieściej obyczajności jak gorejący stos, ale mówić o tym Arturowi to jak tłuc grochem o ścianę. Ten półgłówek jest w niej po uszy zakochany! Tak, półgłówek. Pomyśl tylko! Lancelot żyje, Mordred żyje, Cerdyk żyje i Ginewra żyje! Wygląda na to, że jeśli jakaś dusza na tym świecie chce żyć wiecznie, to najlepiej robi, zostając wrogiem Artura. Czuję się tak dobrze, jak to tylko możliwe, to niezwykle uprzejme z twojej strony, że zapytałeś.

- A właśnie, że zapytałem wcześniej - rzekłem cierpliwie. - Tylko wyście mnie zignorowali, panie.

- To ten mój słuch, Derflu. Całkiem go straciłem. - Stuknął się w ucho. - Jestem głuchy jak pień. To kwestia wieku, Derflu, po prostu starczego wieku. Grzybieję jak nic.

To on tu bzdurzył. Wyglądał nieporównanie lepiej niż kiedykolwiek, a jego słuch - byłem tego pewien - służył mu równie sprawnie jak wzrok: ostry jak u sokoła, mimo

osiemdziesięciu czy więcej lat. Merlinowi daleko było do zgrzybiałości, tryskał świeżą mocą, jaką zapewniły mu Skarby Brytanii. Te trzynaście starych jak sama Brytania, Skarbów zaginęło na wieki, ale Merlinowi w końcu udało się je odnaleźć. Miały moc zawezwać starożytnych bogów do Brytanii, moc nigdy nie wypróbowaną, ale teraz, w roku zamieszek w Dumnonii, Merlin szykował się użyć ich do wielkich czarów.

Szukałem Merlina w dniu, w którym zabrałem Ginewrę do Ynys Wydryn. To był dzień siekącego deszczu i wspiałem się na Tora, na wpół oczekując, że zastanę Merlina na szczycie, lecz zastałem wierzchołek pusty i smutny. Niegdyś stary druid miał tam wielki dwór, z wieżą snów, ale domiszcz spalono. Stałem pośród ruin, wielce przygnębiony i samotny. Artur, mój przyjaciel, był zraniony. Ceinwyn, moja niewiasta, była daleko, w Powys. Morwenna i Serena, moje córki, zostały z matką, podczas gdy Dian, najmłodsza, była w zaświatach, wysłana przez jeden z mieczy Lancelota. Moi przyjaciele byli martwi lub daleko stąd. Sasi zbierali się do przyszłorocznej walki z nami, mój dom legł w zgliszczach, moje życie odarto z nadziei. Może udzielił mi się smutek Ginewry, ale tamtego rana, na chłostanym deszczem wzgórz Ynys Wydryn, czułem się bardziej samotny niż kiedykolwiek w życiu, więc ukląknęłam w błotnych popiołach dworu i modliłem się do Bela. Błagałem boga, by nas uratował, i jak dziecko błagałem o znak, iż nie jesteśmy obojętni bogom.

Ten znak zesłano mi po tygodniu. Artur udał się na wschód, pustoszyć saską granicę, ale ja zostałem w Caer Cadarn, czekając na powrót Ceinwyn i córek. Pewnego dnia Merlin i jego towarzyszka, Nimue, przybyli do wielkiego pustego pałacu w pobliżu Lindinis. Mieszkałem tam ongi, strzegąc naszego króla, Mordreda, ale kiedy ten osiągnął wiek męski, pałac oddano biskupowi Sansumowi na klasztor. Mnisi zostali następnie wyrzuceni z wielkich rzymskich sal, ścigani przez mściwych włóczników, tak że wielki pałac zionął pustką.

Miejscowi ludzie powiadomili nas, że druid jest w pałacu. Opowiadano o zjawach, cudownych znakach, bogach przechadzających się nocą, więc przyklusowałem tam, ale nie znalazłem śladu Merlina. Kilka setek prostaczków obozowało u wrót, z podnieceniem rozprawiając o nocnych wizjach, i na wieść o nich serce mi się ścisnęło. Dumnonia zaznała właśnie gorączki chrześcijańskiej rebelii, rozpętanej przez takie właśnie szaleńcze przesady, i wyglądało na to, że poganie zdążają na wyprzódki z chrześcijanami ku otchłani szaleństwa. Rozwarłem wrota, przeciąłem wyludniony podwórzec i szybkim krokiem przemierzyłem puste sale Lindinis. Wzywałem Merlina, ale bez skutku. W jednej z kuchni palenisko tchnęło ciepłem, gdzie indziej świeżo sprzątnięto izbę, lecz jedynymi mieszkańcami były szczury i myszy.

Mimo to coraz więcej prostaczków gromadziło się w Lindinis. Przybyli z każdego zakątka Dumnonii, gorejąc pospólną żalną nadzieją. Zwlekli się z kalekami i chorymi, czekali cierpliwie do zmierzchu, kiedy wierzeje pałacu się otwały, a wtedy powlekli się, pokuśtykali, poczołgali lub zanieśli ich na zewnętrzny dziedziniec. Przysięgłbym, że poprzednio nie uświadczylem nikogo w rozległych budowlach, ale przecież ktoś rozwarł wrota i zapalił smolne szczapy, rzucające teraz blask na krużganki.

Dołączyłem do cizby na dziedzińcu. Towarzyszył mi Issa, mój zastępca. Zajęliśmy miejsca tuż przy bramie, odziani w ciemne opończe. Tłum wyglądał na wieśniaków. Ubogo odziani, o brudnych wynędzniałych twarzach ludzi, którzy w trudzie i znoju dobywają swój kawałek chleba z ziemi, a przecież blask pochodni ukazywał na tych obliczach pełnię nadziei. Artur zżymałby się na ów widok, bo nie znosił tego, gdy cierpiący szukali nadziei w nadprzyrodzonym, ale jakże ten tłum jej potrzebował! Niewiasty tuliły chore pacholęta albo wypychały kalekie pociechy przed zbiegowisko, a wszyscy chciwie słuchali cudownych opowieści o Merlinowych zjawach. Była trzecia nocka cudów i tyle luda zapragnęło ich doświadczyć, że nie każdy zdołał wcisnąć się na podwórzec. Niektórzy przycupnęli na murze, inni mrowili się w bramie, ale nikt nie wtargnął na krużganki, obiegające z trzech stron dziedziniec, gdyż tego zdobionego kolumnami, zadasszonego przejścia strzegło czterech włóczników; długie drzewca nie dopuszczały tłumowi. Byli to Tarczownicy Czarni\* [\*W poprzednich dwóch częściach cyklu, w Zimowym monarsze i Nieprzyjacielu Boga, wojowników tych zwano Czarnymi Tarczami.], irlandzcy wojownicy z Demetii, królestwa Oengusa mac Airema; zachodziłem w głowę, co porabiają tak daleko od rodzinnej ziemi.

Ostatki światła sączyły się z nieba i gacki fruwały nad pochodniami, gdy tłum zadomowił się na kocich łbach, wpatrując się w główne drzwi, na wprost bramy dziedzińca. Czasem głośno zajęczała niewiasta, zapłakało pacholę i było uciszane. Włócznicy przykucnęli w rogach krużganków.

Czekaliśmy. Wydawało mi się, że jesteśmy tam już bardzo długo i odbiegłem myślami ku Ceinwyn i mojej nieżyjącej Dian, gdy nagle z wnętrza pałacu dobiegł głośny brzęk żelaza, jakby ktoś gruchnął włócznią o kocioł. Tłumowi zaparło dech, a niektóre kobiety powstały i kołysały się w blasku pochodni. Machały wysoko podniesionymi rękami, wzywały bogów, ale nie dostrzegłem żadnej zjawy i wielkie drzwi pałacu pozostały zamknięte. Opuściłem dłoń i zamknąwszy palce na rękójści Hylbewane'a, poczułem napływ otuchy. Roztrzęsiony, bliski hysterii tłum to nic wesołego, ale jeszcze bardziej niewesoła była sama jego obecność, nie słyszałem bowiem nigdy, by Merlin potrzebował cizby dla swych czarów. W rzeczy samej nie cierpiał tych druidów, którzy wywoływali zbiegowiska. „Byle szalbierz potrafi olśnić

półgłówek”, lubił gderać, ale teraz wyglądało mi na to, że to on pragnie olśnić prostaczków. Udało mu się doprowadzić ich na krawędź hysterii, do jęków i kołysania się, a gdy metal dźwięknął przenikliwie po raz wtóry, gromada powstała i poczęła wzywać Merlina.

Drzwi pałacu rozwarły się płynnie i niespieszna fala ciszy ogarnęła ciżbę.

Przez chwilę widzieliśmy jedynie przepastną czerń, po czym z mroku wyłonił się młody woj w pełnym rynsztunku bojowym i zatrzymał na najwyższym stopniu krużganków.

Nic w jego wyglądzie nie miało wspólnego z czarami, poza urodą. Piękny był. Nie dało się tego inaczej nazwać. W świecie powykręcanych kończyn, połamanych nóg, owrzodzonych karków, pobliźnionych gąb i umęczonych dusz ten wojownik był piękny. Śmigły, złotowłosy, o obliczu tak promiennym, że, opisując je, trza by sięgnąć po takie słowa jak: „mile”, a nawet „delikatne”. Źrenice miały barwę przezrystego błękitu. Nie nosił hełmu, tak że włosy, długie jak u dziewczynki, opadały na ramiona. Lśniący napierśnik był biały, podobnie jak nagolennice i pochwa miecza. Rynsztunek wyglądał na wielce kosztowny i zadawałem sobie pytanie, kim jest ów młodzian. Znałem chyba wszystkich wojowników Brytanii - przynajmniej tych, których było stać na taką zbroję - ale ten był mi obcy. Uśmiechnął się do tłumu, po czym dał znak, że ma uklęknąć.

Issa i ja nie zmieniliśmy postawy. Może odezwała się w nas pycha wojów, a może tylko chcieliśmy lepiej widzieć.

Długowłosy wojownik nie odezwał się, ale kiedy tylko widzowie opadli na kolana, uśmiechnął się w podzięcie, po czym przeszedł krużgankami, gasząc pochodnie w rozstawionych wcześniej stągwiach z wodą. Zdałem sobie sprawę, że widowisko starannie przygotowano. Na dziedzińcu było coraz bardziej mroczno, aż jedyne światło padało z dwóch pochodni przy wielkich drzwiach. Księżyc przeświecał blado, noc była ciemna, a ziąb gryzł do kości.

Biały wojownik stał między dwiema ostatnimi palącymi się zagwiami.

- Dzieci Brytanii - rzekł i głos ten dorównywał urodzie młodzieńca, łagodny, pełen ciepła - módlcie się do waszych bogów! W tych murach są Skarby Brytanii i niebawem, już niebawem, ich moce zostaną uwolnione, tak byście je ujrzeli, byśmy mogli usłyszeć głos bogów przemawiających do nas. - Z tymi słowy zgasił dwie ostatnie pochodnie i nagle ciemność zawładnęła dziedzińcem.

Nic się nie wydarzyło. Tłum mamrotał, wzywał Bela, Gofannona, Grannosa i Dona, by okazali swoją moc. Ciarki biegły mi po skórze i ścisnąłem rękojeść Hywelbane'a. Czy bogowie krążyli wokół nas? Uniósłem wzrok ku przestworzom, gdzie gwiazdna ścieżka

ścieliła się wśród chmur, i wyobraziłem sobie wielkich bogów unoszących się tam wysoko, gdy nagle Issie zapało dech w piersi. Opuściłem wzrok.

I mnie też zapało dech.

Z ciemności bowiem wyłoniła się dziewczeczka, ledwie wyrosła z dzieciństwa, ledwo niewiasta. Delikatna, piękna w swej młodości i wdzięczna w swej cudowności, nagusiańska jak nowo narodzona. Szczuplutka, o małych sterczących wysoko piersiach i długich udach; w jednej dłoni niosła pęk lilii, a w drugiej nagi miecz.

Ja jeno wybałuszałem oczy. Albowiem w mroku, przewiercającym do kości lodowatym mroku, jaki zapadł po zagaśnięciu płomieni, dziewczeczka gorzała. Prawdziwie gorzała. Jaśniała migotliwym białym światłem. Nie było ono przeraźliwe, nie oślepiało, tylko towarzyszyło jej jak gwiazdny pył, rzucony na białą skórę. Ten delikatny świetlisty puszek rozrzucony był na jej ciele, nogach, ramionach, włosach, lecz nie na obliczu. Lilie jaśniały i blask szedł od długiej cienkiej głowni oręża.

Jaśniejąca dziewczeczka szła kruzgankami. Zdawała się nie dostrzegać tłumu, który podsuwał jej pod oczy uschłe kończyny i chore dzieci. Ignorowała ich, podążając lekkim krokiem arkadami, schyliwszy ku kamiennej posadzce ocienioną głowę. Jej stopy ledwie muskały kamień. Była zajęta sobą, zagubiona w marzeniu, a lud jęczał i ją wzywał, lecz ona ani nań spojrzała. Szła i dziwny blask igrał na jej ciele, na ramionach i nogach, długie włosy zasłaniały twarz niczym czarna maska pośród niesamowitego poblasku, ale jakoś instynktownie wyczuwałem, że skrywa piękne oblicze. Zbliżyła się do miejsca, w którym staliśmy ja i Issa, i wtem uniosła głowę, ten cień czarny jak skrzydło kruka, i spojrzała w naszym kierunku. W powietrzu rozeszła się dziwna woń, jakby morza, i dziewczeczka równie nagle, jak się pojawiła, znikła za drzwiami, a tłum westchnął.

- Co to było? - spytał mnie szeptem Issa.

- Nie wiem - odparłem. Zawładnął mną lęk. To nie było szaleństwo, ale coś realnego, bom to widział, ale co takiego widziałem? Boginię? Lecz skąd ta woń morza? - Może to jeden z duchów Manawydana. - Był on bogiem morza i jego nimfy z pewnością rozsiewały wokół siebie słony zapach.

Długo czekaliśmy na drugie zjawisko, a kiedy się ukazało, było mniej imponujące niż świetlista nereida. Na dachu pałacu wyrósł jakiś zarys, czarny kształt, który z wolna stał się uzbrojonym, odzianym w opończę wojownikiem w hełmie monstualnych rozmiarów, zwieńczonym porożem wielkiego byka. Mąż ten był ledwo widoczny w pomroce, lecz kiedy chmura ześlizgnęła się z księżyca, ujrzeliśmy go w całym przepychu i tłum zajęczał na widok jego wyciągniętych ramion, chociaż twarz skrywały policzki wielkiego hełmu. Zbrojny we



włócznie i w miecz, stał przez chwilę, a potem znikł. Mógłbym przysiąc, że towarzyszył temu stukot dachówki, osuwającej się po drugiej stronie dachu.

A potem, dokładnie w chwili gdy wojownik zniknął, znów pojawiła się naga dziewczeczka, tyle że tym razem jakby wyrosła z niczego na najwyższym stopniu krużganków. W jednej chwili panowała tam ciemność, a w następnej pojawiło się smukłe jaśniejące ciało, proste i świetliste. Twarz zasłaniał mrok, podobnie jak poprzednio, tak że można by pomyśleć, iż włożyła cienistą maskę, okoloną jasnymi włosami. Stała nieruchomo przez jakiś czas, po czym zatańczyła z wolna, obciążając wdzięcznie stopy, gdy zawiłymi kroczkami płaśała wokół tego samego miejsca na krużgankach lub też przecinała je na skos. Tańcząc, wbijała wzrok pod nogi. Wydawało mi się, że wcześniej musiała skąpać się w migotliwym nieziemskim blasku, miejscami bowiem był silniejszy niżli gdzie indziej, ale z pewnością nie było to dzieło rąk ludzkich. Issa i ja klęczeliśmy, gdyż to, co widzieliśmy, musiało być znakiem od bogów. Światło w ciemności, piękno pośród szczątków. Nimfa tańczyła. Blask jej ciała powoli nikił, a potem, kiedy stała się jedynie westchnieniem błyszczącej cudowności w cieniach arkad, zatrzymała się, rozłożyła ramiona, rozstawiła nogi, spozierając ku nam śmiało, i znikła.

Po chwili wyniesiono z pałacu dwie płonące główne. Tłum krzychał już, wzywał bogów i domagał się przybycia Merlina, który w końcu zjawił się u wejścia do pałacu. Biały wojownik niósł jedną z jasnych pochodni, a jednooka Nimue drugą.

Stary druid przystanął na najwyższym stopniu, wysoki, w długiej białej szacie. Pozwalał tłumowi się wyszumieć. Siwa broda, opadająca niemal do pasa, była zapleciona w warkoczyki przetkane czarnymi wstążkami, podobnie długie siwe włosy spleciono w warkocze i zawiązano. Wspierał się na czarnej lasce i po chwili uniósł ją, dając tłumowi znak, że ma zamilknąć.

- Czy coś się pojawiło? - zapytał z niepokojem.

- Tak, tak! - odrzyknął tłum i stara, mądra, złośliwa twarz Merlina przybrała wyraz zaskoczenia i zadowolenia, jakby nie wiedział, co wydarzyło się na dziedzińcu.

Uśmiechnął się, po czym usunąwszy się na bok, dał znak ręką. Z pałacu wyszło dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, niosąc Kocioł z Clyddno Eiddyn. Większość Skarbów Brytanii to były drobne przedmioty, nawet powszechnie spotykane, ale Kocioł był prawdziwym skarbem, największej mocy pośród trzynastu innych. Była to wielka srebrna misa ozdobiona złotą snycerką obrazującą wojów i bestie. Malcy borykali się z ważącym sporo Kotłem, ale udało im się postawić go koło druida.

- Mam Skarby Brytanii! - ogłosił Merlin i tłum westchnął w odpowiedzi. - Niebawem, już niebawem, moc Skarbów zostanie uwolniona. Brytania wróci do dawnej chwały. Nasi wrogowie zostaną pokonani! - Przerwał, czekając, aż echa wiwatów ucichną na dziedzińcu. - Tej nocy ujrzeliście moc bogów, ale to były jedynie drobiazgi, niewiele znaczące drobiazgi. Niebawem przekona się o nich cała Brytania, ale jeśli mam wezwać bogów, to potrzebuję waszej pomocy.

Tłum wrzeszczał, że uczyni, co tylko zdoła, i Merlin uśmiechał się szeroko z aprobatą. Ta łaskawość wzbudziła moje podejrzenia. Po części wyczuwałem, że zwodzi prostaczków, ale nawet on - powiadałem sobie - nie potrafiłby sprawić, by dziewczeczka jaśniała w ciemności. Widziałem ją i tak gorąco pragnąłem wierzyć w cudowność wizji, że wspomnienie tamtego smukłego, lśniącego ciała przekonało mnie, iż bogowie nas nie porzucili.

- Musicie przybyć na Mai Dun! - rzekł stanowczo Merlin. - Musicie przybyć na tak długo, jak będziecie mogli, musicie przynieść ze sobą jedło. Jeśli macie oręż, nie zapomnijcie o nim. Będziemy pracować na Mai Dun i nasz trud będzie długi i ciężki, ale w święto Samain, kiedy umarli chodzą, razem wezwiemy bogów. Wy i ja! - Przerwał i skierował koniec laski w tłum. Czarny drąg kiwał się, jakby szukając kogoś w ciżbie, a potem zatrzymał się na mnie. - Szlachetny Derflu Cadarn! - zagrział Merlin.

- Panie...? - rzekłem pytająco, skrzepowany tym nagłym wezwaniem mnie z tłumu.

- Ty zostaniesz, Derflu. Reszta teraz odejdzie. Idźcie do waszych domostw, gdyż bogowie nie zjawią się przed wilią Samain. Idźcie do waszych domostw, zatroszczcie się o wasze pola, potem przybądźcie na Mai Dun. Przynieście topory, jedło i przygotujcie się na widok bogów w całym blasku! Już, dalej! Dalej!

Tłum wyruszył posłusznie. Wielu zatrzymywało się, by dotknąć mej opończy, jako że byłem jednym z wojowników, którzy zabrali Kocioł z Clyddno Eiddyn z kryjówki na Ynys Mon, co przynajmniej w oczach niechrześcijan przysporzyło mi sławy. Dotykali też Issy, gdyż on również był wojownikiem Kotła, ale kiedy tłum się rozproszył, mój zastępca zaczął przy wrotach, podczas gdy ja poszedłem przywitać się z Merlinem. Kiedy spytałem druida o zdrowie, zbył mnie niecierpliwie, pytając od razu, czy podobały mi się przedziwne wydarzenia tego wieczora.

- Co to było? - spytałem.

- Co było co? - odparł niewinnie.

- Dzieweczka w ciemności. Wytrzeszczył oczy w udawanym zadziwieniu.

- Więc znów się objawiła? To ci dopiero! Czy to było dziewczę ze skrzydłami, czy ta, która świeci? Świetlista dziewczeczka! Nie mam pojęcia, kim ona może być, Derflu. Nie

potrafię rozwiązać wszystkich zagadek tego świata. Spędziłeś za dużo czasu z Arturem i jemu podobnymi, którzy wierzą, iż wszystko ma proste wytłumaczenie, ale, niestety, bogowie rzadko decydują się na jasną wypowiedź. Może przydałbyś się do czegoś i zaniósł Kocioł do pałacu?

Podniosłem wielkie naczynie i zataszczyłem je do reprezentacyjnej sali kolumnowej. Kiedy byłem w niej za dnia, zastałem ją pustą, ale teraz stała tam ława, niski stół i cztery żelazne postumenty pod oliwne lampki. Młody przystojny wojownik w białej zbroi, którego włosy opadały na ramiona, uśmiechał się z ławy, podczas gdy Nimue, odziana w marną czarną szatę zapalała lampy.

- Ta sala była pusta dziś po południu - powiedziałem oskarżycielskim tonem.

- Musiałeś mieć zwidy - rzucił lekko Merlin. - Ale być może po prostu uznaliśmy za właściwe ci się nie objawiać. Czy znasz księcia Gowena? - Wskazał na młodzieńca, który wstał i skłonił mi się. - Gowen jest synem króla Broceliandii, Budyka, a przez to bratankiem Artura.

- Książę... - przywitałem młodzieńca. Słyszałem o nim, ale nigdy nie spotkałem. Brocelandia to królestwo Brytów za morzem, w Armoryce, i ostatnio, gdy Frankowie ostro nacierali zza swej granicy, goście stamtąd byli rzadkością.

- Poznanie cię to dla mnie zaszczyt, panie Derflu - rzekł dwornie Gowen. - Twoja sława rozeszła się daleko poza Brytanię.

- Nie opowiadaj bzdur, Gowenie - rzucił opryskliwie Merlin. - Sława Derfla nigdzie się nie rozeszła, natomiast na pewno uderzyła do jego pustej łepetyny. Gowen jest tu, aby mi pomóc - wyjaśnił mi.

- W czym?

- W ochronie Skarbów, oczywiście. Jest znamienitym łucznikiem, tak mi przynajmniej powiedziano. Czy to prawda, Gowenie? Jak tam z twoją znamienitością?

Książę tylko się uśmiechnął. Nie wyglądał na znamienitego woja, gdyż miał jeszcze mleko pod nosem, liczył sobie piętnaście, może szesnaście wiosen i nie musiał się golić. Długie jasne włosy przydawały obliczu panińskiej urody, a biała zbroja, która uprzednio wydawała mi się tak kosztowna, okazała się warstwą wapna na zwyczajnym żelazie. Gdyby nie jego pewność siebie i niezaprzeczalna gładkość lica, budziłby śmiech.

- Co więc porabiałeś od naszego ostatniego spotkania? - spytał mnie władczo Merlin i to właśnie wtedy opowiedziałem mu o Ginewrze, a on zbeształ mnie, kiedy wyraziłem przekonanie, iż przeżyje resztę swoich dni za kratami. - Artur to półgłówek - powtarzał z uporem. - Ginewra może i jest sprytna, ale na co mu ona. Jemu trzeba kogoś zwyczajnego i

głupiutkiego, kto grzałby mu łożę, kiedy on gryzie się Sasami. - Siadł na lawie i uśmiechnął się, kiedy dwoje pacholąt, które wytaskały Kocioł na dziedziniec, teraz przyniosło misę z chlebem i serem oraz dzbanek miodu. - Kolacja! - zawołał z radością. - Przyłącz się do mnie, Derflu, bo chcemy z tobą pogwarzyć. Siadaj! Przekonasz się, że posadzka jest wcale wygodna. Siadaj obok Nimue.

Usłuchałem go. Jak do tej pory Nimue nie zwracała na mnie uwagi. Jej oczodół, w którym brakowało oka, wyrwanego przez króla, był przykryty opaską, a włosy, ucięte przy skórze, nim wyruszyliśmy na południe do morskiego pałacu Ginewry, odrastały, chociaż nadal były tak krótkie, że przydawały jej chłopięcego wyglądu. Robiła wrażenie rozgniewanej, ale ona zawsze wydawała się rozgniewana. Poświęciła życie jednemu celowi, poszukiwaniu bogów, i nie cierpiała wszystkiego, co odciągało ją z tej drogi, być może uważała więc, że ironiczne żarciki Merlina to strata czasu. Nimue i ja wychowaliśmy się razem i od czasu dzieciństwa nieraz uratowałem jej życie, dbałem, by miała co włożyć na grzbiet i do ust, a ona wciąż traktowała mnie jak głupca.

- Kto rządzi Brytanią? - spytała mnie znienacka.

- Źle postawione pytanie! - napadł na nią Merlin z nieoczekiwaną gwałtownością. - Źle postawione pytanie!

- No...? - naciskała mnie, nie poświęcając krzty uwagi druidowi.

- Nikt nie rządzi Brytanią - odparłem.

- Właściwa odpowiedź - rzekł mściwie Merlin. Jego rozdrażnienie poruszyło Gowena, który stał za lawą, patrząc z niepokojem na Nimue. Bał się jej, ale nie mogłem mieć o to do niego pretensji. Budziła lęk u większości ludzi.

- Kto więc rządzi Dumnonią? - spytała mnie.

- Artur - odparłem.

Nimue rzuciła Merlinowi triumfujące spojrzenie, ale druid tylko pokręcił głową.

- Właściwe słowo to rex i jeśli któreś z was chociaż liznęło łaciny, powinno wiedzieć, że rex to „król”, nie „imperator”. „Imperator” to imperator. Czy mamy rzucić wszystko na szalę, dlatego że jesteście niewydurowani?

- Artur rządzi Dumnonią - upierała się Nimue.

Merlin zignorował ją.

- Kto jest tu królem? - spytał mnie władczo.

- Mordred, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył po mnie. - Mordred! - Cisnął tym imieniem w Nimue: - Mordred!

Odwróciła się, jakby ją nudził. Czułem się zagubiony, nie rozumiałem ani trochę istoty ich sporu i nie mogłem się dowiedzieć, gdyż para dzieci wyszła zza zasłony wiszącej u wejścia do sali, przynosząc mi chleb i ser. Kiedy kładli przede mną misy, poczułem nikłą woń morza, posmak soli i wodorostów, towarzyszące nagiemu zjawisku, lecz pacholeta wróciły za zasłonę i dziwna woń przepadła wraz z ich widokiem.

- Tak więc - zaczął Merlin z zadowoleniem człeka, który wygrał spór - czy Mordred ma dzieci?

- Kilkoro z pewnością - odparłem. - Nie ma takiej liczby dziewczek, która zaspokoiłaby jego chuć.

- Jak to w przypadku króla - stwierdził obojętnie druid. - I książąt - dodał. - Czy niewolisz dziewczki, Gowenie?

- Nie, panie. - Jasnowłosy młodzieniec wydawał się wstrząśnięty tą sugestią.

- Mordred zawsze był chutliwy - ciągnął Merlin. - W tym względzie wdał się w ojca i dziada, chociaż muszę powiedzieć, iż obaj byli o niebo łagodniejsi niż młody Mordred. A Uther, ten to dopiero nie potrafił oprzeć się żądzy na widok pięknego liczka. Ani szpetnego, jak już go napadło. Tymczasem Artur nigdy nie przymuszał niewiast, by rozkładały pod nim nogi. W tym względzie jest do ciebie podobny, Gowenie.

- Miło mi to słyszeć - bąknął książę i Merlin przewrócił oczami w udawanej irytacji.

- Co więc Artur uczyni z Mordredem? - spytał mnie władczo.

- Czeka tu na niego więzienie, panie - odparłem, wskazując na pałac.

- Więzienie! - Druid robił wrażenie rozbawionego. - Ginewra zamknięta, biskup Sansum pod kluczem, jak tak dalej będzie, to kogokolwiek Artur spotka, ten skończy za kratkami! Wszyscy będziemy na wodzie i gliniastym chlebie. Ależ głupiec z tego Artura! Powinien rozwalić łeb Mordredowi. - Mordred był dzieckiem, kiedy odziedziczył koronę, i Artur rządził królestwem za jego niepełnoletności, lecz potem, stosownie do obietnicy uczynionej wielkiemu królowi Utherowi, przekazał berło Mordredowi. Ten nadużył władzy, a nawet zawiązał spisek, mający na celu uśmiercenie Artura, i to właśnie ten spisek zachęcił Sansuma i Lancelota do rewolty. Mordreda czekało teraz odosobnienie, chociaż Artur uważał niezłomnie, iż prawy król Dumnonii, w którym płynie krew bogów, winien być traktowany z szacunkiem, nawet pozbawiony władzy. Miał być trzymany pod strażą w wystawnym pałacu, opływając we wszelkie luksusy, których pożądał, ale pozbawiony możliwości czynienia złego. - Więc mniemasz, że Mordred na pewno ma bękarty?

- Na kopy, jak myślę.

- Jeśli ci się to kiedykolwiek zdarza - burknął Merlin. - Podaj mi jakieś imię, Derflu!  
Podaj mi imię!

Zastanowiłem się chwilę. Jeśli chodziło o znajomość grzechów Mordreda, to znajdowałem się w lepszej sytuacji niż inni, bo byłem mu strażnikiem za czasów pacholeństwa, czyniąc to równie niechętnie, co marnie. Nigdy nie udało mi się zastąpić mu ojca, a chociaż moja Ceinwyn starała się być mu matką, też zawiodła w swoich usiłowaniach, tak że wstrętne chłopaczysko wyrosło na ponurego nikczemnika.

- Była tu jedna służka i uczepił się jej na długo - powiedziałem.

- Jej imię! - rzucił władczo Merlin, chociaż miał usta pełne sera.

- Cywwyloga.

- Cywwyloga! - Owo imię chyba wzbudziło w nim rozbawienie. - I mówisz, że obdarzył tę Cywwylogę bachorem?

- Chłopcem, jeśli to było jego dziecię, co zapewne zgadza się z prawdą.

- A ta Cywwyloga - mówiąc to, wymachiwał nożem - gdzie może się podziewać?

- Pewnie gdzieś niedaleko. Nie podążyła za nami do grobu Ermida i Ceinwyn zawsze podejrzewała, że Mordred dał jej pieniądze.

- Miał ku niej słabość?

- Myślę, że tak.

- Cóż za ulga wiedzieć, że jest jakiś promyczek dobra w tym strasznym chłopcu.

Znalazłbyś ją, Gowenie?

- Spróbuję, panie - rzekł z oddaniem książę.

- Nie próbuj, znajdź! - burknął Merlin. - Jak ona wygląda, Derflu, ta dziewczka o dziwnym imieniu? Cywwyloga!

- Przysadzista, tłustawa, czarnowłosa - powiedziałem.

- Jak do tej pory udało się nam ograniczyć poszukiwania do każdej dziewczki w Brytanii, która nie skończyła drugiej dziesiątki lat. Czy stać cię na jakieś szczegóły? Ile lat miałyby teraz dziecko?

- Sześć i jeśli nie zawodzi mnie pamięć, ma rude włosy.

- A dziewczyna?

Pokręciłem głową.

- Udatnych kształtów, ale niezbyt warta zapamiętania.

- Wszystkie dziewczątka są warte zapamiętania - rzekł górnolotnie Merlin. - Zwłaszcza takie, które noszą imię Cywwyloga. Znajdź ją, Gowenie.

- Czemu pragniecie ją znaleźć, panie? - zapytałem.

- Czy ja wsadzam nos w twoje sprawy?! - zahuczał Merlin. - Czy ja stoję przed tobą i zadaję głupie pytania o włócznie i miecze? Czy narzucam się z idiotycznymi dociekaniem do tego, jak wymierzysz sprawiedliwość? Czy obchodzą mnie twoje żniwa? Czy, krótko mówiąc, robię z siebie utrapienie, wtrącając się w twoje życie, Derflu?

- Nie, panie.

- W takim razie, błagam, nie bądź ciekaw mojego. Niesądzone myszy pojąć zamysły orła. Teraz zjedz ser, Derflu.

Nimue nie chciała jeść, nasępią, rozgniewana tym, jak stary druid zbył jej twierdzenie, że Artur jest prawdziwym władcą Dumnonii. Merlin ignorował ją, wołając drażnić się z Gowenem. Nie wspominał już Mordreda ani nie mówił, co zamierza uczynić na Mai Dun, chociaż wreszcie rozgadał się o Skarbach, kiedy odprowadzał mnie do bram pałacu, przy których nadal czekał na mnie Issa. Czarna laska druida stuknęła o kamienne płyty, gdy szliśmy dziedzińcem, z którego poprzednio tłum przypatrywał się przychodzącym i znikającym zjawom.

- Widzisz, potrzebuję prostaczków, bo jeśli mamy wezwać bogów, trzeba będzie setnie się napocić i Nimue nie dokona niczego sama - rzekł. - Potrzebujemy setki ludu, może więcej!

- Do czego?

- Przekonasz się, przekonasz się. Gowen przypadł ci do gustu?

- Zda się chętny.

- O, tak, chętny ci on jest, ale czy okaże się godny podziwu? Psy są chętne. Jakbym widział Artura w czasach młodości. Cały ten zapal do dobrych uczynków. - Roześmiał się.

- Panie, co wydarzy się na Mai Dun? - spytałem niespokojny, szukając otuchy.

- Wezwiemy bogów, oczywiście. To skomplikowany rytuał i mogę się tylko modlić, by poszedł, jak trzeba. Oczywiście lękam się, że nie przyniesie efektu. Nimue, jak zapewne spostrzegłeś, jest przekonana, iż postępuję zupełnie nie tak, jak powinienem, ale jeszcze się przekonamy, jeszcze się przekonamy. - Jakiś czas stąpał bez słowa. - Lecz jeśli dopełnimy go, jak trzeba, co za widok się nam ukaże! Bogowie przybywający w pełni swej mocy. Manawydan biegnący z morskich odmętów, skąpany w wodzie i cudowny. Taranis rozdierający niebiosy piorunem, Bel ciągnący ogień z nieba i Don kłujący chmury ognistą włócznią. To dopiero dusza ucieknie w pięty chrześcijanom, he! - Zadreptał z czystego zadowolenia, tanecznie, acz niezbyt udanie. - Biskupi poszczają się w swoje czarne szatki, he?

- Ale nie możecie być, panie, tego pewni - rzekłem, szukając w nim pewności, która dodałaby mi ducha.

- Nie bzdurz, Derflu. Czemu zawsze chcesz ode mnie, bym natchnął cię pewnością? To, co mogę uczynić, to dopełnić rytuału i mieć nadzieję, że zrobiłem wszystko, jak trzeba! Ale dziś wieczorem byłeś świadkiem nie byle czego, prawda? Czy to nie dodało ci pewności?

Zawahałem się, rozważając, czy nie świadkowałem jakiemuś kuglarstwu. Ale jakie kuglarstwo może sprawić, że skóra dziewczeczki lśni w ciemności?

- A czy bogowie uderzą na Sasów? - zapytałem.

- To dlatego ich wzywamy, Derflu - rzekł cierpliwie Merlin. - Celem jest odzyskać Brytanię taką, jaka była za dawnych dni, kiedy jej doskonałości nie skazili Sasi ani chrześcijanie. - Przystanął przy wrotach i popatrywał na mroczne pola i lasy. - Zaiste, kocham Brytanię - rzekł nagle cichszym głosem. - Zaiste kocham tę wyspę. To wyjątkowe miejsce. - Położył mi dłoń na ramieniu. - Lancelot spalił twój dom. Gdzie więc teraz mieszkasz?

- Muszę zbudować sobie nowy - powiedziałem, chociaż nie miał on stanąć w grodzie Ermid, gdzie wyzionęła ducha moja mała Dian.

- Dun Caric jest pusty - rzekł druid. - Pozwolę ci tam zamieszkać, ale pod jednym warunkiem: gdy dokonam swego dzieła i bogowie zostaną z nami, będzie mi wolno tam przybyć i umrzeć.

- Możecie tam przybyć i żyć, panie.

- Umrzeć, Derflu, umrzeć. Jestem stary. Pozostało mi jedno zadanie i podejmę się go na Mai Dun. - Nie spuszczał dłoni z mojego ramienia. - Wydaje ci się, że wiesz, co ryzykuję? Wyczułem w nim lęk.

- O jakim ryzyku mówicie, panie? - spytałem niezręcznie.

Sowa zahuczała w ciemności i Merlin, przekrzywiwszy głowę, czekał na jej powtórne wołanie, ale się nie rozległo.

- Całe moje życie - odezwał się po chwili - szukałem sposobów, by sprowadzić z powrotem bogów do Brytanii, a teraz mam ku temu środki, ale nie wiem, czy nie zawiodą. Lub też, czy jestem właściwym mężem, który ma dopełnić rytuału. Nie wiem nawet, czy go dożyję. - Dłoń na moim ramieniu zacisnęła się mocniej. - Idź, Derflu, idź. Muszę leć spać, jutro bowiem udam się na południe. Ale przybądź do Durnovarii w święto Samain. Przybądź i bądź świadkiem obecności bogów.

- Stawię się tam, panie.

Uśmiechnął się i odszedł. Gdy wracałem do Caer, oszołomiony, przepelniony nadzieją i ogarnięty lękiem, rozważając, gdzie czary zabiorą nas teraz lub czy też rzucą nas w pustkę,



ale do stóp Sasów, którzy zjawią się wiosną. Albowiem jeśli Merlin nie zdoła wezwać bogów Brytanii, niechybnie czekała nas zagłada.

Powoli, jak poruszony staw, który zastyga, Brytania osiągała spokój. Lancelot przycupnął w Vencie, lękając się zemsty Artura. Mordred, nasz prawy król, przybył do Lindinis, gdzie okazywano mu wszelkie honory, ale otaczali go włócznicy. Ginewra pozostawała w Ynys Wydryn, uginając się pod ciężkim spojrzeniem Morgan, podczas gdy Sansum, małżonek Morgan, był uwięziony w gościnnych kwaterach Emrysa, biskupa Dumovarii. Sasi wycofali się poza swoje granice, chociaż po żniwach obie strony były gotowe najeżdżać się nawzajem, nie okazując litości wrogom. Sagramor, numidyjski dowódca Artura, strzegł granicy saskiej, podczas gdy Culhwch, kuzyn Artura i kolejny raz jeden z jego komendantów, obserwował belgijską granicę Lancelota ze swojej fortecy w Dunam. Nasz sprzymierzeniec, król Powys, Cuneglas, zostawił setkę włóczników pod komendą Artura, następnie powrócił do swego królestwa i po drodze napotkał siostrę, księżniczkę Ceinwyn, wracającą do Dumnonii. Ceinwyn była moja, tak jak ja byłem jej, chociaż przysięgała nigdy nie wychodzić za mąż. Zjawiała się z naszymi córkami wczesną jesienią i przyznając, że nie zaznałem prawdziwego szczęścia, dopóki nie przybyła. Natknąłem się na nią w drodze na południe i długo trzymałem w ramionach, przeżyłem bowiem takie chwile, kiedyś myślałem, że nigdy więcej jej nie ujrzę. Była piękna ta moja Ceinwyn, złotowłosa księżniczka, niegdyś, dawno temu, obiecana Arturowi, a gdy zerwał zaręczyny dla Ginewry, obiecana innym wielkim księżętom, jednakże ona uciekła ze mną i śmiem rzec, iż słusznie postąpiliśmy.

Nasz nowy dom w Dun Caric leżał nieopodal Cear Cadran, na północ. Dun Caris znaczy „wzgórze przy pięknej strudze” i nazwę dobrano należycie, miejsce było bowiem urocze i spodziewałem się, że przeżyję w nim szczęśliwe chwile. Dębowy dwór stał na wzgórkach, zaduszony strzechą, w sąsiedztwie wielu budynków gospodarskich, a wszystko to otoczone starawą palisadą. Ludzie mieszkający w wiosce u podnóża wzgórza wierzyli, że dwór nawiedzają duchy, albowiem Merlin zezwolił wiekowemu druidowi, Balizowi, dożyć tam swoich dni. Moi włócznicy jednak uprzętnęli pajęczyny i robactwo, a potem pozbyli się rytualnych parafernali zmarłego starca. Nie wątpię, iż wieśniacy mimo lęku przed starym dworzyszczem zabrali kotły, trójnogi i wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, tak że nam zostały węzowe skóry, zeschłe kości, rozpadające się ptasie truchła, a wszystko spowite gęstymi pajęczynami. Wiele kości było ludzkich, całe stosy; pochowaliśmy te szczątki w

przeróżnych jamach, tak żeby duchy zmarłych nie mogły się scalić, powrócić i prześladować nas.

Artur przysłał mi kilkudziesięciu młodzianów. Miałem wyszykować ich na wojowników i całą jesień trwała nauka władania włócznią i tarczą, a raz w tygodniu, bardziej z poczucia obowiązku niżli dla przyjemności, odwiedzałem Ginewrę w pobliskim Ynys Wydryn. Wiozłem jej w podarku jadło, a gdy nastały chłody - wielką szubę z niedźwiedziego futra. Czasami przywoziłem jej syna, ale ona nie za bardzo umiała się zachować w jego kompanii. Opowieści o łowieniu ryb w strumieniu Dun Caric czy myśliwskich zabawach w naszych kniejach nudziły ją. Sama uwielbiała polować, ale ta przyjemność została jej odebrana, więc dla rozrywki przechadzała się jedynie po okolicach chramu. Uroda jej nie opuściła, przeciwnie, żalosna kondycja sprawiła, że te wielkie oczy jarzyły się jak nigdy do tej pory, chociaż nie pozwoliła sobie na słowo skargi. Była na to zbyt dumna, ale i tak dobrze widziałem, iż daleko jej do szczęścia. Morgan dawała się jej we znaki, nieustannie sączyła do ucha chrześcijańskie nauki i oskarżenia, że jest wszeteczną babilońską. Ginewra znosiła to cierpliwie i jedyne, na co uzaliła się z początkiem jesieni, kiedy noce wydłużyły się, a pierwsze przymrozki ubieliły dolinki, to zbyt ni chłód w komnatach. Artur położył temu kres, rozkazując, by Ginewra zużywała tyle opału, ile chciała. Kochał ją nadal, chociaż zrywał się na dźwięk jej imienia. Co do niej, to nie wiedziałem, kogo lubuje. Zawsze prosiła mnie o nowiny o mężu, ale ni razu nie wspomniała Lancelota.

Artur też był więźniem, lecz jedynie własnych katuszy. Jego domem, jeśli było takie miejsce na ziemi, które można by nazwać jego domem, był królewski pałac w Durnovarii, ale wolał objeżdżać Dumnonię, od fortecy do fortecy, przygotowując nas wszystkich na wojnę z Sasami, która musiała przyjść z nowym rokiem, chociaż jeśli przedkładał jakieś miejsce nad inne, to było nim Dun Caric. Widzieliśmy go z dworu, po czym róg huczał na alarm, kiedy jego konni rozbryzgiwali wody strumienia. Gwydr, syn Artura, biegł ojcu na przywitanie, a ten pochylał się z siodła Llamerei i porywał chłopca w ramiona, nim przycwałował do naszych bram. Okazywał Gwydrowi czułość, jak i wszystkim pacholętom, ale wobec dorosłych zachowywał lodowatą rezerwę. Dawny Artur, mąż pełen radości i entuzjazmu, przepadł. Duszę obnażał jedynie przed Ceinwyn i po przybyciu do Dun Caric rozprawiał z nią godzinami. O Ginewrze, bo i o kim innym?

- Wciąż ją kocha - powiedziała mi Ceinwyn.
- Niechby ożenił się z inną - rzekłem.
- Jak mógłby to zrobić? - spytała. - Myśli tylko o niej.
- Co mu powiedziałaś?

- Żeby jej wybaczył, oczywiście. Wątpię, by jeszcze raz popełniła głupstwo, a jeśli tylko ona może mu dać szczęście, niech w takim razie schowa dumę i weźmie Ginewrę z powrotem.

- Jest na to za dumny.

- Najwyraźniej - powiedziała z dezaprobatą. Odłożyła kądziel i wrzecziono. - Myślę, że może musi wpierw zabić Lancelota. To sprawiłoby, że stałby się szczęśliwy.

Artur próbował tego jesienią. Poprowadził wypad na Ventę, stolicę Lancelota, ale ten zwietrzył atak i uciekł do Cerdyka, swego protektora. Zabrał ze sobą Amhara i Loholta, dzieci Artura z irlandzkiej kochanki, Ailleann. Bliźniacy nie cierpieli tego, że są bastardami, i sprzymierzyli się z wrogami ojca. Arturowi nie udało się znaleźć Lancelota, ale przywiózł ze sobą bogate łupy w zbożu, którego rozpaczliwie potrzebowaliśmy, jako że letnie niepokoje w sposób nieunikniony nadwątlily nasze zbiory.

W połowie jesieni, zaledwie dwa tygodnie przed Samain i po wypadzie na Ventę, Artur znów przybył do Dun Caric. Wychudł jeszcze bardziej na ciele i na obliczu. Dawniej nigdy nie budził lęku swym wyglądem, teraz jednak stale miał się na bacności, krył swe myśli i przez to zyskał na tajemniczości, a smutek zalegający duszę dodał mu twardości obejścia. Niegdyś z rzadka wpadał w gniew, lecz teraz wystarczał najlżejszy sprzeciw, a tracił nad sobą panowanie. Najbardziej był zły na siebie samego, jako iż uważał się za nieudacznika. Dwaj pierworodni porzucili go, jego małżeństwo legło w gruzach, a Dumnonia podupadła. Dawniej wydawało mu się, że zdoła stworzyć królestwo doskonałe, obszar sprawiedliwości, bezpieczeństwa i pokoju, ale chrześcijanie woleli rzeź. Winił siebie za to, że nie potrafił przewidzieć biegu wydarzeń, i teraz, kiedy zapadła cisza po burzy, zwątpił w moc swych wizji.

- Musimy zadowolić się drobiazgami, Derflu - rzekł mi tamtego dnia.

Był cudowny środek jesieni. Chmury zasnuły strzępami niebo, tak że słoneczne plamy pędziły po żółtobrązowych polach i lasach, leżących na zachód od miejsca, w którym staliśmy. Artur raz przynajmniej nie szukał towarzystwa Ceinwyn, lecz zaprowadził mnie na łączkę za naprawioną palisadą Dun Caric, skąd wpatrywał się ponuro w skalisty pagór rysujący się na horyzoncie. Patrzył na Ynys Wydryn, gdzie przebywała Ginewra.

- Drobiazgami? - powtórzyłem pytającym tonem.

- Pobicie Sasów, rzecz jasna. - Skrzywił się, wiedząc, że pobicie Sasów to żaden drobiazg. - Nie chcą z nami rozmawiać. Jeśli wyślemy emisariuszy, zabiją ich. Oni powiedzieli mi tak w zeszłym tygodniu.

- Oni?

- Oni - potwierdził ponuro, mając na myśli zarówno Cerdyka, jak i Aelle'a. Dwaj sascy królowie zwykle rzucali się sobie do gardeł, co udawało się nam osiągnąć za pomocą sowitych przekupstw, ale, jak się wydawało, teraz pojęli lekcję, której Artur z wielkim powodzeniem udzielił królestwom Brytów: w jedności siła. Połączyli się, by zgnieść Dumnonię, i decyzja o nieprzyjmowaniu emisariuszy była tyleż oznaką zdecydowania, co miarą samoobrony. Posłańcy Artura mogli przywieźć łapówki, zmiękczające wodzów plemion, ale wszyscy emisariusze, nawet ci najrzetelniej szukający pokoju, jadą na przespieg. Cerdyk i Aelle nie zamierzali ryzykować. Postanowili zasypać dzielące ich różnice, połączyć się i nas zgnieść.

- Miałem nadzieję, że zaraza ich osłabi - powiedziałem.

- Przybyli nowi wojownicy, Derflu - rzekł Artur. - Słyszeliśmy, że ich łodzie lądują każdego dnia i każda jest pełna głodnych. Wiedzą, że jesteśmy słabi, tak że tysiącami przybędą następnego roku, tysiące za tysiącami. - Artur zdawał się rozkoszować tymi strasznymi obrazami przyszłości. - Horda! Może taki właśnie będzie nasz koniec, twój i mój? Dwaj starzy przyjaciele, tarcza przy tarczy, obaleni barbarzyńskimi toporami.

- Są gorsze rodzaje śmierci, panie.

- I lepsze - rzekł krótko. Popatrywał w kierunku wielkiego wzgórza; przybywszy do Dun Caric, zawsze siadywał na tym zachodnim stoku, nigdy na wschodnim ani na południowym, wychodzącym na Caer Cadarn, ale zawsze tu i spoglądał na drugi brzeg doliny. Wiedziałem, co myśli, i on wiedział, że ja wiem, ale nie wymieniał jej imienia, bo nie chciał, bym był świadom, że codziennie budzi się z myślami o niej, a każdą noc błaga, by przystała mu sny o niej. Nagle poczuł na sobie mój wzrok i popatrzył na pola, na których Issa ćwiczył chłopców na wojowników. Jesienne powietrze było wypełnione ostrym stukotem uderzających o siebie drzewców włóczni i zachrypniętymi okrzykami Issy, nakazującego trzymać ostrza nisko, a tarcze wysoko.

- Jak im idzie? - spytał, skinieniem głowy wskazując rekrutów.

- Jak nam dwa dziesiątki lat wstecz, kiedy starszyzna narzekała, że nigdy nie wyrosną z nas wojownicy - odparłem. - Za dwadzieścia lat te gołowasy będą mówić to samo o swoich synach. Wyjdą na ludzi. Zahartuje ich jedna bitwa i będą równie dobrzy jak inni wojownicy w Brytanii.

- Jedna bitwa - rzekł ponuro Artur. - Możemy mieć tylko jedną. Kiedy Sasi przybędą, Derflu, przewyższą nas liczebnie. Nawet jeśli Powys i Gwent przyślą wszystkich swoich, będzie nas mniej. - Mówił gorzką prawdę. - Merlin powiada, że nie powinienem się martwić -

dodał sarkastycznie. - Rzecz, że to, co uczyni na Mai Dun, sprawi, że wojna będzie niepotrzebna. Byłeś tam kiedy?

- Jeszcze nie.

- Setki głupców wleką drewno opałowe na szczyt. Szaleństwo. - Splunął. - Nie pokładam zaufania w Skarbach Brytanii, Derflu, ale w murze tarcz i ostrych włóczykach. I żywię tylko jedną nadzieję...

- Jaką? - nacisnąłem go.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Gdyby udało się nam jeszcze jeden raz podzielić naszych wrogów, wtedy nadal mielibyśmy jakąś nadzieję. Jeśli Cerdyk przybędzie sam, możemy go pokonać, byle tylko Powys i Gwent przyszyły nam z pomocą, ale nie mogę pobić zjednoczonych Cerdyka i Aelle'a. Zwyciężyłbym, gdybym miał pięć lat na odbudowę armii, lecz nie najbliższej wiosny. Jedyna nadzieja, Derflu, jest w niezgodzie naszych wrogów. - Taki był stary sposób prowadzenia wojny przez Brytów. Przekupić jednego saskiego króla, żeby bił się z drugim, ale ze słów Artura wynikało, iż Sasi postarali się, by tej zimy ta sytuacja się nie powtórzyła. - Zaproponuję Aelle'owi wieczny pokój - ciągnął Artur. - Niech zachowa wszystkie dotychczas posiadane ziemie i te, które zdoła wydrzeć Cerdykowi. On i jego następcy będą mogli rządzić tam po wieczność. Rozumiesz? Ustępuję mu te ziemie na wieczne czasy, jeśli tylko stanie u naszego boku podczas najbliższej wojny.

Przez chwilę się nie odzywałem. Dawny Artur, ten, który był moim przyjacielem, przed tamtą nocą w świątyni Izydy, nigdy nie wyrzekłby tych słów, albowiem nie było w nich prawdy. Żaden mąż nie ustąpiłby ziemi Brytów Sasom. Artur kłamał w nadziei, że król Sasów uwierzy w kłamstwo, a za kilka lat obietnica miała być złamana i Aelle zaatakowany. Wiedziałem o tym, ale miałem dość oleju w głowie, by nie rzec głośno, iż jest to kłamstwo, bo wtedy sam nie mógłbym udawać, że w nie wierzę. Przypomniałem jedynie Arturowi dawną przysięgę, wyrytą w kamieniu obok drzewa rosnącego daleko od Dun Caric.

- Przysięgliście, panie, zabić Aelle'a. Czy zapomnieliście o tym?

- Teraz nie obchodzą mnie żadne przysięgi - rzekł zimno, lecz zirytowany, natychmiast podniósł głowę. - A czemu miałyby być inaczej? Czy ktoś dotrzymuje przysięg złożonych mnie?

- Ja, panie.

- W takim razie usłuchaj mnie, Derflu, i jedź do Aelle'a - rzekł krótko.

Spodziewałem się tego żądania. W pierwszej chwili nie odpowiedziałem, ale przyglądałem się, jak Issa rzuca swoich młodzików na niepewny mur tarcz.

- Wydawało mi się, że Aelle obiecał śmierć waszym emisariuszom?

Artur nie patrzył na mnie. Jego wzrok był zwrócony na tamto dalekie zielone wzgórze.

- Starcy mówią, że zima będzie sroga tego roku - rzekł. - Chcę znać odpowiedź Aelle'a, zanim spadną śniegi.

- Tak, panie.

Musiał usłyszeć mój nieszczęśliwy ton, bo znów się uniósł.

- On nie zabije własnego syna.

- Musimy żywić taką nadzieję, panie - powiedziałem bezbarwnym tonem.

- Więc jedź do niego, Derflu. - Nie miał żadnych wątpliwości, że właśnie skazuje mnie na śmierć, ale nie okazywał żalu. Wstał i otrzepał z białego płaszcza trawę. - Jeśli tylko wiosną pobijemy Cerdyka, wtedy odzyskamy dawną Brytanię.

- Tak, panie - rzekłem. Wszystko to było takie proste w jego ustach: wystarczy pobić Sasów i Brytania stanie się taka jak dawniej. Pomyślałem, że wiecznie ulegamy jednakiemu złudzeniu: tylko ostatni wielki wysiłek i zapanuje wieczna szczęśliwość. Jakoś nigdy nie następowała, ale teraz, w rozpacz i szukając ostatniej szansy, musiałem udać się w podróż na spotkanie z ojcem.

Jestem Sasem. Uther wziął moją brzemienną saską matkę, Erce, w niewolę, a ja urodziłem się niedługo po tym. Odebrano mnie matce, kiedy byłem dzieckiem, ale zdążyłem się jeszcze nauczyć języka Sasów. Później, o wiele później, tuż przed rebelią Lancelota, znalazłem matkę i dowiedziałem się, że moim ojcem jest Aelle.

W moich żyłach płynie więc czysta krew saska, do tego na poły królewska, jednakże przez wzgląd na wychowanie pośród Brytów nie poczuwam się do wspólnoty z Sasami. Dla mnie, jak i dla Artura oraz innych wolno urodzonych Brytów, Sasi to plaga przyniesiona zza Morza Germańskiego.

Skąd przybyli - tego nikt naprawdę nie wie. Sagramor, który podróżował dalej niż inni dowódcy Artura, mówił mi, że ziemia Sasów to odległe, zamglone miejsce pełne trzęsawisk i kniei, chociaż przyznaje, iż nigdy tam nie był. Wie jedynie, że to gdzieś za morzem i Sasi uchodzą stamtąd, bo, jak twierdzi, Brytania jest żyźniejsza i bogatsza, chociaż obito mi się o uszy, że ziemia Sasów również cierpi pod jarzmem obcych, jeszcze dziwniejszych wrogów, przybyłych z najodleglejszych krańców świata. Ale tak czy siak Sasi już od czterech setek lat przybywają zza morza, by pościć nasze ziemie i obecnie władają całą wschodnią Brytanią. Nazywamy te zagrabione terytoria: Lloegyria, Utracone Ziemie, i nie ma takiej duszy w Brytanii, która nie marzyłaby o odzyskaniu Utraconych Ziem. Merlin i Nimue wierzą, iż uda się je odzyskać tylko z pomocą bogów, podczas gdy Artur chce dopiąć celu mieczem. Moim zadaniem było podzielić naszych wrogów, co ułatwiłoby dzieło bogom czy też Arturowi.

Podróżowałem jesienią, kiedy dęby oblekają się w brąz, buki w czerwień, a chłody białymi mgłami zasnuwają poranki. Podróżowałem sam, albowiem jeśli Aelle miał wynagrodzić trud emisariusza śmiercią, lepiej było utracić tylko jednego wojownika. Ceinwyn błagała mnie, bym zabrał eskortę, ale co by to dało? Jeden oddziałek nie miał szans przeciwko armii Aelle'a, tak więc gdy wiatr począł zrywać z wiązków pierwsze żółte liście, podążyłem na wschód. Ceinwyn usiłowała mnie przekonać, żebym zaczekał do Samain, gdyby bowiem zaklęcia Merlina na Mai Dun przyniosły skutek, nie trzeba by było słać emisariuszy do Sasów. Lecz Artur ani myślał o zwłoce. Liczył na zdradę Aelle'a i chciał odpowiedzi od saskiego króla, tak więc ruszyłem, mając jedynie nadzieję, że przeżyję i wrócę do Dumnonii przed wilią Samain. U boku wisiał mi miecz, na plecach tarcza, ale poza tym nie miałem innego oręża.

Nie udałem się prosto na wschód, ta droga bowiem powiodłaby mnie niebezpiecznie blisko ziem Cerdyka. Skierowałem się zatem wpierw na północ, do Gwentu, a potem na wschód, ku saskiej granicy, tam gdzie rozciągało się władztwo Aelle'a. Półtora dnia podróżowałem wśród bogatych gospodarstw Gwentu, mijając wiejskie domy z kamienia i

chaty, z których dym bił otworami w dachu. Bydło pędzone na zimowy ubój wymieszało błoto na polach, a porykiwanie stad dodało melancholii mej podróży. W powietrzu czuło się pierwsze tchnienie zimy i obrzmiące poblądłe słońce przed południem wisiało nisko we mgłach. Chmary szpaków zbierały się nad ugorami.

Dalej na wschód pejzaż się zmieniał. Gwent był krainą chrześcijańską i najpierw mijalem duże, bogate kościoły, ale drugiego dnia widywałem tylko kapliczki i ubożuchne gospodarstwa, aż w końcu dotarłem do krainy pustkowi, na których nie rządzi ani Sasowie, ani Brytowie, lecz gdzie tak jedni, jak i drudzy siali śmierć. Łąki żywiące niegdyś całe rodziny zarosły dębczakami, głogiem, brzożami i jesionami, domy z kamienia stały w ruinie, pozbawione dachów, a z dworów pozostały jeno spalone szkielety. A jednak zamieszkiwali tam nadal jacyś ludzie i raz, usłyszawszy tupot nóg w pobliskim zagajniku, dobyłem Hywelbane'a w lęku przed bezpieczną hołotą, szukającą schronienia w tych przepastnych jarach. Nikt jednak nie stanął mi na drodze, dopiero wieczorem dojrzałem oddział włóczników. Byli to wojowie z Gwentu i jak wszyscy podwładni króla Meuriga nosili się na modłę dawnych Rzymian: napierśniki z brązu, hełmy zwieńczone grzebieniami z barwionego na czerwono końskiego włosia, rdzawe opończe. Ich dowódcą był chrześcijanin imieniem Carig i zaprosił mnie do swojej fortecy, zajmującej polanę na wysokim zalesionym wzgórzu. Zadaniem Cariga było strzec granicy, zatem szorstko zażądał ode mnie wyjawienia celu podróży, ale dowiedziawszy się mego imienia i tego, że jadę na rozkaz Artura, zaprzestał dalszej indagacji.

Nędzną fortecę Cariga, kilka chat, w których wisiał gęsty dym walący z palenisk, otaczała tylko prosta palisada. Ogrzałem się przy ogniu, podczas gdy garstka wojów zajmowała się pieczeniem sarny na rożnie, uczynionym ze zdobyczej saskiej włóczni. Kilkanaście takich placówek, rozrzuconych o dzień marszu, pilnowało, czy ze wschodu nie zapuszczają się zagony Aelle'a. Dumnonia przedsięwzięła te same środki ostrożności, chociaż my trzymaliśmy nad granicą stałą armię. Koszty utrzymania takiego obronnego pierścienia były niebotyczne i znienawidzone przez tych, którzy musieli składać podatki w zbożu, skórze, soli i wełnie. Artur zawsze dokładał starań, by podatki były uczciwe i ciężar znośny, chociaż teraz, po rebelii, bez litości obłożył ciężkimi grzywami bogaczy, którzy stanęli przy Lancelocie. Owe grzywny uderzyły nieproporcjonalnie w chrześcijan i Meurig, chrześcijański król Gwentu, wystąpił do Artura z protestem, który ten zignorował. Carig, wierny sługa Meuriga, traktował mnie z pewną rezerwą, chociaż bardzo się starał ostrzec mnie przed tym, co czekało za granicą.

- Wiesz, panie, że Sasi nie przepuszczają ludzi przez granicę? - spytał.



- Tak, obito mi się to o uszy.

- Dwaj kupcy przejechali tędy przed tygodniem. Wieźli garnki i wełnę. Ostrzegalem ich, ale... - przerwał i wzruszył ramionami - Sasi garnki i wełnę zatrzymali, ale odesłali dwie czaszki.

- Jak moja czaszka wróci, prześlij ją Arturowi. - Tłuszcz z dziczyzny kapał do ognia, sycąc płomienie. - Czy jacyś podróżni przybywają z Lloegyrii?

- Od tygodni nie zjawiał się ani jeden, ale niewątpliwie w przyszłym roku zobaczycie w Dumnonii wielu saskich włóczników.

- Nie w Gwencie? - spytałem go podchwytliwie.

- Aelle nie ma z nami żadnego sporu - rzekł z przekonaniem. Był niespokojnym młodzianem, niezbyt uradowanym faktem, że strzeże eksponowanego odcinka granicy Brytanii, ale trzeba przyznać, że starannie wypełniał swe obowiązki, a jego żołnierze byli zdyscyplinowani.

- Wyście Brytowie, a Aelle to Sas - powiedziałem. - Czy to nie powód do sporu?

Wzruszył ramionami.

- Dumnonia jest słaba, panie, Sasi o tym wiedzą. Gwent jest silny. Uderzą na was, nie na nas. - Jego spokojna pewność siebie sprawiła, że ciarki przebiegły mi po plecach.

- Ale kiedy tylko podbiją Dumnonię - dotknąłem żelaznej rękojeści miecza, by odwrócić złe fatum, które mogły ściągnąć moje słowa - ile czasu upłynie, zanim skierują się na północ, uderzając na Gwent?

- Jezus nas ochroni - rzekł pobożnie Carig i uczynił znak krzyża. Na ścianie chaty wisiał krucyfiks; jeden z wojów polizał palce i dotknął stóp ich torturowanego boga.

Przesądnie splunąłem w ogień.

Następnego ranka wyruszyłem na wschód. Nocą nadciągnęły chmury i poranek przywitał mnie lodowatym kapuśniaczkim, zacinającym w twarz. Rzymski trakt, zniszczony i zarosły zielskiem, biegł w głąb wilgotnych lasów i im dalej się posuwałem, tym bardziej upadałem na duchu. Wszystko, co usłyszałem w granicznej placówce, sugerowało, że Gwent nie będzie walczył o Artura. Młody Meurig zawsze był niechętny wojaczce. Jego ojciec, Tewdryk, wiedział, że Brytowie muszą się zjednoczyć przeciwko wspólnemu wrogowi, ale zrezygnował z tronu i wiódł żywot mnicha nad rzeką Wye, a jego synowi daleko było do miana wodza bojowych zastępów. Bez wyćwiczonych oddziałów Gwentu Dumnonia była skazana na pewną zagładę, chyba że błyszcząca naga nimfa zapowiadała jakąś cudowną interwencję bogów lub Aelle wzięłaby kłamstwa Artura za prawdę. A czy w ogóle mnie przyjmie? Czy kiedykolwiek uwierzył, że jestem jego synem? Saski król okazał mi

uprzejmość podczas niewielu naszych spotkań, ale to nie miało żadnego znaczenia, jako że byłem przecież jego wrogiem, i im dalej jechałem w przenikającym do cna deszczu, pomiędzy wielgachnymi mokrymi drzewami, tym silniej rozpacz chwytła mnie za gardło. Byłem pewien, że Artur posłał mnie na śmierć, a co gorsza, że uczynił to z gruboskórnością przegrywającego, który ryzykuje wszystko na ostatni rzut kości.

Kiedy zbliżało się południe, drzewa przerzedziły się i wjechałem na szeroką polanę, przez którą płynął strumień. Droga biegła obok brodu, a na wzgórku sięgającym do pasa dorosłemu mężczyźnie stała wyschła jodła obwieszona ofiarami. Nie znam się na takich czarach, tak więc nie miałem pojęcia, czy owo drzewo strzegło drogi, zapewniało spokojny bieg strugi, czy też było jedynie dziełem pacholęcej zabawy. Zeskoczyłem z konia i ujrzałem, że na wyschłych gałązkach zwisają kostki ludzkiego kręgosłupa. Zdałem sobie sprawę, że nie były to żadne dziecięce igraszki, ale co w takim razie? Splunąłem obok wzgórka, by odwrócić zło, dotknąłem żelaznej rękójści Hywelbane'a i poprowadziłem konia przez bród.

Las zaczynał się już trzydzieści kroków za strumieniem i nie pokonałem połowy odległości, kiedy z cieni brzoź wyleciał ku mnie topór. Szare światło dnia zamigotało na obracającej się głowni. Rzut był kiepski i topór minął mnie z sykiem o dobre cztery kroki. Nikt nie wyzwiał mnie do walki ani żadna inna broń nie pojawiła się pośród drzew.

Już miałem krzyknąć w języku Brytów, że nie mam żadnych niecznych zamiarów, kiedy z cienia rozległo się rozkazujące wołanie po sasku:

- Rzuć miecz na ziemię!
- Przyjdź i sam go weź - odparłem.
- Jak cię zwą? - spytał po chwili ten sam głos.
- Derfel, syna Aelle'a.

Rozmyślnie użyłem imienia ojca i musiało to wytrącić ich z równowagi, bo dosłyszałem przyciszony gwar głosów, a po chwili sześciu mężczyzn przedarło się przez jeżyny, wychodząc na polanę. Wszyscy mieli na sobie grube futra, ulubioną zbroję Sasów, i byli uzbrojeni we włócznie. Jeden z nich nosił rogaty hełm i on to, najpewniej przywódca, podszedł ku mnie na skraj drogi.

- Derfel - rzekł, przystając o pół tuzina kroków. - Derfel. Słyszałem to imię, ale to nie jest saskie imię.

- To moje imię - odparłem. - I jestem Sasem.
- Syn Aelle'a? - Był podejrzliwy.
- W rzeczy samej.

Oceniał mnie przez chwilę. Był wysokim mężczyzną. Strzecha rudych włosów wyłaziła mu spod hełmu, broda sięgała do pasa, a wąsy do skórzanego napierśnika, noszonego pod szubą. Podejrzewałem, że mam przed sobą miejscowego wodza, a może wojownika delegowanego do strzeżenia tej części granicy. Podkręcił wąsa, po czym opuścił rękę.

- Hrothgara, syna Aelle'a, znam - rzeki, rozważając na głos. - Cyrninga, syna Aelle'a, zwę przyjacielem. Pendę, Saebolda i Yffę, synów Aelle'a, widziałem w bitwie, ale Derfel, syn Aelle'a...? - Pokręcił głową.

- Widzisz go teraz - powiedziałem.

Zważył w dłoni włócznię, oceniając moją tarczę, która nadal wisiała u siodła.

- O Derflu, przyjacielu Artura, słyszałem - rzekł oskarżycielsko.

- Widzisz go też i on to ma sprawę do Aelle'a.

- Żadna sprawa nie łączy Brytów z Aelle'em - odparł na to, a jego ludzie pomrukiem dali wyraz, że myślą podobnie.

- Jestem Sasem - rzekłem ostro.

- Jaka w takim razie jest twa sprawa?

- To coś między moim ojcem i mną. Tobie nic do tego.

Odwrócił się, wskazując na swoich ludzi.

- O tym my zdecydujemy.

- Jak cię zwą? - spytałem władczo.

Zawahał się, po czym uznał, iż wyjawienie imienia nie może mu zaszkodzić.

- Ceolwulf, syn Eadbehrta - rzekł.

- No więc, Ceolwulfie, czy myślisz, że mój ojciec nagrodzi się, gdy się dowie, że przyczyniłeś się do opóźnienia mojej podróży? Czego się po nim spodziewasz? Grzywny ze złota? Czy grobu?

To był kiepski blef, ale się udał. Nie miałem pojęcia, czy Aelle weźmie mnie w objęcia, czy przebije mieczem, ale Ceolwulf na tyle lękał się królewskiego gniewu, że niechętnie zezwolił mi na dalszą jazdę, dając do eskorty czterech włóczników, którzy powiedli mnie coraz głębiej i głębiej w Utracone Ziemię.

Tak więc podróżowałem tamtędy, gdzie niewielu Brytów zawędrowało od pokoleń. To było samo serce terenów wroga i jechałem przez dwa dni. Na pierwszy rzut oka okolica niewiele różniła się od ziem Brytów, Sasi bowiem przejęli nasze pola i uprawiali je wielce podobnie do nas, chociaż zauważyłem, że ich stogi siana są wyższe i porządniejsze niż nasze, a domy solidniejsze. Rzymskie wille były przeważnie opuszczone, chociaż gdzieniegdzie

nadal toczyło się w nich życie. Nie było tam chrześcijańskich świątyń, kościołów, po prawdzie nie dostrzegłem żadnych świątyń, chociaż raz minęliśmy rzymskiego bożka, przed którym leżały resztki ofiar. Brytowie mieszkali tam nadal i niektórzy nawet mieli własną ziemię, ale większość mężów była niewolnikami, a niewiast - żonami Sasów. Wszystkie nazwy miejscowości uległy zmianie i moja eskorta nie wiedziała nawet, jak nazywały się za rządów Brytów. Minęliśmy Lyceword i Steortford, potem Leodasham i Celmeresfort, same dziwne saskie miana, lecz wszystkie osady były kwitnące. Nie były to domy i gospodarstwa najeźdźców, lecz stałe siedziby. Za Celmeresfort skręciliśmy na południe ku Beadewan i Wicford, a moi towarzysze podróży z dumą opowiedzieli mi, że teraz mijamy uprawne ziemie, które Cerdyk oddał latem Aelle'owi. Tereny te były ceną, objaśnili mnie, lojalności Aelle'a podczas zbliżającej się wojny, która niebawem zapewni bezpośredni dostęp tym ludziom przez Brytanię do Morza Zachodniego. Moja eskorta była pewna zwycięstwa. Wszyscy słyszeli, jak Dumnonia została osłabiona Lancelotową rebelią i że zachęciła ona saskich królów do zjednoczenia się i zajęcia całej południowej Brytanii.

Aelle wybrał na zimowe leże miejscowość nazywaną w języku Sasów Thunreslea. Było to wysokie wzniesienie pośród gliniastych pól i zarośniętych mokradeł. Z płaskiego wierzchołka rozciągał się widok ku południowi i za szeroką Tamizą można było dostrzec okryte mgłami ziemie, rządzone przez Cerdyka. Na wzgórzu stało wielkie dworzyszczce, potężna budowla z ciemnych dębowych bali. Na wysokim, ostro zwieńczonym dachu zatknięto symbol Aelle'a: byczą czaszkę posmarowaną krwią. Samotny dwór wyrastał w mroku, czarny i potężny, tchnący grozą. Na wschodzie, za drzewami, była wioska, migocąca wieloma ogniskami. Wyglądało na to, że przybyłem do Thunreslea w czas zgromadzenia i ognie wskazywały miejsce obozowiska.

- To uczta - objaśnił mnie jeden z eskorty.
- Na cześć bogów? - zapytałem.
- Na cześć Cerdyka. Przybył na rozmowy z naszym królem.

Moje nadzieje, już marne, opadły. Przy Aelle'u miałem jakie takie szansę przeżycia, ale w obecności Cerdyka były one żadne. Ten był zimny i bezwzględny, podczas gdy Aelle nie wzbraniał się przed uczuciami, a nawet pewną szlachetnością.

Dotknąłem rękojęści Hywelbane'a i pomyślałem o Ceinwyn. Błagałem bogów, żeby pozwolili mi ją jeszcze raz ujrzeć, po czym nadeszła pora zeskoczyć ze znużonego wierzchowca, poprawić opończę, odpiąć tarczę od siodła i udać się przed oblicze wrogów.

Trzystu wojów musiało ucztować na zarzuconej sitowiem posadzce tego wysokiego posępnego dworu na wilgotnym wzgórzu. Trzy setki rozochoconych, wrzaskliwych,

brodatych mężów, czerwonych na gębach, którzy, w przeciwieństwie do Brytów, nie widzieli niczego niestosownego w tym, że przebywali uzbrojeni w wielkiej sali biesiadnej swego pana. Trzy wielkie paleniska buzowały pośrodku, a dym był tak gęsty, że początkowo nie widziałem ludzi siedzących za długim stołem, w głębi. Nikt nie zwrócił uwagi na moje wejście, bo z długimi jasnymi włosami i gęstą brodą wyglądałem jak saski włócznik, ale kiedy prowadzono mnie obok huczących ognisk, jakiś wojownik dojrzał pięcioramienną białą gwiazdę na mojej tarczy i przypomniał sobie, że widział ją w bitwie na tarczach wrogów. Ryk przebił się przez tumult, wrzaski i rechot, ryk coraz głośniejszy, aż każdy mąż w tamtej sali wył na mnie, kiedy szedłem ku podwyższeniu, na którym stał stół honorowy. Wyjący wojownicy odstawili rogi z piwem i poczęli tłuc rękami o podłogę lub tarcze, aż echo tego śmiercionośnego rytmu odbiło się od wysokiej powały.

Łomot ostrza uderzającego o stół uciął hałasy. Aelle wstał i to jego miecz wyrwał drzazgi z długiego chropawego blatu, przy którym kilkunastu mężów siedziało nad półmiskami z mięsiami i pełnymi rogami. Pośród uczujących był Cerdyk, a miejsce obok niego zajmował Lancelot. Nie był to jedyny Bryt. Przy nim rozwalał się Bors, jego kuzyn, a Amhar i Loholt, synowie Artura, siedzieli u końca stołu. Wszyscy byli moimi wrogami, tak że dotknąłem rękojeści Hywelbane'a i pomodliłem się o dobrą śmierć.

Aelle wbił we mnie wzrok. Znał mnie nieźle, ale czy wiedział, że jestem jego synem? Lancelot przypatrywał mi się ze zdziwieniem, nawet się zaczerwienił, ale potem skinął na przekładacza, przemówił do niego krótko i tamten pochylił się nad Cerdykiem i szepnął coś do królewskiego ucha. Cerdyk również mnie znał, lecz ani słowa Lancelota, ani to, że rozpoznał wroga, nie zmieniło nieprzeniknionej maski, stale obecnej na jego twarzy. Było to oblicze skryby, gładko wygolone, o spiczastym podbródku i wysokim, szerokim czole. Wargi wąskie, rzadkie włosy zaczesane mocno w tył i związane w węzełek, a ta pospolita twarz nie dała się zapomnieć z jednego powodu - oczu. Błdych, bezlitosnych oczu zabójcy.

Zdało się, iż zdumienie odebrało Aelle'owi mowę. Był znacznie starszy od Cerdyka; przekroczył rok temu lub dwa pięćdziesiątkę, był więc stary, jakkolwiek na to by patrzeć, ale wciąż znakomitej postawy. Wysoki, o szerokiej piersi i płaskim zawziętym obliczu, złamanym nosie, pobliznionych policzkach i gęstej czarnej brodzie. Odziany w znakomitą szkarłatną szatę, złoty torques na szyi i złote bransolety, ale żadne świedelka nie mogły ukryć faktu, że Aelle był najpierw - i przede wszystkim - żołnierzem, saskim wojem postury wielkiego niedźwiedzia. U prawej dłoni brakowało mu dwóch palców, uciętych w jakieś dawnej bitwie, podczas której, śmiem twierdzić, wziął krwawy odwet za to okaleczenie.

- Masz czelność tu przybywać? - odezwał się wreszcie.

- Aby się z wami spotkać, panie królu - rzekłem i opadłem na jedno kolano. Skłoniłem się Aelle'owi, potem Cerdykowi, ale zignorowałem Lancelota. Dla mnie był niczym, petentem króla Cerdyka, wyelegantowanym zdrajcą, z którego ciemnej twarzy tryskała nienawiść.

Cerdyk nabił kawał mięsiwa na długi nóż, zbliżył go do ust i się zawahał.

- Nie przyjmujemy posłańców od Artura - rzucił niedbale. - Każdy na tyle głupi, by się tu zjawić, daje życie. - Włożył mięso do ust, a potem odwrócił się ode mnie, jakby załatwił jakąś nieznaczącą sprawę. Jego ludzie ujadali o moją śmierć.

Aelle znów uciszył wszystkich, tłukąc mieczem o stół.

- Przybywasz od Artura? - spytał zaczepnie.

Uznałem, że bogowie wybaczą mi nieprawdę.

- Panie królu, przynoszę wam pozdrowienia od Erce i synowski szacunek od syna Erce, który, ku swej radości, jest i waszym synem - powiedziałem.

Te słowa nie znaczyły nic dla Cerdyka. Lancelot szepnął coś nagląco do przekładacza i ten kolejny raz odezwał się do Cerdyka. Nie wątpiłem, że to podszept Lancelota zachęcił saskiego króla do tych oto słów:

- On musi umrzeć. - Przemawiał bardzo spokojnie, jakby moja śmierć była drobiazgiem. - Mamy porozumienie - przypomniał Aelle'owi.

- Nasze porozumienie rzecz, iż nie będziemy przyjmować wysłanników od naszych wrogów - powiedział Aelle, nie odrywając ode mnie wzroku.

- A kimże innym jest on? - zapytał z naciskiem Cerdyk, okazując w końcu pewne zniecierpliwienie.

- On jest moim synem - rzekł prosto Aelle i w zatłoczonej sali słychać było, jak wszystkim zaparło dech w piersiach. - Jesteś moim synem, czyż nie tak, powiedz?

- Tak, panie królu.

- Masz więcej synów - przypomniał Cerdyk niedbale Aelle'owi i wskazał na brodatych mężów siedzących po lewej ręce gospodarza. Byli to, jak sądziłem, moi przyrodni bracia. Patrzyli na mnie w pomieszaniu. - On przynosi posłanie od Artura! - mówił z naciskiem Cerdyk. Wskazał na mnie nożem. - Ten pies zawsze służy Arturowi.

- Mam synowskie słowa dla ojca - znów skłamałem. - Nic więcej.

- On musi umrzeć! - skwitował Cerdyk i wszyscy jego poplecznicy poparli rykiem ten wyrok.

- Nie zabiję własnego syna w swoim dworze - zaprotestował Aelle.

- W takim razie pozwolisz, że ja to uczynię? - spytał kwaśno jego sprzymierzeniec. - Jeśli u nas zjawia się jakiś Bryt, musi iść pod miecz. - To były słowa do wszystkich zgromadzonych. - Tak zostało ustalone między nami! - Jego ludzie wrzasnęli z aprobatą i tłukli ostrzami włóczni o tarcze. - Ten stwór - mówił dalej, machając rękę w moim kierunku - to Sas, który walczy po stronie Artura! To robak, a wiesz, co robi się z robakiem!

Wojowie wrzaskiem domagali się mojej śmierci, a ich brytany potęgowały tumult wyciem i szczekaniem. Lancelot przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, podczas gdy Amhar i Loholt wyglądali na chętnych zawlec mnie pod miecz. Zwłaszcza Loholt mnie nienawidził, bo przygwaźdżał mu ramię, kiedy ojciec odcinał mu prawą dłoń.

Aelle czekał, aż wrzawa ucichnie.

- W moim dworze - powiedział, podkreślając słowo „mój”, na znak, że on tu rządzi, nie Cerdyk - wojownik umiera z mieczem w dłoni. Czy jakiś mąż pragnie zabić Derfla, kiedy ten będzie zbrojny w miecz? - Rozejrzał się po sali, szukając kogoś, kto by mnie wyzwiał. Nie znalazł nikogo i popatrzył na swego królewskiego gościa. - Nie naruszę naszego porozumienia, Cerdyku. Nasze włócznie pomaszerują razem i nic, co powie mój syn, nie odbierze nam zwycięstwa.

Cerdyk wydlubał kawałek mięsa spomiędzy zębów.

- Jego czaszka - wskazał na mnie - byłaby znakomitym znakiem w bitwie. Chcę jego śmierci.

- W takim razie zabij go - rzekł przekornie Aelle. Może i byli sprzymierzeńcami, ale nie łączyło ich wiele uczucia. Aelle nie lubił młodszego Cerdyka, uznając go za parweniusza, podczas gdy ten uważał z kolei, że starszemu mężowi brak bezwzględności.

Teraz uśmiechał się lekko na wyzwanie Aelle'a.

- Ja nie - rzekł łagodnie - ale mój czempion dokona dzieła. - Rozejrzał się, znalazł tego, którego potrzebował, i wskazał go palcem. - Liofa! Mamy tu robaka. Zabij go!

Wojownicy znów wzniesli radosny okrzyk. Rozkoszowali się myślą o walce i niewątpliwie do kresu nocy wypite piwo miało wywołać sporo śmiertelnych bójek, lecz walka na śmierć i życie między czempionem jednego króla a synem drugiego była znacznie bardziej wyrafinowaną zabawą niż pijacka burda i o wiele lepszą rozrywką niż dźwięki dwóch harf ustawionych z boku sali.

Odwrociłem się, by przyjrzeć się mojemu przeciwnikowi, z nadzieją, że okaże się na wpół pijany i dzięki temu stanie się łatwym łupem dla Hywelbane'a, ale mąż, który szedł między uczującymi, zupełnie nie odpowiadał tym oczekiwaniom. Spodziewałem się wielkoluda, kogoś wzrostu Aelle'a, ale był to szczupły, gibki wojownik o spokojnej bystrej

twarży, której nie zdobiła ani jedna szrama. Przyjrzał mi się niestrapiony i zrzucił opończę, po czym dobył ze skórzanej pochwy długi miecz o cienkiej głowni. Nosił się skromnie, inaczej niż większość wystrojonych czempionów, a z biżuterii miał na sobie jedynie skromny srebrny torques. Wszystko w nim wskazywało na doświadczenie i pewność siebie, podczas gdy niepoznana twarz była dowodem albo niesłychanego szczęścia, albo niezwykłych umiejętności. Wyglądał też zatrzęsająco trzeźwo, a gdy wyszedł na otwartą przestrzeń przed stołem, skłonił się królom.

Aelle wyglądał na zaniepokojonego.

- Rozmowa ze mną ma wysoką cenę - rzekł. - Musisz stawić czoło Liofie. A możesz też się wycofać i wrócić zdrowy i cały do domu.

Wojowie powitali tę sugestię szyderstwami.

- Pragnę rozmowy z wami, panie królu - powiedziałem.

Aelle skinął głową i usiadł. Nadal miał nieszczęśliwą minę i zgadłem, iż Liofę otacza budząca lęk reputacja. Musiał być dobry, w innym wypadku Cerdyk nie przyjąłby go na czempiona, ale coś w wyrazie twarzy Aelle'a mówiło mi, że Liofa jest więcej niż po prostu dobry.

Niemniej jednak i ja miałem jakąś reputację, co chyba martwiło Borsę, który natarczywie szeptał do ucha Lancelotowi. Ten, kiedy kuzyn skończył, skinął na przekładacza, który z kolei odezwał się do Cerdyka. Król posłuchał, po czym spojrział na mnie spode łba.

- Skąd mamy wiedzieć, czy ten twój syn, Aelle, nie nosi jakichś amuletów Merlina? - zapytał.

Sasi nieodmiennie lękali się starego druida i ta sugestia wzbudziła pomruk gniewu.

Aelle zmarszczył czoło.

- Masz coś takiego, Derflu?

- Nie, panie królu.

Cerdyk nie był przekonany.

- Ci mężowie rozpoznają czary Merlina - rzeki, wskazując na Lancelota i jego kuzyna; potem odezwał się do tłumacza, który przekazał rozkazy Borsowi. Ten wzruszył ramionami, wstał, obszedł stół i zstąpił z podwyższenia. Zbliżając się do mnie, zawahał się, ale rozłożyłem ramiona, demonstrując, iż nie żywię wobec niego wrogich zamiarów. Obejrzał moje nadgarstki, może szukając splecionych wiązek traw albo innego amuletu, potem rozsznurował mój skórzany kaftan.

- Strzeż się go, Derflu - zamruczał w języku Brytów i zaskoczony, zdałem sobie sprawę, że Bors wcale nie jest mi wrogiem. Wmówił Lancelotowi i Cerdykowi, że trzeba



mnie przeszukać, i w ten sposób mógł mnie ostrzec. - Jest szybki jak łasica i włada mieczem obiema dłońmi. Uważaj na łotra, kiedy niby się poślizgnie. - Dojrzał złotą broszę, dar od Ceinwyn. - Czy jest zaczarowana? - spytał mnie głośno.

- Nie.

- Na wszelki wypadek przypilnuję ci jej - rzekł, odpinając broszę i demonstrując ją obecnym, a wojowie zahuczeli gniewem, mogłem bowiem ukrywać talizman. - I oddaj mi tarczę - dodał, bo Liofa jej również nie miał.

Zsunąłem tarczę z lewego ramienia i przekazałem ją Borsowi. Oparł ją o podwyższenie, a potem zręcznie położył na jej brzegu broszę. Popatrzył na mnie, jakby sprawdzając, czy widziałem, gdzie ją umieścić; skinąłem głową.

Czempion Cerdyka rozciął ostrzem zadymione powietrze.

- Zabiłem do tej pory czterdziestu ośmiu mężów w pojedynkach - odezwał się łagodnym, niemal znudzonym głosem - i straciłem rachubę tych, których ściałem w bitwach. - Urwał i pogładził się po obliczu. - Te wszystkie potyczki nie zostawiły mi ani jednej blizny. Możesz się od razu poddać, jeśli chcesz umrzeć szybko.

- Oddaj mi miecz, a oszczędzisz sobie przegranej - odrzekłem.

Ta wymiana obelg należała do rytuału. Liofa zbył wzruszeniem ramion moją propozycję i odwrócił się do królów. Znów złożył ukłon i ja uczyniłem to samo. Staliśmy w odległości dziesięciu kroków, w środku pustej przestrzeni między podwyższeniem i najbliższym z trzech wielkich palenisk. Z obu stron byli podnieceni ludzie. Słyszałem brzęk monet, czyniono zakłady.

Aelle skinął nam głową, dając pozwolenie na rozpoczęcie walki. Dobyłem Hywelbane'a i uniosłem rękę do ust. Pocałowałem umieszczone tam małe odłamki świńskiej kości. Te dwie drzazgi były moimi prawdziwymi talizmanami, daleko potężniejszymi niż brosza, jako że Merlin używał ich niegdyś do czarów. Nie dawały mi czarodziejskiej osłony, ale i tak pocałowałem trzon rękojeści po raz drugi, po czym stawiłem czoło Liofie.

Nasze miecze to ciężki i niewygodny oręż, szybko tępiejący w bitwie, tak że stają się czymś w rodzaju żelaznych maczug, do władania którymi trzeba nie lada krzepy. W walce na miecze nie ma niczego delikatnego, niemniej jednak wymaga ona umiejętności, która polega na zwiedzeniu przeciwnika, przekonaniu go, że uderzenie nastąpi w lewy bok, kiedy ta strona jest osłaniana, a uderzeniu w prawy; chociaż większość walk jest wygrywana nie dzięki takim fintom, lecz brutalnej sile. Jeden z przeciwników opada z sił na tyle, że jego zasłony tracą moc, a zwycięzca siecze dopóty, dopóki nie zatłucze słabszego na śmierć.

Ale Liofa nie walczył w ten sposób. W rzeczy samej nigdy przedtem ani nigdy potem nie spotkałem nikogo, kto walczyłby dokładnie jak Liofa. Wyczułem różnicę, kiedy się do mnie zbliżał, głownia jego miecza bowiem, chociaż długa jak Hywelbane'a, była znacznie węższa i lżejsza. Liofa poświęcił ciężar na rzecz szybkości i zdałem sobie sprawę, że ten człek będzie tak szybki, jak Bors mnie ostrzegł, szybki niczym błyskawica, i w tej samej chwili, w której to wyczułem, zaatakował, tyle że miał wziąć potężny rozmach, zrobił gwałtowny wypad, mierząc sztychem w mięśnie mego prawego ramienia.

Cofnąłem się przed wypadem. Te rzeczy następują tak szybko, że kiedy potem starasz się przypomnieć sobie przebieg walki, mieszasz ataki i riposty, ale dojrzałem błysk w oku przeciwnika, zrozumiałem, że jego miecz zdoła tylko pchnąć, i przesunąłem się dokładnie w tej chwili, w której rzucił się do przodu. Udałem, że nie jestem zaskoczony szybkością ataku, a gdy uznałem, że musi być wytracony z równowagi, warknąłem i wyprowadziłem cięcie, które z powodzeniem wypatroszyłoby wołu.

Odskoczył, bynajmniej nie straciwszy równowagi, i rozłożył szeroko ramiona, tak że ostrze Hywelbane'a zatoczyło nieszkodliwy półokrąg sześć cali od jego brzucha. Czekał na następny cios, ale ja, zamiast go zadać, czekałem na jego inicjatywę. Wrzeszczano na nas, pragnąc krwi, ale te krzyki nie docierały do mnie. Nie spuszczałem wzroku ze spokojnych szarych oczu Liofy. Uniósł miecz, błyskawicznym ruchem dotknął mojego ostrza i zadał cios.

Sparowałem go z łatwością, a potem zripostowałem następne uderzenie, które nastąpiło tak naturalnie jak dzień po nocy. Brzęk mieczy był głośny, lecz czułem, że w ciosach Liofy nie ma prawdziwego wysiłku. Prowadził ze mną walkę, której mogłem się spodziewać, lecz także oceniał mnie, gdy nacierał cios za ciosem. Parowałem je, wyczuwając, kiedy nabrały prawdziwej mocy, i właśnie gdy oczekiwałem, że pójdzie na całość, wstrzymał cios, wyrzucił miecz w powietrze, przechwycił go lewą dłonią i ciął z góry w dół, mierząc w moją głowę. Uczynił to z szybkością atakującego węża.

Hywelbane wychwycił to cięcie. Nie wiem, jak tego dokonał. Parowałem cios w bok i nagle nie było tam miecza, a śmierć zawisła nade mną, jednakże moje ostrze znalazło się tam, gdzie być powinno, i lżejszy miecz przeciwnika ześlizgnął się do jelca Hywelbane'a. Spróbowałem przejść od obrony do kontrataku, ale ripoście zabrakło siły i Liofa łatwo oderwał się ode mnie. Nie przestawałem nacierać, tnąc tak jak on, tyle że z większą siłą, tak że każdy z moich ciosów wyprułby mu bebechy, a szybkość i siła moich ataków nie dała mu wyboru i musiał rejterować. Bronił się z łatwością równą mojej, ale w gruncie rzeczy nie stawiał mi oporu. Pozwalał mi tłuc mieczem, a sam nie tyle się bronił, co unikał ciosu, stale się cofając. Chciał, żebym wyczerpał siły, siekąc powietrze, zamiast kości i mięśni. Zadałem

ostatni potężny cios, zatrzymałem ostrze w połowie drogi, wykręciłem nadgarstek i pchnąłem w brzuch.

Wyszedł swoim mieczem na spotkanie mojego, a potem zaatakował, robiąc krok w bok. Zrobiłem równie szybki unik, tak że obaj chybiliśmy. Zderzyliśmy się jeno pierś w pierś, tak że poczułem jego oddech, lekką woń piwa, ale z pewnością nie był pijany. Zamarł na moment, a potem dwornie wyprostował w bok zbrojne ramię, patrząc na mnie pytająco, jakby sugerował, że powinniśmy się rozdzielić. Skinąłem głową, obaj cofnęliśmy się, trzymając miecze daleko od ciała, podczas gdy tłum rozprawiał z podnieceniem. Wiedzieli, że są widzami rzadkiej walki. Liofa był tu sławą i śmiał twierdzić, że moje imię nie było nieznane, ale zdawałem sobie sprawę, że zapewne jestem bez szans. Jeśli można by powiedzieć, że mam jakieś umiejętności, to były to umiejętności żołnierza. Umiałem przełamywać zwarty szyk wroga, umiałem posługiwać się włócznią i tarczą czy też mieczem i tarczą, ale mój przeciwnik, Cerdykowy czempion, potrafił tylko jedno - pojedynkować się na miecze. Był zabójczy.

Wycofaliśmy się na sześć czy siedem kroków, a potem Liofa wyskoczył do przodu, lekki jak piórko, i zadał szybkie cięcie. Wziąłem twardą zasłonę i widziałem, że przeciwnik, wracając na pozycję wyjściową, wzdryga się po solidnym bloku. Byłem szybszy, niż się spodziewałem, a może to on poruszał się wolniej niż zwykle, ponieważ nawet skromna miarka piwa spowolnia ruchy. Niektórzy mężowie walczą tylko pijani, ale najdłuższe życie jest sądzone tym, którzy stają do walki trzeźwi.

Tamto wzdrygnięcie zastanowiło mnie. Mój przeciwnik nie został ranny, ale wyraźnie przysparzałem mu zmartwień. Zadałem cios, Liofa odskoczył i jego unik również skłonił mnie do zastanowienia się. Co spowodowało wzdrygnięcie? Wtem uświadomiłem sobie słabość jego zasłony i zdałem sobie sprawę, że nie waży się ryzykować zderzenia swojego miecza z moim, bo jego jest zbyt lekki. Gdybym uderzył z całą mocą, wtedy niewątpliwie pękłby, ponowiłem więc cios, tyle że teraz nie poprzestałem na jednym, siekłem raz za razem i lżyłem przeciwnika, kiedy nacierałem na niego krok za krokiem. Wzywałem powietrze, ogień i morze, by odwróciły się od niego. Wyklinałem kobiety Liota, pląłem na jego grób i na sobaczy grób, w którym złożono jego matkę, a on przez ten cały czas nie odpowiadał słówkiem, tylko brał zasłony, robił uniki i nieustannie się cofał, a blade oczy nie schodziły ze mnie ani na chwilę.

Wtem pośliznął się. Prawa stopa pojechała na kupce sitowia i noga ugięła się. Padł na plecy, lewą ręką szukając oparcia, a ja rykiem zapowiedziałem jego śmierć i wzniosłem wysoko Hywelbane'a.

Po czym cofnąłem się, nawet nie próbując zadać ostatecznego ciosu.

Bors ostrzegł mnie przed tym, co nastąpiło, i nie byłem zaskoczony przebiegiem wydarzeń. Był to cudny widok i niemal zostałem oszukany, bo przysięgłbym, że poślizgnięcie było przypadkiem, ale Liofa był w równej mierze akrobatą, co mistrzem miecza, i pozorna niezborność członków przeszła w nagły płynny ruch, który sprawił, że miecz ze świstem pomknął tam, gdzie powinny znaleźć się moje nogi. Nadal słyszę syk wąskiego długiego ostrza, kiedy sunie kilka cali nad sitowiem zalegającym posadzkę. Ostrze miecza przeciwnika powinno wciąć się w moje łydki, uczynić mnie kaleką, tyle że mnie nie było już tam, gdzie Liota mnie szukał.

Po tym, jak się wycofałem, spozierałem nań ze spokojem. Odpowiedział mi spojrzeniem pełnym jadu.

- Powstań, Liofo - rzekłem, a mój głos nie drżał, wyjawiając, iż wcześniejsza wściekłość była udawana.

Chyba wtedy pojął wreszcie, że jestem naprawdę niebezpieczny. Zamrugał kilka razy i zdałem sobie sprawę, że gdy już użył wobec mnie swoich najświetniejszych sztuczek, a żadna nie poskutkowała, jego pewność siebie osłabła. Nie stracił jednak swych umiejętności i zaatakował z całą mocą i szybkością, spychając mnie serią krótkich ataków - szybkich pchnięć i nagłych uderzeń biegnących równoległe do posadzki. Tych ostatnich nie parowałem, podczas gdy przed wszystkimi innymi broniłem się, jak umiałem najlepiej, zbijając je i usiłując wytrącić przeciwnika z rytmu, ale przynajmniej jedno cięcie doszło celu. Przyjąłem je na lewe przedramię i skórzany rękaw złagodził zapędy miecza, chociaż potem niemal miesiąc miałem siniaka. Tłum westchnął. Przyglądał się walce z zapartym tchem i nie mógł się doczekać pierwszej krwi. Liofa przejechał mi ostrzem po ramieniu, starając się przeciąć skórę i dojść do kości, ale odsunąłem się, zadałem pchnięcie i przeciwnik odstepił.

Czekał na dalszy ciąg ataku, ale teraz przyszła kolej na moje sztuczki. Celowo nie ruszyłem na niego, ale opuściłem miecz o kilka cali i ciężko sapałem. Potrząsnąłem głową, odrzucając spoczone włosy z czoła. Przy wielkim palenisku było gorąco. Liofa przyglądał mi się uważnie. Widział, że się zasapałem, widział, że mój miecz chyboce się, opadając, ale to nie ryzykant zabił czterdziestu ośmiu mężów. Zadał mi jedno z tych swoich szybkich cięć, sprawdzając, czy zareaguję na czas. To było krótkie cięcie, wymagające osłony, ale można by je porównać do ciosu topora, który wżera się w ciało. Sparowałem je z opóźnieniem - celowym - i pozwoliłem, by sztych miecza Liofy uderzył mnie w ramię, podczas gdy Hywelbane stuknął dźwięcznie o część jego głowni blisko jelca. Stęknąłem, zamarkowałem mylący cios okrężny, po czym cofnąłem miecz, kiedy Liofa zrobił łatwy unik.

Znów czekałem. Zadał pchnięcie. Odrzuciłem jego miecz, ale tym razem nie wyprowadziłem kontrataku. Tłum ucichł, wyczuwając, że walka ma się ku końcowi. Liofa spróbował następnego pchnięcia i znów wziąłem zasłonę. Preferował je, bo nie narażały jego cennej główki, ale wiedziałem, że jeśli będę udanie parował te szybkie zjadliwe ukłucia, to on zabije mnie starym sposobem. Zadał na próbę jeszcze dwa pchnięcia i pierwsze odbiłem niezdarnie, przed drugim wycofałem się, a potem otarłem oczy rękawem, jakby kłuł je pot.

Wtedy uderzył z całej mocy. Po raz pierwszy wydał głośny krzyk, gdy wzniosłszy nad głowę ostrze, zadał potężne uderzenie, celując po skosie w moją szyję. Sparowałem je z łatwością, ale zachwiałem się przy tym, a gdy opuściłem nieco Hywelbane'a, uczynił to, czego oczekiwałem.

Powtórzył uderzenie, wkładając w nie całą siłę. Zrobił to szybko i udatnie, ale znałem teraz jego szybkość i już wznosiłem Hywelbane'a, parując cios równie szybkim przeciwuderzeniem. Trzymałem rękojeść oburącz i włożyłem całą moc w ten ruch, skierowany ku górze, mierząc nie w Liofę, ale w główkę jego miecza.

Dwa ostrza zderzyły się pod kątem prostym.

Tyle że tym razem ich zetknięciu nie towarzyszył brzęk, ale trzask.

Albowiem główka Liofy została złamana. Pękła w odległości jednej trzeciej od jelca, lecąc między sitowie, tak że mojemu przeciwnikowi został w ręce jeno ułomek. Przez chwilę tak krótką, jak trwa uderzenie serca, zdawało się, że kusi go zaatakować tym szczątkiem oręża, ale zadałem dwa szybkie cięcia, które zepchnęły go w tył. Teraz wiedział, że daleko mi do zmęczenia. Zrozumiał też, że jest już trupem, ale nadal usiłował parować ciosy zlaną bronią, jednak Hywelbane odrzucił kikut miecza i zadałem pchnięcie.

Zatrzymałem ostrze przy srebrnym torques Liofy.

- Panie królu...! - zawołałem, lecz nie odrywałem oczu od twarzy przeciwnika. W sali było cicho jak makiem zasiał. Sasi ujrzeli klęskę swego czempiona i odebrało im mowę. - Panie królu! - zawołałem powtórnie.

- Tak, panie Derflu? - rzekł Aelle.

- Wedle waszej woli miałem walczyć z czempionem króla Cerdyka, ale nie miałem go zabić. Proszę was o jego życie.

Aelle pomilczał chwilę, po czym rzekł:

- Jego życie jest twoje, Derflu.

- Poddajesz się? - spytałem Liofę.

Zrazu nie odpowiedział. Jego duma nadal szukała zwycięstwa, ale gdy się wahał, przesunąłem ostrze Hywelbane'a od szyi ku policzkowi.

- No? - nacisnąłem go.

- Poddaję się - wymamrotał i odrzucił ułomek miecza.

Przycisnąłem Hywelbane'a na tyle mocno, że oderwał od policzka kawałek skóry i ciała.

- Ta blizna, Liofo, będzie ci przypominać, że walczyłeś ze szlachetnym Derflem Cardanem, synem Aelle'a, i że przegrałeś - oświadczyłem.

Krew oblała mu policzek. Rozległy się wiwaty. Wojowie to dziwne stworzenia, przed chwilą ujadali o moją krew, teraz wznosili wiwaty, bo oszczędziłem ich czempiona. Przypiąłem z powrotem broszę Ceinwyn, sięgnąłem po tarczę i spojrzałem na mego ojca.

- Przynoszę wam pozdrowienia od Erce, panie królu - rzekłem.

- Przyjmuję je z radością, szlachetny Derflu - odparł.

Wskazał mi stolec po swojej lewej ręce, zwolniony przez jednego z jego synów, i tak dołączyłem do wrogów Artura przy ich honorowym stole. I ucztowałem.

Pod koniec uczyty Aelle zabrał mnie do swojej komnaty, za podwyższenie. Była wielka, o wysokiej belkowanej powale, z paleniskiem płonącym pośrodku i leżem z futer, rzuconych pod ścianą szczytową. Zamknął drzwi, rozstawiwszy pod nimi strażę, a potem wskazał mi, że mam usiąść na drewnianej skrzyni przy ścianie, podczas gdy sam podszedł do najdalszego kąta, opuścił gacie i wysikał się do dziury w klepisku.

- Szybki ten Liofa - rzekł, szczając.

- Bardzo.

- Myślałem, że cię pobije.

- Nie dość szybki, lecz może piwo odebrało mu zręczność - zauważyłem. - Teraz naplujcie, panie.

- Na co? - spytał władczo mój ojciec.

- Na urynę. Żeby zapobiec nieszczęściu.

- Moi bogowie nie przejmują się szczochami ani śliną, Derflu - rzekł rozbawiony. Zaprosił był dwóch synów do izby, Hrothgara i Cyrninga. Przyglądali mi się z ciekawością. - Więc jaką to wiadomość przysyła Artur? - spytał srogim tonem.

- Czemu miałby w ogóle jakąś przysyłać?

- Bo w innym razie by cię tu nie było. Myślisz, chłopcze, że spłodził cię głupiec? No, czego chce Artur? Nie, nie mów mi, niech zgadnę. - Zawiązał sznurkowy pas na kraciastych spodniach i zajął miejsce na jedynym siedzisku w pokoju, rzymskim krześle z czarnego drewna, inkrustowanym kością słoniową, chociaż większość jej wykruszyła się. - Oferuje mi pokój, jeśli w przyszłym roku zaatakuję Cerdyka, czy tak?

- Tak, panie.

- Odpowiedź brzmi: nie! - zahuczał. - Ten mąż proponuje mi to, co już jest moje. Cóż to za oferta?

- Wiecznego pokoju, panie królu.

Aelle uśmiechnął się.

- Kiedy mąż oferuje coś na wieczność, igra z prawdą. Nic nie jest na wieczność, nic. Powiedz Arturowi, że w przyszłym roku moje włócznie pomaszerują z Cerdykiem. - Wybuchnął śmiechem. - Zmarnowałeś swój czas, Derflu, ale miło, że przybyłeś. Jutro porozmawiamy o Erce. Chcesz niewiasty na noc?

- Nie, panie królu.

- Twoja księżniczka nigdy się o tym nie dowie - droczył się ze mną.

- Nie, panie królu.

- I on nazywa się moim synem! - Aelle śmiał się, a jego synowie wraz z nim. Obaj byli wysocy i chociaż włosy mieli ciemniejsze niż ja, to pewnie byli do mnie podobni. Ani chybi znaleźli się w tej komnacie, by wysłuchawszy rozmowę, przekazać jednoznaczną odmowę Aelle'a innym saskim wodzom. - Możesz lec na noc za drzwiami - powiedział mój ojciec, dając synom znak, że mają opuścić izbę. - Będziesz tam bezpieczny. - Odczekał, aż Hrothgar i Cyrning wyjdą, po czym zatrzymał mnie gestem. - Jutro - odezwał się cichszym głosem - Cerdyk pojedzie do domu i zabierze ze sobą Lancelota. To, że ostawiłem cię przy życiu, obudzi podejrzenia Cerdyka, ale ani mnie one ziębią, ani grzeją. Porozmawiamy jutro, Derflu, i przekażę dłuższą odpowiedź Arturowi. Nie będzie to odpowiedź, jakiej pragnie, ale być można taka, że zdoła z nią żyć. Idź teraz, nie będę tu sam.

Spąłem w wąskim przejściu między podwyższeniem sali a drzwiami komnaty ojca. W nocy jakaś dziewczka prześlizgnęła się obok mnie, w drodze do loża Aelle'a, podczas gdy w sali wojowie śpiewali, tłukli się i w końcu zasnęli, chociaż nim ostatni zaczął chrapać, wstał już brzask. Wtedy to usłyszałem koguty piejące na wzgórzu Thunreslea i przypasałem Hywelbane'a, włożyłem oponcę, wziąłem tarczę i minąwszy stygnący żar palenisk, wyszedłem na ostre powietrze. Mgła lgnęła do górnych warstw płaskowyżu, gęstniejąc tam, gdzie ziemia opadała ku delcie Tamizy. Udałem się z dworu na krawędź wzgórza i poglądałem na biel nad rzeką.

- Mój król - rozległ się za mną czyjś głos - rozkazał mi cię zabić, jeśli znalazłbym cię samego.

Odwróciwszy się, ujrzałem Borsę, Lancelotowego kuzyna i czempiona.

- Winienem ci podziękowanie - rzekłem.

- Za ostrzeżenie przed Liofą? - Bors wzruszył ramionami, jakby był to drobiazg. - Szybki jest, nieprawdaż? Szybki i zabójczy. - Stał obok mnie, ugryzł jabłko i uznawszy, że jest zbyt miękkie, cisnął je na ziemię. Był to kolejny potężny woj, pobliźniony czarnobrody włócznik, który stał w zbyt wielu murach tarcz i widział zbyt wielu przyjaciół oddających życie, aby mogło mu się to podobać. Beknął głośno. - Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby walczyć dla mego kuzyna o tron Dumnonii - powiedział. - Ale nie mam zamiaru bić się dla Sasów. I nie miałem zamiaru patrzeć, jak tracisz życie ku uciesze Cerdyka.

- Lecz w przyszłym roku, panie, będziesz dla niego walczył.

- Doprawdy? - Wydawał się rozbawiony. - Nie wiem, co będę czynił następnego roku, Derflu. Może odpłynę do Lyonesse? Powiadają, że są tam najgładsze białogłowy na świecie całym. Mają srebrne włosy, złote ciała i są pozbawione języków. - Zaśmiał się, po czym wyjął z torby u pasa kolejne jabłko i przetarł je o rękaw. - Mój król - miał na myśli Lancelota - będzie walczył dla Cerdyka, ale jaki pozostaje mu wybór? Artur nie przywitałby go z radością.

Zdałem sobie sprawę z tego, co Bors daje mi do zrozumienia.

- Mój pan, Artur - baczyłem na każde słowo - nie jest z tobą w sporze.

- Ani ja z nim - rzekł Bors z ustami pełnymi soczystego mięszu. - Więc może spotkamy się znów, panie Derflu. Wielka szkoda, że nie udało mi się ciebie znaleźć dzisiejszego ranka. Mój król wynagrodziłby mnie hojnie, gdybym cię zabił. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i poszedł.

Dwie godziny później przyglądałem się, jak Bors odjeżdża z Cerdykiem w dolinę, tam gdzie rzednąca mgła czepiała się czerwonych liści drzew. Setka wojów oddalała się z Cerdykiem, większość z nich cierpiąca po wieczornej uczcie, tak jak żołnierze Aelle'a, eskorta odjeżdżających gości. Jechałem za Aelle'em, którego konia prowadzono za uzdę, podczas gdy jego pan kroczył obok króla Cerdyka i Lancelota. Za nimi szli dwaj chorążowie; jeden niósł na kiju zbryzganą posoką czaszkę byka, znak Aelle'a, a drugi pomalowany na czerwono łeb wilka - znak Cerdyka - i skórę zdjętą z zabitego męża. Lancelot udawał, że mnie nie widzi. Rano, gdy nieoczekiwanie spotkaliśmy się w dworze, tylko na mnie spojrzał, jakbym był powietrzem, a ja zupełnie się tym nie przejąłem. Jego ludzie zamordowali moją najmłodszą córkę i chociaż ich zabiłem, nadal chciałem pomścić duszę Dian, ale dwór Aelle'a nie był miejscem ku temu. Teraz przyglądałem się z trawiastego urwiska nad mulistymi brzegami Tamizy, jak Lancelot i kilku z jego świty idzie do czekających łodzi Cerdyka.

Tylko Amhar i Loholt ośmielili się zachować wyzywająco wobec mnie. Bliźniacy byli ponurymi młodzianami, nienawidzili ojca i nie cierpieli matki. Wedle swego mniemania, byli



książętami, lecz Artur, gardzący tytułami, odmówił im tego zaszczytu, co tylko dołało oliwy do ognia ich nienawiści i poczucia krzywdy. Uważali, że ukradziono im królewski status, ziemię, sławę i honor, i byli gotowi walczyć u boku każdego, kto starał się pognać Artura, którego obwiniali za wszystkie swoje nieszczęścia. Kikut prawej ręki Loholta okrywała srebrna rękawica, zaopatrzona w niedźwiedzie pazury. I to właśnie Loholt zawrócił do mnie:

- Spotkamy się w przyszłym roku.

Wiedziałem, że marzy o walce ze mną, ale zachowałem spokój w głosie.

- Będę niecierpliwie wypatrywał tego spotkania.

Uniósł zakończony srebrem kikut, przypominając mi, jak trzymałem to ramię, kiedy jego ojciec użył Excalibura.

- Jesteś mi winien rękę, Derflu.

Nic nie odrzekłem. Amhar pojawił się u boku brata. Obaj mieli, jak ojciec, kościste twarze i wystające szczęki, ale podłość tam wymalowana odebrała im siłę wyrazu Artura. Wyglądali jak para przebiegłych basiorów.

- Słyszałeś mnie, Derflu? - szczechnął podniesionym głosem Loholt.

- Ciesz się, że masz jeszcze jedną - odparłem. - A co do mojego długu, Loholcie, to zapłacę ci Hywelbane'em.

Zawahali się, ale nie byli pewni, czy straż Cerdyka poprze ich, jeśli dobędą mieczy, więc w końcu zadowolili się splunięciem w moim kierunku, zanim zawrócili i truchtem pobiegli plażą do miejsca, w którym czekały dwie łodzie Cerdyka.

Brzeg poniżej Thunreslea był żalonym miejscem, w połowie lądem, w połowie morzem, tam gdzie rzeka i morze, spotkawszy się, płodzili nudny krajobraz mulistych brzegów, mielizn i krętych zatoczek. Mewy darły się, gdy włócznie Cerdyka brodzili w zapadającym się gruncie, brnąc w płytkiej zatoczce, i wdrapywali się przez burty wiosłowo-żaglowych łodzi. Widziałem, jak delikatny Lancelot unosi rąbek płaszcza, szukając drogi pośród cuchnącego mułu. Loholt i Amhar leżeli za nim i kiedy tylko dotarli do swojego barkasa, wskazali mnie palcami, na zły urok. Zignorowałem ich. Żagle już postawiono, ale wiatr był lekki i dwa wysokodziobe barkasy wypływały na wiosłach. Kiedy tylko wilcze paszcze na dziobach spojrzały ku otwartym wodom, woje wiosłarze podjęli śpiewkę, która nadawała rytm pociągnięciom wiosła.

- Hwaet twojej matce - śpiewali - hwaet twojej dziewczce i hwaet twojej kochance, którą hwaet na podłodze! - Z każdym hwaet darli się coraz głośniej. Ciągnęli wiosłami, a dwie długie łodzie płynęły szybciej i szybciej, a mgła osiadała na żaglach, pyszniących się niezdarnymi malunkami wilczych czaszek. - Hwaet twojej matce - zaśpiewali znów, tyle że

mgła przygłuszała ich głosy - hwaet twojej dziewce - a niskie kadłuby znikwały w bielejącym powietrzu - i hwaet twojej kochance, którą hwaet na podłodze... - Dźwięk dobiegał jakby znikąd, a potem rozplynął się w plusku wioseł.

Dwaj ludzie Aelle'a podsadzili swojego pana na konia.

- Wypałeś się? - spytał, moszcząc tyłek na siodle.

- Tak, panie królu.

- Ja miałem lepsze rzeczy do roboty - powiedział krótko. - Pójdź za mną.

Spiął konia piętami i poprowadził go brzegiem, gdzie woda pienila się i syczała w miarę odpływu. Tego dnia Aelle przybrał się na cześć odjeżdżających gości w królewski strój. Żelazny hełm był ozdobiony złotem i zwieńczony czarnym pióropuszem, skórzany napierśnik i wysokie buty były farbowane na czarno, podczas gdy z ramion spadała mu tak długa i obszerna niedźwiedzia szuba, że koń wyglądał przy niej na kuca. Towarzyszyło nam kilkunastu konnych, z których jeden dźwigał godło - byczą czaszkę. Aelle marnie trzymał się w siodle, podobnie jak i ja.

- Wiedziałem, że Artur cię pośle - rzekł nagle, a kiedy nic nie powiedziałem, odwrócił się do mnie. - Więc znalazłeś swoją matkę?

- Tak, panie królu.

- Jak się miewa?

- Jest stara - rzekłem zgodnie z prawdą. - Stara, tłusta i chora.

Westchnął na te wieści.

- Na początku widzimy młode dziewczeczki, tak cudne, że potrafią złamać serca całej armii, a potem, jak powiją kilkoro dzieciaków, wszystkie są stare, tłuste i chore. - Zamyślił się nad tym. - Ale jakoś mi się zdawało, że z Erce nigdy tak nie będzie. Była bardzo piękna - rzekł pełen smutnej zadumy, ale po chwili rozchmurzył się i uśmiechnął szeroko. - Ale dzięki bogom na młódkach nam nie zbywa, he? - Roześmiał się hucznie i zmierzył mnie wzrokiem. - Kiedy pierwszy raz wspomniałeś o matce, wiedziałem, że mam przed sobą mojego syna. - Po chwili milczenia dodał: - Pierworodnego syna.

- Pierworodnego bękarta - poprawiłem go.

- I co z tego? Więzy krwi to więzy krwi, Derflu.

- I jestem dumny, że w moich żyłach płynie wasza krew, panie królu.

- I powinieneś być z tego dumny, chłopcze, chociaż należysz w tym względzie do sporej gromadki. Hojnie siałem swe nasienie. - Zachichotał pod nosem, po czym skierował konia ku brzegowi i pogonił zwierzę w górę, tam gdzie na śliskim mule stała jego flotylla. - Popatrz na nie, Derflu! - rzekł, osadzając konia i wskazując na lodzie. - Popatrz na nie! Teraz

są bezużyteczne, ale prawie wszystkie przyplęły tu tego lata i każda pełna luda. - Spiał konia i jechaliśmy powoli wzdłuż szeregu pustych łodzi.

Było ich z osiemdziesiąt, a może dziewięćdziesiąt. Wszystkie o ostrej rufie, tak że mogły płynąć w obu kierunkach, piękne, ale zaniedbane. Pokłady zielone od szlamu, dna jak rzeszota, wręgi czarne od zgnilizny. Niektóre, te stojące tam pewnie ponad rok, zamieniły się w czarne szkielety.

- Trzy dwudziestki luda w jednej łodzi, Derflu - powiedział Aelle. - Przynajmniej trzy dwudziestki, a każdy przyplęw sprowadza kolejne. Teraz, kiedy sztormy smagają otwarte morze, nie przyplęwają, ale są budowane następne i przybędą wiosną. I nie tylko tu, Derflu, ale na całe wybrzeże! - Kolistym ruchem ręki objął wschodni brzeg Brytanii. - Łodzie a łodzie! Wszystkie pełne naszych ludzi, a każdy spragniony domu, ziemi. - Z ogniem wypowiedział ostatnie słowa, a potem zawrócił wierzchowca, nie czekając na odpowiedź. - Za mną! - krzyknął i podążyłem za nim, w bród zmierzwionej przyplęwem zatoczki, na zasłany drobnymi kamyczkami brzeg, a następnie między kępy zarośli, w górę wzgórza, na którym stało dworzyszczce.

Czekał na mnie na wzniesieniu, ściągnąwszy wodze zwierzęciu, i kiedy zatrzymałem się koło niego, bez słowa wskazał w dół, na rozległą kotlinę. Stała tam armia. Nie byłem w stanie jej policzyć, tak wielu mężów zgromadziło się w tym zagłębieniu, a wiedziałem, że to tylko część wojsk Aelle'a. Sascy wojowie stali w wielkim tłumie, a kiedy ujrzeli swego króla na horyzoncie, wydali potężny okrzyk i poczęli tłuc drzewcami włóczni o tarcze, tak że ten straszliwy grzechot wypełnił przestwór między ziemią a szarym niebem. Aelle uniósł trójpalczastą prawicę i zgiełk ucichł.

- Widzisz, Derflu? - spytał mnie.

- Widzę to, co postanowiliście mi ukazać, panie królu - odparłem wymijająco, wiedząc dokładnie, co dano mi do zrozumienia, pokazując długi szereg łodzi i masę zbrojnych mężów.

- Jestem teraz silny, a Artur słaby - rzekł. - Czy potrafi zwołać pod swój znak choćby pięć setek wojowników? Wątpię. Włócznicy z Powys przybędą mu z pomocą, lecz czy to wystarczy? Wątpię. Ja mam tysiąc wyćwiczonych włóczników, Derflu, i dwa razy więcej głodnych mężów, którzy nie poskapią swoich toporów, by zdobyć jard gruntu, o którym będą mogli rzec, że jest ich. A Cerdyk ma jeszcze więcej ludzi, dużo więcej, i potrzebuje ziemi jeszcze bardziej rozpaczliwie niż ja. Obaj potrzebujemy ziemi, Derflu, obaj bardzo potrzebujemy ziemi i Artur ją ma, a Artur jest słaby.

- Gwent ma tysiąc włóczników - powiedziałem. - Jeśli najedziecie Dumnonię, pośpiesz ją z pomocą. - Nie byłem tego pewien, lecz jeśli nawet tylko robiłem dobrą minę

do zlej gry, nie mogło to zaszkodzić sprawie Artura. - Gwent, Dumnonia i Powys, wszystkie krainy będą walczyć, a są i inni, którzy przybędą pod sztandar Artura. Będą się dla nas bić. Tarczownicy Czarni, włócznicy z Gwynedu i Elmetu, nawet z Rhygedu i Lothianu.

Aelle uśmiechnął się na te przechwałki.

- Nie zostałeś jeszcze oświecony jak należy, Derflu, więc chodź - powiedział i ruszył dalej, wciąż w górę, ale teraz ku wchodowi, gdzie rosła kępa drzew. Tam zsiadł z konia, gestem nakazał eskortie pozostać na miejscu i powiodł mnie wąską wilgotną ścieżyną ku polanie, na której stały dwa małe domy. Były to ledwie chatki, kryte strzechą, o niskich ścianach z nieokorowanych bali. - Widzisz? - Wskazał na ścianę szczytową bliższej chaty.

Splunąłem, by odpędzić złe duchy, wysoko na ścianie bowiem zatknięto drewniany krzyż. Tu, w pogańskiej Lloegyrii, ujrzałem coś najmniej oczekiwanego: chrześcijański chram. Druga chata, jeszcze niższa niż pierwsza, najwidoczniej służyła za domostwo kapłana, który wyczołgał się na powitanie przez niskie drzwi swojej sadyby. Miał tonsurę, czarną mnisią szatę i zmierzwioną rudą brodę. Poznał Aelle'a i skłonił się nisko.

- Chrześcijańskie pozdrowienie, panie królu! - zawołał nieporadnie po sasku.

- Skąd jesteś? - spytałem go w mowie Brytów.

Popatrzył na mnie zaskoczony, słysząc kogoś, kto przemawia w jego ojczystej mowie.

- Z Gobannium, panie - rzeki. Jego żona, umorusane błotem stworzenie, wypełzła z chaty i stanęła obok męża, mierząc nas niechętnym spojrzeniem.

- Co tu robisz? - pytałem go dalej.

- Pan Jezus Chrystus otworzył oczy króla Aelle'a, panie, i nakłonił nas, byśmy przynieśli wieść o Chrystusie ludowi króla - odparł. - Jestem tu z bratem Gorfyddem, by głosić dobrą nowinę Sasom.

Popatrzyłem na Aelle'a, a ten uśmiechał się chytrze.

- Misjonarze z Gwentu? - zapytałem.

- Marne stworzenia, nieprawdaż? - Król nakazał gestem mnichowi i jego żonie, by wrócili do chaty. - Lecz myślą, że odwiodą nas od wiary w Thunora i Seaxneta. A niech sobie myślą. Na razie.

- Bo król Meurig obiecał wam, królu, zawieszenie broni dopóty, dopóki pozwalacie jego kapłanom przebywać wśród waszego ludu? - domyśliłem się.

Aelle roześmiał się.

- Głupiec z tego Meuriga. Bardziej dba o dusze swego ludu niż o bezpieczeństwo swojej ziemi, a dwaj kapłani to niska cena za bezczynność tysiąca włóczników Gwentu, podczas gdy my zajmujemy Dumnonię. - Objął mnie ramieniem i powiodł z powrotem do

koni. - Widzisz, Derflu? Gwent nie będzie walczył, nie wtedy, gdy ich król wierzy, że jego religia może rozpowszechnić się wśród mego ludu.

- A rozpowszechnia się?

Parsknął z pogardą.

- Pośród garstki niewolników i niewiast, ale szczupłej garstki, i nie przyjmie jej wielu. Już ja o to zadbam. Widziałem, ile złego ta religia narobiła w Dumnonii, i nie pozwolę na to samo tutaj. Nam wystarczą starzy bogowie, Derflu, więc po co nam nowi? To połowa kłopotów z Brytami. Utracili swoich bogów.

- Nie Merlin - rzekłem.

Te słowa skruszyły pewność siebie Aelle'a. Zawrócił w cieniu drzew, okazując niepokój. Zawsze lękał się Merlina.

- Słyszałem dziwne opowieści - rzekł z wahaniem.

- O Skarbach Brytanii - powiedziałem.

- Co to ma być? - spytał władczo.

- Nic wielkiego, panie królu - rzekłem szczerze. - Zbieranina podniszczonych staroci.

Jeno dwie mają prawdziwą wartość: Miecz i Kocioł.

- Widziałeś je? - spytał z naciskiem.

- Tak.

- Jaką mają moc sprawczą?

Wzruszyłem ramionami.

- Nikt nie wie. Artur jest przekonany, że żadną, lecz Merlin twierdzi, że rozkazują bogom i że jeśli dokona właściwych czarów we właściwym czasie, starzy bogowie Brytanii stawią się na jego zawołanie.

- I rzuci tych bogów przeciwko nam?

- Tak, panie królu - powiedziałem i miało to nastąpić niebawem, ale tego nie powiedziałem ojcu.

Aelle zmarszczył czoło.

- My też mamy bogów.

- W takim razie wezwij ich, panie królu. Niech bogowie walczą z bogami.

- Bogowie to głupcy, chłopcze - warknął. - Czemu mieliby walczyć, kiedy ludzie mogą pozarzynać się za nich? - Ruszył w dalszą drogę. - Jestem już stary i przez wszystkie moje lata nigdy nie ujrzałem bogów. Wierzmy w nich, ale czy ich obchodzimy? - Popatrzył na mnie z troską. - Ty wierzysz w te skarby?

- Wierzę w potęgę Merlina, panie królu.

- Ale bogowie chodzący po ziemi...? - Zastanawiał się nad tym chwilę, po czym pokręcił głową. - A jeśli by wasi bogowie mieli się zjawić, czemu nasi nie mieliby też przybyć, żeby nas strzec? Nawet ty, Derflu, przekonałbyś się, jak trudno odeprzeć ciosy młota Thunora - dodał sarkastycznie i wyprowadził mnie pomiędzy drzew na miejsce, w którym znalazły się eskorta i nasze konie. - Przejdźmy się i opowiem ci wszystko o Dumnonii.

- O Dumnonii wiem, co trzeba, panie królu.

- W takim razie wiesz, że jej król jest głupcem i że jej władca nie chce być królem, a nawet... jak wy go nazywacie... kajzerem?

- Imperatorem.

- Imperatorem - powtórzył szyderczym tonem. Powiódł mnie ścieżką wzdłuż lasu. Poza nami nie widać było żywej duszy. Po lewej grunt opadał do zamglonego ujścia rzeki, na północy ciemniały wilgotne knieje. - Wasi chrześcijanie burzą się - podsumowywał swoją ocenę. - Wasz król jest kalekim durniem, a przywódca nie chce ukraść tronu durniowi. Za jakiś czas, Derflu, i to raczej wcześniej niż później, inny mąż zapragnie tego tronu. Lancelot prawie go miał, a lepszy mąż niż Lancelot posiada go wkrótce... - Urwał, zmarszczył brwi. - Czemu Ginewra rozwarła przed nim nogi? - spytał.

- Bo Artur nie zamierza zostać królem - rzekłem ponuro.

- W takim razie jest głupcem. A przyszłego roku będzie martwym głupcem, chyba że zaakceptuje pewną propozycję.

- Jaką propozycję, panie królu? - spytałem, przystając pod roslym czerwonym bukiem. Zatrzymał się i położył mi ręce na ramionach.

- Powiedz Arturowi, żeby dał ci tron, Derflu.

Wbiłem wzrok w oczy ojca. Przez krótką chwilę myślałem, że kpi, ale ujrzałem, iż mówi jak najszczerzej.

- Mnie? - spytałem, zdumiony.

- Tobie, a ty przysięgniesz mi wierność - powiedział Aelle. - Zażądam od ciebie ziemi, ale możesz powiedzieć Arturowi, by dał ci tron, i możesz rządzić Dumnonią. Moi ludzie osiedlą się tam i będą uprawiać ziemię, a ty będziesz nimi rządzić jako król, choć mój wasal. Utworzymy federację, ty i ja. Ojciec i syn. Ty będziesz rządził Dumnonią, a ja będą rządził Anglolandem.

- Anglolandem? - powtórzyłem, jako że to słowo było dla mnie nowe.

Cofnął dłonie i wskazał okolice.

- Oto on! Wy zwiecie nas „Sasami”, lecz ty i ja jesteśmy Anglami. Cerdyk jest Sasem, ale ty i ja jesteśmy Anglami i nasz kraj to Angloland. Anglia! - powiedział z dumą, rozglądając się z tego mokrego wzgórzka.

- A co z Cerdykiem? - spytałem.

- Zabijemy go, ty i ja - rzekł z zupełną szczerością, a potem pociągnął mnie za ramię i ruszyliśmy znów, tyle że tym razem zaprowadził mnie na trakt między drzewami, gdzie świnie ryły ziemię, szukając orzeszków bukowych między świeżo spadłymi liśćmi. - Powiedz Arturowi, co zamysłam. Powiedz mu, że jeśli chce, może mieć tron przed tobą, ale bez względu na to, który z was go obejmie, uczyni to w moim imieniu.

- Powiem mu to, panie królu - rzekłem, chociaż wiedziałem, iż Artur wyśmieje tę propozycję. Myślę, że Aelle też to wiedział, ale nienawiść do Cerdyka popchnęła go do przedstawienia zamysłu. Wiedział, że nawet gdyby wraz z Cerdykiem opanowali całą południową Brytanię, wybuchnie kolejna wojna i ona dopiero zadecyduje, który z nich powinien być Bretwalda, co w ich języku znaczyło wielki król. - Mam rzec, iż Artur i wy razem zaatakujecie Cerdyka w przyszłym roku?

Aelle pokręcił przecząco głową.

- Cerdyk rozproszycił zbyt wiele złota wśród moich wodzów. Nie będą się z nim bić, bo oferuje im w nagrodę Dumnonię. Ale jeśli Artur da Dumnonię tobie, a ty dasz ją mnie, nie będą potrzebowali Cerdykowego złota. Przekaż to Arturowi.

- Uczynię to, panie królu - powtórzyłem, lecz i tak wiedziałem, że Artur nigdy nie przyjmie tej propozycji, bo to znaczyłoby złamanie przysięgi złożonej królowi Utherowi, zobowiązującej wynieść na tron Mordreda, a owa przysięga była fundamentem, na którym wspierało się całe życie Artura. W rzeczy samej tak mocno wierzyłem w jej niezłomność, iż mimo obietnicy złożonej Aelle'owi nie byłem nawet pewien, czy przekażę jego słowa Arturowi.

Aelle powiódł mnie na szerszą polanę, na której czekał mój koń i eskorta konnych włóczników. W środku polany był wielki nieobrobiony kamień wysokości rosnącego męza i chociaż daleko było mu do ociosanych głazów wiekowych świętych miejsc Dumnonii, a także płaskich otoczków, z których obwieszczaliśmy koronację naszych królów, było jasne, że to święty kamień, gdyż stał samotny w centrum trawiastego kręgu i żaden z saskich wojów nie śmiał się do niego przybliżyć, chociaż jeden z ich totemów, drewniany pal z niezdarną płaskorzeźbą wyobrażającą ludzkie oblicze, stał nieopodal w ziemi. Aelle podprowadził mnie ku głazowi, ale zatrzymał się nieco wcześniej i zanurzył dłoń w skórzanej torbie, wiszącej na

pasie podtrzymującym miecz. Wyjął małą sakiewkę; rozwiązał ją i wytrząsnął coś na dłoń. Podał mi owo coś i ujrzałem złoty pierścień z drobnym oszlifowanym agatem.

- Moim zamiarem było dać go twojej matce, ale Uther wcześniej pojmał ją w niewolę i od tamtej pory przechowywałem go - rzekł. - Masz go.

Wziąłem pierścień. Było to zwyczajne wsiowe świecidełko. Nie wyszło z rąk rzymskiego jubilera, ci bowiem tworzyli prawdziwe cuda, nie zrobili go też sascy złotnicy, bo ci z kolei lubowali się w ciężkiej biżuterii. Zapewne było to dzieło jakiegoś biednego Bryta, któremu głowę od szyi oddzieliło saskie ostrze. Sześcienny zielony kamyk był nawet krzywo osadzony, a przecie maluchne świecidełko miało w sobie dziwną, kruchą urodę.

- Nie zdołałem go dać twojej matce - ciągnął Aelle - a jeśli jest tłusta, to teraz nawet nie będzie mogła go włożyć. Więc podaruj go księżniczce Powys. Słyszę, że zacna z niej niewiasta?

- Tak, panie królu.

- Daj go jej i rzeknij, że jeśli nasze kraje poróżni wojna, to oszczędzę niewiastę noszącą ten pierścień, ją i jej rodzinę.

- Dzięki, panie królu - powiedziałem i wsadziłem pierścioneł do sakwy u pasa.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden, ostatni, podarunek - rzekł, położył mi dłoń na ramieniu i poprowadził mnie do kamienia.

Miałem wyrzuty sumienia, że nie przywiozłem mu niczego w darze. Lęk przed zjawieniem się w Lloegyrii wyparł mi z głowy wszelkie myśli o podarunkach, lecz Aelle nie zwrócił uwagi na to niedopatrzenie z mojej strony. Zatrzymał się przy głazie.

- Ten kamień niegdyś należał do Brytów i był dla nich święty. Jest w nim dziura, pojmujesz? Zbliź się do boku, chłopcze, popatrz.

Podszedłem tam i ujrzałem wielką czarną dziurę, sięgającą serca kamienia.

- Rozmawiałem kiedyś ze starym niewolnikiem, Brytem - mówił dalej Aelle. - Powiadał, iż przyłożywszy usta do tej dziury, możesz rozmawiać z umarłymi.

- Ale wy chyba nie wierzycie w to, panie? - spytałem, usłyszawszy kpiącą nutę w jego głosie.

- My wierzymy, że gadając do dziury, możemy rozmawiać z Thunorem, Wodenem i Seaxnetem, ale ty...? Może zdołasz przemówić do umarłych, Derflu. - Uśmiechnął się. - Spotkamy się jeszcze, chłopcze.

- Mam nadzieję, panie królu. - Przypomniałem sobie dziwaczną przepowiednię matki, że Aelle zginie z ręki własnego syna. Próbowałem pozbyć się tej myśli, nazywając ją



bredniami szalonej staruchy, ale bogowie często wybierają takie istoty na swoich heroldów. Nagle zabrakło mi języka w gębie.

Aelle uściskał mnie, rozgniatając moją twarz o kołnierz niedźwiedziej szuby.

- Czy twoja matka ma przed sobą długie życie? - spytał.

- Nie, panie królu.

- Pochowaj ją nogami ku północy. Taki jest zwyczaj naszego ludu. - Wziął mnie w ostatni uścisk. - Bezpiecznie dojedziesz do domu - rzekł i odstąpił ode mnie, dodając jeszcze ochryple: - Żeby pogadać z umarłymi, musisz obejść kamień trzy razy i uklęknąć przy dziurze. Prześlij mojej wnuczce całusy. - Uśmiechnął się, zadowolony, że zaskoczył mnie, ujawniając tak dokładną wiedzę o moim życiu, po czym odwrócił się i odszedł.

Czekająca eskorta przypatrywała się, kiedy obchodziłem kamień trzykrotnie, a potem ukląknęłam przy dziurze. Nagle wzięło mnie na płacz i głos uwiązł mi w gardle, kiedy wyszeptałem imię córki.

- Dian...? - zwróciłem się do serca kamienia - Dian, moje kochanie...? Czekaj na nas, moja droga, bo przybędziemy do ciebie. Dian.

Moja nieżywa córeczka, moja kochana Dian zamordowana przez ludzi Lancelota. Powiedziałem jej, że ją kochamy, posłałem jej całusa od Aelle'a, a potem wsparłem czoło o zimny kamień i wyobrażałem sobie jej zwiewny cień, samiuteńki w zaświatach. Merlin co prawda powiedział nam, że dziatwa bawi się radośnie pod jabłoniami Annwnu, ale mimo to płakałem, kiedy wyobraziłem sobie, że nagle słyszy mój głos. Czy podniosła oczy? Czy, jak ja, zapłakała?

Odjechałem. Trzy dni zajęło mi dotarcie do Dun Caric i wtedy dałem Ceinwyn złoty pierścionek. Zawsze lubiła proste ozdoby i to cacuszko zdołało ją o wiele lepiej niż niektóre wymyślne rzymskie kamienie. Nosiła go na małym palcu prawej dłoni, bo tylko tam pasował.

- Jednak wątpię, by uratował mi życie - powiedziała ze smutkiem.

- Czemu? - spytałem.

Uśmiechnęła się, podziwiając pierścionek.

- Kto z Sasów będzie tracił czas na szukanie pierścionka? Najpierw gwałć, potem splądruj, czy nie taka jest dewiza włóczników?

- Nie będzie cię tu, kiedy Sasi przybędą - powiedziałem. - Musisz wracać do Powys.

Pokręciła głową.

- Zostanę. Nie mogę zawsze uciekać do brata, kiedy nadciąga niebezpieczeństwo.

Nie poruszałem dalej tej sprawy, pozostawiając ją, aż przyjdzie czas, natomiast posłałem wieści do Durnovarii i Caer Cadarn, dając znać Arturowi, że wróciłem. Cztery dni

potem przybył do Dun Caric i przekazałem mu odmowę Aelle'a. Artur wzruszył ramionami, jakby nie spodziewał się niczego innego.

- Warto było spróbować - rzekł, zamykając temat.

Nie powiedziałem mu o ofercie Aelle'a pod moim adresem, bo w tym kwaśnym nastroju, w jakim się znajdował, gotów był pomyśleć, że mnie znęciła, i być może nigdy by już mi nie ufał. Nie powiedziałem mu też, że Lancelot był w Thunreslea, bo wiedziałem, że wstrętny jest mu nawet dźwięk imienia tamtego. Opowiedziałem mu natomiast o mnichu z Gwentu, na co się nachmurzył.

- Chyba muszę odwiedzić Meuriga - rzekł ponuro, wpatrując się w daleki pagór. - Czy wiedziałeś - zwrócił się do mnie oskarżycielskim tonem - że Excalibur jest jednym ze Skarbów Brytanii?

- Tak, panie - przyznałem. Merlin rzekł mi to dawno temu i musiałem mu przysiąc, że zachowam to w sekrecie, bo obawiał się, iż Artur jeszcze zniszczy miecz, żeby zademonstrować brak przesądów.

- Merlin zażądał jego zwrotu - powiedział. Zawsze wiedział, że to żądanie może paść, od tamtego dnia, w którym Merlin wręczył młodemu Arturowi czarodziejski miecz.

- Dacie mu go, panie? - spytałem z niepokojem.

Skrzywił się.

- Jeśli nie, Derflu, to czy wtedy zaprzestanie tych idiotyzmów?

- To nie idiotyzmy, panie - powiedziałem i na wspomnienie migotliwej dziewczeczki rzekłem sobie w duchu, że była ona zwiastunką cudownych zdarzeń.

Artur odpiął miecz z ozdobną pochwą.

- Zawieszysz mu go, Derflu - rzekł z niechęcią. - Zawieszysz mu go. - Wcisnął w moje dłonie cenną broń. - Ale powiedz Merlinowi, że chcę go mieć z powrotem.

- Powiem - obiecałem. Albowiem jeśli bogowie nie mieli zjawić się w wilię Samain, wtedy Excalibur miał zostać dobyty i użyty przeciwko Sasom.

Lecz święto Samain było już bardzo blisko i w tę noc umarłych bogowie mieli zostać wezwani. Następnego dnia zawiozłem Excalibura na południe, aby się to stało.

Mai Dun to potężne wzgórze na południe od Durnovarii i niegdyś wznosiła się na nim największa forteca całej Brytanii. Szerokie, rozległe zwieńczenie pagóra rozciąga się na wchód i zachód i dawni ludzie wzniesli wokół niego trzy krzepkie, stromo opadające ziemne wały. Nikt nie wie, kiedy to uczyniono ani jak, i niektórzy wierzą, że sami bogowie musieli je zbudować, bo potrójny szereg wałów wydaje się zbyt wysoki, a rowy między nimi zbyt głębokie na ludzkie możliwości, chociaż ani wysokość wałów, ani głębokość rowów nie uchroniły fortecy przed rzymskim atakiem i cały garnizon poszedł pod miecz. Od tamtych czasów Mai Dun świeci pustkami, wyjąwszy małą kamienną świątynię Mitry, zbudowaną przez zwyciężkich Rzymian na wschodnim krańcu płaskiego wierzchołka. Latem stara forteca prezentuje się okazale, owce pasą się na mocarnych wałach, motyle latają nad trawą, dzikim tymiankiem i storczykami, ale późną jesienią, kiedy noce zapadają wcześniej i zachodnie deszcze mkną przez Dumnonię, wierzchołek bywa lodowaty, nagi i wiatr przenika na nim do kości.

Główna droga na szczyt prowadzi przez zachodnią bramę, zbudowaną jak labirynt, i kopyta konia ślizgały się w błocie, kiedy wiozłem Excalibura Merlinowi. Razem ze mną wspinała się cizba. Niektórzy dźwigali na plecach wielkie wiązki drewna, inni nieśli bukłaki pitnej wody, podczas gdy skromna garstka popędzała woły ciągnące wielkie pnie lub też sanie załadowane ociosanymi konarami. Boki wołów spływały krwią, kiedy z trudem wciągały ładunki w górę stromej zdradzieckiej drogi. Wysoko, na zewnętrznym trawiastym wale, stała straż włóczników. Jej obecność potwierdzała to, co powiedziano mi w Durnovarii. Merlin zamknął Mai Dun przed wszystkimi, z wyjątkiem tych, którzy przybyli pracować.

Bramy strzegli dwaj irlandzcy wojownicy, Tarczownicy Czarni, najęci od Oengusa mac Airema, i zastanawiałem się, ile fortuny Merlina poszło na przygotowanie tego opuszczonego, zarosłego trawą fortu, by stał się godnym miejscem powitania bogów. Wojowie poznali, że nie jestem jednym z prostaczków trudzących się na Mai Dun, i przywitali mnie, schodząc po pochyłości.

- Jaka sprawa cię tu sprowadza, panie? - spytał z szacunkiem jeden z nich. Nie miałem na sobie zbroi, ale dźwigałem Hywelbane'a i już pochwa miecza świadczyła, że jestem kimś znacznym.

- Mam sprawę do Merlina - rzekłem.

Tarczownicy Czarni nie odstępili na bok.

- Wielu ludzi przybywa tu, panie, i twierdzi, że ma sprawę do Merlina. Ale czy szlachetny Merlin ma sprawę do nich?

- Powiedz mu, iż szlachetny Derfel przyniósł ostatni Skarb.

Staralem się nadać tym słowom stosowne ceremonialne brzmienie, ale to chyba nie zrobiło na wojach wrażenia. Młodszy udał się z wieścią, podczas gdy starszy gawędził ze mną. Jak większość włóczyków Oengusa robił wrażenie wesołego rozrabiaki. Tarczownicy Czarni pochodzą z Demetii, królestwa założonego przez Oengusa na zachodnim wybrzeżu Brytanii, ale chociaż byli najeźdźcami, nie budzili takiej nienawiści jak Sasi. Walczyli z nami, okradali nas, brali w niewolę, zabierali naszą ziemię, ale mówili językiem podobnym do naszego, ich bogowie byli naszymi bogami i kiedy Irlandczycy nie dawali nam łupnia, bez trudu mieszały się z rdzennymi Brytami. Niektórzy, jak sam Oengus, teraz wydawali się bardziej bryccy niż irlandzcy, bo ich rodzinną Irlandią, która zawsze szczyciła się tym, że nie uległa podbojowi rzymskiemu, teraz została podbita przez religię, którą sprowadzili Rzymianie. Irlandczycy zaadoptowali chrześcijaństwo, chociaż panowie z Zachodniego Morza, irlandzcy królowie pokroju Oengusa, który zdobył ziemię w Brytanii, nadal trzymali się swych starszych bogów i pomyślałem, że następnej wiosny, jeśli rytuały Merlina nie sprowadzą nam na pomoc bogów, Tarczownicy Czarni niewątpliwie będą walczyli za Brytanię przeciwko Sasom.

Nie kto inny, jak młody książę Gowen, schodził mi na spotkanie. Kroczył godnie w swoim pobielonym rynsztunku, chociaż utracił nieco ze swej wspaniałości, gdy poślizgnął się na błotnistej kępcie trawy i przejechał kilka jardów na tyłku.

- Panie Derflu! - zawołał, gdy podniósł się na nogi. - Panie Derflu! Chodź, chodź! Witamy! - Uśmiechnął się szeroko, kiedy się do niego zbliżałem. - Czyż to nie najbardziej ekscytująca rzecz na świecie?!

- Jeszcze nie wiem, książę.

- Triumf! - wykrzyknął z entuzjazmem, obchodząc uważnie błotnisty kawałek, na którym się poślizgnął. - Wielkie dzieło! Módlmy się, by nie poszło na marne.

- Cała Brytania się o to modli - powiedziałem. - Może z wyjątkiem chrześcijan.

- Za trzy dni, panie Derflu, nie będzie już chrześcijan w Brytanii, bo do tej pory wszyscy ujrzą prawdziwych bogów - zapewnił mnie. - Byle nie padał deszcz - dodał z niepokojem. Popatrzył na posępne chmury i nagle był bliski łez.

- Deszcz? - spytałem.

- A może to chmura odbierze nam bogów. Deszcz albo chmura, nie mam pewności, a Merlin jest niecierpliwy. Nie wyjaśnia, ale myślę, że nieprzyjacielem jest deszcz, a może chmura. - Umilkł, nadal pogrążony w żałości. - Może jedno i drugie. Pytałem Nimue, ale ona mnie nie lubi. - Wydawał się bardzo przygnębiony. - Tak więc nie jestem pewien i błagam

bogów o czyste niebiosa. A ostatnio było pochmurnie, bardzo pochmurnie, i podejrzewam, że chrześcijanie modlą się o deszcz. Czy naprawdę dostarczyłeś Excalibura?

Rozwinąłem płachtę okrywającą pochwę i podałem mu miecz, tak że mógł ująć go za rękojeść. Przez chwilę nie śmiał jej dotknąć, lecz wreszcie wyciągnął drżącą rękę i obnażył oręż. Z czcią chłonał wzrokiem głownię, a potem musnął ozdobne cyzelunki i smoki wytrawione w metalu.

- Wykuty w zaświatach przez samego Gofannona! - rzekł głosem pełnym podziwu.

- Pewnie w Irlandii - sprostowałem nielitościwie, albowiem coś w młodości i łatwowierności Gowena korciło mnie, by przekłuć rybi pęcherz tej pobożnej niewinności.

- Nie, panie - zapewnił mnie z przekonaniem. - Zrobiono go w zaświatach. - Wepchnął z powrotem Excalibura w moje dłonie. - Chodź, panie - rzekł, popędzając mnie, ale znów poślizgnął się w błocie i wymachiwał rękami, łapiąc równowagę. Jego biała zbroja, budząca z daleka taki podziw, była pokryta błotem i wyblakła, lecz nieugięta pewność siebie chroniła księcia przed śmiesznością. Długie złote włosy związał w luźne warkoczyki, sięgające karku.

Kiedy szliśmy krętym rowem między wysokimi trawiastymi zboczami spytałem go, jak poznał Merlina.

- Och, znam go całe życie! - odparł radośnie. - Widzisz, przybył na dwór mojego ojca, nie ostatnimi czasy, ale kiedy byłem dopiero małym chłopcem, i przebywał tam długie lata. Był moim nauczycielem.

- Twoim nauczycielem? - Zdziwienie w moim głosie nie było udawane, bo Merlin, zawsze skryty, nigdy nie wspominał mi o Gowenie.

- Nie tam, gdzie chodziło o czytanie i stawianie liter - dodał młodzian. - Od tego były niewiasty. Nie, Merlin nauczył mnie tego, jakiego losu mam się spodziewać. - Uśmiechnął się wstydliwie. - Uczył mnie, że mam być czysty.

- Czysty...! - Spojrzałem na niego z ciekawością. - Żadnych niewiast?

- Żadnych, panie - potwierdził niewinnie. - Merlin zakazuje surowo. W każdym razie nie teraz, oczywiście. - Głos uwiązał mu w gardle i książkę spiął raka.

- Nic dziwnego, iż modlisz się o czyste niebo.

- Nie, panie, nie! - zaprotestował Gowen. - Modlę się o czyste niebo, aby bogowie przybyli! A kiedy się to stanie, przywiodą ze sobą Olwenę Srebrną. - Znów się zaczerwienił.

- Olwenę Srebrną?

- Widziałeś ją, panie, w Lindinis. - Jego piękna twarz nabrała wręcz nieziemskiej urody. - Kroczy lżej niż tchnienie wiatru, jej skóra świeci w ciemności, a tam, gdzie tknie ziemi, wyrastają kwiaty.

- I jest ci przeznaczona? - spytałem, powstrzymując obrzydliwe ukłucie zazdrości na myśl, że tamten świecący wiotki duch ma być oddany młodemu Gowenowi.

- Mam ją poślubić, kiedy zadanie zostanie wypełnione - rzekł z zapalem. - Lecz na razie moim obowiązkiem jest strzec Skarbów, ale za trzy dni przywitamy bogów i poprowadzimy ich przeciwko nieprzyjacielowi. Mam zostać wyzwolicielem Brytanii. - Wypowiedział tę niesłychaną przechwałkę z wielkim spokojem, jakby było to coś najzwyczajniejszego w świecie.

Nie odrzekłem na to nic, tylko podążałem za nim głębokim rowem, między środkowym a wewnętrznym wałem Mai Dun. Spozregłem, że pełno w niej zbudowanych naprędce szałasów, krytych strzechą.

- Za dwa dni zburzymy te szałas i podsycimy nimi ogniska - powiedział Gowen, zauważywszy moje spojrzenie.

- Ogniska?

- Jeszcze zobaczysz, panie, jeszcze zobaczysz.

Jednakże w pierwszej chwili, kiedy osiągnęliśmy szczyt, nie mogłem pojąć sensu tego, co ujrzały moje oczy. Grzbiet Mai Dun to trawiasty kawał ziemi, na którym całe plemię i jego żywy inwentarz mogły schronić się w czasie wojny, lecz teraz zachodni kraniec przecinała koronka wyschłych żywopłotów.

- Proszę! - wykrzyknął z dumą Gowen, wskazując na żywopłoty, jakby było to jego własne dzieło.

Kmiotkowie dźwigający drwa na opał byli kierowani do najbliższego żywopłotu, zrzucali swoje ciężary i oddalali się truchtem po kolejne drwa. Wtedy dostrzegłem, iż te niby-żywopłoty były naprawdę wielkimi zwałami drewna, zgromadzonego na opał. Sięgały wyżej głowy rosnącego meża i zdawały się ciągnąć na wiele mil, lecz dopiero kiedy Gowen poprowadził mnie na wewnętrzny wał, ujrzałem, jaki wzór tworzą.

Zapełniały całą zachodnią połowę płaskowyżu, a w środku ułożono pięć stosów, tworzących okrąg wokół pustego placu, na pokonanie którego trzeba by jakichś sześćdziesięciu, siedemdziesięciu kroków. Tę rozległą przestrzeń okalała spirala z drew, która zataczała trzy pełne koła a na zewnątrz nich był pusty trawiasty pas, otoczony podwójnym pierścieniem sześciu podwójnych spirali. Te esy-floresy biegły tak przemyślnie, że tworzyły tuzin osobnych, lecz misternie połączonych kręgów.

- Dwanaście mniejszych kręgów na trzynaście Skarbów? - spytałem Gowena.

- Kocioł, panie, będzie w środku - wyjaśnił głosem przepelnionym zachwytem.

Dokonano tam wielkiego czynu. Stosy były gęste i wysokie, dobrze ponad ludzkie głowy; ani chybi na tym wzgórzu musiało być tyle drewna, że ogniska i paleniska Durnovarii miałyby się czym nasycić przez dobrych dziesięć zim. Podwójne spirale na zachodniej krawędzi fortecy nadal uzupełniano i widziałem, jak ludzie udeptują energicznie drewno, tak że ogniska nie miały płonąć krótko, lecz długo i wysoko. Wewnątrz zwałów czekały na płomienie całe pnie. Pomyślałem, że mam oto przed oczami jedno wielkie ognisko, które mogłoby dać sygnał do końca świata.

I podejrzewałem, że niejako to właśnie ma się stać. Mieliśmy ujrzeć koniec znanego nam świata, jeśli bowiem Merlin miał rację, to bogowie Brytanii powinni zjawić się na tym wzniesieniu. Mniejsi mieli udać się do mniejszych kręgów zewnętrznego obwodu, podczas gdy Bel powinien spłynąć w gorejące serce Mai Dun, w którym będzie czekał Kocioł. Wielki Bel, bóg nad bogami, pan Brytanii, miał przybyć w ogromnym powiewie wichru, a gwiazdy miały wirować w ślad za nim jak jesienne liście podniesione huraganem. I tam, gdzie pięć ognisk wskaże serce Merlinowego okręgu ognia, Bel powinien zstąpić znów na Ynys Prydain, wyspę Brytanię. Nagle obleciał mnie chłód. Do tej pory nie pojmowałem naprawdę wielkości Merlinowego marzenia, a teraz niemal rzuciło mnie na kolana. Za trzy dni, zaledwie za trzy dni, bogowie mieli pojawić się w tym miejscu.

- Ponad czterystu ludzi pracuje przy tych ogniskach - rzekł z przejęciem Gowen.

- Wierzę.

- A spirale wyznaczyliśmy czarodziejskim powrozem.

- Czym?

- Powrozem, panie, uplecionym z włosów dziewiczej istoty i grubym na jeden włos. Nimue stała w środku, ja szedłem po zewnętrznym kręgu, a mój pan, Merlin, znaczył moje kroki kamykami elfów. Spirale musiały być doskonałe. Zabrało nam to tydzień, bo powróż wciąż się rwał i za każdym razem musieliśmy zaczynać na nowo.

- Może to jednak nie był czarodziejski powróż, książę? - droczyłem się z nim.

- O, ależ był czarodziejski - zapewnił mnie Gowen. - Spleciono go z moich włosów.

- I w wilię Samain zapalicie ogniska i będziecie czekać?

- Tak, panie. Ogień będzie gorzeć prawie przez całą noc. A potem noc przemieni się w dzień, niebo wypełni się ogniem, a zadymione powietrze skłębli się poruszone skrzydłami bogów.

Gowen prowadził mnie wzdłuż północnego wału fortu, ale wskazał w dół, na niewielką świątynię Mitry, stojącą tuż poza kręgami ognisk, po wschodniej stronie.

- Możesz tam zaczekać, panie, a ja wezwę Merlina - zaproponował.

- Czy jest daleko? - spytałem, myśląc, że a nuż przebywa w jednym z szałasów na wschodniej krawędzi płaskowyżu.

- Nie jestem pewien, gdzie się podziewa - wyznał Gowen. - Wiem tyle, że udał się po Anbarra, i chyba wiem, dokąd.

- Po Anbarra? - spytałem. Wiedziałem o Anbarrze jedynie z opowieści. Był to czarodziejski ogier, niepokonany rumak, który potrafił galopować równie szybko po wodzie, jak i po lądzie.

- Dosiądę Anbarra u boku bogów - rzekł z dumą Gowen. - I będę niósł moją chorągiew, nacierając na wroga. - Wskazał na świątynię, gdzie wielki sztandar wspierał się bez ceregieli o niski dach, kryty dachówkami. - Chorągiew Brytanii - dodał i poprowadził mnie w dół, po czym ją rozwinął. Był to obszerny kwadrat białego płótna, na którym czerwoną nicią wyhaftowano zuchwałego smoka Dumnonii. Wielkie pazury, ogromny ogon i potężny płomień z pyska. - To, prawdę mówiąc, chorągiew Dumnonii - przyznał Gowen. - Ale chyba inni królowie Brytów nie będą mieli mi tego za złe?

- Nie, jeśli zepchniesz Sasów do morza.

- Takie jest moje zadanie, panie - rzekł z wielką powagą młody książę. - Z pomocą bogów i oczywiście tego. - Dotknął Excalibura, który nadal spoczywał pod moją pachą.

- Excalibur! - Byłem zdziwiony, nie wyobrażałem sobie bowiem, by ktoś poza Arturem posłużył się czarodziejskim ostrzem.

- A czego innego? - spytał Gowen. - Mnie sądzone władać Excaliburem, dosiadać Anbarra i wypędzić nieprzyjaciół z Brytanii. - Uśmiechnął się z zachwytem, a potem wskazał na ławkę przy drzwiach świątyni. - Zaczekaj, panie, ja poszukam Merlina.

Świątyni strzegło czterech irlandzkich włóczników, ale że przybyłem w towarzystwie Gowena, nie próbowali mnie powstrzymać, kiedy schyliłem głowę pod niskim nadprożem. Nie zaglądałem tam z czezej ciekawości, lecz raczej dlatego, że Mitra był moim najważniejszym bogiem w owych dniach. Był bogiem żołnierzy, tajemnym bogiem. Rzymianie sprowadzili jego kult do Brytanii i chociaż dawno odeszli, wojownicy nadal cenili Mitrę ponad innych bogów. Świątynia była mała, zaledwie dwuizbowa i pozbawiona okien, na wzór pieczary, w której Mitra przyszedł na świat. Pierwszą izbę zastawiono drewnianymi skrzyniami i łożynowymi koszami, które, jak podejrzewałem, kryły Skarby Brytanii, chociaż nie podniosłem żadnej pokrywy, by to sprawdzić. Natomiast przeczołgałem się przez wewnętrzne drzwi do ciemnego sanktuarium i zobaczyłem w nim połyskujący, wielki srebrno-złoty Kocioł z Clyddno Eiddyn. Za Kotłem, ledwo widoczny w szarym poblasku sączącym się przez dwie pary niskich drzwi, był ołtarz Mitry. Zarówno Merlin, jak Nimue



wyśmiewali się z kultu tego boga i pewnie któreś z nich umieściło na ołtarzu czaszkę borsuka, by odwrócić uwagę Mitry. Zrzuciłem czaszkę z ołtarza, ukląknąłem obok Kotła i zmówiłem modlitwę. Błagałem Mitrę o wspomnienie innych bogów i modliłem się, by przybył na Mai Dun, poraził grozą naszych wrogów i sprowadził rzeź. Przytknąłem rękojeść Excalibura do kamienia Mitry i zadałem sobie pytanie, kiedy ostatni raz poświęcono tu byka. Wyobraziłem sobie rzymskich żołnierzy rzucających zwierzę na kolana, potem pchających jego zad i ciągnących za rogi, tak by przepchnąć go przez niskie drzwi, a kiedy już znalazł się w sanktuarium, stał i ryczał z lęku, wyczuwając wszędzie wokół niewidocznych w ciemności włóczników. I tu, w tym przerażającym mroku, podcięto mu ścięgna u nóg. Znow ryczał, upadał, lecz nadal groził wiernym wielkimi rogami, ale oni go pokonali, spuścili mu krew, a on zdychał powoli i świątynię wypełnił fetor łajna i posoki. Potem wierni pili krew byka ku pamięci Mitry, tak jak nas nauczał. Mówiono mi, że chrześcijanie mają podobną ceremonię, ale twierdzono, że podczas niej nikt nie traci życia, chociaż sporo niechrześcijan uważało, że jesteśmy winni bogom śmierć w zamian za dar życia.

Nadal klęczałem w ciemności, wojownik Mitry przybyły do jednej z jego porzuconych świątyń, i modliłem się, modliłem, gdy wtem poczułem ten sam zapach morza, wodorostów i soli, który dotarł do naszych nozdrzy w Lindinis, kiedy Olwena Srebrna szła arkadami, jakże szczupła, delikatna i cudowna. Przez chwilę myślałem, że to dar od bogów, a może sama Olwena Srebrna przybyła na Mai Dun, ale nic się nie poruszyło; nie objawiła się żadna wizja, nie zaświeciła naga skóra, tylko wewnątrz świątyni zapachniało słonym morzem, a na zewnątrz cicho szeptał wiatr.

Wróciłem do pierwszej izby; tam woń morza była silniejsza. Otworzyłem pokrywę skrzyń; uniosłem worki zasłaniające kosze, myśląc, że znajdę źródło zapachu. Odkryłem, że dwa kosze są wypełnione solą, ciężką i zbitą w grudy w wilgotnym morskim powietrzu, ale zapach nie bił od soli, lecz z trzeciego kosza, wypełnionego po brzegi mokrym morszczynek. Obok stał wielki gliniany dzban, a gdy uniosłem jego pokrywę, okazało się, że wypełnia go morska woda, zapewne po to, by morszczyzny nie wyschły. Włożyłem tedy dłoń między wodorosty i tuż pod powierzchnią znalazłem warstwę skorupiaków. Miały długie, wąskie, piękne muszle i przypominały małże, tyle że były nieco większe, szaro-białe, a nie czarne. Wziąłem jednego do ręki, powąchałem i uznałem, że to pewnie jakiś ulubiony specjał Merlina. Skorupiak, być może rozszłoszczony tym, że go ruszam, otworzył z trzaskiem muszlę i szczerze siknął mi na dłoń. Wsadziłem go z powrotem do kosza i okryłem warstwę morskich stworków wodorostami.

Akurat odwracałem się do drzwi wyjściowych, zamierzając wyjść ze świątyni, kiedy przypadkowo opuściłem wzrok na dłoń. Nie odrywałem go od niej przez chwilę. Była krótka, ale wtedy zdała mi się długa niczym wieczność. Myślałem, że to jakiś omam, tak więc, nie ufając słabemu blaskowi, padającemu od wejścia, wróciłem pochylony do sanktuarium i tam, w najciemniejszym ustroniu świątyni Mitry, uniosłem rękę przed twarz.

Świeciła się.

Patrzyłem osłupiały. Naprawdę nie chciałem uwierzyć własnym oczom, lecz moja ręka się świeciła. Nie był to blask bijący z wnętrza, ale warstwa niewątpliwej jasności na powierzchni dłoni. Pociągnąłem palcem po mokrej plamie, zostawionej przez skorupiaka, i migotliwa warstwa rozstąpiła się. Tak więc Olwena Srebrna nie była wcale nimfą, posłanką bogów, lecz dziewczką zrodzoną z męża i niewiasty, wysmarowaną sokami skorupiaków. Czary nie były dziełem bogów, ale Merlina, i wszystkie moje nadzieje umarły w mroku świątynnej komory.

Otarłszy dłoń o opończę, wyszedłem na światło dnia. Siadłem na ławie przy drzwiach i wpatrywałem się w wewnętrzne obwałowanie, na którym gromadka dzieci fikała koziołki i ślizgała się, dokazując, ile wlezie. Rozpacz, która prześladowała mnie w czasie podróży do Lloegyrii, powróciła. Co za znaczenie ma to - pytałem sam siebie - że dziewczka jest człowiekiem, a jej nieziemski blask okazał się sztuczką Merlina? To nie odbierało mocy Skarbow, lecz kiedykolwiek o nich myślałem i stawiałem pod znakiem zapytania ich skuteczność, dodawałem sobie otuchy wspomnieniem świetlistej nagiej panny. A teraz wyglądało na to, że nie jest ona wysłanniczką bogów, lecz jeszcze jednym egzemplarzem z kolekcji iluzji Merlina.

- Panie? - Dziewczęcy głos przerwał moje rozważania. - Panie...?

Kiedym podniósł wzrok, ujrzałem tłustą młódkę, uśmiechającą się do mnie niepewnie. Była odziana w prostą szatę i płaszcz; krótkie ciemne włosy związała wstążką i trzymała za rękę małego rudzielca.

- Nie pamiętacie mnie, panie? - spytała zawiedziona.

- Cywwyloga - rzekłem, przypominając sobie jej imię. Jedna z naszych służ w Lindinis, gdzie uwiódł ją Mordred. Wstałem. - Jak się miewasz? - zapytałem.

- Tak dobrze, jak to możliwe, panie - odparła, rozradowana, że ją pamiętam. - A to mały Mardok. Wdał się w ojca, no nie?

Popatrzyłem na chłopczyka. Liczył sobie jakieś sześć, może siedem lat, był niewielkiego wzrostu, krzepki, krągłolicy, a lśniące włosy sterczały mu jak ojcu, Mordredowi.

- Ale nie jak się rozchodzi o charakter, tu wcale niepodobny do ojca - powiedziała Cywwyloga. - To dobry chłopiec, a jakże, złoty chłopiec, panie. Żadnej przykrości nigdy nie sprawi, ani, ani, prawda, moje sionko? - Przerwała i cmoknęła Mardoka. Chłopiec był zażenowany tym objawem czułości, ale i tak uśmiechnął się szeroko. - Jak pani Ceinwyn? - zapytała Cywwyloga.

- Znakomicie. Ucieszy się, żeśmy się spotkali.

- Zawsze miała dla mnie dobre słowo, zawsze - paplała dziewczyna. - Przyszłabym do waszego nowego domu, panie, tyle że zapoznałam się z jednym. Teraz jestem mężatką.

- Kto to?

- Idfael syn Merika, panie. Teraz służy panu Lanwalowi.

Lanval dowodził strażą, która trzymała Mordreda w jego złoconej klatce.

- Myśleliśmy, żeś opuściła nasze domostwo, bo Mordred dał ci zapłatę - rzekłem.

- On? Dał mi zapłatę! - Zaśmiała się. - Prędeż bym gwiazdkę z nieba zdjęła, niżliby się to stało. Wtedy byłam głupia - wyznała radośnie. - Pewnie, że nie wiedziała, co za huncwot z Mordreda, że żaden z niego mężczyzna, żaden, a za to pewnikiem zawrócił mi głowie, bo to król, ale nie mnie pierwszej, prawda? I śmiem rzec, że i nie ostatniej. Ale wszystko wyszło na dobre. Mój Idfael to zacny człek i nie przeszkadza mu, że Mardok to mała kukuleczka w jego gnieździe. A co, kukuleczka z ciebie mój skarbulku, kukuleczka! - I znów przerwała, by popieścić syna, który kręcił się w jej uściskach, ale kiedy go połaskotała, gruchnął śmiechem.

- Co tu porabiasz? - zapytałem ją.

- Pan Merlin kazał nam przyjść - rzekła z dumą. - Upodobał sobie małego Mardoka, a jakże. Psuje go! Zawsze mu podsunie jakiś smaczny kąsek. Oj, będzie z ciebie grubasek, a jakże, grubasek, jak świnka! - Znów połechtala chłopca, który roześmiał się, szarpnął i wreszcie uciekł matce. Ale nie pobiegł daleko, zatrzymał się kilka stóp dalej i przypatrywał się mi, ssąc kciuk.

- Merlin kazał wam przyjść? - powtórzyłem.

- Trzeba mu kucharki, panie, tak powiedział, i śmiem rzec, że w kucharzeniu nie każda mi dorówna, a przy tym tyle mi obiecał za robotę, że Idfael kazał mi iść. Nie żeby pan Merlin dużo jadł. Lubi se wciąć sera, a jakże, ale do podania sera nie trza mu kucharki, mówię prawdę?

- Czy jada małże?

- Ma smak na te swoje świdraki, ale skąd ich brać. Nie, przewaźnie wcina ser. Ser i jajka. Nie jest jak wy, panie, wyście to zawsze mieli smak na mięso, dobrze pamiętam.

- I wciąż go mam - przyznałem.

- To były czasy - rozmarzyła się Cywwyloga. - Mały Mardok ma tyle samo latek co wasza Dian. Często myślałam, że dobrze by się razem bawili. Jak ona się trzyma?

- Nie żyje, Cywwylogo - rzekłem.

Oślupiała.

- Och, nie, panie, toć to nie może być prawda!

- Ubili ją siepacze Lancelota.

Splunęła na trawę.

- Źli to ludzie, co do jednego. Strasznie mi was żal, panie.

- Ale jest szczęśliwa w zaświatach - zapewniłem ją. - A któregoś dnia wszyscy do niej dołączymy.

- A juści, panie, a juści. A inne?

- Morwenna i Seren mają się znakomicie.

- To dobrze, panie. - Uśmiechnęła się. - Zostaniecie tu na Wezwanie?

- Wezwanie? - Wtedy po raz pierwszy usłyszałem miano ceremonii. - Nie, nie zaproszono mnie. Pewnie będę czuwał w Durnovarii.

- To będzie widok - powiedziała i uśmiechnęła się; podziękowała mi za rozmowę i potem udała, że goni Mardoka, który uciekał przed nią w te pędy, popiskując z uciechy.

Siedziałem zadowolony z tego spotkania po latach i zastanawiałem się, co takiego knuje Merlin. Do czego mu Cywwyloga? I po co mu kucharka, kiedy dotąd nie najmował nikogo do przyrządzania posiłków?

Nagle zamieszanie za wałami przerwało moje rozmyślenia i rozpędziło bawiące się pacholeta. Właśnie podnosiłem się ławki, kiedy pojawiło się dwóch mężów, ciągnących sznur. Po chwili zjawił się Gowen, a potem na końcu sznura ujrzałem potężnego karego ogiera. Usiłował się uwolnić i prawie wciągnął dwóch przypadkowych koniuszych z powrotem za wał, lecz ci, uczeplieni kantara, ciągnęli przerażone zwierzę, które nagle pomknęło w dół, wlokąc ich za sobą. Gowen krzyczał, żeby uważali, a potem na wpół ześlizgnął się, na wpół pobiegł za wielką bestią. Merlin, wydawałoby się nie przejęty tym małym widowiskiem, pojawił się z Nimue. Przyglądał się koniowi prowadzonemu do jednego z szałasów po wschodniej stronie, a potem skierował się ze swoją towarzyszką ku świątyni Mitry.

- Ach, Derfel! - powitał mnie niedbale. - Wyglądasz na przybitego. Ząb cię boli?

- Przywiozłem Excalibura - rzekłem sztywno.

- To widzę. Nie jestem ślepy. Czasem trochę przygłuchy i mój pęcherz nie trzyma już tak, jak powinien, ale czego można oczekiwać w moim wieku? - Wziął ode mnie Excalibura, wysunął ostrze z pochwy na kilka cali i ucałował stal. - Miecz Rhydderchu - rzekł z czcią i zachwytem, a przez chwilę na jego obliczu malowała się dziwna ekstaza, po czym nagle wsunął Excalibura do pochwy i oddał go Nimue. - A więc udałeś się do ojca - powiedział. - Czy przypadł ci do gustu?

- Tak, panie.

- Ty zawsze musisz się roztkliwić jak stara baba, Derflu - rzekł i zerknął na Nimue, która dobyła Excalibura z pochwy i mocno tuliła ostrze do chudego ciała. Nie wiedzieć czemu, wywołało to zdenerwowanie druida. Wyrwał jej pochwę i spróbował zrobić to samo z mieczem, lecz po krótkiej szarpaninie ustąpił. - Słyszałem, że oszczędziłeś Liofę? - oznajmił, znów zwracając się do mnie. - To błąd. Ten Liofa to wyjątkowo niebezpieczne bydlę.

- Skąd wiecie, że go oszczędziłem?

Spojrzał na mnie z naganą.

- Może byłem sową w krokwiach dworu Aelle'a, Derflu, a może myszą w sitowiu na podłodze? - Rzucił się na Nimue i tym razem udało mu się wyrwać miecz. - Nie wolno osłabiać czarów - zamruczał, niezdarnie wsuwając ostrze z powrotem do pochwy. - Artur nie zrzędził, że musi go oddać?

- Czemu miałby zrzędzić, panie?

- Bo niebezpiecznie ociera się o niewiarę - rzekł Merlin, chyląc się, by włożyć Excalibura przez niskie wejście świątyni. - Wierzy, że zrobimy swoje bez bogów.

- A to szkoda, że nie udało mu się zobaczyć Olweny Srebrnej błyszczącej w ciemności - powiedziałem szyderczo.

Nimue zasyczała na mnie. Druid zamarł, potem z wolna się odwrócił i wyprostował, śląc mi kwaśne spojrzenie.

- Czemu to szkoda, Derflu? - spytał groźnym tonem.

- Bo gdyby ją ujrzał, panie, pewnie uwierzyłyby w bogów. Byle, oczywiście, nie odkrył waszych mięczaków.

- A więc to tak? - rzekł. - Rozpytywałeś się, co? Wpychałeś swój kulfoniasty saski nochal tam, gdzie nie powinieneś, i znalazłeś moje świdraki.

- Świdraki?

- Małże, durniu, które lud zwie świdrakami. Prosty lud.

- I one świecą? - zapytałem.

- Ich sok ma własności świetlne - przyznał lekkim tonem. Widziałem, że moje odkrycie rozdrażniło go, ale pilnie starał się nie okazywać irytacji. - Pliniusz wspomina o tym zjawisku, ale przecież mówi o tylu rzeczach, że trudno w nie uwierzyć. Większość jego wypocin to bzdury wołające o pomstę do nieba. Wszystkie te idiotyzmy o druidach, ścinających jemiolę w szósty dzień nowiu! Nigdy nie ścinałem żadnej jemioli, przenigdy! Poleca również, jeśli dobrze pamiętam, owinięcie głowy kobiecą piersiową opaską, kiedy doskwiera nam ból, ale to remedium kompletnie nie działa. No bo jak? Czar tkwi w niewieścich piersiach, nie w opasce, więc jasno widać, że o wiele skuteczniejsze jest wsadzić obolały łeb między cycki. Takie remedium nigdy mnie nie zawiodło, to pewne! Jak tam z twoją znajomością Pliniusza, Derflu?

- Nijak, panie.

- Zgadza się, nigdy nie uczyłem cię łaciny. Mój błąd. No cóż, omawia świdraki i zauważa, że dłonie i usta tych, którzy spożywali te stworzenia, jaśnieją, i muszę się przyznać, że byłem zaintrygowany. Kto by nie był? Nie miałem chęci dalej badać tego fenomenu, zmarnowałem bowiem wiele czasu na bardziej wiarygodne stwierdzenie Pliniusza, ale to okazało się zgodne z rzeczywistością. Pamiętasz Kadwga? Tego rybaka, który uratował nas z Ynys Trebes? Teraz łowi mi świdraki. Owe stworzenia żyją w dziurach skalnych, co nie jest zbyt wygodne, ale płacę szczerze Kadwgowi i on uparcie je wygrzebuje, jak dobremu połowiaczowi świdraków przystało. Wyglądasz na zawiedzionego, Derflu.

- Myślałem, panie, że... - zacząłem, ale umilkłem, wiedząc, że zostanę wykpiony.

- Och! Myślałeś, że tamta panna zjawia się z niebios! - skończył za mnie i zarżał szyderczo. - Słyszałaś, Nimue? Nasz wielki woj, Derfel Cadarn uwierzył, że mała Olwena jest zjawą! - Przeciągnął ostatnie słowo, przydając mu pompatycznego brzmienia.

- O to chodziło - rzekła sucho Nimue.

- Jak się nad tym zastanowić, to tak - potwierdził Merlin. - Dobra sztuczka, przyznasz, Derflu?

- Lecz to tylko sztuczka, panie - rzekłem, nie potrafiąc ukryć zawodu.

Stary druid westchnął.

- Jesteś głupcem, Derflu, głupcem od stóp do głów. Istnienie sztuczek nie pociąga za sobą nieistnienia czarów, ale bogowie nie zawsze gwarantują nam czary. Czy ty niczego nie rozumiesz? - zapytał z gniewem.

- Wiem, że zostałem zwiedziony, panie.

- Zwiedziony! Zwiedziony! Nie bądź takim żalonym durniem! Jesteś gorszy niż Gowen! Byłe druid po dwóch dniach nauki potrafiłby cię zwieść! Naszym zadaniem nie jest

nasytanie twojej dziecięcej ciekawości, ale wykonanie pracy bogów, a oni, Derflu, oddalili się od nas bardzo. Bardzo! Znikli, rozplynęli się w ciemności, udali do otchłani Annwnu. Muszą być wezwani, a żeby ich wezwać potrzebujemy pracowników, a żeby ściągnąć pracowników, musiałem zasiać nieco nadziei. Czy myślisz, że Nimue i ja sami wznieslibyśmy te ogniska? Potrzebowaliśmy ludzi! Setek ludzi! A posmarowanie dziewczynki sokiem świdraków ściągnęło ich do nas, ale ty potrafisz tylko beczeć, że zostałeś zwiedziony. Kogo obchodzi, co myślisz? Czemu nie pójdziesz i nie schrupiesz sobie jednego świdraczka? Może to by cię oświeciło. - Kopnął rękojeść Excalibura, który nadal wystawał ze świątyni. - Podejrzewam, że ten głupiec Gowen pokazał ci wszystko?

- Pokazał mi kręgi ognisk, panie.

- A teraz, jak podejrzewam, chcesz wiedzieć, na co one są?

- Tak, panie.

- Każdy średnio głupi głupek sam by do tego doszedł - rzekł z pańska Merlin. - Bogowie przebywają daleko, to oczywiste, bo inaczej nie ignorowaliby nas, ale wiele lat temu dali nam środki, dzięki którym możemy ich wezwać: Skarby. Jednak bogowie są teraz tak głęboko w otchłani Annwnu, że same Skarby nie zadziałają. Więc musimy przyciągnąć ich uwagę. I jak to osiągnąć...? Proste! Poślemy im sygnał do otchłani, a tym sygnałem jest po prostu wielki ognisty znak, i w tym znaku umieścimy Skarby, a potem zrobimy jedną czy dwie rzeczy, które naprawdę nie mają znaczenia, po czym będę mógł umrzeć w spokoju, zamiast musieć tłumaczyć najprostsze sprawy łatwowiernym półgłówkom, i nie możesz - powiedział, zanim zdążyłem się odezwać, a co dopiero zadać pytanie - tu być w wilię Samain. Potrzebuję tylko tych, którym mogę ufać. A jak się znowu napatoczysz, rozkażę strażom, żeby zamiast na tarczach ćwiczebnych použíwali sobie włóczniami na twoim brzuchu.

- Czemu po prostu nie otoczycie wzgórze płotem upiorów? - zapytałem. Płot upiorów był zwieńczony czaszkami ostrokołem, zaczarowanym przez druida. Nikt nie ważył się przekroczyć takiej granicy.

Merlin patrzył na mnie tak, jakbym postradał rozum.

- Płot upiorów?! W wilię Samain?! Półgłówku! W tę jedną, jedyną noc w roku, w którą płot upiorów nie ma mocy! Czy muszę ci wszystko tłumaczyć? Płot upiorów, głupcze, ma swoją moc, albowiem pęta dusze zmarłych, by ci straszili żywych, ale w wilię Samain dusze zmarłych błakają się wedle swojej woli, więc nie da się ich spętać. W wilię Samain z płotu upiorów jest taki sam użytek jak z twojego rozumu.

Ze spokojem przyjąłem połajanki starego druida.

- Tuszę jedynie, że niebo będzie wolne od chmur - powiedziałem, miast go uspokoić.

- Chmury?! - wykrzyknął wyzywająco. - Czemu miałbym przejmować się chmurami? Aaa, pojmuje! Ten półgłówek Gowen gadał z tobą i wszystko mu się pomieszało. Jeśli będzie pochmurno, Derflu, bogowie i tak ujrzą nasz sygnał, bo ich siła widzenia, w przeciwieństwie do naszej, nie jest ograniczona chmurami, jednakże w przypadku zbyt wielkiego zachmurzenia, może spaść deszcz - przybrał ton dorosłego męża tłumaczącego małemu dziecku - a ciężki deszcz zgasi wszystkie ogniska. No i masz, tak trudno było to samemu wymyślić? - Wbił we mnie gniewne spojrzenie, a potem się odwrócił, wpatrując się w kręgi drzew. Wsparty na czarnej lasce, rozważał posepnie owoc wielkiego trudu, który za jego przewodnictwem wyrósł na szczycie Mai Dun. Długo milczał, aż nagle wzruszył ramionami. - Pomyślałeś kiedy, co by się stało, gdyby chrześcijanom udało się osadzić na tronie Lancelota? - spytał. Gniew starca ustąpił miejsca melancholii.

- Nie, panie.

- Przeszedłby ten ich rok pięćsetny i wszyscy czekali na chwalebne przybycie tego ich niedorzecznego boga, przybitego do drzewa. - Mówiąc, wpatrywał się w kręgi, ale teraz odwrócił się twarzą do mnie. - A jeśli on nigdy nie przybędzie? - spytał z ciekawością. - Założmy, że chrześcijanie byłiby gotowi jak się patrzy, wszyscy w swoich najlepszych szatach, wszyscy wypucowani, wyszorowani i na kolanach, i nic by się nie stało?

- Wtedy w roku pięćset pierwszym nie byłoby chrześcijanina ani na lekarstwo - przepowiedziałem.

Merlin potrząsnął głową.

- Wątpię. To już sprawa ich kapłanów, żeby wytłumaczyć niewytłumaczalne. Tacy mężowie jak Sansum coś by wymyślili, a ludzie uwierzyliby im, bo gorąco pragną wierzyć. Człek nie rezygnuje z wiary tylko dlatego, że doznał zawodu, Derflu, jeno wierzy z podwójną mocą. Cóż z nas za głupcy.

- Więc lękacie się, panie - poczułem nagły przyływ litości - że nic się nie wydarzy w Samain?

- Oczywiście, że się lękam, ty półgłówku. Nimue ani trochę. - Zerknął na swoją towarzyszkę, przypatrującą się nam obu spode łba. - Jesteś przepełniona pewnością, moja maleńka, nieprawdaż? - zadrwił. - Lecz jeśli chodzi o mnie, Derflu, wolałbym, żeby to w ogóle nie było potrzebne. Nawet nie wiemy, co powinno się wydarzyć, kiedy zapalimy ogniska. Może bogowie przybędą, ale może będą się ociągać? - Spojrzał na mnie ostro. - Jeśli nic się nie stanie, Derflu, to nie będzie znaczyło, że nic się nie stało. Pojmujesz?

- Chyba tak, panie.



- Wątpię. Nie wiem nawet, dlaczego tracę czas na wyjaśnianie ci czegokolwiek! Równie dobrze mógłbym nauczać wołu subtelných metod retoryki! Ależ z ciebie bęćwał. Możesz iść. Dostarczyłeś Excalibura.

- Artur chce go odzyskać - powiedziałem, przypominając sobie wiadomość, którą miałem przekazać.

- A pewnie go i odzyska, kiedy już nie będzie potrzebny Gowenowi. A może nie odzyska. Jakie to ma znaczenie? Przestań zawracać mi głowę drobiazgami, Derflu, i do widzenia. - Oddalił się wielkimi krokami, znów rozgniewany, ale zatrzymał się niebawem, odwrócił i przywołał Nimue: - Chodź, dziewczyno!

- Zadbam, żeby Derfel na pewno sobie poszedł - rzekła i z tymi słowy wzięła mnie za łokieć i poprowadziła ku wewnętrznemu wałowi.

- Nimue! - krzyknął Merlin.

Nie zwróciła na to uwagi, ciągnąc mnie w górę trawiastego stoku do dróżki biegnącej po zwieńczeniu wału. Wpatrywałem się w kręgi drzew.

- Wykonaliście wielką pracę - powiedziałem głupawo.

- I wszystko na próżno, jeśli nie odprawimy właściwych rytuałów - rzekła zjadliwie Nimue.

Merlin złościł się na mnie, ale jego złość była przeważnie udawana, zjawiała się i znikwała niczym błyskawica, ale głęboki i potężny gniew Nimue ściągał mocno jej białą trójkątną twarz. Nigdy nie była piękna, a utrata oka sprawiła, że jej wygląd budził lęk, ale miała w sobie dzikość i inteligencję, które wyróżniały ją pośród tłumu, i teraz, na tym wysokim ziemnym murze, smaganym zachodnim wiatrem, jawiła się wspaniała i straszna jak nigdy.

- Czy jest jakieś niebezpieczeństwo, że rytuał nie zostanie odprawiony jak należy? - zapytałem.

- Podobniście z Merlinem jak dwie krople wody - powiedziała, ignorując pytanie. - Roztkliwia się niczym baba.

- Bzdura.

- A co ty wiesz, Derflu? - warknęła. - Czy musisz znosić jego przechwałki? Czy musisz się z nim spierać? Czy musisz dodawać mu otuchy? Czy musisz się przyglądać bezsilnie, jak popełnia największy błąd w dziejach Brytanii? - Ciskała we mnie tymi pytaniami jak kamieniami. - Czy musisz przyglądać się bezsilnie, jak marnuje ten cały trud? - Drobną ręką wskazała na ogniska i dodała z goryczą: - Głupiec z ciebie. Wystarczy, że Merlin puści bąka, a ty już myślisz, że to przemówiła przez niego mądrość. Jest starcem, Derflu, nie

pożyje długo i traci moc. A moc, Derflu, przybywa z wnętrza. - Stuknęła się pięścią między drobne piersi. Przystanąła na szczycie wału i odwróciła się do mnie. Byłem roslim żołnierzem, a ona drobną kobietą, lecz jednak to Nimue górowała nade mną. Zawsze tak było. Gorzała w niej pasja, tak głęboka, mroczna i silna, że prawie nic nie mogło jej powstrzymać.

- Czemu tkliwość Merlina miałyby zagrażać rytuałowi? - zapytałem.

- Bo zagraża! - rzuciła Nimue, odwróciła się i poszła.

- Powiedz mi! - zawołałem za nią.

- Nigdy! - warknęła. - Głupiec z ciebie.

Szedłem za nią.

- Kim jest Olwena Srebrna? - spytałem.

- Niewolnicą kupioną w Demetii. Porwano ją z Powys i kosztowała nas sześć sztuk złota, bo jest taka piękna.

- To prawda - powiedziałem, wspominając, jak dziewczeczka delikatnie kroczyła w mroku i ciszy.

- Merlinowi też się tak wydaje - rzekła z przyganą. - Nogi się pod nim trzęsą, jak ją widzi, ale już jest za stary, a poza tym musi udawać, że ona jest dziewczicą, przez wzgląd na Gowena. A on nam wierzy! Lecz ten głupiec uwierzy we wszystko! Bałwan!

- I pojmie Olwenę za żonę, kiedy będzie po wszystkim?

Nimue wybuchła śmiechem.

- Tak obiecaliśmy głupkowi, chociaż kiedy odkryje, że urodziła się w niewoli i nie jest duchem, może zmieni zdanie. Wtedy może sprzedamy ją dalej. Masz ochotę ją kupić? - Posłała mi przebiegle spojrzenie.

- Nie.

- Wciąż wierny Ceinwyn? - spytała szyderczo. - Jak ona się miewa?

- Dobrze - rzekłem.

- I przybędzie do Durnovarii przyjrzeć się Wezwaniu?

- Nie.

Nimue odwróciła się i zerknęła na mnie podejrzliwie.

- Ale ty tak?

- Tak, będę się przyglądał.

- A Gwydr? - spytała. - Przywieziesz Gwydra?

- Jeśli będzie miał chęć. Ale wpierw muszę spytać jego ojca o pozwolenie.

- Przekonaj Artura, że jego syn powinien przyjechać. Każde dziecko w Brytanii winno być świadkiem przybycia bogów. To będzie niezapomniany widok, Derflu.

- Więc mimo błędów Merlina bogowie przybędą? - spytałem.

- Przybędą - odparła mściwie Nimue. - Mimo błędów Merlina. Przybędą, ponieważ ja to sprawię. Dam temu staremu głupcowi, czego chce, bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie. - Zatrzymała się, odwróciła i złapała mnie za lewą rękę, by swym jednym okiem zmierzyć bliznę, którą miałem tam po wewnętrznej stronie. Ta szrama i przysięga zobowiązywały mnie, bym postąpił wedle jej woli. Wyczuwałem, iż jest gotowa zgłosić jakieś żądanie, lecz powstrzymała się w przebłysku ostrożności. Westchnęła, popatrzyła na mnie i wypuściła moją dłoń. - Teraz możesz iść własną drogą - powiedziała gorzkim tonem i odeszła.

Udałem się w dół wzgórza. Prostaczkowie nadal drapali się na Mai Dun, dźwigając drwa. Gowen powiedział, że ogień musi gorzeć prawie przez całą noc by napelnić niebo płomieniami i sprowadzić bogów na ziemię. A może, jeśli rytuały zostaną odprawione nie tak, jak trzeba, ogniska nie spowodują żadnego skutku.

Za trzy noce mieliśmy się dowiedzieć, co będzie.

Ceinwyn chciała przybyć do Durnovarii, by obejrzeć Wezwanie, lecz wilia Samain to noc, w którą zmarli nawiedzają ziemię, i Ceinwyn chciała zadbać o podarki dla Dian, a że byliśmy zobowiązani złożyć je w miejscu jej śmierci, zabrała nasze dwie żyjące córki do ruin grodu Ermida i tam pośród zgliszcz zostawiła dzban słabego miodu, posmarowany masłem chleb i garstkę orzechów w miodzie, które nasza córka tak lubiła. Siostry zostawiły Dian w zgliszczach dworu trochę kasztanów i jaj ugotowanych na twardo, po czym wszystkie schroniły się w pobliskim szałasie leśnika, strzeżone przez włóczników. Nie ujrzały Dian, albowiem w wilię Samain zmarli nigdy się nie pokazują, ale zaniedbywanie ich ściąga nieszczęście. Ceinwyn powiedziała mi później, iż rankiem całe jadlo znikło, a dzban był osuszony.

Przebywałem w Durnovarii, gdzie Issa dołączył do mnie z Gwydrem. Artur dał synowi pozwolenie na przyglądanie się Wezwaniu i chłopiec nie posiadał się z podniecenia. Tamtej zimy miał jedenaście lat, był pełen radości, życia i ciekawości. Po ojcu odziedziczył smukłą budowę, ale po matce urodę; miał jej długi nos i śmiałe wejrzenie. Był skory do psot, lecz nie do złego, i zarówno Ceinwyn, jak ja, bylibyśmy radzi, gdyby przepowiednia jego ojca się sprawdziła i ożeniłby się z naszą Morwenną. Ta decyzja miała zapaść dopiero za kilka lat, a do tej pory Gwydr miał mieszkać z nami. Chciał znaleźć się na szczycie Mai Dun i był rozczarowany, gdy wytłumaczyłem mu, że nikomu nie wolno tam przebywać poza tymi, którzy przeprowadzą ceremonię. Nawet ci, którzy zbudowali wielkie ogniska, zostali

odesłani. Jak setki innych ciekawskich, przybyłych z całej Brytanii, mieli oglądać Wezwanie z pól, poniżej wiekowego fortu.

Artur przybył rankiem w wilię Samain i widziałem, z jaką radością przywitał Gwydra. Chłopiec był mu źródłem szczęścia w tamte mroczne dni. Kuzyn Artura, Culhwch, ściągnął z Dumnonii w otoczeniu skromnej drużyny.

- Artur mówił mi, że nie powinienem przyjeżdżać - zwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem - ale nie mogłem tego opuścić.

Kulejąc, poszedł przywitać się z Galahadem, który ostatnie kilka miesięcy strzegł z Sagramorem granicy przed Sasami Aelle'a. Numidyjski wojownik został na posterunku, prosił więc Galahada, by przywiózł jego oddziałom w Durnovarii wieści o wydarzeniach pamiętnej nocy. Ten nastrój oczekiwania martwił Artura, który lękał się straszego zawodu wśród swych zwolenników, gdyby nic się nie wydarzyło.

Oczekiwania jedynie wzrosły, albowiem po południu król Powys, Cuneglas, wjechał do miasta i sprowadził ze sobą kilkunastu ludzi, w tym syna, Perddla, który był teraz niepewnym siebie młodzieńcem, zapuszczającym dopiero wąs. Cuneglas wziął mnie w objęcia. Był bratem Ceinwyn i ziemia nigdy nie nosiła zaciejszego człeka. Jadąc na południe, złożył wizytę Meurigowi, władcy Gwentu, i potwierdził, że ów monarcha nie jest chętny do starcia z Sasami.

- Wierzy, że jego bóg go ochroni - rzekł ponuro Cuneglas.

- Jak i my - powiedziałem, wskazując z okna pałacu w Durnovarii na stoki Mai Dun, na których zrobiło się gęsto od ludzi, pragnących znaleźć się blisko niesłychanych wydarzeń tej nocy. Wielu wcześniej próbowało wdrzeć się na szczyt wzgórza, lecz włócznicy Merlina nie dopuszczali tam nikogo. Na polu od północnej strony fortecy dzielna grupka chrześcijan modliła się hałaśliwie o to, by ich bóg zesłał deszcz i zmieszał szyki poganom, ale rozgniewany tłum przegnał ich precz. Pobito do utraty przytomności jakąś chrześcijankę i Artur posłał żołnierzy, by przywrócili spokój.

- Więc co się wydarzy tej nocy? - zapytał mnie Cuneglas.

- Może nic, królu.

- Przyjechałem z tak daleka po nic? - zrzędził Culhwch. Był pękatym, wojowniczym mężem o niewyparzonej gębie, którego zaliczałem do moich najbliższych druhów. Kulał, od kiedy saskie ostrze wżarło się w jego nogę podczas bitwy z żołnierzami Aelle'a nieopodal Londynu, ale nic sobie nie robił z rozległej szramy i chełpił się tym, że nadal mało kto dorównuje mu w polu. - A ty co tu robisz? - zapytał czupurnie Galahada. - Myślałem, że jesteś chrześcijaninem?

- Jako żywo.

- To pewne modlisz się o deszcz, he? - spytał oskarżycielsko Culhwch. Już padało, chociaż był to zaledwie kapuśniaczek, naciągający od zachodu. Niektórzy wierzyli, iż po mżawce przyjdzie piękna pogoda, ale oczywiście znaleźli się i tacy ponuracy, którzy wieścili potop.

- Jeśli faktycznie dziś w nocy spadnie ulewa - drażnił się z Culhwchem Galahad - przynasz, że mój bóg jest potężniejszy od twojego?

- Poderżnę ci gardło - zamruczał Culhwch, który za nic w świecie by tego nie uczynił, gdyż, podobnie jak ja, był starym przyjacielem Galahada.

Cuneglas poszedł na rozmowę z Arturem, Culhwch znikł, chcąc sprawdzić, czy pewna ruda dziewczka nadal sprzedaje swe wdzięki w gospodzie przy północnej bramie Dumovarii, podczas gdy Galahad, ja i młody Gwydr poszliśmy do miasta. Panował wesoły nastrój i można by pomyśleć, że w Durnovarii nastął wielki jesienny jarmark i zaanektował pobliskie błonia. Kupcy rozłożyli kramy, w tawernach wrzało jak w ulu, zonglerzy zadziwiali tłumy swoim sztuczkami, a rozliczni bardowie śpiewali pieśni. Tresowany niedźwiedź biegał w górę i w dół wzgórza pod oknem biskupa Emrysa, tym bardziej groźny, że ludzie raczyli go pitnym miodem. Zauważyłem, że biskup Sansum zerka przez okno na potężne zwierzę, ale kiedy mnie dostrzegł, cofnął się do środka, jakby go coś ugryzło, i zatrasnął drewniane okiennice.

- Jak długo będzie tu więziony? - spytał mnie Galahad.

- Aż Artur mu przebaczy - powiedziałem. - Co nieuchronnie nastąpi, jako że Artur zawsze przebacza swoim wrogom.

- To bardzo po chrześcijańsku z jego strony.

- I bardzo głupio z jego strony - rzekłem, sprawdzwszy wpierw, czy młodego Gwydra nie ma w pobliżu. Pobiegł obejrzeć miśka. - Ale nie spodziewam się, by Artur przebaczył twemu przyrodniemu bratu. Spotkałem się z nim kilka dni temu.

- Z Lancelotem? - W głosie Galahada było zdziwienie. - Gdzie?

- Był z Cerdykiem.

Galahad zrobił znak krzyża, nie przejmując się kwaśnymi minami, które to wywołało. W Durnovarii, jak w prawie wszystkich miastach Dumnonii, większość mieszkańców była chrześcijanami, ale dzisiaj ulice zapełnili wieśniacy, czciciele starych bogów, i wielu z nich paliło się do bójki z wyznawcami Chrystusa.

- Myślisz, że Lancelot będzie walczył za Cerdyka? - zapytał mnie.

- A czy on kiedykolwiek walczył? - odparłem sucho pytaniem na pytanie.

- Jest do tego zdolny.

- Jeśli w ogóle zawalczy, to u boku Cerdyka.

- W takim razie modłę się, bym miał szansę go zabić - powiedział Galahad i znów się przeżegnał.

- Jeżeli Merlinowe rachuby nie zawiodą, wtedy nie będzie wojny. Tylko rzeź pod wodzą bogów.

Galahad uśmiechnął się.

- Bądź ze mną szczery, Derflu, czy one na pewno nie zawiodą?

- Przybyliśmy właśnie po to, aby się o tym przekonać - rzekłem wymijająco i nagle uświadomiłem sobie, że w mieście musi się roić od saskich szpiegów, przybyłych w tym samym celu. Byli to pewnie zwolennicy Lancelota, Brytowie wmieszani niepostrzeżenie w cizbę, tłoczącą się od świtu. Jeśli Merlinowi się nie uda - pomyślałem - wtedy Sasi nabiorą otuchy i wiosenna bitwa będzie tym cięższa.

Deszcz wzmógł się i zawołałem Gwydra. Pobiegliśmy we trzech do pałacu. Gwydr błagał ojca o pozwolenie na oglądanie Wezwania z pól w pobliżu wałów, lecz Artur pokręcił przecząco głową.

- Jeśli nadal będzie tak padać, i tak nic się nie wydarzy - powiedział do syna. - Przeziębisz się tylko i... - Nagle przerwał. Miał na końcu języka: „...twoja matka będzie się na mnie gniewać”.

- I zarazisz Morwennę i Seren - dokończyłem za niego. - A one mnie, ja twojego ojca i cała armia będzie smarkać, kiedy nadejdą Sasi.

Gwydr zastanowił się, uznał, że to bzdura, i pociągnął ojca za rękę.

- Błagam, ojczel!

- Możesz przyglądać się z górnej sali, z nami wszystkimi - trwał przy swoim Artur.

- A w takim razie wolno mi wrócić i obejrzeć niedźwiedzia, ojczel? Jest coraz bardziej pijany i spuszcza na niego psy. Będę stał pod werandą, żeby nie zmoknąć. Obiecuję. Błagam, ojczel...

Artur pozwolił mu iść i posłałem za chłopcem Issę, by go pilnował, po czym wraz z Galahadem udaliśmy się do górnej sali pałacowej. Rok temu, kiedy Ginewra czasem odwiedzała ten pałac, był elegancki i czysty, lecz teraz stał zaniedbany, brudny i porzucony. Budynek wzniesli Rzymianie i Ginewra starała się przywrócić mu dawną świetność, ale oddziały Lancelota splądrowały go podczas rebelii i nie zrobiono nic, by naprawić szkody. Ludzie Cuneglasy rozpalili ognisko w sali i zar płonących główni powysadzał małe płytki posadzki. Brat Ceinwyn stał przy szerokim oknie, wpatrując się posepnie w kryte strzechą i dachówką dachy Durnovarii, w stoki Mai Dun, niemal schowane za welonami deszczu.

- Wypogodzi się, co? - spytał z nadzieją, kiedy weszliśmy.

- Pewnie się pogorszy - rzekł Galahad. W tym momencie na północy zahuczał piorun i deszcz wyraźnie zgęstniał, tłukąc o dach. Górne drwa na wzgórzu Mai Dun musiały przemoknąć, lecz jak na razie tylko one, bo warstwy środkowe i fundamenty powinny być nadal suche. W rzeczy samej stopy były bezpieczne jeszcze przez jakiś czas, lecz po dłuższej ulewie mogły nie rozgorzeć, jak trzeba.

- Deszcz przynajmniej otrzeźwi pijanych - zauważył Galahad.

W drzwiach sali pojawił się biskup Emrys; kraj czarnej szaty kapłana był przemoczony i zabłocony. Z niepokojem zmierzył wzrokiem budzących trwogę pogańskich włóczników Cuneglasa i pośpiesznie podszedł do nas, stojących przy oknie.

- Jest tu Artur? - spytał mnie.

- Jest gdzieś w pałacu - rzekłem, po czym przedstawiłem go królowi Cuneglasowi i dodałem, że biskup jest jednym z naszych dobrych chrześcijan.

- Ufam, iż wszyscy jesteśmy dobrzy, szlachetny Derflu - powiedział Emrys, kłaniając się królowi.

- Na mój rozum dobrzy chrześcijanie to tacy, którzy nie zbuntowali się przeciwko Arturowi - rzekłem.

- A to był bunt? - zachnął się Emrys. - To było szaleństwo, szlachetny Derflu, wywołane nabożną nadzieją, i śmiem twierdzić, iż to, co czyni dziś Merlin, jest dokładnie tym samym. Podejrzewam, że spotka go zawód, tak jak moje biedne owieczki ubiegłego roku. Ale jaka będzie natura tego zawodu, co przyniesie nam ta noc? Przybyłem tu, by znaleźć odpowiedzi na te pytania.

- Co niby ma się stać? - wtrącił się Cuneglas.

Emrys wzruszył ramionami.

- Jeśli bóg Merlina się nie pojawi, królu, kto będzie temu winien? Chrześcijanie. I kogo tłum rozszarpie na kawałki? Chrześcijan. - Przeżegnał się. - Pragnę, by Artur obiecał, że będzie nas strzegł.

- Jestem pewien, że uczyni to z ochotą - rzekł Galahad.

- Dla ciebie, biskupie, na pewno - dodałem.

Stary Emrys stał lojalnie przy Arturze, poczciwy z natury, chociaż równie ostrożny w radzie, co uroczyście powolny w ruchach. Podobnie jak ja był członkiem Rady Królewskiej, pozornie ciała doradzającego Mordredowi, chociaż teraz, kiedy nasz król był więźniem w Lindinis, rzadko się spotykaliśmy. Artur zasięgał naszej opinii na osobności, po czym sam

podejmował decyzje. Ale naprawdę miał na głowie jeden ciężar - przygotowanie Dumnonii na inwazję Sasów - i wszyscy zostawialiśmy mu go z ulgą.

Widlasty piorun rozplątał szare chmury, a po chwili grom przeleciał nad nami z takim hukiem, iż odruchowo przykucnęliśmy. Deszcz, już mocny, nagle się wzmógł, tłukąc wściekle o dachy, i mętne strumienie błotnistej wody pobiegły ulicami i zaułkami Durnovarii. Na podłodze wyrosły kałuże.

- Może bogowie nie chcą być wezwani? - zauważył lodowato Cuneglas.

- Merlin powiada, że są bardzo daleko, więc ta ulewa to nie ich sprawka - rzekłem.

- Co jasno dowodzi, iż za tym deszczem stoi potężniejszy bóg - dowodził Emrys.

- Na twoje żądanie? - zapytał kwaśno Cuneglas.

- Nie modliłem się o deszcz - odparł Emrys. - W rzeczy samej, jeśli miałyby was to ucieszyć, panie królu, będę modlił się, aby przestał padać. - Po czym zamknął oczy, rozłożył szeroko ramiona i uniosł głowę w modlitwie. Solenna powaga tej chwili została do pewnego stopnia zniweczona przez ciurkającą strużkę, która z dziurawego dachu trafiała prosto na tonsurę, lecz biskup skończył modlitwę i się przeżegnał.

I cudem, w chwili, w której pulchna dłoń Emrysa zrobiła znak krzyża na jego brudnej szacie, deszcz zaczął rzednąć. Zachodni wiatr przyniósł jeszcze kilka szkwałów, ale bębnienie o dach nagle ustało i przestwór między naszym wysokim oknem a grzbietem Mai Dun zaczął się przejaśniać. Wzgórze pozostało mroczne pod szarymi chmurami i stara forteca była niewidoczna, wyjąwszy oddziałek włóczników strzegący wałów i grupkę pielgrzymów, przycupniętych tak wysoko na stoku, jak pozwoliła im śmiałość. Emrys nie był pewien, czy cieszyć się, czy bać skuteczności swojej modlitwy, ale my, pozostali, byliśmy pod wrażeniem, zwłaszcza gdy chmury na zachodzie rozwarły się i skośny promień słabego światła utrafił w zielone stoki Mai Dun.

Niewolnicy przynieśli grzane piwo i zimne mięsa, ale nie miałem apetytu. Przyglądałem się jeno, jak popołudnie przechodzi w wieczór i chmury rwą się na coraz mniejsze strzępki. Niebo pojaśniało, a zachód przemieniał się w wielki rozpalony piec, zionący czerwienią nad dalekim Lyonesse. Słońce zachodziło, zaczynała się wilia Samain i w całej Brytanii, a nawet chrześcijańskiej Irlandii, ludzie zostawiali jadło i napitki zmarłym, którzy przekroczą przepaść Annwnu po Moście z Mieczu. To była noc, kiedy upiorna procesja zjaw przybywa odwiedzić ziemię, na której oddychały, kochały i umarły. Wielu postradało życie na Mai Dun i w tę noc wzgórze będzie tłoczne od widm; tak więc, co nieuniknione, pomyślałem o malej zjawie Dian, błakającej się samotnie wśród ruin grodu Ermida.



Artur stawiał się we dworze i pomyślałem: jakże inaczej wygląda bez Excalibura zwisającego u boku. Odchrząknął, gdy ujrzał, że deszcz przestał padać, a następnie wysłuchał prośby biskupa.

- Moi łucznicy będą na ulicach - zapewnił Emrysa. - Jeśli tylko twoi ludzie nie będą drażnić niechrześcijan, nic im nie grozi. - Wziął od niewolnika róg z miodem. - W ogóle chciałem się z tobą spotkać - rzekł i opowiedział biskupowi o swoich niepokojach związanych z królem Gwentu, Meurigiem. - Jeśli nie będzie walczył, Sasi przerosną nas liczebnie.

Emrys zbladł jak chusta.

- Gwent z pewnością nie da Dumnonii upaść!

- Gwent przekupiono, biskupie - rzekłem i opowiedziałem, jak Aelle wpuszczał misjonarzy Meuriga na swoje ziemie. - Dopóki Meurig jest przekonany, że da się nawrócić Sasów, dopóty nie podniesie przeciwko nim miecza.

- Myśl o ewangelizacji Sasów budzi radość w moim sercu - powiedział nabożnie Emrys.

- Nie ulegaj temu uczuciu - ostrzegłem go. - Kiedy tylko ci kapłani przysłużą się Aelle'owi, poderżnie im gardła.

- A potem nam - dodał ponuro Cuneglas. On i Artur zdecydowali się złożyć wspólną wizytę królowi Gwentu i teraz Artur nalegał, by Emrys do nich dołączył.

- On cię usłucha, biskupie - powiedział Artur. - A jak go przekonasz, iż chrześcijanie w Dumnonii są bardziej zagrożeni przez Sasów niż przeze mnie, to może zmieni zdanie.

- Pojadę z chęcią - zgodził się biskup. - Z wielką chęcią.

- Należy przynajmniej przekonać młodego Meuriga, żeby przepuścił moją armię przez swoje terytorium - powiedział ponuro Cuneglas.

Artur sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Może odmówić?

- Tak donoszą moi szpiedzy - odparł Cuneglas, po czym wzruszył ramionami. - Lecz jeśli Sasi faktycznie się zjawiają, przetną jego ziemie bez względu na to, czy się zgodzi, czy nie.

- I wybuchnie wojna Gwentu z Powys - zauważył kwaśno Artur. - A to pomoże tylko Sasom. - Wzdrygnął się. - Czemu Tewdryk w ogóle zrezygnował z tronu?

Tewdryk, ojciec Meuriga, chociaż był chrześcijaninem, zawsze wiódł swoich ludzi u boku Artura przeciwko Sasom.

Ostatnie czerwone światło na zachodzie zbladło. Przez dłuższą chwilę świat zawisł między światłem a mrokiem, a potem połknęła nas otchłań. Staliśmy w oknie, owiewani

wilgotnym wiatrem, i przyglądaliśmy się, jak pierwsze gwiazdy przekuwają rozdarcia chmur. Sierp księżycy wisi nisko nad Morzem Południowym, gdzie jego blask rozmywał się na krawędziach chmur, ukrywających gwiazdy, głowę konstelacji Smoka. Nadchodziła noc wili Samain i przybywali umarli.

Jaśniało tylko parę okien w domach Durnovarii, ale cała wiejska okolica była jednolicie czarna, wyjąwszy kępę drzew na grani odległego wzgórza, srebrzoną włócznią księżycowej poświaty. Mai Dun było jedynie cieniem wyrosłym w ciemności, czernią w czarnym sercu nocy umarłych. Mrok pogłębiał się, pojawiały się kolejne gwiazdy i księżyc mknął rącho między bryzgami chmur. Umarli sunęli teraz masą po Moście z Mieczu i byli wśród nas, w tym pałacu, chociaż nie mogliśmy ich dostrzec lub usłyszeć, w każdej dolinie, mieście i domostwie Brytanii, gdy tymczasem na polach bitewnych, gdzie tak wiele dusz wydarto z ciał, umarli błakali się chmarami licznymi jak stada szpaków. Dian była pod drzewami grodu Ermida, a upiory nadal przebywały Most z Mieczu, wypełniając wyspę Brytanię, Pewnego dnia pomyślałem - ja też przybędę w taką noc, aby ujrzeć moje dzieci i ich dzieci, i dzieci ich dzieci. Po wieczność moja dusza będzie błakać się po ziemi w każdą wilię Samain.

Wiatr ucichł. Księżyc znów ukrył się za wielkim zwałem chmur, wiszących nad Armoryką, ale niebiosa nad nami przetały się. Gwiazdy, domostwa bogów, świeciły w pustce. Culhwch przybył z powrotem do pałacu i dołączył do nas przy oknie, gdzie stłoczyliśmy się, oglądając noc. Gwydr powrócił z miasta, chociaż po chwili znudził się wpatrywaniem w mokrą czerń i poszedł do swoich przyjaciół między pałacowymi włócznikami.

- Kiedy wreszcie zaczną się rytuały? - zapytał Artur.

- Już niebawem - powiedziałem. - Ogniska muszą gorzeć przez sześć godzin, zanim nastąpi początek ceremonii.

- Jak Merlin liczy godziny? - spytał Cuneglas.

- W głowie, panie królu - odparłem.

Umarli wślizgiwali się między nas. Wiatr opadł zupełnie i bezruch powietrza sprawił, że psy w mieście zaczęły wyć. Gwiazdy w ramach chmur, posrebrzonych po brzegach, wydawały się nienaturalnie jasne.

A potem, zupełnie nagle, z ciemności wewnątrz głębokiej nocnej ciemności, na szerokim obwałowanym szczycie Mai Dun, zapłonęło pierwsze ognisko i zaczęło się Wzywianie.



Przez chwilę ten jeden płomień górował, jasny i czysty, nad wałami Mai Dun, potem ogień opanował rozległą misę, wypełnioną niewyraźnym dymnym światłem, okoloną ziemnymi murami. Wyobraziłem sobie ludzi wciskających pochodnie głęboko w wysokie, rozległe przyzmy, biegnących z ogniem do centralnej spirali albo wzdłuż zewnętrznych kręgów. Drewno początkowo powoli zajmowało się ogniem, płomienie z sykiem oplatały zwilgotniałe drwa, ale żar stopniowo pokonywał wilgoć, blask rósł coraz to wyżej, aż światło wystrzeliło w noc, wielkie i triumfujące. Wierzchołek wzgórza był teraz grzebieniem ognia, wzburzonym odmętem płomieni, nad którym poczerwieniałe kłęby dymu wznosiły się ku niebu. Ogniska były na tyle jasne, że rzucały migotliwe cienie na Durnovarie. Ludzie wypełnili ulice; niektórzy wspięli się na dachy, by obserwować odległą burzę ognia.

- Sześć godzin? - zapytał mnie z niewiarą Culhwch.

- Tak powiedział mi Merlin.

Culhwch splunął.

- Sześć godzin! Mógłbym wrócić do rudej.

Lecz nie ruszył się z miejsca, w rzeczy samej nikt z nas się nie ruszył. Nie spuszczaaliśmy oczu z tańca płomieni nad wzgórzem. To był stos Brytanii, koniec historii, wezwanie bogów; przyglądaliśmy się temu w napiętej ciszy, jakbyśmy spodziewali się ujrzeć rozdarcie dymnej kurtyny i zstąpienie bogów.

Nie kto inny, lecz Artur przerwał milczenie.

- Żarcia - rzekł prostacko. - Jak mamy czekać sześć godzin, to równie dobrze możemy jeść.

Podczas biesiady mówiliśmy niewiele, głównie o królu Meurigu i strasznej możliwości, iż nie będzie angażował swoich włóczników w zbliżającą się wojnę. Jeśli w ogóle wojna wybuchnie - myślałem wciąż i zerkąłem za okno, gdzie tańczyły płomienie i kłębił się dym. Próbowałem liczyć godziny, ale nim skończył się posiłek, nie wiedziałem, czy minęła jedna czy dwie, i znów staliśmy przy otwartym wielkim oknie, wpatrzeni w Mai Dun, gdzie po raz pierwszy zgromadzono Skarby Brytanii. Kosz z Garanhiru - wiklinowy sprzęt mogący pomieścić bochen chleba i parę ryb, chociaż wiklina był już tak przetarta, że każda szanująca się niewiasta dawno wyrzuciłaby go do paleniska. Róg z Bran Galedu - woli róg, szerniały ze starości i wykruszony na obwiedzionych cyną brzegach. Rydwan z Modrony, który się z czasem połamał i był tak maleńki, że tylko dziecię mogłoby nim jeździć, jeśli w ogóle ktoś potrafiłby go sklecić. Uździenica z Eiddynu - uzda wołu, kawałki postrzępionego sznura i zardzewiałych żelaznych kółek; nawet najbiedniejszy wieśniak niechętnie by ją wykorzystał. Nóż z Laufrodeddu - stępiony, szeroki i ze złamaną drewnianą rękojeścią.

Osełka z Tudwalu - starta do ostateczności, tak że każdy rzemieślnik wstydziłby się takiego narzędzia w swoim warsztacie. Kaftan z Padarnu - wytarty, połatany ubiór zebraczy, ale nadal w lepszym stanie niż Opończa z Rhegaddu, mający niby zapewnić swojemu posiadaczowi niewidzialność, ale nie lepszy teraz niż pajęczyna. Talerz z Rhygenyddu - płaskie drewniane naczynie, popękane tak, że niezdatne do jakiegokolwiek użytku. Pierścień z Elunedu - wyglądający jak zwykły pierścień żołnierski, proste metalowe kółeczka, które włócznicy lubili robić z oręża zabitych wrogów, ale każdy z nas już wyrzucił lepiej wyglądające pierścienie żołnierskie. Jedynie dwa Skarby miały jakąś wartość same w sobie. Jednym był miecz z Rhydderchu, Excalibur, wykuty w zaświatach przez samego Gofannona, a drugim - Kocioł z Clyddno Eiddyn. Teraz wszystkie one, zarówno nic niewarte, jak i wspaniałe, były otoczone kręgami ognia, by wezwać odległych bogów.

Niebo nadal się przejaśniało, chociaż trochę chmur zbierało się nad południową częścią horyzontu, gdzie zaczęły migotać błyskawice. Te błyskawice były pierwszymi zwiastunami bogów i z lęku przed nimi dotknąłem żelaznej rękojeści Hywelbane'a, ale wielkie błyski światła wykwiwały bardzo daleko, może nad morzem lub jeszcze dalej, nad Armoryką. Przez jakiś czas błyskawice dziobały niebo na południu, ale zawsze w ciszy. Raz wydało się, iż cała chmura zapłonęła od środka; zaparło nam dech w piersiach, a biskup Emrys się przeżegnał.

Odległe błyski znikwały, tak że noc rozświetlał jedynie wielki ogień buzujący wewnątrz wałów Mai Dun. Był to sygnał do przekroczenia zatoki Annwnu, blask sięgający w ciemność między światami. Co myślą zmarli - zastanawiałem się. Czy horda dusz tłoczy się wokół Mai Dun, by ujrzeć Wezwanie? Wyobraziłem sobie odbicia płomieni, migocące w ostrzach Mostu z Mieczy i może sięgające w głąb samych zaświatów, i wystraszyłem się. Błyskawice znikły i teraz nic się nie działo, pominąwszy gigantyczne zmagania ognia, lecz myślę, że wszyscy byliśmy świadomi tego, że świat drży na krawędzi zmiany.

Wtem, nie wiedzieć kiedy, przyszedł następny znak. Galahad ujrzał go pierwszy. Przeżegnał się, wpatrzony w okno, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom, po czym wskazał na wielki pióropusz dymu, który rzucał welon na gwiazdy.

- Widzicie? - spytał i wszyscy rzuciliśmy się, by popatrzeć w górę.

I ujrzałem, że na niebie wyrastają światła nocy.

Wszyscy oglądaliśmy już kiedyś takie światła, chociaż nieczęsto, ale ich pojawienie się w tę noc było z pewnością znaczące. Początkowo migotała tylko niebieska poświata, z każdą chwilą coraz mocniejsza i jaśniejsza, aż dołączyła do niej czerwona kurtyna ognia, tworząc falującą oponę, zawieszoną pośród gwiazd. Merlin powiedział mi, że takie światła są

rzeczą zwyczajną na północy, lecz te wisiały na południu i, o cudzie!, nagle całą przestrzeń nad naszymi głowami zalały niebieskie, srebrne i szkarłatne kaskady. Wszyscy wybiegliśmy na dziedziniec, by lepiej widzieć, i staliśmy tam rażeni zachwytem i lękiem, a niebiosy płonęły. Z dziedzińca nie widzieliśmy już ognia Mai Dun, lecz te odbijały się na południowym niebie, gdy jeszcze bardziej niesamowite światła rozpięły cudowny łuk nad naszymi głowami.

- Czy teraz wierzycie, biskupie? - spytał Culhwch.

Emrys nie mógł wykrztusić słowa, ale wreszcie zadygotał i dotknął drewnianego krzyża wiszącego na piersi.

- Nigdy nie zaprzeczaliśmy istnieniu innych mocy - powiedział cicho. - Chodzi jedynie o to, że wierzymy, iż nasz bóg jest jedynym prawdziwym bogiem.

- A inni bogowie to niby czym są? - spytał Cuneglas.

Emrys zmarszczył czoło, początkowo nieskłonny odpowiadać, lecz uczciwość nie pozwoliła mu na milczenie.

- Są mocami ciemności, panie królu.

- Niewątpliwie mocami światła - rzekł zachwycony Artur, bo nawet on był poruszony. Ten Artur, który wolałby, aby bogowie nigdy się z nami nie kontaktowali, ujrzał ich moc i był wniebowzięty. - Co więc się teraz stanie? - spytał.

Zadał to pytanie mnie, ale odpowiedział biskup Emrys.

- Ktoś albo coś umrze, panie - powiedział.

- Umrze? - powtórzył Artur, nie będąc przekonany, czy słuch go nie myli.

Emrys udał się pod krużganki, jakby obawiał się czarów, które migotały i płonęły tak jasno poniżej gwiazd.

- Ofiara jest częścią każdej wiary - rzekł pedantycznie. - Nawet my wierzymy w jej moc. Z tym zastrzeżeniem, iż w chrześcijaństwie to Syn Boży został zabity, aby już nikt następny nie musiał iść pod nóż ofiarny, ale nie znajduję żadnej innej wiary, w której śmierć nie byłaby częścią misteriów. Ozyrys został zabity... - Nagle zdał sobie sprawę, że mówi o kulcie Izydy, zakazanym przez Artura, i spiesznie dodał: - Mitra też zginął, a jego kult wymaga ofiar z byków. Wszyscy nasi bogowie umierają, panie, i wszystkie religie, wyjąwszy chrześcijaństwo, odtwarzają ich śmierć jako część kultu.

- My, chrześcijanie, wyszliśmy poza śmierć, w życie - zauważył Galahad.

- Bogu niech za to będzie chwała - zgodził się z nim Emrys, robiąc znak krzyża. - Lecz Merlin nie. - Światła na niebie spotężniały; przypominały wielkie barwne kurtyny. -

Umieranie zapewnia najpotężniejsze czary - rzekł z naganą biskup. - Miłosierny Bóg nie zezwala na zabijanie i skończył z nim, uśmiercając swego Syna.

- Merlin nie składa krwawych ofiar - rzucił z gniewem Culhwch.

- Składa - powiedziałem cicho. - Zanim udaliśmy się po Kocioł, złożył w ofierze człowieka. Powiedział mi o tym.

- Kogo? - ostro zapytał Artur.

- Nie wiem, panie.

- Pewnie tylko tak plół - rzekł Culhwch, spozierając w górę. - DUBY SMALONE TO MERLINOWA SPECJALNOŚĆ.

- Lub, co bardziej prawdopodobne, mówił prawdę - rzekł Emrys. - Stare religie domagały się wiele krwi i zwykle była to ludzka krew. Oczywiście, wiemy bardzo mało, ale pamiętam, jak stary Baliz opowiadał mi, że druidowie lubili zabijać. Zwykle więźniów. Niektórych spalano żywcem, innych wrzucano do dołów śmierci.

- I niektórzy z nich uciekli - dodałem cicho, gdyż mnie samego, naonczas małe dziecko, ciśnięto do druidowego dołu śmierci, a ucieczka spośród tych strasznych, potrzaskanych, umierających ciał zaprowadziła mnie do Merlina, który mnie adoptował.

Emrys zignorował mój wtęret.

- Zdarzały się okazje, kiedy, oczywiście, konieczna była cenniejsza ofiara. W Elmet i Cornovii nadal wspomina się o ofierze złożonej w Czarnym Roku.

- Co to była za ofiara? - zapytał Artur.

- Może to tylko legenda - kontynuował Emrys - gdyż zdarzenie miało miejsce w zbyt zamierzchłych czasach, iżby zachowała się o nim dokładna pamięć. - Biskup opowiadał o Czarnym Roku, w którym Rzymianie opanowali Ynys Mon, wyrывая serce druidyzmu; to mroczne wydarzenie nastąpiło ponad czterysta lat temu. - Ale ludzie w tamtych stronach nadal gadają o ofierze króla Cefydd. Dawno słyszałem tę opowieść, ale Baliz wierzył w jej prawdziwość. Cefydd, oczywiście, stanął naprzeciw rzymskiej armii i groziła mu klęska, tak więc złożył w ofierze to, co miał najcenniejszego.

- Czyli...? - naciskał go Artur. Zapomniał o światłach na niebie i wpatrywał się nieruchomo w biskupa.

- Własnego syna, oczywiście. Zawsze tak było, panie. Nasz Bóg, poświęcił swojego Syna i nawet zażądał od Abrahama zabicia Izaaka, chociaż, oczywiście, odstąpił od tego żądania. Lecz druidzi nakłonili Cefydd do zabicia syna. Oczywiście, był to próżny trud. Historia mówi, że Rzymianie wymordowali Cefydd i jego armię, po czym wycięli święte gaje druidów w Ynys Mon. - Wyczułem, że biskupa kusi, aby wyrazić podziękowanie jego

bogu za to, co się wtedy stało, ale Emrys nie był Sansumem i miał na tyle taktu, iż nie wyraził swoich uczuć.

Artur podszedł do arkad.

- Co dzieje się na tamtym wzgórzu, biskupie? - spytał przyciszonym głosem.

- Nie jestem mocen tego wiedzieć, panie - rzekł z oburzeniem Emrys.

- Ale sądzisz, że ktoś tam oddaje życie?

- Myślę, że to możliwe, panie - powiedział ze zdenerwowaniem biskup. - Myślę nawet, że to bardziej niż możliwe.

- Kto? - zapytał władczo Artur i jego chrapliwy głos sprawił, iż wszyscy na dziedzińcu odwrócili wzrok od cudów na niebie i spoglądali na niego.

- Jeśli to stara ofiara, panie, największa ofiara, w takim razie tym, kto odda życie, będzie syn władcy.

- Gowen, syn Budyka - rzekłem po cichu. - I Mardok.

- Mardok...? - Artur odwrócił się gwałtownie ku mnie.

- Dziecię Mordredowe - odparłem, nagle pojmując, dlaczego Merlin pytał mnie o Cywwylogę i dlaczego zabrał dziecko na Mai Dun, dlaczego traktował chłopca tak dobrze. Czemu nie pojmwiałem tego wcześniej? Teraz wydawało się to oczywiste.

- Gdzie Gwydr? - nagle zapytał Artur.

Przez długą chwilę nikt nie odpowiadał, po czym Galahad wskazał na wartownię.

- Był z włócznikami, podczas kiedy my wieczerzaliśmy - rzekł.

Lecz nie było go tam ani w sypialni Artura. Nigdzie go nie było i nikt nie widział go od zmierzchu. Artur zupełnie zapomniał o czarodziejskich światłach, gdy przetrząsał pałac od piwnic po strychy, wciąż nie znajdując znaku syna. Myślałem o tym, co Nimue rzekła mi na Mai Dun, gdy zachęcała mnie do sprowadzenia Gwydra do Durnovarii; przypomniałem sobie jej kłótnię z Merlinem w Lindinis na temat tego, kto naprawdę rządzi Dumnonią. Nie chciałem uwierzyć w moje podejrzenia, lecz nie mogłem ich zignorować.

- Panie! - Pociągnąłem Artura za rękaw. - Myślę, iż zabrano go na wzgórze. Nie uczynił tego Merlin, lecz Nimue.

- Nie jest synem króla - wtrącił nerwowo Emrys.

- Gwydr jest synem rządzącego! - krzyknął Artur. - Czy ktoś temu zaprzeczy?! - Nie znalazł się nikt taki i nagle nikt nie miał odwagi przemówić. Artur odwrócił się ku pałacowi. - Hygwydd! Miecz, włócznie, tarczę, Llamrel! Szybko!

- Panie! - To Culhwch chciał coś wtrącić.



- Szybko! - krzyknął Artur. Ogarnęła go furia i skierował ją na mnie, albowiem to ja zachęciłem go, by pozwolił Gwydrowi na przybycie do Durnovarii. - Czy wiedziałeś, co się ma wydarzyć? - spytał mnie.

- Oczywiście że nie, panie. Nadal tego nie wiem. Czy myślicie, że skrzywdziłbym Gwydra?

Przewiercał mnie wściekłym spojrzeniem, po czym odwrócił się.

- Nikt z was nie musi jechać - rzucił przez ramię. - Lecz ja wybieram się na Mai Dun po syna. - Szparko przemierzył dziedziniec ku miejscu, w którym Hygwydd, sługa, trzymał Llamrel, podczas gdy stajenny ją siodłał. Za nim bez słowa podążył Galahad.

Przyznaję, że przez chwilę się nie poruszyłem. Nie chciałem się ruszyć. Pragnąłem przybycia bogów. Pragnąłem końca wszystkich naszych kłopotów w wielkim łopocie skrzydeł i cudownym pojawieniu się Beli Mawra przemierzającego ziemię. Pragnąłem Brytanii Merlina.

I wtem wspomniałem Dian. Czy moja najmłodsza córka była na tym pałacowym dziedzińcu owej nocy? Jej dusza musiała przebywać na ziemi, gdyż była to wilia Samain, i nagle łzy nabiegły mi do oczu, gdy wspomniałem przedśmiertną mękę utraconego dziecięcia. Nie mogłem stać beczynnym na dziedzińcu pałacu, podczas gdy umierał Gwydr lub cierpiał Mardok. Nie chciałem udawać się na Mai Dun, lecz wiedziałem, że nie będę mógł zjawić się przed obliczem Ceinwyn, jeśli nie uczynię nic, by zapobiec śmierci dziecka, tak więc podążyłem za Arturem i Galahadem.

Zatrzymał mnie Culhwch.

- Gwydr to syn kurwy - warknął na tyle cicho, że Artur nie mógł tego usłyszeć.

Nie czas było spierać się o pochodzenie chłopca.

- Jeśli Artur pojedzie sam, zostanie zabity - oświadczyłem. - Na tym wzgórzu są dwie dwudziestki Tarczowników Czarnych.

- A jak pojedziemy, zrobimy sobie wroga z Merlina - ostrzegł mnie Culhwch.

- A jak nie pojedziemy, zrobimy sobie wroga z Artura - odparłem.

Cuneglas podszedł do mojego boku i położył mi rękę na ramieniu.

- Więc...?

- Jadę z Arturem - zdecydowałem. Nie chciałem tego czynić, ale nie miałem innego wyboru. - Issa! Konia!

- Jak ty jedziesz, to chyba i ja muszę - mruknął Culhwch. - Choćby po to, żeby mieć pewność, że nikt nie rozwali ci łba. - I nagle wszyscy wołaliśmy o konie, oręż i tarcze.

Czemu pojechaliśmy? Ileż to razy rozmyślałem o tamtej nocy. Nadal widzę światła mrugające na niebie, czuję woń dymu opadającego ze szczytu Mai Dun i czuję wielki ciężar czarów przygniatający Brytanię, a jednak jechaliśmy. W tamtą zalaną płomieniami noc byłem rozdarty. Pchało mnie roztkliwienie wzbudzone myślami o śmierci dziecka, wspomnieniem Dian i pchało mnie poczucie winy, bo to ja doprowadziłem do tego, że Gwydr znalazł się w Durnovarii, lecz przede wszystkim pchało mnie uczucie, jakie miałem wobec Artura. A co z uczuciem wobec Merlina i Nimue? Sądzę, że oni nigdy mnie nie potrzebowali, w przeciwieństwie do Artura, a w tamtą noc, gdy Brytania znalazła się w potrzasku między ogniem i światłem, jechałem ratować syna mego pana.

Było nas dwunastu. Artur, Galahad, Culhwch, Issa oraz Cuneglas i jego ludzie. Dziś, gdy nadal krąży ta opowieść, uczy się dziatwę, iż Artur, Galahad i ja byliśmy trzema niszczycielami Brytanii, lecz w tamtą noc umarłych dosiadło koni dwunastu jeźdźców. Nie mieliśmy zbroi, jedynie tarcze, a każdy mąż miał za oręż włócznię i miecz.

Prosty lud rozpierzchnął się na boki oświetlonych ogniskami ulic, gdy mknęliśmy do południowej bramy Durnovarii. Stała otworem, jak w każdą wilię Samain, aby zmarli mieli dostęp do miasta. Schyleni nad końskimi karkami, minęliśmy bramę, udając się na południowy zachód między polami wypełnionymi ludźmi, którzy wpatrywali się w osłupieniu i zachwycie w wirujące odmęty płomieni i dymu, spływające ze szczytu wzgórza.

Artur narzucił przeraźliwą szybkość i trzymałem się łęku siodła, myśląc ze strachem, że spadnę. Nasze płaszcze rozłożyły się na wietrze, pochwy tłukły o uda, niebo pełne było dymu i światła. Poczułem woń płonącego drewna i usłyszałem trzask płomieni na długo przed tym, nim dotarliśmy do stoku.

Nikt nie próbował nas powstrzymać, kiedy poganialiśmy wierzchowce w górę. Dopiero gdy dotarliśmy do labiryntu przed bramą, natknęliśmy się na pierwszych włóczników. Artur znał fortecę, bo kiedy wraz z Ginewrą mieszkali w Durnovarii, często przychodzili latem na jej szczyt, powiódł nas więc bezbłędnie krętym przejściem, i to właśnie tam trzej Tarczownicy Czarni skierowali przeciwko nam włócznie, usiłując nas powstrzymać. Artur się nie zawahał. Wbił pięty w boki klaczy, opuścił długą włócznię i zmusił Llamrel do galopu. Włócznicy odskoczyli na bok, krzycząc bezsilnie, gdy wielkie konie bojowe przemknęły obok nich.

Hałas i światła przesyciły noc. Wielkie bierwiona głośno pękały w sercu nienasyconych płomieni. Dym zasłonił nocne światła. Włócznicy krzyczeli na nas z wałów, ale nikt nie stawiał nam oporu, gdy wdarliśmy się na szczyt Mai Dun.

Tam zostaliśmy zatrzymani, nie przez Tarczowników Czarnych, lecz przez uderzenie smalącego żaru. Llamrel cofała się i obracała bokiem do ognia, podczas gdy Artur wczepił się w grzywę zwierzęcia. Wielkie ślepia klaczy czerwieniły się odbłyskiem ognia. Żar bił jak od tysiąca kuźni; napierało na nas gorejące powietrze, tak że cofnęliśmy się całą gromadą. Nie widziałem niczego wewnątrz płomieni, środek był bowiem ukryty za płonącymi ścianami ognia. Artur kopnięciem skierował ku mnie Llamrel.

- Którędy?! - krzyknął.

Nie miałem pojęcia.

- Jak Merlin dostał się do środka? - spytał.

Pozostało mi zgadywać.

- Z drugiej strony, panie!

Świątynia stała po wschodniej stronie labiryntu ognia i podejrzewałem, iż przejście musi wieść przez zewnętrzne spirale.

Artur zebrał wodze i popędził Llamrel po stoku wewnętrznego wału, do ścieżki biegnącej po jego zwieńczeniu. Tarczownicy Czarni woleli uciec, niż stawić mu czoło. Jechaliśmy wałem, śladem Artura, i chociaż nasze konie były przerażone wielkim ogniskiem po prawej, gnały za Llamrel przez wirujące iskry i dym. Wielka część ogniska zawaliła się, kiedy mijaliśmy ją galopem, i mój koń uchylił się od ognistego piekła, tak że przez chwilę spodziewałem się, iż spadniemy w dół, do rowu, i rozpaczliwie wychyliłem się z siodła, lewą ręką trzymając się grzywy; ale klacz jakimś cudem odzyskała równowagę, wróciła na ścieżkę i pogalopowała dalej.

Minąwszy północną granicę wielkich ognistych kręgów, Artur skierował się ku szczytowemu płaskowyżowi. Płonący węgielek wylądował na jego białym płaszczu i wlna natychmiast zaczęła się tlić, więc dopędziłem go i stłumiłem zarodek ognia.

- Którędy?! - zapytał.

- Tamtędy, panie! - Wskazałem spirale najbliższe małej świątyni. Nie widziałem tam żadnego przejścia, ale gdy znaleźliśmy się bliżej, stało się jasne, że zasunięto je stosem drewna, jednakże był on dość rzadki i sięgał jedynie na wysokość pasa mężczyzny, podczas gdy stopy po jego bokach sięgały na osiem, dziesięć stóp. Za tym obniżeniem znajdowała się pusta przestrzeń - wolna od ognia, lecz nie od czekających Tarczowników Czarnych.

Artur podprowadził Llamrel stępa ku zamaskowanemu przejściu w ścianie ognia. Pochylony mówił do klaczy, prawie jakby jej tłumaczył, czego chce. Była wystraszona. Wciąż kładła uszy po sobie, stąpała krótkimi nerwowymi kroczkami, ale nie cofała się przed buchającym ogniem, płonącym z obu stron jedyne przejścia do serca wszystkich ognisk.

Artur zatrzymał ją kilka kroków przed przeszkodą i uspakajał, lecz zwierzę wciąż rzucało łbem i wytrzeszczało ślepią. Dał klaczy obejrzeć przejście, poklepał ją po szyi, znów przemówił i zawrócił.

Zatoczył szerokie koło i spiął Llamrel do krótkiego galopu, raz, drugi, naprowadzając na przeszkodę. Rzucała łbem i myślałem, że skoczy w bok, ale nagle jakby się zdecydowała i frunęła ku płomieniom. Za nią Cuneglas i Galahad. Culhwch przeklinał ryzyko, jakie podejmujemy, a potem wszyscy pognaliśmy konie w ślad za Llamrel.

Artur skulił się nad karkiem klaczy, gdy ta niosła go w ogień. Zwierzę samo ustalało szybkość i znów zwolniło. Myślałem, iż się wylęknie, lecz Llamrel zebrała się do skoku. Krzychałem, usiłując skryć lęk, a wtedy skoczyła i straciłem ją z oczu, gdy wiatr unióś z płomieni dymną zasłonę, tuż nad obniżeniem w kręgu. Galahad pokonał go drugi, ale koń Cuneglasa wyłamał przeszkodę. Moja klacz galopowała ile sił w nogach za Culhwchem, a żar i huk ognia wypełniały powietrze. Chyba po części modliłem się, by odmówiła mi posłuszeństwa, ale pędziła przed siebie, a gdy otoczyły mnie płomienie i dym, zamknąłem oczy. Poczulem, że klacz unosi się, usłyszałem rżenie, a potem opadliśmy wewnątrz ogniska i poczułem ogromną ulgę, taką, że chciałem krzyczeć w triumfie.

Wtem włócznia rozdarła mi opończę tuż za barkiem. Tak skupiłem się na pokonaniu ognia, że nie myślałem o tym, co czeka nas wewnątrz płomienistego pierścienia. Jakiś Tarczownik Czarny rzucił się na mnie z włócznią i chybił, ale pozostawił ją i biegnąc obok, usiłował zwlec mnie z siodła. Był zbyt blisko, abym mógł użyć grota mojej włóczni, i po prostu wałnąłem go drzewcem w głowę, po czym spiąłem konia. Napastnik chwycił moją włócznię. Puściłem ją, dobyłem Hywelbane'a i ciąłem do tyłu, raz a dobrze. Kątem oka dostrzegłem, iż Artur zatacza krąg, tłukąc mieczem na lewo i prawo; zrobiłem to samo. Galahad kopnął jednego z włóczników w pysk, drugiego przekłuł włócznią i odjechał. Culhwch złapał za zwieńczenie hełmu innego przeciwnika i włókł go do ognia. Tamten rozpaczliwie usiłował rozpiąć rzemień pod brodą, lecz tylko wrzasnął, gdy Culhwch rzuciwszy go w płomienie, odjechał.

Teraz Issa pokonywał siodło w ognistym murze, a za nim Cuneglas i jego sześciu ludzi. Ci Tarczownicy Czarni, którzy przeżyli, uciekali ku środkowi ognistego labiryntu i ścigaliśmy ich klusem, między dwoma ścianami ognia, wysuwającego głodne jęzory. Pożyczony miecz w dłoni Artura był czerwony od blasku. Artur kopnął Llamrel i pogalopowała, a Tarczownicy Czarni, wiedząc, iż nie mają szans ucieczki, rozbiegli się, ciskając włócznie na znak poddania.

Musieliśmy pokonać połowę obwodu labiryntu, zanim znaleźliśmy wjazd. Przestrzeń między ścianami płomieni mierzyła dobre trzydzieści kroków, tyle że mogliśmy jechać i nie dać się upiec żywcem, ale wewnątrz spirali mieliśmy dla siebie tylko niecałe dziesięć kroków wolnej przestrzeni i tu ogniska były większe, mocniejsze; wszyscy zawahaliśmy się. Nadal nie widzieliśmy, co się dzieje w środku. Czy Merlin zdawał sobie sprawę, gdzie jesteśmy? A bogowie? Uniosłem wzrok w górę, na wpół spodziewając się mściwej włóczni z niebios, ale tam była tylko drgająca półkula dymu, zasłaniająca umęczone ogniem niebo, ślące kaskady światła.

Tak więc wjechaliśmy do ostatniej spirali. Podążaliśmy przed siebie bez wytchnienia, galopując po coraz to ciaśniejszej krzywej, między ścianami huczących zachłannych płomieni. Dym wypełniał nasze nozdrza, podczas gdy ogniasty pył smagał twarze, ale z każdą chwilą byliśmy bliżej jądra tajemnicy.

Hałas ognia zagłuszył nasze przybycie. Myślę, iż Merlin i Nimue nie mieli pojęcia, że ich rytuał dobiegnie końca, albowiem nas nie widzieli. Natomiast ostatnie straże dojrzały jeźdźców, krzyknęły ostrzegawczo i wybiegły nas powstrzymać, lecz Artur wyłonił się z płomieni jak demon odziany w dym. Wykrzyknął bitewne zawołanie i skierował Llamrel na pośpiesznie zwołany mur tarcz. Rozerwał szyk samą szybkością i ciężarem, nie używając oręża, a my runęliśmy za nim, tnąc mieczami pierzchającą garstkę lojalnych włóczników.

Gwydr był tam. I żył.

Trzymali go dwaj Tarczownicy Czarni, którzy na widok Artura puścili chłopca. Nimue wrzasnęła, ciskając na nas przekleństwa nad kręgiem pięciu ognisk, podczas gdy rozszlochany Gwydr podbiegł do ojca. Artur pochylił się i silnym ramieniem uniósł syna na siodło. Potem zwrócił się ku Merlinowi.

Ten spływał potem i wpatrywał się w nas, milczący, spokojny. Był w połowie drabiny, wspartej o proste rusztowanie: dwa pnie, złączone u góry trzecim. Stało ono w samym środku pięciu ognisk, tworzących centralny krąg. Druid miał na sobie białą szatę o rękawach zakrwawionych po łokcie. W dłoni trzymał długi nóż, ale przysiągłbym, iż na jego twarzy mignął wyraz ogromnej ulgi.

Mardok żył, chociaż wyglądało na to, że niewiele mu tego życia zostało. Dzieciak był już nagi, jedynie usta krępowała mu przepaska, dusząc krzyki; przywiązano go do rusztowania za kostki u nóg. Obok niego, również głową w dół, wisiało blade chude ciało, niesamowicie białe w świetle płomieni, wyjąwszy szyję, poderżniętą niemal do kręgosłupa, tak że cała krew musiała spłynąć z trupa do Kotła i tylko ostatki jeszcze kapały z przemoczonych, poczerwieniałych koniuszków włosów Gowena. Te włosy były tak długie, że

skąpane w posoce warkocze opadały poza złoty brzeg srebrnego Kotła z Clyddno Eiddyn, i tylko po nich wiedziałem, iż to Gowen tam wisi, gdyż jego piękna twarz była cała we krwi, ukryta w krwi, obleczona krwią.

Merlin, nadal z długim nożem w dłoni, którym zabił Gowena, wydawał się osłupiały naszym przybyciem. Ulga znikła mu z oblicza; było bez wyrazu. Nimue tymczasem wrzeszczała na nas jak opętana. Uniosła lewą dłoń, w której wnętrzu widniała szrama, taka sama jak ta, którą ja miałem na ręce.

- Zabij Artura! - wrzeszczała do mnie. - Derfel! Przysięgłeś mi! Zabij go! Nie możemy się teraz zatrzymać!

Nagle przy mojej brodzie zamigotał miecz. Trzymał go Galahad, miło się do mnie uśmiechając.

- Ani się rusz, przyjacielu - ostrzegł mnie. Znał moc przysięgi. Wiedział też, że nie zabiję Artura, lecz próbował uratować mnie przed zemstą Nimue.

- Jak Derfel się ruszy, podetnę mu gardło! - zapowiedział druidce.

- Podcinaj! - wrzasnęła. - To noc, w którą umierają królewscy synowie!

- Nie mój syn - rzekł Artur.

- Ty nie jesteś królem, Arturze synu Uthera. - Merlin wreszcie odzyskał głos. - Czy myślisz, że zabiłbym Gwydra?

- W takim razie, dlaczego tu jest? - spytał Artur. Jedną ręką obejmował syna, w drugiej dzierżył poczerwieniały miecz. - Czemu tu jest? - powtórzył pytanie z jeszcze większym gniewem.

Ten jeden raz Merlin nie miał nic do powiedzenia i wyręczyła go Nimue.

- Jest tu, Arturze synu Uthera - mówiła urągliwym tonem - bo śmierć tego żalosego stworzenia mogła nie wystarczyć. - Wskazała na Mardoka, który wił się bezradnie na szubienicy. - Ten jest królewskim synem, ale nie jest prawym następcą.

- Więc Gwydr zginąłby? - dopytywał się Artur.

- I powrócił do życia! - rzekła wojowniczo Nimue. Musiała krzyczeć, aby pokonać gniewny trzask ognia. - Czy znasz moc Kotła? Złóż zmarłych w misie z Clyddno Eiddyn i zmarli powstaną, znów będą oddychać, żyć. - Ruszyła ku Arturowi; szaleństwo wyglądało z jej jedyne go oka. - Daj mi tego chłopaka, Arturze.

- Nie. - Artur ściągnął wodze Llamrel i klacz odskoczyła od druidki.

Ta odwróciła się ku Merlinowi.

- Zabij go! - wrzasnęła, wskazując Mardoka. - Spróbujmy chociaż z nim. Zabij go!

- Nie! - krzyknąłem.

- Zabij go! - zachrypiała, a że Merlin się nie poruszył, popędziła do rusztowania.

Stary druid stał jak sparaliżowany, lecz Artur spiął Llamrel i dopędził Nimue. Klacz staranowała ją i Nimue przewróciła się na trawę.

- Daj dziecku żyć - powiedział Artur Merlinowi.

Druidka rzuciła się na niego z pazurami, ale odepchnął ją, a kiedy wróciła, gotowa gryźć i drapać, machnął mieczem nad jej głową i dała spokój.

Merlin przysunął jasne ostrze ku gardłu Mardoka. Druid niemal tchnął łagodnością, mimo przemoczonych krwią rękawów i długiego ostrza w dłoni.

- Czy myślisz, Arturze synu Uthera, że zdołasz pokonać Sasów bez pomocy bogów? - zapytał.

Artur zignorował pytanie.

- Odetnij chłopca - rozkazał.

Nimue zwróciła się ku niemu.

- Czy pragniesz klątwy, Arturze?

- Klątwa już na mnie ciąży - powiedział z goryczą.

- Pozwól, by chłopiec zginął! - krzyknął Merlin z drabiny. - On nic dla ciebie nie znaczy, Arturze. To królewski bękart, kurwi syn.

- A kimże ja jestem, jak nie tylko królewskim bękartem, zrodzonym z kurwy?! - krzyknął Artur.

- On musi umrzeć - cierpliwie dowodził Merlin. - Jego śmierć sprowadzi nam bogów, a kiedy oni przybędą, złożymy jego ciało w Kotle i tchnienie życia powróci.

Artur wskazał na koszarne, wyczute z życia zwłoki swego kuzyna, Gowena.

- A jeden zgon to nie dość?

- Jeden zgon to nigdy nie dość - powiedziała Nimue. Obiegła klacz Artura, zmierzając ku rusztowaniu, gdzie unieruchomiła głowę Mardoka, tak by Merlin mógł poderznąć chłopcu gardło.

Artur zbliżył się do nich, nie zsiadając z konia.

- A jeśli bogowie nie przybędą po dwóch zgonach, Merlinie, ile jeszcze trzeba będzie?

- Tyle, ile okaże się konieczne - odparła druidka.

- I za każdym razem - przemówił głośno Artur, tak że wszyscy go słyszeliśmy - kiedy Brytania będzie w niebezpieczeństwie, kiedy pojawi się nieprzyjaciel, przywlecze się zaraza albo padnie strach na ludzi, będziemy wieszać dzieci na takim rusztowaniu śmierci?

- Jeśli bogowie przybędą, nie będzie więcej zarazy, strachu ni wojny - odrzekł Merlin.

- A czy oni przybędą? - spytał Artur.

- Oni przybywają! - wrzasnęła Nimue. - Patrzcie! - Wskazała w górę.

Wszyscy zadarliśmy głowy i ujrzałem, że światła na niebie blakną. Jasne błękity przechodziły w fiolet i czerń, czerwienie stawały się zadymione i brudne, gwiazdy znów zaczynały ostro świecić. - Nie! - zawyła Nimue. - Nie! - I to ostatnie wycie przeszło w lament, który zdawał się nie mieć końca.

Artur podprowadził Llamrel do samego drewnianego rusztowania.

- Zwieście mnie Ahmerawdrem Brytanii - zwrócił się do Merlina - a imperator musi rządzić albo przestać być imperatorem, a ja nie będę rządził Brytanią, w której dziatwa oddaje życie za dorosłych.

- Nie bzdurz! - zaprotestował Merlin. - Czyste mazgajstwo!

- Będę pamiętany jako uczciwy mąż, a już mam dość krwi na rękach.

- Będziesz pamiętany jako zdrajca, jako niszczyciel, jako tchórz.

- Ale nie przez potomków tego dziecka - rzekł Artur z dobrocią i przeciął sznur, opasujący kostki u nóg Mardoka.

Chłopak spadł na murawę przy wtórze wrzasku Nimue, która znów rzuciła się na Artura, z palcami zakrzywionymi jak szpony, ale mój pan po prostu chlasnął ją płazem miecza, tak że okręciła się w miejscu, oszołomiona. Nawet trzask ogniska nie zagłuszył kłaśnięcia głowni o policzek. Nimue chwiała się na nogach; opuściwszy szczękę, z zamglonym wzrokiem padła.

- Szkoda, że Ginewrze tak nie dołożył - warknął mi do ucha Culhwch.

Galahad odjechał, zeskoczył z konia i rozwiązał więzy i knebel Mardoka. Dziecko natychmiast zaczęło krzykiem przyzywać matkę.

- Nigdy nie znośm wrzaskliwej dzieciarni - rzekł ze spokojem Merlin, po czym przesunął drabinę ku dyndającemu trupowi Gowena. Z wolna pokonywał kolejne szczeble. - Nie wiem, czy bogowie przybędą, czy nie. Wszyscyście oczekiwali zbyt wiele, a może oni już tu są? Kto wie? Ale skończymy bez krwi Mordredowego dzieciaka. - Z tymi słowami zaczął niezdarnie rzezać sznur wokół kostek u nóg Gowena.

Ciało zakołysało się, zmoczone krwią włosy plasnęły o brzeg Kotła, ale sznur wreszcie pękł i trup opadł ciężko w krew, której potoki zbryzgały brzeg Kotła. Merlin zszedł powoli z drabiny, po czym rozkazał Tarczownikom Czarnym, przyglądającym się sporowi, przynieść wielki kosz z solą, stojący kilka jardów dalej. Włóczyńcy sypali sól do Kotła, ubijając ją wokół skulonego, nagiego trupa Gowena.

- Co teraz? - zapytał Artur, chowając miecz do pochwy.

- Nic - odparł druid. - Jest po wszystkim.



- Excalibur - rzekł władczo Artur.

- Jest w południowej spirali - wyjaśnił Merlin, wskazując drogę. - Choć pewnie, jak podejrzewam, poczekacie, zanim będziecie mogli go odzyskać.

- Nie! - Nimue ocknęła się na tyle, by zaprotestować. Wypluła krew, spływającą z policzka, rozciętego uderzeniem Artura. - Skarby są nasze!

- Skarby - odezwał się ze znużeniem Merlin - zostały zebrane i wykorzystane. Teraz nic nie znaczą. Artur może sobie zachować swój miecz. Będzie mu potrzebny. - Odwrócił się i rzucił długi nóż w najbliższe ognisko, po czym przyglądał się, jak dwaj Tarczownicy Czarni kończą pakować Kocioł. Sól zaróżowiła się, pokrywszy koszmarnie okaleczone ciało Gowena. - Wiosną przybędą Sasi - dodał na zakończenie - a wtedy przekonamy się, czy tej nocy dokonały się jakieś czary.

Nimue darła się na nas. Łkała i szalała, pluła i klęła, przysięgała nam śmierć na powietrze, ogień, ląd i morze. Merlin nie zwracał na nią uwagi, lecz ona nigdy nie zadawała się półśrodkami i tamtej nocy została wrogiem Artura. Tamtej nocy zaczęła pracę nad klątwami, one bowiem miały zapewnić jej zemstę na mężu, który zatrzymał bogów zmierzających na Mai Dun. Wyzywała nas od niszczycieli Brytanii i obiecywała nam rzeczy straszliwe.

Zostaliśmy na wzgórzu do jutrzeńki. Bogowie nie zjawili się, a ogniska płonęły tak silnie, że Artur zdołał odzyskać Excalibura dopiero po południu. Mardoka oddano matce, chociaż później słyszałem, iż zmarł tamtej zimy na gorączkę.

Merlin i Nimue zabrali inne Skarby. Wóz zaprzężony w woły uniósł Kocioł z jego upiorną zawartością. Nimue szła na przedzie, a Merlin kroczył za nią jak posłuszny starzec. Zabrali Anbarra, nietkniętego karego wierzchowca Gowena, i wielką chorągiew Brytanii, a gdzie się udali, tego żaden z nas nie wiedział, lecz zgadywaliśmy, iż były to dzikie pustkowia na zachodzie, gdzie klątwy Nimue mogły nabierać mocy podczas zimowych sztormów.

Zanim przybyli Sasi.

Wspominając tamten czas, trudno się dziwić nienawiści, jaka otaczała Artura. Latem zniszczył nadzieje chrześcijan, a teraz, późną jesienią - marzenia pozostałych. Jak zwykle był zaskoczony swoją niepopularnością.

- Co innego miałem uczynić? - dopytywał się mnie. - Pozwolić na śmierć syna?

- Cefydd pozwolił - rzekłem przekornie.

- I mimo to przegrał bitwę! - powiedział ostro Artur. Jechaliśmy na północ. Ja do siebie, do Dun Caric, on z Cuneglasem i biskupem Emrysem podróżowali na spotkanie z Meurigiem. Tylko to liczyło się dla niego. Nigdy nie ufał bogom, iż uratują Brytanię przed

Sasami, lecz uważał, że te osiem czy dziewięć dobrze wyćwiczonych setek włóczników z Gwentu może przeważać szalę. Tamtej zimy opętały go liczby. Wyliczył, iż Dumnonia może wystawić sześć setek włóczników, z czego cztery sprawdzone w bitwie. Cuneglas miał sprowadzić następne cztery, irlandzcy Tarczownicy Czarni to następne półtora, a do tego może dorzuciłoby się stu bezpańskich zabijaków z Armoryki czy północnych królestw, szukających okazji do rabunku. „Powiedzmy dwanaście setek wojów” - powiadał i nagiął tę liczbę w górę lub w dół, zależnie od humoru, lecz gdy bywał w weselszym nastroju, pozwalał sobie na dodanie ośmiuset żołnierzy z Gwentu, co dawało w sumie dwa tysiące chłopów, choć i wtedy biadał, że to nie dość, gdyż Sasi mogli wystawić liczniejszą armię. Aelle mógł zebrać co najmniej siedem setek włóczni, a z dwóch saskich królestw jego było słabsze. Liczbę włóczni Cerdyka ocenialiśmy na tysiąc, a docierały do nas plotki, że kupuje włóczników od Chlodwiga, króla Franków. Ci najemnicy byli płaćeni w złocie i mieli obiecany dalszy żołd, kiedy wiktoria przyniesie im skarbiec Dumnonii. Nasi szpiedzy donosili też, że Sasi będą czekać aż do Eostre, wiosennego święta, i potem przepłyną morze na nowych łodziach. „Będą mieć dwa i pół tysiąca ludzi” - mówił Artur, a my mogliśmy liczyć tylko na dwanaście setek, jeśli Meurig nie będzie walczył. Mieliśmy zwołać pospolite ruszenie, to oczywiste, ale żadne pospolite ruszenie nie oprze się wyćwiczonym wojownikom, a naprzeciwko naszego poboru miał stanąć saski fyrd.

- Więc bez włóczników Gwentu jesteśmy zgubieni - powiedziałem ponuro.

Od zdrady Ginewry Artur rzadko się uśmiechał, lecz teraz twarz mu pojaśniała.

- Zgubieni? Kto tak twierdzi?

- Wy, panie. Liczby.

- Nigdy nie walczyłeś z liczniejszym wrogiem i nie zwyciężyłeś go?

- Tak, panie, walczyłem i zwyciężyłem.

- Więc czemu znów nie miałbyś zwyciężyć?

- Tylko głupiec szuka bitwy z silniejszym wrogiem, panie - rzekłem.

- Tylko głupiec szuka bitwy - rzekł z zaciętością. - Nie chcę walczyć na wiosnę. To Sasom marzy się wojna i nie mamy wyboru w tej sprawie. Wierz mi, Derflu, nie pragnę stawać przeciwko liczniejszemu wrogowi i zrobię, co w mojej mocy, by przekonać Meuriga do walki, ale jeśli Gwent się nie ruszy, będziemy musieli pobić Sasów własnymi siłami. I możemy ich pobić! Wierz mi, Derflu!

- Wierzyłem w Skarby, panie.

Roześmiał się z pogardą i chrapliwie.

- Oto Skarb, w który wierzę - rzekł, klepiąc rękojeść Excalibura. - Wierzę w zwycięstwo, Derflu! Jeśli pomaszerujemy przeciwko Sasom pogodzeni z klęską, wtedy rzucą nasze kości wilkom. Ale jeśli pomaszerujemy jak zwycięzcy, my usłyszymy ich wycie.

Jego buńczuczność była przedniej próby, lecz nijak nie wierzyliśmy w zwycięstwo. Dumnonię otulał całun posepności. Straciliśmy naszych bogów i prosty lud winił za to Artura. Był nie tylko przeciwnikiem chrześcijańskiego boga, teraz był przeciwnikiem wszystkich bogów i ludzie gadali, iż Sasi są mu karą. Nawet pogoda zapowiadała klęskę, albowiem w następny poranek po moim rozstaniu z Arturem zaczęło padać i wydawało się, iż deszcz nigdy nie ustanie. Dzień po dniu przynosił niskie szare chmury, lodowaty wiatr i uparty przenikliwy deszcz. Wszystko było przemoczone. Nasze ubrania, posłania, drewno na opał, sitowie na podłogach, nawet ściany domostw wydawały się śliskie od wilgoci. Włócznie rdzewiały w stojakach, ziarno puszczało kielki albo gniło, a deszcz nadal padał uparcie z zachodu. Ceinwyn i ja robiliśmy, co się dało, by zamknąć drogę wilgoci do dworu Dun Caric. Jej brat przywiózł nam w darze wilcze filtra z Powys i zakryliśmy nimi drewniane ściany, ale samo powietrze pod powalą było przesączone wilgocią. Ogień opadał i pluł dymem, który gryzł poczerwieniałe oczy. Obie nasze córki zrobiły się marudne tej wczesnej zimy. Morwenna, starsza, zwykle cicha i zadowolona, zamieniła się w jędzę i była tak uparcie samolubna, że matka użyła wobec niej pasa.

- Tęskni za Gwydrem - rzekła mi potem Ceinwyn. Artur ogłosił, iż Gwydr nie odstąpi od jego boku, tak że chłopiec udał się z ojcem na spotkanie z Meurigiem. - Powinni wziąć ślub na przyszły rok. To ją wyleczy.

- Jeśli Artur na to zezwoli - odparłem ponuro. - Nie darzy nas wielką miłością tymi czasy. - Pragnąłem towarzyszyć Arturowi do Gwentu, lecz ubiegł moje zapytanie odmową. Myślałem, iż jestem jego najbliższym przyjacielem, ale teraz raczej warczał do mnie, niż przemawiał.

- Myśli, że naraziłem życie Gwydra. - Westchnąłem.

Ceinwyn nie zgodziła się ze mną.

- Nie. Traktuje cię z rezerwą, od kiedy to przyłapał Ginewrę owej nocy.

- Czemu to miałyby coś zmienić?

- Bo byłeś z nim, miłości moja - rzekła cierpliwie Ceinwyn. - Wobec ciebie nie może udawać, że nic się nie zmieniło. Byłeś świadkiem jego wstydu. Widzi ciebie i Ginewra staje mu przed oczami. Poza tym jest zazdrosny.

- Zazdrosny?

Uśmiechnęła się.

- Wie, że jesteś szczęśliwy. Teraz uważa, że gdyby się ze mną ożenił, też byłby szczęśliwy.

- Pewnie tak - rzekłem.

- Nawet to przebąkiwał - rzuciła obojętnie.

- Co przebąkiwał?! - wybuchłem.

Uspokoila mnie.

- To nie było na poważnie, Derflu. Ten biedny człowiek potrzebuje odzyskać pewność siebie. Myśli, że skoro odrzuciła go jedna kobieta, wszystkie są do tego gotowe, więc zapytał mnie.

Dotknąłem rękojęści Hywelbane'a.

- Nigdy mi nie mówiłaś.

- A czemu miałabym ci o tym mówić? Nie było nic do mówienia. Zadał mi okropnie nietaktowne pytanie, a ja powiedziałem mu, że przysięga bogom każe mi być z tobą. Okazałam wielką delikatność i czułam się strasznie zawstydzony. Obiecałam mu również, że ci nic nie powiem. Teraz złamałam obietnicę, co oznacza, że bogowie mnie ukarzą. - Wzruszyła ramionami, jakby sugerowała, że to zasłużona kara, i dlatego się z nią pogodziła. - Potrzeba mu żony - dodała smętnie.

- Albo kobiety.

- Nie. On nie jest beztroskim mężczyzną. Nie potrafi leć z kobietą, wstać, otrzepać się i odejść jakby nigdy nic. Myli pożądanie z miłością. Kiedy Artur poświęca duszę, poświęca wszystko, bo nie umie dać tylko kawałeczka siebie.

Wciąż burzył się we mnie gniew.

- Co bym, według niego, uczynił po tym, jak on by się z tobą ożenił?

- Według niego, rządziłbyś Dumnonią jako strażnik Mordreda - wyjaśniła. - Wbił sobie do głowy tę dziwną myśl, że pojechałabym z nim do Broceliandii i żylibyśmy tam jak dzieci w blasku słońca, a ty zostałbyś tu i pobił Sasów. - Roześmiała się.

- Kiedy cię o to spytał?

- Tego dnia, którego rozkazał ci pojechać do Aelle'a. Wydawało mu się, że ucieknę z nim, kiedy wyjedziesz.

- Albo liczył na to, że Aelle mnie zabije - rzekłem z urazą, wspominając, jak Sasi obiecywali zabić każdego posła.

- Potem bardzo się wstydził - zapewniała mnie Ceinwyn z pełnym przekonaniem. - Tylko mu nie zdradz, że ci powiedziałam. - Zmusiła mnie do złożenia obietnicy, a ja jej dotrzymałem. - Naprawdę nie myślał serio - dodała na zakończenie rozmowy. - Gdyby

usłyszał ode mnie „tak”, byłby to dla niego piorun z jasnego nieba. Narzucał mi się, Derflu, bo był pogrążony w bólu, a zbolali mężowie zachowują się niedorzecznie. Tak naprawdę to chciał uciec z Ginewrą, ale nie może, bo duma mu na to nie pozwala i wie, że wszyscy potrzebujemy go przeciwko Sasom.

Do tego potrzebowaliśmy włóczników Meuriga, ale nie docierały do nas żadne wieści o negocjacjach z Gwentem. Mijały tygodnie i nadal nie mieliśmy pewnych informacji z północy. Podróżujący ksiądz powiedział nam, że Artur, Meurig, Cuneglas i Emrys rozmawiali przez tydzień w Burrium, stolicy Gwentu, ale ksiądz nie miał pojęcia, co postanowili. Był to mały czarniawy człek, zezowaty, o rzadkiej brodzie, którą smarował pszczelim woskiem, by nadać jej kształt krzyża. Przybył do Dun Caric, bo w tej małej wiosce nie było kościoła i chciał go tu wznieść. Jak wielu takich wędrownych księży, wiódł ze sobą kupkę niewiast; trzy obszarpane stworzenia, które tłoczyły się wokół niego, osłaniając go mizernymi ciałami. Po raz pierwszy usłyszałem o jego przybyciu, kiedy zaczął wygłaszać kazania przed kuźnią, nad strumieniem. Posłałem Issę i kilku łuczników, żeby przerwali te głupoty i sprowadzili go do dworu. Postawiliśmy przed nim miskę kleiku z kiełkującego jęczmienia, na który rzucił się żarłocznie, wlewając gorące jadro do ust, a potem chuchając i plując, bo oparzył sobie język. Grudki kleiku upstrzyły dziwnie uformowany zarost. Jego kobiety odmówiły jedzenia, dopóki on nie skończył.

- Wiem tyle, panie, że Artur udał się teraz na zachód - odparł na nasze niecierpliwe pytania.

- Dokąd?

- Do Demetii, panie. Na spotkanie z Oengusem mac Airemem.

- Po co?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, panie.

- Czy król Meurig czyni przygotowania do wojny? - dopytywałem się.

- Jest przygotowany do obrony swoich ziem, panie.

- I do obrony Dumnonii?

- Tylko jeśli Dumnonię uzna jedyne Boga, prawdziwego Boga - rzekł ksiądz, żegnając się drewnianą łyżką i obryzgując brudną szatę kleikiem. - Nasz król jest żarliwym wyznawcą Krzyża, a jego włócznie nie posłużą poganom. - Podniósł wzrok ku czasce wołu, przybitej do powały, i znów się przeżegnał.

- Jeśli Sasi podbiją Dumnonię, los Gwent będzie przesądzony - oświadczyłem.

- Chrystus obroni Gwent - upierał się ksiądz. Oddał miskę jednej z niewiast, która zbierała marne resztki brudnym paluchem. - Chrystus ochroni was, panie, jeśli ukorzycie się przed nim. Jeśli porzucicie swoich bogów i przyjmiecie chrzest, przyszły rok przyniesie wam zwycięstwo.

- W takim razie dlaczego Lancelot nie zwyciężył tego lata? - spytała Ceinwyn.

Ksiądz popatrzał na nią zdrowym okiem, drugim uciekając w cienie.

- Król Lancelot, pani, nie był tym wybranym. Jest nim król Meurig. W naszych świętych pismach jest powiedziane, iż jeden mąż będzie wybrany i wydaje się, że to nie jest król Lancelot.

- Wybrany do czego? - spytała Ceinwyn.

Ksiądz nie mógł oderwać od niej oczu; wciąż była piękną niewiastą, złotowłosa i spokojna, gwiazda Powys.

- Wybrany, pani, do zjednoczenia wszystkich ludów Brytanii pod opieką jednego Boga. Sasów i Brytów, Gwentian i Dumnończyków, Irlandczyków i Piktów, wszystkich oddających cześć jednemu prawdziwemu Bogu i wszystkich żyjących w pokoju i miłości.

- A jeśli nie podporządkujemy się królowi Meurigowi? - zapytała Ceinwyn.

- Wtedy Bóg was zniszczy.

- I przybyłeś tu głosić takie posłanie? - spytałem.

- Nie mogę postąpić inaczej, panie. Tak mi przykazał.

- Meurig?

- Bóg.

- Lecz ja jestem panem ziem po obu stronach strumienia i wszystkich ziem na południe do Caer Cadarn i na północ do Aquae Sulis, i nie będziesz na nich niczego głosił bez mojego pozwolenia - oświadczyłem.

- Żaden człowiek nie jest mocen sprzeciwić się słowu bożemu, panie - powiedział ksiądz.

- Ale ten miecz tak - rzekłem, dobywając Hywelbane'a.

Jego kobiety syknęły. Ksiądz popatrzył na miecz, a potem splunął w ogień.

- Narażacie się na gniew Boga, panie.

- Ty narażasz się na mój gniew - rzekłem. - Jeśli o zachodzie słońca nadal będziesz przebywał na ziemi, którą zarządzam, oddam cię w niewolę moim niewolnikom. Dzisiejszej nocy możesz spać z bydłętami, ale jutro musisz odejść.

Następnego dnia niechętnie odszedł i z jego odejściem spadł pierwszy śnieg, jakby za karę. Pojawił się wcześniej, zapowiadając surowy czas. Wpierw był to śnieg z deszczem, lecz

do wieczora zamienił się w gęsty śnieg, który do rana ubielił ziemię. W następnym tygodniu zrobiło się zimniej. Sople zwisały z powały i poczęła się długa walka o ciepło. W wiosce lud spał z bydłatkami, podczas gdy my pasowaliśmy się z doskwierającym zimnem, rozpalając wielkie ogniska, które rozpuszczały sople. Zimową trzodę zagoniliśmy do zagród, a resztę ubiliśmy i ułożyliśmy mięso w soli, tak jak Merlin złożył pozbawione krwi ciało Gowena. Przez dwa dni we wsi słychać było przygnębiające ryki wołów ciągnionych pod topór. Śnieg splamił się krwią i powietrze cuchnęło juchą, solą i łajnem. We dworze huczały paleniska, ale dawały mało ciepła. Budziliśmy się zeszywniali z chłodu, dygocąc pod futrami i na próżno oczekując odwilży. Strumień zamarzał, tak że musieliśmy rąbać przeręble, by nabrać wody.

Nadal ćwiczyliśmy naszych młodych włóczników. Kazaliśmy im maszerować przez śnieg, wzmacniając ich mięśnie do walki z Sasami. W te dni, w które były ciężkie opady i wiatr ciskał grubymi płatkami po zaśnieżonych dachach chatynek w wiosce, kazałem ludziom oblekać wierzbowe deski tarcz skórą. Robiłem z wieśniaków wojów, ale przypatrując się ich trudowi, zastanawiałem się, ilu przeżyje i ujrzy słońce lata.

Tuż przed najkrótszym dniem w roku przyszła wieść od Artura. W Dun Caric przygotowaliśmy się do wielkiego święta, trwającego przez cały tydzień śmierci słońca, kiedy przybył biskup Emrys. Dosiadał konia, którego kopyta były owinięte w skórę, i towarzyszyła mu eskorta sześciu włóczników Artura. Biskup rzekł nam, iż pozostawał w Gwencie, przekonując Meuriga, podczas gdy Artur udał się do Demetii.

- Król Meurig nie odrzucił całkowicie naszej prośby o pomoc - powiedział nam biskup, dygocąc przy wielkim palenisku, przy którym zrobił sobie miejsce, odpychając dwa psy. Wyciągnął do ognia tłuste, popękane do krwi dłonie. - Lecz obawiam się, iż warunki pomocy są nie do przyjęcia. - Kichnął. - Zacna pani, jesteś najlepszą z niewiast - zwrócił się do Ceinwyn, która przyniosła mu róg grzanego piwa.

- Jakie warunki? - zapytałem.

Emrys smutno pokręcił głową.

- On chce tronu Dumnonii, panie.

- Czego...?! - wybuchłem.

Emrys wzniosł dłoń, miarkując mój gniew.

- Powiada, że Mordred nie nadaje się do rządzenia, że Artur nie chce rządzić, a Dumnonia potrzebuje chrześcijańskiego króla. Oferuje siebie.

- Łotr! - rzuciłem. - Co za zdradziecki, tchórzliwy łotrzyk.

- Artur, oczywiście, nie może na to przystać, jego przysięga dana Utherowi na to nie pozwala. - Pociągnął piwa i westchnął z uznaniem. - Jak dobrze znów poczuć w sobie ciepło.

- Więc jeśli nie oddamy Meurigowi królestwa, nie pomoże nam? - spytałem z gniewem.

- Tak mówi. Upiera się, że Bóg ochroni Gwent i że jeśli nie ogłosimy go królem, musimy bronić Dumnonii własnymi siłami.

Podszedłem do drzwi, odciągnąłem na bok skórzaną zasłonę i wpatrywałem się w wysokie śnieżne czapy przykrywające czubki palisady.

- Czy rozmawiałeś z jego ojcem? - zapytałem Emrysa.

- Widziałem się z Tewdrykiem, jako żywo - powiedział biskup. - Udałem się do niego z Agrykolą, który przesyła wam najlepsze pozdrowienia.

Agrykola był wodzem wszystkich oddziałów Tewdryka, wielkim wojownikiem, który walczył w rzymskiej zbroi z lodowatą zaciekłością. Lecz był teraz starcem i Tewdryk, jego pan, zstąpił z tronu i wygolił sobie na łbie księżą tonsurę, oddawszy władzę synowi.

- Agrykola trzyma się dobrze? - zapytałem Emrysa.

- Stary, ale jary. Oczywiście zgadza się z nami, ale... - Wzruszył ramionami. - Kiedy Tewdryk abdykował, zrezygnował całkowicie z władzy. Powiada, że nie może zmienić decyzji syna.

- I nie zmieni - burknąłem, odwracając się do ognia.

- Pewnie nie - zgodził się ze mną Emrys. Westchnął. - Lubię Tewdryka, lecz ma on na głowie inne kłopoty.

- Jakież znowu? - zapytałem, może nazbyt porywczo.

- Chciałby wiedzieć, czy w niebiesiech będziemy jedli jak śmiertelni, czy też potrzeba ziemskich pokarmów zostanie nam oszczędzona. Musicie wiedzieć, panie, że panuje przekonanie, iż anieli nie spożywają ni okruszyny, że w rzeczy samej zaoszczędzone są im wszelkie obrzydliwe ziemskie chętki, i stary król usiłuje naśladować to postępowanie. Je tyle co nic i przechwalał mi się, że pewnego razu udało mu się przeżyć całe trzy tygodnie nie srając, po czym czuł się jakby spowity obłokiem świętości.

Ceinwyn uśmiechnęła się, lecz milczała, podczas gdy ja wytrzeszczałem z niewiarą oczy na biskupa. Ten dopił piwo do ostatniej kropli i dodał z powątpiewaniem:

- Tewdryk upiera się, że zagłodzi się do stanu świętości. Przyznaję, że nie jestem przekonany o słuszności podobnych postępów, ale w rzeczy samej wygląda jak mąż niezwykle świętobliwy. Wszyscy powinniśmy dostąpić takiego błogosławieństwa.

- Co powiada Agrykola?

- Ten z kolei przechwala się niezwykle częstym sraniem. Wybaczcie mi, pani.

- Cóż to musi być za radość spotkać się z tymi dwoma - rzekła sucho Ceinwyn.



- Narada nie przyniosła żadnych bezpośrednich korzyści - przyznał Emrys. - Miałem nadzieję, iż Tewdryk przekona syna do zmiany decyzji, lecz niestety - wzruszył ramionami - jedyne, co nam teraz pozostało, to modlić się.

- I trzymać w pogotowiu ostre włócznie - dodałem nie wiedząc po co.

- To też - zgodził się ze mną biskup. Znow kichnął i uczynił znak krzyża, by odpędzić zły omen, jaki zapowiadało kichnięcie.

- Czy Meurig pozwoli włócznikom Powys na przejście przez swoje ziemie?

- Cuneglas powiedział mu, że jak nie pozwoli, to i tak przejdzie.

Jęknąłem. Ostatnia rzecz, której potrzebowaliśmy, to walka dwóch brytyjskich królestw między sobą. Przez lata takie wodzenie się za łby osłabiało Brytanię i pozwalało Sasom zajmować jedną dolinę za drugą, miasto po mieście, chociaż ostatnio to Sasi tłukli się między sobą, a my wykorzystywaliśmy ich wzajemną wrogość, aby ich pokonać; ale Cerdyk i Aelle wzięli sobie do serca naukę, którą Artur wpoił Brytom, że zwycięstwo jest potomkiem jedności. Teraz Sasi byli zjednoczeni, a Brytowie podzieleni.

- Myślę, iż Meurig pozwoli Cuneglasowi na przejście, albowiem nie pragnie wojny z nikim - powiedział Emrys. - Po prostu chce pokoju.

- Wszyscy go chcemy - rzekłem. - Lecz gdy Dumnonia upadnie, Gwent następny pójdzie pod topory Sasów.

- Meurig upiera się, że nie, i proponuje azyl każdemu Dumnończykowi, który uchyli się od wojaczki.

Były to złe wieści, oznaczały bowiem, iż każdemu, kogo strach oblatywał na myśl o stawieniu czoła Aelle'owi i Cerdykowi, wystarczy jedynie oświadczyć, że jest wiary chrześcijańskiej, by otrzymać schronienie w królestwie Meuriga.

- Czy on naprawdę wierzy, iż jego bóg go osłoni? - zapytałem Emrysa.

- Musi w to wierzyć, panie, bo jeśli nie, to po co w ogóle by wierzył w Boga? Lecz Ten, rzecz jasna, może mieć inne zamysły. Bardzo trudno przejrzeć Jego ścieżki. - Biskup rozgrzał się na tyle, że zsunął z ramion wielką niedźwiedzią szubę. Pod nią nosił barani kożuszek. Wsadził dłoń pod pachę i podejrzewałem, że wesz go tam użarła, ale miał się podrapać, wyjął złożony pergamin, związany wstążką i zapieczętowany woskiem. - Od Artura z Demetii - rzekł, podając pismo. - Nakazuje wam dostarczyć to księżniczce Ginewrze.

- Oczywiście - rzekłem, odbierając pergamin. Przyznaję, że kusilo mnie złamać pieczęć i przeczytać posłanie, ale oparłem się chętnie. - Wiesz, o co chodzi? - zapytałem biskupa.

- Niestety, nie, panie. - Emrys nie patrzył na mnie i podejrzewam, że starzec złamał pieczęć i znał treść listu, ale nie chciał przyznać się to tego grzeszku. - Jestem przekonany, iż to nic ważnego, lecz Artur nalegał, by otrzymała to przed zimowym przesileniem. To znaczy przed jego powrotem.

- Dlaczego wybrał się do Demetii? - zapytała Ceinwyn.

- By się upewnić, że Tarczownicy Czarni będą walczyć tej wiosny, tak mniemam - odparł biskup, lecz wyczułem w jego głosie wymijający ton. Podejrzewałem, iż w liście podano autentyczną przyczynę wizyty Artura u Oengusa mac Airema, lecz Emrys nie mógł jej przedstawić, nie przyznając się do złamania pieczęci.

Następnego dnia pojechałem do Ynys Wydryn. Nie było to daleko, lecz ze względu na zaspę, przez które musiałem prowadzić konia i muła, droga zajęła mi całe przedpołudnie. Muł dźwigał stos wilczych futer, dostarczonych nam przez Cuneglasa, które Ginewra przyjęła w ogromną wdzięcznością, albowiem w jej zbitym z bierwion więzieniu wiatr hulał swobodnie. Zostałem ją skuloną nad paleniskiem, buzującym w środku pomieszczenia. Kiedy mnie zaanonsowano, wyprostowała się, po czym odesłała dwie służki do kuchni.

- Kusi mnie, żeby i samej zostać dziewczką kuchenną - rzekła. - W kuchni jest przynajmniej ciepło, ale na nieszczęście pełno zawodzących chrześcijan. Jajka nie rozbijają, żeby nie pochwalić tego swojego paskudnego boga. - Zadygotała i szczelniej otuliła płaszczem szczupłe ramiona. - Rzymianie wiedzieli, jak utrzymać ciepło, ale my postradaliśmy tę umiejętność.

- Ceinwyn posyła wam to, pani - rzekłem, składając skóry na podłozie.

- Podziękuj jej w moim imieniu. - Podeszła do okna i mimo zimna rozwarła okiennice, tak że światło dnia zalało pokój. Ogień odskoczył w zimnym przeciągu, wir iskier strzelił ku poczerńiałej powale. Ginewra była przyodziana w płaszcz z grubej brązowej wełny. Pomimo bladości i wychudłego lica zielone oczy nadal tchnęły mocą i dumą. - Miałam nadzieję zobaczyć cię wcześniej - rzekła uszczypliwie.

- To był ciężki czas, pani - rzekłem na usprawiedliwienie mojej długiej nieobecności.

- Derflu, chcę wiedzieć, co wydarzyło się na Mai Dun.

- Opowiem wam, pani, ale wpiertw przykazano mi wręczyć wam to. - Z torby u pasa dobyteł Arturowe pismo i podałem je jej.

Rozerwała wstążkę, podważyła pieczęć paznokciami i rozłożyła pergamin. Czytała w poświacie bijącej od śniegu. Twarz jej stężała, lecz nie okazała nic więcej. Powtórnie przebiegła wzrokiem list, złożyła go i cisnęła na drewnianą komodę.

- Więc opowiadaj o Mai Dun - rozkazała.

- Co już wiecie?

- Wiem tyle, ile Morgan jest łaskawa mi opowiedzieć, a ta wiedźma zdradzi jeno tyle, ile spodoba się jej paskudnemu bogu. - Mówiła na tyle głośno, że każdy, kto nas podsłuchiwał, musiał ją słyszeć.

- Wątpię, by bóg Morgany był zawiedziony tym, co się stało - rzekłem i opowiedziałem jej całość wydarzeń, które nastąpiły w wilię Samain. Milczała po tym, jak skończyłem, wpatrzona w okryty śniegiem podwórzec, gdzie kilkunastu zawziętych pielgrzymów klęczało przed świętym ciemnym krzewem. Sięgnąłem do kupy drew pod ścianą i podsyciłem ogień.

- Więc Nimue zabrała Gwydra na szczyt? - spytała.

- Posłużyła się włócznikami. Prawdę rzekłszy, porwała go. To nie było trudne. W mieście przebywało pełno obcych i różni wojownicy wchodzili do pałacu i wychodzili z niego... - Przerwałem. - Ale wątpię, by groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Oczywiście, że mu groziło! - warknęła.

Jej gwałtowność była dla mnie zaskoczeniem.

- To drugie dziecko miało zostać zabite - zaprotestowałem. - Syn Mordreda. Był nagi, gotowy pod nóż, ale nie Gwydr.

- A kiedy śmierć tamtego by nie poskutkowała, co by się stało? - spytała. - Myślisz, że Merlin nie powiesiłby Gwydra za pięty?

- Nie uczyniłby tego synowi Artura - powiedziałem, chociaż muszę przyznać, że bez przekonania.

- Ale Nimue nie zawahałaby się przed niczym, ona zaszlachtowałaby każde dziecko w Brytanii, aby sprowadzić bogów, a Merlina musiało kusić do mordu. Tyle dzieliło ich od przybycia bogów! - Uniosła rękę i zbliżyła kciuk i palec wskazujący na grubość monety. - I może wystarczyłoby tylko zabić Gwydra. Och, Merlina musiało kusić do mordu. - Podeszła do ognia i rozchyliła płaszcz, chłonąc ciepło. Pod spodem miała czarną suknię, lecz ani jednego klejnotu. Nawet pierścienia na palcach. Ściszyła głos. - Merlin może czułby potem wyrzuty sumienia, ale nie Nimue. Ona nie widzi różnicy między tym światem a zaświatami, więc jakie znaczenie ma dla niej życie jakiegoś dziecka? A potrzebowała takiego, które byłoby synem władcy. Żeby zdobyć coś najcenniejszego, musisz poświęcić coś najbardziej wartościowego, a jakąż wartość ma bękart Mordreda? W Dumnonii rządzi Artur, nie Mordred. Nimue chciała śmierci Gwydra. Merlin wiedział o tym, żywił jedynie nadzieję, że wystarczą pomniejsze ofiary. Lecz Nimue nie dbała o nic. Derflu, pewnego dnia ona znów pozbiiera Skarby i krew Gwydra napelni Kocioł.

- Póki Artur żyje, nie dojdzie do tego.

- Póki ja żyję! - rzekła z mocą, a potem, zdając sobie sprawę ze swojej bezsilności, wzruszyła ramionami. Wróciła do okna, otuliwszy się brązowym płaszczem. Niespodziewanie oznajmiła: - Nie okazałam się dobrą matką. - Nigdy nie byłem jej bliski, tak naprawdę traktowała mnie z tą samą szorstką mieszaniną sympatii i szyderstwa, jaką mogłaby częstować chętnego, ale głupiego psa, lecz teraz, być może dlatego, że nie miała z kim podzielić się myślami, odsłoniła się przed mną. - Nie lubiłam nawet tego, że jestem matką - przyznała. - Te niewiasty - wskazała odziane na biało kobiety Morgan, bieżące przez śnieg do chrześcijańskiego chramu - wszystkie czczą macierzyństwo, ale są wyschłe niczym łupiny. Opłakują tę swoją Maryję i skrzeczą mi do ucha, że tylko matka może poznać prawdziwy smutek, ale jaką to ma wartość?! Te wszystkie ceregiele wokół matkowania to taka strata czasu! - Teraz przemawiał przez nią gorzki gniew. - Krowy to takie dobre matki, a i owce potrafią wyśmienicie karmić jagnięta, więc co to za zasługa być matką? Byle głupia dziewczka potrafi urodzić bachora! Większość z nich nadaje się tylko do tego! Macierzyństwo to żadne osiągnięcie, to coś nieuchronnego! - Płakała, mimo że miotła ją złość. - Lecz Artur zawsze chciał ode mnie tylko tego! Żebym była cielną krową!

- Nie, pani - rzekłem.

Odwróciła się do mnie, zagniewana, łzy błyszczały jej w oczach.

- Wiesz o tym więcej ode mnie, Derflu?

- Był z was dumny, pani - rzekłem nieporadnie. - Wynosił pod niebiosa waszą urodę.

- Jeśli tylko ona była mu potrzebna, to mógł się zadowolić moją figurą w drzewie albo w kamieniu! Figurą z cyckami tryskającymi mlekiem, do których przyczepiłby swoje bachory!

- Kochał was - zaprotestowałem.

Wpatrywała się we mnie, jakby gotowa wybuchnąć gniewem, który osmaliłby mnie żarem, ale tylko uśmiechnęła się blado.

- On czcił mnie jak bóstwo na ołtarzu, Derflu - powiedziała ze znużeniem. - A to nie to samo co kochanie. - Nagle siadła na drewnianej ławie przy komodzie, jakby zabrakło jej sił. - A wystawanie na ołtarzu, Derflu, jest bardzo nużące. Lecz wygląda na to, że wyszukał sobie nową boginię.

- Co, pani?

- Nie wiedziałeś? - Wydawała się zaskoczona. Porywczym gestem sięgnęła po list i podała mi go.

Nie miał daty, jedynie w podpisie „Moridunum”, co wskazywało, że napisano go w stolicy Oengusa mac Airema. Wyraziste litery, stawiane pewną dłońią Artura, wyrażały treść zimną i bezlitosną jak śnieg zalegający grubo parapet. „Winnaś wiedzieć, Pani, że wyzbywam się Ciebie jako mej małżonki, a w Twoje miejsce biorę Argantę, córkę Oengusa mac Airema. Nie wyzbywam się Gwydra, tylko Ciebie”. To wszystko. Nie było nawet podpisu.

- Naprawdę nie wiedziałeś? - spytała mnie.

- Nie, pani - odparłem. Byłem zaskoczony o wiele bardziej od niej. Słyszałem z wielu ust, iż Artur winien wziąć inną małżonkę, ale sam nigdy nie powiedział mi niczego podobnego i czułem się obrażony tym dowodem braku zaufania. Obrażony i zawiedziony. - Nie wiedziałem - powtórzyłem.

- Ktoś otworzył ten list - zauważyła z ponurym rozbawieniem. - Widzisz? Smuga u dołu. Artur nie przysłałby mi czegoś takiego. - Odchyliła się w tył, tak że jej rude kędziory rozpląszczyły się na ścianie. - Czemu się żeni?

Wzruszyłem ramionami.

- Mężczyzna powinien mieć żonę, pani.

- Bzdura. Galahad nigdy nie miał żony i wcale go mniej nie poważasz.

- Mężczyźnie trzeba... - Urwałem.

- Wiem, czego trzeba mężczyźnie - powiedziała z rozbawieniem. - Lecz czemu Artur bierze żonę teraz? Myślisz, że kocha tę dziewczkę?

- Mam nadzieję, pani.

Uśmiechnęła się.

- Bierze sobie żonę, Derflu, by dowieść, że mnie nie kocha.

Wierzyłem jej, ale zdobyłem się na sprzeciw.

- Jestem pewien, że to miłość, pani.

To wzbudziło jej śmiech.

- Ile lat ma ta Arganta?

- Piętnaście? Może ledwie czternaście.

Zmarszczyła czoło w zastanowieniu.

- Sądziłam, że jest przeznaczona Mordredowi.

- Też tak myślałem - rzekłem, pamiętałem bowiem, jak Oengus proponował ją za żonę naszemu królowi.

- Ale czemu Oengus miałby podsuwać to dziecko takiemu kulawemu idiocie jak Mordred, kiedy może wcisnąć ją do łóża Artura? - powiedziała Ginewra. - Tylko piętnaście, uważasz?

- Jeśli w ogóle tyle.

- Gładka?

- Nigdy jej nie widziałem, pani, ale Oengus rzecze, że tak.

- Ui Liathain rodzi gładkie dziewczki - przyznała Ginewra. - Czy jej siostra była piękna?

- Iseulta? Tak, na swój sposób.

- To dziecko musi być gładkie - powiedziała rozbawionym tonem. - Inaczej Artur ani na nią spojrzy. Wszyscy mężowie muszą mu zazdrościć. To wymóg, który stawia swoim żonom. Muszą być piękne i oczywiście znacznie lepiej ułożone niżli ja. - Roześmiała się i spojrzała na mnie z ukosa. - Ale nawet jak będzie gładka i dobrze ułożona, to nic z tego.

- Nie?

- Jestem przekonana, że będzie kocić się co rok, jeśli Artur tego od niej oczekuje, ale jeżeli nie jest bardzo sprytna, to on szybko się nią znudzi. - Zwróciła wzrok ku palenisku. - Jak myślisz, czemu mi o tym napisał?

- Bo uważa, że powinniście, pani, o tym wiedzieć.

To wzbudziło jej śmiech.

- Powinam o tym wiedzieć? Czemu miałyby mnie obchodzić, że lega z jakimś irlandzkim dzieciakiem? Nie muszę tego wiedzieć, ale on musi mi o tym mówić. - Znów na mnie spojrzała. - I zechce wiedzieć, jak to przyjął, nieprawdaż?

- Tak...? - spytałem nieco skonfundowany.

- Oczywiście, że będzie chciał wiedzieć. Więc powiedz mu, Derflu, że się śmiałam. - Popatrzyła na mnie wyzywająco, po czym nagle wzruszyła ramionami. - Nie, nie mów mu tego. Powiedz, że życzę mu wiele szczęścia. Powiedz mu, co chcesz, ale poproś go o jedną łaskę... - Przerwała i zdałem sobie sprawę, jak bardzo nienawidzi prosić. - Nie chcę umrzeć, Derflu, zgwałcona przez hordę zawszonych saskich wojów. Kiedy Cerdyk przybędzie następnej wiosny, poproś Artura, by umieścił mnie w bezpieczniejszym więzieniu.

- Uważam, że tu będziecie bezpieczna, pani.

- A czemu tak myślisz? - spytała mnie ostro i rozkazująco.

Ociągałem się chwilę, zbierając myśli.

- Kiedy Sasi przybędą, będą posuwać się doliną Tamizy. Ich celem jest dotarcie do zatoki Severn i tamtędy wypada najkrótszy szlak.

Ginewra pokręciła głową.

- Armia Aelle'a ruszy doliną Tamizy, lecz Cerdyk zaatakuje z południa i wykręci na północ, by połączyć się z Aelle'em. Jego szlak przebiegnie tędy.

- Artur twierdzi inaczej - upierałem się. - Jest przekonany, iż oni nie ufają sobie nawzajem, więc będą trzymać się blisko, by zapobiec zdradzie sojusznika.

Ginewra odrzuciła to rozumowanie kolejnym energicznym ruchem głowy.

- Aelle i Cerdyk nie są głupcami, Derflu. Wiedzą, że muszą sobie ufać na tyle długo, żeby zwyciężyć. Po tym mogą się rozstać, ale nie wcześniej. Ilu mężów przywiodą?

- Myślimy, że dwa tysiące, może dwa i pół.

Pokiwała głową.

- Pierwszy atak nastąpi na Tamizie i będzie na tyle poważny, byście pomyśleli, że to ich główne natarcie. A kiedy tylko Artur zgromadzi swoje oddziały, by przeciwstawić się tej armii, Cerdyk pomaszeruje na południe. Zrobi, co zechce, Derflu. Artur będzie musiał posłać przeciwko niemu żołnierzy, a kiedy to uczyni, Aelle zaatakuje resztę.

- Chyba że Artur pozwoli Cerdykowi na robienie tego, co zechce - powiedziałem, nie wierząc ani przez chwilę w przepowiednie Ginewry.

- Może tak postąpić - zgodziła się ze mną. - Ale w takim wypadku Ynys Wydryn trafi w ręce Sasów, a ja nie chcę tu być, kiedy się to stanie. Jeśli mnie nie wypuści, w takim razie błagaj go, aby uwieźił mnie w Glevum.

Zawahałem się. Nie widziałem przeszkód, aby przekazać jej prośbę Arturowi, lecz chciałem się upewnić, że przemawia przez nią szczerze.

- Jeśli Cerdyk zaiste przybędzie tą drogą, pani - odważyłem się zbadać jej myśli - to zapewne sprowadzi w swojej armii twoich przyjaciół, pani.

Posłała mi spojrzenie, które mogło zabić. Długo nie zdejmowała ze mnie wzroku, wreszcie odezwała się lodowato:

- Nie mam żadnych przyjaciół w Lloegyrii.

Wahałem się, a potem postanowiłem iść za ciosem.

- Spotkałem się z Cerdykiem niecałe dwa miesiące temu i towarzyszył mu Lancelot.

Nigdy wcześniej nie wypowiedziałem tego imienia w jej obecności i teraz szarpnęła głową, jakbym ją spoliczkował.

- Co mówisz, Derflu? - spytała cicho.

- Mówię, pani, że Lancelot przybędzie tu wiosną. Mniemam, pani, że Cerdyk uczyni go panem tych ziem.

Zamknęła oczy i przez długą chwilę nie byłem pewien, czy śmieje się, czy płacze. Wreszcie ujrzałem, że trzęsie się z rozbawienia.

- Jesteś głupcem. - Znów obdarzyła mnie spojrzeniem. - Próbujesz mi pomóc! Czy myślisz, że kocham Lancelota?

- Chcieliście, pani, żeby został królem - rzekłem.

- A jaki to ma związek z miłością? - spytała pogardliwie. - Chciałam, żeby był królem, bo jest słabym mężczyzną, a na tym świecie kobieta może władać tylko przez słabego mężczyznę. Artur nie jest słaby. - Westchnęła głęboko. - Lancelot zaś jest i być może będzie tu rządził, kiedy przybędą Sasi, ale to nie ja ani żadna inna kobieta pokieruje nim, lecz Cerdyk, a o Cerdyku, jak słyszę, można rzec wszystko, jeno nie to, że jest słaby. - Powstała, podeszła do mnie, wyrwała mi list z dłoni. Rozwinęła go, przeczytała po raz ostatni, a potem cisnęła pergamin w ogień. Szczerniał, pomarszczył się i wybuchnął płomieniem. - Jedź - rzekła wpatrzona w ogień. - I powiedz Arturowi, że płakałam, poznawszy te wieści. To chce usłyszeć, więc mu to powiedz. Powiedz mu, że płakałam.

Odjechałem. W ciągu kilku następnych dni śnieg stajał, ale znów nadeszły deszcze i krople kapały z nagich czarnych drzew na ziemię, która zdawała się gnić w mglistej wilgoci. Zbliżało się zimowe przesilenie, chociaż słońce nie pokazało się ani razu. Świat umierał w mrocznej, mokrej rozpacz. Czekałem na powrót Artura, lecz mnie nie wezwał. Zabrał swoją nową pannę młodą do Durnovarii i tam świętował przesilenie. Jeśli obchodziło go, co Ginewra myśli o jego nowym małżeństwie, nie zapytał mnie o to.

My urządziliśmy święto zimowego przesilenia na dworze Dun Caric i nie było tam nikogo, kto by podejrzewał, że obchodzimy je po raz ostatni. Złożyliśmy ofiary zimowemu słońcu, ale wiedzieliśmy, że gdy ono powróci, nie przyniesie życia tej ziemi, lecz śmierć. Przyniesie saskie włócznie, saskie topory i saskie miecze. Modliliśmy się, ucztowaliśmy i lękaliśmy się, że jesteśmy zgubieni. A deszcz nie przestawał padać.



## **CZEŚĆ DRUGA**

Mynydd Baddon

- Kto? - pyta Igraine, kiedy tylko przeczytała pierwszą kartę ostatniego stosu pergaminów. W ciągu kilku ostatnich miesięcy przyswoiła sobie nieco saski język i jest niezwykle dumna z tego osiągnięcia, chociaż po prawdzie to barbarzyńska mowa i o wiele mniej subtelna niż Brytów.

- „Kto?” - powtórzyłem jej pytanie.

- Kto doprowadził do upadku Brytanii? Nimue, prawda?

- Jeśli dasz mi czas napisać opowieść, pani, znajdziesz odpowiedź na to zapytanie.

- Wiedziałam, co od ciebie usłyszę. Nie wiem nawet, po co pytałam. - Siedzi na szerokim parapecie mojego okna, jedną rękę trzymając na wzdętym brzuchu, przekrzywiwszy głowę, jakby słuchała. Nagle na jej twarzy pojawia się wyraz szelmowskiego zachwyty. - Dziecko kopie, chcesz poczuć?

Wzdragam się.

- Nie.

- Czemu nie?

- Dzieci nigdy mnie nie zajmowały.

Królowa wykrzywia się do mnie paskudnie.

- Moje będziesz uwielbiał, Derflu.

- Czyżby?

- To będzie śliczny chłopczyk!

- Skąd wiesz, pani, że to będzie chłopczyk? - pytam zaintrygowany.

- Bo żadna dziewczynka nie kopałaby tak mocno, dlatego. Patrz! - I moja królowa naciąga suknię na brzuchu i zaczyna się śmiać, kiedy napięta tkanina faluje. - Opowiedz mi o Argancie - prosi, puściwszy suknię.

- Drobna, czarnowłosa, chuda, gładka.

Igraine krzywi się na pobieżność mego opisu.

- Była mądra?

Rozważam przez chwilę odpowiedź na to pytanie.

- Była przebiegła, co to, to tak, i nie brakowało jej sprytu, ale nigdy nie był on poparty edukacją.

Moja królowa kwituje to stwierdzenie lekceważącym wzruszeniem ramion.

- Czy edukacja jest taka ważna?

- Myślę, że tak. Ja zawsze żałowałem, iż nigdy nie wyuczyłem się łaciny.

- Czemu? - nie ustaje w pytaniach.

- Bo zapisy w tym języku obejmują niesłychaną wielość ludzkich doświadczeń, pani, a jedna z rzeczy, którą zapewnia nam edukacja, to dostęp do tych wszystkich spraw, które inni poznali, których się lękali, o których marzyli i które osiągnęli. Kiedy jesteś w tarapatach, dobrze jest zapoznać się z doświadczeniami kogoś, kto już ich zaznał. Wtedy stają przed tobą w jasnym świetle.

- Na przykład? - dopytuje się Igraine.

Wzruszam ramionami.

- Pamiętam, co raz rzekła mi Ginewra. Nie wiedziałem, co znaczą jej słowa, wyraziła się bowiem po łacinie, ale kiedy się dowiedziałem, pojąłem, jakie uczucia stoją za postępkami Artura. I nigdy nie zapomniałem tamtego strzępka łaciny.

- No i...? Co takiego ci rzekła?

- Odi et amo - z wolna powtarzam obce słowa - excrucior.

- Co znaczy...?

- Nienawidzę i kocham, cierpię. Napisał je jakiś poeta, zapomniałem jaki, lecz Ginewra dawno temu przeczytała ów wiersz i pewnego dnia, kiedy rozprawialiśmy o Arturze, sięgnęła do skarbca pamięci. Widzisz, pani? Doskonale rozumiała swego małżonka.

- A czy Arganta go rozumiała?

- Och, nie.

- Czy znała pismo?

- Nie jestem pewien. Nie pamiętam. Zapewne nie.

- Jak wyglądała?

- Miała niezwykle bladą skórę - powiadam. - Zawsze bowiem wzbraniała się przed wychodzeniem na słońce. Lubiła noc, ta Arganta. I miała bardzo czarne włosy, lśniące jak skrzydła kruka.

- Mówisz, że była bardzo drobna i chuda? - pyta Igraine.

- Bardzo chuda i drobna jak dziecko, ale to, co najbardziej wryło mi się w pamięć, to fakt, że niesłychanie rzadko się uśmiechała. Przyglądała się wszystkiemu i nie przegapiała niczego, lecz na jej obliczu zawsze gościło wyrachowanie. Ludzie omylnie brali to za mądrość, ale to wcale nie była mądrość. Ona była jedynie najmłodszą z siedmiu czy ośmiu córek i stąd też zawsze lękała się, że zostanie pominięta. Przez cały czas wypatrywała swego działu i była przekonana, że zostanie z niego wyzuta.

Igraine krzywi się.

- To brzmi okropnie!

- Była chciwa, zgorzkniała i bardzo młoda, ale również piękna. Jej delikatność poruszała głęboko. - Wzdycham. - Biedny Artur. Miał fatalną rękę do kobiet. Z wyjątkiem Ailleann, oczywiście, ale jej nie wybrał sam. Dostał ją w podarku jako niewolnicę.

- Co się z nią stało?

- Umarła podczas wojny saskiej.

- Zabita? - dopytuje się Igraine, drżąc.

- Przez zarazę. To była bardzo powszednia śmierć.

Chrystus.

To imię wygląda dziwnie na tych kartach, nie przeczę, ale niech już tu zostanie. Właśnie rozmawialiśmy z Igraine o Ailleann, kiedy do pokoju wchodzi biskup Sansum. Święty nie jest biegły w piśmie, a z tej racji, iż całkowicie potępia moje spisywanie historii życia Artura, Igraine i ja udajemy, że składam ewangelię w języku saskim. Wspomniałem, iż znajomość pisma jest mu obca, lecz kilka słów potrafi rozpoznać, a jednym z nich jest imię Chrystusa. To dlatego je tu umieściłem. Ujrawszy je, mruczy z podejrzliwością. W dzisiejszych czasach wygląda bardzo staro. Niemal wszystkie włosy mu wypadły, chociaż nadal ma dwie białe szczoteczki, jak uszy Lughtigerna, Mysiego Króla. Kiedy sika, miewa bóle, lecz nie odda swego ciała w ręce mądrych staruch uzdrowicieli, upiera się bowiem, że wszystkie są pogankami. Święty twierdzi, iż Bóg go wyleczy, chociaż czasem, niech Bóg mi wybaczy, modłę się o śmierć biskupa, bo wtedy klasztor dostałby nowego zwierchnika.

- Moja pani miewa się dobrze? - pyta Mysi Król Igraine po tym, jak mrużąc ślepią przyjrzał się pergaminowi.

- Dzięki, biskupie, tak.

Sansum rozgląda się po izbie, sprawdzając, czy wszystko jest jak należy, chociaż nie wiem, co mogłoby mu się nie spodobać. Izba jest bardzo prosta: prycza, stół do pisania, stołek i palenisko. Lubi mi przyganiać, że zużywam za dużo drewna na opał, lecz dziś mamy bardzo łagodną zimę i oszczędzam na tej garstce drew, którą święty raczy mi wydzielić. Biskup ściera smugę kurzu i oszczędziwszy mi kazania na ten temat, zerka na Igraine.

- Wasz czas będzie już niebawem, pani?

- Za niecałe dwa miesiące, biskupie - mówi królowa i czyni znak krzyża na swojej niebieskiej sukni.

- Usłyszycie, oczywiście, jak nasze modlitwy wzniosą się aż pod niebiosa, wnosząc o powodzenie naszej pani - bredzi biskup trzy po trzy.

- Módlcie się też, żeby w pobliżu nie było Sasów.

- A są tak blisko? - pyta wystraszony.

- Mój małżonek słyszał, że szykują się do ataku na Ratae.

Mysi Król zbywa tę informację.

- Ratae jest daleko.

- O półtora dnia? - pyta Igraine. - Jeśli padnie, jaka forteca pozostanie między nami a Sasami?

- Bóg nas ochroni. - Biskup nieświadomie naśladuje dawno zgasłe przekonanie pobożnego króla Gwentu, Meuriga. - Tak jak ochroni waszą miłość w godzinie waszej próby.

Zostaje jeszcze chwilę, ale tak po prawdzie nie ma u nas nic do roboty. W tych czasach święty nudzi się. Brak mu gleby, na której siałby swoje ulubione ziarna - niezgody i zamętu. Brat Maelgwyn, najsilniejszy w naszej gromadce i spełniający większość najcięższych prac klasztornych, zmarł przed kilkoma tygodniami, a z jego odejściem biskup stracił swoją najmilszą ofiarę. Uwielbiał nękać brata. Dręczenie mojej osoby nie dostarcza mu równie wielkiej przyjemności, znoszę bowiem to cierpliwie, a poza tym chroni mnie Igraine i jej małżonek. Tak więc w końcu Mysi Król wynosi się i królowa pokazuje mu język, tak oczywiście, że święty tego nie widzi.

- Powiedz mi, Derflu - zwraca się do mnie, kiedy Sansum nie może ogarnąć naszej rozmowy swym osłabłym słuchem - co winnam przygotować do powicia?

- A czemu, na Boga, mnie o to pytasz, pani?! - powiadam zdumiony. - Nie znam się ani krztyne na przyjmowaniu dzieci, dzięki Bogu! Nigdy przy tym nie byłem i nie chcę być.

- Ale znasz stare zwyczaje - nalega. - O to mi chodzi.

- Niewiasty w waszym caer znają się na tym dużo lepiej ode mnie, ale kiedy Ceinwyn rodziła dziecko, zawsze dbaliśmy o to, by w łożu był kawałek żelaza, babska uryna na progu, bylica w palenisku i, oczywiście, była tam dziewica. Tylko dziewczka nietknięta przez męża mogła unieść nowo narodzone dziecko z posłania. Co najważniejsze - dodaję stanowczo - w izbie nie mógł przebywać żaden mąż. Nic tak nie przynosi pecha jak przytomność mężczyzny w izbie rodzącej. - Dotykam łebka gwoździa w moim stole, żeby zapobiec nieszczęściu, samo bowiem napomknienie o tak fatalnym zbiegu okoliczności może je sprowokować. My, chrześcijanie, rzecz wiadoma, nie wierzymy w to, by pocieranie żelaza miało jakiś tam wpływ na uśmiech bądź grymas fortuny, lecz gwóźdź w moim stole lśni wypolerowany.

- Czy to o Sasach jest prawdą? - spytałem.

Igraine kiwa głową.

- Zbliżają się, Derflu.

Znów pocieram gwóźdź.

- W takim razie ostrzeż, pani, swego męża. Niech rychtuje ostre włócznie.

- Jego nie trza ostrzegać. - Igraine uśmiecha się ponuro.

Zastanawiam się, czy wojna w ogóle kiedyś się skończy. Jak żyję, Brytowie zawsze walczyli z Sasami i chociaż zaiste odnieśliśmy nad nimi jedno wielkie zwycięstwo, to przez lata, które po nim upłynęły, traciliśmy coraz więcej ziemi, a z nią coraz więcej opowieści związanych z dolinami i wzgórzami. Historia to nie tylko pamięć dokonań, lecz także imiona miejsc, krajobrazu. Nazywam wzgórze imieniem bohatera, który na nim padł, lub rzekę imieniem księżniczki, która umykała jej brzegiem, a kiedy stare znikają, historia odchodzi wraz z nimi i nowe nie niosą wspomnień z przeszłości. Sasi zabrali naszą ziemię i naszą historię. Rozpełzli się jak zaraza i nie mamy już Artura, który by nas chronił. Artura, bicia Sasów, pana Brytanii i męża, któremu miłość zadała rany dotkliwsze niż miecz bądź włócznia. Jakże mi brak Artura.

Zimowe przesilenie następowało wtedy, gdy modliliśmy się, aby bogowie nie porzucali ziemi dla wielkiej ciemności. W najbardziej ponure zimy te modły brzmiały jak rozpaczliwe błagania, a nigdy nie były tak przepojone rozpaczą jak na rok przed saskim najazdem, kiedy nasz świat zamarł pod skorupą lodu i zmrożonego śniegu. Dla tych z nas, którzy byli wyznawcami Mirty, przesilenie miało podwójne znaczenie, był to bowiem również czas narodzin boga i po wielkim święcie w Dun Caric zabrałem Issę do pieczar, w których przeprowadzaliśmy nasze najbardziej wzniosłe ceremonie, i tam wtajemniczyłem go w kult Mirty. Udatnie przebrnął przez próby i oddział najbitniejszych wojów, odbywający misteria, przywitał go z radością. Wyprawiliśmy ucztę. Tamtego roku ubiłem byka, najpierw kulawiąc zwierzę, by nie mogło się poruszyć, a potem w niskiej pieczarze rozłupaliśmy mu toporem kręgosłup. Pamiętam, że byk miał pomarszczoną wątrobę. Zły znak, lecz tamtej lodowatej zimy nie było dobrych znaków.

Czterdziestu mężów brało udział w rytuałach mimo okropnej pogody. Artur, choć dawno przeszedł inicjację, nie przybył, lecz Sagramor i Culhwch pojawili się ze swoich przygranicznych placówek. Pod koniec święta, kiedy większość wojów odsypiała wypity miód, nasza trójka wycofała się do niskiego tunelu, w którym dym nie był tak gęsty, i rozmawialiśmy na osobności.

Zarówno Sagramor, jak i Culhwch byli przekonani, iż Sasi zaatakują prosto wzdłuż doliny Tamizy.

- Z tego, co słyszę, gromadzą w Londynie i Poncie zapasy jada i broni - rzekł ten pierwszy. Przerwał, odgryzając mięso od kości. Nie widziałem go od miesięcy i jego kompania dodała mi otuchy; Numidyjczyk był najtwardszym ze wszystkich dowódców

Artura i budził największy przestach, a jego bezwzględność znajdowała swój wyraz w pociągłym obliczu o profilu ostrym jak żeleźce topora. Był niesłuchanie lojalnym, oddanym przyjacielem, cudownym bazarzem, ale przede wszystkim urodzonym wojownikiem, zdolnym przechytrzyć i pokonać każdego wroga. Sasi przerażliwie się go bali, wierząc, iż jest mrocznym demonem z ich zaświatów. Ten paraliżujący strach był przyczyną naszej radości i dodawał otuchy, albowiem, nawet będąc w mniejszości, mieliśmy po swej stronie miecz Sagramora i jego doświadczonych włóczników.

- Czy Cerdyk nie uderzy z południa? - zapytałem.

Culhwch pokręcił głową.

- Nic na to nie wskazuje. W Vencie spokój i cisza.

- Nie ufają sobie - rzekł Sagramor, mając na myśli Cerdyka i Aelle'a. - Jeden nie poważy się spuścić drugiego z oka. Cerdyk obawia się, że przekupimy jego sprzymierzeńca, a ten z kolei lęka się, że tamten pozbawi go łupów, tak więc będą się trzymać razem jak rodzeni braciszkanie.

- Co więc uczyni Artur? - spytałem.

- Mieliliśmy nadzieję, że ty nam to powiesz - odparł Culhwch.

- Ostatnimi czasy Artur nie rozmawia ze mną - rzekłem, nie zadając sobie trudu, by ukryć gorycz.

- Nie tylko z tobą - warknął Culhwch.

- Nie tylko z wami - dodał Sagramor. - Zjawia się na inspekcję, ciągnie mnie za język, weźmie udział w jakimś wypadku albo w dwóch, a potem odjeżdża. Sam parę z gęby nie puści.

- Miejmy nadzieję, że układa plany. - Westchnąłem.

- Pewnie za bardzo jest zajęty nową oblubienicą - zauważył kwaśno Culhwch.

- Widziałeś ją? - zapytałem.

- Irlandzka kotka - rzekł lekceważąco. - Z pazurami. - Opowiedział nam, że odwiedził Artura i Argantę, jadąc do nas na północ. - Całkiem gładka - przyznał niechętnie. - Gdybyście wzięli ją jako niewolnicę, pewnie każdy z was postarałby się umieścić ją blisko pod bokiem. No, ja bym to zrobił. Ty nie, Derflu. - Culhwch często kpił z mojej wierności wobec Ceinwyn, chociaż nie byłem pod tym względem żadnym wyjątkiem. Sagramor wziął za żonę niewolnicę z Sasów i jak ja był sławny z lojalności wobec swojej kobiety. - Co za użytek z byka, który wskakuje tylko na jedną krowę? - rzekł Culhwch, lecz żaden z nas nie zareagował na jego żart.

- Artur się boi - powiedział Sagramor. Zamilkł, zbierając myśli. Numidyjczyk dobrze władał mową Brytów, chociaż z obrzydliwym akcentem, ale nie był to jego rodzimy język i często mówił powoli, chcąc mieć pewność, że wyraża dokładnie to, co pragnie wyrazić. - Sprzeciwił się bogom i to nie tylko na Mai Dun, ale przejmując władzę od Mordreda. Chrześcijanie go znienawidzili, a teraz i pozostali uznali za wroga. Pojmujecie, jaki jest osamotniony?

- Kłopot z Arturem polega na tym, że nie wierzy w bogów - rzekł lekceważąco Culhwch.

- Wierzy w siebie - stwierdził Sagramor. - A kiedy Ginewra go zdradziła, wziął sobie do serca ten cios. Wstydzi się. Stracił wiele dumy, a jest człowiekiem dumnym. Myśli, że wszyscy się z niego śmiejemy, więc się od nas oddalił.

- Ja się z niego nie śmieje - zaprotestowałem.

- Ja tak - rzekł Culhwch, wzdrygnąwszy się, kiedy wyprostował okaleczoną dawno temu nogę. - Głupi osioł. Powinien kilka razy spuścić pas na tyłek Ginewry. Miałaby suka nauczkę.

- Teraz boi się przegranej - ciągnął Sagramor, nie poświęcając uwagi opinii Culhwcha. - Kimże on bowiem jest, jeśli nie żołnierzem? Lubi myśleć o sobie, że jest zacnym człowiekiem, że włada krajem, bo jest urodzonym władcą, ale to miecz wyniósł go do władzy. W głębi swojego jestestwa wie o tym, a kiedy przegra tę wojnę, utraci to, na czym najbardziej mu zależy: reputację. Będzie pamiętany jako uzurpator, który nie był dość dobry, by utrzymać to, co zagarnął. Jest przerażony na myśl o drugim ciosie w swoją reputację.

- Może Arganta potrafi zaleczyć pierwszą ranę - rozważałem na głos.

- Wątpię - rzekł Sagramor. - Galahad powiada mi, iż Artur tak naprawdę nie chciał brać jej za żonę.

- W takim razie, po co to zrobił? - zapytałem apatycznie.

Numidyjczyk wzruszył ramionami.

- Na złość Ginewrze? Żeby przypodobać się Oengusowi? Żeby pokazać nam, iż nie potrzebuje Ginewry?

- Dla obłapki z gładką dziewczką? - zasugerował Culhwch.

- Jeśli w ogóle wchodzi do jej łożnicy - powiedział Sagramor.

Culhwch wybałuszył oczy na Numidyjczyka, wyraźnie wstrząśnięty.

- Oczywiście, że tam wchodzi - rzekł.

Sagramor pokręcił głową.



- Z tego, co słyszę, to nie. Oczywiście, to tylko plotki, a plotki są najmniej wiarygodne, kiedy tyczą tego, co dzieje się między mężem a niewiastą. Ale myślę, że księżniczka jest za młoda jak na gust Artura.

- One nigdy nie są za młode - warknął Culhwch.

Sagramor tylko wzruszył na to ramionami. Był o wiele subtelniejszym mężem niż Culhwch, dzięki czemu potrafił znacznie głębiej wczuć się w rozterki Artura, który lubił pozować na kogoś wielce prostolinijnego, lecz po prawdzie miał charakter tak skomplikowany jak cyzelunki, ozdobne zawijasy i niesamowite smoki na głowni Excalibura.

Wyruszyliśmy rankiem; grotty i głownie naszych włóczy wciąż czerwieniły się od krwi ofiarnego byka. Issa był podniecony. Zaledwie kilka lat temu był parobkiem, lecz teraz stał się wyznawcą Mitry i niebawem zwierzył mi się, że zostanie ojcem, gdyż Scarach, jego żona, była brzemienna. Issa, nabrawszy pewności siebie po inicjacji, nagle wbił sobie do głowy, iż pobijemy Sasów bez pomocy Gwentu, ale nie podzielałem jego przekonania. Może nie przepadałem za Ginewrą, lecz nigdy nie myślałem, że jest głupia, i przepowiednia o ataku Cerdyka z południa martwiła mnie. Alternatywa, oczywiście, nie była pozbawiona sensu; Cerdyk i Aelle zostali sprzymierzeńcami z musu i jeden na pewno będzie trzymał drugiego na oku. Atak wszystkimi siłami wzdłuż Tamizy doprowadziłby ich najszybciej do zatoki Severn i rozpołowienia królestwa Brytów, a poza tym czemu mieliby rezygnować z przewagi liczebnej, dzieląc się na dwie mniejsze armie, które Artur mógł pobić jedną po drugiej? Jednakże jeśli Artur oczekiwał tylko jednego ataku i był przyszykowany bronić się wyłącznie przed nim, to przewaga uderzenia z południa była wielka. Podczas gdy on byłby uwikłany w potyczki z jedną armią saską w dolinie Tamizy, druga mogłaby zająć go z prawej flanki i dotrzeć do Severn niemal bez oporu. Jednakże Issa nie suszył sobie głowy takimi zmartwieniami. Wyobrażał sobie tylko, jak stoi w zwartym szyku i, uszlachetniony łaską Mitry, wycina saskie zastępy niczym wieśniak trawę.

Po przesileniu utrzymały się chłody. Dzień za dniem wstawał oszroniony, błądy; słońce wielkości czerwonego kręgu wisiało nisko w chmurach na południu. Wilki zapuszczały się daleko na uprawne pola, zwabione owcami zagonionymi do owczarni, i pewnego cudnego dnia ubiliśmy sześć szarych bestii, zdobywając sześć nowych ogonów do hełmów mojego oddziału. Moi żołnierze zaczęli zatykać wilcze kity na swych hełmach w kniejach Armoryki, gdzie biliśmy się z Frankami, i jako że napadaliśmy na nich niczym łupieżcze bestie, nazwali nas „wilkami”, a my uznaliśmy obelgę za komplement. Chociaż na tarczach, miast wilczych pysków, wymalowaliśmy sobie pięcioramienne gwiazdy, znak Ceinwyn.

Ona zaś stale upierała się, że nie ucieknie wiosną do Powys. Morwenna i Seren mogą się oddalić - powiedziała - ale ona zostanie. Byłem zły z powodu tej decyzji.

- Więc nasze dziewczęta mogą stracić i matkę, i ojca? - zapytałem.

- Jeśli taka jest wola bogów, to tak - odparła ze spokojem, po czym wzruszyła ramionami. - Może to egoizm, ale tego chcę.

- Chcesz umrzeć? To ma być egoizm?

- Nie chcę być daleko, Derflu. Wiesz, jak to jest, kiedy przebywasz w odległym kraju, wiedząc, że twój mężczyzna walczy? Czekasz ogarnięta grozą. Widok każdego posłańca przesywa cię lękiem. Słuchasz każdej plotki. Tym razem zostaną.

- Żebym miał się czym martwić?

- Ależ z ciebie arogant - rzekła ze spokojem. - Myślisz, że nie potrafię zadbać o siebie?

- To szkiełko nie uchroni cię przed Sasami. - Wskazałem ułamek agatu na jej palcu.

- Więc schronię się tak, że nic mi się stanie. Nie martw się, Derflu, nie będę płać ci się pod nogami i nie dam się pojmać w niewolę.

Następnego dnia pierwsze jagnięta urodziły się w owczarni pod wzgórzem Dun Caric. Było to niezwykle wcześnie, ale uznałem to za dobry znak od bogów. Zanim Ceinwyn mogła tego zabronić, złożono w ofierze pierwotne jagnię, żeby reszta owieczek dobrze rosła. Zakrwawione futerko przybito do sosny nad strumykiem. Następnego dnia zakwitł tam tojad i żółte płatki były pierwszymi błyskami koloru w nadchodzącym roku. Również tamtego dnia ujrzałem trzy zimorodki, podskakujące przy zamrzniętych brzegach strugi. Życie ocknęło się z odrętwienia. O poranku budziły nas koguty, znów słyszeliśmy piosnki drozdów, rudzików, skowronków, strzyżyków i wróbli.

Artur posłał po nas w dwa tygodnie po przyjściu na świat pierwszych jagniąt. Śnieg stopniał i posłaniec brodził w błotach zalegających drogi, dostarczając wezwanie. Mieliśmy stawić się w Lindinis na święto Imbolc, pierwsze po przesileniu, przeznaczone bogini płodności. W Imbolc prowadzimy nowo narodzone jagnięta przez płonące obręcze, a potem, kiedy pozornie nikt nie patrzy, młode dziewczęta skaczą w ślad za owieczkami, nurzając palce w ogniskach Imbolc i smarując popiołem lędźwie. Dziecko zrodzone w listopadzie nosi nazwę dziecięcia Imbolc i ma za matkę popiół, a za ojca ogień. Ceinwyn i ja przybyliśmy po południu w wilię Imbolc, kiedy zimowe słońce rzucało długie cienie na poblakłe trawy. Włócznicy Artura otoczyli pałac, chroniąc go przed nagłym wybuchem wrogości ludu, pamiętającego Merlinowe czary, przywołanie jaśniejszej dziewczeczki.

Ku mojemu zaskoczeniu, poczyniono przygotowania na Imbolc. Artur nigdy nie dbał o takie sprawy, zostawiając większość religijnych obowiązków Ginewrze, a ona nie zawracała sobie głowy świętami prostaczków w rodzaju Imbolc. Teraz jednak wielka obręcz spleciona ze słomy stała gotowa na środku placu, a stadko jagniąt czekało wraz z matkami w zagrodce. Przywitał nas Culhwch, kiwając oblesnie głową w kierunku obręczy.

- Masz szansę na kolejnego brzdąca - rzekł do Ceinwyn.

- Po co innego bym tu przybyła? - odparła, całując go. - A iloma ty możesz się pochwalić?

- Dwudziestoma i jednym - odparł dumnie.

- Z ilu matek?

- Z dziesięciu. - Wyszczrzył zęby i klepnął mnie w plecy. - Jutro dostaniemy rozkazy.

- My?

- Ty, ja, Sagramor, Galahad, Lanval, Balin, Morfans. - Culhwch wzruszył ramionami.

- Wszyscy.

- Jest tu Arganta? - spytałem.

- A jak myślisz, kto nakazał ustawić obręcz? - odpowiedział pytaniem. - To wszystko jej pomysł. Sprowadziła z Demetii druida i przed dzisiejszą wieczerzą mamy oddać cześć Nantosuelcie.

- Komu?

- Jakiejś tam bogini - odparł niedbale. Było tyle bogów i bogiń, że tylko druidzi znali wszystkie ich imiona. Ani ja, ani Ceinwyn nigdy wcześniej nie słyszeliśmy o Nantosuelcie.

Nie ujrzeliśmy Artura ni Arganty, dopiero po zmroku Hygwydd, jego sługa, wezwał nas wszystkich na dziedziniec, oświetlony smolnymi szczapami w żelaznych uchwytach. Przypomniała mi się noc Merlina i tłum wniebowziętych prostaczków, unoszących kalekie i chore pacholęta ku Owenie Srebrnej. Teraz możni panowie i ich panie oczekiwali po obu stronach plecionej obręczy, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, podczas gdy na podwyższeniu, wzniesionym po zachodniej stronie, umieszczono trzy stolce obleczone białym płótnem. Przy obręczy stał druid; uznałem, że sprowadziła go Arganta z królestwa ojca. Był to niski przysadzisty mąż o zmierzwionej brodzie, w którą wplótł kępki lisiego futerka i wiązki kostek.

- Zwie się Fergal - wyjaśnił mi Galahad. - Nienawidzi chrześcijan. Całe popołudnie zajęło mu rzucanie na mnie uroków, a potem zjawił się Sagramor i druid mało nie zemdlął z dzikiego przerażenia. Myślał, że to Crom Dubh we własnej osobie. - Zaśmiał się.

Sagramor zaiste mógł być tym mrocznym bogiem, oblekł się bowiem w czarne skóry i u pasa zwisał mu miecz w czarnej pochwie. Przybył do Lindinis ze swoją dużą, saską żoną o twarzy bez wyrazu, Mallą, i ta dwójka stała oddzielnie, w głębi dziedzińca. Sagramor czcił Mitrę, ale bogowie Brytów mało go obchodzili, podczas gdy Malla nadal modliła się do Wodena, Eostre'a, Thunora, Fira i Seaxneta - samych saskich bóstw.

Byli tam wszyscy wodzowie Artura, chociaż kiedy czekałem na niego, myślałem o mężach, których zabrakło w tym zgromadzeniu. O Cei, towarzyszu dziecięcych zabaw Artura w odległym Gwynedzie, który zmarł w Dumnoniańskiej Isce w czas rebelii Lancelota, zamordowany przez chrześcijan. O Agravainie, przez lata dowódcy Arturowej jazdy, który zmarł zimą, powalony gorączką. Balin przejął jego obowiązki i przybył do Lindinis z trzema żonami oraz okazałą gromadką niewysokich krępych dzieciaków, które wpatrywały się ze zgrozą w Morfansa, najszeptniejszego męża Brytanii, chociaż reszta nas tak przywykła do niego, że już nie zauważaliśmy zajęcej wargi, wola na szyi ani wykrzywionej szczęki. Poza Gwydrem, jeszcze chłopcem, byłem tam zapewne najmłodszy i kiedy to sobie uświadomiłem, doznałem wstrząsu. Potrzebowaliśmy nowych dowódców i zdecydowałem wtedy, że dam Issie własny oddział, kiedy tylko wojna z Sasami się skończy. Jeśli on przeżyje. Jeśli ja przeżyję.

Galahad odszukał Gwydra, po czym razem przystanęli obok mnie i Ceinwyn. Zawsze był gładkim mężem, lecz teraz, gdy doszedł wieku średniego, jego uroda zyskała jeszcze na godności. Włosy ze złotych stały się srebrne, zapuścił małą brodę, przyciętą w szpic. Zawsze byliśmy sobie bliscy, ale w tę trudną zimę pewnie stał się bliższy Arturowi niż ktokolwiek inny. Galahad nie przebywał w Pałacu Morskim w czas hańby Artura, dzięki czemu, a także dzięki bezsłownemu współczuciu, jakie okazywał potem Arturowi, ten chętnie znosił jego obecność. Ceinwyn spytała po cichu Galahada, tak by Gwydr nie mógł jej słyszeć, jak miewa się Artur.

- Żebym ja to wiedział - odparł.

- Pewnie szczęśliwy - powiedziała.

- Dlaczego?

- Dzięki młodej żonie.

Galahad uśmiechnął się.

- Pani, kiedy człek jest w podróży i ukradną mu wierzchowca, często zbyt pośpiesznie kupuje innego.

- I nigdy go nie dosiada, jak słyszę? - wtrąciłem bez żadnych ogródek.

- Słyszałeś to, Derflu? - Galahad nie potwierdził plotki ani jej nie zaprzeczył. Uśmiechnął się. - Małżeństwo to dla mnie wielka tajemnica - dorzucił, nie wyjaśniając, o co mu dokładnie chodzi. Sam się nie ożenił. W rzeczy samej, od kiedy jego dom w Ynys Trebes wpadł w ręce Franków, nigdzie się nie osiedlił. Od tamtej pory przebywał w Dumnonii i tymczasem pokolenie dzieci doszło już wieku dorosłego, lecz on wciąż wydawał się tu gościem. Miał swoje komnaty w pałacu w Durnovarii, ale obywatel się najprostszymi sprzętami. Był posłańcem Artura, podróżował wzdłuż i wszerz całej Brytanii, posłując do innych królestw, lub też udawał się z Sagramorem na wypady w głąb terytorium Sasów. Wydawał się najszcześniejszy, gdy był zajęty takimi sprawami. Czasem zastanawiałem się, czy nie jest zakochany w Ginewrze, lecz Ceinwyn zawsze kpiła z moich podejrzeń. Twierdziła, że Galahad jest zakochany w doskonałości i jest zbyt wybredny, by pokochać kobietę z krwi i ciała. Kochał ideał kobiety, lecz nie mógł znieść choroby, krwi i bólu. W bitwie nie wzdygał się na widok takich okropności, lecz to dlatego - twierdziła dalej Ceinwyn - że w bitwie to mężowie krwawili i padali jak muchy, a Galahadowi nigdy nie był bliski ideał męża, jeno niewiasty. I może miała rację. Wiedziałem tylko, że czasami mój przyjaciel musiał być samotny, chociaż nigdy się nie skarżył.

- Artur jest bardzo dumny z Arganty - rzekł teraz łagodnie, chociaż ton jego głosu sugerował, iż pod tym niewinnym stwierdzeniem kryje się coś niezwykłego.

- Lecz daleko jej do Ginewry? - podsunąłem mu.

- Z pewnością. - Wydawał się wdzięczny, że wyraziłem na głos tę myśl. - Chociaż po części przypomina ją trochę.

- Na przykład...? - spytała Ceinwyn.

- Ma pewne ambicje - rzekł z wahaniem Galahad. - Myśli, że Artur powinien scedować Sylurię na rzecz jej ojca.

- Syluria nie jest jego, żeby mógł ją komuś ustępować! - zachnąłem się.

- Jak najbardziej - zgodził się ze mną Galahad. - Arganta myśli jednak, że jej mąż mógłby ją podbić.

Splunąłem. Chcąc podbić Sylurię, Artur musiałby walczyć z Gwentem, a nawet z Powys, dwoma krajami, które wspólnie rządziły tamtym terytorium.

- Szaleństwo - powiedziałem.

- Zamierzenia ambitne, niezbyt trzeźwo przemyślane - poprawił mnie Galahad.

- Czy Arganta ci się podoba? - spytała go wprost Ceinwyn.

Oszczędzono mu odpowiedzi na to pytanie, nagle bowiem rozwarły się drzwi pałacu i wreszcie pojawił się Artur. Był odziany jak zwykle w biel, a przez ostatnie miesiące jego

twarz tak się ściągnęła, iż nagle wydał się stary. Był to okrutny figiel losu, bo na ramieniu mojego pana, odziana w złotą szatę, wspierała się młoda oblubienica, jeszcze prawie dziecko.

Wtedy to po raz pierwszy ujrzałem Argantę, księżniczkę Ui Liathain i siostrę Iseulty, która pod wieloma względami przypominała skazaną przez los Iseultę. Arganta był kruchą istotą, zawieszoną między dziewczęcością i kobiecością, i w tę noc wili Imbolc była bliżej tej pierwszej, co podkreślała jeszcze wielka szata ze sztywnej materii, z pewnością należąca niegdyś do Ginewry. Wyraźnie była za duża na Argantę, kroczącą niepewnie w złotych fałdach. Pamiętam, że na widok jej obwieszanej klejnotami siostry pomyślałem, iż Iseulta wygląda jak dziecko przyodzione w złota matki, i Arganta robiła podobne wrażenie - dziecka przebranego ku swawoli - i jak dziecię pretendujące do dorosłości nosiła się z wystudiowaną powagą, zdradzającą brak wrodzonego dostojenia. Lśniące czarne włosy splecione w warkocz owinęła wokół głowy i spięła broszą z czarnego szkliwa, tej samej barwy co tarcze straszliwych wojów jej ojca, a sztuczny wyraz dorosłości nie pasował do twarzyczki, tak jak gruby złoty naszyjnik wydawał się zbyt masywny dla wiotkiej szyi. Artur podprowadził ją do podwyższenia, z ukłonem wskazał stolec po swej lewicy i wątpię, by znalazł się ktoś na dziecińcu, gość, druid czy strażnik, kto nie pomyślałby, że wyglądają zupełnie jak ojciec i córka. Kiedy siadała, na chwilę wszyscy zastygli, zamilkli. To była dziwna chwila, jakby ominięto jakiś fragment rytuału, i powaga ceremonii niebezpiecznie zachybotała na krawędzi śmieszności, lecz akurat w drzwiach powstało jakieś zmieszanie, rozległy się chichoty i pojawił się Mordred.

Nasz król kuśtykał na szpotawej stopie, rozglądając się z chytrym uśmieszkiem na ustach. Podobnie jak Arganta, odgrywał rolę, lecz w przeciwieństwie do niej nie robił tego chętnie. Wiedział, że każdy wojownik na dziedzińcu jest oddany Arturowi i nienawidzi jego, Mordreda, a jeśli wszyscy udawali, że uznają go za swego króla, to tylko dlatego, iż ten go tolerował. Wdrapał się na podwyższenie. Artur skłonił się i wszyscy poszliśmy za jego przykładem. Mordred, o włosach sztywnych i nieposłusznych jak zawsze oraz brodzie szpecącej okrągłe oblicze, odpowiedział nieznacznym ukłonem, a potem spoczął na środkowym stolcu. Arganta obdarzyła go niespodziewanie przyjaznym spojrzeniem. Artur zajął ostatnie wolne krzesło i tak siedzieli, imperator, król i dziecko oblubienica.

Nie mogłem opędzić się od myśli, że Ginewra przygotowałyby to wszystko lepiej. Przyniesiono by grzanego piwa, rozpalono by więcej ognisk, ku wygodzie gości, muzyka pochłonęłaby niezręczną ciszę, lecz w tę noc wydawało się, że nikt nie wie, co ma się wydarzyć, dopóki Arganta nie syknęła na druida swego ojca. Fergal rozejrzał się nerwowo, po

czym przemknął przez dziedziniec i porwał jedną z pochodni. Podpalił nią obręcz i zaczął mrużyć niezrozumiałe zaklęcia, gdy płomienie wspięły się po słomie.

Niewolnicy wynieśli z zagrody pięć nowo narodzonych jagniąt. Owce żalonym beczaniem przyzywały swoje utracone potomstwo, wijące się w ramionach niewolników. Fergal odczekał, aż obręcz cała zapłonie, po czym nakazał przeprowadzić przez nią zwierzęta. Zrobiło się zamieszanie. Jagnięta, nieświadome tego, że urodzaj w Dumnonii zależy od ich karności, rozbiegły się we wszystkich kierunkach, tylko nie ku ogniu, a rozradowane dzieciaki Balina dołączyły do pokrzykujących niewolników, łowiących zwierzęta, co tylko wzmogło zamęt. Ale w końcu jagnięta zagoniono, jedno po drugim, ku obręczy i udało się je przekonać, by skoczyły przez płonący okrąg, niemniej jednak zamierzona powaga zgromadzenia legła w gruzach. Arganta, niewątpliwie przywykła do o niebo lepszego przygotowania takich ceremonii, zmarszczyła czoło, lecz reszta towarzystwa śmiała się i gadała. Fergal przywrócił dostojeństwo chwili, wydając straszliwy wrzask, który zmroził nas wszystkich. Druid odrzucił głowę do tyłu, wzrok wbił w chmury. W prawej dłoni dźwiżył szeroki krzemienny nóż, w lewej ścisnął bezradnie rzucające się jagnię.

- Och, nie - jęknęła Ceinwyn i odwróciła się plecami do ognia.

Gwydr skrzywił się i musiałem uspokoić chłopca, kładąc mu dłonie na ramionach.

Fergal wykrzyczał coś groźnego, a następnie uniósł nad głowę jagnię i tępy nóż. Znów wrzasnął, po czym niezdarnie poderżnął zwierzęciu gardło. Jagnię miało się słabiej i słabiej, wzywając matkę, która odpowiadała bezradnym beczaniem, a krew chlustała po młodzieńskim runie na uniesioną twarz Fergala i jego zmierzwioną brodę.

- Chwała niech będzie bogom, że nie skazali mnie na życie w Demetii - zamruczał Galahad.

Zerknąłem na Artura i dojrzałem na jego obliczu wyraz absolutnego obrzydzenia. Poczul mój wzrok i zeszywniał. Arganta wychyliła się do przodu, rozdziawiając usta i chłonąc widok ofiarowania. Mordred szczyrzył zęby w uśmiechu.

Jagnię zdechło i Fergal, ku zgrozie wszystkich nas, zaczął podskakiwać wokół dziedzińca, potrząsając ścierwem i wykrzykując modlitwy. Zrosił nas deszcz grubych krwawych kropli. Osłoniłem płaszczem Ceinwyn, gdy druid przetańczył obok nas, z twarzą pokrytą strumykami krwi. Artur wyraźnie nie był przygotowany na to barbarzyńskie widowisko. Niewątpliwie spodziewał się, że oblubienica planuje jakąś wystawną ceremonię poprzedzającą ucztę, ale rytuał zamienił się w orgię krwi. Zarżnięto wszystkie pięć jagniąt, a kiedy czarne kamienne ostrze wbiło się w ostatnie gardło, Fergal cofnął się i wskazał na obręcz.

- Nantosuelta czeka na was! - wołał. - Oto ona! Chodźcie ku niej! - Wyraźnie spodziewał się jakiejś reakcji, ale nikt się nie poruszył. Sagramor wpatrywał się w księżyc, a Culhwch łowił wesz w brodzie. Płomyki migotały na całym obwodzie obręczy i kępki płonącej słomy spadały na poszarpane ścierwa brukające dziedziniec. Nikt z nas ani drgnął. - Chodźcie ku Nantosuelcie! - zawodził ochryple Fergal.

Wtem powstała Arganta. Zrzuciła sztywną złotą szatę, odsłaniając prostą sukienkę z niebieskiej wełny, w której wyglądała jeszcze bardziej dziecinnie. Miała wąskie chłopięce biodra, drobne ręce i delikatną twarz, bieluchną jak jagnięce runo, nim czarny nóż odebrał życie zwierzakom. Fergal wzywał ją.

- Chodź! - wołał śpiewnie. - Chodź do Nantosuelty, Nantosuelta wzywa cię, chodź do Nantosuelty! - I tak wabił Argantę do jej bogini.

Oblubienica była teraz niemal w transie, poruszała się powoli, każdy krok sprawiał jej wysiłek, tak że szła i przystawała, szła i przystawała, podczas gdy druid wołał ją nieprzerwanie.

- Chodź do Nantosuelty! - wyśpiewywał. - Nantosuelta wzywa cię, chodź do Nantosuelty!

Arganta miała zamknięte oczy. Dla niej była to niesłychana chwila, chociaż dla nas wszystkich pozostałych - żenująca. Artur wydawał się poruszony i wściekły. Nic dziwnego, wyglądało bowiem na to, iż udało mu się tylko zamienić Izydę na Nantosuelte; Mordred natomiast, któremu niegdyś przyrzeczono Argantę za żonę, śledził każdy krok niedoszłej oblubienicy rozplamionym wzrokiem.

- Chodź do Nantosuelty, Nantosuelta wzywa cię! - zapraszał Fergal, a jego głos urósł do parodii niewieściego pisku.

Arganta dotarła do obręczy i gdy żar płomieni dotknął jej oblicza, uniosła powieki i wydawała się niemal zaskoczona tym, że znalazła się obok ogniska bogini. Spojrzała na druida, a potem szybko przeskoczyła przez dymiącą obręcz. Uśmiechnęła się triumfująco, a Fergal zaklaskał, zapraszając pozostałych do aplauzu. Uprzejmie uczyniliśmy zadość temu zaproszeniu, chociaż wyzbyta entuzjazmu owacja ucichła, gdy Arganta kucnęła przy zabitych jagniętach. Milczeliśmy wszyscy, kiedy wsunęła delikatny paluszek w jedną z ran. Cofnęła go i podniosła wysoko, tak że wszyscy ujrzeliśmy gęstą posokę na czubku palca. Wtedy odwróciła się, tak by Artur mógł widzieć, co czyni. Nie odrywając wzroku od małżonka otworzyła usta, odsłaniając drobne białe ząbki, powoli wsunęła między nie palec i zacisnęła wargi. Oblizwała go do czysta. Dostrzegłem, że Gwydr z niedowierzaniem wpatruje się w macochę. Nie była od niego wiele starsza. Ceinwyn zadrżała, mocno ściskając mnie za rękę.



Nie koniec na tym. Arganta odwróciła się, znów zanurzyła palec we krwi zwierzęcia, a potem wsadziła go w gorące szczątki obręczy. Nadal kucając, zadarła rąbek sukienki, posmarowała posoką i popiołem wnętrze ud. Zapewniała sobie płodność. Wykorzystywała moc Nantosuely do rozpoczęcia własnej dynastii i wszyscy byliśmy świadkami tego ambitnego zamierzenia. Znów przymknęła oczy, prawie w ekstazie, i nagle czar prysł. Wstała, wyjmując dłoń spod sukienki, i gestem przyzwała Artura. Po raz pierwszy tego wieczora uśmiechnęła się i ujrzałem, że jest piękna, ale to była mroczna uroda, tak chmurna jak uroda Ginewry, lecz Argancie brakowało ulewy rudych włosów pierwszej małżonki Artura, która złagodziłaby ogólne wrażenie.

Znów przyzwała ku sobie Artura, gdyż zapewne rytuał wymagał, by on też przeskoczył przez obręcz. Zawahał się, spojrzął na Gwydra i chyba mając dość tych przesądów, wstał i potrząsnął przecząco głową.

- Do stołów - rzekł ostro, łagodząc jednak surowość zaproszenia uśmiechem pod adresem gości.

Jednakowoż gdy spojrzałem na Argantę, zobaczyłem na jej bladej twarzy nieopanowaną wściekłość. Przez moment myślałem, że wrzaśnie na Artura. Drobne ciało zeszywniało, a dłonie zacisnęły się w pięści, ale Fergal, który jako jedyny oprócz mnie zauważył to wrzenie, szepnął jej coś do ucha. Zadygotała i wściekłość minęła. Artur niczego nie dostrzegł.

- Pochodnie! - nakazał strażom i rozjaśniono salę biesiadną. - Pójdźcie! - wezwał gości i z ulgą ruszyliśmy do drzwi pałacu.

Arganta zawahała się, ale Fergal znów coś jej szepnął i usłuchała wezwania. Druid pozostał obok dymiącej obręczy.

Ceinwyn i ja jako ostatni mieliśmy opuścić dziedziniec. Zatrzymał mnie jakiś impuls, położyłem dłoń na ramieniu Ceinwyn i zaciągnąłem ją w cienie arkad, skąd ujrzeliśmy, iż jeszcze jedna osoba została na dziedzińcu. Teraz, gdy wydawał się pusty - poza beczącymi owcami i zlanym krwią druidem - ta osoba wystąpiła z cieni. Był to Mordred. Kulejąc, minął podwyższenie, przeszedł po kocich łbach i zatrzymał się przy obręczy. Przez mgnienie oka król i druid wpatrywali się w siebie, po czym Mordred zrobił dziwny niezręczny gest, jakby pytał o pozwolenie na przestąpienie jaśniejących resztek płomienistego kręgu. Fergal zawahał się, lecz skinął głową. Mordred zgarbił się i przeszedł przez obręcz. Zatrzymał się po drugiej stronie i zmoczył palec we krwi, lecz nie czekałem, co dalej uczyni. Zabrałem Ceinwyn do pałacu, gdzie dymiące płomienie oświetlały wielkie ścienne malowidła rzymskich bogów i dawnych polowań.

- Jak podadzą jagnięcinę, nie wezmę tego do ust - zapowiedziała Ceinwyn.

Był łośoś i dziczyzna. Grano na harfie. Mordred, niezauważony, zajął po chwili miejsce przy stole honorowym, z chytrym uśmiechem na tępej twarzy. Nie odzywał się do nikogo i nikt nie zamienił z nim słowa, lecz od czasu do czasu zerkał na bladą, chudą Argantę, która jako jedyna w sali zdawała się radować ucztą. Widziałem, jak raz spotkali się wzrokiem z Mordredem i wzruszyli ramionami z irytacją, jakby chcieli powiedzieć, że nie cierpią współbiesiadników, lecz poza tym jednym spojrzeniem Arganta siedziała naburmuszona, podczas gdy Artur był zażenowany, a pozostali udawali, że nie widzą jej nastroju. Mordredowi, oczywiście, odpowiadały te fochy.

Następnego dnia przed południem polowaliśmy. Wyjechało nas kilkunastu, sami mężczyźni. Ceinwyn lubiła polować, lecz Artur poprosił ją, by zajęła się Arganta, i przystała na to niechętnie.

Przechesywaliśmy zachodnie lasy, chociaż bez wielkiej nadziei, Mordred bowiem często tam polował i łowczy wątpił, byśmy znaleźli zwierzynę. Ogary Ginewry, obecnie własność Artura, pędziły między czarnymi drzewami i udało im się wypłoszyć sarnę, za którą popędziliśmy zgrabnym galopem, ale łowczy odwołał psy, albowiem ujrzał, że zwierzę jest brzemiennie. Artur i ja jechaliśmy po łuku, licząc, że okążymy sarnę na skraju lasu, lecz słysząc rogi, wstrzymaliśmy konie. Artur rozejrzał się, jakby spodziewał się większego towarzystwa, po czym mruknął, gdy stwierdził, że jestem z nim sam na sam.

- Dziwna to sprawa z wczorajszej wieczery - bąknął niezręcznie. - Ale niewiasty lubią takie ceremonie - dodał lekceważąco.

- Ceinwyn nie lubi - powiedziałem.

Spojrzał na mnie ostro. Pewnie zadawał sobie pytanie, czy opowiedziała mi o jego propozycji, ale moja twarz nie zdradziła niczego, więc pewnie uznał, że nic nie wiem.

- Tak - rzekł. Znów się zawahał, potem roześmiał nieszczerze. - Arganta jest przekonana, że powinienem przejść przez obręcz na znak zawarcia małżeństwa, ale powiedziałem jej, że nie potrzeba mi zabitych jagniąt, bym wiedział, iż mam za sobą ślub.

- Nie miałem do tej pory okazji pogratulować wam, panie, zaślubin - odezwałem się bardzo sztywno - więc czynię to teraz. Jest bardzo piękną dziewczyną.

To sprawiło mu przyjemność.

- A jest - rzekł, po czym się zarumienił. - Ale to tylko dziecko.

- Culhwch powiada, iż wszystkie powinny legać za młodu - powiedziałem lekkim tonem.

Zignorował moją bez troskę.

- Nie zamierzałem brać jej za żonę - wyznał cicho. Milczałem, a on nie patrzył na mnie, a na płowe pola. - Lecz mężczyzna powinien mieć rodzinę - dodał stanowczo, jakby chciał przekonać samego siebie.

- Zaiste.

- I Oengus był wniebowzięty. Z wiosną, Derflu, sprowadzi całą armię. A ci Tarczownicy Czarni to tęgie zabijaki.

- Nikt im nie dorówna, panie. - Przyznałem mu rację, lecz pomyślałem też, iż Oengus przywiódłby swych wojów bez względu na to, czy Artur ożeniłby się z Argantą, czy nie. Sam alians z Arturem przeciwko władcy Powys - Cuneglasowi, którego ziemie włócznicy Oengusa najeżdżali od niepamiętnych czasów - to już był świetny interes, ale przebiegły irlandzki królik niewątpliwie drożył się i Artur uwierzył, że dopiero małżeństwo zagwarantuje udział Tarczowników Czarnych w wiosennej kampanii. Związek niewątpliwie ułożono pośpiesznie i Artur wyraźnie żałował, że dał się na niego namówić.

- Oczywiście, ona chce mieć dzieci - powiedział, nadal myśląc o obrzydliwym rytuale, który splamił krwią dziedziniec Lindinis.

- Wy nie, panie?

- Nie teraz - rzekł krótko. - Lepiej chyba poczekać, aż skończymy sprawę z Sasami.

- Jeśli już o tym mowa, to przywożę prośbę pani Ginewry. - Artur spojrzał na mnie ostro, lecz się nie odezwał. - Lęka się, iż w razie saskiego ataku z południa zagrozi jej niebezpieczeństwo. Błaga, by umieścić ją w bezpieczniejszym miejscu.

Artur pochylił się na siodle, gładząc konia po uszach. Spodziewałem się, że wpadnie w gniew na wzmiankę o Ginewrze, lecz nie okazał irytacji.

- Sasi może zaatakują z południa - rzekł łagodnie. - Tak po prawdzie, liczę na to, bo wtedy rozdziela siły i poradzimy sobie z nimi po kolei. Ale większe niebezpieczeństwo, Derflu, polega na tym, że mogą uderzyć razem wzdłuż Tamizy, i muszę szykować się na większe zagrożenie, nie na mniejsze.

- Lecz czy ostrożność nie nakazuje przenieść tego, co wartościowe, z południowej Dumnonii? - nalegałem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. W oczach miał szyderstwo, jakby nienawidził mnie za okazanie sympatii Ginewrze.

- A ona jest czymś wartościowym, Derflu? - zapytał.

Nic nie odparłem, a on odwrócił się ode mnie, patrząc na blade pola, na których drozdy i kosy dziobały skiby ziemi w poszukiwaniu robaków.

- Czy powinienem ją zabić? - spytał mnie nagle.

- Ginewrę? - Byłem wstrząśnięty, uznałem jednak, że za tymi słowami muszą się kryć machinacje jego młodej żony. Na pewno nie mogła znieść tego, że Ginewra żyje, mimo przestępstwa, za które siostra Arganty dała życie. - Ta decyzja, panie, nie należy do mnie, lecz przecież, jeśli zasługuje na śmierć, to czy nie powinna jej ponieść miesiące temu? Nie teraz.

Skrzywił się na te słowa.

- Co Sasi mogą jej zrobić? - spytał.

- Ona lęka się gwałtu. Ja lękam się tego, iż osadzą ją na tronie.

Wściekłym spojrzeniem ogarniał pola. Wiedział, że mam na myśli tron Lancelota, i wyobrażał sobie tę hańbę i utrapienie: jego śmiertelny wróg na tronie Dumnonii z Ginewrą u boku, powolni rozkazom Cerdyka. Nieznośna wizja.

- Jeśli zagrozi jej pojmanie, zabijesz ją - rzekł chrapliwie.

Nie wierzyłem własnym uszom. Wpatrywałem się w niego, lecz on uciekał ode mnie wzrokiem.

- Przecież prościej byłoby przenieść ją w bezpieczne miejsce - rzekłem. - Nie można wysłać jej do Glevum?

- Mam dość kłopotów bez troszczenia się o bezpieczeństwo zdrajców - warknął. Przez chwilę spalał go straszny gniew, lecz zaraz potem pokręcił głową i westchnął. - Wiesz, komu zazdroścę? - spytał.

- Mówcie, panie.

- Tewdrykowi.

Roześmiałem się.

- Tewdrykowi! Chcecie być mnichem udręczonym zaparciami?

- On jest szczęśliwy - rzekł z przekonaniem Artur. - Znalazł takie życie, jakiego zawsze pragnął. Nie chcę jego tonsury i nie dbam o jego boga, niemniej jednak zazdroścę mu. - Skrzywił się. - Zamęczam się szykowaniem do wojny, w wygranie której nikt oprócz mnie nie wierzy, i wszystko to jest mi obojętne. Wszystko! Mordred powinien być królem, złożyliśmy przysięgę, że wyniesiemy go na tron, i jeśli pobijemy Sasów, Derflu, pozwolę mu rządzić. - Przemawiał wyzywająco i nie wierzyłem mu. - Zawsze chciałem tylko kawałka ziemi, stadka bydła, porządných zbiorów, drewna do paleniska, kuźni do kształtowania żelaza, strugi, żeby mieć wodę. Czy to za wiele? - Rzadko tak biadolił nad sobą, słuchałem więc tylko, pozwalając, by jego gniew wylał się w słowach. Oczywiście trudno rzec, bym po raz pierwszy wysłuchiwał marzeń o domostwie ogrodzonym palisadą, chronionym przed światem grubą tarczą lasów i rozległych pól, pełnych wiernych poddanych, lecz teraz, gdy

Cerdyk i Aelle zbierali włócznie, musiał wiedzieć, że owe tęsknoty są nieziszczalne. - Nie mogę utrzymać Dumnonii na zawsze - rzekł. - Kiedy pobijemy Sasów, może nadejdzie czas, by inny mąż ukrócał cugle Mordredowi. Ja tymczasem, śladem Tewdryka, zakosztuję szczęścia. - Zebrał wodze. - Nie mogę teraz myśleć o Ginewrze, ale jeśli znajdzie się w niebezpieczeństwie, skończysz z nią. - Po tym jednoznacznym rozkazie spiął konia i odjechał.

Nie ruszyłem się z miejsca. Byłem oburzony, lecz kiedy opanowałem obrzydzenie, dostrzegłem, co naprawdę kryło się za tamtym poleceniem. Wiedział, że nie zabiję Ginewry, więc musiał zdawać sobie sprawę, iż jest bezpieczna, lecz jego bezwzględne słowa nie ujawniły uczuć, które do niej żywił. Odi et amo, excrucior.

Tego dnia nie ubiliśmy niczego.

Po południu wojownicy zebrali się w wielkiej sali. Mordred garbił się na stolcu służącym mu za tron. Nie miał niczego do powiedzenia, był bowiem królem bez królestwa, niemniej jednak Artur traktował go dwornie, jak należy. Rozpoczął od stwierdzenia, że kiedy Sasi przybędą, król wyruszy wraz z nim i cała armia będzie walczyć pod Mordredową chorągwią z czerwonym smokiem. Mordred potakiwał, ale co mu zostawało? W istocie Artur nie ofiarowywał mu szansy odzyskania dobrego imienia w bitwie, jeno zabezpieczał się przed jego łotrostwem. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Mordred miał największą szansę odzyskać władzę, sprzymierzając się z naszymi wrogami i stając się marionetkowym królem, posłusznym Cerdykowi, lecz na razie pozostawała mu tylko rola więźnia, pilnowanego przez nieprzyjaznych wojów Artura.

Następnie Artur potwierdził, że król Gwentu, Meurig, nie będzie walczył. Tę wieść, choć trudno by nazwać ją niespodziewaną, przywitano nienawistnym pomrukiem. Artur uciszył protest. Meurig - rzekł - był przekonany, iż zbliżająca się batalia nie dotyczy jego królestwa, lecz mimo to udzielił niechętniej zgody na przeprowadzenie armii Powys południowymi terenami Gwentu. Również Tarczownicy Czarni Oengusa mieli pozwolenie na przemarsz. Nie powiedział nic o ambicjach Meuriga, by rządzić Dumnonią, być może dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż to tylko wzbudzi większy gniew. Mając nadzieję na zmianę zdania Meuriga, nie chciał prowokować eskalacji zdrażnień między nami a Gwentem. Oddziały Powys i Demetii miały się zebrać pod Corinium, albowiem to obwałowane przez Rzymian miasto będzie naszą bazą i spichrzem.

- Od jutra zaczniemy zwozić zapasy - oznajmił Artur. - Chcę, aby miasto było pełne jada, to tam bowiem stoczymy naszą bitwę... - Przerwał i dodał: - Jedną wielką bitwę, z wszystkimi żołnierzami, jakich zdołamy zgromadzić.

- Oblężenie? - spytał zaskoczony Culhwch.

- Nie - odparł Artur. Wyjaśnił, iż zamierza jedynie użyć Corinium jako wabika. Sasi niebawem dowiedzą się, że miasto pęka od solonego mięsa, suszonej ryby, zboża, a sami, jak każda wielka horda podczas marszu, będą ubodzy w prowiant. Corinium znęci ich jak lisa staw z kaczkami. Tam planował ich zniszczyć. - Rozpoczną oblężenie, a Morfans będzie dowodził obroną. - Morfans, wcześniej zaznajomiony z tym obowiązkiem, skinął głową na znak zgody. - Ale reszta - kontynuował Artur - zajmie północne wzgórza. Cerdyk będzie wiedział, iż musi nas pokonać, i w tym celu przerwie oblężenie. Wtedy zniszczymy go w miejscu wybranym przez nas.

Cały plan zależał od tego, czy saskie armie nadciągną doliną Tamizy, a wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że takie doprawdy są intencje napastników. Gromadzili zapasy w Londynie i w Poncie, nie przygotowując ich przy południowej granicy. Culhwch, który strzegł tamtego odcinka, dokonał głębokiego wypadu do Lloegyrii i powiedział nam, iż nie dostrzegł koncentracji włóczników ani żadnych dowodów na to, że Cerdyk gromadzi ziarno i mięso w Vencie czy w innym przygranicznym mieście. Wszystko wskazuje - rzekł Artur - na prosty, gwałtowny i zmasowany atak wzdłuż Tamizy, skierowany ku zatoce Severn, a miejscem decydującej batalii powinny być okolice Corinium. Ludzie Sagramora już wzniesli wielkie ostrzegawcze stosy po obu stronach doliny Tamizy, a kolejne naszykowano na wzgórzach ciągnących się na południe i na zachód Dumnonii. Kiedy zadymią, wszyscy pomaszerujemy na wyznaczone stanowiska.

- Nie nastąpi to przed Beltain - powiedział Artur. Miał szpiegów, tak na dworze Aelle'a, jak i Cerdyka, i wszyscy informowali, że Sasi doczekają biesiady ku czci bogini Eostre, uczty przypadającej cały tydzień po Beltain, starym majowym święcie. Sasi pragną błogosławieństwa bogini - wyjaśnił Artur - i tego, aby łodzie zbudowane w nowym roku zdążyły przewieźć mnóstwo głodnych wojowników.

Lecz po święcie Eostre - rzekł - ruszą. Zamierzał wciągnąć ich głęboko do Dumnonii, nie wydając bitwy, chociaż planował nękać ich przez cały czas. Sagramor i jego zahartowani w boju włócznicy będą ustępowali przed saską hordą, stawiając wszelki możliwy opór, wyjąwszy mur tarcz, podczas gdy Artur zgromadzi wojska w Corinium.

Culhwch i ja dostaliśmy inne zadania. Naszym obowiązkiem było chronić wzgórza na południe od Tamizy. Nie mielibyśmy szans obrony przed zdecydowanym saskim atakiem idącym z południa, lecz Artur nie spodziewał się niczego podobnego. Sasi - powtarzał w kółko - pomaszerują na zachód, tylko na zachód, wzdłuż Tamizy, ale należało się spodziewać, że wyślą ludzi na południowe wzgórza po zboże i bydło. Naszym zadaniem było powstrzymanie tych wypadów, odepchnięcie aprowizacyjnych zagonów na północ. To miało

doprowadzić Sasów do przekroczenia granicy Gwentu i sprowokowania Meuriga do wypowiedzenia im wojny. W tej wizji kryła się nadzieja, która - chociaż niewypowiedziana - była dla wszystkich w tej zadymionej sali oczywista. Bez dobrze wyćwiczonych włóczników Gwentu wielka bitwa pod Corinium byłaby doprawdy rozpaczliwym przedsięwzięciem.

- Tak więc walczcie z nimi, ile się da - zwrócił się Artur do Culhwcha i mnie. - Zabijajcie łupieżców, siejcie wśród nich panikę, ale nie dajcie się wciągnąć w bitwę. Nękaście ich, napawajcie strachem, lecz kiedy tylko znajdą się w odległości jednego dnia marszu od Corinium, dajcie im spokój. Połączcie się ze mną.

Potrzebował każdej włóczni, którą mógł ściągnąć, i wydawał się pewny zwycięstwa, byle tylko nasze oddziały osiągnęły przewagę pozycyjną, byle rozlokowały się wyżej niż przeciwnik.

Na swój sposób był to dobry plan. Sasi mieli zostać zwabieni w głąb Dumnonii i zmuszeni do ataku w górę stromego wzgórza, ale wszystko to opierało się na założeniu, iż nieprzyjaciel uczyni dokładnie to, czego chce Artur. Pomyślałem sobie jednak, że Cerdyk nie jest takim usłużnym mężem. Niemniej Artur wydawał się pewny siebie i to przynajmniej dodawało nam otuchy.

Wszyscy powróciliśmy do domów. Naraziłem się na gromy moich włościan, przeszukując wszystkie domostwa, konfiskując ziarno, solone mięso i suszoną rybę. Zostawiliśmy ludziom tyle zapasów, by mogli przeżyć, ale resztę posłaliśmy do Corinium. Tam miała zapełnić brzuchy Arturowej armii. Spadło na mnie obrzydliwe zadanie, wieśniacy bowiem lękają się głodu prawie równie mocno jak włóczników nieprzyjaciela, tak że musieliśmy przeszukiwać kryjówki, zamykając uszy na wrzaski niewiast, łączących nas od tyranów. Ale rzekłem im, iż lepsze nasze konfiskaty niż saskie.

Szykowaliśmy się do bitwy. Wyłożyłem mój rynsztunek bojowy i niewolnicy naoliwili skórzany kaftan, wypolerowali kolczugę, wyczesali grzebień z wilczego włosia na hełmie i odmalowali białą gwiazdę na ciężkiej tarczy. Nowy rok przybył z pierwszą piosnką kosa. Drozdy jemiołowe nawoływały z wysokich gałązek modrzewi za wzgórzem Dun Caric i opłacaliśmy dzieciaki z wioski, by biegały z garnkami i kijami po jabłonkowych sadach, odganiając gile łakomczuchy. Wróble wiły gniazda, a w strumieniach błyskał powracający łoś. Pstrokate pliszki hałasowały o zmierzchu. W przeciągu paru tygodni strzeliły kwiaty na leszczynie, psie fiołki w lasach i bazie na wierzbach. Zajęce harcowały na polach, nieopodal owieczek. W marcu pojawiło się zatrzęsienie zab i obawiałem się, czy to nie jaki zły omem, lecz nie było Merlina, który mógłby objaśnić mnie w tym względzie, znikł bowiem wraz z Nimue i wyglądało na to, że będziemy musieli walczyć bez jego pomocy. Śpiewały

skowronki, a żarłoczne sroki polowały na jajka złożone wzdłuż żywopłatów, jeszcze dziurawych, bo bezlistnych.

Wreszcie zazieleniło się, a wraz z liśćmi przybyły wieści o pierwszych wojownikach z Powys. Nie pojawili się w wielkiej liczbie, albowiem Cuneglas nie chciał ogałacać swoich zapasów żywności, zgromadzonych w Corinium, ale ich nadejście obiecywało większą armię, którą miał poprowadzić na południe po Beltain. Urodziły się cielaki, ubijano masło i Ceinwyn zajęła się sprzątaniami dworu po długiej dymnej zimie.

Były to dziwne dni, zarazem słodkie i gorzkie, oto w przededniu wiosny bowiem, pod cudnym słonecznym niebem i na łąkach rozjaśnionych kwieciami, unosiły się wieści o wojnie. Chrześcijanie głosili, że to ostatnie dni, zbliżający się koniec świata i może kiedyś ludzie jeszcze poczują to samo co my wtedy, w tamtą łagodną, śliczną wiosnę. Szare życie zyskało jakąś niezwykłą wartość i codzienne obowiązki wydawały się wyjątkowe. Może to po raz ostatni paliliśmy słomę z legowisk i może po raz ostatni przyjmowaliśmy zakrwawioną ciełą z łona jego matki. Wszystko było niezwykle, bo wszystko było zagrożone.

Wiedzieliśmy też, że nadchodzące Beltain może być ostatnie, jakie spędzimy całą rodziną, więc dokładaliśmy starań, aby było co pamiętać. Beltain wita życie nowego roku i w wilię święta daliśmy wygasnąć wszystkim paleniskom w Dun Caric. Kuchenne płomienie, jarzące się przez całą zimę, pozostawiono niekarmione przez cały dzień i do wieczora zostały tylko węgle. Wygarnęliśmy je, oczyściliśmy paleniska do czysta, a potem uczyniliśmy świeży ogień, podczas gdy na wzgórzu, po wschodniej stronie osady, ułożyliśmy dwa wielkie stosy drewna, jedno przy świętym drzewie, wybranym przez Pyrliga, naszego barda. Była to młoda leszczyna, ścięta i z całym ceremoniałem niesiona między zabudowaniami, przez strumień i w górę wzgórza. Drzewko obwieszono gałązkami i wszystkie domy, jak i sam dwór, umajono świeżymi gałązkami leszczyny.

Tamtej nocy w całej Brytanii wygasły ogniska. W wilię Beltain rządziły ciemności. W naszym dworze przygotowano ucztę, lecz nie było żaru, na którym można by smażyć, ni płomieni, którymi można by rozjaśnić stopy. Nigdzie nie było światła, wyjąwszy chrześcijańskie miasta, w których lud rozniecił ogień na przekór bogom, lecz wieś pogrążyła się w mroku. O zmierzchu wspięliśmy się na wzgórze, masa wieśniaków i włócznicy, prowadząc bydło i owce do sporządzonych naprędce zagród. Dzieci igrały, lecz kiedy tylko zapadła wielka ciemność, najmniejsze pośród nich poukładały się do snu i te małe istotki leżały na trawie, podczas gdy młodzież i dorośli zebrali się przy niezapalonych ogniskach i śpiewali Lament Annwnu.



W samym sercu nocy rozpaliliśmy noworoczny ogień. Pyrlig zażegł ogień, trąc patykiem o patyk, podczas gdy Issa sypał drobne kawałki drewna modrzewiowego na iskrę, z której snuł się wąty dym. Dwaj mężowie pochyliłi się nad płomyczkiem, rozdmuchali go, dodali drasek i silny płomień skoczył wysoko, a my wszyscy poczęliśmy śpiewać Pieśń Belanos, podczas gdy Pyrlig zaniósł nowy ogień ku stosom drew. Śpiące dzieciątka obudziły się i pobiegły do rodziców, podczas gdy ogień Beltain nabrał mocy i światła.

Kiedy tylko zapłonęły ogniska, złożono w ofierze kozę. Ceinwyn, jak zawsze, odwróciła głowę, kiedy podcinano zwierzęciu gardło, a Pyrlig skrapiał juchą trawę. Cisnął ścierwo w ogień, na którym płonęła święta leszczyna, po czym wieśniacy poszli po swój inwentarz i przeprowadzili go między dwoma wielkim ogniskami. Zawiesiliśmy wieńce ze słomy na szyjach krów i przyglądaliśmy się, jak młode dziewczyny tańczą między ogniskami, prosząc bogów o błogosławieństwo dla ich łon. Tańczyły i skakały przez obręcz w czas Imbolc, ale zawsze tańczyły raz jeszcze w czas Beltain. Tamtego roku Morwenna była na tyle dorosła, że mogła tańczyć przy ogniskach, i poczułem ukłucie smutku, kiedy przyglądałem się, jak moja córka wiruje i podskakuje. Jakże była radosna. Myślała o zamążpójściu i marzyła o dzieciach, lecz pomyślałem, że w przeciągu kilku tygodni może zginąć albo pójść w niewolę. Ta myśl napełniła mnie wielkim gniewem. Odwróciłem się od ognisk i z zachwytem patrzyłem, jak jasne płomienie innych ognisk Beltain goreją w oddali. W całej Dumnonii witano w ten sposób nowy rok.

Moi włócznicy przynieśli na wzgórze dwa ogromne kotły i napełniliśmy żelazne przepastne brzuszyska płonącymi polanami, po czym w pośpiechu znieśliśmy je na dół. W wiosce roznieśliśmy ogień: ktoś z każdej zagrody brał polano i niósł je do paleniska, na którym czekało naszykowane drewno. Na końcu udaliśmy się do dworu i zanieśliśmy nowy ogień do kuchni. Tymczasem nastał prawie świt i tłumy wieśniaków przybywały za palisadę, czekając na wschód słońca. Kiedy pierwsze rozjarzone promienie światła wbiły się nad horyzont, zaśpiewaliśmy pieśń o narodzinach Luhg; radosny, taneczny hymn szczęścia. Skierowani ku wschodowi, witaliśmy śpiewem słońce i widzieliśmy na horyzoncie ciemne smugi dymów Beltain, wznoszące się na coraz to bledsze niebo.

Kiedy paleniska buchnęły żarem, zaczęło się pieczenie mięs. Naszykowałem wielką biesiadę dla wioski; uznałem bowiem, że taki dzień radości długo może się nie powtórzyć. Prosty lud rzadko jadł mięso, lecz na Beltain mieliśmy pięć saren, dwa dziki, pięć świń i sześć owiec do upieczenia; naszykowaliśmy antałki świeżo syconego miodu i dziesięć koszy chleba, upieczonego na starym ogniu. Był ser, orzechy w miodzie i placki z mąki owsianej, z

nakreślonym krzyżem Beltain. Za jakiś tydzień mieli przyjść Sasi, więc biesiadowaliśmy, grzejąc serca radością, której pamięć mogła pomóc ludziom przetrwać okropną porę.

Kiedy mięso dochodziło na ogniu, trwały zabawy. Ścigano się po ulicach, mocowano, urządzano zawody, kto dźwignie największy ciężar. Dziewczyny wplatały kwiaty we włosy i na długo przed ucztą pary młodych poczęły wymykać się do lasu. Jedliśmy po południu, przy wtórze wierszy i pieśni, osądzanych przez całe zgromadzenie. Dawałem złoto bardom i poetom i nie poskapiłem go nawet najgorszym, a tych było niemało. W większości poeci byli młodzieńcami, którzy, rumieniąc się, deklamowali niezgrabne pochwały swoich dziewczek, a te z kolei nie wiedziały, gdzie mają podziąć oczy ze wstydu, ale i zadowolenia, a słuchacze śmiali się, sypali kpinkami i nakazywali, by każda dziewczka dała gęby swemu poecie, a kiedy całus okazywał się udawany, musiał być powtórzony, ale już jak należy. Im więcej miodu leliśmy w gardła, tym lepsza wydawała się nam poezja, jakiej nie szczczędzono naszym uszom.

Wypiłem za dużo. W rzeczy samej wszyscy jedliśmy, ile wlezie, a piliśmy jeszcze więcej. W pewnej chwili zostałem wezwany do siłowania się z najzamożniejszym wieśniakiem i tłum uparł się, że muszę stawić mu czoło. Tak więc, już na wpół pijany, oblałem wieśniaka, a on mnie. Cuchnął, ile wlezie, wypitym miodkiem, ale ja niewątpliwe byłem nie lepszy od niego. On pchał mnie, ja jego i żaden z nas nie mógł ruszyć przeciwnika, tak więc staliśmy tylko, prąc łbami jak walczące jelenie, a tłum miał uciechy co niemiara, wykpiwając nasze żalosne usiłowania. W końcu powaliłem go, lecz jedynie dlatego, że był bardziej pijany ode mnie. Piłem dalej, być może usiłując zatrzeć myśli o nadchodzących dniach.

Nim zapadła noc, ogarnęły mnie mdłości. Poszedłem na platformę, którą wznieśliśmy na wschodnim wale obronnym, i tam, wsparty o parapet, wpatrywałem się w ciemniejący horyzont. Bliźniacze smugi dymu unosiły się ze szczytu wzgórza, na którym niedawno zapaliliśmy nowy ogień, chociaż mojej oszołomionej piwem głowie wydawało się, że to dymi co najmniej kilkanaście stosów. Ceinwyn wspięła się na platformę i roześmiała się na widok mojej udręczonej gęby.

- Jesteś pijany - stwierdziła.

- A jakże - zgodziłem się z nią.

- Będziesz spał jak wieprz - rzekła oskarżycielsko. - I chrapał też jak wieprz.

- Jest Beltain - powiedziałem przepraszająco i machnąłem ręką w kierunku odległych smug dymu.

Wsparała się o parapet obok mnie. Wplotła kwiat tarniny w złote włosy i wyglądała cudownie jak zawsze.

- Musimy porozmawiać z Arturem o Gwydrze - oświadczyła.

- Wydajemy za mąż Morwennę? - spytałem, a potem przez chwilę zbierałem myśli. Wreszcie udało mi się sklecić zdanie. - Artur wydaje się bardzo nieprzyjazny wobec mnie ostatnimi czasy i może zamyśla wydać Gwydra za inną.

- Może - rzekła ze spokojem Ceinwyn. - W takim razie powinniśmy znaleźć Morwennie kogoś innego.

- Kogo?

- Chciałam, żebyś właśnie nad tym się zastanowił, kiedy wytrzeźwiejesz. Może za któregoś z chłopaków Culhwcha? - Wpatrywała się w wieczorne cienie u stóp wzgórza Dun Caric. Rosła tam kępa krzaków i można było w niej dojrzeć bardzo czynną parę. - To Morfudda - powiedziała.

- Kto?

- Morfudda - powtórzyła. - Dójka. Podejrzewam, że niedługo kolejny dzieciak będzie w drodze. Naprawdę czas, by wyszła za mąż. - Westchnęła i wbiła wzrok w horyzont. Milczała przed długi czas, po czym zmarszczyła czoło. - Nie wydaje ci się, że jest więcej ognisk niż zeszłego roku? - spytała.

Posłusznie wpatrywałem się w horyzont, lecz żeby nie skłamać, nie rozróżniałem jednej dymiącej spirali od drugiej.

- Możliwe - rzekłem wymijająco.

Mars nie schodził jej z czoła.

- A może to wcale nie ognie Beltain.

- Oczywiście, że to one! - wykrzyknąłem z całym przekonaniem pijanego.

- A stosy ostrzegawcze?

Niedługo trwało, zanim dotarło do mnie znaczenie tych słów, po czym nagle poczułem, że wcale nie jestem pijany. Czułem mdłości, ale nie pijackie zamroczenie. Patrzyłem ku wschodowi. Wiele smug dymu rozkładało się na niebie, lecz dwa z nich były znacznie grubsze niż reszta i nie mogły unosić się z ognisk rozpalonych w poprzednią noc i pozostawionych do wygaśnięcia o świcie.

I nagle pociemniało mi w oczach, a w ustach poczułem smak żółci. To były stosy ostrzegawcze. Sasi nie poczekałi do swojego święta Eostre, lecz przybyli w czas Beltain. Wiedzieli, że przyszykowaliśmy stosy ostrzegawcze, ale wiedzieli też, że w Beltain zapłoną ognie na wzgórzach całej Dumnonii, i łatwo przewidzieli, że pomylimy ostrzegawcze znaki z rytualnymi ogniskami. Przechytrzyli nas. Biesiadowaliśmy, pililiśmy do utraty przytomności, a przez cały ten czas oni przelewali się przez nasze granice.

I wojna objęła Dumnonię.

Byłem wodzem siedmiu dziesiątek otrzaskanych w boju wojowników, ale dowodziłem też jedenastoma dziesiątkami młodzików, których szykowałem do wojny przez zimę. Te osiemnaście dziesiątek żołnierza to była prawie jedna trzecia zasobów bojowych Dumnonii, lecz z tego tylko szesnastu chłopów nadawało się o świcie do wymarszu. Reszta była nadal pijana albo tak cierpiąca, że nie pomagały moje przekleństwa i kuksańce. Razem z Issą zaciągnęliśmy najbardziej nieprzytomnych do strumienia i rzuciliśmy ich do zimnej wody, ale bez żadnego nadzwyczajnego skutku. Pozostawało mi tylko czekać, godzina za godziną, aż kolejni mężowie dojdą do siebie. Zagon trzeźwych Sasów mógł spustoszyć Dun Caric tego ranka.

Ognie ostrzegawcze nadal płonęły, mówiąc nam, że Sasi nadchodzą, i miałem straszne poczucie winy, że tak bardzo zawiodłem Artura. Później dowiedziałem się, że prawie każdy woj w Dumnonii był nieprzytomny tamtego rana, chociaż dwanaście dziesiątek żołnierzy Sagramora pozostało trzeźwych i posłusznie ustępowało przed posuwającymi się oddziałami Sasów, ale reszta chwiała się na nogach, rzygała, łapała ustami powietrze jak ryby na piasku i chleptała wodę niczym psy.

Do południa większość stała na nogach, chociaż nie wszyscy, a tylko paru nadawało się do długiego marszu. Moją zbroję, tarczę i wojenne włócznie zapakowano na jucznego konia, podczas gdy dziesięć mułów dźwigało kosze z jadem, które Ceinwyn pilnie szykowała przez całe przedpołudnie. Ona miała poczekać w Dun Caric - albo na zwycięstwo, albo, co bardziej prawdopodobne, na nakaz ucieczki.

Lecz wkrótce po tym, jak minęło południe, wszystko się zmieniło.

Na spienionym koniu przygalopował z południa jeździec. Był to najstarszy potomek Culhwcha, Einion, i mało nie padł wraz z koniem, gorączkowo usiłując do nas dotrzeć. Zsunął się z siodła, niemal padając na ziemię.

- Panie... - wystękał, zatoczył się, odzyskał wreszcie jaką taką równowagę i złożył mi namiastkę dwornego ukłonu. Przez dłuższą chwilę nie mógł złapać tchu, a potem słowa poleciały mu z ust w gorączkowym podnieceniu, lecz tak się palił dostarczyć nam wiadomość i pewnie długo tak wyobrażał sobie tę niesłychaną chwilę, że bełkotał jeno bez ładu i składu, chociaż pojąłem, iż przybywa z południa i że Sasi tam są.

Podprowadziłem go do ławki przy dworze i posadziłem na niej.

- Witaj w Dun Caric, Einionie synu Culhwcha - rzekłem bardzo sztywno. - Opowiedz to wszystko raz jeszcze.

- Sasi, panie, zaatakowali Dumnonię - rzekł.

Tak więc Ginewra miała rację i wrogowie nadchodzili z południa. Przybyli z ziem Cerdyka, zza Venty, i byli już głęboko w Dumnonii. Dunum, nasza nadgraniczna forteca, padła wczoraj o świcie. Culhwch wołał porzucić fort, niż oddać w niewolę stu ludzi, i teraz ustępował przed siłami nieprzyjaciela. Einion, młodzieniec krępej budowy jak jego ojciec, spoglądał na mnie żałośnie.

- Jest ich po prostu za dużo, panie.

Sasi wystrychnęli nas na dudka. Po pierwsze wpoili w nas przekonanie, że nie planują żadnych łotrstw na południu, a potem zaatakowali w świętą noc, wiedząc, że mylnie weźmiemy dalekie ognie ostrzegawcze za ogniska Beltain, i teraz poruszali się swobodnie na naszej południowej flance. Zgadywałem, że Aelle naciera wzdłuż Tamizy, podczas gdy oddziały Cerdyka buszują swobodnie na wybrzeżu. Einion nie był pewien, czy sam Cerdyk prowadzi południowy atak, gdyż nie widział godła saskiego króla - pomalowanej na czerwono wilczej czaszki, zawieszanej razem ze skórą zabitego męża - lecz widział flagę Lancelota, rybołowa z ofiarą w szponach. Culhwch był przekonany, iż Lancelot prowadzi swoich zwolenników i oprócz tego dwie, trzy setki Sasów.

- Gdzie byli, kiedy odjeżdżałeś? - spytałem Einiona.

- Wciąż na południe od Sorviodunum, panie.

- A twój ojciec?

- Był nadal w mieście, panie, lecz nie odważył się tam pozostać.

Tak więc Culhwch wołał oddać fortecę, niż dać się w niej zamknąć.

- Chce, bym do niego dołączył? - spytałem.

Einion potrząsnął głową.

- Wysłał wieści do Durnovarii, panie. Tamtejsi ludzie mają przybyć na północ. Myśli, że powinniście, panie, ich ochronić i zabrać do Corinium.

- Kto jest w Durnovarii? - spytałem.

- Księżniczka Arganta, panie.

Zakląłem pod nosem. Nie można było ot tak porzucić nowej żony Artura jej własnemu losowi; rozumiałem teraz, co Culhwch sugeruje. Wiedział, że nie da się zatrzymać Lancelota, więc chciał, bym ratował, co tylko zostało wartościowego w sercu Dumnonii, i wycofał się na północ, do Corinium, podczas gdy on będzie robił, co tylko możliwe, aby spowolnić wraży impet. To była rozpaczliwa, sporządzona na przemoc strategii: ustępowaliśmy większość Dumnonii siłom wroga, lecz nadal pozostawała szansa, że wszyscy zejdziemy się pod Corinium i wydamy bitwę zgodnie z planem Artura, chociaż śpiesząc na ratunek Argancie,

nie realizowałem zalecenia Artura, nie nękałem Sasów ze wzgórz na południe od Tamizy. Szkoda, że tak się ułożyło, lecz wojna rzadko toczy się zgodnie z planem.

- Czy Artur wie? - spytałem Einiona.

- Mój brat pędzi do niego - zapewnił mnie młodzieniec, co znaczyło, iż Artur dopiero miał zapoznać się z wieściami. Nim brat Einiona dotrze do Corinium, gdzie Artur spędzał Beltain, będzie późne popołudnie. Tymczasem Culhwch był nie wiedzieć gdzie na południe od wielkiej równiny, podczas gdy armia Lancelota przebywała... gdzie? Aelle zapewne nadal maszerował na zachód, a Cerdyk może siedł z nim, co znaczyło, że Lancelot może albo iść dalej wzdłuż wybrzeża i zdobyć Durnovarie, albo skręcić na północ i podążać za Culhwchem w kierunku Caer Cadarn i Dun Caric. Ale bez względu na to, jak było naprawdę, cały ten teren za kilka dni zapełni się saskimi włóczynkami.

Dałem Einionowi świeżego konia i posłałem go na północ, do Artura, z wiadomością, że przywiozę Argantę do Corinium. Zasugerowałem też, iż Artur może wysłać nam na spotkanie konnych do Aquae Sulis, a potem szybko przetransportować ją na północ. Kazałem Issie i pięćdziesięciu moim najbitniejszym wojom iść na południe, do Durnovarii. Powiedziałem, by szli szybko i bez obciążenia, tylko z bronią, i ostrzegłem Issę, że może spotkać na drodze Argantę i innych uciekinierów z Dumovarii. Miał ich przyprowadzić do Dun Caric.

- Jeśli los dopisze, będziesz tu z powrotem, nim jutro zapadnie noc - rzekłem.

Ceinwyn czyniła własne przygotowania do wyjazdu. Nie po raz pierwszy uciekała przed wojną i wiedziała aż za dobrze, iż ona i nasze córki mogą zabrać tylko to, co zdołają unieść. Wszystko inne należało zostawić, tak więc dwaj moi włóczynicy wykopali dziurę w zboczu wzgórza Dun Caric i ukryli w niej nasze złoto i srebro, po czym zasypali ją ziemią i zamaskowali darnią. Wieśniacy postępowali nie inaczej z garnkami, narzędziami rolniczymi, osekami, wrzecionami, przetakami, wszystkim, co było zbyt ciężkie do niesienia i zbyt cenne do stracenia. W całej Dumnonii zakopywano wartościowe przedmioty.

Niewiele mogłem uczynić w Dun Caric, pozostawało mi jedynie czekać na powrót Issy, tak więc udałem się na południe, do Caer Cadarn, nie ze względu na działania wojenne, lecz dlatego, że owo wzgórze było siedzibą króla, tak więc zasługiwało na straż. Garnizon składał się z garstki ludzi, przeważnie inwalidów, i z całej dwudziestki jedynie pięciu czy sześciu mogło stanąć w murze tarcz, ale nakazałem im wszystkim udać się na północ, do Dun Caric, a potem skierowałem swą klacz na zachód, ku Lindinis.

Mordred wyczuł katastrofalne wieści. Na wsi plotki rozchodziły się z niewyobrażalną prędkością i chociaż żaden posłaniec nie zjawił się w pałacu, król odgadł cel mojej misji.

Złożyłem mu ukłon, po czym uprzejmie zażądałem, aby był gotów do opuszczenia pałacu w przeciagu godziny.

- Och, to niemożliwe! - wykrzyknął; jego okrągła twarz zdradzała zachwyt z powodu chaosu, który zagrażał Dumnonii. Niepowodzenia nieodmiennie wprawiały Mordreda w zachwycenie.

- Niemożliwe, królu? - zapytałem.

Zatoczył ręką łuk, wskazując swoją salę tronową, wypełnioną rzymskimi meblami, przeważnie porysowanymi lub o wybrakowanej intarsji, lecz nadal bogatymi i pięknymi.

- Mam dużo rzeczy do spakowania - biadolił. - Powinienem pożegnać wielu ludzi. Może jutro?

- Pojedziecie, królu, na północ do Corinium zaraz - rozkazałem ostro.

Za wszelką cenę należało sprzątnąć Mordreda z drogi Sasom i to dlatego przybyłem właśnie tam, a nie udałem się na południe, na spotkanie z Argantą. Gdyby Mordred został u siebie, niewątpliwie zostałby wykorzystany przez Aelle'a i Cerdyka. Wiedział o tym dobrze. Przez chwilę wydawało się, że będzie się kłócił, lecz rozkazał mi wyjść z sali i wezwał niewolnika, żeby przyszykował mu zbroję. Odnalazłem Lanvala, starego włócznika, któremu Artur nakazał dowództwo straży królewskiej.

- Zabierzesz wszystkie konie ze stajni i doprowadzisz tego gnojka do Corinium - poleciłem mu. - Osobiście przekażesz go Arturowi.

Mordred wkrótce wyjechał. Był przyodziany w zbroję i nad głową powiewał mu sztandar. Miałem już na ustach polecenie, żeby zwinął sztandar, widok smoka bowiem mógł tylko sprowokować dalsze plotki po wsiach, ale może należało właśnie wszcząć alarm, bo ludzie potrzebowali czasu na ukrycie wartościowych przedmiotów i zapasów żywności. Odprowadzałem wzrokiem królewskie wierzchowce, mijające bramę i skręcające na północ, po czym wróciłem do pałacu, gdzie włócznik kuternoga imieniem Dyrrig pokrzykiwał na niewolników, gromadzących skarby pałacowe. Świeczniki, garnki i kotły zanesiono do ogrodu na tyłach i ukryto w wyschniętej studni, podczas gdy pościel, płótna i przyodziewek układano na wózkach, aby ukryć to wszystko w pobliskich lasach.

- Meble mogą zostać - rzekł z goryczą Dyrrig. - Niech Sasi się nimi nacieszą.

Błądziłem po pałacowych komnatach, próbując sobie wyobrazić, jak Sasi pohukują radośnie między kolumnami, rozbijają kruche krzesła i miazdzą delikatne mozaiki. Kto będzie tu mieszkał? - rozważałem. Cerdyk? Lancelot? Jeśli już, to ten drugi, Sasi bowiem nie przepadali za rzymskimi luksusami. Zostawiali takie miasta jak Lindinis na pożarcie pleśni i wnosili nieopodal drewniane dworzyszczka, kryte strzechą.



Ociągałem się w sali tronowej, próbując sobie wyobrazić, jak ściany pokryją zwierciadła, tak ukochane przez Lancelota. Żył w świecie wypolerowanego metalu, w którym mógł podziwiać swoją urodę. A może Cerdyk zniszczy ten pałac na znak, że stary świat Brytanii się skończył i nastał nowy brutalny porządek Sasów. To była melancholijna chwila, poświęcona uzalaniu się nad sobą samym. Przerwało ją wejście Derriga, który włókł za sobą niesprawną nogę.

- Jak chcecie, panie, mogę uratować meble - burknął z niechęcią.

- Nie - rzekłem.

Zerwał nakrycie z ławy.

- Gnojek zostawił trzy dziewczki, jedną z brzuchem. Pewnie będę musiał dać im złota. On sam na to nie wpadł. Hej, cóż to? - Przystanął za rzeźbionym stolcem służącym jako Mordredowy tron. Podszedłem tam i ujrzałem dziurę w posadzce. - Wczoraj tego tu nie było - powiedział stanowczo Derrig.

Ukląknęłam i stwierdziłam, że podważono pełny fragment posadzkowej mozaiki. Było to pod ścianą, tam gdzie biegły kiście winnego grona, okalające centralny wizerunek leżącego boga, otoczonego nimfami. Małe kamyczki imitujące winogrona przyklejono do kawałka skóry i położono na warstwie cienkich rzymskich cegieł. Teraz i mozaika na skórze, i cegły spoczywały pod królewskim stolcem. Miałem oto przed oczami skrytkę, mieszczącą się w kanale dymowym prowadzącym ciepło pod podłogą.

Coś migotało na dnie kanału. Kiedy pogrzebałem w kurzu i śmieciach, wyłowilem dwie złote grudki, kawałek skóry i, jak się okazało po bliższym zbadaniu, mysie gówna. Krzywiąc się, otarłem ręce i podałem jeden z kawałków złota Dyrringowi. Dokładnie obejrzawszy drugi, stwierdziłem, że to złota bryłka z obliczem brodatego wojownika w hełmie. Była to prostacka robota, ale spojrzenie woja emanowało potężną siłą.

- Saska robota - orzekłem.

- Ta podobnie, panie - powiedział Derrig.

Jego bryłka była prawie taka sama jak moja. Przejrzałem dokładnie kanał i nie znalazłem więcej złota. Była to najwyraźniej kryjówka Mordreda, lecz myszy przegryzły skórzany mieszek, tak że gdy go brał, zostawił złoty ślad.

- Skąd u Mordreda saskie złoto? - spytałem.

- Sam bym chciał to wiedzieć - rzekł Derrig, spluwając do kryjówki.

Starannie ułożyłem cegiełki na płaskich kamiennych łukach podtrzymujących posadzkę i zakryłem je płatem skóry z kamyczkami. Nietrudno było mi odpowiedzieć sobie na pytanie, czemu Mordred ma to złoto, i wcale mi się to nie podobało. Mordred był przy tym,

jak Artur kreślił plany kampanii przeciw nieprzyjaciołom, i to dlatego Sasi wzięli nas z zaskoczenia. Wiedzieli, że skoncentrujemy siły przy Tamizie, tak więc przez cały czas pozwalali nam trwać w mylnym założeniu, że tam nastąpi atak, a tymczasem Cerdyk powoli i w tajemnicy gromadził wojów na południu. Mordred nas zdradził. Nie byłem tego pewien, dwie złote bryłki bowiem to jeszcze nie dowód, ale ich obecność w tym miejscu miała ponurą wymowę. Mordred pragnął odzyskać władzę i chociaż nie dostałby jej w całości, mógł liczyć na klęskę i poniżenie Artura, a na tym zależało mu równie gorąco jak na rządzeniu.

- Jak Sasom udało się z nim dogadać? - spytałem Derriga.

- To proste, panie. Tu zawsze jest pełno gości - wyjaśnił Derrig. - Kupców, bardów, sztukmistrzów, dziewczek.

- Trzeba było poderżnąć mu gardło - rzekłem z goryczą, chowając bryłki.

- Czemuście tego nie uczynili? - spytał Derrig.

- Bo jest wnukiem Utera i Artur nigdy by na to nie pozwolił. Przysiągł chronić Mordreda i ta przysięga wiązała mu ręce do końca życia. Poza tym Mordred był naszym prawdziwym królem i w jego żyłach płynęła krew wszystkich naszych królów, do samego Beli Mawra włącznie, i chociaż był lichym władcą, jego krew była święta, tak więc Artur trzymał go przy życiu. - Zadaniem Mordreda jest spłodzenie następcy tronu z prawej małżonki, ale kiedy tylko da nam nowego króla, czeka go żelazny kołnierz, chleb i woda.

- Nic dziwnego, że nie pali się do żeniaczki. A co się stanie, jeśli nigdy nie wybierze sobie żony? Jeżeli nie będzie następcy tronu?

- Niegłupie pytanie - powiedziałem. - Lecz pierw pobijmy Sasów, zanim zaczniemy suszyć sobie nim głowę.

Kiedy odjeżdżałem, Derrig zajmował się maskowaniem starej studni gałęziami. Mogłem wrócić prosto do Dun Caric, jako że zatroszczyłem się o najpilniejsze sprawy: Issa eskortował Argantę w bezpieczne miejsce, Mordred podróżował pod czujnym okiem na północ, lecz pozostało mi jeszcze coś do zrobienia, tak więc podążyłem na północ rzymskim traktem, obiegającym wielkie bagna i rozlewiska, w środku których było Ynys Wydryn. Gajówki śpiewały wśród trzciny, skośnoskrzydłe jaskółki nosiły w dzióbkach muł na nowe gniazda pod okapami ludzkich siedlisk. Kukułki wołały z wierzb i brzoź otaczających mokradła. Słońce świeciło nad Dumnonią, dęby wypuszczały świeże zielone listki, a łąki na wschodzie jaśniały od pierwiosnków i stokrotek. Nie poganiałem klaczy, pozwalałem jej wolno kłusować, aż kilka mil na północ od Lindinis skręciłem na zachód, na wał ziemny biegnący do Ynys Wydryn. Do tej pory jak najściślej wypełniałem rozkazy Artura, troszcząc

się o bezpieczeństwo Arganty i Mordreda, lecz teraz narażałem się na jego niezadowolenie. A może czyniłem dokładnie to, czego zawsze ode mnie chciał.

Udałem się do chramu świętego Thorny, gdzie zastałem Morgan szykującą się do wyjazdu. Nie miała potwierdzonych wieści, lecz plotki zrobiły swoje i wiedziała, że Ynys Wydryn jest zagrożone. Podzieliłem się z nią tymi okruchami wiadomości, które były mi znane. Zerknęła na mnie zza złotej maski.

- Gdzie więc jest mój małżonek? - spytała władczo cienkim, ochrypłym głosem.

- Nie wiem, pani - odparłem. O ile było mi wiadomo, Sansum nadal pozostawał więźniem w domu biskupa Emrysa, w Durnovarii.

- Nie wiesz i nic cię to nie obchodzi! - warknęła.

- Żeby nie skłamać, pani, to macie rację. Lecz śmiem sądzić, że ucieknie na północ jak wszyscy.

- Powiedz mu, że udaliśmy się do Sylurii. Do Iski.

Naturalnie, groźna sytuacja nie zaskoczyła Morgan. Wcześniej spakowała skarbiec świątynny, spodziewając się saskiej inwazji, a wioślarze byli gotowi przewieźć te cenne przedmioty i chrześcijańskie niewiasty przez jeziora Ynys Wydryn na wybrzeże. Tam inne łodzie czekały w pogotowiu, aby przetransportować je na drugą stronę zatoki Severn, do Sylurii.

- I powiedz Arturowi, że modłę się za niego - dodała. - Chociaż nie zasługuje na moje modlitwy. I powiedz mu, że jego kurwa jest bezpieczna.

- Nie, pani - rzekłem, to był bowiem mój cel przyjazdu do Ynys Wydryn. Do dzisiejszego dnia nie jestem pewien, dlaczego nie pozostawiłem Ginewry z Morgan, ale myślę, że bogowie mnie prowadzili. Lub też w powszechnym zamieszaniu po tym, jak Sasi zrobili sieczkę z naszych planów, chciałem dać Ginewrze ostatni podarek. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, lecz kojarzyła mi się z dobrymi czasami i chociaż to jej głupota spowodowała zło, widziałem, jak zmarniał Artur, od kiedy została usunięta w cień. Lub też zdawałem sobie sprawę, iż w tych strasznych czasach potrzebujemy każdego walecznego serca, a w niewielu piersiach bilo serce tak męzne jak w piersiach księżniczki Henis Wyren.

- Ona jedzie ze mną! - upierała się Morgan.

- Mam rozkazy Artura. - Nie ustąpiłem i na tym spór się zakończył, chociaż po prawdzie rozkazy jej brata były straszliwe i niejasne. Gdyby Ginewra znalazła się w niebezpieczeństwie, miałem ją wziąć ze sobą lub może zabić, lecz ja, wybrawszy to pierwsze, zabierałem ją nie dalej od niebezpieczeństwa, lecz w samą jego paszczę.

- Zupełnie jakbym widziała stado krów zagrożone przez wilki - rzekła Ginewra, kiedy dotarłem do jej komnaty. Stała przy oknie, z którego miała widok na niewiasty Morgan, miotające się między zabudowaniami i łodziami czekającymi za zachodnią palisadą. - Co się dzieje, Derflu?

- Mieliście rację, pani. Sasi atakują z południa. - Postanowiłem nie mówić jej, że to Lancelot prowadzi natarcie.

- Myślisz, że się tu zjawią? - zapytała.

- Nie wiem. Wiem tyle, że możemy stawić im czoło tylko tam, gdzie jest Artur, a on przebywa w Corinium.

- Innymi słowy zapanowało powszechne zamieszanie? - Roześmiała się, wyczuwając w tym sposobność dla siebie. Była odziana w ponure szaty, lecz słońce świecące przez otwarte okno sprawiło, iż jej rude włosy jawiły się niczym złota korona. - Co więc Artur zamierza za mną uczynić?

Zabić? Nie, doszedłem do wniosku, że to nigdy nie było jego zamiarem. Duma nie pozwalała przyznać mu przed sobą samym, czego prawdziwie chce.

- Rozkazano mi jedynie zabrać was, pani - odparłem krótko.

- Dokąd, Derflu?

- Możecie popłynąć z Morganą przez zatokę Severn lub pójść ze mną. Zabieram ludzi na północ, do Corinium, i śmiem rzec, że stamtąd możecie udać się do Glevum. Tam będziecie bezpieczna.

Odeszła od okna i spoczęła na krześle przy wygaszonym palenisku.

- Ludzie - powtórzyła, wyławiając jedno słowo z całej mojej paplaniny. - Co to za ludzi zabierasz, Derflu?

Zarumieniłem się.

- Argantę. Oczywiście Ceinwyn.

Ginewra roześmiała się.

- Chętnie poznałabym Argantę. Czy myślisz, że ona miałaby ochotę poznać mnie?

- Wątpię, pani.

- Też w to wątpię. Wyobrażam sobie, że wolałaby moją śmierć. Tak więc mogę udać się z tobą do Corinium lub też jechać do Sylurii z tymi chrześcijańskimi krowami. Mam dość chrześcijańskich hymnów na całe życie. Poza tym w Corinium zapowiadają się wydarzenia większej wagi, nieprawdaż?

- Lękam się, że tak, pani.

- Lękasz się? O, nie, nie lękaj się, Derflu. - Śmiała się z ożywczą radością. - Wszyscy zapomnieliście ze szczętem, jak wspaniały potrafi być Artur, kiedy nic nie układa się po naszej myśli. To będzie uciecha patrzeć na niego. Kiedy więc ruszamy?

- W tej chwili lub kiedy będziecie gotowi.

- Jestem gotowa - powiedziała radośnie. - Jestem gotowa opuścić ten dom od roku.

- Wasze sługi?

- Zawsze znajdą się inne sługi - rzekła niedbale. - Jedziemy?

Miałem tylko jednego konia, więc z uprzejmości zaproponowałem go jej i szedłem obok, gdy opuszczaliśmy pałac. Rzadko zdarzało mi się widzieć twarz tak promienną jak oblicze Ginewry tamtego dnia. Miesiącami oglądała tylko mury Ynys Wydryn i nagle jechała konno pomiędzy zieleniejącymi wierzbami, pod niebem nieogrodzonym palisadą Morgan. Wspięliśmy się na wał ziemny poniżej wielkiego pagóra i gdy tylko znalazła się na tym wzniesieniu, roześmiała się i posiała mi szelmowskie spojrzenie.

- Co powstrzymuje mnie przed ucieczką, Derflu?

- Nic a nic, pani.

Pisnęła po dziewczęcyńsku i kopnęła klacz piętami, raz, drugi, aż zmęczone zwierzę ruszyło galopem. Wiatr rozwiał rude kędzioły, kiedy niegdysiejsza małżonka mojego pana pędziła swobodnie po trawie. Krzyczała rozradowana, objeżdżając mnie wielkim kołem. Suknie się jej rozwiały, lecz nie zwracała na to uwagi, spinała tylko klacz, zataczając kolejne kręgi, aż zwierze utoczyło pianę z pyska, a Ginewrze zabrakło tchu. Dopiero wtedy ściągnęła wodze i zeskoczyła z siodła.

- Ale mnie wszystko boli! - zawołała radośnie.

- Wyśmienicie jeździcie, pani - rzekłem.

- Marzyłam, żeby znów dosiąść konia. Żeby znów zapolować. Marzyłam o tak wielu rzeczach. - Poprawiła suknię, a potem przyjrzała mi się z rozbawieniem. - Jakie dokładnie były rozkazy Artura względem mnie?

Zawahałem się.

- Niekonkretne, pani.

- Miałaś mnie zabić?

- Nie, pani! - rzekłem z udawanym oburzeniem. Prowadziłem klacz za uzdę, a Ginewra szła obok mnie.

- Z pewnością zależy mu na tym, bym nie wpadła w ręce Cerdyka - powiedziała cierpko. - To dopiero byłby kłopot! Podejrzewam, że chodziło mu po głowie, żeby poderznąć mi gardło. Arganta pewnie tego chce. Ja na jej miejscu czułabym to samo. Akurat myślałam o

tym, kiedy jeździłam wokół ciebie. Myślałam sobie: a jeśli Derfel ma rozkaz mnie zabić? Czy nadal powinnam tak beztrosko galopować? A potem doszłam do wniosku, że pewnie mnie nie zabijesz, nawet jeśli miałbyś taki rozkaz. On posiałby Culhwcha, gdyby chciał mojej śmierci.

- Nagle stęknęła i ugięła nogi w kolanach, naśladowując kulawy chód Culhwcha. - Ten poderznąłby mi gardło bez namysłu. - Znów wybuchła śmiechem, ogarnięta przemożną radością. - Więc Artur nie mówił nic konkretnego?

- Nie, pani.

- Więc tak naprawdę, Derflu, to twój pomysł? - Wskazała ręką okolice.

- Tak, pani - wyznałem.

- Mam nadzieję, że Artur uzna go za właściwy, inaczej źle z tobą.

- Już ze mną nie najlepiej, pani - wyznałem. - Wygląda na to, iż stara przyjaźń umarła.

Musiała dosłyszeć ponury ton w moim głosie, bo nagle wzięła mnie pod ramię.

- Biedny Derfel. On pewnie się wstydzi?

Byłem zakłopotany.

- Tak, pani.

- Byłam bardzo niegrzeczna - powiedziała żalonym tonem. - Biedny Artur. Ale wiesz, co przywróci mu siły? I waszej przyjaźni?

- Chciałbym to wiedzieć, pani.

Cofnęła rękę.

- Kiedy posiekacie Sasów na kawałki, Derflu, wtedy Artur znów stanie się sobą. Kiedy odniesiecie zwycięstwo! Dajcie mu zwycięstwo, a on znów stanie się sobą.

- Sasi, pani, są już w połowie drogi do zwycięstwa - ostrzegłem ją i opowiedziałem to, co było mi wiadome: że pustoszą swobodnie kraj na wschodzie i południu, że nasze wojska są rozbite i jedyna nadzieja to zebrać siły, zanim nieprzyjaciele dotrą do Corinium, gdzie mały oddziałek dwustu włóczników Artura czeka samotnie. Zakładałem, iż Sagramor cofa się ku naszemu panu, Culhwch idzie z południa, a ja udam się na północ, kiedy tylko Issa wróci z Argantą. Cuneglas niewątpliwie maszeruje z północy, a Oengus mac Airem pośpieszy z zachodu, gdy usłyszy wieści. Lecz jeśli Sasi pierwsi dotrą do Corinium, płonne całe nasze nadzieje. Nawet jeżeli wygralibyśmy ten wyścig, niewiele to zmieniało, albowiem bez włóczników Gwentu stanęlibyśmy w obliczu takiej przewagi liczebnej, iż uratować nas mógł tylko cud.

- Bzdury! - powiedziała Ginewra, kiedy wyjaśniłem jej sytuację. - Artur nie zaczął nawet jeszcze walczyć! Zwycięzimy, Derflu, zwycięzimy! - I po tym wyzywającym, przekornym oświadczeniu roześmiała się i porzuciwszy swoją cenną godność, zatańczyła na

skraju polnej drogi. Zewsząd otaczał nas mrok, lecz Ginewra nagle była swobodna i tak promienna, że urzekła mnie jak nigdy. Nagle, po raz pierwszy, od kiedy ujrzałem dymy stosów ostrzegawczych w noc Beltain, poczułem przypływ nadziei.

Nadzieja szybko sześzała, w Dun Caric bowiem panowały chaos i niepewność. Issa nie wrócił i wioska u podnóża dworu była pełna uciekinierów, którzy schronili się tam, słysząc plotki, chociaż żaden z nich nie widział żywego Sasa. Uchodźcy mieli ze sobą bydło, owce, kozy, świnie i wszystko to zebrało się w Dun Caric, jako że moi wojownicy stwarzali iluzję bezpieczeństwa. Wykorzystałem swoje sługi i niewolników do rozpuszczenia nowych plotek, wedle których Artur miał wycofywać się na zachód ku granicy z Kernow, a ja rozkazałem rzeź inwentarza uciekinierów, chcąc zapewnić prowiant swoim żołnierzom. Te fałszywe plotki wystarczyły, by większość rodzin ruszyła ku odległej granicy z Kernow. Wielkie wrzosowiska mogły zapewnić im bezpieczeństwo, a bydło i owce nie mogły blokować dróg do Corinium. Gdybym po prostu rozkazał ludziom udać się w kierunku Kernow, nabraliby podejrzeń i ociągali się, chcąc się upewnić, iż ich nie oszukałem.

Issa nie dotarł do wieczora. Martwiłem się, zresztą nie bez powodu, albowiem droga do Durnovarii była długa i zapchana uchodźcami. Przygotowaliśmy wieczerzę we dworze i Pyrlig śpiewał nam o wielkim zwycięstwie Uthera nad Sasami w Caer Idem. Kiedy umilkł, rzuciłem mu złotą monetę i powiedziałem, iż kiedyś słyszałem tę samą pieśń z ust Cynyra z Gwentu, co zrobiło na nim duże wrażenie.

- Cynyr był największym ze wszystkich bardów - rzekł z zadumą. - Chociaż niektórzy powiadają, że Amairgin z Gwyneddu był lepszy. Żałuję, że nigdy nie udało mi się któregoś posłuchać.

- Mój brat powiada, że jest teraz w Powys znakomitszy bard - wtrąciła Ceinwyn. - I do tego młody.

- Kto? - spytał niespokojnie Pyrlig, czując niepożądanego rywala.

- Zwie się Talezyn - wyjaśniła Ceinwyn.

- Talezyn! - powtórzyła z upodobaniem Ginewra. Imię to znaczyło: „Promienne Oblicze”.

- Nigdy o nim nie słyszałem - rzekł sztywno Pyrlig.

- Kiedy pobijemy Sasów, zażądamy od tego Talezyna pieśni o zwycięstwie - zapowiedziałem. - I od ciebie też, Pyrligu - dodałem pośpiesznie.

- Niegdyś słyszałam Amairgina - wspomniała Ginewra.

- Doprawdy, pani? - Pyrlig znów był pod wrażeniem.

- Byłam tylko dzieckiem, ale pamiętam, że wydawał z siebie głuchy ryk - rzekła. - Okropnie się bałam. Wybałuszał oczy, łykał powietrze, a potem ryczał jak byk.

- Ach, stary styl - rzucił pogardliwie Pyrlig. - W dzisiejszych czasach, pani, poszukujemy harmonii słów, a nie tylko głośnego brzmienia.

- Powinniście szukać jednego i drugiego - powiedziała ostro Ginewra. - Nie wątpię, że ten Talezyn jest ćwiczony zarówno w starym stylu, jak i w metryce, bo jak oczarujecie słuchaczy, skoro potraficie im tylko zaoferować wymyślne rymy? Wasz śpiew powinien ścinać krew w lód, powinien nakłaniać do płaczu i do śmiechu!

- Hałasować potrafi każdy, pani - bronił swego kunsztu Pyrlig. - Ale trzeba wytrawnego mistrza, aby nasycił słowa harmonią.

- I niebawem jedyni zdolni pojąć zawilości harmonii to będą inni wytrawni mistrzowie - nacierała Ginewra. - Wkładacie coraz więcej trudu w to, aby wasze rymy były wymyślniejsze, ale zapominacie, że może nikt poza wami nie ma zielonego pojęcia, co wyczyniacie. Bard wyśpiewuje innym bardom, podczas gdy wszyscy pozostali zachodzą w głowę, o co chodzi w tych pieniach. Twoim zadaniem, Pyrligu, jest tchnąć życie w opowieści, a żeby osiągnąć ten cel, nie możesz być nad miarę subtelny.

- Nie chcecie chyba, pani, abyśmy stoczyli się w prostactwo! - rzekł bard i na znak protestu brzęknął w struny z końskiego włosia, naciągnięte na harfę.

- Chcę, żebyś był prostacki dla prostaków i mądry dla mądrych, i jednocześnie taki i taki, lecz jeśli potrafisz być tylko mądry, wtedy odmawiasz ludowi jego opowieści, a jeśli potrafisz być jedynie prostacki, to żaden pan ani pani nie rzuci ci złota.

- Poza prostackimi panami - wtrąciła chytrze Ceinwyn.

Ginewra zerknęła na mnie i ujrzałam, że gotuje się mnie obrazić, lecz gdy zdała sobie sprawę z tego, co ciśnie się jej na usta, wybuchła śmiechem. Rzekła jeno:

- Gdybym miała złoto, Pyrligu, wynagrodziłabym cię, bo śpiewasz pięknie, lecz, niestety, nie mam nawet miedziaka.

- Wasza pochwała, pani, jest mi wystarczającą nagrodą - rzekł bard.

Obecność Ginewry wywołała poruszenie wśród moich włóczników i przez cały wieczór pojawiały się grupki mężczyzn, którzy wpatrywali się w nią w zachwycie i podziwie. Ignorowała ich wzrok. Ceinwyn przywitała ją, nie okazując zdumienia, a Ginewra była dość mądra, by traktować uprzejmie nasze córki, tak że Morwenna i Seren spały na ziemi obok niej. Podobnie jak moi włócznicy, były zafascynowane wysoką rudą niewiastą, której reputacja była równie niesłychana jak uroda. A Ginewra po prostu cieszyła się, że może tam przebywać. W naszym dworze nie było stołów ani krzeseł, tylko podłoga zasiana sitowiem i



węlniane dywany, lecz ona zasiadała przy ogniu i bez najmniejszego trudu była panią tamtego domu. Przeszywające spojrzenie miała wyzywające, kaskada zmierzwionych rudych włosów sprawiała, że trudno było od niej oderwać oczy, a jej radość z uzyskanej wolności udzielała się wszystkim.

- Jak długo będzie cieszyć się tą wolnością? - spytała mnie Ceinwyn tamtej nocy. Oddaliśmy naszą komnatę Ginewrze i położyliśmy się w sali razem z ludźmi.

- Nie wiem.

- A co wiesz? - zapytała.

- Zaczekamy na Issę, a potem udamy się na północ.

- Do Corinium?

- Ja ruszę do Corinium, ale ciebie i rodziny wojowników wyślę do Glevum. Tam będziesz dość blisko miejsca walk, a jeśli wydarzy się najgorsze, możesz pojechać na północ, do Gwentu.

Issa nie pojawił się następnego dnia; myślałem, że oszaleję. Wyobrażałem sobie, iż ścigamy się z Sasami do Corinium, a im dłużej zwlekałem we dworze, tym bardziej prawdopodobna była nasza przegrana. Jeśli nieprzyjaciele mogliby rozprawić się z nami oddział po oddziale, to Dumnonia padłaby jak zgniłe drzewo, podczas gdy mój oddział, jeden z najsilniejszych w kraju, tkwiłby bezradnie w Dun Caric, czekając na Issę i Argantę.

W południe sytuacja stała się jeszcze bardziej napięta, albowiem na wschodnio-południowym horyzoncie wyrosły pierwsze dymy. Nikt nie wypowiadał się na temat wysokich cienkich kłębow, ale wszyscy wiedzieliśmy, że to płoną strzechy. Sasi pustoszyli kraj, a byli na tyle blisko, że widzieliśmy owoce ich niszczycielskiej działalności.

Wysłałem konnego na poszukiwanie Issy, podczas gdy my, wszyscy pozostali, ruszyliśmy polami do rzymskiego traktu, którym Issa winien się poruszać. Planowałem poczekać na niego, następnie iść dalej traktem do Aquae Sulis, które leżało jakieś dwadzieścia pięć mil w kierunku północnym, a potem ruszyć do Corinium, będącego trzydzieści mil dalej. Pięćdziesiąt pięć mil drogi. Trzy długie dni znoju.

Czekaliśmy na polu kretowisk przy drodze. Miałem ponad stu włóczników i przynajmniej tyle samo niewiast, dzieci, niewolników i sług. Były z nami konie, muły i psy. Wszyscy czekali. Seren, Morwenna i inne dzieci zbierały dzwonki w pobliskim zagajniku, podczas gdy ja chodziłem w tę i w tę po spękanej koronie rzymskiego traktu. Nieustannie mijali nas uciekinierzy, lecz nikt - nawet ci, którzy przybyli z Durnovarii - nie miał żadnych wieści o księżniczce Argancie. Pewien chrześcijański kapłan twierdził, jakoby widział w mieście Issę i jego ludzi - dostrzegł ponoć pięcioramienną gwiazdę na tarczach co niektórych

włóczników - ale nie miał pojęcia, czy nadal tam są, czy nie. Uchodźcy byli pewni jednego: Sasi znajdowali się nieopodal Durnovarii, chociaż nikt nie widział na własne oczy saskiego włócznika. Słyszeli jedynie pogłoski, coraz bardziej niesamowite. Artur miał nie żyć lub uciec do Rhygedu, podczas gdy Cerdyk dysponował zionącymi ogniem wierzchowcami i czarodziejskimi toporami, które cięły żelazo jak płótno.

Ginewra pożyczyła łuk od jednego z moich łowców i strzelała do wyschłego wiązu, który stał przy drodze. Dobrze się spisywała, szpikując strzałami martwy pień, lecz kiedy wyraziłem swój podziw i uznanie, skrzywiła się.

- Wyszłam z wprawy - poskarżyła się. - Dawniej potrafiłam ustrzelić ze stu kroków biegnącą sarnę, teraz nie trafiłabym pasącego się zwierzęcia z pięćdziesięciu. - Wyrwała strzały z pnia. - Ale gdyby nadarzyła się sposobność, mogłabym nadzieć nimi jakiegoś Sasa. - Oddała łuk łowcy; ten uklonił się nisko i oddalił. - Jeśli Sasi są niedaleko Durnovarii, co zrobią potem? - zapytała mnie.

- Ruszą prosto tą drogą - odparłem.

- Nie dalej na zachód?

- Oni znają nasze plany - rzekłem ponuro i opowiedziałem jej o złotych bryłkach z brodatymi twarzami, znalezionych w komnatach Mordreda. - Aelle maszeruje w kierunku Corinium, podczas gdy inni bieżą na łeb na szyję na południe. A my utknęliśmy tu z powodu Arganty.

- Zostaw ją, niech zgnije - powiedziała z okrucieństwem Ginewra, po czym wzruszyła ramionami. - Wiem, że nie możesz. Czy on ją kocha?

- Skąd miałbym o tym wiedzieć, pani?

- Oczywiście, że wiesz - rzuciła ostro Ginewra. - Artur uwielbia stwarzać wrażenie, że rządzi się umysłem, ale tęskni za namiętnościami. Wywróciłby świat do góry nogami za miłość.

- Ostatnio go nie wywracał.

- Ale dla mnie wywrócił - rzekła cicho i nie bez pewnej dumy. - Więc dokąd się udasz?

Podszedłem do mojej kłaczy, która pasła się między krecimi kopczykami.

- Na południe - oznajmiłem.

- Zrób to, a być może stracimy i ciebie - rzekła Ginewra.

Miała rację i wiedziałem o tym, ale bezradność i gniew nie dawały mi spokoju. Czemu Issa nie wysłał gońca z wieściami? Miał pięćdziesięciu moich najlepszych wojów i szwendał

się z nimi, nie wiedzieć gdzie. Przeklinałem stracony dzień, zrugalem chłopca, który paradował dumnie, udając, że jest włócznikiem, i kopiąc osty.

- Moglibyśmy ruszyć na północ - powiedziała ze spokojem Ginewra, wskazując na kobiety i pacholęta.

- Nie - sprzeciwiłem się. - Musimy trzymać się razem.

Raz po raz spozierałem na południe, ale na drodze pokazywali się jedynie kolejni smutni, umęczeni uchodźcy, podążający na północ. Przeważnie były to całe rodziny z jedną cenną krową i może cielakiem, chociaż wiele cieląt urodzonych tego roku było jeszcze zbyt wątłych na trudy marszu. Niektóre zwierzęta, porzucone przy drodze, żalonym muczeniem wołały matki. Innymi uchodźcami byli kupcy próbujący ratować swoje towary. Pewien człeczyna miał wóz zaprzężony w muły, pełen glinki foluszowej w koszach, drugi wioził skóry, niektórzy garnki. Jadąc, darzyli nas wściekłym wzrokiem, jako że nie zatrzymaliśmy wcześniej Sasów.

Seren i Morwenna, znudzone zbieraniem dzwoneczków, znalazły gniazdo zajęczków pod paprociami i kapryfolium na skraju lasu. Podniecone, przyzwały Ginewrę, dumne ze swego znaleziska. Ostrożnie gładziły małe futerka, drżące pod ich dotknięciem. Ceinwyn przyglądała się im.

- Zawojowała dziewczynki - orzekła.

- I włóczników również - powiedziałem zgodnie z prawdą. Zaledwie kilka miesięcy temu moi ludzie wyklinali Ginewrę od kurew, a teraz wpatrywali się w nią z uwielbieniem. Postanowiła ich oczarować, a kiedy zdecydowała się być czarująca, nie było takiego, kto by się jej oparł.

- Artur będzie miał wiele kłopotów, żeby po tym wszystkim osadzić ją za murami - zauważyłem.

- I pewnie dlatego chciał, żeby znalazła się na wolności - zauważyła Ceinwyn. - Z pewnością nie zależało mu na tym, żeby ją zabić.

- W przeciwieństwie do Arganty.

- Tego jestem pewna - zgodziła się ze mną, a potem tak jak ja skierowała wzrok na południe, lecz na długim prostym kawałku drogi nadal nie było widać śladu włóczników.

Issa wreszcie pojawił się o zmierzchu. Przybył ze swoimi pięćdziesięcioma włócznikami, trzydziestoma strażnikami pałacu Durnovarii, kilkunastoma Tarczownikami Czarnymi, pełniącymi rolę osobistej straży Arganty, i co najmniej dwustoma uchodźcami. Co gorsza, sprowadził sześć wozów ciągniętych przez woły. To właśnie te ciężkie pojazdy

spowodowały zwłokę. Najszybszy obładowany wóz z wołami porusza się wolniej niż zgrzybiały starzec, tak że Issa włókł się z północy jak ślimak.

- Co cię opętało?! - huknąłem na niego. - To nie czas, żeby podróżować z wozami.

- Wiem, panie - rzekł żałośnie.

- Czyś ty oszalał? - Byłem zły. Wyjechałem mu na spotkanie i skierowałem klacz na brzeg drogi. - Zmarnowałeś nie wiedzieć ile czasu!

- Nie miałem wyboru! - zaprotestował.

- Masz włóczyć! - warknąłem na niego. - To daje ci prawo postępować, jak chcesz.

Tylko wzruszył ramionami i wskazał na Argantę, siedzącą na pierwszym wozie. Cztery woły, które go ciągnęły, zatrzymały się, spuściwszy nisko łby. Boki miały poranione od batów.

- Wozy nie jadą dalej! - krzyknąłem do księżniczki. - Od tego miejsca idziecie, pani, albo jedziecie konno!

- Nie! - sprzeciwiła się Arganta.

Zeskoczyłem z konia i ruszyłem wzdłuż sznura wozów. W jednym nie było niczego poza rzymskimi posągami, które ozdabiały dziedziniec pałacowy w Durnovarii, inny załadowano po brzegi szatami i sukniami, podczas gdy trzeci ugiął się od naczyń, przyborów kuchennych i świeczników z brązu.

- Zrzucić to na drogę! - zawołałem z gniewem.

- Nie! - Arganta zeskoczyła z wysokiego siedziska i podbiegła ku mnie. - Artur rozkazał mi to przywieźć.

- Artur, pani - odwróciłem się twarzą do niej, tłumiąc gniew - nie potrzebuje posągów!

- Jadą z nami! - krzyknęła Arganta. - Inaczej zostaję tutaj!

- To zostajcie sobie, pani - powiedziałem z wściekłością. - Z drogi! krzyknąłem na woźnicę. - Szybko! Z drogi, już! - Dobyty Hywelbane'em ukląłem najbliższe zwierzę, spędzając je z drogi.

- Nie ruszajcie się! - wrzasnęła na woźniców Arganta. Szarpnęła za rogi wołu, ciągnąc ogłupiałe zwierzę z powrotem na drogę. - Nie zostawię tego nieprzyjacielowi! - krzyknęła do mnie.

Ginewra przyglądała się temu z pobocza. W jej wzroku było chłodne rozbawienie i nic dziwnego, Arganta bowiem zachowywała się jak rozpuszczone dziecko. Fergal, druid młodej żony Artura, pośpieszył na pomoc swojej księżniczce, protestując, iż wszystkie jego czarodziejskie kotły i składniki są załadowane na jeden z wozów.

- I skarb - dodał jakby po namyśle.

- Jaki skarb? - zapytałem.

- Skarb Artura - powiedziała sarkastycznie Arganta, jakby to decydowało o zwycięstwie w sporze. - Chce, żeby znalazł się w Corinium. - Podeszła do drugiego wozu, uniosła ciężkie szaty i postukała w drewniany kufer, ukryty pod spodem. - Złoto Dumnonii! Chcesz oddać je Sasom?

- Wolę oddać złoto niżli was i siebie, pani - rzekłem i odciąłem mieczem uprząż.

Arganta wrzeszczała na mnie, że kradnę jej skarbiec, i przysięgała, że każe mnie ukarać, ale ja na to wszystko odciąłem następną uprząż, warcząc na woźniców, iż mają uwolnić zwierzęta.

- Słuchajcie, pani, musimy ruszać się szybciej niż woły - zwróciłem się do niej i wskazałem odległe dymy. - To Sasi! Będą tu za kilka godzin!

- Nie możemy zostawić wozów! - krzyknęła. W oczach miała łzy. Może i była królewską córą, lecz wyrastała w ubóstwie, a teraz stała się zamożna i nie potrafiła rozstać się ze świeżo pozyskanymi bogactwami. - Nie wyprzęgajcie wołów! - zawołała do woźniców.

Ci, nie wiedząc, co czynić, zawahali się. Odciąłem kolejną uprząż i Arganta zaczęła tłuc mnie piąstkami, wyklinając od złodziei i wrogów.

Odepchnąłem ją łagodnie, lecz ani myślała ustąpić, a ja nie śmiałem użyć siły. Dostała szału, przeklinała mnie i okładała gradem uderzeń. Znow próbowałem ją odepchnąć, ale zaraz mnie opluła, uderzyła kolejny raz i krzykiem przywołała na pomoc Tarczowników Czarnych.

Tych dwunastu mężów wahało się, lecz byli wojami jej ojca i złożyli przysięgę, iż będą strzec księżniczki, tak więc zbliżyli się, zniżywszy włócznie. Moi żołnierze niezwłocznie przybieżeli mi z pomocą. Mieliśmy miazdzącą przewagę, lecz Tarczownicy Czarni nie cofnęli się, a druid skakał przed nimi, potrząsając brodą z wplecionymi kawałkami lisiego futra i włosami z przywiązаныmi kośćmi; wykrzykiwał, że są błogosławieni, a ich dusze będą stokrotnie wynagrodzone.

- Zabijcie go! - krzyczała do swojej straży Arganta i wskazywała na mnie. - Zabijcie go zaraz!

- Dostyc tego! - zawołała ostro Ginewra. Weszła na środek drogi i zmierzyła władczym spojrzeniem Tarczowników Czarnych. - Nie róbcie z siebie durniów, odłóżcie włócznie. Jak macie chęć zginąć, zabierzcie ze sobą Sasów, nie Dumnończyków. - Odwróciła się do Arganty. - Chodź tu, dziecię - rzekła, przyciągnęła do się dziewczynę i rogiem szaroburej opończy otarła jej łzy. - Postąpiłaś całkiem słusznie, próbując uratować skarb, ale słuszność jest i po stronie Derfla. Jak się nie pośpieszymy, Sasi nas dopadną. - Odwróciła się ku mnie. - Czy nie ma żadnej sposobności, byśmy zabrali złoto?

- Żadnej - odparłem krótko, zgodnie z prawdą. Mógłbym nawet zaprząć włóczników do wozów, a i tak poruszałibyśmy się zbyt wolno.

- To złoto jest moje! - protestowała Arganta.

- Teraz należy do Sasów - rzekłem i nakazałem Issie zepchnąć wozy z drogi i odciąć woły.

Arganta zaprotestowała krzykiem po raz ostatni, lecz Ginewra złapała ją i przytuliła do piersi.

- Księżniczki nie okazują publicznie złości. Bądź nieodgadniona, moja droga, i niech mężczyźni nigdy nie wiedzą, co myślisz. Twoja moc leży w cieniach, albowiem w blasku słońca mężczyźni zawsze będą w stanie cię pokonać.

Arganta nie miała zielonego pojęcia, kim jest ta wysoka piękna niewiasta, lecz ustąpiła Ginewrze, podczas gdy Issa i jego ludzie ściągnęli wozy na trawiaste pobocze. Pozwoliłem kobietom zabrać te szaty i okrycia wierzchnie, jakie przypadły im do gustu, lecz porzuciliśmy kotły, trójnogi i świeczniki. Issa znalazł jeden ze sztandarów wojennych Artura, czarnego niedźwiedzia wyszytego wełną na białym płótnie. Musieliśmy zapobiec, by ten znak wpadł w łapy Sasów, lecz nie mogliśmy zabrać złota. Zanieśliśmy jedynie kufry do pobliskiego, zalanego wodą rowu i wysypaliśmy monety do cuchnącej wody, w nadziei, że Sasi nigdy ich nie znajdą.

Arganta łkała, przyglądając się, jak złoty deszcz pluszcze w czarnej wodzie.

- To złoto jest moje! - zaprotestowała po raz ostatni.

- A kiedyś było moje, dziecko - rzekła z niezwykłym spokojem Ginewra. - Przeżyłam jego stratę, tak jak ty teraz ją przeżyłaś.

Arganta nagle odsunęła się gwałtownie i podniosła wzrok ku śmigłej niewieście.

- Twoje? - zapytała.

- Czyżbym nie wyjawiała swego imienia, dziecko? - spytała z delikatną drwiną Ginewra. - Jestem księżniczka Ginewra.

Arganta krzyknęła i uciekła do Tarczowników Czarnych. Jęknąłem, schowałem miecz do pochwy i odczekałem, aż ukryto resztki złota. Ginewra znalazła swój dawny płaszcz, niedźwiedzie futro przeplecioną złotą nicią, i pozbyła się starego przydzwiewku noszonego w więzieniu Morgan.

- Jej złoto, jeszcze czego! - powiedziała do mnie z gniewem.

- Wygląda na to, że przybył mi kolejny wróg - rzekłem, przyglądając się Argancie, pograżonej w rozmowie z druidem, którego niewątpliwie nakłaniała do rzucenia na mnie klątwy.

- Jeśli mamy wspólnego wroga, Derflu, to dzięki temu jesteśmy wreszcie sprzymierzeńcami - stwierdziła z uśmiechem Ginewra. - To mi się podoba.

- Dzięki, pani - powiedziałem i pomyślałem, że nie tylko moje córki i moi włóczniecy zostali urzeczeni.

Ostatki złota zatoneły w rowie i żołnierze wrócili na drogę, zebrawszy z powrotem włócznie i tarcze. Słońce płonęło nad zatoką Severn, napelniając zachód szkarłatnym blaskiem, podczas kiedy my wreszcie ruszyliśmy ku północy, na wojnę.

Przeszliśmy zaledwie kilka mil, zanim mrok spędził nas z drogi w poszukiwaniu schronienia, lecz wreszcie dotarliśmy do wzgórz na północ od Ynys Wydryn. Zatrzymaliśmy się na tę noc w porzuconym dworze, zadowoliwszy się marnym posiłkiem z czerstwego chleba i suszonej ryby. Arganta siadła z dala od nas, pod ochroną swojego druida i strażników, a chociaż Ginewra usiłowała wciągnąć ją w rozmowę, nie dała się namówić, tak więc pozostawiliśmy ją jej nadąsaniu.

Posiliwszy się, udałem się z Ceinwyn i Ginewra w kierunku małego wzgórzka za dworem. Były tam dwa groby. Poprosiłem zmarłych o wybaczenie i wspiałem się na szczyt wzgórzka. Obie kobiety dołączyły do mnie. Spoglądaliśmy na południe. Pobliska dolina wyglądała ślicznie, pokryta bielejącym kwieciami jabłoni, tonąca w blasku miesiąca, lecz cały horyzont zasnuwały ponure łuny pożarów.

- Sasi szybko zdobywają teren - powiedziałem z goryczą.

Ginewra szczelniej owinęła się opończą.

- Gdzie Merlin? - zapytała.

- Znikł - odparłem. Donoszono mi, że jest w Irlandii lub też w północnej głuszy, a może na bezdrożach Gwyneddu, podczas gdy inni twierdzili, iż nie żyje, a Nimue ścięła cały stok górski na jego stos pogrzebny. Ty tylko plotki, powtarzałem sobie, tylko plotki.

- Nikt nie wie, gdzie przebywa Merlin - rzekła cicho Ceinwyn. - Lecz on z pewnością zna miejsce naszego pobytu.

- Modłę się, żeby tak było - powiedziała z przejęciem Ginewra i zastanowiłem się, do jakiego boga, lub bogów, się teraz modli. Nadal do Izydy? Czy też nawróciła się na wiarę w bogów Brytanii? A może, zadygotałem na tę myśl, bogowie w końcu nas porzucili? Ich stosem pogrzebnym były ogniska na Mai Dun, a zemstą oddziały żołdaków, które plądrowały teraz Dumnonię.

O świcie ruszyliśmy dalej. W nocy napłynęły chmury i z brzaskiem spadł lekki deszczyk. Rzymski trakt był zatłoczony uciekinierami i chociaż na czele naszego pochodu

umieściłem zbrojnych wojowników, którzy spychali na bok wszystkie stada bydła i wozy zaprzęgnięte w woły, to posuwaliśmy się z żalosną prędkością. Wiele dzieci nie mogło wytrzymać nawet tego tempa i jechały na jucznych koniach, które wiozły prowiant i broń, a były i takie pacholęta, które znalazły pomoc w ramionach młodszych włóczników. Arganta dosiadała mojej klaczy, podczas gdy Ginewra i Ceinwyn maszerowały na piechotę i na zmianę opowiadaliśmy bajki dzieciom. Deszcz wzmógł się, wielkie szare płachty ulewy spowiły wzgórza, a woda spływała płytkimi rowami po obu stronach rzymskiej drogi.

Miałem nadzieję dotrzeć do Aquae Sulis w południe, ale zbliżał się już wieczór, kiedy nasza ubłocona i zmęczona grupa zeszła w dolinę, w której leżało miasto. Rzeka rozlała się szeroko, pokrywał ją bowiem gęsty kożuch drewnianych szczątków, wstrzymywany przez kamienne przypory rzymskiego mostu. Jednym z obowiązków władz miasta było oczyszczanie wód z tego rodzaju odpadków, ale poniechano tego zadania; nie dbano też o odpowiednią kondycję murów miejskich. Obwałowania wznosiły się zaledwie sto kroków na północ od mostu i nie dość że Aquae Sulis nie było fortecą i nigdy nie miało dobrej osłony, to teraz stało się niemal zupełnie bezbronne. Całe odcinki drewnianej palisady na szczycie ziemno-kamiennego wału rozebrano na opał lub na budowę domów, podczas gdy sam wał tak się osunął, iż Sasi mogli przedrzeć się do miasta z marszu. Tu i tam gorączkowo reperowano palisadę, ale żeby przywrócić ją do właściwego stanu, potrzeba by miesięcy pracy pięciu setek mężczyzn.

Weszliśmy piękną południową bramą i ujrzałem, że chociaż miasto nie miało sił na konserwację wałów ani na oczyszczenie rzeki z drewna, ktoś znalazł czas na zeszpecenie pięknego oblicza rzymskiej bogini Minerwy, niegdyś zdobiącej sklepienie bramy. Z twarzy bogini została tylko poryta młotem kamienna bryła, na której wyryto prostacki chrześcijański krzyż.

- Czy to chrześcijańskie miasto? - spytała Ceinwyn.

- Prawie wszystkie miasta są chrześcijańskie - odpowiedziała za mnie Ginewra.

Było to również piękne miasto. Lub też było piękne dawnymi czasy, dachówki popękały bowiem i zostały zastąpione grubą strzechą; niektóre domy rozleciały się w gruzy, lecz ulice pozostały wybrukowane, a wysokie kolumny i bogato zdobiony fronton majestatycznej świątyni Minerwy nadal wyrastały ponad niskie dachy. Moja straż przednia torowała nam drogę pośród tłumu, nie oszczędzając razów, kierując się do świątyni stojącej na wzniesieniu w świętym sercu miasta. Rzymianie wzniesli tam wewnętrzny mur, obejmujący świątynię Minerwy i łaźnie, które przysporzyły miastu sławy i powodzenia. Rzymianie zadaszli te karmione czarodziejskimi gorącymi źródłami łaźnie, lecz część



dachówek uległa zniszczeniu i para snuła się przez otwory w dachu niczym dym. Świątynia, оголоcona z ołowianych rynien, była poznaczona deszczówką i grzybem, podczas gdy malowane tynki wewnątrz złuszczyły się i pociemniały; lecz bez względu na ten stan zniszczenia, kiedy stanęło się na wybrukowanym dziedzińcu, nadal widziało się świat, w którym ludzie wznosili takie miasta i żyli, nie lękając się oszczepów, nadlatujących z barbarzyńskiego wschodu.

Rządca, poruszony, nerwowy mężczyzna w średnim wieku imieniem Cildydd, ubrany w rzymską togę, oznakę władzy, wyszedł z pośpiechem ze świątyni i przywitał mnie. Znałem go z czasu rebelii. Mimo że sam chrześcijanin, uciekł przed oszalałymi fanatykami, którzy opanowali świątynię Aquae Sulis. Po rebelii przywrócono go na urząd, ale chyba nie miał wielkiego autorytetu. Niósł ze sobą kawałek łupku, na którym zrobił wiele znaków, najwyraźniej szacując liczbę pospolitego ruszenia, zebranego na terenie świątyni.

- Naprawy w toku! - przywitał mnie bez żadnej uprzejmości. - Rąbie się drewno na palisadę. Nie od dziś. Powódź stwarza problem, w rzeczy samej, ale jeśli deszcz ustanie...? - Urwał, nie kończąc zdania.

- Powódź? - spytałem.

- Kiedy rzeka podnosi się, panie, woda cofa się rzymskimi ściekami - wyjaśnił. - Jest już w dolnej części miasta. Obawiam się, że nie tylko woda. Chodzi o ten smród, pojmujecie? - Pociągnął delikatnie nosem.

- Problem w tym, że kawałki drewna napierają na most - rzekłem. - Twoim zadaniem było oczyszczać rzekę. Również twoim zadaniem była troska o palisadę i wał obronny.

Tylko otworzył i zamknął usta. Uniósł łupek, jakby chciał zademonstrować swoją skuteczność, ale jedynie zamrugnął bezradnie.

- Chociaż w tej chwili to bez znaczenia, miasta nie da się obronić - dodałem.

- Nie da się obronić...! - zaprotestował Cildydd. - Nie da się obronić...! Musi się dać obronić! Nie można ot tak go porzucić!

- Kiedy Sasi przybędą, nie będziesz miał wyboru - rzekłem.

- Ale musimy obronić miasto, panie - upierał się.

- Czym?

- Twoimi żołnierzami, panie - rzekł, wskazując włóczników, którzy ukryli się przed deszczem w wysokim portyku świątyni.

- W najlepszym razie możemy bronić ćwierć mili wału czy raczej tego, co z niego pozostało. Kto więc obroni resztę?

- Pospolite ruszenie, oczywiście. - Wskazał łupkiem ponure zbiegowisko pod łaźniami. Niewielu miało broń, a jeszcze mniej zbroje.

- Widziałeś kiedy saski atak? - spytałem. - Posyłają wpierw wielkie psy bojowe, a potem uderzają toporami długimi na trzy stopy i włóczniami o drzewcach długości ośmiu stóp. Są pijani, są szaleni i nie zależy im na niczym poza kobietami i złotem. Jak długo twoje pospolite ruszenie wytrzyma ich napór?

Cildydd zamrugął.

- Nie możemy się tak po prostu poddać - wybąkał.

- Czy twoi prostaczkowie mają jakąś prawdziwą broń? - zapytałem, wskazując ponurych ludzi czekających w deszczu. Z całej sześćdziesiątki dwóch czy trzech miało włócznie, widziałem jeden prawdziwy rzymski miecz, a większość miała topory lub oskardy, lecz niektórzy nie dysponowali nawet tą prymitywną bronią, jedynie utwardzonymi w ogniu, zaostrzonymi kijami.

- Przeszukujemy miasto, panie. Muszą być jakieś włócznie.

- Z włóczniami czy bez włóczni, jeśli zdecydujecie się na zbrojny opór, zostaniecie wyrżnięci - rzekłem bez ogródek.

Cildydd wpatrywał się we mnie z rozdziawionymi ustami.

- Co więc mamy uczynić? - spytał wreszcie.

- Iść do Glevum - rzekłem.

- Ale miasto...! - Poblądł. - Są w nim kupcy, złotnicy, kościoły, cenne klejnoty. - Głos mu zamarł, kiedy wyobrażał sobie ostateczny upadek miasta, który, w razie nadejścia Sasów, był nieunikniony. Aquae Sulis nie było garnizonem, jedynie piękną miejscowością wzniesioną między wzgórzami. Cildydd zamrugął, deszcz bowiem szczypał go w oczy. - Glevum - powtórzył z rezygnacją. - I będziecie mnie tam eskortować, panie?

Pokręciłem przecząco głową.

- Ja idę do Corinium, ale ty masz skierować się do Glevum. - Kusilo mnie, żeby posłać z nimi Argantę, Ginewrę, Ceinwyn i rodziny włóczników, ale nie wydawało mi się, by potrafił je obronić. Uznałem, iż lepiej uczynię, zabierając kobiety i rodziny na północ, a potem wysyłając je pod skromną eskortą do Glevum.

Ale przynajmniej zdjęto mi z głowy jeden kłopot, Argantę, albowiem kiedy tak bezceremonialnie niszczyłem ubożuchne nadzieje Cildydd, zbrojny oddział jeźdźców wjechał w obszar świątyni. Byli to żołnierze Artura, niosący jego chorągiew z niedźwiedziem, a wiódł ich Balin, obsypując przekleństwami ciżbę uchodźców. Ujrzał mnie i na twarzy zagościła mu ulga, a potem zdumienie, kiedy rozpoznał Ginewrę.

- Czyżbyś przywoził nie tę księżniczkę, co trzeba, Derflu? - zapytał, zeskoczywszy z umęczonego wierzchowca.

- Jest w świątyni - powiedziałem, wskazując ruchem głowy wielki budynek, w którym Arganta schroniła się przed deszczem. Nie odzywała się do mnie przez cały dzień.

- Mam ją zabrać do Artura - oznajmił Balin. Był prostodusznym brodatym mężem z wytatuowanym na czole niedźwiedziem i nierówną białą szramą na lewym policzku. Spytałem go o wieści i przekazał mi te kilka, które znał, a żadna nie była dobra. - Łotry idą w dół Tamizy. Wyliczyliśmy, że są tylko trzy dnia marszu od Corinium. Jak na razie Cuneglas i Oengus nie dali znaku życia. Jest chaos, Derflu, wszędzie chaos. - Nagle otrząsnął się. - Co to za smród?

- Ścieki się cofają.

- W całej Dumnonii - rzekł ponuro. - Muszę się śpieszyć. Artur chciał, żeby jego młoda żona była w Corinium przedwczoraj.

- Masz dla mnie rozkazy?! - zawołałem za nim, kiedy ruszył szybkim krokiem w kierunku schodów przed świątynią.

- Idź na Corinium! I to szybko! A masz wysłać cały prowiant, jaki uda ci się zebrać! - Wykrzykiwał ostatnie rozkazy, znikając za wielkimi brązowymi wrotami. Miał sześć luźnych koni, dość żeby zabrać Argantę, jej panny służące i Fergala, co znaczyło, że dwunastu Tarczowników Czarnych księżniczki miało zostać ze mną. Wyczułem, że z ulgą się z nią rozstają.

Balin odjechał późnym popołudniem, kierując się na północ. Też chciałem jak najszybciej znaleźć się w drodze, ale dzieci były utrudzone, deszcz nie ustawał, a Ceinwyn przekonała mnie, że będziemy poruszać się zwawiej, jeśli odpoczniemy całą noc pod dachami Aquae Sulis i wymaszerujemy rano. Postawiłem strażę przy łaźniach i zezwoliłem niewiastom oraz wyrostkom wejść do wielkiego basenu z dymiącą ciepłą wodą, a następnie wysłałem Issę i kilku żołnierzy. Mieli przeczesać miasto w poszukiwaniu oręża dla wyposażenia pospolitego ruszenia. Wtedy posłałem po Cildydda i spytałem go, ile żywności pozostało w mieście.

- Nędzne resztki, panie! - Twierdził uparcie, iż już wysłał na północ szesnaście wozów ziarna, suszonego mięsa i solonych ryb.

- Przeszukałeś domy? - zapytałem go. - Kościoły?

- Tylko spichrze miejskie, panie.

- No to weźmy się za to, jak trzeba - zaproponowałem i do zmierzchu zebraliśmy jeszcze siedem wozów cennych zapasów. Tego samego wieczora posłałem je na północ,

mimo późnej pory. Wozy zaprzężone w woły poruszają się wolno i wołałem, żeby rozpoczęły podróż przed nocą, niżliby miały czekać do rana.

Issa był przed świątynią. Przeszukanie miasta przyniosło w rezultacie siedem starych mieczy i kilkanaście oszczepów na niedźwiedzie, podczas gdy słudzy Cildydda przynieśli następnym piętnaście włóczy, z tego osiem połamanych. Lecz Issa zdobył też wieści.

- Mówi się, że w świątyni jest ukryta broń - powiedział.

- Kto mówi?

Wskazał na młodego brodacza, przyodzianego w krwawy fartuch rzeźnika.

- Twierdzi, że w świątyni ukryto zapas włóczy po rebelii, ale ksiądz temu zaprzecza.

- Gdzie ten ksiądz?

- W środku, panie. Kiedy go pytałem, kazał mi się wynieść.

Wbiegłem do budowli po stopniach. Najpierw była to świątynia Minerwy i Sulis. Pierwszą czcili Rzymianie, drugą - Brytowie. Pogańskie bóstwa obalono i wprowadzono na ołtarze boga chrześcijan. Kiedy byłem tam ostatni raz, ujrzałem wielki posąg z brązu przedstawiający Minerwę, a oświetlały go migocące lampki oliwne. Posąg zniszczono podczas chrześcijańskiej rebelii i pozostała tylko pusta głowa bogini, nabita na pal - trofeum za chrześcijańskim ołtarzem.

Ksiądz stawiał mi opór.

- To dom Boga! - ryknął.

Odprowadził misteria przy ołtarzu, otoczony rozslochanymi niewiastami, lecz przerwał ceremonię, by mi się przeciwstawić. Młody mężczyzna, pełen uniesienia, jeden z tych chrześcijańskich kapłanów, którzy wszczęli niepokoje w Dumnonii i którym Artur pozwolił żyć, nie chcąc, by gorycz nieudanej rebelii zapuściła korzenie. Jednakże ten ksiądz nie stracił nic ze swego rebelianckiego zapału.

- To dom Boga! - krzyknął jeszcze raz. - A ty śmiesz bezcześcić go mieczem i włócznią? Czy wkroczyłbyś zbrojny do dworu swojego pana? Czemu więc wchodzisz z mieczem u pasa do domu Pana mego?

- Za tydzień będzie tu świątynia Thunora - powiedziałem. - I tu, gdzie stoisz, będą składać twoje dzieci na ofiarę. Są tu jakieś włócznie?

- Nie ma żadnych! - rzekł wyzywająco. Kobiety rozpierchły się z wrzaskiem, kiedy wszedłem po stopniach ołtarza. Ksiądz wyciągnął ku mnie krzyż. - W imię Boga i Jego Syna Świętego i Ducha. Nie!

To był jego ostatni wrzask, dobyłem bowiem Hywelbane'a i wytrąciłem nim krzyż z rak kapłana. Kawalek drewna przeleciał po marmurowej posadzce, a ja wcisnąłem ostrze miecza w zmierzwioną brodę księżulka.

- Jak zacznę szukać włóczni, nie zostanie tu kamień na kamieniu, a twoje żalodne szczątki spoczną w gruzach - zagroziłem. - Gdzie włócznie, gadaj!

Jego opór prysł. Włócznie znajdowały się w krypcie pod ołtarzem. Trzymano je z nadzieją na kolejny bunt, mający wynieść chrześcijanina na tron Dumnonii. Wejście było ukryte, albowiem przechowywano tam też ofiary dla Sulis, sławnej z ozdrowieńczej mocy. Prerażony ksiądz pokazał nam, jak unieść marmurową płytę, pod którą leżało złoto i broń. Złoto zostawiliśmy, lecz zabraliśmy włócznie, z myślą o pospolitym ruszeniu Cildydda. Powątpiewałem w zdolności bojowe owej zbieraniny, lecz taka grupa zbrojnych przynajmniej robiła wrażenie wojów i Sasi na jej widok nie powinni być skorzy do ataku. Rozkazem tej sześćdziesiątce, by była gotowa do wymarszu o świcie; mieli zabrać ze sobą tyle żywności, ile mogą udźwignąć.

Noc przespaliśmy w świątyni. Oczyszciliśmy ołtarz z chrześcijańskich świecidełek i złożyłem głowę Minerwy między dwiema oliwnymi lampkami, tak aby strzegła nas nocą. Deszcz kapał z dachu, kałuże zbierały się na podłodze, lecz gdzieś w środku nocy opady ustały i rano przyniósł czyste niebo i świeży, chłodny wiatr od wschodu.

Opuściliśmy miasto, zanim wzeszło słońce. Z pospolitego ruszenia wymaszerowało tylko czterdziestu, reszta rozplynęła się w nocy, ale lepiej było mieć czterdziestu chętnych sprzymierzeńców niż sześćdziesięciu niepewnych. Teraz nasza droga była wolna od uciekinierów, rozpuściłem bowiem wieść, iż bezpieczeństwa należy spodziewać się nie w Corinium, lecz w Glevum, i szlak na zachód zapełnił się ludźmi i bydłem. My posuwaliśmy się na wschód, w kierunku wznoszącego się słońca. Trakt biegł prosto jak strzeł między rzymskimi grobowcami. Ginewra tłumaczyła inskrypcje nagrobne, podziwiając fakt, iż wspominają ludzi zrodzonych w Grecji, Egipcie lub samym Rzymie. Byli to weterani legionów, którzy wzięli za żony Brytyjki i osiedlili się nieopodal leczniczych źródeł Aquae Sulis. Na omszałych nagrobkach widniały niekiedy podziękowania za dar przeżytych lat, sławiące Minerwę lub Sulis. Po godzinie groby zostały za nami i dolina zwężała się. Z północnej strony wyrosły wzgórza, a za nimi rozciągały się nadrzeczne łąki; wiedziałem, iż niebawem droga nagle skręci na północ i wespnie się na wzniesienia między Aquae Sulis i Corinium.

Właśnie kiedy dotarliśmy do zwężenia doliny, przybiegli woźnice, prowadzący wozy prowiantowe. Mimo że opuścili miasto poprzedniego dnia, ich powolne zaprzęgi dotarły zaledwie do zakrętu drogi i teraz wracali ile sił w nogach.

- Sasi! - wrzasnął jeden z nich. - To Sasi!

- Głupcy - zamruczałem i nakazałem Issie zatrzymać uciekinierów. Oddałem Ginewrze mojego konia, lecz teraz zeszła z siodła, a ja niezdarnie wdrapałem się na koński grzbiet i spałem klacz do galopu.

Pół mili dalej droga wykręcała na północ. Woły i wozy porzucono akurat tam i kiedy się ku nim zbliżałem, podniosłem wzrok na stok. Przez chwilę nie widziałem niczego, a po chwili grupka konnych wyłoniła się zza drzewa na szczycie. Byli o pół mili, wyraźnie rysując się na jaśniejącym niebie, i nie mogłem odczytać malunków na ich tarczach, ale wydawało mi się, że to raczej Brytowie niż Sasi, bo nasi wrogowie nie dysponowali wieloma jeźdźcami.

Popędziłem klacz w górę stoku. Żaden z jeźdźców ani drgnął. Jeno mi się przypatrywali. Po chwili kolejni żołnierze wychynęli zza grzbietu wzgórza. Byli to włócznicy, a godło bojowe, niesione wysoko nad ich głowami, było dla mnie wieścią najgorszą z możliwych.

Ujrzałem nagi czerep obwieszony jakby szmatami i przypomniałem sobie godło Cerdyka - wilczą czaszkę i skórę zdjętą z człowieka. Miałem przed sobą Sasów. Zastawili nam drogę. Nie było ich wielu, z tuzin jeźdźców i pięćdziesiątka pieszych, ale mieli nad nami przewagę pozycyjną, a nie wiadomo ilu następnych czekało w odwodzie, za grzbietem wzgórza. Wstrzymałem konia i przypatrywałem się włócznikom. Słońce odbijało się od szerokich żeleźców toporów, niesionych przez niektórych. To musieli być Sasi. Ale skąd się wzięli? Balin powiedział mi, że zarówno Cerdyk, jak i Aelle idą wzdłuż Tamizy, tak więc niewykluczone, że ci przybyli od południa z szerokiej rzecznej doliny, lecz mogli to być też włócznicy Cerdyka służący Lancelotowi. Tak naprawdę nie miało znaczenia, kim są; liczyło się to, że nie mogliśmy się dalej posuwać. Kolejni nieprzyjaciele wysypywali się zza wzgórza; groty włóczni kłuły horyzont.

Zawróciłem konia. Issa wiódł ku mnie najbardziej doświadczonych wojów.

- Sasi! - krzyknąłem. - Mur tarcz!

Issa oceniał wzrokiem odległych włóczników.

- Stawimy im tu czoło, panie? - zapytał.

- Nie. - Nie odważyłbym się na bój w tak niekorzystnych warunkach. Bylibyśmy zmuszeni atakować pod górę, niespokojni o cywilów na tyłach.

- Udamy się więc drogą do Glevum? - indagował dalej.

Pokręciłem przecząco głową. Tamten szlak był zapchany uchodźcami i na miejscu saskiego dowódcy marzyłbym o ściganiu słabszego wroga w takich warunkach. Nie mogliśmy liczyć na to, że oderwiemy się od nieprzyjaciela, albowiem tempo marszu

wyznaczali uciekinierzy. Czekaliby nas pewna śmierć pośród ogarniętej paniką ciżby. Było co prawda możliwe, nawet bardzo, że Sasi wcale nie udadzą się w pościg, znęci ich bowiem wizja splądrowania bezbronnego miasta, lecz nie śmiałem zaufać temu ryzykownemu założeniu. Kiedy patrzyłem w górę, kolejni przeciwnicy wyłonili się zza oświetlonego słońcem wzniesienia. Moi ludzie uformowali szyk, ale wiedziałem, że nie ma co tu walczyć. Sasi dysponowali przewagą liczebną i zajmowali lepsze pozycje. Bój na stoku oznaczał dla nas śmierć.

Wykręciłem się w siodle. Pół mili dalej, na północ od rzymskiego traktu, była wiekowa forteczka, której ziemny wał - bardzo teraz zniszczony - wieńczył szczyt długiej i nieprzyjaznej stromizny. Wskazałem na nią.

- Tam - rzekłem.

- Tam, panie? - Issa był zaskoczony.

- Jeśli spróbujemy ucieczki, ruszą za nami - wyjaśniłem. - Dzieci utrudnią odwrót i wcześniej czy później te łotry nas dopadną. Będziemy zmuszeni uformować mur tarcz, z kobietami i dziećmi w środku, i ostatni z nas, którzy dadzą gardło, usłyszą pierwsze wrzaski niewiast. Lepiej wybrać miejsce, którego nie będą skorzy atakować. W końcu staną przed decyzją: albo zostawią nas w spokoju i udadzą się na północ, a my za nimi, albo ruszą do ataku, a my, dysponując przewagą pozycyjną, będziemy mieli szansę zwycięstwa. Większą niż oni, bo przybędzie Culhwch - dodałem. - Za dzień albo dwa możemy nawet zyskać nad nimi przewagę liczebną.

- Tak więc zostawimy Artura jego losowi? - zapytał Issa, wstrząśnięty na samą tę myśl.

- Odciągniemy zbrojny oddział Sasów od Corinium - rzekłem. Ale nie byłem szczęśliwy z mojego wyboru, Issa bowiem miał rację. Zostawiałem Artura, ale nie śmiałem narażać życia Ceinwyn i córek. Cała tak starannie pomyślana kampania Artura wzięła w łeb. Culhwch - odcięty na południu; ja - w pułapce nieopodal Aquae Sulis; Cuneglas i Oengus mac Airem nie wiedzieć gdzie, ale na pewno daleko.

Wróciłem po zbroję i oręż. Nie miałem czasu na włożenie pancerza, lecz nasunąłem na głowę hełm zdobiony ogonem wilka, wybrałem najcięższą włócznię i sięgnąłem po tarczę. Oddałem klacz Ginewrze i powiedziałem, by zabrała kobiety i dzieci w górę wzgórza, a potem rozkazałem ludziom z pospolitego ruszenia i młodszym włócznikom odwrócić siedem wozów z żywnością i zaprowadzić je do fortecy.

- Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie - rzekłem. - Ale żywność ma się znaleźć daleko od wroga. W razie konieczności sami wciągnijcie wozy!

Mogłem porzucić tabor Arganty, ale na wojnie żywność jest cenniejsza niż złoto i należy uczynić wszystko, aby nie wpadła w ręce wroga. W ostateczności byłem gotów spalić wozy wraz z ładunkiem, lecz na razie chciałem uratować prowiant.

Wróciłem do Issy i zająłem swoje miejsce w środku szyku. Szeregi wroga gęstniały i w każdej chwili spodziewałem się szarży w dół stoku. Przerastali nas liczebnie, ale wciąż nie nacierali i im dłużej się wahali, tym więcej czasu miały nasze rodziny i cenne wozy z żywnością na osiągnięcie szczytu wzgórza. Nieustannie spoglądałem za siebie, sprawdzając postępy wozów i kiedy przekroczyły środek stromizny, wydałem rozkaz do odwrotu.

To zachęciło Sasów do natarcia. Wydali okrzyk bojowy i runęli w dół wzgórza, lecz uczynili to zbyt późno. Moi ludzie cofnęli się drogą, pokonali płytki bród i strumień wartko spływający ku rzece, i teraz my mieliśmy przewagę pozycyjną, bo znaleźliśmy się na stromym stoku. Moi ludzie trzymali prostą linię, nie wychylali się zza tarcz i nie wymachiwali włóczniami. Te dowody wyszkolenia sprawiły, że Sasi wstrzymali pogoń, kiedy dzieliło nas jeszcze pięćdziesiąt jardów. Zadowolili się wrzaskami i obelgami. Jeden z ich nagich czarowników, osobnik o sterczących włosach posmarowanych krowim łajnem, wyskoczył przed swoich tanecznym krokiem i przeklinał nas. Wyzywał nas od świń, tchórzy i kóz. On nas przeklinał, a ja ich liczyłem. Sasi mur tarcz miał ze stu siedemdziesięciu chłopów, a następni przybywali zza wzgórza. Ja liczyłem ich, a sascy wodzowie wstrzymali konie za murem tarcz i liczyli nas. Teraz wraże godło było wyraźne - znak Cerdyka, wilcza czaszka obwieszona ludzką skórą - ale samego króla tam nie było. Mieliśmy przed sobą jeden z jego oddziałów przybyłych z Tamizy. Przerastali nas liczebnie, lecz ich przywódcy byli za sprytni, by podjąć atak. Wiedzieli, że mogą nas pobić, wiedzieli jednak również, jak straszliwe źniwo może przynieść opór siedemdziesięciu wytrawnych wojowników. Wystarczyło im, że spędzili nas z drogi.

Powoli wycofaliśmy się w górę wzniesienia. Sasi nie spuszczała z nas wzroku, ale podążył za nami tylko ich czarownik, a i on po chwili stracił zapał. Splunął w naszym kierunku i zawrócił. Szydziliśmy ile wlezie z nieśmiałości nieprzyjaciół, lecz po prawdzie czuliśmy ogromną ulgę, że nas nie zaatakowali.

Godzinę zajęło wciągnięcie siedmiu wozów za wał ziemny, na łagodny szczyt. Przeszedłem się po nim i przekonałem się, że tworzy znakomitą pozycję obronną. Był to trójkąt, opadający stromo w każdą ze stron, tak że atakujący nie mieli łatwego wyboru i zawsze musieli się nadziać na groty naszych włóczni. Żywiłem nadzieję, że stromizna wzgórza powstrzyma Sasów od wszelkich szturmów, że za dzień czy dwa opuszczą swoje pozycje i droga do Corinium będzie wolna. Spóźnimy się i Artur niewątpliwie będzie się na



mnie złościł, lecz - jak na razie - zadbałem, by ta część armii Dumnonii nie poniosła uszczerbku. Było nas dwustu włóczników i ochranialiśmy tłum kobiet i dzieci, siedem wozów i dwie księżniczki, a naszą warownią stało się trawiaste wzgórze, sięgające wysoko ku niebu nad dolinę rzeki. Znalazłem jakiegoś rekruta i spytałem go o nazwę wzgórza.

- Nazwa pochodzi od miana miasta, panie - rzekł, wyraźnie rozbawiony, że zależało mi na jej poznaniu.

- Aquae Sulis?

- Nie, panie! Od starego miana! Miana poprzedzającego przybycie Rzymian.

- Barddon - powiedziałem.

- To jest Mynydd Baddon, panie - potwierdził.

Góra Baddon. W swoim czasie poeci mieli rozstawić to imię po całej Brytanii. Miało być śpiewane w tysiącach dworów i miało rozpalać krew jeszcze nienarodzonych dzieciątek, ale jak na razie nie znaczyło dla mnie nic. To było po prostu stosowne wzgórze, fort o ziemnych wałach, zarosłych trawą, w którego murawie zatknąłem moje dwa znaki, i to całkowicie wbrew swej woli. Jeden to była gwiazda Ceinwyn, a drugi to znak odnaleziony przez nas i uratowany z wozów Arganty, dumny niedźwiedź Artura.

Tak więc w porannym świetle, kiedy wiatr łopotał sztandarami, susząc płótna, niedźwiedź i gwiazda rzuciły wyzwanie Sasom.

Na Mynydd Baddon.

Sasi byli ostrożni. Nie zaatakowali wcześniej, a teraz, kiedy byliśmy bezpieczni na szczycie Mynydd Baddon, zadowalali się siedzeniem u południowej podstawy wzgórza i zwykłą obserwacją. Po południu duży oddział ich włóczników udał się do Aquae Sulis, pewnie całkowicie już wyludnionego. Spodziewałem się płomieni i dymów z gorejących strzech, ale nic takiego nie ujrzałem i o zmierzchu oddział powrócił z miasta, uginając się pod ciężarem łupów. Cień nocy padł na dolinę rzeki i gdy szczyt Mynydd Baddon nadal kąpał się w resztkach dziennego światła, obozowe ogniska naszych wrogów zajarzyły się w mroku.

Kolejne zapłonęły na pagórkach znajdujących się na północ od nas. Mynydd Baddon jest od nich oddzielone wysokim siodłem, zarośniętym trawą. Chodziło mi po głowie, czy nocą nie pokonać tej przełęczy, nie wspiąć się na grzbiet i nie udać się pagórkami do Corinium; tak więc przed zmierzchem wysłałem Issę i jeszcze kilku ludzi na rozpoznanie, lecz wrócili, mówiąc, że za przełęczą roi się od konnych saskich zwiadowców. Nadal korciło mnie by uciec na północ, ale wiedziałem, iż konni nas dojrzą i do świtu będziemy mieli na karkach zbrojny oddział. Rozważałem, co uczynić, wreszcie późną nocą zdecydowałem się wybrać mniejsze zło: zostaniemy na Mynydd Baddon.

W oczach Sasów musieliśmy wyglądać na znakomity oddział. Miałem teraz pod swoimi rozkazami dwustu sześćdziesięciu ośmiu ludzi i nieprzyjaciel nie mógł wiedzieć, że tylko niecała setka to wyśmienici włócznicy. Czterdziestu pozostałych było rekrutami z miasta, trzydziestu sześciu - zahartowanymi w bojach wojownikami, strzegącymi Caer Cadarn lub pałacu w Durnovarii, przeważnie postarzałymi już i powolnymi, a stu dziesięciu - młodzikami, którzy nie przeszli jeszcze bojowego chrztu. Moich siedemdziesięciu doświadczonych włóczników i dwunastu Tarczowników Czarnych Arganty zaliczało się do najlepszych wojowników Brytanii i chociaż nie wątpiłem, że weterani się przydadzą, a młodzieniaszkowie mogą zabłysnąć w walce, to po prawdzie dysponowałem skromniuchnym oddziałkiem, mającym ochronić sto czternaście niewiast i siedemdziesięcioro dziewięcioro dzieci. Lecz przynajmniej mieliśmy w bród wody i jadła, za naszymi plecami bowiem stało siedem wozów z prowiantem, a ze zboczy Mynydd Baddon tryskały trzy źródła.

Nim zapadła noc, zliczyliśmy nieprzyjaciół. W dolinie stacjonowało jakichś trzystu sześćdziesięciu Sasów, a po stronie północnej przynajmniej osiemdziesięciu. Oznaczało to, że mają dość włóczników, aby zatrzymać nas na Mynydd Baddon, ale zapewne nie dość, by przeprowadzić atak. Każdy z trzech płaskich, pozbawionych drzew stoków wzgórza miał ze trzysta kroków długości, co znacznie przerastało siły obronne mojego oddziału, lecz jeśli wróg już zdobyłby się na szturm, dojrzelibyśmy to dużo wcześniej i mieliśmy czas na dyslokację. Zapewne mógłbym stawić czoło nawet kilku równoczesnym uderzeniom, Sasi

bowiem mieli do pokonania okropną stromiznę, a moi żołnierze oczekiwali ich wypoczęci. Lecz w razie wzmocnienia sił wroga, byłem skazany na oczywistą klęskę. Modliłem się, aby nieprzyjaciel, którego miałem przed sobą, okazał się jedynie silnym łupieżczym zagonem, który po gruntownym ograbieniu Aquae Sulis i doliny rzeki z zapasów żywności wycofa się na północ i połączy z Aelle'em i Cerdykiem.

Następnego ranka Sasi nie ruszyli się z doliny; dym obozowych ognisk łączył się z rzezną mgłą. Kiedy opadła, ujrzeliśmy, że przeciwnicy tną drzewa na szałas; miałem przynębiający dowód, iż zamierzają pozostać. Moi ludzie zajęli się karczowaniem stoków, cięli głogi i karłowate brzoźki, za którymi mogli się skryć atakujący nieprzyjaciele. Następnie zwlekli krzaki i drzewa na faszynadę, wzmacniając resztki wału. Kolejnych pięćdziesięciu ludzi cięło drewno na opał po północnej stronie przełęczy i składało go na jednym z wozów, który wcześniej oczyszczono z prowiantu. Przywleczono też masę drewna na nasz długi szałas. Jednak w przeciwieństwie do schronień Sasów, zadaszonych słomą czy darnią, był to tylko wąty szkielet z nieogładzonych palików. Stał między czterema wozami, okryty byle jak gałęziami, niemniej jednak zapewniał wystarczającą osłonę niewiastom i pacholetom.

Pierwszej nocy wysłałem dwóch włóczników. Obaj byli młodymi, jednakże kutymi na cztery nogi łotrzykami. Mieli dotrzeć do Corinium i opowiedzieć Arturowi o naszych tarapatach. Jego pomoc była rzeczą wątpliwą, lecz przynajmniej miał się dowiedzieć, co się z nami dzieje. Przez cały następny dzień z lękiem i grozą w sercu oczekiwałem, iż ujrzę dwóch młodzieńców ciągnionych za saskimi jeźdźcami, lecz znikli bez śladu. Jak się później dowiedziałem, obaj dotarli do Corinium.

Sasi wznosili swoje chatki, a my zbieraliśmy krzewy i drzewka do wzmocnienia wątej ziemnej zapory. Żaden z nieprzyjaciół nie zbliżył się do nas, a my nie zeszliśmy na dół stawić im czoło. Podzieliłem obozowisko na sekcje i do każdej wyznaczyłem oddziałek włóczników. Siedemdziesięciu doświadczonych wojów, śmietanka mojej małej armii, pilnowała południowego odcinka. Młodzież podzieliłem na dwie grupy, każdą u boku doświadczonych wojów, a obronę strony północnej wyznaczyłem Tarczownikom Czarnym, wspieranym przez pospolite ruszenie i strażników z Caer Cadarn i Durnovarii. Dowódcą Tarczowników był pobliźniony prostak imieniem Niall, weteran stu dożynekowych wypadów, którego palce były grube od pierścieni wojowników i który wzniosł własny, zrobiony naprędce sztandar na północnym wale. Na ociosanym z gałęzi pieńku brzozy, wbitym w ziemię, zawiesił kawałek czarnej szmaty, ale ta dziadowska irlandzka flaga miała w sobie jednak coś dzikiego i wyzywającego, co napawało mnie otuchą.

Nadal miałem nadzieję ucieczki. Sasi wznosili schronienia w dolinie rzeki, lecz wzgórze po stronie północnej nęciły mnie, więc drugiego popołudnia zjechałem poniżej sztandaru Nialla, przez siodło między wzniesieniami, i udałem się na grzbiet wzgórz. Wielkie puste wrzosowiska leżały pod pędzącymi chmurami. Eachern, doświadczony woj, któremu wyznaczyłem dowodzenie jednej z grup młodzieńców, ścinających drzewa na wzgórzach, podszedł i zatrzymał się obok mojej klaczy. Ujrzał, że wpatruję się w pustkowia, i odgadł, co chodzi mi po głowie. Splunął.

- Łotry są tam, a są! - rzekł.

- Jesteś pewien?

- Przyjeżdżają i odjeżdżają, panie. Zawsze konni. - Toporem dzierzonym w prawicy wskazał na zachód, gdzie dolina układała się w kierunku północno-zachodnim, obok wrzosowiska. Była gęsto zarośnięta drzewami, tak że widniały tylko liściaste czubki. - Między drzewami jest droga i na niej ciągle myszkują - rzekł Eachern.

- Ona musi prowadzić do Glevum - powiedziałem.

- Pierwej to prowadzi do Sasów, panie - zauważył Eachern. - Łotry są tam, a są! Słyszałem ich topory.

Znaczyło to chyba, że szlak w dolinie zatarasowano ściętymi drzewami. Niemniej jednak wizja ucieczki kusila mnie nadal. Jeśli zniszczylibyśmy zapasy żywności i zostawili wszystko, co mogłoby spowolnić marsz, to może udałoby się nam wyrwać z saskiego pierścienia i dotrzeć do Arturowej armii. Przez cały dzień wyrzuty sumienia dręczyły mnie jak kolec w boku, albowiem moim wyraźnym obowiązkiem było stać przy moim panu i im dłużej przebywałem uwięziony na Mynydd Baddon, tym trudniejsze stawało się wypełnienie go. Zastanawiałem się, czy udałoby się nam pokonać wrzosowiska nocą. Księżyc był w kadrze, świecąc na tyle jasno, że widzielibyśmy drogę, a gdybyśmy poruszali się odpowiednio szybko, z pewnością prześcignęlibyśmy główne siły Sasów. Być może musielibyśmy rozprawić się z garstką konnych, lecz to zadanie nie przekraczało możliwości moich włóczników. Ale co było za wrzosowiskami? Na pewno pagórkowaty teren, pocięty rzekami, wezbranymi po ostatnich ulewach. Potrzebowałem drogi, potrzebowałem brodów i mostów, potrzebowałem łatwego marszu, inaczej dzieci będą zostawać w tyle, włócznicy będą szli wolniej, aby ich ochraniać, i Sasi zjawią się przy nas jak wilki dopędzające stado owiec. Wyobrażałem sobie, iż ucieknę z Mynydd Baddon, ale nie byłem w stanie wyobrazić sobie, iż przebywamy wiele mil dzielących nas od Corinium, unikając ostrzy nieprzyjaciela.

O zmierzchu decyzja, czy zostać, czy uchodzić, została zdjęta z mojej głowy. Nadal rozważałem szybki marsz na północ i miałem nadzieję, że zostawiwszy jasno gorejące

ogniska, może zwiedziemy wroga, lecz wieczorem drugiego dnia przybyły kolejne zastępy Sasów. Pojawili się z północnego wschodu, od strony Corinium. Setka zbrojnych zaroїła się na wrzosowiskach, które miałem nadzieję przeciąć, a potem skręciła na południe, wypędzając moich drwali spomiędzy drzew z powrotem na Mynydd Baddon. Teraz byliśmy w prawdziwym potrzasku.

Usiadłem z Ceinywn przy ognisku.

- To przypomina mi noc na Ynys Mon - powiedziałem.

- Też o tym myślałam - rzekła.

Tamtej nocy odkryliśmy Kocioł z Clyddno Eiddyn i kuliliśmy się między wielkimi głazami, zewsząd otoczeni przez jeźdźców Diwrnacha. Nikt z nas nie spodziewał się przeżyć, lecz wtem Merlin ocknął się ze snu śmierci i zaczął ze mnie szydzić: „Zdaje się, że jesteśmy okrążeni? - zapytał. - I przewaga liczebna jest po stronie wroga? - Potwierdziłem jedno i drugie, a Merlin uśmiechnął się. - I ty nazywasz siebie przywódcą wojowników?”

- Wpakowałeś nas w niezłe tarapaty - powiedziała Ceinwyn, za Merlinem, i uśmiechnęła się do wspomnień, a potem westchnęła. Wskazała na kobiety i dzieci przy ogniskach. - Gdybyśmy nie byli z tobą, co byś uczynił?

- Udał się na północ. Tam wydał bitwę. - Skinąłem w kierunku saskich ognisk, płonących na wzniesieniu za przełęczą - i szedł dalej na północ. - Nie byłem do końca pewien, czybym tak uczynił, ucieczka bowiem oznaczałaby konieczność porzucenia każdego rannego w bitwie o grzbiet wzgórza, ale reszta, nieobciążona kobietami i dziećmi, z pewnością wymknęłaby się saskiej pogoni.

- Załóżmy - odezwała się cicho Ceinwyn - że poprosiłbyś Sasów o bezpieczne przejście dla niewiast i dzieci?

- Zgodziliby się, a kiedy tylko znaleźlibyście się poza zasięgiem naszych włóczy, pojmaliby was, kobiety zgwałcili i pozabijali, a dzieci uprowadzili w niewolę.

- W takim razie to nie za dobry pomysł, prawda? - zapytała łagodnie.

- Nie za dobry.

Położyła głowę na moim ramieniu, starając się nie obudzić Seren, śpiącej z głową na jej podołku.

- Jak długo więc możemy się utrzymać? - spytała.

- Mogę się zestarzeć na Mynydd Baddon, byle nie wysłali do ataku więcej niż stu żołnierzy.

- A nie wyślą?

- Pewnie nie - skłamałem i wiedziała, że kłamię. Oczywiście, szykowali się wysłać więcej żołnierzy. Nauczyłem się, że na wojnie nieprzyjaciół czyni zwykle to, czego się najbardziej lęka, i również ten z pewnością szykował się posłać każdego włócznika, którym dysponował.

Ceinwyn leżała chwilę w milczeniu. Psy szczekały pośród odległych saskich ognisk, ich głosy niosły się wyraźnie w nocnej ciszy. Odpowiedziały im nasze psy i mała Seren poruszyła się we śnie. Ceinwyn pogłaskała córeczkę po głowie.

- Jeśli Artur jest w Corinium, to dlaczego Sasi przybyli w to miejsce? - spytała cicho.

- Nie wiem.

- Myślisz, że wreszcie udadzą się na północ i połączą z główną armią?

Tak mi się wcześniej wydawało, ale przybycie następnych Sasów rozwiało te nadzieje. Teraz z kolei podejrzewałem, iż stoimy w obliczu dużego oddziału, którego zamiarem jest obejście Corinium od południa, szerokim łukiem między wzgórzami, i pojawienie się w Glevum, tak by zagrozić tyłom Artura. Nie znajdowałem żadnego innego wytłumaczenia obecności Sasów w dolinie Aquae Sulis, ale jeśli miałem rację, to dlaczego zaprzestali marszu? Wznosili chaty, co sugerowało, iż zamierzają nas oblegać. W takim razie wyświadczaliśmy Arturowi przysługę. Zatrzymywaliśmy spory oddział wroga z dala od Corinium, chociaż, jeśli słusznie ocenialiśmy ich liczbę, to Sasi mieli aż nadto żołnierza do pokonania zarówno Artura, jak i nas.

Ceinwyn i ja zamilkliśmy. Tarczownicy Czarni zaczęli pieśń, a kiedy ją ukończyli, moi ludzie odpowiedzieli wojennym hymnem Illtyddu. Pyrlig akompaniował im na harfie. Znalazł skórzany napierśnik i uzbroił się w tarczę i włócznię, ale zbroja wyglądała dziwnie na jego chudej postaci. Miałem nadzieję, że nigdy nie przyjdzie mu odłożyć harfy i użyć włóczni, oznaczałoby to bowiem kres wszelkich nadziei. Wyobraziłem sobie Sasów mrowiących się na szczycie wzgórza, ryczących z uciechy na widok takiej liczby kobiet i dzieci, ale siłą woli odrzuciłem tę straszliwą wizję. Musieliśmy zostać przy życiu, musieliśmy obronić nasze wały, musieliśmy zwyciężyć.

Następnego rana wyszedłem pod powałę szarych chmur i, chłostany odświeżającymi bryzgami deszczu, które niósł zachodni wiatr, przywdziałem rynsztunek bojowy. Był ciężki i celowo nie wkładałem go aż do tej chwili, ale przybycie saskich posiłków przekonało mnie, iż będziemy skazani na bój, tak więc, chcąc wlać otuchę w serca moich żołnierzy, postanowiłem ukazać się im i wrogowi w najświetniejszej zbroi. Najpierw lniana koszula i wełniane portki, na to skórzana tunika sięgająca do kolan; skóra była dość gruba, by zatrzymać cięcie mieczem, chociaż nie pchnięcie włócznią. Na tunikę wdziałem cenną rzymską kolczugę, tak

wypolerowaną przez moich niewolników, że aż lśniła. Kraj kolczugi, kołnierz i rękawy były obrębione złotem. To była droga kolczuga, jedna z najbogatszych w Brytanii, i wykuta tak zacnie, że przebić ją mogło tylko prawdziwie wściekle pchnięcie włóczni. Buty do kolan trzymały się na paskowych nagolenicach z brązu, mogących odeprzeć ostrza, tnące zdradnie poniżej muru tarcz, a rękawice do łokci miały płyty żelaza ochraniające przedramiona. Hełm ozdobiono srebrnymi smokami, wspinającymi się ku złotemu stożkowi, do którego przypiąłem wilczą kitę. Hełm schodził mi na oczy, miał nakarczek i srebrne policzki na zawiasach, tak że nieprzyjaciel nie widział twarzy, lecz okrytego metalem zbójcę z dwiema czarnymi dziurami w miejsce oczu. To była bogata zbroja wielkiego dowódcy i służyła temu, żeby tchnąć lęk w serca wroga. Przypiąłem pas z Hywelbane'em, zarzuciłem opończę na ramiona i wybrałem najcięższą bojową włócznię. Następnie, przyodziany do bitwy i z tarczą na plecach, obszedłem pierścień wałów Mynydd Baddon, aby wszyscy moi ludzie i przypatrujący się nieprzyjaciele mogli mnie ujrzeć i dowiedzieć się, że przywódca wojowników czeka na bój. Zakończyłem obchód u południowego czubka wałów i tam, wysoko nad wrogiem, uniosłem kolczugę i skórzany kaftan, sikając w kierunku Sasów.

Nie wiedziałem, że Ginewra jest blisko, dopiero jej śmiech wielce zbił mnie z tropu, psując moją drobną demonstrację. Przerwała moje przeprosiny.

- Świetnie się prezentujesz, Derflu - rzekła.

Odchyliłem policzki hełmu.

- Miałem nadzieję, że nigdy więcej nie włożę tej zbroi, pani - powiedziałem.

- Jakbym słyszała Artura - odparła na to kwaśno, a potem obesła mnie, podziwiając paski srebra nabite na tarczę i tworzące gwiazdę Ceinwyn. - Nigdy nie mogłam pojąć - stanęła znów przede mną - czemu zwykle ubierasz się jak świniarczyk, a na wojnę przywdziewasz tak wspaniałe okrycie.

- Daleko mi do świniarczyka! - zaprotestowałem.

- Przynajmniej do mojego, bo nie znoszę wokół siebie brudasów, nawet jeśli opiekują się świniami, tak więc mój świniarczyk ma nakazany schludny przyodziewek.

- Kąpałem się zeszłego roku - protestowałem.

- Tak niedawno...! - rzekła, udając, że wywarło to na niej niezwykle wrażenie. Miała przy sobie łuk myśliwski i kołczan pełen strzał. - Jeśli Sasi przybędą, zamierzam wysłać dusze niektórych w zaświaty.

- Jeśli przybędą - powiedziałem, wiedząc, że to nieuniknione - zobaczycie, pani, jedynie hełmy oraz tarcze i zmarnujecie strzały. Zaczekajcie, aż wysuną głowy, nacierając na nasz mur tarcz, a wtedy celujcie w oczy.

- Nie zmarnuję strzał, Derflu - obiecała z zawziętością w głosie.

Pierwsze zagrożenie pojawiło się z północy. Świeżo przybyli Sasi uformowali szyk między drzewami, nad przełęczą, oddzielającą Mynydd Baddon od wzgórz. Tryskało tam nasze najobfitsze źródło i być może zamierzali je nam odebrać, tuż po południu bowiem mur tarcz przesunął się do dolinki. Niall przyglądał się im z wału.

- Osiemdziesięciu ludzi - oznajmił mi.

Poprowadziłem Issę i pięćdziesięciu żołnierzy na północny wał. Było nas aż za dużo do odparcia Sasów, z trudem wdrapujących się pod górę, ale niebawem stało się jasne, że nie palą się do ataku, jedynie zamierzają nas zwabić do przełęczy, gdzie mogliby się bić w wygodniejszych dla siebie warunkach. I niewątpliwie kiedy tylko znaleźlibyśmy się w dole, następni Sasi wypadliby zza drzew, zamykając potrzask.

- Zostać na miejscach - rozkazałem swoim. - Nie schodzić na dół! Zostać!

Sasi szydzili z nas. Niektórzy na tyle znali język Brytów, aby wyzywać nas od tchórzy, bab czy robaków. Czasami jakaś grupka wspinała się do połowy stoku, zachęcając nas do złamania szyku i zbiegnięcia w dół, lecz Niall, Issa i ja postaraliśmy się, by nasi ludzie nie stracili głowy. Saski czarownik wbiegł na mokre zbocze. Szurał nogami, ruchy miał krótkie, nerwowe, nieprzerwanie wykrzykiwał zaklęcia. Był nagi pod szubą z wilczych skór, a włosy, pomazane krowim łajnem, tworzyły mu na łbie wysoki szpic. Przeklinał nas piskliwym głosem, zawodził, ciskał zaklęcia, a w końcu rzucił w naszym kierunku garść kostek, lecz nadal nikt nie poruszył się na wale. Splunął trzykrotnie i dygocąc, zbiegł do przełęczy. Stojący tam saski wódz usiłował nakłonić kogoś z nas do pojedynku. Był to wielgachny mąż o zmierzwionej tłustej czuprynie jasnych, ale brudnych włosów, zwisających poniżej bogatego złotego naszyjnika. W brodę wplótł czarne wstążki, nosił żelazny kirys, nagolenice ze zdobionego rzymskiego brązu, a na tarczy namalował wilka szczerzącego kły. Na jego hełmie pyszniły się dwa bycze rogi, a wieńczyła go wilcza czaszka z wieloma czarnymi wstążkami. Do ramion i ud przywiązał sobie paski czarnego filtra, w dłoni dzierżył obosieczny topór bojowy, u pasa miał długi miecz i krótki szeroki nóż, zwany saex; to właśnie od tej broni Sasi przybrali swe miano. Przez jakiś czas domagał się, aby sam Artur zszedł na dół i z nimi walczył, a kiedy się tym znużył, wyzwał do walki mnie, zwał tchórzem, niewolnikiem o zajęczym sercu i synem trędowatej kurwy. Mówił to w swoim języku, tak że żaden z moich żołnierzy go nie rozumiał, więc puszczałem jego słowa mimo uszu.

W południe, kiedy deszcz ustał i Sasi znudzili się nawoływaniem nas do bitwy w przełęczy, przyprowadzili trójkę pojmanych dzieci. Były bardzo małe, zaledwie pięcio-, sześćioletnie. Przystawili każdemu do gardła saex.



- Złaź! - zaryczał potężny wódz. - Albo one umrą!

Issa popatrzył na mnie.

- Dajcie mi zejść, panie - poprosił.

- To moja część wału - upierał się Niall, dowódca Tarczowników Czarnych. - Ja oskóruję tego drania.

- To moje wzgórze - rzekłem. To było nie tylko moje wzgórze, był to również mój obowiązek, wziąć udział w pierwszym pojedynku tej bitwy. Król może wysłać do walki swojego czempiona, lecz dowódca wojskowy nie ma interesu posyłać swoich żołnierzy tam, gdzie sam by nie poszedł, tak więc opuściłem policzki hełmu, dotknąłem świńskiej kości w rękójści Hywelbane'a, a potem wymacałem pod kolczugą guzek broszy Ceinwyn. Tak dodawszy sobie ducha, przelazłem przez naszą prowizoryczną palisadę i z wolna ruszyłem w dół.

- Ty i ja! - krzyknąłem do wysokiego Sasa w jego mowie i wskazałem włócznią pacholęta. - Za ich życie.

Sasi wydali entuzjastyczny wrzask, wreszcie bowiem zwabili jednego Bryta. Wycofali się, zabierając ze sobą dzieci, i zostawili przełęcz swojemu czempionowi i mnie. Potężny Sas uniósł wielki topór w lewej ręce i splunął na jaskry porastające murawę.

- Dobrze władasz naszą mową, świnió - przywitał mnie.

- To mowa świń - rzekłem.

Wyrzucił wysoko w powietrze topór, który zawirował, odbijając blade słońce, usiłujące przebić się przez chmury. Drzewce topora było długie, dwustronne żeleźce ciężkie, ale złapał go lekko. Większość mężczyzn z trudem uniosłaby taki oręż, nawet przez krótki czas, co dopiero podrzucała go i łapała, lecz Sas igrał nim z największą swobodą.

- Artur nie odważył się zejść i walczyć, w takim razie zamiast niego zabiję ciebie - oświadczył.

Ta uwaga o Arturze zdziwiła mnie, ale nie moim zadaniem było wyprowadzać z błędu nieprzyjaciela, który widocznie uważał, iż Artur przebywa na Mynydd Baddon.

- Artur ma lepsze zajęcia niż rozgniatanie robactwa - powiedziałem. - Tak więc nakazał mi cię zarznąć i pochować twojego tłustego trupa nogami skierowanymi na południe, tak abyś po wieczne czasy błakał się samotny i cierpiący, nie mogąc znaleźć waszych zaświatów.

Splunął.

- Kwiczysz jak kulawy wieprz.

Te wyzwiska były częścią rytuału podczas pojedynków. Artur ganił jedno, jak i drugie, uważając, że obelgi to strata oddechu, a pojedynki energii, ale nie miał obiekcji przeciwko walce z wrażym czempionem. Takie starcie miało swój cel. Gdybym zabił tego człeka, wielce podniosłoby to na duchu mój oddział, a Sasi uznaliby tę śmierć za straszliwy omen. Ryzykowałem przegraną, ale w tamtych czasach byłem pewny siebie. Sas był o całą dłoń wyższy ode mnie i o wiele szerszy w barach, lecz wątpiłem w jego szybkość. Wyglądał na męża, który pokłada zaufanie w swej sile, podczas gdy ja szczyłem się zarówno siłą, jak i sprytem. Spojrzał na nasz wał, zatłoczony teraz wojownikami i niewiastami. Nie było tam Ceinwyn, ale Ginewra wyróżniała się wzrostem i urodą między zbrojnymi.

- To twoja kurwa? - spytał, wskazując ją toporem. - Dziś w nocy będzie moja, robalu.  
- Podeszedł dwa kroki, tak że dzieliło nas ich już tylko kilkanaście. Znów wyrzucił w powietrze wielki topór.

Pobratymcy Sasa wiwatowali na jego cześć z północnego stoku, moi żołnierze serdecznie dodawali mi ducha z wałów.

- Jak się boisz, to dam ci czas, żebyś się wysrał - powiedziałem.

- Wysram się na twojego trupa - rzucił mi z wściekłością w twarz.

Rozważałem, czy skończyć z nim włócznią, czy Hywelbane'em, i uznałem, iż ta pierwsza broń będzie szybsza, byle tylko nie zdążył sparować grotu. Było jasne, że zaatakuje lada chwila, zaczął bowiem wymachiwać toporem, kreśląc w powietrzu zawile oślepiające linie, i podejrzewałem, że odrzuci tarczą włócznią, a potem wbije mi topór w kark.

- Zwę się Wulfger - rzekł ceremonialnie. - Wódz plemienia Sarnaedów ludu Cerdyka i ta ziemia będzie moja.

Przerzuciłem tarczę na prawe ramię i wziąłem włócznię do lewicy. Nie owinąłem rzemieni tarczy wokół prawego przedramienia, jeno ująłem mocno drewniany imacz. Wulfger z Samaedów był leworęczny, tak więc jego topór zagrażał mojej odsłoniętej - prawej - stronie, jeśli trzymałbym tarczę jak zwykle. Nie władałem tak sprawnie lewicą jak prawicą, ale przeczuwałem, że mogę zakończyć szybko tę walkę.

- Zwę się Derfel, syn Aelle'a, króla Anglów - rzekłem ceremonialnie. - I to ja jestem tym mężem, który zostawił bliznę na policzku Liofy.

Moja przechwałka miała wytrącić go z równowagi i pewnie poskutkowało, ale niewiele po sobie pokazał. Ryknął nagle i runął do ataku, a jego ludzie wydali ogłuszający krzyk zachęty. Topór świsnął w powietrzu; Wulfger zamierzał odrzucić tarczą moją włócznię i szarżował jak byk, lecz ja cisnąłem mu swoją tarczę w pysk. Wyrzuciłem ją bokiem, tak że poleciała ku niemu, wirując - kawał drewna obwiedzonego metalem.

Na widok ciężkiego dysku, lecącego błyskawicznie w jego twarz, musiał osłonić się własną tarczą i wstrzymać gwałtowny ruch topora. Usłyszałem brzęk tarczy o tarczę, ale już opadłem na jedno kolano, opuszczając włócznię i kierując ją w górę. Wulfger z Sarnaedów szybko sparował moją tarczę, ale nie potrafił powstrzymać własnego rozpędu ani opuścić na czas swojej, tak że wpadł prosto na długi, twardy, ostry grot. Mierzyłem w brzuch, w to miejsce tuż poniżej żelaznego napierśnika, gdzie jedyną osłoną był gruby skórzany kaftan; moja włócznia przeszła przez skórę, jak igła przechodzi przez lniane płótno. Podniosłem się, gdy ostrze sunęło przez tę skórę zwierzęcia, skórę Wulfgera, jego mięśnie i zagłębiło się w podbrzuszu. Obróciłem drzewce, wydając okrzyk bojowy na widok opadającego żelźca topora. Pchnąłem jeszcze raz, dalej i dalej we flaki Sasa, i po raz drugi przekręciłem grot w kształcie liścia, a Wulfger z Sarnaedów rozdziawił usta, kiedy wpatrywał się mnie, i ujrzałem, że zgroza zagościła w jego oczach. Usiłował wznieść topór, ale straszliwy ból w brzuchu był mu wszystkim, a nogi zrobiły się miękkie jak lód topiony marcowym słońcem; zachwiał się. Powietrze stanęło mu w gardle i padł na kolana.

Wypuściłem z rąk włócznię, cofnąłem się i dobyłem Hywelbane'a.

- To nasza ziemia, Wulfgerze z Sarnaedów! - rzekłem na tyle głośno, że słyszeli mnie moi żołnierze. - I pozostanie nasza. - Zadałem jeden cios, ale na tyle mocny, że ostrze rozorało kołtun na karku i werżnęło się w kręgosłup.

Padł martwy, zabity w mgnieniu oka.

Złapałem włócznię, wsparłem stopę na brzuchu Wulfgera i wyszarpnąłem oporny grot. Pochyliłem się i zerwałem wilczą czaszkę z hełmu. Uniosłem poźółkłe kości w kierunku naszych nieprzyjaciół, a następnie cisnąłem je na ziemię i rozdeptałem na kawałki. Rozpiąłem trupowi naszyjnik, odebrałem tarczę, topór i nóż i pomachałem tymi trofeami w kierunku Sarnaedów, którzy stali w głuchym milczeniu. Moi ludzie tańczyli i wyli z radości. Na końcu pochyliłem się i odpiąłem ciężkie brązowe nagolenice, ozdobione wizerunkami mego boga, Mitry.

Wyprostowałem się, dzierżąc łup.

- Poślijcie dzieci na górę! - krzyknąłem ku Sasom.

- Chodź i zabierz je! - odwrzasnął jeden z nich i szybkim ruchem poderżnął dziecięce gardło. Pozostałych dwoje zaczęło krzyczeć, ale też je zabito i Sasi splunęli na małe trupy. Przez chwilę myślałem, że moi ludzie stracą nad sobą panowanie i rzucają się ku przełęczy, lecz Issa i Niall zatrzymali ich na wale. Splunąłem na trupa Wulfgera, szyderczym okrzykiem pożegnałem zdradzieckich wrogów i udałem się z trofeami w górę wzgórze.

Tarczę Wulfgera dałem jednemu z pospolitego ruszenia, nóż Niallowi, a topór Issie.

- Nie używaj go w boju, ale możesz nim ścinać drwa - powiedziałem.

Złoty naszyjnik zaniósłem Ceinwyn, lecz potrząsnęła przecząco głową.

- Nie lubię złota z trupów - rzekła. Tuliła nasze córki i widziałem, że wcześniej płakała. Nie była kobietą zdradzającą uczucia. Jako dziecko nauczyła się, że może wzbudzić przychylność swojego straszliwego ojca, okazując dobry humor, i ta maska wesołego usposobienia stała się jej drugą naturą, lecz teraz nie była w stanie ukryć przygnębienia. - Mogłeś zginąć! - wykrzyknęła.

Nie miałem niczego do powiedzenia, więc tylko przykucnąłem obok niej, zerwałem garść trawy i ścierałem krew z ostrza Hywelbane'a. Ceinwyn uniosła brwi.

- Zabili tamte dzieci?

- Tak.

- Kim one były?

Wzruszyłem ramionami.

- Kto wie? Po prostu dziećmi porwanymi w czasie najazdu.

Westchnęła i pogładziła jasne włosy Morwenny.

- Musiałeś walczyć?

- Wolałabym, żebyś posłał Isse?

- Nie - przyznała.

- W takim razie tak, musiałem walczyć - rzekłem, chociaż po prawdzie pojedynek sprawił mi przyjemność. Tylko głupiec pragnie wojny, ale kiedy już wybuchnie, nie można prowadzić jej bez entuzjazmu. Nie da się jej nawet prowadzić z żalem. Musi jej towarzyszyć dzika uciecha zrodzona z pogwałcenia wroga i ta dzika uciecha sprawia, że największe pieśni naszych bardów opiewają miłość i wojnę. My, wojowie, ubieramy się do boju, jakbyśmy stroili się do miłości; przybieramy się krzykliwie, nakładamy na się złoto, umieszczamy grzebienie z piór na srebrnych hełmach, stąpamy, pyszniąc się jak pawie, przechwalamy się i kiedy śmiertelne ostrza są coraz bliżej, czujemy się tak, jakby krew bogów napływała w nasze żyły. Mężczyzna winien kochać pokój, lecz jeśli nie potrafi walczyć całym sercem, wtedy nie zakosztuje pokoju.

- Co byśmy zrobili, gdybyś zginął? - spytała Ceinwyn, przypatrując mi się, kiedy przypinałem świetne nagolenice Wulfgera.

- Spaliłabym moje ciało, miłości moja - rzekłem. - Posłałabym moją duszę na spotkanie z Dian. - Ucałowałem ją, po czym zaniósłem złoty naszyjnik Ginewrze, która była zachwycona podarkiem. Wraz z wolnością straciła wszystkie klejnoty i chociaż nie miała upodobania do ciężkiej ręki saskich złotników, włożyła naszyjnik.

- Podobała mi się walka - rzekła, wyrównując na sobie złote płytki. - Chcę, żebyś nauczył mnie trochę saskiego, Derflu.

- Oczywiście.

- Przekleństw. Chcę dać im w kość. - Roześmiała się. - Ordynarnych przekleństw, Derflu, najbardziej ordynarnych, jakie znasz.

I zapowiadało się, że Ginewra będzie miała aż nadto okazji do obrzucania Sasów przekleństwami, do doliny przybywali bowiem następni włócznicy. Żołnierze z południowej strony wezwali mnie i kiedy stanąłem pod naszymi dwoma sztandarami, ujrzałem dwa długie węże włóczników, schodzące wschodnimi pagórami ku nadrzecznym łąkom.

- Pojawili się niedawno - rzekł Eachern. - I nie ma im końca.

Tak było. To nie przybywał oddział, lecz cała armia, horda, maszerował cały lud. Mężowie, niewiasty, zwierzęta i dziatwa, wszystko to wylewało się zza wschodnich wzgórz w dolinę Aquae Sulis. Włócznicy maszerowali długimi kolumnami, a między nimi stada bydła, owiec i zmęczone szeregi kobiet i dzieci. Po bokach jechali pojedynczy konni, a całe oddziały skupiły się wokół sztandarów, oznaczających przybycie saskich królów. Nie była to jedna armia, lecz dwie, połączone siły Cerdyka i Aelle'a, które zamiast zetrzeć się z żołnierzami Artura w dolinie Tamizy, przybyły tu, do mnie, a ich ostrza były liczne niczym gwiazdy na wielkim pasie niebios.

Przez godzinę obserwowałem, jak nadciągają. Eachern miał rację. Nie było im końca. Dotknąłem kości w rękojęści Hywelbane'a i wiedziałem lepiej niż kiedykolwiek, że jesteśmy zgubieni.

Tamtej nocy światła saskich ognisk były jak konstelacje upadłe w dolinę Aquae Sulis; blask obozowych palenisk sięgał daleko na południe i głęboko na zachód, wskazując, że obozowiska nieprzyjaciela ciągną się wzdłuż rzeki. Następne ogniska płonęły na wschodnich pagórkach, tam gdzie znajdowała się straż tylna Sasów, lecz o świcie i ona zeszała w dolinę.

Poranek był chłodny, chociaż dzień zapowiadał się ciepły. O wschodzie słońca, kiedy dolina nadal spoczywała w mroku, dym saskich ognisk mieszał się z rzeczna mgłą, tak że Mynydd Baddon wydawał się zieloną słoneczną łodzią, unoszącą się na groźnym szarym morzu. Spałem źle, bo jedna z niewiast rodziła nocą i jej krzyki nie dawały mi spokoju. Płód był martwy i Ceinwyn rzekła mi, że powinien przyjść na świat dopiero za trzy, cztery miesiące.

- Myślą, że to zły znak - dodała zachmurzona.

Pewnie mieli rację, ale nie ośmieliłem się wyznać tego na głos. W tej sytuacji robiłem dobrą minę do złej gry.

- Bogowie nie porzucą nas - powiedziałem.

- To Terfa. Miałaby pierwsze dziecko. Chłopca. Był bardzo malutki. - Zawahała się i smutno uśmiechnęła do mnie. - Ludzie boją się, że bogowie porzucili nas w Samain.

Mówiła głośno to, czego sam się lękałem, lecz znów nie miałem odwagi tego wyznać.

- Wierzysz w to? - zapytałem.

- Nie chcę w to wierzyć. - Zastanawiała się nad czymś i już miała mi coś powiedzieć, kiedy okrzyk z południowego wału przerwał nam rozmowę.

Nie poruszyłem się i wołanie rozległo się powtórnie. Ceinwyn położyła mi rękę na ramieniu.

- Idź - rzekła.

Pobiegłem na wał i zastałem Issę, który miał ostatnią wartę. Wpatrywał się w zadymione cienie w dolinie.

- Jakiś tuzin łotrów - oznajmił mi.

- Gdzie?

- Widzicie, panie, żywopłot? - Wskazał nagi stok, na którym kwitnący biało żywopłot głogowy rozgraniczał podstawę wzgórza i początek uprawnych ziem doliny. - Tam są. Widziałem, jak biegają przez pszenicę.

- Po prostu nas obserwują - rzekłem kwaśno, zły, że oderwano mnie od Ceinwyn z powodu byle drobiazgu.

- Nie wiem, panie. Tam dzieje się coś dziwnego. Patrzcie! - Znów pokazał ręką i ujrzałem, jak grupa włóczników przełazi przez żywopłot. Przykucnęli po naszej stronie i wyglądało na to, iż raczej oglądają się za siebie, niż patrzą ku nam. - Dezerterzy? - głośno zastanawiał się Issa. - Niemożliwe!

Zaiste wydawało się dziwne, aby ktokolwiek mógł porzucić ogromną saską armię i chciał przyłączyć się do marnej garstki obleganych, lecz Issa miał rację, kiedy bowiem jedenastu mężów znalazło się w połowie drogi na szczyt, ostentacyjnie obrócili tarcze w dół. Saskie warty dojrzały wreszcie zdrajców i zastęp nieprzyjacielskich włóczników rzucił się za nimi w pogoń, ale zbiegła jedenastka była już tak daleko, że dotarła do nas bez szwanku.

- Jak do nas dojdą, sprowadź ich do mnie - rozkazałem Issie i powróciłem na środek obozu, gdzie przywdziałem kolczugę i przypasałem Hywelbane'a.

- Dezerterzy - wyjaśniłem Ceinwyn.

Issa przyprowadził ich przed moje oblicze. Wpierw poznałem tarcze, był na nich bowiem Lancelotowy rybołów z ofiarą w szponach, a dopiero potem rozpoznałem Borsę, kuzyna i czempiona Lancelota. Nerwowo uśmiechnął się na mój widok, a gdy wyszczerzyłem zęby od ucha od ucha, rozluźnił się.

- Witaj, szlachetny Derflu - przywitał mnie. Jego szeroka twarz rumieniła się od wspinaczki i pierś pracowała jak miech.

- Witaj, szlachetny Borsie - rzekłem ceremonialnie, po czym go uściskałem.

- Jak mam umrzeć, to raczej po swojej stronie. - Wymienił imiona swoich włóczników, których przyprowadził, samych Brytów, służących niegdyś Lancelotowi, niechętnych Sasom.

Uklonili się Ceinwyn i usiedli, podczas gdy przynoszono im chleb, miód i soloną wołowinę. Jak mówili, Lancelot przyszedł z północy, łącząc się z Aelle'em i Cerdykiem, a teraz wszystkie saskie oddziały były zjednoczone w dolinie pod nami.

- Ponad dwa tysiące ludzi, jak mi się zdaje - rzekł Bors.

- Ja mam niecałe trzy setki.

Bors skrzywił się.

- Ale Artur jest tu, prawda?

Potrząsnąłem głową.

- Nie.

Wpatrywał się we mnie z gębą pełną jedzenia.

- Nie ma go tu? - wystękał wreszcie.

- O ile wiem, jest gdzieś na północy.

Przełknął to, co miał w ustach, i zaklął cicho.

- No to kto tu jest? - zapytał.

- Tylko ja. - Zatoczyłem ręką łuk, wskazując na wzgórze. - I ci, których widzisz.

Podniósł róg pełen miodu i pociągnął tęgi łyk.

- To widzi mi się, że umrzemy - rzekł ponuro.

Myślał, że Artur jest na Mynydd Baddon. Powiedział nam, że tak Cerdyk jak i Aelle wierzą, iż Artur tkwi na tym wzgórzu, i dlatego maszerowali na południe od Tamizy do Aquae Sulis. Saski oddział, przed którym uciekliśmy na Mynydd Baddon, ujrzawszy barwy Artura na wałach, zawiadomił o jego obecności saskich królów, którzy szukali go z kolei u górnego biegu Tamizy.

- Łotry znają wasze plany - ostrzegł mnie Bors. - Wiedzą, że Artur chciał walczyć pod Corinium, ale nie mogli go tam odnaleźć. Tak więc chcą go dopaść, zanim Cuneglas się z nim połączy. Zdaje im się, że jak zabiją Artura, reszta Brytanii straci ducha.

Lecz Artur, sprytny Artur, podsunął Cerdykowi i Aelle'owi przynętę i sascy królowie skierowali swe potężne siły na południe i nakazali Lancelotowi dołączyć do nich.

- Masz jakieś wieści o Culhwchu? - spytał Bors.

- Jest gdzieś tam - rzekł ogólnikowo, wskazując na południe. - Nie natrafiliśmy nigdzie na jego ślad.

Zesztywniał nagle i kiedy się rozejrzałem, zorientowałem się, że obserwuje nas Ginewra. Pozbyła się więziennego przyodziewku i była ubrana w skórzany kaftan, wełniane portki i długie buty; w męski strój, który zwykła przywdziewać na polowanie. Później dowiedziałem się, że znalazła ten ubiór w Aquae Sulis i chociaż był lichej, jakoś natchnęła go elegancją. Na szyi miała saską ozdobę, na plecach kołczan ze strzałami, w ręku łuk myśliwski, a u pasa krótki nóż.

- Witaj, szlachetny Borsie - przywitała lodowato czempiona swojego byłego kochanka.

- Witajcie, pani. - Bors wstał i skłonił się niezdarnie.

Spojrzała na jego tarczę, na której nadal były Lancelotowe insygnia, po czym uniosła brew.

- Tobie też się znudził? - zapytała.

- Jestem Brytem, pani - powiedział sztywno.

- I do tego dzielnym Brytem - rzekła ciepło. - Myślę, że mamy szczęście, mogąc przywitać cię w naszych szeregach.

W jej słowach była całkowita słuszność i Bors, zażenowany tym spotkaniem, nagle rozkrochmalił się, mile połechtany. Zamruczał coś, że raduje się wielce z tego spotkania, lecz nie był mężem, który umiałby pleść komplementy, i spiekł raka.

- Czy wolno mi się spodziewać, że twój dawny pan jest z Sasami? - spytała go Ginewra.

- Jako żywo, pani.

- W takim razie oby bogowie sprawili, żeby wszedł w zasięg mojego łuku.

- Możecie się tego nie doczekać, pani - rzekł Bors, znając niechęć Lancelota do narażania się na niebezpieczeństwo. - Ale zanim dzień dobiegnie końca, wielu Sasów wejdzie wam na cel.



I miał rację, w dole bowiem, tam gdzie resztki mgły nikły w promieniach słońca, zbierała się saska horda. Cerdyk i Aelle, nadal wierząc, iż ich największy wróg utknął w pułapce na Mynydd Baddon, szykowali się do natarcia. Nie miał to być subtelnie pomyślany manewr, ponieważ żadni włócznicy nie grupowali się na skrzydłach, lecz zapowiadało się proste ordynarne uderzenie, łupnięcie kowalskim młotem w południowy wał. Setki wojów zbierały się do ataku, żeleźca włóczni w ciasnych szeregach połyskiwały w słońcu poranka.

- Ilu ich tam jest? - zapytała Ginewra.

- Zbyt wielu, pani - rzekłem ponuro.

- Połowa armii - powiedział Bors, wyjaśniając, że, w mniemaniu saskich królów, Artur i jego najlepsi żołnierze są otoczeni na wzgórzu.

- Więc oszukał ich? - spytała Ginewra, nie bez dumy w głosie.

- Raczej my ich oszukaliśmy - rzekłem, wskazując sztandar Artura łopocący w powiewie.

- Więc teraz my musimy ich pobić - odparła krótko Ginewra, chociaż jak mieliśmy tego dokonać, nie potrafiłem rzec. Nigdy od tamtej ponurej nocy na Ynys Mon, kiedy byłem otoczony przez Diwrnacha i jego ludzi, nie czułem się tak bezradny, ale wtedy miałem za sprzymierzeńca Merlina i jego czary sprawiły, że wydostaliśmy się z pułapki. Teraz nie wspierała mnie magia i nie mogłem się spodziewać niczego poza zagładą.

Obserwowałem saskich wojów gromadzących się wśród młodej pszenicy. Czarownicy tańcowali wzdłuż szeregów, a wodzowie obsypywali obelgami włóczników. Żołnierze w pierwszych liniach jako tako zachowywali szyk bitewny, ale reszta towarzystwa to musiało być pospolite ruszenie, fyrd, jak Sasi go nazywali, i wciąż się rozłaziła. Niektórzy szli do rzeki, inni wracali do obozu i z naszego stanowiska mogło się wydawać, że mamy pod sobą pasterzy, usiłujących zebrać ogromny kierdel; ledwo jedna część armii ustawiła się w szyku, druga szła w rozsypkę i znowu wszystko odbywało się w koło Macieju, a przez cały czas dudniły saskie bębny. Walili drewnianymi palami w wielkie wydrążone kłody i ten puls śmierci odbijał się echem od przeciwległych lesistych stoków doliny. Sasi pewnie złopali też piwo, szukając w nim odwagi, koniecznej do marszu na nasze włócznie. Część moich żołnierzy nie różniła się pod tych względem od wroga. Potępiałem pijaństwo przed bitwą, ale zabraniać żołnierzom pić to jak zabraniać psu szczekać, i wielu moich ludzi nie mogło obejść się bez miodu, rozniecającego ogień w brzuchu. Umieli liczyć nie gorzej ode mnie i widzieli, że tysiąc wojowników idzie do natarcia na niecałe trzysta.

Bors poprosił mnie o ustawienie jego oddziałku w środku naszej linii i zgodziłem się. Życzyłem mu szybkiej śmierci, od topora lub włóczni, gdyby bowiem został wzięty żywcem,

umierałby długo i strasznie. Jego ludzie oczyścili tarcze do gołego drewna, pozbywając się znaku Lancelota, i teraz pili miód, a ja nie miałem o to do nich pretensji.

Issa był trzeźwy i przybity.

- Zgniotą nas, panie - oświadczył.

- Masz rację - powiedziałem i żałowałem, iż nie mogę rzec czegoś bardziej pożytecznego, ale po prawdzie nie byłem w stanie oderwać oczu od szykującego się wroga. Czułem bezradność, bo nie wiedziałem, jak mógłbym odeprzeć atak. Nie wątpiłem, że moi żołnierze potrafią stawić czoło najlepszym saskim włócznikom, ale mogłem ustawić szyk nie dłuższy niż na sto kroków, a tymczasem wyglądało na to, że Sasi natrą na froncie trzy razy dłuższym. Będziemy walczyć w centrum, będziemy zabijać, a nieprzyjaciel oskrzydli nas, opanuje środek wzgórza i zmasakruje od tyłu.

Issa skrzywił się. Miał na głowie mój stary hełm z wilczą kitą i wykutą srebrną gwiazdą. Jego ciężarna żona, Scarach, znalazła przy jednym ze źródeł werbenę. Issa wpiął ziele w hełm. Miał nadzieję, że zachowa go od złego. Zaproponował mi łodyżkę, ale podziękowałem.

- Tobie też się przyda - rzekłem.

- Co uczynimy, panie? - spytał.

- Uciec nie możemy - odparłem. Wcześniej myślałem o rozpaczliwym skoku w kierunku północnym, ale za przełęczą byli Sasi i musielibyśmy przedzierać się między ich włócznikami, atakując pod górę. Mielibyśmy niewielką szansę zwycięstwa, natomiast o wiele bardziej prawdopodobne było to, że utkniemy w przełęczy, wśród przeważających sił nieprzyjaciela. - Musimy pokonać ich tu - rzekłem, ukrywając przekonanie, że wcale ich nie pokonamy. Mogłem pobić czterystu wojowników, może nawet sześciuset, ale nie tysiąc, szykujących się teraz u podnóża wzniesienia.

- Żebyśmy chociaż mieli druida. - Issa westchnął i umilkł, ale dobrze wiedziałem, co go gnębi. Chrześcijanie w naszych szeregach modlili się, rozkładając ramiona, tak jak umierał ich bóg. Twierdzili, że nie potrzeba im wstawiennictwa kapłanów. Jednak my, poganie, jak nas nazywali, lubiliśmy, kiedy przed walką druid obsypywał klątwami wrogów. Lecz nie mieliśmy żadnego druida, co znaczyło, że nie tylko jesteśmy pozbawieni mocy klątw, ale że od tego dnia będziemy musieli walczyć bez naszych bogów, ci bowiem oddalili się ze wstrętem, po tym jak przerwano rytuał na Mai Dun.

Wezwałem Pyrliga i rozkazałem mu wykląć nieprzyjaciela. Zbladł.

- Panie, ale ja jestem bardem, nie druidem - zaprotestował.

- Zapoznawałeś się z naukami druidów?

- Jak wszyscy bardowie, panie, ale nigdy nie uczestniczyłem w ich misteriach.

- Sasi nie mają o tym pojęcia - powiedziałem. - Zejdź niżej, poskacz na jednej nodze i życz im, żeby ich cuchnące dusze skończyły na kupie łajna w Annwnie.

Starał się, jak mógł, ale wciąż tracił równowagę i w jego przekleństwach było więcej strachu niż zjadłości. Na widok Pyrliga Sasi wysłali sześciu swoich czarowników, mających odeprzeć jego klątwy. Nadzy, z małymi amuletami we włosach, wysmarowanych krowim łajnem i ułożonych w prześmieszne grzebienie, wdarli się na zbocze, opluwając i przeklinając naszego barda, który na ich widok cofnął się, wystraszony. Jeden z Sasów wymachiwał ludzką kością udową i pogonił go jeszcze wyżej, a kiedy Pyrlig okazał nieokiełznane przerażenie, Sas zrobił całą masę obleśnych ruchów. Grupa czarowników nieprzyjaciela była coraz bliżej, a ich piskliwe głosy zagłuszały nawet głucho dudnienie bębnow.

- Co oni krzyczą? - spytała mnie Ginewra, która znalazła się obok mnie.

- Rzucają na nas czary, pani - wyjaśniłem. - Błagają swoich bogów, żeby napelnili nas strachem, który ugnie nam nogi. - Słuchałem dalej. - Błagają, żebyśmy oślepli, żeby nasze włócznie się połamały, a miecze stępiły. - Sas z ludzką kością dojrzał Ginewrę, odwrócił się do niej i plunął strumieniem zjadliwych plugastw.

- Co on mówi? - spytała.

- Lepiej, żebyście tego nie wiedzieli, pani.

- Ale ja chcę wiedzieć, Derflu, bardzo chcę.

- Ale ja nie chcę wam tego powtarzać.

Roześmiała się. Czarownik, teraz zaledwie trzydzieści kroków od nas, konwulsyjnie trzepał wytatuowanym członkiem w jej kierunku, potrząsał głową, przewracał oczami, wrzeszczał, że jest przeklętą wiedźmą, i obiecywał, że jej łono zamieni się w suchy strup, piersi staną się gorzkie jak żółć, aż nagle koło mojego ucha zaśpiewała cięciwa i umilkł. Strzała odebrała mu głos, przeszywając gardło na wylot. Połowa wystawała mu z karku, a lotki sterczały pod brodą. Gapił się na swoją zabójczynię, zagulgotał i wypuścił kość z ręki. Obmacał strzałę, nie odrywając wzroku od Ginewry, po czym zadygotał i nagle padł jak długi.

- Podobno zabijanie czarowników nieprzyjaciela przynosi nieszczęście - zganilem ją łagodnie.

- Nie teraz - rzekła mściwie Ginewra. - Nie teraz.

Wyjęła z kołczana następną strzałę i napięła cięciwę, ale pozostałych pięciu czarowników widziało, jaki los spotkał ich kolegę, i czmychnęło poza zasięg łuku. Wrzeszczeli, protestując gniewnie przeciwko naszemu nieobyczajnemu zachowaniu. Mieli

prawo protestować i obawiałem się, że ta jedna śmierć sprowokuje zimną furię atakujących. Ginewra zdjęła strzałę z łuku.

- Co nas teraz czeka, Derflu? - spytała.

- Niebawem wielka masa wojowników wbiegnie na wzgórze. Widzicie, pani, jak natrą. - Wskazałem na Sasów, których nadal zaganiano i ustawiano w szyku. - Sto mężów w pierwszym szeregu, a za każdym kolejnych dziewięciu czy dziesięciu, żeby wepchać tych z przodu na nasze włócznie. Frontowa setka to dla nas nie problem, pani, ale nasze szeregi uzupełniające liczą sobie tylko po dwóch czy trzech ludzi, tak że nie zepchniemy tamtych na dół. Zatrzymamy ich na chwilę, dwa mury tarcz zewrą się ze sobą, ale nie odepchniemy ich, a kiedy tamci zorientują się, że wszyscy nasi wojownicy są związani w boju, pošlą ludzi z szeregów uzupełniających na skrzydła i ci zajdą nas od tyłu.

Jej zielone oczy wpatrywały się we mnie z wyrazem lekkiej drwiny. Była jedyną znaną mi kobietą, która potrafiła patrzeć mi prosto w oczy, zawsze pozbawiając mnie pewności siebie. Przy niej mężczyzna czuł się jak dureń, chociaż tamtego dnia, kiedy dudniły saskie bębny i wielka horda zbierała się, by wspiąć się ku naszym ostrzom, Ginewra z całego serca życzyła mi powodzenia.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy zgubieni? - spytała lekkim tonem.

- Chcę powiedzieć, pani, że nie wiem, czy zwyciężymy - odparłem ponuro. Zastanawiałem się, czy nie wykonać niespodziewanego manewru, nie ustawić moich ludzi w klin, który spadłby w dół wzgórza i werznąłby się głęboko w saską masę. Możliwe, że tego rodzaju atak zaskoczyłby ich, nawet spowodowałby panikę, lecz niebezpieczeństwo polegało na tym, iż moi ludzie zostaliby otoczeni, a kiedy ostatni spośród nas padliby martwi, Sasi wspięliby się na wzgórze i dopadli bezbronnych kobiet i dzieci.

Ginewra zarzuciła łuk na ramię.

- Możemy zwyciężyć - rzekła. - Możemy zwyciężyć z łatwością. - Przez chwilę nie brałem jej poważnie. - Mogę pozbawić ich ducha walki - rzekła z jeszcze większą mocą.

Spojrzałem na nią. Z jej twarzy promieniowała energia i radość. Jeśli tego dnia miała zrobić durnia z jakiegoś mężczyzny, nie byłem nim ja, lecz Cerdyk i Aelle.

- Jak możemy zwyciężyć? - zapytałem ją.

Zrobiła chytrą minę.

- Ufasz mi, Derflu?

- Ufam, pani.

- No to daj mi dwudziestu sprawnych ludzi.

Zawahałem się. Byłem zmuszony zostawić część włóczników na północnej stronie wału, strzegąc wzgórza przed atakiem zza przełęczy, i nie mogłem sobie pozwolić na utratę dwudziestu pozostałych, którzy pilnowali strony południowej; lecz nawet gdybym miał dwustu więcej, to nasza klęska była nieunikniona, tak więc skinąłem głową.

- Dam wam, pani, dwudziestu ludzi z pospolitego ruszenia, a wy dacie mi zwycięstwo.

Uśmiechnęła się i odeszła różnym krokiem, a ja krzyknąłem na Issę, by wybrał dwudziestu młodych ludzi i posłał ich Ginewrze.

- Ona da nam zwycięstwo! - powiedziałem na tyle głośno, że moi żołnierze usłyszeli to i wyczuwając nadzieję, której w tym dniu nie było ani na lekarstwo, śmiali się.

Jednakże uznałem, że do zwycięstwa potrzeba cudu lub przybycia sprzymierzeńców. Gdzie podziewał się Culhwch? Przez cały dzień wypatrywałem oczy, szukając jego oddziałów na południu, ale nadaremnie, i doszedłem do wniosku, że pewnie obszedł Aquae Sulis szerokim łukiem, próbując połączyć się z Arturem. Nikt inny nie mógł przyjść nam z pomocą, lecz po prawdzie nawet gdyby wzmocnił mnie Culhwch, to jego oddział nie był dość liczny, byśmy razem wytrzymali szturm Sasów.

A szturm był teraz bliski. Po tym, jak czarownicy zrobili swoje, grupa jeźdźców opuściła szeregi i wspinała się na górę. Kazałem podać sobie konia. Issa pomógł mi wdrapać się na siodło i zjechałem na spotkanie z wysłannikami nieprzyjaciela. Bors mógł mi towarzyszyć, jako że był szlachetnie urodzony, lecz nie chciał spotykać się z mężami, których dopiero co porzucił, tak więc pojechałem sam.

Zbliżało się dziewięciu Sasów i trzech Brytów. Jednym z tych drugich był Lancelot, przystojny jak zawsze, w białej łuskowej zbroi, oślepiającej w słońcu. Do posrebrzanego hełmu przypiął parę łabędzich skrzydeł, mierzwionych wiatrem. Po bokach miał Amhara i Loholta, którzy wyruszyli przeciwko swojemu ojcu pod godłem Cerdyka i pod godłem mojego ojca, wielką czaszką byka, zbryzganą świeżą krwią na cześć nowej wojny. Wraz z Cerdykiem i Aelle'em wspinali się na wzgórze sascy wodzowie; sami potężni mężowie w szubach, o długich wąsikach opadających do pasów z mieczami. Ostatnim z Sasów był przekładacz. I on, i jego pobratymcy trzymali się w siodłach jak półtora nieszczęścia, nie inaczej niż ja. Jedyne Lancelot i bliźniacy byli jeźdźcami jak się patrzy.

Spotkaliśmy się w połowie stoku. Pochyłość nie przypadła do smaku wierzchowcom wrogów i wszystkie nerwowo drobiły nogami w miejscu. Cerdyk chmurnie przyglądał się naszym wałom. Widział tam jedynie dwa sztandary i grzebień żeleźców włóczni nad ułożoną naprędce faszynadą, lecz nic więcej. Ponury Aelle skinął mi głową, podczas gdy Lancelot unikał mego wzroku.

- Gdzie Artur? - spytał wreszcie władczo Cerdyk. Jego blade oczy przewierały mnie spod hełmu ze złotym brzegiem, zwieńczonego ohydny trofeum - ludzką dłonią. Pomyślałem, że to niewątpliwie ręka jakiegoś Bryta. Skóra była osmalona, szerniała, palce zakrzywione niczym szpony.

- Artur odpoczywa, panie królu - rzekłem. - Zostawił mi ten miły obowiązek, żebym rozgniótł was jak muchę, podczas gdy układa plany, jak pozbyć się smrodu waszego łajna z Brytanii. - Przekładacz mruczał do ucha Lancelotowi.

- Czy Artur tu jest? - spytał Cerdyk tym samym tonem. Zwyczaj nakazywał, by dowódcy armii przeprowadzili rozmowy przed bitwą i Cerdyk uznał moją obecność za obelgę. Spodziewał się Artura, nie jakiegoś podwładnego.

- Jest tu, panie - rzekłem pogodnym tonem - i wszędzie. Merlin przenosi go nad chmurami.

Cerdyk splunął. Był w prostej zbroi, bez żadnych symboli, nie licząc koszarnej ręki na pozłacanym hełmie. Aelle miał na sobie zwykłą czarną szubę, złote bransolety na szyi, również złoty naszyjnik, a z przodu hełmu sterczał mu byczy róg. Był starszy wiekiem, lecz to Cerdyk, jak zwykle, objął przewodzenie. Jego skierowana ku mnie przebiegła, ściągnięta twarz wyrażała lekceważenie.

- Najlepiej byłoby, gdybyście zeszli na dół i złożyli broń na drodze - rzekł. - Zabijemy niektórych z was na cześć naszych bogów i weźmiemy resztę w niewolę, ale musicie dać nam niewiastę, która zabiła naszego czarownika. Ją zabijemy.

- Zastrzeliła czarownika na mój rozkaz - powiedziałem. - W rewanżu za brodę Merlina. - Nie kto inny, a Cerdyk odciął kawałek Merlinowej brody i tej obrazy nie zamierzałem puścić płazem.

- W takim razie ciebie zabijemy - oznajmił Cerdyk.

- Liofa już tego próbował - powiedziałem szyderczo. - A wczoraj Wulfger z Sarnaedów usiłował wydrzeć mi duszę, ale wrócił do chlewa przodków.

Głos zabrał Aelle.

- Nie zabijemy cię, Derflu - warknął - jeśli się poddasz. - Cerdyk zaczął protestować, lecz Aelle uciszył go nagłym ruchem kalekiej ręki. - Nie zabijemy go - rzekł z uporem. - Dałeś swojej kobiecie mój pierścionek? - spytał mnie.

- Nosi go teraz, królu - rzekłem, wskazując na szczyt wzgórza.

- Jest tu? - W jego głosie pojawiło się zdziwienie.

- Z twoimi wnuczkami.

- Niech je zobaczę - rzekł rozkazująco. Również to nie spodobało się Cerdykowi. Był tu, by urządzić nam rzeź, nie świadkować radosnemu familijnemu spotkaniu, lecz Aelle zignorował protesty sprzymierzeńca. - Chciałbym spotkać się z nimi chociaż raz - rzekł, tak więc odwróciłem się i krzyknąłem w górę wzgórza.

Ceinwyn pokazała się po chwili, trzymając jedną ręką Morwennę, a Seren drugą. Zawahały się na wale, a potem delikatnym krokiem zeszły po trawiastym zboczu. Ceinwyn był odziana w prostą lnianą suknię, lecz jej włosy świeciły złoto w wiosennym słońcu i jak zwykle pomyślałem, że jej uroda jest czarodziejska. Poczułem gulę w gardle i łzy w oczach, kiedy schodziła jakże lekkim krokiem. Seren wydawała się zdenerwowana, ale Morwenna miała buntowniczy wyraz twarzy. Zatrzymały się przy moim koniu i patrzyły na saskich królów. Ceinwyn i Lancelot skrzyżowali spojrzenia; ona splunęła na trawę, żeby odegnać złe moce, jakie musiały towarzyszyć jego wzrokowi.

Cerdyk udawał brak zainteresowania, lecz Aelle zszedł niezgrabnie ze swojego zniszczonego skórzanego siodła.

- Powiedz im, że to dla mnie radość móc się z nimi spotkać - rzekł mi. - Jak zwą się dzieci?

- Starsza to Morwenna, a młodsza Seren. To imię oznacza gwiazdę. - Popatrzyłem na córki. - Ten król - odezwałem się w języku Brytów - jest waszym dziadkiem.

Aelle pogrzebał pod czarną szatą i wyjął dwie złote monety. Rozdał je dziewczynkom, a potem bez słowa popatrzył na Ceinwyn. Zrozumiała, czego pragnie, i puściwszy dłonie córek postąpiła ku niemu, a on wziął ją w objęcia. Z pewnością cuchnął, jego szuba bowiem była tłusta i brudna, - ale Ceinwyn nie wzdrygnęła się. Kiedy ją ucałował, cofnęła się. Podniósł jej dłonie do ust i uśmiechnął się na widok kruszyny agatu w złotym pierścieniu.

- Powiedz jej, że daruję jej życie, Derflu - oświadczył.

Przekazałem jego obietnicę, a Ceinwyn uśmiechnęła się.

- Powiedz mu, że byłoby lepiej, gdyby wrócił do swojego kraju - rzekła. - Bylibyśmy wielce radzi, mogąc go tam odwiedzać.

Aelle uśmiechnął się, kiedy zostało to przełożone, lecz Cerdyk nachmurzył się.

- To nasz kraj! - rzekł z naciskiem. Jego koń zatańczył w miejscu, a moje córki cofnęły się, słysząc jad w królewskich słowach.

- Powiedz im, żeby sobie poszły - burknął do mnie Aelle. Musimy pogadać o wojnie. - Odprowadził je wzrokiem w górę stoku. - Masz gust do pięknych niewiast. Po ojcu - dodał.

- I gust Brytów do popełniania samobójstwa - warknął Cerdyk. - Masz obiecanie życie, ale tylko wtedy, jeśli zejdziecie zaraz ze wzgórza i złożycie włócznie na drodze.

- Położę je tam, królu, z waszym ciałem nanizanym na żeleźca - rzekłem.

- Miauczysz jak kot - powiedział z pogardą Cerdyk. Spojrzał w górę i jego mina stała się jeszcze bardziej ponura, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem na wale Ginewrę. Wysoka i długonoga, w myśliwskim stroju, z koroną rudych włosów i łukiem na ramieniu, wyglądała jak sama bogini wojny. Cerdyk pewnie rozpoznał w niej kobietę, która zastrzeliła jego czarownika.

- Kto to jest? - zapytał z gniewem.

- Spytajcie swojego pieska pokojowego - rzekłem, wskazując na Lancelota, a potem, podejrzewając, iż przekładacz nie oddał dokładnie moich słów, powtórzyłem to samo w języku Brytów.

Lancelot zignorował mnie.

- To Ginewra - powiedział Amhar przekładaczowi Cerdyka. - Kurwa mojego ojca - dodał szyderczo.

W swoim czasie używałem wobec Ginewry gorszych określeń, ale nie miałem cierpliwości do szyderstw Amhara. Dawniej nie darzyłem jej ciepłymi uczuciami, była bowiem zbyt arogancka, samowolna, mądra i prześmiewcza na to, aby stać się dobrym kompanem, lecz w ciągu ostatnich kilku dnia nabrałem dla niej podziwu i nim zdążyłem pomyśleć, co czynię, plunąłem obelgami na Amhara. Teraz nie wspomnę, co mówiłem, wiem jedynie tyle, że gniew dodał jadu przekleństwu. Pewnie nazwałem go robakiem, zdradzieckim gównem, stworem wyzbytym honoru, dzieciakiem, który wyzionie ducha na mieczu pierwszego lepszego męża, zanim zajdzie słońce. Plułem na niego, rzucałem klątwy i wypędziłem go razem z jego braciszkiem ze wzgórza, a potem odwróciłem się ku Lancelotowi.

- Twój kuzyn Bors przesyła ci pozdrowienia - rzekłem. - Obiecuje ci wyrwać flaki przez gardło. Proś bogów, żeby mu się udało, bo jak ja cię dopadnę, to będziesz mnie błagał o szybką śmierć.

Lancelot splunął, ale nie zadał sobie tego trudu, by odpowiedzieć. Cerdyk z rozbawieniem przyglądał się temu przedstawieniu. Zakończył rozmowy tymi słowy:

- Masz godzinę na to, by się zjawić i wytarzać w prochu przede mną. Jak nie, my zjawimy się u ciebie i zginiesz.

Zawrócił konia i pognął w dół wzgórza. Lancelot i inni udali się za nim, pozostał jedynie Aelle.

Posłał mi ni to uśmiech, ni to grymas.

- Wygląda na to, że musimy się bić, synu.



- Wygląda na to, że musimy.
- Naprawdę Artur tu jest?
- Czy to dlatego przybyliście, królu? - zapytałem, nie odpowiadając na jego pytanie.
- Jeśli zabijemy Artura, wojna będzie wygrana - rzekł prosto.
- Pierwej musicie zabić mnie, ojczy.
- Myślisz, że nie jestem do tego gotów? - rzekł ostro, a potem podał mi kalekę dłoni.

Wymieniłem z nim krótki uścisk i odprowadziłem go wzrokiem, gdy skierował konia w dół wzgórza.

Issa przywitał mnie pytającym spojrzeniem.

- Bitwę na słowa wygraliśmy - oznajmiłem posępnie.
- Zawsze to jakiś początek, panie - rzekł lekkim tonem.

- Ale koniec będzie należał do nich - powiedziałem cicho i odwróciłem się, patrząc, jak sascy królowie wracają do swoich żołnierzy. Bębny dalej biły. Ostatni nieprzyjaciele pewnie zostali już zagonieni w gęstą masę, która niebawem miała się wspiąć i rozpocząć rzeź, a jeśli Ginewra nie była naprawdę boginią wojny, nie wiedziałem, jak możemy ich pokonać.

Natarcie Sasów było początkowo nieporadne, ponieważ żywopłoty dzielące poletka u stóp wzgórza rozbijały ich staranny szyk. Słońce chowało się na zachodzie, cały bowiem dzień zajęło przygotowanie tego ataku, lecz teraz nadchodził i słyszeliśmy, jak baranie rogi huczą swoje chrapliwe wyzwanie, gdy włócznicy nieprzyjaciela pokonywali żywopłoty i przecinali poletka.

Moi ludzie śpiewali. Zawsze śpiewaliśmy przed bitwą i tego dnia, jak przed naszymi wszystkimi największymi bitwami, wznieśliśmy wojenną pieśń Beli Mawra. Jakże ten straszny hymn potrafił poruszyć człowieka! Mówi o zabijaniu, o krwi pośród pszenicznych łąków, o ciałach rozwalonych do kości i wrogach pędzonych jak bydło do rzeźni. Mówi o buciskach Beli Mawra, miażdżących góry, i wieści dumnie chwałę jego miecza, który kobiety czyni wdowami. Każdy wers kończy się triumfalnym wyciem i nie mogłem powstrzymać się od łkania, słysząc ten dowód chwackiej zuchwałości.

Zsiadłem z konia i zająłem miejsce w pierwszym rzędzie, nieopodal Borsa, który stał pod naszymi bliźniaczymi sztandarami. Policzki mojego hełmu były zasunięte, mocno ścisnąłem tarczę lewą ręką, wojenna włócznia ciążyła mi w prawej. Wszędzie wokół silne głosy huczały z coraz większą mocą, lecz nie podjąłem pieśni, jako że moje serce przepełniały czarne przecucia. Wiedziałem, jak potoczą się wypadki. Przez jakiś czas będziemy walczyć w murze tarcz, lecz kiedy Sasi pokonają słabiutkie faszynady na naszych flankach i ich włócznie zaczną dźgać nas od tyłu, legniemy martwi, jeden po drugim, i

nieprzyjaciel będzie szydził z naszej śmierci. Ostatni ginący mąż usłyszy krzyk pierwszych gwałconych kobiet, a jednak nie mogliśmy uczynić niczego, by temu zapobiec, tak więc moi włócznicy śpiewali, a niektórzy żołnierze wykonywali taniec miecza na szczycie wału, tam gdzie nie było barykady z cierni. Środek obwałowania zostawiliśmy wolny, w marnej nadziei, że nieprzyjaciel wejdzie na nasze włócznie, zamiast próbować obejść nas z flanki.

Sasi pokonali ostatnie żywoploty i zaczęli długą wspinaczkę pustym stokiem. Ich najlepsi żołnierze byli w pierwszym szeregu i widziałem, jak zwarty mur tarcz utworzyli, jak gęsty był szereg ich włóczni, jak ostro świeciły topory. Nie widziało się żołnierzy Lancelota; zapewne ta masakra miała być wyłącznie saskim dziełem. Poprzedzali ich czarownicy, popędzały baranie rogi i nieśli nad sobą zakrwawione czaszki, znaki ich królów. Niektórzy w pierwszej linii prowadzili na smyczach psy bojowe, które miały być spuszczone kilka jardów przed naszym szeregiem. Mój ojciec kroczył na przedzie, podczas gdy Cerdyk podążał konno za masą Sasów.

Szli bardzo powoli. Stromizna była ostra, zbroje ciężkie i nie śpieszyło im się do rzezi. Wiedzieli, że zapowiada się niewesoła, chociaż krótkotrwała sprawa. Przybędą zwartym szykiem i kiedy tylko zderzą się na wale z nami, nastąpi próba sił, obaj przeciwnicy będą usiłowali zepchnąć wroga w tył. Ich młoty zaczną błyskać nad brzegami naszych tarcz, ich włócznie będą dźgać, uderzać i posmakują krwi. Rozlegną się stękania, wrzaski, wycia i krzyki umierających, ale nieprzyjaciel miał przewagę liczebną i w końcu zajdzie nas z boków i moje wilcze kity zaczną mrzeć.

Lecz na razie moi wojowie śpiewali, usiłując zagłuszyć ochryple buczenie rogów i nieprzerwany grzechot bębnow. Sasi z wolna byli coraz bliżej. Teraz widziałem znaki na ich tarczach: wilcze czaszki żołdaków Cerdyka, bycze czaszki ludzi Aelle'a, a między nimi tarcze ich dowódców: sokoły, orły i tańczące rumaki. Psy rwały smycze, gotowe uczynić wyłomy w naszym szyku. Czarownicy wrzeszczeli. Jeden z nich potrząsał kołatką z żeber, inny biegał na czworakach niczym pies i wył przekleństwa.

Czekałem przy południowym zakolu wału, sterczącym nad doliną jak dziób łodzi. Tu miało przyjść pierwsze uderzenie. Nęcił mnie pomysł, by pozwolić im się zbliżyć i w ostatnim momencie szybko się wycofać, zamykając szyk wokół naszych niewiast. Lecz cofając się, odstąpiłbym wrogowi płaski szczyt wzgórza i stracił przewagę pozycyjną. Woląłem, by moi ludzie zabili jak najwięcej nieprzyjaciół, zanim oni nas zaleją.

Starąłem się nie myśleć o Ceinwyn. Nie pocałowałem na pożegnanie jej ani córek, ale może sążone im było przeżyć. Może pośrodku okropności jakiś włócznik Aelle'a rozpozna pierścionek i zabierze je w bezpieczne miejsce u boku swojego króla.

Moi żołnierze zaczęli tłuc drzewcami włóczni o tarcze. Jeszcze było za wcześnie na sformowanie muru tarcz. Z tym można było poczekać do samego końca. Sasi popatrywali w górę, słysząc hałas. Żaden z nich nie wybiegł przed szereg, by cisnąć włócznią - stok był na to za stromy - lecz jeden pies bojowy zerwał się ze smyczy i szybkimi skokami pokonywał trawiaste zbocze. Eirrllyn, jeden z moich łowców, przeszył go strzałą. Zwierzę zaczęło ujadać i biegać w kółko, drzewce strzały sterczało mu z brzucha. Obaj łowcy zaczęli szyc strzałami, obierając za cel pozostałe psy i Sasi ściągnęli je za tarcze. Czarownicy pognali na boki, wiedząc, że bitwa zaraz się zacznie. Jedna strzała uderzyła o saską tarczę, następna odbiła się od hełmu. Już blisko. Sto kroków. Oblizalem zaschłe wargi, mrugałem, pozbywając się potu zalewającego oczy, i patrzyłem na zacięte brodate gęby. Nieprzyjaciel wrzeszczał, a jednak nie pamiętam, bym słyszał ich głosy. Wspomnę jeno dźwięk rogów, dudnienie bębnów, tupot butów na trawie, dzwonięcie pochew o zbroje i brzęk stykających się tarcze.

- Rozstąpić się! - rozległ się za naszymi plecami radosny okrzyk Ginewry. - Rozstąpić się! - powtórzyła.

Odwrociłem się i ujrzałem, że jej dwudziestu ludzi pcha ku wałom dwa wozy, w których transportowaliśmy żywność. Były to wielkie, niezwrotne pojazdy, z pełnymi drewnianymi kołami, a Ginewra przydała im ciężaru dwoma rodzajami broni. Zastąpiła dyszle włóczniami, a w miejsce prowiantu nałożyła ścięte kolczaste krzewy i podpaliła je. Zamieniła wozy w dwa płomieniste tarany, które planowała zepchnąć na szalenie ubite szeregi wroga. Za wozami kroczyła podniecona cizba niewiast i dzieci, rada zobaczyć chaos.

- Na bok! - krzyknąłem. - Na bok! - Śpiewy ustały i moi ludzie rozbiegli się z pośpiechem, zostawiając całą środkową część wału bez obrony. Sasi byli teraz tylko o jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kroków i widząc, że nasz szyk pęka, zwietrzyli zwycięstwo i zaczęli wyciągać nogi.

Ginewra poganiała krzykiem swoich ludzi; kolejni włócznicy rzucali się do pomocy przy dymiących wozach.

- Pchać! - wołała, a oni stękali, pchali i ciągnęli wozy, które toczyły się coraz szybciej. - Pchać! Pchać! Pchać! - wrzeszczała i coraz więcej ludzi stawało za wozami, popychając niezgrabne pojazdy przez wiekowe ziemne wały. Przez chwilę myślałem, iż wał, chociaż niski, stanie się przeszkodą nie do pokonania, wozy bowiem zatrzymały się, a gęsty dym spowił kaszlących i krztuszących się mężów, lecz okrzyk Ginewry dodał sił włócznikom. Zagryźli zęby i ostatnim wielkim wysiłkiem przepchnęli wozy przez wat zarośniętą trawą.

- Pchać! - krzyczała przeraźliwie Ginewra. - Pchać! - Wozy zawahały się na wale, po czym poczęły chylić się w dół, pod naporem ludzi. - Teraz! - krzyknęła księżniczka i nagle

nic nie wstrzymywało wozów. Przed nimi był tylko trawiasty stok, a dalej, niżej, wróg. Pchający zatoczyli się do tyłu, opadając z siłą, gdy płonące pojazdy zaczęły się toczyć w dół wzgórza.

Początkowo sunęły powoli, lecz niebawem przyśpieszyły, podskakiwały na nierównym terenie, siejąc płonącymi gałęziami. Stok przybrał na pochyłości i wielkie tarany waliły się z hukiem; potężne masy drewna i ognia leciały z hurgotem na porażone grozą formacje Sasów.

Nie mieli szans. Byli ustawieni zbyt ciasno, aby uciec przed wozami, a te, celnie skierowane, gnały z głuchym łomotem w samo serce szturmującego wroga.

- Zewrzeć szyk! - krzyknąłem do swoich ludzi. - Mur tarcz! Mur tarcz!

Z pośpiechem zajmowaliśmy pozycję, kiedy wozy wpadły między nieprzyjaciół. Część Sasów stała jak wryta, część próbowała ucieczki, lecz dla tych, którzy znaleźli się na drodze ognistych taranów, nie było ucieczki. Usłyszałem straszliwy krzyk, gdy długie włócznie, które zastąpiły dyszle, werżnęły się w ludzką masę, po czym jeden z wozów stanął dęba, a kiedy przednie koła zgruchotały powalone ciała, przeleciał dalej, miażdżąc, paląc i druzgocąc tych, którzy znaleźli się na jego szlaku. Czyjaś tarcza pękła na dwoje pod kołami. Drugi wóz skręcił, zderzywszy się z saskim szeregiem. Przez krótką chwilę chwiał się na dwóch kołach, po czym przewalił się na bok i trysnął fontanną ognia na saskie kolumny. Tam, gdzie poprzednio szła zwarta, zdyscyplinowana masa, rządziły teraz zamęt, lęk i panika. Nawet tam, gdzie wozy nie uderzyły bezpośrednio, zapanował chaos, równe rzędy bowiem zdrząły i pękły, umykając przed zniszczeniem.

- Do ataku! - krzyknąłem. - Dalej!

Zeskoczyłem z wału, wydając okrzyk bojowy. Wcześniej nie zamierzałem podążyć za wozami, lecz skoro posiały już takie zniszczenie, a groza nieprzyjaciela była tak oczywista, wypadało nadać jej wyższy wymiar.

Biegliśmy z krzykiem na ustach. To był krzyk zwycięstwa, mający na celu porazić serca na poły pokonanego wroga. Sasi nadal przewyższali nas liczebnie, lecz ich mur tarcz był złamany, nie mieli tchu w płucach, a my spadliśmy na nich z wysokości jak mściwe Furie. Zostawiłem włócznie w brzuchu jakiegoś męża, dobyłem Hywelbane'a z pochwy i ciałem nim, jak kosiarz w czas sianokosów. Podczas takiej bitwy nie ma kalkulacji, nie ma strategii, tylko uniesienie i zachwyty, wywołane niszczaniem wroga, zabijaniem, widokiem strachu w jego oczach i obrazem uciekających tylnych szeregów. Zawodziłem szaleńczo, rozkoszując się rzezią, a po moich bokach wilcze kity cięły, kłuły i szydziły z nieprzyjaciela, który spodziewał się tańczyć na naszych trupach.

Nadal mogli nas pokonać, tak wielka była ich liczba, lecz ciężko walczyć w roztrąconym murze tarcz, pod górę, a nasz nagły atak odebrał im ducha. Zbyt wielu Sasów było pijanych. Pijani mężowie walczą świetnie, kiedy widzą zwycięstwo, ale kiedy klęska zagląda im w oczy, szybko wpadają w panikę i chociaż Cerdyk usiłował zatrzymać swych włóczników na placu boju, ci, przerażeni, uciekli. Niektórzy z moich żółtodziobów ulegli pokusie, pognali jeszcze niżej, a garstka zapędziła się za daleko i przyszło jej zapłacić wysoką cenę za zapalczywość, lecz reszta usłuchała rozkazu i zatrzymała się. Większość nieprzyjaciół uciekła, ale zwycięstwo było nasze. Oto dowód: staliśmy w saskiej posoce, stok wzgórza zaległ zwał martwych i rannych wrogów, stosy ich oręża. Przewrócony wóz gorzał na zboczu, uwięzieni Sasi wyli pod jego ciężarem, podczas gdy drugi nadal pędził z hurgotem w dół, aż wbił się w żywopłot u stóp wzgórza.

Niektóre nasze kobiety zeszły na dół, obdrzeć trupy i dobić rannych. Ni Aelle'a, ni Cerdyka nie było pośród Sasów, którzy pozostali na wzgórzu, lecz znaleźliśmy jednego wielkiego wodza, obwieszzonego złotem, zbrojnego w miecz o zdobionej złotem rękojeści. Pochwa była z miękkiej czarnej skóry, na srebrnych rapciach. Zabrałem pas i miecz; zaniósłem łup Ginewrze. Ukląknęłam przed nią, czego nigdy do tej pory nie uczyniłem.

- To wasze zwycięstwo, pani - rzekłem. - Wasze od początku do końca. - Podąłem jej miecz.

Przypięła go, po czym podniosła mnie z kolan.

- Dziękuję ci, Derflu - powiedziała.

- To dobry miecz - odparłem.

- Nie dziękuję ci za miecz, ale za zaufanie. Zawsze wiedziałam, że umiem walczyć.

- Lepiej niż ja, pani - powiedziałem smętnie. Czemu nie wpadło mi do głowy, żeby użyć wozów?

- Lepiej niż oni! - poprawiła mnie, wskazując pobitych Sasów. Uśmiechnęła się. - A jutro zrobimy im powtórkę.

Sasi nie wrócili. To był uroczy zmierzch, pełen łagodnego, jarzącego się blasku. Moi wartownicy przechadzali się po wałach, podczas gdy saskie ogniska zapalały się na dole, jedno po drugim w coraz rozleglejszym cieniu. Pojedliśmy, a następnie porozmawiałem ze Scarach, żoną Issy. Zebrała inne kobiety i postarały się o igły, noże i nici. Dałem kobietom trochę płaszczy, zabranych nieżywym Sasom, i wzięły się do roboty, przesiadziały przy ogniskach cały wieczór i całą noc.

A kiedy Ginewra obudziła się następnego dnia, na południowym wale Mynydd Baddon powiewały trzy sztandary. Był tam niedźwiedź Artura i gwiazda Ceinywn, lecz w

środku, w miejscu honorowym, jak przystało zwycięskiemu dowódcy, pojawiła się chorągiew ze znakiem Ginewry - jeleń dźwigający księżyc na rosochach. Poranny wiatr uniósł płótno, a Ginewra ujrzała je i uśmiechnęła się.

Tymczasem w dole Sasi znów ostrzyli włócznie.

Bębny odezwały się o brzasku i nie minęła godzina, a pięciu czarowników pojawiło się na stoku Mynydd Baddon. Wyglądało na to, że Cerdyk i Aelle zawzięli się, by pomścić poprzednie upokorzenie.

Kruki szarpały trupy ponad pięćdziesięciu Sasów, nadal spoczywających na zboczu, w pobliżu zwęglonych szczątków wozu, a niektórzy moi ludzie chcieli przywleć zmarłych pod wał i tą straszliwą faszynadą przywitać kolejny szturm Sasów, ale zakazałem tego kroku. Uznałem, iż niebawem nasze trupy będą zdane na łaskę i niełaskę nieprzyjaciół, i jeśli zbeczescimy ich zmarłych, oni z kolei zbeczesczą naszych.

Wkrótce stało się jasne, iż tym razem Sasi nie zaryzykują tego rodzaju ataku, który jeden przewracający się wóz może zamienić w chaos. Szykowali wiele kolumn, mających wspiąć się na wzgórze od południa, wschodu i zachodu. Każda grupa szturmowa liczyła zaledwie niecałą setkę ludzi, lecz obrona przed jednoczesnym atakiem tych niewielkich oddziałów była ponad nasze możliwości. Być może udałoby się nam pokonać pierwsze kilka kolumn, lecz następne łatwo przedrą się przez wały, tak więc pozostawały tylko modły, śpiewy, jadło i, w przypadku tych, którzy nie mogli się bez nich obyć, rogi z miodem. Obiecywaliśmy sobie nawzajem dobrą śmierć, co znaczyło, że będziemy walczyć do końca i śpiewać póki tchu w piersiach, ale chyba wszyscy wiedzieliśmy, iż naszego życia nie zakończy dumna pieśń, lecz lament pogwałconych, upokorzonych i katowanych. Kobiety czekał jeszcze gorszy los.

- Czy powinienem się poddać? - spytałem Ceinwyn.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Nie mnie o tym mówić.

- Nie zrobiłem niczego bez twojej rady - rzekłem.

- Podczas wojny nie mam dla ciebie rad, może tylko mogłabym cię spytać, co stanie się z kobietami, jeśli się nie poddasz.

- Będą gwałcone, pójdą w niewolę lub zostaną oddane mężom, potrzebującym niewiast.

- A jak się poddasz?

- Prawie to samo - przyznałem. - Tylko gwałty nie nastąpią tak szybko.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie moja rada wcale nie jest ci potrzebna. Idź i walcz, Derflu, a jeśli spotkam się z tobą dopiero w Krainie Cieni, to wiedz, że kiedy będziesz szedł przez Most z Mieczy, będzie ci towarzyszyć moja miłość.

Ucałowałem ją, uściskałem córki i wróciłem na wystający dziób południowego wału, by obserwować Sasów, ruszających w górę stoku. Ten atak nie wymagał takiego długiego przygotowania jak pierwszy, wczoraj bowiem trzeba było zorganizować i zachęcić wielką masę ludzi, a dziś nieprzyjaciel nie potrzebował namowy. Przybywał po zemstę i parł tak niewielkimi grupami, iż nawet gdybyśmy spuścili na nich wóz, łatwo by go ominęli. Nie śpieszyli się, ale nie mieli ku temu potrzeby.

Rozdzieliłem moich ludzi na dziesięć oddziałów, każdy odpowiedzialny za dwie saskie kolumny, lecz wątpiłem, aby nawet najlepsi z moich włóczników byli w stanie długo się im oprzeć. Raczej spodziewałem się, iż ludzie pobiegną na tyły, bronić niewiast, gdy nieprzyjaciel zajdzie ich z flanki i bój zamieni się w żalosną jednostronną rzeź wokół naszych szałasów i ognisk. Niech będzie, jak ma być - pomyślałem i obszedłem moich żołnierzy, dziękując im za służbę i zachęcając do zabicia jak największej liczby Sasów. Przypominałem im, iż wrogowie zarznięci w bitwie będą ich sługami w zaświatach.

- Zabijajcie ich - rzekłem. - I niech ci spośród nich, którzy przeżyją, wspominają tę bitwę ze zgrozą.

Niektórzy poczęli śpiewać pieśń śmierci Werlinna, powolną i melancholijną melodię, wnoszoną przy żałobnych stosach wojowników. Przyłączyłem się do śpiewu, obserwując zbliżających się Sasów, i jako że śpiewałem, a także dlatego że hełm ciasno przylegał mi do uszu, nie słyszałem, jak Niall wołał do mnie z wałów.

Dopiero gdy dotarł do mnie radosny wrzask niewiast, odwróciłem się. Nadal nie widziałem niczego niezwykłego, lecz przez huk saskich bębnow dobiegł mnie ostry, wysoki dźwięk rogu.

Słyszałem już tę melodię. Po raz pierwszy, kiedy byłem młodym włócznikiem i Artur przybył konno, ratując mi życie, a teraz przybywał w tym celu po raz drugi.

Zjawił się konno ze swymi żołnierzami, a Niall krzyczał do mnie, gdy ciężka jazda zdruzgotała Sasów na wzgórzu od strony przełęczy i galopem runęła w dół stoku. Kobiety na Mynydd Baddon pędziły do wałów, oglądać to widowisko, Artur bowiem nie wjechał na szczyt, lecz poprowadził konnicę wokół górnej partii zbocza. Był w swojej wypolerowanej łuskowej zbroi, na głowie miał złożony hełm i tarczę kutą w srebrze. Jego wielki sztandar wojenny furkotał na wietrze, czarny niedźwiedź prostował się na naprężonym płótnie, białym jak gęsie pióra na hełmie Artura. Biały płaszcz powiewał na ramionach, a biały proporzec widniał u podstawy długiego żeleźca włóczni. Każdy Sas na dole Mynydd Baddon wiedział, kto to przybył, i wiedział też, co te ciężkie rumaki mogą zrobić z ich małymi kolumnami. Artur sprowadził jedynie czterdziestu żołnierzy, Lancelot bowiem skradł mu większość



potężnych koni bojowych podczas poprzedniej wojny, lecz czterdziestu zakutych w zbroje wojów na swoich rumakach mogło rozerwać piechotę na strzępy.

Mój pan osadził konia poniżej południowego zakola wałów. Wiatr był słaby, tak że nie dało się rozpoznać sztandaru Ginewry. Artur szukał mnie wzrokiem, aż wreszcie wypatrzył mój hełm i zbroję.

- Mam dwustu włóczników o milę dalej! - krzyknął.

- Dobrze, panie! - odkrzyknąłem. - I bądź pozdrowiony!

- Damy radę Sasom do nadejścia włóczników! - zawołał i machnięciem dłoni rozkazał jechać dalej. Nie ruszył w dół wzgórza, okrążał górną część zbocza Mynydd Baddon, jakby wzywając Sasów, by wspięli się wyżej i spróbowali ataku.

Lecz sam widok koni działał odstrasżająco, żaden Sas bowiem nie chciał pierwszy stanąć na drodze pędzących włóczni. Jeśli wróg zaatakowałby wszystkimi siłami, z łatwością pokonałby ludzi Artura, lecz stromizna wzgórza sprawiała, iż Sasi nie widzieli się nawzajem i każda kolumna liczyła na to, że inna pierwsza odważy się stawić czoło konnicy, i wszystkie wyczekiwały. Co jakiś czas odważniejszy oddział wdzierał się wyżej, lecz gdy tylko zoczył jeźdźców, pierzchał, wystraszony. Sam Cerdyk usiłował zebrać ludzi do ataku pod południowym zakolem wału, lecz gdy konni ruszyli na nich, Sasi podali tyły. Spodziewali się łatwej rozprawy z garstką włóczników i nie byli gotowi do walki z kawalerią. Nie pod górę i nie z kawalerią Artura. Może inni wojowie na koniach nie obudziliby w nich lęku, lecz wiedzieli, co znaczy widok tego białego płaszcza, hełmu z gęsimi piórami i tarczy jaśniejącej niczym poranne słońce. Śmierć przybyła i żaden Sas nie palił się na jej spotkanie.

Po jakimś czasie piechota Artura zjawiała się na przełęczy. Sasi trzymający stok z północnej strony wzgórza uciekli, a znużeni włócznicy wdrapali się na wały przy wtórze ogłuszających wiwatów. Słyszając to i widząc nowe włócznie nad wałami, nasi wrogowie uznali, że dość się nawojowali jak na ten dzień. Kolumny odeszły, a Mynydd Baddon było bezpieczne na czas jeszcze jednej wędrówki słońca po niebie.

Artur zerwał hełm z głowy, popędzając zmęczoną Llamrel ku naszym masztom sztandarowym. Powiał wiatr, a kiedy mój pan uniósł wzrok, ujrzał obok swojego niedźwiedzia jelenia z księżycem, lecz szeroki uśmiech na jego twarzy nie uległ zmianie. Nie rzekł nic na temat sztandarów, kiedy zeskoczył z konia. Z pewnością wiedział, iż Ginewra jest ze mną, Balin bowiem widział ją w Aquae Sulis i dwaj moi posłańcy mogli mu o niej powiedzieć, lecz udawał, że nie ma o niczym pojęcia. Uściskał mnie jak za dawnych czasów, jakby między nas nie wkraśl się chłód.

Cała jego melancholia prysła. Twarz znów miał pełną życia, werwy, która udzieliła się moim ludziom, skupionym wokół niego, by wysłuchać wieści, chociaż najpierw zażądał ich od nas. Widział nieżywych Sasów na zboczu i chciał się dowiedzieć, jak i kiedy zginęli. Moi ludzie z przesadą relacjonowali klęskę wroga, lecz było to wybaczone, a on śmiał się głośno, usłyszawszy, jak poprzedniego dnia zepchnęliśmy płonące wozy w dół wzgórza.

- Dobra robota, Derflu - pochwalił mnie. - Dobra robota.

- To nie moja zasługa, panie - powiedziałem. - Ale jej. - Ruchem głowy wskazałem sztandar Ginewry. - To wszystko jej robota. Byłem gotów zginąć, ale ona miała inne zdanie.

- Nie inaczej niż zawsze - rzekł cicho, lecz nie pytał więcej.

Ginewra się nie pokazała, a on nie pytał, gdzie się podziewa. Natomiast spotkał się z Borselem, wyściskał go i przepytał. Dopiero wtedy wszedł na wał i ogarnął wzrokiem saski obóz. Stał tak przez długi czas, ukazując się upadłemu na duchu wrogowi, lecz wreszcie przyzwał mnie i Borsę.

- Nigdy nie planowałem tu walczyć, lecz to takie dobre miejsce jak każde inne. Po prawdzie lepsze niż wiele innych. Czy oni są tu wszyscy? - spytał Borsę.

Ten znów się upił, oczekując saskiego szturm, ale teraz wyłaził ze skóry, żeby język mu się nie plątał.

- Wszyscy, panie. Może z wyjątkiem garnizonu z Caer Ambra. Mieli ścigać Culhwcha. - Wskazał brodą wschodnie wzgórze, z którego schodziły następne grupy Sasów, dołączając do obozujących. - Może to oni, panie? A może tylko płądrujące zagony?

- Garnizon z Caer Ambra nie wpadł na ślad Culhwcha - rzekł Artur. - Jego posłaniec dotarł do mnie wczoraj. Jest niedaleko, jak i Cuneglas. Za dwa dni przybędzie nam pięciuset wojowników, tak że Sasi będą górować nad nami jedynie w stosunku dwa do jednego. - Roześmiał się. - Dobra robota, Derflu!

- Dobra robota? - zapytałem, nieco zaskoczony. Oczekiwałem nagany za to, że dałem się złapać w pułapkę tak daleko od Corinium.

- Gdzieś musieliśmy z nimi walczyć - wyjaśnił. - A ty wybrałeś pole bitwy. Mamy tu przewagę pozycji. - Mówił głośno, żeby natchnąć otuchą moich żołnierzy. - Zjawiłbym się wcześniej, jeno nie byłem pewien, czy Cerdyk połknął przynętę.

- Przynętę, panie? - Nie mogłem się połapać, o czym mówi.

- Ciebie, Derflu, ciebie. - Znów się roześmiał i zeskoczył z wału. - Cała wojna zasadza się na przypadkach, prawda? I przez przypadek znalazłeś miejsce, w którym możemy ich pobić.

- Chcecie powiedzieć, panie, że opadną z sił, wspinając się na wzgórze?

- Tak głupi to nie będą - rzekł radośnie. - Nie, lękam się, iż musimy zejść na dół i walczyć z nimi w dolinie.

- Jak? - spytałem z goryczą, bo nawet z oddziałami Cuneglasa bylibyśmy w straszliwej mniejszości.

- Z pomocą każdego żołnierza, którego mamy - powiedział z przekonaniem Artur. - Ale bez kobiet, jak myślę. Czas żebyśmy odprowadzili kobiety i dzieci w bezpieczniejsze miejsce.

Nie odeszli od nas daleko; godzinę marszu na północ była wioska, w której znaleźli schronienie. Akurat kiedy opuścili Mynydd Baddon, kolejni włócznicy Artura przybyli z północy. To byli żołnierze, których zebrał pod Corinium, kwiat piechoty Brytanii. Przybył Sagramor ze swoimi zahartowanymi w boju wojownikami i jak Artur udał się na południowe zakole wałów Mynydd Baddon, obejrzeć nieprzyjaciela, sam objawiając im na horyzoncie swą szczupłą postać w czarnej zbroi. Na twarzy pojawił mu się rzadki gość, uśmiech.

- Są tak pewni swojej potęgi, że sami wystrychnęli się na dudków - rzekł z przyganą. - Wleźli w pułapkę, z której nie zechcą się ruszyć.

- Nie zechcą?

- Kiedy Sas raz wzniesie szalas, ani myśli zebrać się do wymarszu. Cerdykowi zejdzie co najmniej tydzień na ruszenie ich z tej doliny.

W rzeczy samej sascy wojownicy i ich rodziny rozłożyli się wygodnie i dolina rzeki przypominała dwie rojne wioski, kryte strzechą. Jedna z nich była niedaleko Aquae Sulis, podczas gdy druga znajdowała się dwie mile na wschód, tam gdzie dolina rzeki ostro skręca na południe. Ludzie Cerdyka obozowali na wschodzie, podczas gdy włócznicy Aelle'a kwaterowali albo w mieście, albo w nowo wzniesionych siedzibach za murami. Byłem zaskoczony tym, iż Sasi woleli osiedlić się w mieście niż go spalić, lecz każdego rana objuczony pochód mężów wynurzał się z bramy, zostawiając za sobą sielski widok dymu, bijącego z kominów nad strzechami i dachówkami Aquae Sulis. Pierwsza fala inwazji saskiej była szybka, lecz teraz straciła impet.

- I czemu podzielili armię na połowy? - spytał mnie Sagramor, wpatrując się z niedowierzaniem w szeroki wolny pas między obozowiskiem Aelle'a i chatami Cerdyka.

- Żebyśmy mieli tylko jedno miejsce ataku, dokładnie tam - wskazałem na dolinę - w którym znajdziemy się jak w pułapce.

- I dzięki któremu będziemy mieli do czynienia z dwiema armiami, a nie z jedną - zauważył z radością Sagramor. - Za kilka dni dopadnie ich zaraza.

To była nieodmienna towarzyszka każdej długo obozującej armii. To właśnie zaraza powstrzymała ostatnią inwazję Cerdyka na Dumnonię i niezwykle zaraźliwa choroba osłabiła naszą armię maszerującą na Londyn.

Lękałem się, że podobny los może nas znów spotkać, lecz, nie wiedzieć czemu, zostaliśmy oszczędzeni, być może dlatego, iż wciąż było nas niezbyt wielu, lub dlatego iż Artur rozrzucił swoją armię wzdłuż trzymilowego pasma wzgórz za Mynydd Baddon. Ja i moi ludzie pozostaliśmy na wzgórzu, lecz świeżo przybyli włócznicy okupowali linię północnych wzgórz. Przez pierwsze dwa dni po przybyciu Artura nieprzyjaciel mógł zająć te wzniesienia, nasze siły bowiem były nadal zbyt wątłe, lecz konnica nieustannie pokazywała się wrogowi, włócznicy bez przerwy maszerowali między drzewami, tak by sprawiać wrażenie, że jest nas więcej niż w rzeczywistości. Sasi zadowolili się obserwacją, a kiedy trzeciego dnia po przyjeździe Artura pojawili się żołnierze z Powys pod wodzą Cuneglasa, mogliśmy obsadzić linię szczytową silnymi pikietami, gotowymi wezwać pomocy w razie ataku Sasów. Nadal byliśmy w mniejszości, lecz mieliśmy przewagę pozycyjną i włócznie, którymi mogliśmy jej bronić.

Sasi powinni opuścić dolinę. Mogli pomaszerować ku ujściu Severn i rozpocząć oblężenie Glevum, tak że musielibyśmy zrezygnować z przewagi pozycji i iść za nimi, ale Sagramor miał rację; ludzie, którzy rozłożą się wygodnie, niechętnie ruszają się z miejsca, tak więc Cerdyk i Aelle uparcie trzymali się doliny rzeki, uważali bowiem, że nas oblegają, gdy po prawdzie to my byliśmy stroną oblegającą. Wreszcie podjęli kilka szturmów, ale żaden z nich nie przyniósł rezultatu. Sasi mrowili się na stokach wzgórz, lecz kiedy na grzbiecie wyrastał zwarty mur tarcz, gotowy do walki, a ciężka konnica Artura pokazywała się na skrzydłach z opuszczonymi włóczniami, zapal bitewny atakujących gasł i wycofywali się do wiosek. Każda taka nieudana próba jedynie przydawała nam pewności siebie.

Ta pewność siebie była tak wielka, że po przybyciu armii Cuneglasa, Artur uznał, iż może nas opuścić. Początkowo byłem zdumiony, albowiem wyjaśnił jedynie, iż ma ważną sprawę do załatwienia i musi wybrać się na całodzienną przejażdżkę w kierunku północnym. Zapewne to zdumienie musiało być widoczne, gdyż mój pan położył mi dłonie na ramionach i rzekł:

- Jeszcze nie osiągnęliśmy zwycięstwa.
- Racja, panie.
- Lecz kiedy do niego dojdzie, Derflu, pragnę, aby było druzgocące. Żaden inny cel nie odciągnąłby mnie stąd. - Uśmiechnął się. - Ufasz mi?
- Oczywiście, panie.

Zostawił Cuneglasowi dowództwo armii, lecz absolutnie zakazał atakowania doliny. Sasi mieli w dalszym ciągu uważać, że zapędzili nas w kozi róg, i dla wzmocnienia tego przekonania garstka ochotników udająca dezertków przedostała się do ich obozu. Mieli donieść wrogowi, iż nasi żołnierze tak podupadli na duchu, że wolą ucieczkę niż bój, a dowódcy kłócą się zapalczywie, nie wiedząc co lepsze - zostać i stawić czoło atakowi czy uciec na północ i błagać Gwent o azyl.

- Nie dostrzegam wyjścia z tej sytuacji - powiedział mi Cuneglas w dniu, w którym Artur chwilowo nas opuścił. - Jesteśmy dość silni, by utrzymać przewagę pozycyjną, lecz nie na tyle, by zejść na dół i ich pobić.

- W takim razie może Artur udał się po pomoc, królu? - zasugerowałem.

- Jaką pomoc?

- Może po Culhwcha? - rzekłem, chociaż było to nieprawdopodobne, jako że on podobno znajdował się na wschodzie, podczas gdy Artur udał się na północ. - Po Oengusa mac Airema? - Król Demetii obiecał armię Tarczowników Czarnych, lecz Irlandczyków wciąż nie było.

- Może po Oengusa, ale nawet z Tarczownikami Czarnymi nie będzie nas dość, aby pobić tych łotrów. - Skinieniem głowy wskazał dolinę. - Potrzebujemy do tego włóczników z Gwentu.

- A Meurig się nie ruszy - zauważyłem.

- On się nie ruszy - przyznał mi rację Cuneglas. - Lecz jest w Gwencie paru mężów chętnych do tego. Nadal nie mogą przeboleć doliny Lugg. - Posłał mi pełen goryczy uśmiech, gdyż wtedy sam był naszym nieprzyjacielem, a wojownicy z Gwentu, nasi sprzymierzeńcy, obawiali się wyruszyć przeciwko armii prowadzonej przez Cuneglasowego ojca. Niektórzy z nich nadal wstydzili się tamtego uniku, tym gorszego, że Artur zwyciężył bez ich pomocy, i podejrzewałem, iż gdyby Meurig udzielił nam zezwolenia, to Artur zebrałby w Gwencie ochotników do walki pod Aquae Sulis; lecz i tak nasze siły nadal byłyby zbyt szczupłe do pokonania Sasów.

- A może udał się na poszukiwanie Merlina? - zasugerowała Ginewra.

Odmówiła opuszczenia obozowiska jak inne kobiety, uparłszy się, iż chce uczestniczyć do końca w batalii, do klęski lub do zwycięstwa. Spodziewałem się, iż Artur zażąda jej odejścia, lecz za każdym razem, kiedy zjawiał się na szczycie, Ginewra znikwała nie wiedzieć gdzie, może w marnej chatce, wzniesionej na płaskowyżu, i pojawiała się dopiero po jego odejściu. Artur z pewnością był świadom jej obecności na Mynydd Baddon, śledził bowiem uważnie odejście naszych kobiet i z pewnością nie umknęło mu, iż nie było jej

pośród nich, lecz nie odezwał się słowem. Ginewra ze swej strony nie wspominała o Arturze, chociaż uśmiechnęła się promiennie, widząc, że zezwolił na pozostawienie jej sztandaru na wale. Początkowo zachęcałem ją do opuszczenia wzgórza, lecz oparła się tym sugestiom, a żaden z moich żołnierzy nie był za tym, by nas opuściła. Przypisywali jej to, że przeżyli - i słusznie - a w nagrodę wyekwipowali ją do bitwy. Zdarli bogatą kolczugę z trupa jakiegoś Sasa, oczyścili ją z zaschniętej krwi i sprezentowali Ginewrze. Namalowali jej znak na zdobycznej tarczy, a jeden z nich nawet odstąpił cenny hełm z wilczą kitą, tak że teraz nie różniła się rynsztunkiem bojowym od reszty żołnierzy, chociaż jakoś udało się jej sprawić - jak to Ginewrze - że w tym stroju do zabijania wyglądała niepokojąco uwodzicielsko. Stała się naszym talizmanem, ubóstwianą bohaterką wszystkich moich wojów.

- Nikt nie ma pojęcia, gdzie Merlin się podziewa - rzekłem w odpowiedzi na jej sugestię.

- Plotki głoszą, że w Demetii - powiedział Cuneglas. - Może więc przybędzie wraz z Oengusem?

- Ale twój druid jest tu? - spytała go Ginewra.

- Tak, Malaine przybył z nami - potwierdził Cuneglas. - I jego klątwy mają swoją moc. Nie taką jak Merlina, ale są niezłe.

- A co z Talezynem? - spytała.

Cuneglas nie okazywał zaskoczenia, że słyszała o młodym bardzie, najwyraźniej bowiem fama Talezyna rozchodziła się szybko.

- Poszukuje Merlina - wyjaśnił.

- I naprawdę jest tak świetny? - zapytała Ginewra.

- Naprawdę - potwierdził. - Potrafi śpiewem ściągnąć orła z niebios i łosiosa z głębokich wód.

- Ach, pragnęłabym go usłyszeć - westchnęła i w rzeczy samej te niezwykle dni na słonecznym wierzchołku wzgórza zdawały się odpowiedniejsze do słuchania śpiewów niż do rozlewu krwi. Wiosna była w pełnym rozkwicie, lato się zbliżało, a my leniuchowaliśmy na ciepłej trawie, obserwując nieprzyjaciół, którzy wydawali się rażeni nagłą niemocą. Podjęli kilka anemicznych szturmów na wzgórza, lecz nie włożyli bynajmniej serca w to, aby opuścić dolinę. Później dowiedzieliśmy się, że swarzyli się między sobą. Aelle chciał zgrupować wszystkich saskich włóczników i uderzyć z północy na wzgórza, tak by podzielić naszą armię i zniszczyć po kolei jej części, lecz Cerdyk wolał czekać na efekt wygłodzenia i upadku naszego ducha, chociaż były to próżne nadzieje, jako że mieliśmy spore zapasy, a nasza pewność siebie rosła z każdym dniem. To Sasi zgłodnieli pierwsi, albowiem lekka kawaleria

Artura nękała ich służby aprowizacyjne, i to Sasi pierwsi upadli na duchu; po tygodniu ujrzelśmy, jak wzgórki świeżej ziemi rosną na łąkach przy ich szałasach, co znaczyło, że nieprzyjaciel kopie groby dla swoich zmarłych. Choroba, która sprawia, że flaki wypełnia woda, a siła ucieka z człowieka, nawiedziła Sasów i słabli z każdym dniem. Ich kobiety zastawiały sieci w rzece, szukając pożywienia dla swojej dziatwy, oni kopali groby, a my wylegiwaliśmy w słońku i gwarzyliśmy o bardach.

Artur wrócił dzień po tym, jak Sasi zaczęli kopać groby. Przygalopował od strony przełęczy i wspiął się na stromiznę Mynydd Baddon. Ginewra musiała włożyć nowy hełm i przykucnąć między żołnierzami. Rude kędziory wymykające się spod dzwonu hełmu były jak sztandar, lecz Artur udawał, że niczego nie widzi. Wyszedłem mu na spotkanie, na sam środek wierzchołka, zatrzymałem się i przypatrywałem się mu w zadziwieniu.

Zawsze nosił tarczę zbitą z kawałków wierzby, okrytą skórą i wzmocnioną cienką srebrną płytą, odbijającą słońce, lecz teraz pojawił się na niej nowy znak. Krzyż, czerwony krzyż z dwóch pasków materiału. Chrześcijański krzyż. Artur uśmiechnął się szeroko na widok mojego zdziwienia.

- Podoba ci się, Derflu?

- Zostaliście chrześcijaninem, panie? - W moim głosie prócz zdumienia było poruszenie.

- Wszyscy staliśmy się chrześcijanami, również ty - rzekł. - Rozgrzejdzie żeleźca włóćni i wypalcie krzyże na tarczach.

Splunąłem, żeby odpędzić złe moce.

- Chcecie, byśmy to uczynili, panie?

- Słyszałeś, co rzekłem, Derflu - powiedział i zeskoczył z Llamrel. Podszedł do południowego wału, skąd miał widok na nieprzyjaciela. - Wciąż są, dobrze.

Cuneglas dołączył do mnie i usłyszał polecenie Artura.

- Chcesz, żebyśmy umieścili znak krzyża na tarczach? - spytał.

- Nie mogę niczego od ciebie żądać, królu - rzekł Artur. - Lecz jeśli umieścisz ten znak na swojej tarczy i tarczach twoich ludzi, będę wdzięczny.

- Dlaczego?! - spytał zapalczywie Cuneglas, znany z niechęci wobec nowej religii.

- Dlatego, że krzyż to cena, którą płacimy za przybycie armii Gwentu. - Artur nie odrywał wzroku od nieprzyjaciela.

Cuneglas patrzył na niego, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Meurig przybywa? - zapytał.

- Nie, nie Meurig - odparł Artur, odwracając się do nas. - Przybywa król Tewdryk. Zacny Tewdryk.

Tewdryk był ojcem Meuriga, królem, który ustąpił z tronu, by stać się mnichem, i Artur udał się do Gwentu błagać starca.

- Wiedziałem, że to możliwe - powiedział mi Artur. - Galahad i ja wiedliśmy z nim rozmowy przez całą zimę.

Początkowo stary król ociągał się z porzuceniem swojego pobożnego, skromnego życia, lecz mężowie Gwentu przyłączyli się do nalegań Artura i Galahada, tak że po nocach modlitw w swej malej kapliczce Tewdryk niechętnie oświadczył, iż tymczasowo wraca na tron i poprowadzi armię Gwentu na południe. Meurig sprzeciwiał się tej decyzji, czując się nią upokorzony i słusznie uważając ją za naganę, lecz wojsko poparło starego króla i teraz maszerowało na południe.

- Musiałem zapłacić pewną cenę - przyznał Artur. - Musiałem ugiąć kolana przed ich bogiem i obiecać, że zwycięstwo przypiszę jemu, lecz jestem gotów przypisać je każdemu bogowi, który spodoba się Tewdrykowi, byle król Gwentu sprowadził swoich włóczników.

- To cała zapłata? - spytał chytrze Cuneglas.

Artur spochmurniał.

- Chcą, żebyś wpuścił misjonarzy Meuriga do Powys.

- Ot, tak sobie? - zapytał Cuneglas.

- Być może dałem do zrozumienia, iż chętnie ich przywitasz - przyznał Artur. - Wybacz, królu. To żądanie przedstawiono mi zaledwie dwa dni temu i było pomysłem Meuriga. W ten sposób chciał ratować twarz.

Cuneglas skrzywił się. Robił, co w jego mocy, aby nie wpuścić chrześcijaństwa do swojego królestwa, uważając, że Powys nie potrzebuje tego całego fermentu, który wywołuje przybycie nowej wiary, lecz nie zaprotestował. Musiał uznać, iż lepsi w Powys chrześcijanie niż Sasi.

- Czy to wszystko, co obiecaliście Tewdrykowi, panie? - zapytałem podejrzliwie Artura. Pamiętałem, jak Meurig domagał się tronu Dumnonii i gorące pragnienie Artura pozbycia się tej odpowiedzialności.

- Te traktaty zawsze zawierają jakieś szczególiki, o których nie warto rozprawiać - rzucił beztrosko Artur. - Ale jest prawdą, iż obiecałem uwolnić Sansuma. Jest teraz biskupem Dumnonii! I na powrót królewskim doradcą. Tewdryk upierał się przy tym. Za każdym razem, kiedy usadzę naszego zacnego biskupa, znów podnosi ten golony łeb. - Roześmiał się.



- Czy to wszystko, co obiecaliście, panie? - powtórzyłem pytanie, nie mogąc opędzić się od podejrzeń.

- Naobiecowałem dość, Derflu, by mieć pewność, że Gwent przyjdzie nam z pomocą - rzekł stanowczo Artur. - I zobowiązali się zjawić tu za dwa dni z sześciuset najlepszymi włócznikami. Nawet Agrykola zdecydował, że nie jest za stary na walkę. Pamiętasz Agrykolę, Derflu?

- Oczywiście, że pamiętam go, panie. - Agrykola, stary dowódca Tewdryka, może i miał sporo lat na karku, lecz nadal pozostawał jednym z największych wojowników Brytanii.

- Wszyscy przybywają z Glevum. - Artur wskazał na zachód, gdzie droga do Glevum dochodziła do nadrzecznej doliny. - A gdy się zjawią, połączymy się z nimi i razem uderzymy w dół doliny.

Stał na wale, skąd wpatrywał się w nizinę, lecz oczami duszy nie spoglądał na pola, drogi i poruszane wiatrem kłosa ani na kamienne nagrobki rzymskiego cmentarza, lecz widział przebieg całej bitwy.

- Początkowo Sasi nie będą wiedzieli, co się dzieje - kontynuował - lecz wreszcie ujrzą wielkie siły wroga, śpieszące tą drogą. - Wskazał na rzymski trakt, tuż poniżej Mynydd Baddon. - I ty, królu - skłonił się Cuneglasowi - i ty, Derflu - zeskoczył z niskiego wału i dźgnął mnie palcem w brzuch - zaatakujecie ich z flanki. Prosto w dół, na ich szyk! Połączymy się z wami - zakrzywił dłoń, demonstrując, jak jego oddziały owina się wokół północnego skrzydła Sasów - i zmiażdżymy ich przy rzece.

Artur miał zaatakować z zachodu, a my z północy.

- A oni uciekną na wschód - rzekłem kwaśno.

Potrząsnął głową.

- Jutro Culhwch pomaszeruje na północ, łącząc się z żołnierzami Oengusa mac Airema, idącymi teraz od strony Corinium.

Był zachwycony swoim planem i nic dziwnego, albowiem jeśli wypalił, wówczas otoczylibyśmy wroga i zgotowali mu rzeź. Lecz ten plan nie był wolny od ryzyka. Wyliczyłem, że po przybyciu ludzi Tewdryka i Tarczowników Czarnych Oengusa dorównyalibyśmy liczbowo Sasom, lecz Artur proponował podział naszej armii na trzy mniejsze grupy. Jeśli nieprzyjaciele zachowaliby trzeźwość umysłu, mogliby zmiażdżyć każdą z nich. Lecz gdyby wpadli w panikę, gdybyśmy natarli wściekle i z mocą i gdyby wrzawa, kurz oraz przerażenie zmały im zmysły, moglibyśmy pognać ich jak bydło na rzeź.

- Potrzebujemy dwóch dni - rzekł Artur. - Tylko dwóch dni. Oby Sasi nie zwiedzieli się o niczym i oby nie ruszyli się z miejsca.

Kazał podać sobie konia, zerknął na rudowłosego włócznika i ruszył ku Sagramorowi, okupującemu grzbiet wzgórz za przełęczą.

W wieczór poprzedzający dzień bitwy wszyscy wypaliliśmy krzyże na naszych tarczach. To była mała cena za zwycięstwo, chociaż wiedziałem, że to niecała zapłata. Resztę mieliśmy wyłożyć krwią.

- Myślę, pani - zwróciłem się do Ginewry - że najlepiej zrobicie, zostając tu, na górze.

Piliśmy razem miód. Przekonałem się, iż lubi gwarzyć do późna, i nabrałem zwyczaju siedzenia z nią przy ognisku, zanim udałem się na spoczynek. Teraz wybuchła śmiechem na moją sugestię.

- Zawsze uważałam cię za nudziarza, Derflu - rzekła. - Niedomytego, tępego nudziarza. Teraz zaczęłam cię lubić, więc, proszę, nie każ mi myśleć, że zawsze miałam rację.

- Pani, mur tarcz to nie miejsce dla niewiasty.

- Więzienie również nie jest miejscem dla niewiasty, Derflu. Poza tym, czy myślisz, że zwyciężycie beze mnie? - Siedziała w wejściu do chaty, którą wznieśliśmy z wozów i ściętych drzewek. Miała do dyspozycji duży kawał miejsca przy ścianie w głębi i tej nocy zaprosiła mnie na wieczerzę. Jedliśmy mięso wolu pociągowego, upieczone na ogniu. Nasze ognisko gasło, rzadki dym unosił się ku jasnym gwiazdom, okalających łukiem świat. Sierp miesiąca wisiał nisko nad południowymi wzgórzami, służąc za tło wartownikom przechadzającym się po wałach.

- Chcę ujrzeć to do końca - powiedziała. Jej oczy błyszczały w mroku. - Od lat nic nie sprawiło mi takiej radości, od lat.

- To, co nastąpi jutro w dolinie, pani, nie będzie wcale radosne. To będzie ponura robota.

- Wiem... ale twoi ludzie wierzą, że przyniosę im zwycięstwo. Czy zabronisz im mojej obecności, skoro ta robota będzie tak ciężka?

- Nie, pani. Ale błagam was, strzeżcie się.

Uśmiechnęła się, słysząc, z jakim oporem przyszło mi ulec.

- Czy to lęk o moje życie, Derflu, czy też obawa, że Artur będzie się na ciebie złościł, jeśli przydarzy mi się krzywda?

Zawahałem się.

- Wydaje mi się, że może się złościć, pani - przyznałem.

Ginewra przez chwilę smakowała odpowiedź.

- Czy pytał o mnie? - W końcu zadała mi pytanie.

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą. - Ani razu.

Wpatrywała się w dogasające gównie.

- Może jest zakochany w Argancie - powiedziała ze smutkiem.

- Wątpię, czy choćby potrafi znieść jej widok - rzekłem. Tydzień temu wcale nie byłbym tak szczery, lecz teraz staliśmy się sobie o wiele bliżsi, Ginewra i ja. - Jest dla niego za młoda i nie dość mądra.

Spojrzała na mnie wyzywająco oczami, w których odbijał się ogień.

- Mądra... Kiedyś zdawało mi się, że jestem mądra. - Westchnęła. - Ale teraz uważasz mnie za nie lada głupią niewiastę, prawda?

- Nie, pani.

- Zawsze byłeś złym kłamcą, Derflu. To dlatego nigdy nie nadawałbyś się na dworaka. Żeby być dobrym dworakiem, musisz kłamać z uśmiechem na ustach. - Zatopiła spojrzenie w ognisku. Milczała długo, a kiedy się znów odezwała, łagodna kpina znikła z jej głosu. Może to bliskość bitwy przywiodła ją ku pokładom prawdy, których nigdy wcześniej przede mną nie odsłoniła. - Byłam głupia - rzekła cicho, tak cicho, iż musiałem się pochylić, by ją usłyszeć mimo trzasku ognia i śpiewu moich żołnierzy. - Teraz mówię sobie, że nawiedziło mnie jakieś szaleństwo, ale nie wydaje mi się, aby tak było. To była jedynie ambicja. - Znów ściszyła głos, przyglądając się migocącym płomykom. - Chciałam być żoną Cezara.

- Byliście nią, pani - powiedziałem.

Potrząsnęła głową.

- Artur nie jest Cezarem. Nie jest tyranem, ale wydaje mi się, iż chciałam, żeby nim był, kimś w rodzaju Gorfyddyda. - Gorfyddyd był ojcem Ceinwyn i Cuneglasy, brutalnym królem Powys, nieprzyjacielem Artura i, jeśli plotki mówiły prawdę, kochankiem Ginewry. Musiała myśleć o tych plotkach, bo nagle spojrzała mi prosto w oczy. - Mówiłam ci kiedy, że próbował mnie zgwałcić?

- Tak, pani.

- To nieprawda. - W jej głosie zabrzmiał ponury ton. - Nie próbował, naprawdę mnie zgwałcił. Czy też wmówiłam sobie, że mnie zgwałcił. - Mówiła krótkimi rwanymi zdaniami, jakby prawda kosztowała ją zbyt wiele. - Ale może to nie był gwałt. Pożądałam złota, zaszczytów, pozycji. - Bawiła się brzegiem kaftana, wyciągała niteczki z tkaniny. Byłem zażenowany, lecz nie przerywałem Ginewrze, bo wiedziałem, że rozmowa jest jej potrzebna. - Lecz nie dostałam tego od niego. On wiedział dokładnie, czego chcę, ale znacznie bardziej dbał o to, co sam chciał, i ani mu śniło zapłacić za mnie tyle, ile żądałam. Podsunął mnie więc Valerinowi. Czy wiesz, co zamierzałam zrobić z Valerinem? - Znów spojrzała mi śmiało w twarz, lecz tym razem blask w jej oczach nie był odbitym ogniem, ale łzami.

- Nie, pani.

- Zamierzałam uczynić go królem Powys - rzekła mściwie. - Zamierzałam wykorzystać Valerina do zemsty na Gorfyddydzie. Mogłam dopiąć celu, ale wtedy poznałam Artura.

- W dolinie Lugg zabiłem Valerina - rzekłem ostrożnie.

- Wiem.

- Miał na palcu obrączkę z waszym znakiem, pani.

Nie odrywała ode mnie wzroku. Wiedziała, jaką obrączkę mam na myśli.

- I był na nim krzyżyk kochanków? - spytała cicho.

- Tak, pani - potwierdziłem i dotknąłem mojej miłosnej obrączki, takiej samej, jaką miała Ceinwyn. Wielu ludzi nosiło miłosne obrączki z krzyżykiem, lecz niewiele z nich zrobiono ze złota uszczkniętego z Kotła z Clyddno Eiddyn, jak było to w przypadku naszych.

- Co zrobiłeś z tamtą obrączką? - spytała Ginewra.

- Cisnąłem ją do rzeki.

- Powiedziałaś o niej komu?

- Tylko Ceinwyn - rzekłem. - I Issa wie o niej, bo to on ją znalazł i mi przyniósł.

- A nie powiedziałaś Arturowi?

- Nie.

Uśmiechnęła się.

- Chyba nie miałam pojęcia, jaki z ciebie dobry przyjaciel, Derflu.

- Arturowy, pani. Ochraniałem jego, nie was.

- Pewnie tak. - Wróciła wzrokiem do ognia. - Kiedy to wszystko się skończy, spróbuję dać Arturowi to, czego chce.

- Siebie?

To chyba ją zaskoczyło.

- Czy tego chce? - spytała.

- On was kocha. Może o was nie pytał, ale szuka was wzrokiem za każdym razem, kiedy tu jest. Szukał was nawet wtedy, kiedy byliście w Ynys Wydryn. Mnie nigdy o tym nie mówił, lecz nie dawał spokoju Ceinwyn.

Skrzywiła się.

- Wiesz, jak uciążliwa bywa miłość, Derflu? Ja nie chcę być czczona. Nie chcę, żeby zaspokajano każdą moją zachciankę. Chcę poczuć jakieś ryzy. - Mówiła z zacietrzewieniem i otworzyłem usta, aby bronić Artura, ale gestem nakazała mi milczenie. - Wiem, Derflu, nie

mam prawa nic chcieć. Będę grzeczna, obiecuję. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, dlaczego Artur mnie teraz ignoruje?

- Nie, pani.

- Bo nie chce stanąć ze mną twarzą w twarz, dopóki nie odniesie zwycięstwa.

Pomyślałem, że pewnie ma rację, lecz Artur nie okazywał swego uczucia i wydało mi się, iż najlepiej będzie udzielić tu ostrzeżenia.

- Może zwycięstwo mu wystarczy - powiedziałem.

Potrząsnęła głową.

- Znam go lepiej od ciebie, Derflu. Znam go tak dobrze, że potrafię opisać go jednym słowem.

Próbowałem je znaleźć. „Dzielny”? Z pewnością, lecz to słowo pomijało całą jego opiekuńczość i poświęcenie. Zastanawiałem się, czy „oddany” nie jest lepsze, ale ono nie opisywało jego niespokojnego ducha. „Dobry”? Był z pewnością dobry, ale to proste słowo wykluczało gniew, który potrafił uczynić go nieprzewidywalnym.

- Co to za słowo, pani?

- Samotny - powiedziała Ginewra i przypomniałem sobie, że Sagramor użył w jaskini Mitry tego samego określenia. - Jest samotny jak ja. Więc niech ma to swoje zwycięstwo i może nie będzie już samotny.

- Niech bogowie uchronią was od złego, pani - rzekłem.

- Bogini, jak sądzę - powiedziała i pewnie ujrzała grozę na mojej twarzy. Roześmiała się. - Nie Izyda, Derflu, nie Izyda. - To kult Izydy zaprowadził ją do łoża Lancelota i mizarii Artura. - Myślę, że tej nocy wzniosę modły do Sulis. Ona wydaje mi się bardziej odpowiednia.

- Dołączam moje modły do waszych, pani.

Wstałem, gotów wyjść, lecz wstrzymała mnie jeszcze gestem ręki.

- Odniesiemy zwycięstwo, Derflu - rzekła z przekonaniem. - Odniesiemy zwycięstwo i wszystko się zmieni.

Mówiliśmy to tak wiele razy i nigdy nic się nie zmieniało. Lecz teraz, pod Mynydd Baddon, mieliśmy podjąć jeszcze jedną próbę.

Przyszykowaliśmy naszą pułapkę w dzień tak piękny, że jego uroda aż ścisnęła za serce. Zapowiadało się również, że będzie długo trwał, noce bowiem stawały się coraz krótsze i cienie wydłużały się w nieskończoność, nie rozpluwając się w czerni.

Wieczorem przed bitwą Artur wycofał swoje oddziały ze wszystkich wzgórz za Mynydd Baddon. Rozkazał pozostawić jedynie ogniska, by Sasi uważali, że nadal przebywają przy nich żołnierze, lecz on zabrał ich na zachód. Mieli połączyć się z wojownikami z Gwentu, idącymi drogą z Glevum. Oddziały Cuneglasy również zeszyły ze wzgórz, lecz stały się na Mynydd Baddon i tam czekały razem z moim ludźmi.

Tej nocy Malaine, główny druid Powys, chodził między włócznikami. Rozdawał werbenę, kamienie elfów i kawałki suszonej jemioły. Chrześcijanie zebrali się i modlili, chociaż zauważyłem, że wielu spośród nich przyjęło dary druida. Modliłem się przy wale, błagając Mitrę o wielkie zwycięstwo, po czym próbowałem zasnąć, lecz na Mynydd Baddon nie było spokoju, tętniło odgłosami rozmów i uporczywym zgrzytem żelaza tartego o kamień.

Ja wcześniej naostrzyłem włócznie i przydałem świeżego szlifu głowni Hywelbane'a. Nigdy nie dawałem sługom ostrzyć broni przed bitwą, sam się tym zajmowałem i poświęcałem się temu z takim zapamiętaniem jak wszyscy moi żołnierze. Kiedy zyskałem pewność, iż oręż jest tak ostry, że bardziej być nie może, położyłem się nieopodal schronienia Ginewry. Chciałem zasnąć, lecz nie mogłem pozbyć się lęku na myśl, iż niebawem będę musiał stanąć w zwartym szyku wojowników. Wypatrywałem wróżby, obawiając się, że ujrzę sowę, i znów usilnie próbowałem zasnąć. W końcu pewnie pogrążyłem się we śnie, lecz był męczący i pełen koszmarów. Wiele czasu minęło, od kiedy stałem w murze tarcza, co dopiero, od kiedy rozbijałem szyk nieprzyjaciela.

Obudziłem się zmarznięty, niewyspany i drżący. Wszędzie leżała obfita rosa. Ludzie stękali i pokaszliwali, sikali i pojękiwali. Nad wzgórzem unosił się smród, bo chociaż wykopaliśmy latryny, nie było strumienia, który zabrałby nieczystości.

- Ach, te męskie smrody i hałasy - rozległ się cierpki głos Ginewry z cienia jej schronienia.

- Spaliście, pani? - zapytałem.

- Trochę. - Wyczołgała się spod niskiej gałęzi, służącej za dach i drzwi. - Zimno.

- Niebawem będzie gorąco.

Przykucnęła obok mnie, otulona płaszczem. Włosy miała zmierzwiłone, oczy podpuchnięte od snu.

- O czym myślisz podczas bitwy? - spytała.

- Żeby przeżyć, o zabijaniu, zwyciężeniu.

- Czy to miód? - spytała.

- Woda, pani. Miód odbiera szybkość w bitwie.

Wzięła ode mnie wodę, ochlapała sobie oczy i resztę wypła. Była zdenerwowana, lecz wiedziałem, że nie uda mi się jej przekonać, by została na wzgórzu.

- A Artur, co on myśli podczas bitwy? - zapytała.

Uśmiechnąłem się.

- O pokoju, który następuje po walce, pani. Wierzy, że każda bitwa będzie ostatnia.

- A przecież bitwom nigdy nie będzie końca - rzekła zamyślona.

- Pewnie nie - zgodziłem się z nią. - Lecz w tej, pani, trzymajcie się blisko mnie. Bardzo blisko.

- Tak, szlachetny Derflu - powiedziała żartobliwie i posłała mi oszałamiający uśmiech.

- I dziękuję, Derflu.

Nim światło słońca trysnęło zza wschodnich wzgórz i pomalowało szkarłatem porwane chmury, a potem rzuciło głębokie cienie w saską dolinę, mieliśmy na sobie zbroje. Złoty krąg wspinał się na nieboskłon, a cienie rzedły i się kuliły. Kędziory mgieł unosiły się z rzeki, nasycając dymy ognisk, pośród których nieprzyjaciel poruszał się z niezwykłą energią.

- Coś się tam kroi - rzekł Cuneglas.

- Może wiedzą, że szukujemy natarcie?

- Żeby nam nie było za łatwo - zauważył ponuro Cuneglas, chociaż jeśli Sasi faktycznie zwietrzyli nasze plany, nie okazywali tego, nie podejmowali bowiem żadnych kroków zaradczych. Mur tarcz nie ustawiał się licem ku Mynydd Baddon, żadne oddziały nie maszerowały na zachód, ku Glevum. Gdy słońce wzniosło się na tyle, iż spaliło mgłę z nadrzecznych brzegów, można było jedynie uznać, że w końcu zdecydowali się całkowicie porzucić to miejsce i szykowali się do marszu. Nie dało się jednak powiedzieć, dokąd się udadzą, wprawdzie bowiem zbierali wozy, juczne konie, stada bydła i owiec. Z naszej wysokości wyglądało to jak rozkopane mrowisko, opanowane przez chaos, lecz stopniowo narzucające sobie jakiś ład. Ludzie Aelle'a zebrali bagaże przy północnej bramie Aquae Sulis, podczas gdy żołnierze Cerdyka zorganizowali się do marszu przy obozowisku w zakolu rzeki. Kilka szałasów płonęło. Niewątpliwie zamierzali spalić przed odejściem oba obozowiska. Pierwsza wyruszyła lekka kawaleria, kierując się na Glevum.

- Szkoda - rzekł cicho Cuneglas. Konny zwiad zmierzał prosto na Artura. Atak z zaskoczenia mógł się nie udać.

Czekaliśmy. Nie mogliśmy zbiec ze wzgórza, dopóki nie uzyskamy kontaktu wzrokowego z Arturem. Dopiero wtedy mieliśmy szybko wypełnić wolną przestrzeń między oddziałami Aelle'a i Cerdyka. Ten pierwszy był skazany na straszliwą szarżę Artura, podczas gdy moi włócznicy i oddziały Cuneglasa miały zapobiec temu, by Cerdyk przyszedł mu z

pomocą. Nie ulegało wątpliwości, że będzie nas mniej od nieprzyjaciela, lecz Artur miał nadzieję, iż zdoła przedrzeć się przez szeregi Aelle'a i przyjść nam z pomocą. Spojrzałem w lewo, mając nadzieję, że ujrzę na rzymskim trakcie ludzi Oengusa, lecz odległa droga nadal była pusta. Jeśli Tarczownicy Czarni nie przybyliby, Cuneglas i ja znaleźlibyśmy się w imadle dwóch saskich armii. Moi ludzie byli roztrzęsieni. Nie mogli przyjrzeć się dolinie, zaleciłem im bowiem schować się aż do naszego ataku. Niektórzy mieli zamknięte oczy, paru chrześcijan uklękło, rozkładając ramiona, podczas gdy inni mężowie suwali osetkami po grotach włóczni, już ostrych jak brzytwa. Druid Malaine rzucał czary, które miały zachować nas od złego, Pyrlig modlił się, a Ginewra przyglądała mi się szeroko otwartymi oczami, jakby mogła odczytać z mojej twarzy, co się wydarzy.

Sascy zwiadowcy znikli na zachodzie, lecz teraz nagle wrócili galopem. Kurz unosił się spod końskich kopyt. Przybyli na tyle szybko, że mogliśmy się domyślać, iż dostrzegli Artura, i zdałem sobie sprawę, że niebawem zamęt przygotowań Sasów przemieni się w mur tarcz i włóczni. Ująłem długie jesionowe drzewce włóczni, przymknąłem oczy i posłałem modlitwę w niebieskie przestworza, tam gdzie słuchali jej Bel i Mitra.

- Popatrz na nich! - krzyknął Cuneglas, kiedy się modliłem, i otworzywszy oczy, ujrzałem, jak atakujący konni Artura wypełniają zachodni koniec doliny. Słońce świeciło na ich twarzach, odbijając się od setek nagich ostrzy i polerowanych hełmów. Przy rzece jeźdźcy poganiali konie, z zamiarem przejścia mostu na południe od Aquae Sulis, podczas gdy piechota Gwentu maszerowała wielkim szeregiem przez środek doliny. Żołnierze Tewdryka nosili się z rzymska: napierśniki z brązu, czerwone płaszcze i gęste grzebienie na hełmach, tak że ze szczytu Mynydd Baddon wyglądali jak falangi szkarłatu i złota pod wieloma chorągwiami, na których, w miejsce czarnego byka Gwentu, widniał czerwony chrześcijański krzyż. Po swojej północnej stronie mieli włóczników Artura, prowadzonych przez Sagramora, pod jego szerokim czarnym sztandarem, z drzewcem zwieńczonym czaszką Sasa. Do dzisiejszego dnia mogę zamknąć oczy i widzę natarcie tej armii, kurz unoszący się na drodze i zdeptane łany zbóż.

Tymczasem przed nimi zapanowały panika i chaos. Sasi biegali, szukając zbroi, ratując żony, wypatrując wodzów lub zbierając się w grupki, z których z wolna powstawał pierwszy mur tarcz, nieopodal ich obozowiska przy Aquae Sulis, lecz był to marny szyk, płytki i źle dowodzony, i ujrzałem, jak jakiś konny daje znak, by się wycofał. Po naszej lewej żołnierze Cerdyka szybciej formowali szyk, ale znajdowali się ponad dwie mile od nadchodzących oddziałów Artura, co znaczyło, że ludzie Aelle'a będą musieli przyjąć główny



impet natarcia. Za jego pierwszą linią, która z daleka wydawała się postrzępiona i mroczna, zbliżało się nasze popolite ruszenie, uzbrojone w kosy, topory, oskardy i pałki.

Znak Aelle'a uniósł się między rzymskimi grobami i jego włócnicy z pośpiechem wycofali się pod zakrwawioną czaszkę. Sasi już porzucili Aquae Sulis, swoje zachodnie obozowisko i bagaże, zebrane pod miastem. Może liczyli na to, że żołnierze Artura zatrzymają się i będą plądrować wozy i juczne konie, lecz Artur przewidział to niebezpieczeństwo i poprowadził swoich ku północy, w dobrej odległości od murów miasta. Włócnicy z Gwentu obsadzili most, a ciężka jazda udała się za złoto-szkarłatną linią. Wydawało się, że wszystko następuje niezwykle powoli. Z Mynydd Baddon mieliśmy widok jak na dłoni i widzieliśmy ostatnich Sasów, uciekających przez zrujnowane wały Aquae Sulis, wreszcie sformowany mur tarcz Aelle'a oraz ludzi Cerdyka, śpieszących mu na pomoc drogą. W myślach popędzaliśmy Artura i Tewdryka, chcieliśmy, by zmiażdżyli żołnierzy Aelle'a, zanim jego sprzymierzeniec wkroczy do bitwy, ale odnosiliśmy wrażenie, iż atak się ślimaczy. Konni posłańcy pędzili między oddziałami włócników, lecz nie wydawało się, aby jeszcze komuś się śpieszyło.

Oddziały Aelle'a cofnęły się pół mili od Aquae Sulis, zanim sformowały szyk, i teraz czekały na natarcie Artura. Czarownicy sascy miotali się na polach między armiami, lecz nie widziałem żadnego druida przed żołnierzami Tewdryka. Maszerowali w imię chrześcijańskiego boga i w końcu, wyprostowawszy szyk, starli się z wrogiem. Oczekiwałem rozmów między pierwszymi szeregami, wymiany rytualnych obelg przywódców, kiedy dwa mury tarcz oceniają się nawzajem. Wiedziałem, że żołnierze potrafią wpatrywać się w siebie godzinami, zbierając odwagę do ataku, lecz ci chrześcijanie z Gwentu nie zwolnili kroku. Nie było spotkania wrogich przywódców ani czasu dla saskich czarowników na rzucanie klątw, chrześcijanie bowiem po prostu zniżyli włócznie, unieśli okrągłe tarcze z wymalowanym krzyżem i pomaszerowali prosto między rzymskimi grobami na wroga.

Na wzgórze dotarł huk, z jakim tarcze zderzyły się o siebie. To był tępy zgrzyt, jakby grom szukał sobie drogi na swobodę z głębi ziemi, odgłos uderzenia setek tarcz i włóchni, kiedy dwie wielkie armie starły się bezpośrednio. Żołnierze Gwentu zostali zatrzymani, unieruchomieni saską masą, która legła na nich, i wiedziałem, że tam w dole umierają ludzie. Przekłuwani włóczyniami, rąbani toporami, deptani. Żołnierze pluli i warczeli nad brzegami tarcz jak wilki, a ścisk był taki, że ledwo dało się unieść miecz.

Wtedy z północnej flanki uderzyli wojownicy Sagramora. Numidyjczyk wyraźnie planował oskrzydlić Aelle'a, lecz saski król wcześniej dojrzał niebezpieczeństwo i wysłał oddziały rezerwy, które miały przyjąć szarżę Sagramora. Znow rozległ się trzask tarcz o

tarcze, po czym bitwa jakby zastygła. Tak widzieliśmy ją my, obserwujący zmagania z lotu ptaka. Dwie masy żołnierzy zwały się, ci z tyłu parli na tych w pierwszych szeregach, ci z kolei szukali miejsca do pchnięcia włócznią, gdy tymczasem ludzie Cerdyka śpieszyli ile tchu w piersiach rzymskim traktem. Powstała groźba, że kiedy tylko dotrą na miejsce bitwy, z łatwością oskrzydlą Sagramora. Mogli obejść go od tyłu, i dlatego Artur nakazał nam pozostać na szczycie, przewidując ten rozwój wypadków.

Cerdyk musiał zgadywać, że nie ruszyliśmy się z miejsca. Nie widział niczego z doliny, nasi żołnierze bowiem ukrywali się za niskimi wałami Mynydd Baddon, lecz ujrzałem, jak przegalopował do grupy swoich i wskazał im zbrocze. Uznałem, iż czas na nas, i popatrzyłem na Cuneglasa. Spojrzał na mnie w tej samej chwili i uśmiechnął się.

- Niech bogowie będą z tobą, Derflu.

- I z wami, królu. - Uściskałem wyciągniętą dłoń i przycisnąłem dłonią kolczugę, szukając uspokajającej obecności broszy Ceinwyn.

Cuneglas wszedł na wał i odwrócił się do nas.

- Nie spodziewajcie się po mnie mowy! - krzyknął. - Ale tam na dole czekają Sasi, a o was gadają, że w całej Brytanii nikt nie tłucze ich tak jak wy. No to chodźcie i pokażcie, co umiecie! I pamiętajcie! Kiedy zejdziecie w dolinę, trzymać szyk! Tarcza przy tarczy! Naprzód!

Wydaliśmy okrzyk i przeskoczyliśmy wał. Zwiadowcy Cerdyka, wysłani na szczyt, zatrzymali się i przystąpili do odwrotu, gdy kolejni włócznicy pojawiali się nad nimi. Zbiegaliśmy na dół w liczbie pięciuset chłopów, szybko jak się dało, skręcając ku zachodowi, by ugodzić w Cerdykowe oddziały wsparcia.

Teren był zarośnięty kępami trawy, spadzisty i nierówny. Nie biegliśmy w żadnym szyku, lecz prześcigaliśmy się nawzajem, by dotrzeć na dół, i tam, pokonawszy pole zdeptanego zboża i przelazwszy dwa kolczaste żywopłoty, na których zostawiliśmy nieco naszego przyodziewku i skóry, utworzyliśmy mur tarcz. Stałem po lewej stronie, Cuneglas po prawej i gdy tylko uformowaliśmy szyk, jak należy, wydałem komendę do ataku. Przed nami, na polu, Sasi formowali swój szyk, ich żołnierze biegli od drogi, chcąc stawić nam czoło. Ruszywszy, popatrzyłem na prawo i ujrzałem, że między nami i ludźmi Sagramora zionie odstęp, tak wielki, że nawet nie widziałem znaku Numidyjczyka. Niedobrze mi się robiło na myśl o tym odstepie, o tym, jakie potworności może on zrodzić i co może zaskoczyć nas od tyłu, lecz Artur był stanowczy. „Nie wahajcie się - rzekł - nie czekajcie, aż Sagramor się z wami połączy, tylko uderzajcie”. Pomyślałem, że to pewnie on przekonał wojowników z

Gwentu do natychmiastowego ataku. Zamierzał posiać wśród Sasów panikę, nie dać im czasu, i teraz przyszła nasza kolej szybko włączyć się do bitwy.

Saski szyk był byle jaki i krótki; utworzony z dwustu wojów Cerdyka, niespodziewających się walki w tym miejscu, lecz mających jedynie wesprzeć tylne szeregi Aelle'a. Byli wystraszeni. My również, lecz nie daliśmy lękowi czasu, by mógł zawładnąć odwagą. Musieliśmy iść w ślady ludzi Tewdryka, zaatakować bez przystawania, wytrącić przeciwnika z równowagi, tak więc z bojowym zawołaniem na ustach przyspieszyłem kroku. Dobyłem Hywelbane'a i dzierżyłem go w lewicy, zawiesiwszy tarczę na przedramieniu. W prawicy miałem ciężką włócznię. Nieprzyjaciel dreptał w miejscu, zbijając się razem, obniżając tarcze, i gdzieś po mojej lewej spuszczonego psa bojowego. Usłyszałem wycie zwierzęcia, a potem w szaleństwie bitwy zapomniałem o wszystkich z wyjątkiem brodatych gąb, które miałem przed sobą.

Podczas walki wzbiera w człowieku straszliwa nienawiść, nienawiść zrodzona w mrokach duszy, która napęnia wojownika płonąca, żądną krwi wściekłością. I uciechą. Wiedziałem, że mur tarcz Sasów pęknie. Wiedziałem to na długo przed tym, nim go zaatakowałem. Był zbyt płytki, zbyt pośpiesznie sformowany i także zbyt wylężony, tak więc wysforowałem się przed swoich i, biegnąc na wroga, rykiem wyraziłem nienawiść. W tamtej chwili przepełniała mnie jedynie żądza zabijania. Nie, przepełniało mnie coś więcej. Pragnienie, by bardowie śpiewali o Derflu Cadarnie pod Mynydd Baddon. Pragnąłem, by ludzie, patrząc na mnie, mówili: „Oto woj, który przełamał mur tarcz pod Mynydd Baddon”; pragnąłem mocy, która ma swoje źródło w takiej sławie. Niewielu mężów w Brytanii miało tę moc; między innymi Artur, Sagramor, Culhwch, a była ona silniejsza niż wszystko z wyjątkiem władzy królewskiej. W naszym świecie miecz stanowił o randze męża i uciec przed mieczem oznaczało utracić honor, tak więc biegłem przed siebie, szaleństwo wypełniało mi duszę, a uniesienie dawało straszliwą siłę, kiedy wybierałem swoje ofiary. Byli to dwaj młodzi mężczyźni, niedorównujący mi wzrostem, obaj roztrzęsieni, z rzadkimi brodami i uchylający się przed walką, jeszcze zanim na nich natarłem. Oni ujrzeli dowódcę Brytów w pełnej chwale, a ja ujrzałem dwóch nieżywych Sasów.

Włócznia przeszła gardło jednego. Rzuciłem ją, gdy topór wgrzył się w moją tarczę; ujrzałem ten topór i sparowałem go, po czym napałem tarczą na drugiego Sasa, biorąc Hywelbane'a w prawą rękę. Zadałem cios płatowy i wióry poleciały z saskiej włóczni. Słyszałem, że moi ludzie wlewają się za mną. Zakręciłem mieczem nad głową, powtórzyłem cios, wydałem kolejny okrzyk, ciąłem poprzecznie i nagle nie miałem przed sobą nikogo, jeno trawiastą połec ziemi, jaskry, drogę i nadrzeczną łąkę. Znalazłem się po drugiej stronie

wrażego szyku i wrzaskiem obwieściłem zwycięstwo. Odwróciłem się, wbiłem miecz w krzyże człowieka, który stał przede mną. Wyrwałem ostrze z ciała. Krew kapiała z niego i nagle okazało się, że nie ma już wrogów. Saski szyk przestał istnieć lub też raczej zamienił się w umarłych i umierających, broczących krwią na trawę. Pamiętam, jak uniosłem tarczę i miecz ku słońcu i wyrzycałem podziękowania Mitrze.

- Zewrzeć szyk! - To Issa rozkazywał, kiedy ja świętowałem zwycięstwo.

Pochyliłem się po włócznię. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem kolejnych Sasów, śpieszących ze wschodu.

- Zewrzeć szyk! - powtórzyłem wściekły okrzyk Issy.

Cuneglas ustawiał swój mur tarcz ku zachodowi, przeciwko tylnej straży Aelle'a, podczas gdy ja szykowałem się na przyjęcie ludzi Cerdyka, nadbiegających od wschodu. Moi wojownicy krzyczeli i szydzili z umierających wrogów. Wyróżnili jeden saski szyk i teraz pożąдали więcej krwi. Za mną, między żołnierzami Cuneglasa i moimi, nadal było kilku żywych Sasów, lecz wystarczyło roboty trzech żołnierzy, żeby umarli. Podcięto im gardła, nie było czasu na branie jeńców. Ginewra pomagała moim ludziom.

- Panie, panie! - krzyczał Eachern z prawej strony naszego krótkiego muru. Wskazywał na grupę Sasów, śpieszącą przez niebroniony pas ziemi między nami i rzeką. Ten pas był szeroki, lecz Sasi nie nam zagrażali, mieli za cel pomóc Aelle'owi.

- Niech sobie bieżą! - odkrzyknąłem. Bardziej niepokoił mnie Sasi przed nami, zatrzymali się bowiem i formowali szyk. Widzieli owoce naszego niedawnego natarcia i nie zamierzali wystawić się na podobny los co ich bracia, tak więc formowali szyk głęboki na cztery czy pięć szeregów, a potem zaczęli wiwatować, gdy jeden z czarowników wybiegł przed nich szalonymi susami, ciskając na nas klątwy. Był obłąkany, przez twarz przebiegały mu drgawki, gdy obrzucał nas błotem. Sasi cenili takich mężów, uważając, że mają posłuch bogów, a bogowie pewnie bledli jak chusta, słysząc przekleństwa owego człeka.

- Zabić go? - spytała Ginewra, bawiąc się łukiem.

- Wolałbym, żeby was tu nie było, pani - rzekłem.

- Trochę na to za późno - odparła.

- Niech sobie rzuca klątwy. - Nie robiły wrażenia na moich ludziach. Zapraszali Sasów do wypróbowania ich ostrzy, lecz ci nie byli w nastroju do ataku. Czekali na posiłki, które były niedaleko.

- Królu! - krzyknąłem do Cuneglasa. Odwrócił się. - Widzieliście Sagramora?

- Jeszcze nie.

Nie dostrzegłem też Oengusa i jego Tarczowników Czarnych, którzy mieli wynurzyć się zza wzgórz i zepchnąć Sasów jeszcze bardziej na bok. Zacząłem się lękać, że zaatakowaliśmy przedwcześnie i że jesteśmy w pułapce. Z jednej strony były oddziały Aelle'a, które otrząsały się z paniki, z drugiej Cerdyka, który starannie wzmacniał mur tarcz przed atakiem na nas.

Eachern krzyknął po raz drugi i spojrzałem na południe. Sasi biegli teraz na wschód zamiast na zachód. Pola między nami i rzeką pełne były ogarniętych paniką żołnierzy. Przez krótką chwilę byłem tym tak zaskoczony, że nie pojmowałem, co się dzieje. Wtedy usłyszałem hałas. Hałas jak grom. Łomot końskich kopyt.

Rumaki mojego pana były wielkie. Sagramor mówił mi kiedyś, że Artur porwał je Chlodwigowi, królowi Franków, a jeszcze wcześniej były hodowane dla Rzymian i żadne wierzchowce w Brytanii nie dorównywały im rozmiarami, a dosiadali ich wybrani jeźdźcy, mężowie potężnej postury. Lancelot skradł nam wiele koni i po części spodziewałem się ujrzeć je wśród oddziałów wroga, lecz Artur wyśmiał moje obawy. Rzekł mi, iż Lancelot porwał tylko klacze rozplodowe i rozbrykane jednolatki, a wyćwiczenie konia wymaga lat, tak jak jeździec musi strawić wiele lat na zdobycie swych umiejętności. Lancelot, w przeciwieństwie do Artura, nie dysponował wyszkoloną konnicą i teraz mój pan wiódł ją z północnego stoku na żołnierzy Aelle'a, stawiających opór Sagramorowi.

Z wielkich rumaków zostało tylko sześćdziesiąt i były zmęczone, wpierw bowiem musiały przebyć drogę do południowego mostu przy Aquae Sulis, a potem do drugiego skrzydła nieprzyjaciela, lecz Artur nadjeżdżał galopem i wpadł z całym rozpędem na tyły Aelle'a. Żołnierze w ostatnim szeregu parli przed siebie, wzmacniając mur tarcz, walczący z ludźmi Sagramora, tak że pojawienie się Artura było dla nich jak grom z jasnego nieba. Nie zdążyli się odwrócić i sformować szyku. Konie rozerwały na strzępy tylne szeregi nieprzyjaciela, Sasi rozpierzchli się, a wojownicy Sagramora odepchnęli pierwszą linię, tak że nagle prawe skrzydło armii Aelle'a zostało złamane. Niektórzy Sasi uciekali na południe, szukając schronienia wśród resztek swojej armii, lecz inni pobiegli na wschód, ku Cerdykowi, i tych właśnie ujrzeliśmy na nadrzecznych łąkach. Artur i jego jeźdźcy roznieśli ich bezlitośnie. Długimi mieczami siekli uciekinierów, aż trawa znikła pod trupami, porzuconymi tarczami i mieczami. Artur przegalopował wzdłuż mojego szeregu. Biały płaszcz nasycił się krwią, Excalibur sczerwieniał, wyraz wielkiej radości rozświetlił wymizerowane oblicze mojego pana. Hygwydd, jego sługa, dzierżył sztandar z niedźwiedziem, teraz z czerwonym krzyżem w dolnym rogu. Hygwydd, zwykle najbardziej zamknięty z ludzi, posłał mi szeroki uśmiech, po czym odjechał w ślad za Arturem w górę wzniesienia, gdzie konie mogły złapać

oddech i potem zagrozić flance Cerdyka. Zginął Morfans Szpetny, lecz to była jedyna strata Artura.

Szarża złamała prawe skrzydło Aelle'a i Sagramor wiódł teraz swoich ludzi rzymskim traktem, zamierzając połączyć się ze mną. Jeszcze nie otoczyliśmy armii Aelle'a, lecz wcisnęliśmy ją między drogę i rzekę, a zdyscyplinowani chrześcijanie szli tym korytarzem, siejąc po drodze śmierć. Cerdyk nadal był poza naszym okrążeniem i musiało mu przyjść do głowy, żeby zostawić Aelle'a na zatracenie, lecz chyba uznał, że wciąż ma zwycięstwo w zasięgu dłoni, że wygra tego dnia i cała Brytania stanie się Lloegyrią.

Cerdyk zignorował zagrożenie, jakim była konnica Artura. Musiał wiedzieć, iż uderzyła na Aelle'a w chwili największego chaosu, sądził więc, że zwarty szyk zdyscyplinowanych włóczników nie ma się czego bać konnicy, i rozkazał swoim żołnierzom ustawić mur tarcz, opuścić włócznie i ruszyć do ataku.

- Zewrzeć szyk! Zewrzeć szyk! - krzychałem, wpychając się do pierwszego szeregu, w którym starannie założyłem brzeg swojej tarczy o brzegi tarcz sąsiadów. Sasi dreptali przed siebie, zmierzając do zwarcia, szukali wzrokiem słabego punktu w naszej linii. Nie widziałem wrogich czarowników, lecz sztandar Cerdyka widniał w środku wielkiej formacji. W pamięć wrył mi się obraz brodatych twarzy, rogatych hełmów, chrapliwy, nieustanny głos rogów. Skupiłem się na ostrzach włóczni i toporów. Sam Cerdyk był gdzieś w tej masie ludzi, słyszałem bowiem jego głos.

- Zewrzeć szyk! Zewrzeć szyk! - wołał do swoich ludzi. Spuszczono na nas dwa wielkie psy bojowe; gdzieś po mojej prawej wybuchł rozgardiasz, kiedy zwierzęta zderzyły się z ludźmi. Sasi musieli ujrzeć, że moja formacja gnę się w miejscu ataku psów, bo nagle wydali krzyk radości i przyśpieszyli kroku.

- Zewrzeć szyk! - krzyknąłem i uniosłem włóczę nad głowę. Przynajmniej trzech Sasów wbiło się w mnie wzrokiem, kiedy rzucili się do ataku. Byłem panem, obwieszonym złotem, i gdyby mogli posłać moją duszę w zaświaty, zdobyliby rozgłos i bogactwo. Jeden z nich wyprzedził wszystkich, spragniony chwały, mierząc włóczę w moją tarczę. Zgadłem jednak, że w ostatniej chwili obniży grot, celując w kostki u nóg. Wtedy nie było czasu na takie myśli, jedynie na walkę. Wbiłem włóczę w twarz wojownika, przesuwając tarczę w przód i w dół, by sparować cios. Lecz jego żeleźce i tak trafiło mnie w kostkę, rozorało skórę prawego buta pod nagolenicą zabraną Wulfgerowi. Ja trafiłem go włóczę w twarz i zanim wyszarpnąłem ja z powrotem, on padał na wznak, a następni wrogowie zmierzali ku mnie, życząc mi śmierci.

Było to w chwili szczepienia się dwóch szyków, któremu towarzyszył huk, jaki wydają wpadające na siebie planety. Teraz czułem woń Sasów, skóry, potu i gówna, lecz nie piwa. Ta bitwa rozpoczęła się zbyt wcześnie rano, Sasi byli zaskoczeni i nie mieli czasu upić się dla kurażu. Moi ludzie napierali na mnie, wgniatali w tarczę, która pchała tarczę jakiegoś Sasa. Splunąłem w brodatą twarz, pchnąłem włócznią nad jego ramieniem i poczułem, że chwytają ją ręka nieprzyjaciela. Puściłem drzewce i pchnąwszy z całej siły tarczą, zrobiłem sobie na tyle miejsca, że mogłem dobyć Hywelbane'a. Walnąłem nim jak młotem w człowieka, którego miałem przed sobą. Zamiast hełmu miał skórzaną czapkę, wypchaną szmatami, i świeżo naostrzona głownia miecza doszła do mózgu. Utknęła na chwilę i właśnie mocowałem się z trupem, podczas gdy na moją głowę spadł saski topór.

Hełm przyjął uderzenie. Rozległ się brzęk, który wypełnił cały świat, i nagle w mojej głowie zapanowała ciemność, przesywana błyskami światła. Moi ludzie opowiadali mi później, iż przez długą chwilę byłem nieprzytomny, lecz ani na moment nie upadłem, utrzymał mnie bowiem nacisk ciał. Nie pamiętam niczego, lecz niewielu mężów pamięta cokolwiek z miażdżącego naporu tarcz. Pchasz, przeklinasz, plujesz i, kiedy możesz, zadajesz ciosy. Jeden z sąsiadów w szyku mówił potem, że nogi ugięły się pode mną i już leciałem na zabitych przeze mnie wojowników, lecz mąż za mną ucapił mnie za pas miecza i wyprostował, a moje wilcze kity zbiły się wokół mnie, osłaniając własnymi ciałami. Nieprzyjaciel wyczuł, że jestem ranny, i walczył zacieklej, topory spadały na pogięte tarcze i szczyrbiły głownie mieczy, lecz powoli wychodziłem z omdlenia i zdałem sobie sprawę, iż stoję w drugim szeregu, nadal bezpieczny za błogosławioną osłoną tarczy i nadal z Hywelbane'em w dłoni. Głowa mnie bolała, lecz tego byłem nieświadom, wiedziałem jedynie, że muszę kłuć, rąbać, krzyczeć i zabijać. Issa wypełnił wyrwę uczynioną przez psy, zawzięcie siekąc Sasów, którzy wdarli się w nasz pierwszy szereg; uszczelniał nasz szereg ich ciałami.

Cerdyk miał nad nami przewagę liczebną, lecz nie mógł nas oskrzydlić od północy, tam bowiem była ciężka konnica, a że nie chciał rzucać ludzi w górę wzniesienia, przeciwko szarzy konnicy, posłał żołnierzy, by obeszli nas od południa. Sagramor przewidział taki manewr i zappełnił tę przestrzeń swoimi ludźmi. Pamiętam łomot tarcz. Krew nasączyła prawy but i mlaskała, kiedy tylko stawałem na tę nogę; w głowie pulsował ból, usta wykrzywił wilczy grymas. Mąż, który zajął moje miejsce w pierwszej linii, nie chciał się cofnąć.

- Ustępują, panie! - wrzeszczał. - Ustępują!

I doprawdy napór wrogów malał. Nie byli pokonani, jedynie wycofywali się i nagle wielki okrzyk wezwał ich do odwrotu, a oni po raz ostatni dźgali włóczniami lub machali

toporami i ustępowali znacznie. Nie pognaliśmy za nimi. Byliśmy zbyt wykrwawieni, zbyt obici i zmęczeni, a drogi broniły stosy trupów, sięgające linii, najeżonej żeleźcami włóczni i okrytej tarczami. Niektórzy w tych stosach byli martwi, inni drgali w agonii i błagali o dobicie.

Cerdyk wycofał się, chcąc stworzyć nowy mur tarcz, na tyle silny, by przebić się do Aelle'a, teraz okrążonego przez oddziały Sagramora, który zamknął obszar między mną a rzeką. Później dowiedziałem się, iż Aelle został zepchnięty do rzeki przez włóczników Tewdryka. Arturowi wystarczyło jeno tylu żołnierzy, by zamknąć potrzask wokół Sasów, a resztę posłał na pomoc Sagramorowi.

Mój hełm wygiął się po lewej stronie i pękł u podstawy, cios bowiem przebił go wraz ze skórzaną wyściółką. Kiedy zdjąłem go z głowy, wyszarpnąłem sobie kępkę skrwawionych włosów. Ostrożnie obmacałem czaszkę, ale nie wyczułem pęknięcia, tylko opuchliznę i pulsujący ból. Na lewym przedramieniu miałem szarpaną ranę, tors był obolały, prawa kostka nie przestawała krwawić. Issa kulał, ale twierdził, że to tylko draśnięcie. Niall, przywódca Tarczowników Czarnych, nie żył. Włócznia przebiła napierśnik i leżał na wznak; drzewce sterczało z piersi w niebo, krew lśniła w rozdziawionych ustach. Eachern stracił oko. Obwiązał pusty oczodół kawałkiem szmaty, nasadził hełm na byle jaki opatrunek i klął się, że nieprzyjaciel zapłaci setką oczu za to jedno.

Artur zjechał ze wzgórza, by pochwalić moich ludzi.

- Zatrzymajcie ich jeszcze raz! - krzyknął. - Zatrzymajcie, dopóki Oengus nie przybędzie, i wtedy wykończymy ich na zawsze!

Za nim podążał Mordred, wielki królewski sztandar powiewał obok niedźwiedzia. Nasz król dzierżył nagi miecz, a w szeroko wybałuszonych oczach odbijało się podniecenie. Brzeg rzeki na długości dwóch mil zakrywały trupy, umierający, kurz, krew, żelazo i ludzkie szczątki.

Złoto-szkarłatne szeregi Tewdryka zwierwały się coraz ciasniej wokół tych ludzi Aelle'a, którzy jeszcze żyli. Nadal walczyli i Cerdyk kolejny raz próbował się do nich przebić. Artur powiodł Mordreda w górę wzgórza, podczas gdy my znów uformowaliśmy szyk.

- Pałą się do bitwy - zauważył Cuneglas, kiedy zobaczył, że Sasi znów nacierają.

- Bo nie są pijani - powiedziałem.

Cuneglas był nietknięty i pełen uniesienia męża, który wierzył, że jego życie chroni jakiś czar. Walczył w pierwszej linii, zabijał i nie został nawet draśnięty. Nigdy nie był



sławny jako wojownik, w przeciwieństwie do jego ojca, i teraz uwierzył, że zasłużył sobie na koronę.

- Uważajcie na siebie, panie - rzekłem, gdy oddalał się do swoich ludzi.

- Zwycięzamy, Derflu! - krzyknął, odjeżdżając z pośpiechem, by odeprzeć atak.

Zapowiadał się szturm o wiele potężniejszy niż za pierwszym razem, Cerdyk bowiem ulokował swoją drużynę w środku linii, a ta wypuściła wielkie psy bojowe. Pomknęły na Sagramora, komenderującego z centrum naszym szykiem. Zaraz potem sascy włócznicy wdarli się w wyrwy utworzone przez psy. Usłyszałem szczęk tarcz, a potem nie miałem czasu na myślenie o Sagramorze, bo saskie prawe skrzydło uderzyło na moich ludzi.

Znów zagrzechotały tarcze. Znów pchaliśmy włócznikami i cięliśmy mieczami, znów parliśmy jedni na drugich. Mój saski przeciwnik cisnął włócznię na ziemię i usiłował dobrać mi się do żeber nożem. Ostrze szczybiło się na kolczudze, a saski woj stękał, zagryzał zęby i dźgał, wwiercając sztych noża między żelazne kółka. Nie miałem na tyle miejsca, by złapać go za nadgarstek, tak więc tłukłem go po głowie głowicą Hywelbane'a, tłukłem i tłukłem, aż osunął się na ziemię i mogłem go podeptać. Nadal próbował mnie dźgnąć, lecz wojownik za mną przeszył go włócznią, po czym tak pchnął mnie tarczą, że poleciałem na wroga. Po mojej lewej saski bohater rąbał na prawo i lewo toporem, otwierając ścieżkę w naszym murze, lecz ktoś podciął mu nogi drzewcem włóczni i pół tuzina wojowników rzuciło się na powalonego męża, dziurawiąc go mieczami i włócznikami. Umarł wśród trupów swoich ofiar.

Cerdyk jeździł za saską linią, krzykiem nakazując swoim ludziom przeć i zabijać. Wrzasnąłem do niego, by zsiadł z konia i walczył jak mężczyzna, lecz albo mnie nie usłyszał, albo zignorował wyzwanie. Popędził na południe, gdzie Artur walczył obok Sagramora. Mój pan zauważył, jakiemu natarciu musi sprostać Numidyjczyk, i przyprowadził swoich konnych za jego linię, by go wzmocnić. Jeźdźcy Artura wpychali się w ludzką kotłującą się masę, pracując długimi lancami nad głowami pierwszego szeregu. Był tam Mordred i później mówiło się, że walczył jak demon. Naszemu królowi nigdy nie brakowało zwierzęcej odwagi w walce, jedynie zdrowego rozsądku i poczciwości w powszednim życiu. Nie był wytrawnym jeźdźcem, tak więc zsiadł z konia i zajął miejsce w pierwszym szeregu. Widziałem go później. Był skąpany w krwi od stóp do głów; ani kropla jednak nie pociekła z jego żył. Ginewra stała za naszą linią. Ujrzawszy wolnego konia Mordreda, dosiadła go i szyła z łuku z wysokości końskiego grzbietu. Widziałem, jak jedna jej strzała utkwiała w tarczy Cerdyka, lecz strącił ją jak muchę.

Wyczerpanie zakończyło drugie zwanie murów tarcz. Przyszła chwila, w której byliśmy za bardzo utrudzeni, by znów dźwignąć miecz. Mogliśmy jedynie lec na

nieprzyjacielskiej tarczy i obrzucać się przekleństwami. Od czasu do czasu ktoś znalazł siłę do uniesienia topora lub pchnięcia włócznią, i szal bitewny chwilowo rósł, by zaraz opaść, bo tarcze wysysały z nas siły. Wszyscy krwawili, wszyscy byli obici, wszyscy mieli sucho w ustach i kiedy nieprzyjaciel się wycofał, byliśmy mu wdzięczni za chwilę wytchnienia.

My też się cofnęliśmy, zostawiając stopy zabitych w miejscu zwania dwóch szyków. Rannych zabraliśmy ze sobą. Wśród nich było kilku, na których czołach odznaczył się rozprazono grot włóczni, znak, że przyłączyli się do rebelii Lancelota zeszłego roku. Teraz ginęli za Artura. Znalazłem też Borsę. Leżał ranny; dygotał i skarżył się na zimno. Brzuch miał rozpruty, więc gdy go uniosłem, flaki posypały się na ziemię. Położyłem go z powrotem, a on wydawał piski rannego psiaka i słuchał mojego głosu, kiedy opowiadałem mu, że Kraina Cieni czeka na niego z płonącymi paleniskami, dobrymi kompanami i zawsze pełnymi rogami miodu; potem mocno złapał moją lewicę, gdy szybkim ruchem Hywelbane'a poderżnąłem mu gardło. Jakiś Sas czołgał się na czworakach pośród trupów, żaloszny i ślepy, krew sączyła mu się z ust, dopóki Issa nie sięgnął po topór i nie rozrąbał mu kręgosłupa. Jeden z moich młodzieniaszków rzygał, a potem ruszył chwiejnym krokiem, dopóki przyjaciel nie złapał go i nie podtrzymał. Młodzik płakał, bo popuścił w spodnie i teraz wstydził się okrutnie, lecz nie on jeden się zesrał. Pole cuchnęło gównem i posoką.

Ludzie Aelle'a stali daleko za nami w ciasnej formacji, plecami do rzeki. Naprzeciwko siebie mieli żołnierzy Tewdryka, lecz ci kontentowali się jedynie tym, że mają ich w potrzasku, nie nacierali, osaczeni wojownicy bowiem są zdolni do straszliwego oporu. Jednak Cerdyk w dalszym ciągu nie zamierzał porzucić swojego sprzymierzeńca; wciąż miał nadzieję przebić się przez włóczników Artura, połączyć z Aelle'em, a potem uderzyć ku północy, rozpoławiając nasze oddziały. Próbował tego już dwa razy i teraz zbierał resztki swojej armii do ostatniego wielkiego wysiłku. Nadal miał świeżych ludzi, w tym najemników z frankijskiej armii Chlodwiga, i ci wypoczęci wojowie zostali teraz wyprowadzeni na front i na naszych oczach byli zagrzewani do boju przez czarowników, którzy potem odwrócili się i rzucali na nas przekleństwa. Ten atak szykowano bez żadnego pośpiechu. Nie było takiej potrzeby, nie nastąpiło nawet południe i ludzie Cerdyka mieli czas posilić się, napić i przygotować. Jeden z ich bębnow wojennych odezwał się ponuro. Sasi zbierali się na skrzydłach, niektórzy z psami na smyczach. Wszyscy byliśmy wyczerpani. Posłałem ludzi do rzeki po wodę i gasiliśmy pragnienie, łapczywie chłepcząc z hełmów zabitych. Artur podjechał do mnie i skrzywił się, ujrzawszy, w jakim stanie jesteśmy.

- Dacie radę stawić opór trzeci raz? - spytał.

- Musimy, panie - rzekłem, chociaż zapowiadała się ciężka chwila. Straciliśmy wielu ludzi i nasz mur tarcz miał być płytki. Stąpiliśmy włócznie i miecze, a brakowało osełek, żeby je naostrzyć, podczas gdy nieprzyjaciel wprowadzał do walki posiłki, dysponujące na dodatek nietkniętym orężem. Artur zeskoczył z Llamrel, rzucił cugle Hygwyddowi i poszedł ze mną ku poszarpanej linii trupów. Znał niektórych z imienia i twarz pokrył mu cień, gdy ujrział młodzieniaszka, który niewiele nacieszył się życiem, zanim napotkał swojego wroga. Zatrzymał się i pogładził czoło Borsa, poszedł dalej i znów przystanął obok Sasa, który leżał ze strzałą w ustach. Przez chwilę myślałem, że coś powie, lecz on tylko się uśmiechnął. Wiedział, że Ginewra jest z moimi ludźmi, w rzeczy samej musiał widzieć ją na koniu, pewnie dostrzegł też jej chorągiew, powiewającą obok mojego gwiazdzystego znaku. Znow popatrzył na strzałę i radość zamigotała mu na twarzy. Klepnął mnie w ramię i wrócił ku naszym wojownikom, siedzącym lub wspartym na włóczniach.

Ktoś w formujących się szeregach Sasów rozpoznał Artura, wybiegł na szeroki wolny pas ziemi, dzielący armie i wyzwiał go na pojedynek. To był Liofa, szermierz, z którym walczyłem w Thunreslea. Nazwał Artura tchórzem i babą. Nie przetłumaczyłem i mój pan nie nakazał mi tego. Liofa zbliżył się. Nie miał tarczy, zbroi, nawet hełmu i był zbrojny tylko w miecz, do tego ukryty w pochwie, jakby chciał zademonstrować, że nie lęka się nas. Widziałem bliznę na jego policzku i kusilo mnie zawrócić i naznaczyć go większą, taką która zabrałaby go do grobu, lecz Artur powstrzymał mnie.

- Zostaw go - rzekł.

Liofa nie przestawał nas drażnić. Robił miny jak niewiasta, dając znać, że jesteśmy kobietami, obracał się do nas plecami, jakby zapraszał do ataku. Nadal nikt się nie poruszył. Znow odwrócił się do nas twarzą, pokręcił głową, współczując nam tchórzostwa, po czym przeszedł się wzdłuż linii trupów. Sasi wiwatowali na jego cześć, podczas gdy moi ludzie obserwowali go w milczeniu. Przekazałem wiadomość, że to Cerdykowy czempion, niebezpieczny przeciwnik, i że nie wolno go zaczepiać. Nasi ludzie byli rozjuszeni widokiem puszącego się Sasa, ale lepiej było dać Liofie żyć niż stworzyć mu szansę upokorzenia jednego z naszych utrudzonych włóczników. Artur starał się dodać ducha żołnierzom. Dosiadł Llamrel i ignorując zaczepki Liofy, pogalopował wzdłuż linii trupów. Przepędził nagich saskich czarowników, potem dobył Excalibura i zbliżył się jeszcze bardziej do saskiej linii, demonstrując swój biały pióropusz i zakrwawiony płaszcz. Jego tarcza z czerwonym krzyżem błyszczała, a wielu żołnierzy wiwatowało na jego widok. Sasi umykali przed nim, podczas gdy Liofa, bezradny wobec takiego zachowania Artura, nazywał go niewieścim wojownikiem. Mój pan nawrócił i przyjechał do mnie galopem. Dał w ten sposób znać, że nie

uważa Liofy za godnego siebie przeciwnika, co musiało ubóść saskiego czempiona, bo zbliżył się do nas jeszcze bardziej, szukając przeciwnika.

Zatrzymał się przy stosie ciał. Wszedł między trupy i wyszarpnął z nieżywej ręki tarczę. Uniósł ją wysoko, tak że wszyscy widzieliśmy orla Powys, a kiedy był pewien, iż każdy z nas rozpoznał znak, cisnął tarczę, spuścił portki i naszczał na insygnia Powys. Potem wycelował w zabitego, tak że obelga stała się nie do zniesienia.

Cuneglas ryknął w gniewie i wybiegł przed linię.

- Nie! - krzyknąłem i ruszyłem ku niemu. Pomyślałem, że już lepiej, bym ja zmierzył się z Liofą, znałem bowiem przynajmniej jego sztuczki i zwinność, lecz było za późno.

Cuneglas dobył miecza i nie zwracał na mnie uwagi. Tego dnia uwierzył, że żaden cios go nie drażnie. Był królem bitewnego pola, mężem, który, zmuszony do udowodnienia swojego bohaterstwa, wywiązał się z tego zadania. Teraz uwierzył, że jest w stanie spełnić każdy swój zamysł. Powali zuchwałego Sasa na oczach swoich ludzi i bardowie przez lata będą śpiewać o królu Cuneglasie Potężnym, Cuneglasie zabójcy Sasów, Cuneglasie Wojownika.

Nie mogłem go uratować, bo gdyby się wycofał lub inny mąż zajął jego miejsce, straciłby twarz, tak więc patrzyłem, zmartwiały, gdy pewny siebie kroczył ku szczupłemu Sasowi, nieprzywdzianemu w zbroję. Cuneglas był w starym przyodziewku bojowym swojego ojca: żelaznej zbroi wykończonych złotem i w hełmie zwieńczonym skrzydłem orła. Uśmiechał się. Był wniebowzięty, unoszony wspomnieniami chwalebnych czynów i wierzył, iż otacza go łaska bogów. Nie zawahał się i wymierzył Liofie cios; wszyscy przysięgliśmy, iż cios musi dojść celu, lecz Liofa wyślizgnął się spod miecza, zrobił unik, roześmiał się i zrobił kolejny unik, Cuneglas tymczasem zadał kolejny cios.

Wszyscy nasi ludzie i Sasi ryczeli, zagrzewając walczących. Milczeliśmy tylko Artur i ja. Brat Ceinwyn umierał na moich oczach, a ja nie mogłem uczynić niczego. Lub też nie mogłem uczynić niczego honorowego, albowiem ratując Cuneglasa, przysporzyłbym mu niesławę. Artur popatrzył na mnie z siodła, pełen niepokoju.

Nie mogłem mu ulżyć w strapieniu.

- Walczyłem z nim - rzekłem z goryczą. - To morderca.

- Ty żyjesz.

- Jestem wojownikiem, panie. - Cuneglas nigdy nim nie był i to właśnie dlatego chciał się sprawdzić, ale Liofa robił z niego durnia. Cuneglas atakował nieustannie, próbując rozrąbać przeciwnika, a ten za każdym atakiem kucał albo robił zwód i ani razu nie

skontrował; nasi ludzie powoli umilkli, ujrzeni bowiem, że ich król traci siły, a Liofa igra sobie z nim.

Grupa z Powys rzuciła się na ratunek swojemu królowi, na co Liofa zrobił trzy szybkie susy w tył i bez słowa wskazał ich mieczem. Cuneglas odwrócił się i ujrzał swoich ludzi.

- Wracać! - krzyknął na nich. - Wracać! - powtórzył, z jeszcze większą złością. Musiał wiedzieć, że jego los jest przesądzony, lecz nie zamierzał utracić twarzy. Honor jest wszystkim.

Ludzie z Powys zatrzymali się. Cuneglas odwrócił się do Liofy i tym razem nie rzucił się na oślep, ale wybrał bardziej przemyślny sposób ataku. Po raz pierwszy jego miecz zetknął się z ostrzem Liofy i Sas poślizgnął się na trawie. Cuneglas wydał okrzyk zwycięzcy, wzniosł miecz, by zabić swojego dręczyciela, lecz poślizgnięcie się i upadek Liofy były tylko chytrym manewrem. Przetoczył się na bok, jego miecz zatoczył błyskawiczny łuk, ledwie muskając źdźbła trawy, i werznął się w prawą łydkę Cuneglasa. Ten przez chwilę stał prosto, z drżącym mieczem w dłoni, a gdy Liofa poderwał się na nogi, Cuneglas runął powoli na ziemię. Sas odczekał, aż król wyciągnie się na trawie, po czym kopnięciem odrzucił Cuneglasową tarczę i ukłął raz sztychem miecza.

Sasi wiwatowali ochryple, triumf Liofy był im bowiem dobrą wróżbą, zapowiedzią zwycięstwa. Czempion zdążył porwać miecz Cuneglasa i uciekł lekkim krokiem przed wojownikami, którzy ścigali go, chcąc pomścić swojego króla. Łatwo umknął pogoni, odwrócił się i zaczął z nich szydzić. Nie musiał więcej walczyć, albowiem zwyciężył w pojedynku. Zabił króla nieprzyjaciela i sascy bardowie na pewno będą śpiewać o Liofie Straszliwym, zabójcy królów. Tamtego dnia przysporzył Sasom pierwszego zwycięstwa.

Artur zsiadł z konia. Sam, wspomagany tylko przeze mnie, wziął Cuneglasa z pola bitwy. Płakaliśmy, niosąc ciało. Przez wszystkie lata nie mieliśmy lojalniejszego sprzymierzeńca niż Cuneglas syn Gorfyddyda, król Powys. Nigdy nie kłócił się z Arturem i ani razu go nie zawiódł, a wobec mnie był jak brat. Był zacnym człowiekiem, hojnym, sprawiedliwym, a teraz nie żył. Wojowie Powys odebrali od nas swego króla i zanieśli go poza mur tarcz.

- Imię tego mordercy jest Liofa. Dam sto złotych monet temu, kto przyniesie mi jego głowę.

Rozległ się krzyk, więc się odwróciłem. Sasi, pewni zwycięstwa, rozpoczęli natarcie.

Moi ludzie stali w miejscu. Ocierali pot z czoła. Nałożyłem podniszczony zakrwawiony hełm, opuściłem żelazne policzki, chwyciłem włócznię.

Czas było powrócić do boju.

To był największy saski atak i szli do niego pewni siebie włócznicy, którzy otrząsnęli się z wcześniejszego zaskoczenia. Teraz zamierzali przełamać nasze szeregi i uratować Aelle'a. Idąc, wyli swoje pieśni wojenne, tłukli włócznikami o tarcze i obiecywali sobie nawzajem po stosie trupów wroga. Wiedzieli, że zwycięstwo jest ich. Przetrzymali najcięższe ataki, jakie Artur zdołał poprowadzić, odrzucili nas i zmusili do zatrzymania się; ich czempion zarznął naszego króla i teraz, prowadzeni przez świeże oddziały, szli nas wykończyć. Frankowie przygotowywali swe lekkie oszczepy, mające pokryć nasz mur tarcz deszczem ostrego żelaza.

Gdy nagle z Mynydd Baddon zahuczał róg.

Początkowo niewielu z nas go usłyszało, tak głośne były krzyki, tupot nóg i jęki umierających, ale róg zahuczał po raz wtóry, potem trzeci, a wtedy żołnierze odwrócili się i wyteżyli wzrok ku opuszczonym wałom Mynydd Baddon. Przystanęli nawet Frankowie i Sasi. Byli zaledwie pięćdziesiąt kroków przed nami, gdy wstrzymał ich głos rogu. Podobnie jak my odwrócili się i wlepili oczy w wysoki zieleniejący się stok.

Ujrzeli samotnego jeźdźca i chorągiew.

To była tylko jedna chorągiew, ale wielkich rozmiarów; rozpostarty na wietrze kawał białego płótna, na którym wyszyto czerwonego smoka Dumnonii. Zionąca ogniem bestia, o straszliwych szponach i ogonie, stawała na tylnych łapach. Wzdymana wiatrem chorągiew niemal przewracała jeźdźca, który ją trzymał. Nawet z daleka widzieliśmy, iż ten chorąży dosiada konia sztywno i niezgrabnie, jakby nie potrafił sprawnie pokierować karego rumaka ani utrzymać drzewca wielkiej płachty, lecz wyrosli za nim dwaj włócznicy i dźgnęli zwierzę w zad, tak że skoczyło gwałtownie w dół stoku, a jeździec gibnął się mocno w tył. Koń zbiegał po stoku, a chorąży z kolei poleciał w przód. Czarny płaszcz uniósł się na wietrze, odsłaniając lśniąca białą zbroję, tak białą, jak furkoczące w górze płótno. Za nim biegła rycząca masa wojów z czarnymi tarczami oraz inni mężowie, ze znakiem odyńca. Toczyli się z Mynydd Baddon, jak my stoczyliśmy się tuż po świcie. Przybyli Oengus mac Airem i Culhwch. Jednak, miast uderzyć drogą z Corinium, pierw wdrapali się na Mynydd Baddon, tak że ich żołnierze mogli połączyć się z naszymi.

Lecz to jeździec przyciągał mój wzrok. Jechał wielce niezdarnie i dopiero teraz dostrzegłem, iż przywiązano go do wierzchowca. Pod końskim brzuchem biegł powróż, który krępował jeźdźcowi nogi w kostkach, a ciało przymocowano mu do siodła deszczułkami. Nie nosił hełmu, tak że jego długie włosy powiewały swobodnie na wietrze, a poniżej nie było

twarży, jeno szczerząca zęby czaszka, obleczona wyschniętą żółtą skórą. To był Gowen, nieżywy Gowen, mający w miejscu nosa dwie czarne szpary, a miast oczu tylko puste oczodoły. Głowa tańczyła na ramionach, podczas gdy ciało, do którego przymocowano drzewce chorągwi, kołysało się na boki.

To była śmierć na karym koniu imieniem Anbarr i na widok tego upiora, nadjeżdżającego ze skrzydła, pewność siebie Sasów runęła. Tarczownicy Czarni wyli za Gowenem, popędzając rumaka i trupiego jeźdźca nad żywopłotami, prosto na Sasów. Wojownicy Oengusa nie atakowali żadną formacją, gnali wyjąca masą. To był irlandzki sposób walki, przerażający atak oszalałych mężów, miłujących rzeź.

Przez chwilę wynik bitwy chwiał się. Sasi niedawno byli o krok od zwycięstwa, lecz Artur ujrzał ich wahanie i niespodziewanie rzucił rozkaz do ataku:

- Naprzód! Naprzód!

Mordred dołączył się do niego, krzycząc również:

- Naprzód!

Tak rozpoczęła się rzeź pod Mynydd Baddon. Bardowie nadal opowiadają ją ze szczegółami i raz przynajmniej nie przesadzają. Przebyliśmy linię trupów i zaatakowaliśmy Sasów włóczniami, podczas gdy Tarczownicy Czarni i ludzie Culhwcha uderzyli z flanki. Przez dłuższą chwilę rozlegał się tylko brzęk mieczy, łomot toporów o tarcze, stękania. Pot lał się, gdy napierały na siebie dwa mury tarcz, lecz saska armia załamała się i walczyliśmy pomiędzy wyszczerbionymi szeregami na polach śliskich od krwi Franków i Sasów. Sasi uciekali, złamani szaleńczym atakiem prowadzonym przez trupa na karym rumaku, i zabijaliśmy ich, a mordowanie stało się czymś tak zwyczajnym jak oddychanie. Zarzuciliśmy Most z Mieczu trupami Sasów. Przeszywaliśmy ich włóczniami, wypruwaliśmy flaki, a niektórych po prostu topiliśmy w rzece. Początkowo nie braliśmy jeńców, lecz dawaliśmy folgę latom nienawiści wobec niecierpianego wroga. Armia Cerdyka rozpękała się pod podwójnym atakiem i wdarliśmy się z rykiem w nierówne szeregi, rywalizując między sobą, kto zabije więcej. To była orgia śmierci, kłębowisko mordu. Niektórych Sasów ogarnęła taka zgroza, że nie mogli się ruszyć; stali, wybałuszając oczy, czekając na śmierć, podczas gdy niektórzy walczyli jak demony, inni ginęli podczas ucieczki, a jeszcze inni próbowali schronienia w falach rzeki. Znikł wszelki ślad zwartego szyku, zamieniliśmy się w sforę szalejących psów bojowych, rwących nieprzyjaciela na strzępy. Widziałem Mordreda, jak, kulejąc na chromej stopie, powalał Sasów, widziałem Artura ścigającego uciekinierów, widziałem mężów z Powys, po tysiącokroć mszczących swojego króla. Widziałem Galahada o twarzy spokojnej jak zawsze, tnącego z końskiego grzbietu na prawo i lewo. Widziałem

Tewdryka w księżym habicie, wychudłego jak szkielet, z tonsurą na łbie, rąbiącego bez opamiętania wielkim mieczem. Był tam stary biskup Emrys, z wielkim krzyżem na szyi i w starym napierśniku, przywiązany do habitu sznurem z końskiego włosia.

- Idźcie do czarta! - ryczał, kłując włócznią bezradnych Sasów. - Płońcie w oczyszczającym ogniu po wieczność!

Widziałem Oengusa mac Airema, z brodą zbroczoną saską krwią, nadzieją na włócznię następne ofiary. Widziałem Ginewrę, pędzącą na koniu Mordreda i tnącą mieczem, który jej daliśmy. Widziałem Gowena, z gładko odciętą głową, bezwładnego na zakrwawionym koniu, który spokojnie szczypał trawę pośród saskich trupów. W końcu widziałem Merlina, on to bowiem przybył z ciałem Gowena i chociaż był starcem, tłukł Sasów swoją laską i wyklinał ich od żalosnych robali. Miał eskortę Tarczowników Czarnych. Dojrzał mnie, uśmiechnął się i ponaglił machnięciem ręki do dalszego mord.

Przeszliśmy przez wioskę Cerdyka, w której kobiety i dziatwa kuliły się w chatach. Culhwch i kilkunastu mężów z zimną krwią wyrąbywali krwawą dróżkę między Sasami, próbującymi ochronić swoje rodziny i porzucony bagaż Cerdyka. Sascy strażnicy zginęli i splądrowane złoto rozsypało się jak siewka. Pamiętam kurz wznoszący się niczym mgłą, płonące chaty, plujące dymem, i powracający widok wielkich Arturowych koni, galopujących z łoskotem wśród ogarniętych paniką ludzi, padających z włóczniami w plecach. W niszczeniu pokonanej armii nie ma żadnej radości. Mur tarcz lamie się i śmierć rozpoczyna rządę, tak więc zabijaliśmy, aż nasze ramiona ustały od unoszenia mieczy, a kiedy przyszedł kres zabijania, ocknęliśmy się w bagnie krwi, po czym nasi ludzie znaleźli w taborach nieprzyjaciela miód i piwo i rozpoczęło się pijaństwo. Niektóre saskie kobiety znalazły ochronę wśród garstki trzeźwych mężów, przynoszących wodę z rzeki naszym rannym. Szukaliśmy przyjaciół i napotkawszy ich żywych, braliśmy się w objęcia, a znalazłszy martwych, płakaliśmy za nimi. Poznaliśmy zaćmienie umysłu, tego kompana miażdżącego zwycięstwa, płakaliśmy i śmialiśmy, a niektórzy, chociaż znużeni jak psy, tańczyli z czystej radości.

Cerdyk uciekł. Wraz ze swą drużyną przebił się przez chaos i pokonał wschodnie wzgórza. Niektórzy Sasi przepłynęli rzekę, inni udali się za swoim królem, a garstka udawała zabitych i wymknęła się nocą, lecz większość pozostała w dolinie u stóp Mynydd Baddon i jest tam do dziś dnia.

Albowiem zwyciężyliśmy. Zamieniliśmy nadrzeczne pola w rzeźnię. Uratowaliśmy Brytanię i spełniliśmy marzenie Artura. Byliśmy królami rzezi, panami świata zabitych i ogłosiliśmy nasz krwawy triumf wyciem aż pod niebo.



Siła Sasów została złamana.

## CZEŚĆ TRZECIA

Klątwa Nimue

Królowa Igraine siedzi na parapecie okna mojej celi i czyta ostatnie karty pergaminu, od czasu do czasu pytając mnie o sens jakiegoś saskiego słowa, lecz przeważnie zachowując milczenie. Szybko przebiega wzrokiem opowieść o bitwie, po czym z niesmakiem ciska zapiski na podłogę.

- Co stało się z Aelle'em? - pyta oburzona. - Albo z Lancelotem?

- Dojdę do ich losów, pani - mówię. Przyciskam gęsie pióro do blatu kikutem lewej ręki i ostrzę je nożem, po czym zdmuchuję strużyny na podłogę. - Wszystko w swoim czasie.

- Wszystko w swoim czasie! - powtarza karcąco. - Nie możesz pozostawić opowieści bez zakończenia, Derflu!

- Będzie miała zakończenie - obiecuję.

- Jest potrzebne tu i teraz - upiera się moja królowa. - Taki jest cały sens opowieści. W życiu nie ma miłych zakończeń, więc muszę je mieć w opowieści.

Ma teraz wielki brzuch, gdyż niebawem przyjdzie czas rozwiązania. Będę się za nią modlił, a ona będzie potrzebowała moich modlitw, jako że zbyt wiele niewiast umiera przy porożu. Krowy nie są dotknięte tym nieszczęściem ani kotki, suki, maciory, owce czy lisice, żadne stworzenia poza ludźmi. Sansum powiada, że to z powodu Ewy, która zerwała jabłko z drzewa znajomości złego i dobrego, przez co zostaliśmy wygnani z raju. Niewiasty, głosi święty, są karą boską zesłaną na mężczyzn, a dzieci - tym samym w przypadku niewiast.

- No, więc co zdarzyło się Aelle'owi? - pyta stanowczo Igraine, bo nie odpowiedziałem na jej słowa.

- Zginął od ciosu włóczni. Trafiła go dokładnie tu. - Klepię się nad sercem. Oczywiście, cała sprawa była znacznie dłuższa, lecz niesporo jest mi o tym mówić, rozpamiętywanie śmierci ojca nie jest dla mnie bowiem zbyt przyjemne, chociaż, jak podejrzewam, muszę ją tu umieścić, gdyż bez niej rzecz cała będzie niekompletna.

Artur zostawił swoich ludzi pładujących obóz Cerdyka i odjechał. Chciał się przekonać, czy chrześcijanie Tewdryka wykończyli schwyconą w potrzask armię Aelle'a. Okazało się, że resztki Sasów są pobite, krwawią, umierają, lecz ani myślą się poddać. Sam Aelle był ranny i nie mógł dłużej utrzymać tarczy, lecz nie chciał się ugiąć. Otoczony przez drużynę i pospolitych włóczników, czekał na żołnierzy Tewdryka, żeby przybyli i zadali mu śmierć.

Włócznicy Gwentu ociągali się z atakiem. Nieprzyjaciel zapędzony w kozły róg jest niebezpieczny, a jeśli nadal może sformować szyk, jak to było w przypadku Aelle'a, to jest tym bardziej niebezpieczny. Zginęło już zbyt wielu włóczników Gwentu, między innymi zacny stary Agrykola, a ci, którzy przeżyli, nie chcieli kolejny raz pchać się na saskie tarcze.

Artur nie upierał się, że mają to uczynić, chciał natomiast rozmawiać z Aelle'em, a kiedy ten odmówił, wezwał mnie. Kiedy stawiłem się przed nim, myślałem, iż zamienił biały płaszcz na czerwony. Był to jednak ten sam kawał płótna, tylko tak zbryzgany krwią, iż wyglądał na purpurowy. Mój pan uścisnął mnie, po czym objął ramieniem i skierował się na pole między dwa mury tarcz. Pamiętam leżące tam trupy, zdychającego konia, porzucone tarcze i pokruszony oręż.

- Twój ojciec nie jest gotów się poddać - rzekł Artur. - Ale myślę, że ciebie wysłucha. Powiedz mu, że musi iść w niewolę, lecz będzie żył ze wszystkimi honorami i wygodami. Obiecuję też życie jego ludziom. Musi jedynie dać mi swój miecz. - Popatrzył na osaczonych niedobitków. Milczeli. My na ich miejscu śpiewalibyśmy, ale ci włóczniecy czekali na śmierć w całkowitym milczeniu. - Powiedz im, że dość zabijania - dodał.

Odpasałem Hywelbane'a, położyłem na ziemi tarczę i włócznie, po czym udałem się do ojca. Aelle był znużony, bezsilny i ranny, lecz kiedy, powłócząc nogą, szedł mi na spotkanie, nie zwiesił głowy, trzymał ją wysoko. Nie osłaniał się tarczą, miał jedynie miecz w kalekiej dłoni.

- Spodziewałem się, że poślą po ciebie - warknął. Głownia jego miecza była mocno wyszczerbiona, pokryta zaschniętą krwią. Kiedy zacząłem powtarzać ofertę Artura, nagle machnął bronią i przerwał mi. - Wiem, czego on chce. Mego miecza, lecz jam jest Aelle, Bretwalda Brytanii, i nie złożę miecza.

- Ojczy... - zacząłem.

- Mów mi „królu”! - rzekł ostro.

Uśmiechnąłem się na to wyzywające zachowanie i skłoniłem głowę.

- Królu, proponujemy waszym ludziom życie i...

Znów mi przerwał.

- Kiedy mąż ginie w bitwie, idzie do błogosławionego dworu w niebie. Ale żeby dotrzeć do wielkiej sali biesiadnej, musi umrzeć, stojąc z mieczem w dłoni i ranami z przodu.

- Przerwał, a kiedy znów przemówił, uczynił to znacznie łagodniejszym i cichszym głosem. - Nie jesteś mi nic winny, mój synu, więc uznałbym to za łaskę z twojej strony, gdybyś to ty wysłał mnie do tamtej sali biesiadnej.

- Królu... - zacząłem, ale przerwał mi po raz czwarty.

- Mam być pogrzebany tu - ciągnął, jakbym w ogóle się nie odezwał - nogami ku północy i z mieczem w dłoni. Nie proszę cię o nic więcej. - Odwrócił się do swoich ludzi i wtedy ujrzałem, że ledwie trzyma się na nogach. Musiał być ciężko ranny, lecz wielka niedźwiedzia szuba ukrywała ranę. - Hrothgar! - przywołał jednego z włócznieców. - Daj

mojemu synowi swoją włócznię. - Śmigły wojownik wystąpił z szyku i posłusznie podał mi włócznię. - Weź! - rozkazał mi ostro Aelle i posłuchałem go. Hrothgar rzucił mi niepewne spojrzenie, zanim wycofał się do swoich.

Aelle przymknął na chwilę oczy i grymas wykrzywił zaciętą twarz. Bładość wyglądała spod kurzu i potu i nagle zagryzł zęby, jakby przeszył go ból, lecz wytrzymał go i nawet próbował się uśmiechnąć, kiedy postąpił ku mnie, biorąc mnie w objęcia. Wsparł się całym ciężarem na moich ramionach i słyszałem, jak oddech rzezi mu w gardle.

- Myślę, żeś jest najbardziej udany ze wszystkich moich synów - rzekł mi do ucha. - Teraz podaruj mi coś. Podaruj mi dobrą śmierć, Derflu, bo chciałbym iść do wielkiej sali biesiadnej, pełnej zacnych wojowników. - Cofnął się ciężkim krokiem, wsparł na mieczu i z trudem rozwiązał rzemyki szuby. Opadła i ujrzałem, że cały lewy bok ma zlany krwią. Dostał włócznią poniżej napierśnika, a inny cios trafił go wysoko w lewe ramię, przez co zwisało mu bezużytecznie i musiał użyć kalekiej prawicy do rozsoplania biodrowych i naramiennych rzemieni napierśnika. Męczył się, nieporadny, lecz gdy ruszyłem z pomocą, odpędził mnie gestem ręki.

- Ułatwiam ci robotę - powiedział. - Lecz kiedy umrę, nałóż mi napierśnik z powrotem. Zbroja przyda mi się w sali biesiadnej, bo tam odbywa się wiele pojedynków. Pojedynków, uczt i... - Przerwał, kolejny raz przeszywany bólem. Zaciśnął zęby, zajęczał i wyprostował się, spoglądając mi w oczy. - Teraz mnie zabij - rozkazał.

- Nie zabiję was, królu - rzekłem, lecz wspomniałem przepowiednię mojej szalonej matki, że to syn Aelle'a zabije Aelle'a.

- No to ja cię zabiję - powiedział i zadał mi nieporadny cios mieczem. Uchyliłem się, a ojciec potknął się i niemal przewrócił, usiłując iść za mną. Zatrzymał się, dysząc, i wpatrywał się we mnie. - Na pamięć twojej matki, Derflu - błagał - czy pozwolisz, żebym zdechł jak pies, leżąc na ziemi? Nie stać cię na nic dla mnie? - Znów się zamachnął. Tym razem było to ponad jego siły i zaczął się chwiać. Ujrzałem w jego oczach łzy. Pojąłem, iż to, jak umrze, nie jest dla niego błahostką, Utrzymał równowagę jedynie siłą woli i dokonał niesłychanego wysiłku, aby unieść miecz. Świeża krew błyszczała na jego boku, oczy miał szkliste, ale nie spuszczał ze mnie wzroku, kiedy zrobił ostatni krok i zadał mi pchnięcie w brzuch, które byle gołowąs odparłby ze śmiechem.

Niech Bóg mi wybaczy, ale pchnąłem włócznią. Włożyłem w to cały mój ciężar i wszystkie siły, a ciężkie zeleźce przyjęło padające ciało i utrzymało je prosto, mimo że roztrzaskałem żebra i wbilem grot głęboko w serce. Aelle'a przeszedł gwałtowny dreszcz, wyraz posępnego zdecydowania pojawił się na twarzy umierającego i przez chwilę krótką jak

jedno uderzenie serca myślałem, iż chce wznieść miecz do ostatniego ciosu, ale on jedynie upewniał się, że ranna prawica dzierży rękojeść. Potem upadł i umarł, zanim dotknął ziemi, lecz miecz, poszczerbiony i zakrwawiony, pozostał w uścisku dłoni. Jęk uniósł się nad szeregami saskich żołnierzy. Niektórzy mieli łzy w oczach.

- Derflu - mówi Igraine. - Derflu!

- Pani...

- Spałeś - rzecze oskarżycielskim tonem.

- Wiek, zacna pani - mamroczę. - To po prostu wiek.

- Więc Aelle zginął w bitwie - mówi ostro. - A Lancelot?

- To przychodzi później - opowiadam zdecydowanie.

- Powiedz mi teraz - upiera się.

- Powiedziałem ci, pani, to przychodzi później, i nie cierpię opowieści, które stawiają zakończenie przed początkiem.

Spodziewam się protestów, ale Igraine tylko westchnieniem kwituje mój ośli upór i kontynuuje wyliczanie niezakończonych spraw.

- Co stało się z tym saskim czempionem, Liofą?

- Umarł straszliwą śmiercią.

- Dobrze! - To ją wyraźnie ciekawi. - Opowiedz mi!

- To była choroba, pani. Coś napuchło mu w kroczu i nie mógł siedzieć ani leżeć i nawet stojąc, przeżywał męki. Chudł coraz bardziej i wreszcie umarł, pocąc się i trzęsąc. Tak przynajmniej słyszeliśmy.

Igraine jest oburzona.

- Więc nie został zabity pod Mynydd Baddon?

- Uciekł z Cerdykiem.

Niezadowolona wzrusza ramionami, jakbyśmy w jakiś sposób zawiedli, pozwalając saskiemu czempionowi na ucieczkę.

- Ale bardowie mówią... - upiera się moja królowa, na co pojękuję, za każdym bowiem razem, kiedy zaczyna swą śpiewkę z bardami, wiem, że zaraz usłyszę ich wersję historii, którą Igraine oczywiście woli, chociaż to ja byłem obecny tam, gdzie historia się tworzyła, a tych bardów nie było jeszcze na świecie. - Bardowie - ciągnie stanowczym tonem, nie zwracając uwagi na moje protesty - powiadają co do jednego, że pojedynek Liofy z Cuneglasem trwał prawie całe przedpołudnie i Cuneglas ściał sześciu saskich czempionów, zanim padł od ciosu w plecy.

- Słyszałem te pieśni - powiadam ostrożnie.

- I...? - Wbija we mnie wyzywające spojrzenie. Cuneglas był dziadem jej ojca i w grę wchodziła duma rodowa. - No...?

- Ja byłem tam, pani - mówię zwyczajnie.

- Twoja starcza pamięć słabuje, Derflu - gani mnie i nie wątpię, iż gdy Daffyd, pisarz sądowy, który spisuje przekład moich pergaminów w języku Brytów, dojdzie do fragmentu ze śmiercią Cuneglasa, zamieni go tak, by odpowiadał gustom mojej pani. I czemu nie? Cuneglas był bohaterem i komu mogłoby zaszkodzić to, że historia zapamięta go jako wielkiego wojownika, chociaż w istocie nie był żołnierzem. Był uczciwym człkiem, rozsądnym i mądrym ponad swoje lata, lecz serce nie rosło mu w piersiach, gdy chwycił drzewce włóczni. Jego śmierć była tragedią Mynydd Baddon, lecz taką tragedią, której nikt z nas nie dostrzegł w uniesieniu zwycięstwa. Spaliliśmy go na polu bitewnym i jego stos gorzał przez trzy dni i trzy noce, a ostatniego ranka, kiedy pozostały jeno węgielki, a pośród nich stopione resztki Cuneglasowej zbroi, zebraliśmy się wokół i wznieśliśmy pieśń śmierci Werlinna. Ułukliśmy też niemało saskich więźniów, posyłając ich dusze w eskortę Cuneglasowi, na cześć Krainy Cieni, i pamiętam, że ciepło zrobiło mi się na sercu, kiedy pomyślałem, iż wujek mojej ukochanej Dian przekroczy Most z Mieczy i będzie dotrzymywał jej kompanii w świecie Annwna.

- I Artur pobiegł do Ginewry? - pyta skwapliwie Igraine.

- Nie widziałem ich spotkania.

- Nieważne, co widziałeś - mówi surowo. - Musimy to tutaj mieć. - Trąca stopką wypełnione literami pergaminy. - Powinieneś opisać ich spotkanie, Derflu.

- Mówię ci, pani, nie widziałem go.

- Jakie to ma znaczenie? To byłoby prześliczne zakończenie tej całej bitwy. Nie każdy uwielbia słuchać o włóczniach i zabijaniu, Derflu. Męskie opowiadki często raz dwa robią się strasznie nudne, a wątek miłosny jest wrogiem nudy. - Niewątpliwie rzecz o bitwie nasyci się miłosnymi bzdurami, gdy tylko królowa i Daffyd dobiorą się do moich pergaminów. Czasami żałuję, że nie piszę w języku Brytów, lecz dwaj nasi mnisi potrafią czytać i każdy z nich mógłby zdradzić mnie przed Sansumem; tak więc muszę pisać po sasku i ufać, iż Igraine nie zmieni opowieści, kiedy Darydd dostarczy jej przekład. Wiem, na czym jej zależy: chce, by Artur popędził między trupami, a Ginewra czekała nań z rozwartymi ramionami i by padli sobie w objęcia, szczęśliwi bez granic. Może i tak było, lecz podejrzewam, że nie, ona była bowiem zbyt dumna, a on zbyt skryty. Wyobrażam sobie, że szlochali w chwili spotkania, lecz żadne z nich nigdy nie pisnęło mi o tym słówka, tak więc nie będę nic tu wymyślał.

Wiem jednak, że Artur stał się szczęśliwym człekiem po Mynydd Baddon i nie tylko zwycięstwo nad Sasami przysporzyło mu szczęścia.

- A co z Argantą? - chce wiedzieć Igraine. - Tyle żeś poopuszczał, Derflu!

- Dojdę i do Arganty.

- Lecz jej ojciec tam był. Czy Oengus nie był zły, że Artur wrócił do Ginewry?

- Opowiem ci wszystko, pani, o Argancie - obiecuję. - W swoim czasie.

- A Amhar i Loholot? Nie zapomniałeś o nich?

- Uciekli - mówię. - Znaleźli łódeczkę ze smołowanego płótna na ramie z wikliny i przepłynęli rzekę na wiosłach. Lękam się, iż napotkamy ich jeszcze w tej opowieści.

Igraine usiłuje wydostać ze mnie więcej szczegółów, lecz ja uparcie twierdzę, że opowiem rzecz w moim własnym tempie i porządku. Wreszcie daje spokój pytaniom i pochyla się, chcąc włożyć zapisane pergaminy do skórzanej torby, w której zwykła nosić je do Caer; schylenie się idzie jej z trudem, ale odrzuca moją propozycję pomocy.

- Odetchnę z ulgą, kiedy dziecię przyjdzie na świat - powiada moja królowa. - Piersi i nogi mnie bołą, w krzyżu łupie i już nie chodzę jak dawniej, jeno kołyszę się jak gęś. Brochvael też ma tego dość.

- Małżonkowie nigdy nie są zadowoleni, kiedy ich żony są brzemiennie.

- To nie powinni tak bardzo starać się zrobić im brzucha - mówi cierpko. Nieruchomieje, słuchając, jak Sansum ruga brata Llewellyna za zostawienie skopka w sieni. Biedy Llewellyn. Jest nowicjuszem w naszym klasztorze i teraz przez to wiaderko czeka go siedem dni chłosty z ręki świętego Tudwala, młodego męża - w rzeczy samej gołowaśa - chowanego na Sansumowego sukcesora. Cały klasztor żyje w lęku przed Tudwalem i tylko ja unikam jego złych humorów, a to dzięki przyjaźni Igraine. Sansum zbytnio jest zależny od protekcji jej małżonka, by narazić się na niełaskę królowej.

- Dziś rano widziałam jelenia z jednym rogiem - powiada Igraine. - To zła wróżba, Derflu.

- My, chrześcijanie, nie wierzymy we wróżby.

- Ale widziałam, że gładzisz gwóźdź w twoim stole.

- Nie zawsze jesteśmy dobrymi chrześcijanami.

Przez chwilę się nie odzywa.

- Lękam się o to, jak pójdzie połów.

- Wszyscy modlimy się w twojej intencji, pani - mówię, choć zdaję sobie sprawę, że to nie wpłynie na jej uspokojenie. Lecz nie tylko modłę się w naszej kapliczce. Znalazłem zółty kamyk z ciemnym jądrem, wyryłem na nim imię Igraine i zakopałem go pod jesionem. Gdyby



Sansum dowiedział się, iż robię stare czary, nie baczyłyby na potrzebę Brochvaelowej protekcji i skazałyby mnie na miesiąc krwawej łaźni w izdebce świętego Tudwala. Lecz gdyby święty zwiedził się, że piszę rzecz o Arturze, mój los byłby jednaki.

Lecz piszę ją i będą pisał, a przez jakiś czas będę gładko składać słowa, dojdę bowiem do szczęśliwych czasów, lat pokoju. Będą to jednak zarazem lata nadchodzącej ciemności, lecz nie widzieliśmy tego, albowiem oczy nasze dostrzegały jeno światło słońca, nie cienie. Myśleliśmy, że przegnaliśmy mrok, i że słońce będzie oświetlać Brytanię po kres czasu. Mynydd Baddon było zwycięstwem Artura, jego największym osiągnięciem i może rzecz winna się na tym zakończyć; lecz Igraine ma rację, w życiu nie następują zgrabne zakończenia, tak więc muszę podążać dalej z tą opowieścią o Arturze, moim panu, przyjacielu i wyzwoliciele Brytanii.

Artur nie wyciął w pień żołnierzy Aelle'a. Złożyli broń i poszli w niewolę między zwycięzców. Część z nich wykopała grób mojemu ojcu. Wbiliśmy się głęboko w nadrzeczną murawę, miękką i wilgotną, i złożyliśmy w niej Aelle'a nogami ku północy, z mieczem w dłoni i w napierśniku kryjącym przeszyte serce. Tarczę położyliśmy na brzuchu, a włócznię, która go zabiła - obok. Następnie zasypaliśmy grób i odmówiłem modlitwę do Mitry, podczas gdy Sasi pomodlili się do swojego boga Gromu.

Do wieczora zapłonęły pierwsze stosy pogrzebne. Pomogłem złożyć ciała moich żołnierzy na stosach, a gdy ich żywi towarzysze zaczęli śpiewy, które pomagają duszom zmarłym przebyć drogę do Krainy Cieni, odnalazłem konia i udałem się na północ. Jechałem ku wiosce, w której nasze niewiasty znalazły schronienie. Gdy wspiałem się na wzgórze, przestałem słyszeć wrzawę z pola bitwy - trzask ognisk, płacz niewiast, żałobne śpiewy i dzikie pohukiwania zamroczonych trunkami mężów.

Zawiozłem Ceinwyn wieści o śmierci brata. Kiedy zdawałem jej relację, przez chwilę wpatrywała się we mnie bez śladu wzruszenia, lecz potem łzy zajaśniały jej w oczach. Okryła płaszczem głowę.

- Biedny Perddel - rzekła. Mówiła o synu Cuneglasy, który stał się teraz królem Powys. Opowiedziałem jej, jak zginął jej brat, a on powróciła do chaty, w której zamieszkała z naszymi córkami. Chciała opatrzeć mi ranę na głowie, która wcale nie była tak groźna, jak można by mniemać na podstawie jej wyglądu. Ceinwyn nie mogła mi jednak pomóc, musiała bowiem wraz z córkami oplakiwać Cuneglasy, a to znaczyło, że mają się zamknąć w odosobnieniu na trzy dni i noce, nie oglądać słońca i nie widzieć ani nie dotykać żadnego męża.

Tymczasem zapadł już zmrok. Mogłem zostać w wiosce, lecz serce miałem niespokojne, tak więc w świetle malejącego księżyca udałem się z powrotem na południe. Pierwej pojechałem do Aquae Sulis, myśląc, że znajdę tam Artura, lecz zastałem jedynie oświetlone pochodniami resztki rzezi. Nasze pospolite ruszenie pokonało niedoskonałe obwałowania i wyrznęło do nogi tych, których zastało w środku, lecz groza zakończyła się, gdy tylko żołnierze Tewdryka zajęli miasto. Chrześcijanie posprzątali świątynię Minerwy, pozbiali świeże wnętrzności trzech ofiarnych byków, które Sasi zostawili na posadzce, a kiedy tylko świątynię oczyszczono, chrześcijanie dokonali obrzędu dziękczynienia. Słyszając ich śpiewy, zacząłem szukać swoich pieśni, lecz moi ludzie pozostali w zniszczonym obozie Cerdyka i Aquae Sulis było wypełnione obcymi. Nie znalazłem Artura ani żadnego innego przyjaciela, wyjąwszy Culhwcha, a ten był pijany jak bela i wykrzykiwał tylko coś niezrozumiałe, tak więc pokłusowałem w aksamitnej ciemności nad rzekę, ku wschodowi. Powietrze pełne duchów, cuchnęło krwią i gdy rozpaczliwie pragnąłem znaleźć jakąś kompanię, ryzykowałem, że spotkam na swej drodze widma. Natknąłem się na oddział Sagramora, śpiewający przy ognisku, lecz ci ludzie nie wiedzieli, gdzie jest ich dowódca, tak więc udałem się na południe, ciągniony coraz dalej widokiem mężów tańczących wokół ogniska.

Byli to Tarczownicy Czarni i skakali wysoko, dając susy nad stosami uciętych głów nieprzyjaciół. Okrążyłem rozswawolonych Irlandczyków, lecz mój wzrok przyciągnęły dwie odziane na biało postaci, siedzące spokojnie przy ogniu w kręgu tańczących. Jedną z nich był Merlin.

Uwiązałem konia do uschłego krzewu i przeszedłem przez okrag tancerzy. Merlin i jego towarzysz posilali się chlebem, serem i piwem. Kiedy druid ujrzał mnie, nie poznał, kto go nachodzi.

- Wynocha - warknął. - Albo zamienię cię w ropuchę. Och, to ty, Derflu! W jego głosie było niezadowolenie. - Wiedziałem, że wystarczy mi znaleźć nieco strawy, a zaraz napatoczy się jakieś wyposzczone brzucho, chętne do posiłku. Pewnieś głodny?

- Tak, panie.

Zaprosił mnie do zajęcia miejsca obok niego.

- Jak znam się na serze, pewnie uwarzyły go jakieś saskie niedojdy - rzekł z niesmakiem. - I był cały we krwi, kiedy go znalazłem. No, ale został obmyty i wyobraź sobie, że jest, o dziwo, jadalny. Myślę, że starczy akurat dla ciebie. - Po prawdzie starczyłoby go dla tuzina mężów. - To Talezyn - krótko przedstawił swego towarzysza. - Ktoś w rodzaju barda. Jest z Powys.

Spojrzałem na słynnego barda i ujrzałem młodzieńca o bystrym, mądrym obliczu. Wzorem druidów golił przednią część czaszki i nosił krótką czarną brodę. Miał wystającą szczękę, zapadnięte policzki i wąski nos. Wygolone czoło otaczała cienka srebrna opaska. Uśmiechnął się i skłonił głowę.

- Wasza sława, szlachetny Derflu, bieży daleko przed wami.

- Jaki twoja - odparłem.

- Och, nie! - zajęczał Merlin. - Jak zamierzacie tu pisać sobie nawzajem hymny pochwalne, to wynoście się gdzie indziej. Derfel walczy, bo na zawsze pozostał pacholęciem, a ty jesteś sławny, bo akurat tak się zdarzyło, że masz znośny głos.

- Nie tylko śpiewam pieśni, ale i składam je - rzekł skromnie Talezyn.

- Każdy potrafi złożyć pieśń, jak wleje w siebie dość piwa - prychnął z pogardą Merlin i przyjrzał mi się, mrużąc oczy. - Czy to krew na twoim łbie?

- Tak, panie.

- Powinieneś dziękować bogom, że nie zostałeś ranny w te części ciała, którymi sprawniej ruszasz. - Roześmiał się hucznie, a potem wskazał na Tarczowników. - co myślisz o mojej drużynie?

- Świetnie skaczą.

- Mają przy czym skakać. Co za owocny dzionek - powiedział Merlin. - A czy Gowen nie odegrał dobrze swojej roli? Jaka to uciecha, gdy okazuje się, że półgłówki może się do czegoś przydać, a jakimże półgłówkiem był ten Gowen! Nudziarz pierwszej wody. Ciągłe starał się ulepszyć świat. Dlaczego młodzi zawsze są przekonani, iż wiedzą więcej niż dorośli? Ty, Talezynie, nie żywisz takiego nudnego i błędnego mniemania. Talezyn nauczył się czerpać z krynicy mojej mądrości - wyjaśnił mi Merlin.

- I wiele z niej zaczerpnąłem - wymruczał bard.

- Zaiste, zaiste - przyznał Merlin. Podsunął mi dzban z piwem. - No, jak? Zadowolonyś po naszej bitewce, Derflu?

- Nie. - Po prawdzie byłem dziwnie przygnębiony. - Cuneglas padł - dodałem.

- Coś obito mi się o uszy - rzekł Merlin. - Co z niego za głupiec! Winien zostawić bohaterskie czyny półgłówkom twojego pokroju. Niemniej jednak szkoda, że go zabito. Nie był to, dokładnie biorąc, mądry człek, nie w moim pojęciu tego zaszczytnego słowa, lecz trudno było uznać go za półgłówka, a to rzadkość dzisiejszymi czasy. I zawsze okazywał mi uprzejmość i szczodrość.

- Ja też nie mogę na niego narzekać - wtrącił Talezyn.

- Więc teraz musisz znaleźć sobie nowego patrona - rzekł mu Merlin. - I nie łyp na Derfla. On nie odróżnia składnej pieśni od pierdnięcia byka. Cała sztuka miłego życia - nauczał Talezyna - to przyjść na świat w możej rodzinie. Żyłem dostatnio z moich dzierżaw, chociaż kiedy o tym pomyślę, to dochodzę do wniosku, że nie płacono mi za nie od lat. Czy ty mi płacisz, Derflu?

- Powinienem, panie, lecz nigdy nie wiem, dokąd wysyłać wam pieniądze.

- Teraz to bez znaczenia. Jestem stary i bez sił. Pewnie niebawem umrę.

- Bzdura, wyglądacie znakomicie. - Oczywiście, że wyglądał staro, lecz w oczach miał figlarne ogniki, a poorana zmarszczkami twarz tchnęła ożywieniem. Włosy i brodę miał przepięknie splecione i przewiązane czarnymi wstążkami, podczas gdy jego szata była czysta, nie licząc plam krwi. Był szczęśliwy; sądzę, że nie tylko z powodu naszego zwycięstwa, lecz także z racji obecności Talezyna.

- Zwycięstwo daje życie - rzekł z niejaką pogardą. - Lecz niebawem zapomnimy o zwycięstwie. Gdzie Artur?

- Nikt nie wie - powiedziałem. - Słyszałem, że długo naradzał się z Tewdrykiem, ale nie ma go teraz z nim. Podejrzewam, że napotkał Ginewrę.

- Brytan wraca do swych rzygowin - rzucił szyderczo Merlin.

- Znajduję w niej nie tylko złe cechy - rzekłem, stając po jej stronie.

- A znajdź sobie, znajdź - powiedział z prześmiewczą nutką. - Śmiem twierdzić, iż teraz nie narobi już zła. Byłby z niej zacny patron - zwrócił się do Talezyna. - Darzy poetów bzdurną czcią. Tylko nie wdrapuj się do jej łoża.

- Nie lękaj się o to, panie - rzekł Talezyn.

Merlin roześmiał się.

- Nasz młody bard żyje w celibacie. Kastrowany z niego skowronek. Wyrzekł się największej męskiej rozkoszy w zamian za swój talent.

Talezyn dojrzał moje zaciekawienie i uśmiechnął się.

- Nie chodzi o głos, panie Derflu, lecz o dar wróżenia.

- Ach, w rzeczy samej, prawdziwy to dar! - wykrzyknął Merlin z nieudawanym podziwem. - Chociaż wątpię, by był wart celibatu. Gdyby ktoś kazał mi zapłacić taką cenę, wyrzekłbym się swej laski druida! Przyjąłbym wtedy skromne zatrudnienie jako bard czy włóczęk.

- Widzisz przyszłość? - zapytałem Talezyna.

- Przewidział dzisiejsze zwycięstwo - powiedział Merlin. - A już miesiąc temu wiedział o śmierci Cuneglasy, chociaż nie wywróżył, iż zjawi się beużyteczny saski łobuz i

ukradnie wszystkim mój ser. - Wyrwał mi z ręki gomółkę. - Podejrzewam, iż teraz pragniesz, by przepowiedział twoją przyszłość?

- Nie, panie.

- Całkiem słusznie - rzekł Merlin. - Zawsze lepiej nie znać przyszłości. Wszystko kończy się we łzach, i tyle.

- Lecz radość odradza się wiecznie - powiedział cicho Talezyn.

- Och, niech mnie gęś kopnie, och nie! - wykrzyknął Merlin. - Radość odradza się wiecznie! Przychodzi ranek! Drzewa puszczają pąki! Chmury się rozchodzą! Lód topnieje! Stać cię na coś więcej niż na takie babskie głędzenie. - Zamilkł. Jego drużyna wytańczyła się i poszła się zabawić z wziętymi w niewolę saskimi niewiastami. Miały one dzieci i ich wrzaski rozległy się tak głośno, iż Merlin zachmurzył się, zniecierpliwiony. - Los jest niezgłębiony i wszystko kończy się we łzach.

- Czy Nimue jest z wami? - spytałem go i widząc spojrzenie Talezyna, natychmiast zrozumiałem, iż zadałem niestosowne pytanie.

Merlin zatopił spojrzenie w ognisku. Płomienie wyrzuciły ku niemu węgielek, więc opluł ogień za tę złośliwość.

- Nie mów mi o Nimue. - Jego dobry nastrój pierzchnął i ogarnęło mnie zażenowanie z powodu mojego pytania. Dotknął czarnej laski i westchnął. - Jest na mnie zła.

- Dlaczego, panie?

- Bo nie może dopiąć swego, oczywiście. To zwykle dlatego ludzie są źli. - Kolejne polano zatrzeszczało w ognisku, rzucając iskry. Merlin strzepnął je z irytacją ze swej szaty. Splunął w ogień. - Modrzew. Świeżo ścięty modrzew nie cierpi być palony. - Spojrzał na mnie ponuro. - Nimue nie pochwała tego, że przywiódłem Gowena na tę bitwę. Uważa to za marnotrawstwo i myślę, że pewnie ma rację.

- Sprowadził nam zwycięstwo, panie.

Zamknął oczy i chyba westchnął, dając do zrozumienia, że jestem głupcem nie do zniesienia.

- Całe moje życie poświęciłem jednej rzeczy - rzekł po chwili. - Jednej prostej rzeczy. Chciałem sprowadzić z powrotem bogów. Czy to tak trudno pojąć? Lecz aby zrobić cokolwiek dobrze, Derflu, trzeba na to poświęcić całe życie. Och, w przypadków głupców twojego pokroju nie ma takiej potrzeby. Jednego dnia możesz się nadymać, że jesteś rządcą miasta, a drugiego włóczykiem, i kiedy wszystko się kończy, czym możesz się poszczycić? Niczym! Żeby zmienić świat, Derflu, musisz mieć jeden cel. Artur jest bliski tego ideału, muszę mu to przyznać. Chce uprzętnąć Brytanię z Sasów i pewnie osiągnął to na jakiś czas,

ale oni nadal żyją i powrócą. Może nie za mojego życia, może nawet nie za twojego, ale twoje dzieci i dzieci twoich dzieci będą musiały odbyć tę samą bitwę od początku. To jedyna droga do prawdziwego zwycięstwa.

- Droga bogów - rzekłem.

- Droga bogów - potwierdził. - I to jest dzieło mojego życia. - Przez chwilę przyglądał się swojej czarnej lasce, a Talezyn siedział nieruchomo, obserwując starego druida. - Jako dziecię miałem sen - powiedział Merlin niezwykle cicho. - Udałem się do pieczary Carn Ingli i śniłem, że mam skrzydła i mogę latać na tyle wysoko, że widzę całą wyspę Brytanię. Była tak piękna, że jej widok zapierał dech. Piękna, zielona i otoczona wielką mgłą, która nie dopuszczała wrogów. Błogosławiona wyspa, Derflu, wyspa bogów, jedyne miejsce na ziemi warte ich obecności, i zawsze od tamtej pory tylko tego pragnąłem. Sprawić, żeby ta błogosławiona wyspa była taka jak niegdyś. Pragnąłem sprowadzić bogów.

- Ale... - chciałem się wtrącić.

- Nie opowiadaj bzdur! - krzyknął, wywołując uśmiech Talezyna. - Pomyśl! - apelował do mojego rozumu. - Dzieło mojego życia, Derflu!

- Mai Dun - rzekłem cicho.

Pokiwał głową i przez chwilę nic nie mówił. Z oddali dobiegały nas śpiewy, wszędzie płonęły ogniska. Ranni krzyczeli w ciemności, w której psy i drapieżcy karmili się zmarłymi i umierającymi. O świcie armia obudzi się pijana i ujrzy cały ten koszmar - pole bitwy następnego dnia po śmiertelnych zapasach - lecz na razie ludzie śpiewali i wlewali w siebie niewiarygodne ilości zdobycznego piwa. Merlin przerwał milczenie.

- Na Mai Dun byłem tak blisko celu. Bardzo blisko. Lecz okazałem się za słaby, Derflu, za słaby. Zbyt kocham Artura. Dlaczego? Nie jest zmyślny, rozmowa z nim jest tak nudna jak kiedyś z Gowenem. Żywi bzdurne przywiązanie do cnoty, ale go kocham. Tak się składa, że ty też. To słabość, wiem. Potrafię docenić uległych mężów, lecz przedkładam nad nich władczych. Podziwiam siłę, rozumiesz, i na Mai Dun ten podziw odebrał mi moc.

- Gwydr - rzekłem.

Pokiwał głową.

- Winniśmy go zabić, ale wiedziałem, że nie stać mnie na to. Na zabicie Arturowego syna. To była straszna słabość.

- Nie.

- Nie opowiadaj bzdur! - rzekł znużony. - Czymże jest życie Gwydra dla bogów? Albo też wizja przywrócenia świetności Brytanii? Niczym! Ale nie mogłem tego zrobić. Och, miałem wymówki. Zwój Caleddina mówi wprost. Jest w nim powiedziane, że należy złożyć

na ofiarę „syna króla tych ziem”, gdy tymczasem Artur nie jest żadnym królem, lecz jedynie nie wiadomo kim. Rytuał wymagał poświęcenie życia Gwydra, a ja nie mogłem się do tego przymusić. Zabicie Gowena nie było żadnym problemem, nawet przyjemnie uciszało się bełkotanie tego dziewiczego durnia, lecz nie stać mnie było na podejrzenie gardła Gwydrowi i tak rytuał nie został dopełniony. - Siedział jak kupka nieszczęścia, skulona kupka nieszczęścia. - Zawiodłem - rzekł z goryczą.

- I Nimue wam nie wybaczy? - spytałem z wahaniem.

- Wybaczy...? Ona...? Nimue nie wie, co znaczy to słowo. Wybaczenie to, według niej, słabość. A teraz sama weźmie się za rytuały i ona nie zawiedzie, Derflu. Choćby nawet musiała zabić każde dziecko w Brytanii, zrobi to. Wsadzi je wszystkie do kotła i zakręci kopyścią, fruuu! - Stary druid uśmiechnął się krzywo, po czym znów wzruszył ramionami. - Lecz teraz, oczywiście, rzuciłem jej takie kłody pod nogi, że aż miło. Nie ma co, jak na starego mazgajowatego durnia przystało, coś mnie podkusiło i pomogłem Arturowi wygrać tę burdę. Wykorzystałem do tego Gowena i teraz, jak sądzę, ona mnie nienawidzi.

- Dlaczego?

Wzniósł oczy do zasnutego dymami nieba, jakby błagając bogów, by naleli mi trochę oleju do głowy.

- Czy myślisz, durniu, że wystarczy pstryknąć palcami, i już masz trupa dziewiczego księcia? Lata całe zajęło mi kładzenie temu półgłówkowi do ucha różnych bzdur, żeby był gotów do ofiary. I co takiego dobrego dzisiaj zrobiłem? Pozbyłem się go ot, tak! Żeby tylko pomóc Arturowi.

- Ale zwyciężyliśmy!

- Nie opowiadaj bzdur. - Gdyby mógł, spaliłby mnie wzrokiem. - Wygraliście? Co za ohydę masz na tarczy?

Popatrzyłem na swoją tarczę.

- Krzyż.

Merlin przetarł oczy.

- Między bogami toczy się wojna, Derflu, i dzisiaj zapewniłem zwycięstwo Jahwe.

- Komu?

- To imię chrześcijańskiego boga. Czasami zwą go „Jehowa”. Jak mi się zdaje, to jakiś skromniutki bożek ognia z obrzydliwego dalekiego kraju, który zaparł się, że pozbawi wszystkich innych bogów władzy, wpływów i ofiar. Musi być z niego piekielnie ambitna kreaturka, bo, jak na razie, stawia na swoim, i to ja zapewniłem mu dzisiaj wygraną. Jak myślisz, co ludzie zapamiętają z tej bitwy?

- Zwycięstwo Artura - rzekłem z przekonaniem.

- Za sto lat, Derflu, nie będą pamiętali, czy to było zwycięstwo, czy porażka.

Zastanowiłem się.

- Śmierć Cuneglasa? - zasugerowałem.

- A kogo będzie obchodził Cuneglas? Jeden z wielu zapomnianych królików.

- Śmierć Aelle'a?

- Zdychający pies zasługuje na dokładniejsze zapamiętanie.

- To co?

Skrzywił się na moją tępotę.

- Będą pamiętać, Derflu, krzyże wydrapane na waszych tarczach. Dzisiaj, durniu, daliśmy Brytanię chrześcijanom i to była moja robota. Zadbalem o to, by spełniły się ambicje Artura, lecz zapłaciłem za zwycięstwo z własnej kieszeni. Czy teraz przejaśniło ci się we łbie?

- Tak, panie.

- A przy okazji postarałem się, żeby Nimue musiała wielce się natrudzić, żeby dopiąć celu. Ale ona nie będzie siedzieć z założonymi rękami, ona nie jest z tej samej gliny co ja. Nie jest słaba. Ma twardość granitu.

Uśmiechnąłem się.

- Nie zabije Gwydra - rzekłem z przekonaniem. - Bo ani Artur, ani ja nie pozwolimy jej na to, i nie dostanie do rąk Excalibura, więc jak może zwyciężyć?

Świdrował mnie oczyma.

- Czy ty myślisz, bałwanie, że ty czy Artur jesteście dość silni, by oprzeć się Nimue? Ona jest niewiastą, a niewiasty dostają to, czego zapragną, a jeśli wpierv szlag musi trafić świat i wszystko, co na nim żyje, niech trafia jedno i drugie. Najprzód złamie mnie, a potem skieruje swe ślepię na ciebie. Nieprawdaż, młody proroku? - To pytanie było skierowane do Talezyna, lecz młody bard już spał. Merlin wzruszył ramionami. - Zawiozę jej popioły Gowena i pomogę, ile tylko będę w stanie, bo tak obiecałem. Lecz to wszystko zakończy się we łzach, Derflu, to wszystko zakończy się we łzach. Ale bałaganu narobiłem. Straszliwego bałaganu. - Owinął się ciaśniej opończą. - Teraz będę spał - oświadczył.

Tarczownicy gwałcili pojmane kobiety poza zasięgiem ognisk, a ja siedziałem wpatrzony w płomienie. Pomogłem odnieść wielkie zwycięstwo I byłem niewypowiedzianie smutny.



Tamtej nocy nie ujrzałem Artura, a spotkałem się z nim jedynie przelotnie w mglistym półświecie tuż przed brzaskiem. Przywitał mnie z całą swoją dawną rzeźkością, obejmując ramieniem.

- Pragnę podziękować ci za opiekę nad Ginewrą przez te ostatnie tygodnie - rzekł. Był w pełnej zbroi i jadł śniadanie, na które składał się wyłącznie zapleśniały bochen chleba.

- Jeśli już, to ona opiekowała się mną - odparłem.

- Ach, chodzi ci o te wozy! Szkoda, że ich nie widziałem! - Odrzucił chleb, kiedy Hygwydd, sługa, przyprowadził Llamrel z mroku. - Może spotkamy się dziś wieczór, Derflu - rzekł, siadając przy pomocy Hygwydda na siodle. - A może jutro.

- Dokąd się udajecie, panie?

- Oczywiście za Cerdykiem. - Usadowił się wygodnie, zebrał wodze, wziął tarczę i włócznię od Hygwydda. Spiał konia, dołączając do swoich jeźdźców, którzy byli jedynie cieniami we mgle. Mordred również jechał z Arturem, już nie pod strażą, lecz uznany za pełnoprawnego, użytecznego żołnierza. Przyglądałem mu się, jak prowadzi konia, i przypomniało mi się saskie złoto w Lindinis. Czy on nas zdradził? Jeśli tak, nie potrafiłem tego dowieść, a wynik bitwy temu zaprzeczał, niemniej jednak nurtowała mnie nienawiść. Pochwyił moje niezyczliwe spojrzenie i zawrócił konia. Artur wydał głośną komendę i tętent kopyt ucichł w oddali.

Obudziłem moich żołnierzy tęnym końcem włóczni. Nakazałem im zebrać pojmanyh Sasów i zapędzić ich do kopania następnych grobów i wznoszenia stosów pogrzebowych. Spodziewałem się, że dogłądanie tego ponurego zajęcia zajmie mi cały dzień, lecz przed południem zjawił się posłaniec Sagamora z prośbą o przysłanie oddziału włóczników do Aquae Sulis. Wybuchły zamieszki. Zaczęły się od plotek wśród włóczników Tewdryka. Jakoby znaleziono skarbiec Cerdyka i Artur zatrzymał go w całości dla siebie. Dowodem miało być zniknięcie mojego pana, a karą spalenie głównej świątyni miasta, jako że kiedyś była pogańska. Udało mi się uspokoić wzburzenie, ogłaszając znalezienie dwóch kufrów ze złotem, które jednak były pod strażą, a ich zawartość miała być uczciwie rozdzielona po powrocie Artura. Na propozycję Tewdryka posłaliśmy pół tuzina żołnierzy do pomocy strażnikom kufrów, które nadal spoczywały w obozie Cerdyka.

Chrześcijanie z Gwentu uspokoiłi się, lecz zaraz zaczęli burzyć się włócznicy Powys, oskarżając Oengusa mac Airema o śmierć Cuneglasa. Wrogość między Powys i Demetią sięgała dawnych czasów, Oengus mac Airem bowiem był znany ze skłonności do najeżdżania bogatszych spichrzy sąsiada; w rzeczy samej mieszkańcy Demetii mówili o Powys „nasza spizarnia”, lecz tego dnia to ludzie z Powys wszczęli kłótnie, twierdząc uparcie, iż

Cuneglasowi nie spadłby włos z głowy, gdyby Tarczownicy Czarni nie spóźnili się na bitwę. Irlandczycy byli sławni z tego, że nigdy nie pominęli okazji do bójki, i zanim udało się uspokoić żołnierzy Tewdryka, miecze i włócznie starły się przed budynkiem sądu w krwawej burdzie. Sagramor doprowadził do nietrwałego zawieszenia broni, najzwyczajniej każąc zabić przywódców obu grup, lecz przez resztę dnia dochodziło do utarczek. Napięcie wzrosło, gdy okazało się, iż Tewdryk wysłał kilkunastu żołnierzy z rozkazem zajęcia Lactodurum, północnej fortecy, która nie była w rękach Brytów od kilku pokoleń, lecz która, wedle ludzi z Powys, zawsze należała do ich terytorium, a nie go Gwentu. Szybko sformowany oddziałek włóczników z Powys udał się za wojownikami Tewdryka, gotów odbić ich zdobycz. Tarczownicy Czarni nie mieli żadnego interesu w sporze o Lactodurum, niemniej jednak stawali po stronie Gwentu, tylko dlatego, by doprowadzić ludzi z Powys do wrzenia, i starciom nie było końca. Bito się i mordowano z powodu miasta, o którym większość uczestników starć nigdy nie słyszała, a które i tak nadal mogło być w rękach Sasów.

Nam, Dumnończykom, udało się uniknąć tych bójek, tak więc to nasi włócznicy strzegli ulic, ograniczając teren zamieszek do tawern. Jednak po południu i my zostaliśmy wciągnięci w spór. Arganta i towarzyszący jej orszak przybyli z Glevum i dowiedzieli się, iż Ginewra zajęła pałac biskupi, wzniesiony za świątynią Minerwy. Ów pałac nie był najbardziej komfortowym budynkiem w Aquae Sulis, przewyższały go pomieszczenia rządcy miasta. One jednak z kolei służyły za kwaterę Lancelota, kiedy ten przebywał w Aquae Sulis, stąd więc Ginewra wolała je ominąć. Niemniej jednak Arganta uparła się, że to ona powinna mieć pałac biskupa dla siebie, wzniesiono go bowiem na poświęconej ziemi, i rozgorączkowana grupa Tarczowników Czarnych pognęła tam z zamiarem wyeksmitowania Ginewry. Udało im się tylko wpaść na zastęp moich żołnierzy, gotowych bronić swej pani do ostatniej kropli krwi. Dwóch ludzi padło, zanim Ginewra ogłosiła, że nie dba o to, w którym domu przebywa, i przeniosła się do domu chrześcijańskich kapłanów, wzniesionego przy wielkich łaźniach. Arganta, zwyciężczyni babiego sporu, oświadczyła na to, że nowe kwatery jak raz pasują Ginewrze, albowiem - jak twierdziła - kiedyś działał tam lupanar i Fergal, jej druid, poprowadził tłum Tarczowników do łaźni. Wojownicy wrzaskliwie żądali cennika lupanaru i krzyczeli, że Ginewra ma się im ukazać obnażona. Inny oddział Tarczowników zajął świątynię i wyrzucił krzyż, który Tewdryk z pośpiechem powiesił nad ołtarzem. Zwiedziawszy się o tym, zastępy odzianych w czerwone płaszcze Gwentian szykowały się wdrzeć do środka i umieścić krzyż z powrotem na swoim miejscu.

Sagramor i ja przywiedliśmy włóczników na poświęconą ziemię, która późnym południem miała się zamienić w rzeźnię. Moi żołnierze strzegli wrót świątyni, ludzie

Sagramora chronili Ginewry, lecz zarówno jedni, jak i drudzy byli w mniejszości w stosunku do pijanych wojów z Demetii i Gwentu, podczas gdy ludzie z Powys, radzi, iż mają powód zalać sadła za skórę Tarczownikom Czarnym, wznosili okrzyki na cześć Ginewry. Przepchnąłem się przez opity miodem tłum, obalając najbardziej niespokojnych wicherzycieli, lecz obawiałem się, iż wraz z zachodem słońca może dojść do jeszcze groźniejszych rozruchów. Nie kto inny, jak Sagramor ustanowił wreszcie spokój tamtego burzliwego wieczora. Wszedł na dach łaźni i tam, stanąwszy między dwoma wysokimi posągami, ryknął, że ma być cicho. Wcześniej rozdział się do pasa, tak że jego czarne ciało kontrastowało z białym marmurem wojowników, których miał po bokach.

- Jak komuś się coś nie podoba - wołał w dziwnie akcentowanym języku Brytów - to niech najpierw się ze mną bije! Jeden na jednego! Miecz albo włócznia, wybierać. - Dobył długiego, zakrzywionego miecza i płomiennym wzrokiem zmierzył rozwścieczonych mężów na dole.

- Wyrzucić kurwę! - wrzasnął ktoś ukryty w tłumie Tarczowników.

- Aaa, kurwy ci się nie podobają?! - odkrzyknął Sagramor. - Co z ciebie za wojownik? Prawiczek? Jak ci zależy na tym, żeby nie stracić cnoty, to włącz tu, zaraz cię wymiśkuję. - Na to rozległ się jeden ryk śmiechu i tak zażegnane zostało bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Arganta zaszyła się nachmurzona w pałacu. Tytułowała siebie cesarzową Dumnonii i żądała ode mnie i Sagramora gwardii z Dumnończyków, lecz już otaczał ją tak gęsty orszak wojowników jej ojca, że żaden z nas nie uległ tym kaprysom. Rozdzialiśmy się do naga, i weszliśmy do wielkiej rzymskiej sadzawki i legliśmy w niej, wyczerpani. Gorąca woda niosła cudowne ukojenie. Para unosiła się ku połamanym dachówkom.

- Mówiono mi, że to największy budynek w Brytanii - powiedział Sagramor.

Zmierzyłem wzrokiem rozległe sklepienie.

- Pewnie słusznie.

- Ale w dzieciństwie byłem niewolnikiem w domu jeszcze większym od tego - rzekł Sagramor.

- W Numidii?

Skinął głową.

- Chociaż pochodzę z krainy leżącej jeszcze bardziej na południe. Sprzedano mnie w niewolę, gdy byłem bardzo młody. Nie pamiętam nawet rodziców.

- A kiedy opuściłeś Numidię?

- Po tym, jak po raz pierwszy zabiłem człowieka. To był zarządca. A ja miałem dziesięć lat? Jedenaście? Uciekłem i zaciągnąłem się do rzymskiej armii jako procarz.

Potrafię ugodzić człeka między oczy z pięćdziesięciu kroków. Potem nauczyłem się jeździć konno. Walczyłem w Italii, Tracji, Egipcie, brałem żołd we frankijskiej armii. Wtedy właśnie Artur wziął mnie w niewolę. - Rzadko bywał taki otwarty. W rzeczy samej milczenie było jedną z najskuteczniejszych broni Sagramora. Milczenie, twarz z orlim nosem i straszliwa sława, lecz sam na sam odsłaniał łagodny i melancholijny charakter. - Po czyjej stronie teraz stoimy? - zapytał mnie z wyrazem zdziwienia.

- O co chodzi?

- Po stronie Ginewry czy Arganty?

Wzruszyłem ramionami.

- Sam chciałbym wiedzieć.

Ukrył głowę pod wodą, potem wynurzył ją i otarł oczy.

- Pewnie Ginewry - rzekł. - Jeśli plotki są prawdziwe.

- Jakie plotki?

- Że ona i Artur byli razem ostatniej nocy, chociaż jak to bywa z naszym panem, spędzili tę noc na gadaniu. Wcześniej wystrzępi sobie język, nim stępi miecz.

- Tobie to nie grozi.

- Nie - rzekł z uśmiechem, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej, spoglądając mi prosto w oczy. - Ponoć, Derflu, przełamałeś mur tarcz?

- Rzadki. I z młodych wojowników.

- Ja przełamałem gęsty, bardzo gęsty i pełen dojrzałych wojów. - W rewanżu wcisnąłem mu głowę pod wodę, a potem odpłynąłem, chlapiąc na wszystkie strony. Łąźnie były bardzo mroczne, nie zapalono bowiem pochodni, a ostatki dziennego światła nie mogły osiągnąć posadzki przez dziury w dachu. Para zalegała wielką salę i chociaż zdawałem sobie sprawę, iż inni korzystają z kąpieli, nie rozpoznałem wcześniej nikogo, lecz teraz, pokonując wielką sadzawkę, ujrzałem postać w białych szatach, pochylającą się ku mężowi siedzącemu na stopniach zanurzonych w wodzie. Poznałem kosmyki włosów, sterczące po obu stronach wygolonego czoła schyłego męża, a zaraz potem dosłyszałem jego ostatnie słowa, mówione cicho, lecz z gorączkowym napięciem:

- Zaufajcie mi, królu, w tej materii i zostawcie mi całą sprawę. - Podniósł głowę i ujrzał mnie. Był to biskup Sansum, świeżo wypuszczony na wolność i przywrócony do wszystkich dawnych godności, tak bowiem stanowiła obietnica, którą Artur złożył Tewdrykowi. Zdawał się zaskoczony moim widokiem, lecz zdobył się na krzywy uśmiech. - Witajcie, szlachetny Derflu - rzekł. - Wyście jednym z naszych bohaterów!

- Derfel! - zahuczał mężczyzna na stopniach i ujrzałem, że jest to Oengus mac Airem. Rzucił się ku mnie, łapiąc w uścisk, który mógł pogruchotać kości. - Pierwszy raz obłapiam nagiego męża - rzekł król Tarczowników Czarnych. - I nie mogę powiedzieć, żeby było w tym coś specjalnie pociągającego. Pierwszy też raz się kąpię. Czy myślisz, że to mnie zabije?

- Nie - odparłem, spoglądając na Sansuma. - W dziwnej jesteście kompani, królu.

- Wilki mają wszy, a królowie biskupów, Derflu - mruknął Oengus.

- Więc w jakiej materii mój król powinien ci zaufać? - spytałem Sansuma.

Ten nie odpowiedział, a Oengus był, co u niego niezwykle, zakłopotany.

- Chodzi o świątynię - wreszcie zdobył się na odpowiedź. - Zaczyna biskup mówić, że postara się, by moi ludzie przez jakiś czas mogli z niej korzystać. Czyż nie tak, biskupie?

- Jak najbardziej, królu - potwierdził Sansum.

- Obaj jesteście marni kłamcy - rzekłem i Oengus wybuchnął śmiechem. Sansum posłał mi wrogie spojrzenie, a potem z pośpiechem podreptał po kamiennych płytach do wyjścia. Był na wolności zaledwie od kilku godzin, a już coś knuł.

- Co on wam mówił, królu? - naciskałem Oengusa. Lubiałem tego człowieka. Był prosty, silny, skory do zwady, ale w przyjaźni wierny.

- A jak myślisz?

- Mówił o waszej córce - zgadywałem.

- Śliczna mała, co? Oczywiście za chuda i trudna do pokierowania jak wilczyca w rui. Dziwny jest ten świat, Derflu. Płodzę synów nudnych jak woły, a córki zawzięte jak wilki. - Przerwał, witając Sagramora, który zjawił się moim śladem. - Więc co ma być z Argantą? - spytał mnie Oengus.

- Nie wiem, panie.

- Artur poślubił ją chyba?

- Nie jestem pewien nawet tego.

Spojrzał na mnie ostro, a potem uśmiechnął się, zrozumiałwszy, co miałem na myśli.

- Ona mówi, że wzięli ślub jak należy, ale co ma innego powiedzieć. Nie byłem pewien, czy Artur naprawdę chce jej za żonę, ale nacisnąłem go. Jedna gęba mniej do wyżywienia, rozumiesz. - Przerwał na krótko. - Rzecz w tym, Derflu, że Artur nie może odesłać jej jakby nigdy nic! To obraza, a poza tym ja nie chcę jej z powrotem. Bez niej mam zatrzesienie córek. Nie wiem nawet, czy połowa z nich na pewno jest moja. Jak będziesz kiedy potrzebował żony, przyjeżdżaj do Demetii i wybieraj, ale ostrzegam cię, że wszystkie są jak ona. Śliczne, ale z bardzo ostrymi zębami. No więc, co Artur uczyni?

- A co sugerował Sansum? - zapytałem.

Oengus udawał, że ignoruje to pytanie, lecz wiedziałem, że w końcu się wygada, bo nie był mężczyzną, który zachowałby sekret.

- Tylko przypomniał mi, że Arganta była kiedyś obiecana Mordredowi - wyznał w końcu.

- Tak? - spytał zdziwiony Sagramor.

- Wspomniano o tym jakiś czas temu - rzekłem. Mówił o tym Oengus we własnej osobie. Rozpaczliwie usiłował wzmocnić przymierze z Dumnonią, chciał bowiem zabezpieczyć się przed Powys.

- A jeśli Artur nie poślubił jej jak należy - ciągnął Oengus - to Mordred byłby jakimś pocieszeniem.

- Też mi pocieszenie - kwaśno skwitował taką wizję Sagramor.

- Będzie królową - powiedział Oengus.

- Będzie - przyznałem mu rację.

- Więc to nie taki zły pomysł - rzekł lekko Oengus, chociaż, jak podejrzewałem, popierał go z całego serca. Małżeństwo z Mordredem byłoby balsamem na zranioną dumę Demetii, lecz także nałożyłoby na Dumnonię obowiązek ochrony ojczystych ziem jej królowej. Ja z kolei uważałem propozycję Sansuma za najgorszą rzecz, jaką usłyszałem tego dnia, bo aż za dobrze potrafiłem sobie wyobrazić, jakie podłości są w stanie wykluczyć się w głowach Mordreda i Arganty, lecz trzymałem gębę na kłódkę.

- Wiesz, czego brakuje w tych łaźniach? - spytał Oengus.

- Słucham was, królu.

- Kobiet. - Zachichotał. - A gdzie twoja kobieta, Derflu?

- Pograżona w żałobie.

- Och, po Cuneglasie, oczywista! - Król wzruszył ramionami. - Nigdy za mną nie przepadał, ale ja całkiem go lubiłem. Rzadki był z niego ptaszek, wierzył obietnicom! - Ryknął śmiechem, znany był bowiem z tego, że często składał obietnicę, nie mając wcale zamiaru jej dotrzymać. - Ale też trudno powiedzieć, żebym opłakiwał jego śmierć. Jego syn to ledwo wyrostek i za bardzo trzyma się matczynej spódnicy. Ona i te jej koszarne ciotki porządzą sobie przez jakiś czas. Trzy więdźmy! - Znów się roześmiał. - Coś mi się widzi, że można by uszczknąć trochę ziemi tym babskom. - Powoli zanurzył twarz w wodzie. - Przeganiem wszy - wyjaśnił, a potem ścisnął w palcach jednego z małych szarych robaczków, które gramoliły się po zmierzwionej brodzie, uciekając przed potopem.

Nie widziałem Merlina przez cały ten dzień, a wieczorem Galahad rzekł mi, iż druid opuścił już dolinę, kierując się ku północy. Galahada zastałem przy stosie pogrzebnym Cuneglasa.

- Wiem, że Cuneglas nie cierpiał chrześcijan - rzekł. - Ale chyba nie miałby nie przeciwko chrześcijańskiej modlitwie.

- Zaprosiłem go, by spał między moimi żołnierzami i udał się ku naszemu obozowisku.

- Merlin przekazał mi wiadomość dla ciebie - powiedział. - Mówi, że znajdziesz to, czego szukasz, między zmarłymi drzewami.

- Nie wydaje mi się, bym czegoś szukał - odparłem.

- W takim razie zajrzyj między zmarłe drzewa i znajdziesz to coś, choćbyś tego nie szukał.

Nie szukałem niczego tamtej nocy, jeno spałem otulony w opończę pośród moich ludzi, na bitewnym polu. Obudziłem się wcześniej, z obolałą głową i stawami. Dobra pogoda minęła i z zachodu nadciągnęła mżawka. Deszcz zagrażał stosom pogrzebnym i zaczęliśmy zbierać drewno do podsycenia ognia, a wtedy przypomniałem sobie dziwne słowa Merlina, lecz nie mogłem dopatrzeć się martwych drzew. Saskimi toporami bojowymi ścinaliśmy dęby, wiązy i buki, oszczędzając jedynie święte jesiony, ale wszystkie zwalone drzewa były zdrowe. Spytałem Issę, czy widział jakie martwe drzewa, a on potrząsnął przecząco głową, lecz Eachern rzekł, iż jest ich trochę za zakrętem rzeki.

- Pokaż mi.

Eachern poprowadził całą naszą grupę nad rzeczne zakole. Rosła tam stara wierzba, której korzenie wystawały nad wodę. Spływające z nurtem martwe drzewa zahaczyły o korzenie, tworząc gęstą płataninę. Nie mogłem jednak dojrzeć w niej niczego wartościowego.

- Skoro Merlin powiada, że coś tam jest, to musimy poszukać - rzekł Galahad.

- Może nie miał na myśli tych drzew - zaprotestowałem.

- To może być równie dobrze tu - powiedział Issa, odpiął miecz, aby się nie zmoczył, i wskoczył w płataninę gałęzi. Rozrywał suchą górną warstwę, aż dotarł do zwierciadła wody. - Dajcie włócznię! - krzyknął.

Galahad podał mu broń i Issa dźgał nią drzewny zator. W jednym miejscu kawałek porwanej i smołowanej sieci tworzył namiot, pokryty gęstą warstwą zeschniętych liści, tak że mój zastępca musiał użyć całej swojej siły, chcąc odrzucić ją na bok.

To wtedy uciekinier wyskoczył z ukrycia. Zaszył się pod siecią, leżąc niewygodnie na wpół zanurzonej pnii, lecz teraz, jak wydra spłoszona przez psy, odpełził jak szalony, byle

dalej od włości Issy, i próbował uciec w górę rzeki. Martwe drzewa kładły mu się pod nogi, ciężka zbroja nie pozwalała szybko biec, a moi ludzie, pokrzykujący na brzegu, przegonili go z łatwością. Gdyby nie nosił zbroi, mógłby rzucić się do rzeki i przepłynąć na drugi brzeg, lecz teraz był skazany na poddanie się. Dwie noce i dzień przemykał się w górę w rzeki, lecz natknąwszy się na tę kryjówkę, uznał, że może w niej pozostać, dopóki wszyscy nie opuścimy pola bitwy. Teraz został schwyty.

Był to Lancelot. Rozpoznałem go po długich kruczonych włosach, z których był tak dumny, a pod warstwą błota i gałązek ujrzałem sławną białą emaliowaną zbroję. Oblicze schwytanego wyrażało jeno zwierzęce przerażenie. Przeniósł wzrok z nas na rzekę, jakby rozważał, czy rzucić się w bystry nurt, lecz kiedy znów popatrzył ku nam, dojrzał swego przyrodniego brata.

- Galahadzie! - zawołał. - Galahadzie!

Ten patrzył na mnie długą chwilę, uczynił znak krzyża, odwrócił się i odszedł.

- Galahadzie! - zawołał jeszcze raz Lancelot, kiedy jego brat zniknął.

Galahad szedł, nie odwracając się.

- Wyciągnijcie go - rozkazałem.

Issa dźgnął Lancelota włócznią i przerażony mąż wdrapał się na górę, rozgarniając pokrzywy. Z jego ruchów bila rozpaczliwa determinacja. Nadal był zbrojny w miecz, jednak ostrze zardzewiało po zanurzeniu w rzece. Stałem naprzeciw niego, kiedy wytoczył się spośród zielska.

- Czy będziecie walczyć ze mną tu i teraz, królu? - zapytałem go, dobywając Hywelbane'a.

- Puść mnie, Derflu! Przyślę ci pieniądze, obiecuję! - Bełkotał nieprzytomnie, obiecując mi góry złota, ale nie dobył miecza, dopóki nie pchnąłem go mocno w pierś ostrzem Hywelbane'a, i wtedy zrozumiał, że musi umrzeć. Splunął na mnie, cofnął się o krok, dobył miecza. Kiedyś zwano go Tanlladwr, co znaczy „światlisty zabójca”, lecz po ochrzczeniu przez Sansuma przemianował go na „Ostrze Chrysta”. Ostrze Chrysta było teraz zardzewiałą, niemniej jednak świetną bronią, i ku mojemu zdziwieniu, Lancelot okazał się niezgorszym przeciwnikiem. Zawsze miałem go za tchórza, lecz tamtego dnia stawał wcale dzielnie. Był zdesperowany i ta desperacja objawiała się w serii szybkich sieknieć, które zepchnęły mnie do obrony. Lecz był też zmęczony, mokry i zziębnięty. Szybko opadł z sił, tak że kiedy pierwszy grad ciosów został odparty, mogłem, nie śpiesząc się, wybrać dlań rodzaj śmierci. Był coraz bardziej zdesperowany, jego ciosy stawały się coraz bardziej szaleńcze, ale zakończyłem walkę, kiedy uchyliłem się przed jednym z potężnych cięć i



ostrzem Hywelbane'a rozorałem mu żyły od nadgarstka do łokcia. Chlusnęła krew. Zaskowyczał. Miecz wypadł z nieczulej dłoni. Lancelot czekał z tępą zgrozą na zabójczy cios.

Oczyściłem Hywelbane'a kępką trawy, następnie połą opończy, a wreszcie włożyłem go do pochwy.

- Nie chcę waszej duszy na moim mieczu, panie - rzekłem Lancelotowi i przez chwilę był mi wdzięczny, lecz ja zniweczyłem jego nadzieje. - Wasi ludzie zabili moje dziecko - powiedziałem. - Tych samych ludzi posłaliście po Ceinwyn, żeby zawlekli ją do waszego łoża. Czy myślicie, że mogę wybaczyć wam jedno i drugie?

- To nie były moje rozkazy! - zarzekał się rozpaczliwie. - Uwierz mi!

Splunąłem mu w pysk.

- Mam oddać was Arturowi, królu?

- Nie, Derflu, błagam cię! - Splótł ręce. Dygotał. - Błagam!

- Zgotujmy mu niewieści zgon - zachęcał mnie Issa, co znaczyło, że powinniśmy go rozdziać, oderznąć mu przyrodzenie i pozwolić, by życie wylało się zeń wraz z krwią chlustającą po nogach.

Kusiło mnie to, ale nie chciałem się cieszyć z jego śmierci. Zemsta niesie błogość i zgotowawszy mordercom Dian straszliwy skon, nie czułem żadnych wyrzutów sumienia, radowałem się ich cierpieniami, lecz zabrakło mi ochoty na torturowanie tego roztrzęsionego, załamanego człeka. Tak się telepał, że wezbrała we mnie litość i przyłapałem się na tym, że rozważam, czy nie dać mu żyć. Wiedziałem, że to zdrajca, tchórz i zasługuje na śmierć, lecz jego groza była tak okropna, że naprawdę zrobiło mi się go żal. Zawsze był moim wrogiem, zawsze mnie nienawidził, ale przecież, gdy upadł przede mną na kolana i łzy toczyły się po jego twarzy, wezbrała we mnie ochota, by udzielić mu łaski, i wiedziałem, że zaznam tyleż przyjemności w takim okazaniu mocy, co skazując go na śmierć. Przez chwilę pragnąłem jego wdzięczności, lecz wspomniałem twarzyczkę mojej umierającej córeczki i zatrząśłem się w porywie wściekłości. Artur był znany z przebaczenia wrogom, lecz temu nigdy nie mógłbym przebaczyć.

- Niewieści zgon - znów podsunął mi Issa.

- Nie - rzekłem i Lancelot podniósł ku mnie wzrok w napływie nadziei. - Powiesić go jak zwykłego rzezimieszka.

Lancelot zawył, lecz ja utwardziłem swe serce.

- Powiesić go - rozkazałem i tak zrobiliśmy. Znaleźliśmy kawałek postronka z końskiego włosia, zarzuciliśmy go na konar dębu i wyciągnęliśmy w górę nieszczęśnika.

Kiedy zawisł, majtał nogami jak oszalały i nie przestawał nimi majdać, aż Galahad powrócił i uwiesił się na nim, kończąc mękę.

Obdarliśmy trupa do naga. Miecz i świetną łuskową zbroję cisnąłem do rzeki, ubranie spaliłem, a potem wielkim saskim toporem rozczłonkowałem ciało. Nie spaliliśmy go, jeno cisnęliśmy rybom, tak że czarna dusza Lancelota nigdy nie miała skazić zaświatów swoim przybyciem. Starliśmy go z powierzchni ziemi, a ja zachowałem jeno emaliowany pas, dar Artura.

Mojego pana spotkałem w południe. Wracał z pogoni za Cerdykiem. Zapędził się daleko w dolinę i utrudził konia, podobnie jak jego ludzie.

- Nie dopadliśmy Cerdyka - rzekł. - Ale złapaliśmy innych. - Poklepał spieniony kark Llamrel. - Cerdyk żyje, Derflu, ale został tak osłabiony, że przez długi czas nie przysporzy nam kłopotów. - Uśmiechnął się, lecz po chwili dostrzegł, że nie podzielam jego radosnego nastroju. - W czym rzecz? - zapytał.

- Jeno w tym, panie - powiedziałem i uniosłem drogocenny pas.

Początkowo myślał, że demonstruję mu byle lup, lecz rozpoznał swój podarunek dla Lancelota. Na chwilę jego oblicze przybrało wyraz, jaki widniał tam wiele miesięcy przed Mynydd Baddon. Było mroczne, ponure, gorzkie. Wreszcie spojrzał mi w oczy. - Jego właściciel?

- Nie żyje, panie. Powieszony haniebnie.

- Dobrze - rzekł cicho i ze spokojem. - A to, Derflu, możesz wyrzucić precz.

Cisnąłem pas do rzeki.

I tak umarł Lancelot, chociaż pieśni, za które płacił, żyją i po dziś dzień jest wychwalany jako bohater równy Arturowi. Mój pan jest pamiętany jako władca, ale Lancelota zwie się wojownikiem. Po prawdzie był królem bez ziemi, tchórzem i największym zdrajcą Brytanii, a jego dusza włóczy się po Lloegyrii po dziś dzień, wyjąc i płacząc za widmem, którego nigdy nie znajdzie, bo posiekaliśmy trupa na kawałki i nakarmiliśmy nimi głodny nurt. Jeśli chrześcijanie mówią prawdę i jest piekło, pewnie Lancelot cierpi tam po wieczność.

Wraz z Galahadem towarzyszyliśmy Arturowi do miasta, mijając stos pogrzebny, na którym płonął Cuneglas. Przejechaliśmy między rzymskimi grobami, wśród których poległa masa żołnierzy Aelle'a. Ostrzegłem wcześniej Artura, co go czeka, lecz nie okazał zniechęcenia na wieść o tym, iż Arganta przybyła do miasta.

Jego wjazd do Aquae Sulis wywołał niezwykle poruszenie wśród sporego zastępu petentów, krzykliwie domagających się audiencji. Żądano uznania heroicznych wyczynów podczas bitwy, podziału łupów, wymierzenia sprawiedliwości w sprawach poprzedzających najazd Sasów. Artur nakazał całej gromadzie przybyć do świątyni, chociaż, jak się okazało, nie poświęcił im chwili uwagi. Wezwał natomiast Galahada, a po chwili posłał po Sansuma. Kiedy biskup szedł pośpiesznie przez dziedziniec, włócznicy z Dumnonii witali go szyderczymi okrzykami i gwizdami. Rozmawiał długo z Arturem, po czym wezwano Oengusa mac Airema i Mordreda. Włócznicy zgromadzeni przed świątynią robili zakłady, do którego domu pójdzie Artur - biskupowego z Argantą czy księzego z Ginewrą.

Artur nie chciał mojej rady. Natomiast, wezwawszy Oengusa i Mordreda, nakazał mi powiedzieć Ginewrze, że powrócił, tak więc udałem się do księzego domu. Na piętrze zastałem ją w towarzystwie Talezyna. Bard był odziany w czystą białą szatę i nosił srebrną opaskę na czarnych włosach. Wstał i uklonił się, gdy wszedłem. Miał w dłoniach małą harfę, lecz wyczułem, że ta dwójka raczej zajmowała się rozmową niż pieśniami. Uśmiechnął się i wycofał z izby, spuszczaając grubą zasłonę.

- Niezwykle mądry człowiek - orzekła Ginewra, powstając mi na spotkanie. Była w kremowej szacie obręzionej niebieską lamówką, miała na sobie saski naszyjnik, prezent ode mnie, a rude włosy zaplotła w warkocz, przepleciony srebrnym łańcuszkiem, i ułożyła go wokół głowy. Nie była tak elegancka jak dawna Ginewra, z czasów przed nieszczęściami, które na nas spadły, lecz różniła się o niebo od odzianej w zbroję niewiasty, z takim zapalem przemierzającej pole bitwy. Uśmiechnęła się, kiedy podszedłem bliżej. - Derfel czyścioszek, to ci dopiero!

- Wziąłem kąpiel, pani.

- I żyjesz! - żartowała ze mnie łagodnie. Ucałowała mnie w policzek, lecz nie od razu wypuściła z objęć. - Wiele ci zawdzięczam - powiedziała czule.

- Nie, pani, nie - rzekłem, czerwieniąc się i umykając z jej objęć.

Roześmiała się, widząc moje zażenowanie, po czym usiadła w oknie wychodzącym na dziedziniec. Deszcz pluskał w kałużach, ściekał po fasadzie świątyni, gdzie Artur zostawił konia, przywiązawszy wodze do kółka w jednym z pilastrów. Nie musiałem jej donosić o przybyciu Artura, sama bowiem musiała to widzieć.

- Kto jest z nim? - zapytała.

- Galahad, Sansum, Mordred i Oengus.

- A ciebie nie wezwano na radę? - zapytała z odcieniem dawnego szyderstwa.

- Nie, pani. - Próbowałem ukryć zawód.

- Jestem pewna, że nie zapomniał o tobie.

- Żywię taką nadzieję - odparłem i z wahaniem opowiedziałem jej o śmierci Lancelota. Unikałem szczegółów, po prostu doniosłem jej, że nie żyje.

- Talezyn już mi powiedział - rzekła, umykając wzrokiem.

- Skąd wiedział? - spytałem, albowiem śmierć Lancelota nastąpiła niewiele wcześniej, a barda przy niej nie było.

- Śniło mu się ostatniej nocy - wyjaśniła. Nagłym gestem ucięła ten temat. - O czym tam mogą rozprawiać? - spytała, spoglądając ku świątyni. - O niedoroślejszej pannie młodej?

- Tak mniemam, pani. - Opowiedziałem jej, co biskup Sansum podsuwał Oengusowi mac Airemowi; że Arganta powinna wyjść za Mordreda. - Najgorszy pomysł na świecie - protestowałem z oburzeniem.

- Doprawdy tak sądzisz?

- Kompletna bzdura.

- To nie Sansumowy pomysł - powiedziała z uśmiechem. - Jeno mój.

Gapiłem się na nią, zbyt osłupiały, aby wykrztusić słowo.

- Wasz, pani? - wystękałem w końcu.

- Nie mów nikomu, że ja na to wpadłam - ostrzegła mnie. - Arganta nawet słyszeć by o tym nie chciała, gdyby się dowiedziała, że sprawa wyszła ode mnie. Prędzej wyszłaby za świniarza niż za kogoś wskazanego przeze mnie. Tak więc udałam się do Mysiego Króla i błagałam go, by powiedział mi, czy plotki o Argancie i Mordredzie są prawdziwe, a potem wyznałam, że sam pomysł wydaje mi się ohydny, co, oczywiście, uczyniło z biskupa tym gorętszego orędownika całej sprawy, chociaż udawał, że jest na odwrót. Popłakałam nawet troszeczkę i błagałam, by nigdy nie zdradził Argancie, jak bardzo jest mi to wstrętne. Praktycznie od tamtej chwili, Derflu, Mordred i Arganta stali się mężem i żoną. - Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Ale dlaczego? - spytałem. - Mordred i Arganta? Przysporzą samych kłopotów.

- Czy wezmą ze sobą ślub, czy nie, i tak przysporzą nam kłopotów. A Mordred musi dostać żonę, Derflu, jeśli ma spłodzić potomka, a to znaczy, że jego żona musi być królewskiego rodu. - Przerwała na chwilę, bawiąc się naszyjnikami. - Przyznam, że chętnie oddałabym życie, byle tylko nie miał potomka, wtedy bowiem tron byłby pusty po jego śmierci. - Nie skończyła tej myśli i przyjrzałem się jej z ciekawością.

Przybrała niewinną minkę. Czy myślała, że Artur mógłby odebrać tron bezdzietnemu Mordredowi? Lecz mój pan nigdy nie pragnął rządzić. Nagle uświadomiłem sobie, że gdyby

Mordred umarł, wtedy Gwydr, syn Ginewry, śmiało mógłby wnieść roszczenia do tronu. Pewnie dało się to odczytać z mojej twarzy, albowiem Ginewra uśmiechnęła się.

- Żadne spekulacje na temat sukcesji nie mają sensu - powiedziała, zanim zdążyłem otworzyć usta. - Artur upiera się, że Mordred ma się ożenić wedle swojej woli. A wygląda na to, że ten obrzydliwiec ma chętkę na Argantę. Byłaby z nich zgrana parka. Jak z dwóch zmii w cuchnącym gnieździe.

- I dwoje wrogów Artura połączy uraza - orzekłem.

- Nie - powiedziała Ginewra, po czym westchnęła i spojrzała przez okno. Nie, jeśli damy im to, czego chcą, i jeśli ja dam Arturowi to, czego on chce. A ty wiesz, o czym mówię, prawda?

Pomyślałem chwilkę i zrozumiałem wszystko. Zrozumiałem, o czym ona i Artur musieli rozprawiać w długą noc po bitwie. Zrozumiałem również, co mój pan aranżuje teraz w świątyni Minerwy.

- Nie! - zaprotestowałem.

Ginewra uśmiechnęła się.

- Ja też tego nie chcę, Derflu, lecz chcę Artura. I muszę mu dać to, czego on chce. Jestem mu winna nieco szczęścia, nieprawdaż? - zapytała.

- Chce oddać władzę? - spytałem, a ona skinęła głową.

Artur zawsze głośno marzył o prostym życiu z żoną, rodziną i kawałkiem pola. Chciał dworu, palisady, kuźni i pól. Widział siebie w roli człowieka, którego jedynymi utrapieniami są ptaki kradnące ziarna pod zasiew, lanie zjadające zboże, deszcze topiące łąny. Pielęgnował to marzenie od lat i teraz, gdy pokonał Sasów, mogło się urzeczywistnić.

- Również Meurig chce, by Artur złożył władzę - powiedział Ginewra.

- Meurig! - wykrzyknąłem ze złością. - A czemu mamy zważać na to, czego chce Meurig?

- To jest cena, jakiej zażądał za pomoc w wojnie. Mógł nie dać swemu ojcu zgody na poprowadzenie armii Gwentu. Artur nie zdradził ci tego przed bitwą, bo wiedział, że byś się wyklócał.

- Ale czemu Meurig chce od Artura złożenia władzy?

- Bo wierzy, że Mordred jest chrześcijaninem - rzekła, wruszając ramionami. - I pragnie, aby Dumnonia była źle rządzona. W ten sposób zyskuje szansę, że kiedyś przejmie jej tron. Ambitny z niego gad. - Przydałem mu znaczne gorsze miano i Ginewra uśmiechnęła się. - To też, ale jego żądania muszą być spełnione, tak więc Artur i ja zamieszkamy w syluriańskiej Isce, gdzie Meurig będzie nas miał na oku. Nie przeszkadza mi życie w Isce. To

lepsze niż jakieś rozsypujące się dworzyszczce. Są tam śliczne rzymskie pałace i wokół lasy pełne zwierzyzny. Weźmiemy ze sobą zastęp włóczników. Artur uważa, że ich nie potrzebujemy, ale ma wrogów, tak że drużyna mu się przyda.

Chodziłem po izbie tam i z powrotem.

- Ale Mordred...! - narzekałem z goryczą. - Czy musi odzyskać władzę?

- To cena, którą musimy zapłacić za armię Gwentu - powiedziała Ginewra. - A jeśli Arganta ma poślubić Mordreda, to on musi dostać władzę, inaczej Oengus nigdy nie przystanie na ślub. Lub przynajmniej musi dostać trochę władzy, żeby Arganta mogła ją z nim dzielić.

- I wszystko, co Artur osiągnął, legnie w gruzach!

- Artur uwolnił Dumnonię od Sasów - cierpliwie tłumaczyła Ginewra. - On nie chce być królem. Ty wiesz o tym i ja o tym wiem. Nie o tym marzyłam. Chciałam, by Artur był najpotężniejszym królem, a Gwydr jego następcą, lecz on ma inne plany i nie będzie walczył o realizację moich marzeń. Mówi mi, że chce spokoju. A skoro nie on będzie rządził Dumnonią, musi nią rządzić Mordred. Wymagają tego żądania Gwentu i przysięga złożona Utherowi.

- Więc porzuci Dumnonię na łup niesprawiedliwości i tyranii! - zaprotestowałem.

- Nie - rzekła Ginewra. - Nie cała władza bowiem przypadnie Mordredowi.

Wpatrywałem się w nią i odgadłem z tonu jej głosu, że nie pojąłem wszystkiego.

- Mówcie dalej, pani - powiedziałem nieufnie.

- Sagramor zostanie. Sasi są pobici, ale nadal będą za naszą miedzą i nikt nie osłoni nas lepiej niż on. A reszta armii Dumnonii złoży przysięgę innemu mężowi. Mordred może panować, jest bowiem królem, lecz nie on będzie rozkazywał włócznie, a mąż bez włóczni nie ma prawdziwej władzy. Władać będą dwaj inni mężowie: ty, szlachetny Derflu, i Sagramor.

- Nie!

Uśmiechnęła się.

- Artur wiedział, że to powiesz, i właśnie dlatego podjęłam się cię przekonać.

- Pani... - zacząłem protestować, lecz uciszyła mnie gestem uniesionej dłoni.

- Ty masz rządzić Dumnonią, szlachetny Derflu. Mordred będzie miał koronę, ale ty włócznie, a ten, kto ma włócznie, rządzi. Musisz uczynić to dla Artura, bo tylko wtedy zgodzi się opuścić Dumnonię z czystym sumieniem. Tak więc, by mógł zażyć spokoju, uczyn to dla niego i może - zawahała się - też dla mnie? Proszę.

Merlin miał rację. Kiedy niewiasta czegoś zapragnie, osiąga swój cel. I ja miałem rządzić Dumnonią.

Talezyn ułożył pieśń o Mynydd Baddon. Celowo zrobił to w starym stylu. Prosty rytm tętnił napięciem, bohaterstwem i wzniosłością, ocierającą się o śmieszność. Była to bardzo długa pieśń, bowiem należało uczcić każdego wojownika, który dobrze się sprawił, przynajmniej połówką wersu, podczas gdy nasi przywódcy mieli dla siebie po całym wersie. Po bitwie Talezyn przyłączył się do świty Ginewry i nad wyraz rozsądnie oddał hołd swej protektorce, wspaniale opisując pędzące wozy pełne ognia, lecz nie wspominając ni słówkiem saskiego czarownika, któremu żywot odebrała strzała z łuku. Kunsztownie przetworzył obraz rudych włosów Ginewry, malując zbroczone łany jęczmienia, pośród których ginęli Sasi, i chociaż nie zauważyłem tam nawet ździebelka jęczmienia, to muszę przyznać, że Talezyn wykazał się nie lada przemyślnością. Opisując śmierć dawnego pana, Cuneglasa, uderzył w lament, a imię nieżywego króla powtarzało się jak powolne uderzenia w bęben; szarżę Gowena oddał w mrożącej krew w żyłach opowieści o tym, jak to upiory naszych dawnych włóczników przebyły Most z Mieczы, uderzając na nieprzyjaciela z flanki. Wychwalał Tewdryka, był uprzejmy wobec mnie i oddał cześć Sagramorowi, lecz jego pieśń była przede wszystkim chwalbą Artura. To Artur skąpał dolinę we krwi wroga, to on powalił nieprzyjacielskiego króla, to on sprawił, że cała Lloegyria ukorzyła się w zgrozie.

Chrześcijanie nie cierpieli Talezynowej pieśni. Ułożyli własną, w której to Tewdryk pobił Sasów. Pan Bóg Wszechmogący - twierdzili chrześcijanie - usłyszał błagania Tewdryka i zwołał zastępy niebieskie na pole bitwy, i tam aniołowie pokonali Sasów płonącymi mieczami. Artur nie był ani razu wymieniany, w rzeczy samej niechrześcijanom nie przyznano żadnej zasługi w odniesieniu zwycięstwa i do dzisiejszego dnia można znaleźć ludzi głoszących, że Artur nie był nawet obecny pod Mynydd Baddon. Mało tego, jedna chrześcijańska pieśń przypisuje zabicie Aelle'a Meurigowi, który nawet nie zjawił się pod Mynydd Baddon; siedział w domu, w Gwencie. Po bitwie odzyskał koronę, gdyż Tewdryk wrócił do klasztoru, ogłoszony świętym przez swoich biskupów.

Artur miał aż nadto na głowie tamtego lata, by przejmować się pieśniami czy świętymi. Po bitwie, tydzień po tygodniu, przejmowaliśmy całe połacie Lloegyrii, chociaż nie odzyskaliśmy jej w całości, gdyż wielu Sasów pozostało w Brytanii. Im dalej na wschód, tym bardziej tężał ich opór, lecz do jesieni zagoniliśmy nieprzyjaciela na terytorium o połowę mniejsze niż to, jakim władał uprzednio. Cerdyk nawet zapłacił nam haracz i obiecał składać go jeszcze przez lat dziesięć, chociaż wcale nie dotrzymał słowa; witał z otwartymi ramionami każdą łódź przybywającą z za morza i powoli odbudowywał zniszczoną armię.

Królestwo Aelle'a podzielono. Południowa część wróciła w ręce Cerdyka, podczas gdy północną poćwiartowano na kilka małych królestw, bezlitośnie najeżdżanych przez ludzi



z Elmetu, Powys i Gwentu. Tysiące Sasów przeszło pod władanie Brytów; zamieszkiwali całe nowe wschodnie terytoria Dumnonii. Artur chciał, byśmy na nowo zasiedlili te tereny, lecz niewielu Brytów paliło się do przeprowadzki i Sasi pozostali. Uprawiali ziemię i marzyli o dniu, w którym powróci ich król. Sagramor stał się faktycznym władcą tych ziem. Sascy wodzowie wiedzieli, że ich królem jest Mordred, lecz przez pierwsze lata po Mynydd Baddon składali hołd Sagramorowi, jemu płacili podatki i to jego czarna chorągiew powiewała nad starym nadrzecznym fortem w Pontes, skąd jego wojownicy wyruszali, by zaprowadzić pokój.

Artur poprowadził kampanię mającą na celu odzyskanie ukradzionych ziem, lecz gdy osiągnął już cel i kiedy Sasi uznali nowe granice, opuścił Dumnonię. Niektórzy z nas do ostatka żywili nadzieję, iż złamie obietnicę złożoną Meurigowi i Tewdrykowi, lecz on nie pragnął zostać. Nigdy nie zależało mu na władzy. Przyjął ją jako swój obowiązek, gdy Dumnonia miała króla dziecko i zastęp ambitnych dowódców wojskowych, których rywalizacja wtrąciła kraj w zamęt, lecz przez wszystkie następne lata nie opuszczało go marzenie o prostym życiu i gdy tylko Sasi zostali pobici, uznał, że ma wolną rękę i może to marzenie przekuć w rzeczywistość. Błagałem go, by zastanowił się raz jeszcze, lecz on potrząsnął przecząco głową.

- Jestem stary, Derflu.

- Niewiele starszy ode mnie, panie.

- W takim razie jesteś stary - rzekł z uśmiechem. - Przekroczyłeś czterdziestkę! Ilu ludzi żyje ponad czterdzieści lat?

Doprawdy niewiele. A jednak nawet wtedy myślałem, iż Artur może pozostałby w Dumnonii, gdyby okazano mu to, na czym mu zależało. Wdzięczność. Był dumnym mężem i wiedział, czego dokonał dla kraju, lecz ów kraj nagrodził go ponurym niezadowoleniem. Chrześcijanie dawniej pierwsi złamali pokój, lecz po ogniskach na Mai Dun również zwolennicy starych bogów odwrócili się od niego. Dał Dumnonii sprawiedliwość, odzyskał większość utraconych ziem, zabezpieczył nowe granice, rządził uczciwie, a w nagrodę wydrwiono go, mianując nieprzyjacielem bogów. Poza tym obiecał Meurigowi, że opuści Dumnonię, a to wzmocniło przysięgę złożoną Utherowi. Teraz oświadczył, że spełni oba ślubowania do końca.

- Nie zaznam szczęścia, dopóki nie dotrzymam przysięg - oświadczył mi i nie ustąpił, tak więc, gdy ustanowiono nową granicę z Sasami i Cerdyk zapłacił pierwszy haracz, wyjechał.

Wziął sześćdziesięciu konnych, stu włóczników i udał się do syluryjskiej Iski, leżącej po północnej stronie zatoki Severn. Początkowo ogłosił, iż nie zabiera włóczników, lecz rada Ginewry przeważała. Stwierdziła ona, iż Artur ma wrogów i potrzebuje ochrony, a poza tym jego jeźdźcy byli najpotężniejszym orężem Brytanii i nie chciała, by przejął nad nimi komendę ktoś inny. Artur dał się przekonać, chociaż po prawdzie nie sądzę, by trzeba było go bardzo przekonywać. Może i marzył sobie, że będzie tylko gospodarował na spokojnej wsi, bez żadnych zmartwień poza tymi o zdrowie bydła i stan zasiewów, lecz wiedział, iż jedynie wtedy będzie mieć spokój, jeśli sam się o niego postara, a pan bez wojowników nie utrzyma długo pokoju.

Syluria była biedną i nierzucającą się w oczy krainą. Ostatnim królem ze starej dynastii był Gundleus, który zginął w dolinie Lugg, a następnie pretensje do tronu zgłosił Lancelot, lecz nie cierpiał Sylurii i z radością porzucił ją dla zamożniejszego tronu Benoit. Z braku króla Syluria została podzielona na dwa królestwa - jedno zależne od Gwentu, drugie od Powys. Cuneglas tytułował siebie „królem zachodniej Sylurii”, podczas gdy Meurig był ogłoszony „królem wschodniej Sylurii”, lecz po prawdzie żaden monarcha nie cenił specjalnie stromych, ciasnych dolin, zbiegających do morza z nagich północnych gór. Cuneglas rekrutował stamtąd włóczników, podczas gdy Meurig zadowolili się posłaniem misjonarzy w głąb terytorium. Jedynym władcą zainteresowanym Sylurią był Oengus mac Airem, najeżdżający ją w poszukiwaniu jada i niewolników. Poza tym omijano ten kraj. Wodzowie Sylurii czubili się między sobą, płacili z ociąganiem podatki Gwentowi lub Powys, lecz przybycie Artura zmieniło to wszystko. Czy mu się to podobało, czy nie, stał się najważniejszym mieszkańcem tego kraju, a więc jej faktycznym włodarzem i choć niby uważał się za człowieka prywatnego, nie mógł nie użyć swoich włóczników do ukrócenia wodzowskich swarów, niszczących tamte ziemie. Rok po Mynydd Baddon, kiedy po raz pierwszy złożyliśmy Arturowi i Ginewrze wizytę w Isce, kwaśno tytułował się na rzymską modłę gubernatorem, co jednak sprawiało mu pewną przyjemność, jako że w żaden sposób nie wiązało się z mianem króla.

Isca była pięknym miastem. Rzymianie początkowo zbudowali tu fort strzegący brodu, lecz w miarę jak ich legiony zagłębiały się coraz bardziej na zachód i północ, wojskowe potrzeby ustąpiły miejsca wypoczynkowym i zamienili Iscę w miasto podobne do Aquae Sulis. Miało amfiteatr i chociaż nie tryskały tu gorące źródła, mogło poszczycić się sześcioma łaźniami, trzema pałacami i tyloma świątyniami, że każdy rzymski bóg znalazł swoją siedzibę. Znacznie podupadło, lecz Artur odrestaurował budynki sądowe i pałace, a takie prace zawsze przysparzały mu wysmienitego humoru. Największy z pałaców,

niegdysiejsza kwatery Lancelota, został przeznaczony Culhwchowi, komendantowi Arturowej drużyny, która przeważnie zamieszkiwała wespół z dowódcą. Drugi pod względem wielkości pałac stał się domem Emrysa, niegdyś biskupa Dumnonii, obecnie Iski.

- Nie mógł pozostać w Dumnonii - wytłumaczył mi Artur w czasie pokazywania miasta. - Jest za ciasna dla niego i Sansuma, tak więc pomaga mi tu. Ma nienasycony apetyt do administrowania, a co lepsze, odpędza chrześcijan Meuriga.

- Wszystkich, panie?

- Większość - rzekł z uśmiechem. - To śliczne miejsce, Derflu - dodał, spoglądając po brukowanych ulicach. - Śliczne! - Był dziecinnie dumny ze swojej nowej ojczyzny, upierając się, że ciężkie ulewy omijają Iscę kosztem okolicy. - Widziałem wzgórza okryte grubo śniegiem i słońce świecące tu na zielonej trawie.

- Tak, panie - rzekłem z uśmiechem.

- To prawda, Derflu! Prawda! Kiedy wyjeżdżam z miasta, biorę opończę i przychodzi taka chwila, że upał nagle się kończy i muszę się cieplej odziać. Przekonasz się na jutrzejszych łożach.

- To brzmi jak czary - powiedziałem, lekko się z nim drocząc, bo normalnie nie cierpiał wszelkich napomknien o czarach.

- A żebyś wiedział, że to mogą być czary! - wykrzyknął z całą powagą i poprowadził mnie zaułkiem biegnącym wzdłuż ogromnej chrześcijańskiej świątyni. Pośrodku miasta stał przedziwny wzgórek. Obiegała go dróżka, prowadząca na szczyt. Dawni ludzie wydrążyli tam dziurę, teraz zapełnioną niezliczonymi ofiarami na cześć bogów. Były tu kawałki wstążek, owczego runa, guziki, a wszystko to świadczyło, że chociaż misjonarze Meuriga zadawali sobie wiele trudu, nie wytępiłi ze szczerem starej wiary. - Jeśli działają tu jakieś czary, to dobywają się stąd - wyjaśnił mi Artur, kiedy wdrapaliśmy się na szczyt góry i zajrzeliśmy do zarośniętej trawą dziury. - Miejscowi powiadają, że to wejście do zaświatów.

- A wy im wierzycie, panie?

- Wiem tylko, że to błogosławione miejsce - powiedział z rozmarzeniem, bo Isca doprawdy robiła wrażenie błogosławionej podczas tamtej pełni lata. Przyptyw podniósł poziom rzeki, burzącej się w głębokim korycie między zielonymi brzegami, słońce padało na pobielone budynki i drzewa rosnące na dziedzińcach, podczas gdy na północy szachownica zaoranych poletok sięgała w spokoju ku górom. Trudno było uwierzyć, że nie tak wiele lat temu saskie zagony docierały do tych wzgórz, mordując wieśniaków, porywając ich w niewolę i zostawiając po sobie płonące lany. Miało to miejsce za panowania Uthera, lecz

Artur tak daleko odepchnął nieprzyjaciela, że tego lata i przez wiele następnych wydawało się, iż żaden zbrojny Sas nie przybliży się już do Iski.

Najmniejszy pałac w mieście leżał po zachodniej stronie wzgórka i to w nim mieszkali Artur i Ginewra. Z naszego punktu obserwacyjnego na tajemniczym wzniesieniu widzieliśmy dziedziniec, po którym spacerowały Ginewra i Ceinwyn. Jasne było, że to Ginewra mówi za obie.

- Planuje małżeństwo Gwydra - rzekł mi Artur. - Z Morwenną, oczywiście - dodał szybko, uśmiechnąwszy się.

- Morwenną jest na to przygotowana - rzekłem skwapliwie. Moja starsza córka była dobrą dziewczyną, lecz ostatnio miewała humory i łatwo wpadała w irytację. Ceinwyn zapewniła mnie, iż to zachowanie świadczy o gotowości do zamążpójścia.

Artur siedział na trawie, zapatrzony na zachód. Zauważyłem, że dłonie pokrywają mu niewielkie czarne blizny. Był to wynik pracy przy piecu kowalskim, który wznosił dla siebie na podwórzu za stajniami. Kowalstwo zawsze go intrygowało i potrafił rozprawiać o nim godzinami z niegasnącym ferworem. Jednakże teraz inne sprawy chodziły mu po głowie.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu, gdyby biskup Emrys pobłogosławił ożenek? - spytał nieśmiało.

- Czemu miałbym mieć coś przeciw temu? - spytałem. Lubilem biskupa.

- Tylko biskup Emrys. Żadnych druidów. Musisz zrozumieć, Derflu, że żyję tu na łasce Meuriga. On jest królem tej ziemi.

- Panie...! - zacząłem protestować, lecz uciszył mnie podniesieniem dłoni, tak że zamilkłem. Wiedziałem, iż młody król Meurig nie jest łatwym sąsiadem. Drażniło go, że ojciec czasowo pozbawił go władzy, jak również to, że nie dostał części chwały, która przypadła zwycięzcom spod Mynydd Baddon, i posepnie zazdrościł Arturowi. Terytorium Meuriga zaczynało się parę kroków od wzgórka, od przyczółka rzymskiego mostu łączącego brzegi rzeki Usk. Wschodnia część Sylurii należała mu się prawnie.

- Nie kto inny, jak Meurig, chciał, bym się tu osiedlił - wyjaśnił Artur. - Lecz to Tewdryk przyznał mi prawa do wszystkich dawnych królewskich czynszów. Przynajmniej on jest wdzięczny za to, co osiągnęliśmy pod Mynydd Baddon, ale bardzo wątpię, by jego syn pochwalał ten stan rzeczy, więc staram się go sobie zjednać, demonstrując przywiązanie do wiary chrześcijańskiej. - Zrobił w powietrzu znak krzyża i posłał mi uśmiezek, wyrażający pogardę do samego siebie.

- Nie musicie go sobie zjednywać, panie - powiedziałem z gniewem. - Dajcie mi miesiąc, a przytargam tu tego psa i rzucę go przed wami na kolana.

Artur roześmiał się.

- Następna wojna? - Potrząsnął głową. - Meurig może być głupcem, lecz nigdy nie szukał wojny, więc nie mogę darzyć go niechęcią. Zostawi mnie w spokoju dopóty, dopóki nie będę go obrażał. Poza tym mam dość potyczek na co dzień.

To były drobne utarczki. Ludzie Oengusa nadal przekraczali zachodnią granicę Sylurii i Artur rozstawił tam placówki chroniące przed tymi wypadami. Nie gniewał się na Oengusa, którego w rzeczy samej uważał za przyjaciela, albowiem ten mógł zabronić tych najazdów z takim samym skutkiem, jakby zabraniał zapchlomemu psu drapać się. Bardziej niepokojąca była północna granica Sylurii, ponieważ za nią zaczynało się Powys, a kraj ten po śmierci Cuneglasa ogarnął chaos. Syn mego nieżyjącego szwagra, Perddel, został ogłoszony królem, lecz co najmniej pół tuzina potężnych wodzów plemion uważało, że ma większe prawo do korony niż król wyrostek - a przynajmniej możliwość jej zagarnięcia - tak że niegdyś potężne królestwo podupadło, zamieniając się w plugawe miejsce rzezi. Gwynned, ubogi kraj na północ od Powys, był wydany na pastwę ciągłych najazdów, zagonów wojowników tłukących się między sobą. Zawierano tymczasowe przymierza, łamano je, masakrowano rodziny lub czmychano przed masakrami w góry. Przy Perddelu stało wiernie tylu włóczników, tak że nikt nie miał dość siły, by strącić go z tronu, lecz było ich zbyt mało, aby zmusić do posłuchu burzących się wodzów.

- Wydaje mi się, że będziemy zmuszeni do interwencji - powiedział mi Artur.

- My, panie?

- Meurig i ja. Och, wiem, on nienawidzi wojen, lecz wcześniej czy później któryś z jego misjonarzy zostanie zabity w Powys i ten świątobliwy trup ściągnie na pomoc Perddlowi włóczników Gwentu. Byle tylko, oczywiście, Perddel zgodził się na ochrzczenie Powys, co niewątpliwie zrobi, jeśli dzięki temu stanie się, z malowanego, prawdziwym królem. A kiedy Meurig wyruszy na wojnę, pewnie zażąda mojego towarzystwa. Znacznie bardziej odpowiada mu narażanie na śmierć moich ludzi niż własnych.

- Pod chrześcijańską chorągwią? - spytałem kwaśno.

- Wątpię, by przystał na inną - rzekł ze spokojem Artur. - Zostałem jego poborcą podatków w Sylurii, czemu więc nie miałbym być głównodowodzącym jego wojsk w Powys?

- Uśmiechnął się przy tym krzywo, po czym spojrzał na mnie zaambarasowany. - Jest jeszcze jeden powód, aby zgotować Gwydrowi i Morwennie chrześcijański ślub - dodał po chwili.

- Jaki mianowicie? - Musiałem go naciskać, było jasne bowiem, że ten dalszy powód wprawiał go w zakłopotanie.

- Założmy, że Mordred i Arganta nie będą mieli dzieci?

Przez chwilę nie odzywałem się. Ginewra podniosła tę samą możliwość w Aquae Sulis. Wtedy wydała mi się ona nieprawdopodobna. Powtórzyłem tamtą opinię.

- Lecz gdyby byli bezdzietni - upierał się Artur - kto przede wszystkim miałby tytuł do tronu Dumnonii?

- Wy, panie, oczywiście - odparłem z przekonaniem. Artur był synem Uthera, choćby nawet z nieprawego łoża, a stary król nie zostawił innych synów, którzy mogliby zgłosić pretensje do korony.

- Nie, nie - rzekł szybko. - Nie chcę tronu. Nigdy go nie chciałem!

Spoglądałem na Ginewrę, podejrzewając, iż to ona podniosła problem Mordredowego dziedzictwa.

- W takim razie Gwydr? - zapytałem.

- W takim razie Gwydr - przytaknął mi Artur.

- Chce tego?

- Tak myślę. Słucha raczej matki niż mnie.

- Wy, panie, nie chcecie, by Gwydr został królem?

- Chcę dla Gwydra tego, czego chce on - powiedział Artur. - A jeśli Mordred nie zostawi następcy i Gwydr zgłosi pretensje do tronu, poprę go. - Przyglądał się Ginewrze i zgadłem, czyja to osoba stoi za tym ambitnym celem. Ona zawsze pragnęła poślubić króla, ale zadowoliliby się rolą królowej matki, jeśli Artur zrezygnowałby z tronu.

- Lecz, jak mówisz, to nieprawdopodobna możliwość - ciągnął Artur. - Mam nadzieję, że Mordred spłodzi wielu synów. Jeśli jednak nie i jeśli Gwydr zostanie wezwany na tron, będzie potrzebował poparcia chrześcijan. To oni rządzą teraz w Dumnonii, czyż nie tak?

- Tak, panie - rzekłem ponuro.

- Więc należy z przyczyn politycznych zadbać o chrześcijański rytuał podczas ślubu Gwydra - powiedział z chytrym uśmiechem. - Widzisz, jak blisko korony jest twoja córka?

Uczciwie mówię, że nigdy o tym wcześniej nie pomyślałem i że musiało się to wyrazić na mojej twarzy, Artur bowiem wybuchnął śmiechem.

- Chrześcijański ślub to nie jest mój szczyt marzeń, jeśli chodzi o Gwydra i Morwenę - przyznał. - Gdybym mógł wybierać, Derflu, kazałbym Merlinowi dać im ślub.

- Mielście o nim jakieś wiadomości, panie? - spytałem, żądny wieści.

- Żadnych. Liczyłem, że ty coś słyszałeś.

- Jeny plotki - powiedziałem. Nie pokazał się od roku. Opuścił Mynydd Baddon z prochami Gowena, a przynajmniej z zawiniątkiem zawierającym spalone kości Gowena i popiół - być może po martwym księciu, ale równie dobrze po spalonych drwach. Od tamtej

pory nikt go nie widział. Plotki głosiły, iż jest w Krainie Cieni, inni gadali, że przebywa w Irlandii, jeszcze inni, że w górach na zachodzie, lecz nikt nie był pewien. Powiedział mi, że udaje się na pomoc Nimue, lecz gdzie ona się znajduje, tego też nikt nie wiedział.

Artur wstał i otrzepał spodnie z trawy.

- Czas na obiad - rzekł. - I ostrzegam cię, że Talezyn pewnie będzie śpiewał niebywale nudną pieśń o Mynydd Baddon. Co gorsza, jeszcze jej nie ukończył! Wciąż coś dodaje. Ginewra powiada mi, że to arcydzieło, i pewnie to prawda, skoro ona tak twierdzi, lecz czemu muszę tego słuchać przy każdym obiedzie?

Wtedy po raz pierwszy słuchałem śpiewu Talezyna i byłem oczarowany. Jak to określiła później Ginewra, człek czuł się tak, jakby ów bard potrafił zwabić muzykę gwiazd na ziemię. Miał cudownie czysty głos i umiał ciągnąć nutę dłużej niż jakikolwiek inny pieśniarz, którego do tej pory słuchałem. Później wyjawiał mi, że ćwiczy oddech, chociaż nigdy nie pomyślałbym, że jest to coś, co wymaga ćwiczeń, lecz dzięki temu potrafił wyśpiewać dźwięk do precudownego końca, równocześnie dodając doń tony harfy. Sprawiał też, że echo jego triumfującego głosu wibrowało w sali. Przysiągłbym, iż tamtego letniego wieczoru w Isce bitwa pod Mynydd Baddon ożyła jeszcze raz. Słuchałem Talezyna wiele razy i za każdym razem czułem ten sam zachwyt i podziw.

A przecież pozostał człowiekiem skromnym. Zdawał sobie sprawę ze swojej mocy i nie była mu ciężarem. Cieszyło go, że Ginewra jest jego protektorką, była bowiem hojna i ceniła jego talent, a także nie stawiała mu przeszkód, gdy na całe tygodnie opuszczał pałac. Spytałem go, dokąd się wtedy udaje; odrzekł, iż odwiedza wzgórza, doliny i śpiewa ludziom.

- Nie tylko śpiewam - powiedział. - Także słucham. Lubię stare pieśni. Czasem ludzie pamiętają tylko urywki i próbują odtworzyć całość. Twierdził, iż ważne jest słuchanie pieśni prostych ludzi, bo to uczy go ich upodobań, lecz także chciał im śpiewać własne pieśni. - Łatwo jest zabawiać panów, albowiem trzeba im rozrywki, ale wieśniak nad pieśń przedkłada krzepiący sen i jeśli potrafię sprawić, że ma oczy i uszy szeroko otwarte, wtedy wiem, że moja pieśń jest coś warta. - Powiedział mi też, że czasem śpiewa sam dla siebie. - Siadam pod gwiazdami i śpiewam - rzekł z krzywym uśmiechem.

- Naprawdę widzisz przyszłość? - spytałem go podczas tamtej rozmowy.

- Widzę ją w snach - odparł takim tonem, jakby nie był to żaden specjalny dar. - Ale oglądanie przyszłości jest jak wpatrywanie się w mgłę i cały trud rzadko bywa nagradzany. Poza tym nigdy nie potrafię rzec, panie, czy te wizje pochodzą od bogów, czy jeno z moich własnych lęków. Przecież w gruncie rzeczy jestem tylko bardem.

Wydaje mi się, że był skryty. Merlin rzekł mi, iż Talezyn musiał zachować celibat, inaczej nie byłoby mowy o darze prorocstwa. Sam bard pomniejszał ten dar, ubiegając w ten sposób pytania wścibskich ludzi. Jestem skłonny sądzić, że ujrzał naszą przyszłość na długo przed tym, zanim ktokolwiek z nas miał o niej blade pojęcie, i nie chciał jej odsłonić. Zaiste był skrytym człowiekiem.

- Tylko bardem? - spytałem, powtarzając jego ostateczne słowa. - Ludzie powiadają, że jesteś największym ze wszystkich bardów.

Potrząsnął głową, nie przyjmując do wiadomości mojego pochlebstwa.

- Tylko bardem - rzekł z uporem. - Chociaż to prawda, że poddałem się nauce druidów. W Carnovii Celafydd uczył mnie o misteriach. Nauka trwała siedem lat i trzy, a ostatniego dnia, zamiast wziąć laskę druida, oddaliłem się od pieczary Celafyddda i nazwałem się bardem.

- Dlaczego?

- Bo druid ma obowiązki, a ja ich nie chciałem - rzekł po długiej pauzie. - Lubię obserwować, szlachetny Derflu, i opowiadać. Dzieje są materia opowieści i jestem gotów być ich opowiadaczem, nie twórcą. Merlin zapragnął zmienić bieg dziejów i poniósł klęskę. Nie śmiem mierzyć tak wysoko.

- Czy poniósł klęskę? - spytałem.

- Nie, jeśli chodzi o drobiazgi - rzekł cicho. - Ale w wielkich sprawach...? Tak. Bogowie oddalili się jeszcze bardziej i podejrzewam, że ani moje pieśni, ani Merlinowe ogniska nie zdołają ich teraz przyciągnąć. Świat kieruje się, panie, ku nowym bogom i może to nie takie złe. Bóg to bóg i czemu miałyby dla nas być takie ważne, który z nich rządzi? Tylko duma i nawyk trzyma nas przy starych bogach.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy powinniśmy stać się chrześcijanami? - spytałem ostro.

- To, jakiego boga będziecie czcili, panie, nie ma dla mnie znaczenia. Jestem tu jeno po to, by obserwować, słuchać i śpiewać.

Tak więc Talezyn śpiewał, kiedy Artur rządził z Ginewrą w Sylurii. Moim obowiązkiem było skracać uzdę Mordredowi, gotowemu wyrządzić szkody w Dumnonii. Merlin znikł, pewnie w wiecznych mgłach na odległym zachodzie. Sasi zgięli karku, lecz nadal pożądali naszych ziem, a w niebiosach, gdzie żadna uzda nie mogła powściągnąć ich chętki do szkody, bogowie na nowo cisnęli kośćmi.



W tamtych latach po Mynydd Baddon Mordred był szczęśliwy. Zakosztowawszy wojaczki, poczuł apetyt, którego nie dało się nasycić. Przez jakiś czas kontentował się walkami pod zwierzchnictwem Sagramora; napadł na przykrojoną Lloegyrię lub też ścigał bandy Sasów plądrujące spichlerze i obory, lecz po jakimś czasie było mu tego za mało. Ostrożność Sagramora budziła w nim bezradność i wrzenie we krwi. Numidyjczyk nie miał ochoty doprowadzić do wybuchu prawdziwej wojny, do inwazji na terytoria nadal będące pod panowaniem Cerdyka i mocno obsadzone przez Sasów, lecz Mordred rozpaczliwie pragnął następnego starcia murów tarcz. Pewnego razu rozkazał włócznikom Sagramora iść za nim na ziemie Cerdyka, lecz ci odmówili. Zażądali polecenia swego dowódcy, a ten zakazał inwazji. Mordred dąsał się przez jakiś czas, lecz wreszcie Brocelandia, królestwo Brytów w Armoryce, poprosiło o pomoc i poprowadził oddział ochotników przeciwko Frankom, napierającym na granice króla Budyka. Pozostał w Armoryce ponad pięć lat i zyskał tam sławę. Powiadano mi, że w bitwie był nieulekły, a jego zwycięstwa przyciągnęły kolejnych mężów pod sztandar ze smokiem. Byli to bezpieczni ludzie - łotry, rzeźmieszki żyjący z łupu - i Morderd zaspokoił ich najgorętsze pragnienia. Odzyskał sporą część dawnego królestwa Benoic i bardowie zaczęli nazywać go w pieśniach „nowym Utherem”, nawet „drugim Arturem”, chociaż inne opowieści, nigdy niezamienione w pieśni, również przybyły zza szarych wód i pełno w nich było gwałtów, morderstw i rozpasania okrutników.

Sam Artur także walczył, albowiem zgodnie z jego przewidywaniami niektórzy misjonarze Meuriga stracili życie w Powys i król zażądał pomocy Artura w ukaraniu zabójców, tak więc mój pan udał się ku północy, na jedną ze swoich największych kampanii. Nie było mnie u jego boku, żeby mu pomóc, miałem bowiem obowiązki w Dumnonii, lecz wszyscy słyszeliśmy opowieści. Oengus mac Airem, przekonany przez Artura, wypędził rebeliantów z Demetii i podczas gdy Tarczownicy Czarni uderzyli z zachodu, żołnierze Artura przybyli z południa. Armia Meuriga dotarła na miejsce dwa dni potem i zastała rebelię zmiażdżoną, a większość morderców w niewoli, lecz część z nich ukryła się w Gwynedzie, a Byrthig, król tego górzystego kraju, odmówił ich wydania. Byrthig nadal żywił nadzieję, że rebelianci zdobędą dla niego ziemie w Powys, tak więc Artur, nie zwracając uwagi na rady Meuriga, zalecającego ostrożność, runął na północ. Pobił Byrthiga pod Caer Gei i bez chwili wytchnienia, nadal posługując się wymówką, że część morderców księży uciekła jeszcze dalej na północ, poprowadził swój zagon Mroczną Drogą w głąb straszliwego królestwa Lleynu. Oengus poszedł za nim i na piaskach Forydu, tam gdzie rzeka Gwyrfair wślizguje się do morza, on i Artur zgotowali królowi Diwrnachowi pułapkę. Tak zmiażdżono Tarczowników Krwawych Lleynu. Diwrnach utonął, ponad stu jego włóczników zostało zmasakrowanych, a

reszta zbiegła w panice. W dwa letnie miesiące Artur zdusił rebelię w Powys, upokorzył Byrthiga i zniszczył Diwrnacha, przez co spełnił przysięgę złożoną Ginewrze, że pomści utratę królestwa jej ojca. Leodegan, rodzic Ginewry, był królem Henis Wyren, lecz Diwrnach przybył z Irlandii, jednym szturmem zdobył ten kraj, przemianował go na Lleyn, przez co Ginewra stała się wygnańcem bez miedziaka przy duszy. Teraz Diwrnach nie żył i spodziewałem się, że Ginewra może zażądać oddania królestwa synowi, lecz nie zaprotestowała, gdy Artur przekazał je Oengusowi, liczył bowiem, iż dzięki temu Tarczownicy Czarni zaprzestaną napadów na Powys. Lepiej już - wytłumaczył mi później Artur - by Lleyn miało irlandzkiego władcę, albowiem ogromna większość tamtejszego ludu była Irlandczykami i zawsze uznawałaby Gwydra za obcego. Tak więc starszy syn Oengusa rządził w Lleyn, a Artur przywiózł miecz Diwrnacha do Iski jako trofeum dla Ginewry.

Wszystko to działo się z dala ode mnie, zarządzałem bowiem Dumnonią, gdzie moi włóczęnicy zbierali podatki dla Mordreda i strzegli prawa w jego imieniu. Issa sprawował większość tych obowiązków. Teraz był sam sobie panem i przekazałem mu połowę moich włóczęników. Był już również ojcem, a Scarach spodziewała się następnego dziecka. Mieszkała z nami w Dun Caric, skąd Issa udawał się na objazd kraju i skąd co miesiąc i z coraz większą niechęcią jeździłem na spotkanie Rady Królewskiej w Durnovarii. Przewodniczyła tym obradom Arganta, albowiem Mordred rozkazał, aby jego królowa zajęła miejsce u szczytu stołu. Nawet Ginewra nigdy nie brała udziału w spotkaniach Rady, lecz przez wzgląd na zalecenia Mordreda Arganta zwoływała radę i uczyniła biskupa Sansuma swoim głównym doradcą. Mysi Król miał komnaty w pałacu i szeptał królowej do jednego ucha, podczas gdy Fergal do drugiego. Sansum obnosił się z nienawiścią do wszystkich niechrześcijan, lecz gdy przekonał się, że nie zyska żadnych wpływów, jeśli nie będzie dzielić ich z Fergalem, nienawiść przeszła w wymuszone przymierze. Morgan, żona Sansuma, powróciła po Mynydd Baddon do Ynys Wydryn, lecz Sansum pozostał w Durnovarii, przedkładając zaufanie królowej nad towarzystwo małżonki.

Arganta z przyjemnością wykonywała obowiązki królowej. Nie sądzę, by miłowała na zabój Mordreda, lecz darzyła uczuciem pieniądze i pozostając w Dumnonii, postarała się o to, by większa część wpływów z podatków trafiała w jej ręce. Nie zużywała tych bogactw. Nie budowała jak Artur i Ginewra, nie restaurowała mostów i fortów, po prostu to, co pobrała w naturze - sól, zboże, skóry - wymieniała na złoto. Część z tego posyłała mężowi, który stale domagał się pieniędzy na swoje wojsko, lecz większość gromadziła w pałacowym skarbcu, aż niemal wszyscy mieszkańcy Durnovarii uznali, że ich miasto stoi na fundamencie ze złota. Arganta dawno temu odzyskała skarb ukryty przeze mnie przy rzymskim trakcie i wzbogacała

się coraz bardziej, zachęcana do tego przez biskupa Sansuma, który był nie tylko głową Kościoła całej Dumnonii, lecz pozyskał tytuł głównego doradcy i skarbnika królewskiego. Nie wątpiłem, że ten ostatni urząd sprawował z uszczerbkiem dla interesów króla i z pożytkiem dla siebie. Pewnego dnia oskarżyłem go o to, na co niezwłocznie przybrał urażoną minę.

- Nie dbam o złoto, panie - rzekł nabożnie. - Czy nasz Pan nie nakazuje nam gromadzić skarby nie na ziemi, lecz w niebiesiach?

Skrzywiłem się.

- On może sobie nakazywać, co mu się żywnie podoba - powiedziałem. - Lecz wy sprzedalibyście duszę za złoto, biskupie, i powinniście to zrobić, bo dobrze wyszlibyście na tym interesie.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Dobrze? Dlaczego?

- To oczywiste. Bo wymieniłbyś paskudztwo na pieniądze.

Nie udawałem, że go lubię, a on odpłacał mi się tą samą monetą. Zgarniał pod siebie, ile mógł, Mysi Król, a ranie zawsze oskarżał o zaniżanie podatków w zamian za usługi, powołując się przy tych potwarzach na fakt, że z każdym rokiem mniej pieniędzy wpływało do skarbcza, lecz ja w żadnym razie nie przyczyniłem się do uszczuplenia królewskich dochodów. Sansum przekonał Mordreda do podpisania dekretu, zwalniającego wszystkich chrześcijan od podatków, i śmiem twierdzić, że Kościół nigdy nie wpadł na lepszy pomysł nawracania na wiarę chrześcijańską, chociaż Mordred niebawem cofnął tę ulgę, zdawszy sobie sprawę, jak wiele dusz zbawia i jak mało złota zbiera. Wtedy Sansum przekonał z kolei króla, że Kościół, i tylko Kościół, powinien być odpowiedzialny za strzyżenie swoich owieczek. To spowodowało, że dochody skarbcza wzrosły na rok, lecz natychmiast potem zmalowały, chrześcijanie bowiem przekonali się, iż taniej jest przekupić Sansuma, niż płacić królowi. Biskup zaproponował podwojenie podatków wszystkich niechrześcijan, lecz Sagramor odmówił ich ściągania, twierdząc, że to tylko wywoła rebelię w tych częściach Lloegyrii, w których dopiero co wprowadziliśmy spokój. Nic dziwnego, że nie cierpiałem obrad Rady i po roku czy dwóch bezowocnych swarów zrezygnowałem całkowicie z uczestniczenia w nich. Issa dalej zbierał podatki, lecz płacili je tylko uczciwi, a wyglądało na to, że ubywa ich z każdym rokiem, tak więc Mordred nieustannie narzekał na pustki w skarbcu, podczas gdy Sansum i Arganta tuczili się złotem.

Królowa stawała się coraz bogatsza, lecz pozostawała bezdzienna. Czasem odwiedzała Broceliandię, a Mordred raz na jakiś czas powracał do Dumnonii, lecz brzuch Arganty nigdy

nie urósł po tych wizytach. Modliła się, składała ofiary, nawiedzała święte źródła, usiłując zająć w ciążę, lecz pozostawała bezpłodna. Pamiętam smród w sali obrad Rady, gdy nosiła pas wysmarowany gównami noworodków, co niby miało być remedium na bezpłodność, lecz nie podziałało skuteczniej niż napary z przestępu i pokrzyku, które wypijała codziennie. W końcu Sansum przekonał ją, że tylko wiara w Chrystusa może sprowadzić na nią cud i tak, dwa lata po pierwszej wyprawie Mordreda do Broceliandii, Arganta wyrzuciła Fergala z pałacu i publicznie przyjęła chrzest, zanurzając się w rzece Ffraw, opływającej północne rubieże Durnovarii. Przez pół roku chodziła dzień w dzień na msze do wielkiego kościoła, który Sansum wznosił w środku miasta, lecz pod koniec tego półrocza jej brzuch pozostał tak samo płaski jak przedtem, zanim wlała do rzeki. W tej sytuacji wezwano z powrotem druida, a ten przyniósł ze sobą nowe wywary z paskudztwa nietoperzy i posoki łasicy, mające dać Argancie płodność.

Tymczasem Gwydr i Morwenna wzięli ślub i przyszło im na świat pierwsze dziecko, chłopiec imieniem Artur, zwany zawsze potem: Artur-Bach, czyli Mały Artur. Dziecko ochrzcił biskup Emrys i Arganta uznała obrzęd za prowokację. Wiedziała, że ani Artur, ani Ginewra nie darzą chrześcijaństwa ciepłymi uczuciami i że chrzcząc wnuka, jedynie nadskakują chrześcijanom w Dumnonii, których wsparcie będzie potrzebne Gwydrowi w razie wstąpienia na tron. Poza tym samo istnienie Artura-Bacha było wymówką pod adresem Mordreda. Król powinien być płodny, taki był jego obowiązek, a Mordred go nie dopełnił. Nie miało znaczenia, że zaludniał bękartami całą Dumnonię, jak długa i szeroka, i Armorykę również, nie spłodził jednak następcy z Arganty. Królowa mówiła ponuro o szpotawej stopie małżonka, wspominała złe wróżby towarzyszące jego przyjsciu na świat i spoglądała kwaśno na Sylurię, gdzie jej rywalka, a moja córka, urodziła księżniczkę. Była coraz bardziej zdesperowana, sięgała nawet do skarbcza, płacąc każdej naciągaczce, która obiecywała jej płodność, lecz żadna wiedźma Brytanii nie mogła jej pomóc. A jeśli plotki mówią prawdę, połowa gwardii pałacowej również. Przez cały ten czas Gwydr czekał w Sylurii i Arganta wiedziała, że jeśli Mordred umrze, syn Artura obejmie rządy w Dumnonii, chyba że sama urodzi potomka.

Podczas tych pierwszych lat rządów Mordreda starałem się, jak mogłem, utrzymać pokój w Dumnonii i przez jakiś czas nieobecność króla była mi w tym pomocna. Wyznaczałem rządców, przez co zapewniałem trwanie Arturowej sprawiedliwości. Mój pan zawsze przykładał wielkie znaczenie do sprawiedliwych sądów, twierdząc, że spajają kraj, jak skórzana osłona tarczy spaja wierzbowe deski, i zadawał sobie niesłychany trud, wyznaczając rządców, których bezstronności mógł zaufać. Byli to przeważnie właściciele ziemscy, kupcy i

kapłani, niemal wszyscy ludzie na tyle możni, że mogli oprzeć się psującej mocy złota. Artur zawsze powiadał, że jeśli ludzie mogą kupić sprawiedliwość, staje się ona niesprawiedliwa, więc jego rządcy słynęli z uczciwości. Lud w Dumnonii niebawem jednak przekonał się, że decyzje rządców można obejść. Płacąc Sansumowi lub Argancie, mieli zagwarantowane, iż Mordred wyśle z Armoryki nakaz zmiany decyzji, i tak z roku po roku stawałem w obliczu coraz wyższej fali drobnych, niemniej jednak niesprawiedliwych decyzji. Uczciwi rządcy woleli raczej zrezygnować niż być skazani na ciągle zmiany wyroków, podczas gdy ludzie, którzy mogliby przedstawić swoje utrapienie sądowi, woleli położyć im kres za pomocą włóczy. Erozja prawa była powolnym procesem, lecz nie mogłem jej powstrzymać. Miałem być wędzidłem dla Mordredowych kaprysów, lecz Arganta i Sansum stali się parą ostróg, a ostrogi zawsze mogą więcej niż wędzidło.

A jednak był to czas radości. Niewielu prostych ludzi dożywało czterdziestego roku, tymczasem bogowie obdarzyli dobrym zdrowiem tak Ceinwyn, jak i mnie. Małżeństwo Morwenny dawało nam wiele radości, a obecność Artura-Bacha jeszcze więcej. Rok później nasza Seren wyszła za mąż za Ederyna, następcę tronu Elmetu. Małżeństwo to można nazwać dynastycznym, Seren była bowiem kuzynką Perddela, króla Powys, i związek wyrażał nie chęci młodych, lecz ich rodziców, pragnących wzmocnienia przymierza Elmetu i Powys. Chociaż Ceinwyn sprzeciwiała się temu związkowi, ponieważ młodzi nie pałali ku sobie uczuciem, nasza młodsza córka zawzięcie pragnęła zostać królową, tak więc wyszła za swojego królewicza i przeniosła się daleko od nas. Biedna Seren nigdy nie włożyła korony, umarła bowiem przy porodzie pierwszego dziecka, córeczki, która przeżyła matkę tylko o półtora dnia. Tak to druga z mych córek przeszła do krainy cieni.

Oplakiwaliśmy Seren, chociaż łzami nie tak gorzkimi jak Dian, albowiem mała Dian zmarła okrutną śmiercią i w bardzo młodym wieku. Zaledwie miesiąc po śmierci Seren Morwenna powiła drugie dziecko, córeczkę, którą wraz z Gwydrem nazwali Seren. Wnuczęta przysparzały nam coraz więcej radości. Nie przyjeżdżały do Dumnonii, bo zazdrość Arganty zagrażała ich życiu, lecz Ceinwyn i ja często gościliśmy w Sylurii. W rzeczy samej odwiedziny nasze stały się tak częste, iż Ginewra przeznaczyła w pałacu komnaty na nasz wyłączny użytek i po jakimś czasie spędzaliśmy w Isce większą część roku niż w Dun Caric. Głowa i broda posiwiały mi i bez żalu pozostawiłem Issie utarczki z Argantą, podczas gdy ja bawiłem się z wnukami. Matce zbudowałem dom na wybrzeżu Sylurii, lecz szaleństwo zawładnęło nią na tyle, że nie wiedziała, co się dzieje, i próbowała wrócić do szalasu z drewna wyrzuconego przez morze, wzniesionego na urwisku. Umarła podczas zimowej

zarazy i, zgodnie z obietnicą złożoną Aelle'owi, pochowałem ją tak, jak nakazuje saski obyczaj, nogami ku północy.

Dumnonia pogrążała się w upadku i wyglądało na to, że niewiele mogę zrobić, by temu zapobiec, Mordred bowiem miał akurat tyle władzy, by obchodzić moje zarządzenia, chociaż Issa dbał o porządek i sprawiedliwość, ile się tylko dało, gdy Ceinwyn i ja spędzaliśmy coraz więcej czasu w Sylurii. Jakież słodkie wspomnienia zachowałem z Iski; wspomnienia słonecznych dni z Talezynem, śpiewającym kołysanki, i z Ginewrą, łagodnie pokpiwającą z mego szczęścia, gdy ciągnąłem po trawie Artura-Bacha i małą Seren na odwróconej tarczy. Artur przyłączał się do tych zabaw; zawsze uwielbiał dzieci, a czasem towarzyszył nam Galahad, gdyż dołączył do Artura i Ginewry na tym niepozbawionym wygód wygnaniu.

Nadal się nie ożenił, chociaż miał dziecko pod opieką. Był to jego kuzyn, książę Peredur, Lancelotowy syn, znaleziony pośród trupów pod Mynydd Baddon. Błąkał się między nimi, zapłakany. W miarę jak rósł, coraz bardziej upodabniał się do ojca - ta sama smągła skóra, szczupła i urodziwa twarz i te same czarne włosy - lecz charakter miał Galahada, nie Lancelota. Był mądrym, poważnym i szczerym chłopcem, bardzo poważnie traktującym wiarę chrześcijan. Nie wiem, ile wiedział o swoim ojcu, ale zawsze był zdenerwowany w obecności Artura i Ginewry, a oni, jak sądzę, źle czuli się w jego towarzystwie. Nie chodziło może tyle o niego, co o wspomnienia, jakie nasuwał widok jego twarzy, które wszyscy radzi bylibyśmy zapomnieć. Oboje z ulgą pożegnali Peredura, kiedy w wieku dwunastu lat udał się na dwór Meuriga do Gwentu, po naukę rzemiosła wojownika. Był dobrym chłopcem, lecz z jego wyjazdem jakby cień opuścił Iscę. Lata później, kiedy czas Artura dobiegł kresu, poznałem dobrze syna Lancelota i ceniłem go tak wysoko jak żadnego męża.

Być może Peredur przyprawiał Artura o niepokój, lecz kilka innych spraw kładło się poważniejszym cieniem na jego życiu. W obecnych mrocznych czasach, gdy ludziska oglądają się w przeszłość i wspominają, co utracili z odejściem Artura, zwykle mówią o Dumnonii, lecz inni oplakują również Sylurię, w tamtym okresie bowiem Artur zapewnił bezbronnemu królestwu pokój i sprawiedliwość. Nadal szerzyły się choroby i bieda, a mężowie nie przestali się upijać i mordować tylko dlatego, że Artur rządził, lecz wdowy po nich wiedziały, iż sądy wynagrodzą im krzywdy, a głodni wiedzieli, iż spichlerze są zasobne w zboże, które pozwoli przetrzymać zimę. Żaden nieprzyjaciel nie najeżdżał granic Sylurii i chociaż wiara chrześcijańska szybko rozprzestrzeniała się w dolinach, Artur nie pozwalał księżom bezcześcić niechrześcijańskich ołtarzy ani też nie dawał niechrześcijanom niszczyć

kościół. W tamtych latach Syluria stała się rajem, tak jak wymarzył sobie całą Brytanię. Dzieci nie szły w niewolę, łany zbóż nie płonęły, wojska nie pustoszyły zagrod.

Lecz za granicami tego skrawka rajy gromadziły się czarne chmury. Pierwsza z nich to nieobecność Merlina. Mijał rok po roku, a nadal nie było o nim żadnych wieści. Po jakimś czasie uznano, że druid musiał umrzeć, bo żaden człek, nawet Merlin, nie mógł żyć tak długo. Meurig był uciążliwym i dokuczliwym sąsiadem, wiecznie domagającym się wyższych wpływów z podatków albo wygnania druidów zamieszkujących doliny Sylurii, chociaż Tewdrik, jego ojciec, tonował te żądania, kiedy dało się go obudzić z otępienia, wywołanego narzuconym stanem zagłodzenia. Powys było słabe, a w Dumnonii szerzyło się bezprawie, chociaż dzięki nieobecności Mordreda oszczędzono jej najgorszego. Wyglądało na to, że tylko w Sylurii panuje szczęście, tak że Ceinwyn i ja powoli przyzwyczajaliśmy się do myśli, iż dożyjemy końca naszych dni w Isce. Mieliśmy majątek, przyjaciół, rodzinę i szczęście.

Krótko mówiąc, żyliśmy w spokoju ducha, a los zawsze jest wrogiem spokoju, bo jest, jak stale powiadał mi Merlin, niezbadany.

Polowałem z Ginewrą na północnych stokach Iski, kiedy po raz pierwszy zwiedziłem się o niedoli Mordreda. Była zima, drzewa stały nagie, a cenne ogary Ginewry właśnie dopadły wielkiego jelenia, gdy znalazł mnie wysłannik z Dumnonii. Wręczył mi list, a potem wybałuszał oczy na Ginewrę, kroczącą między rozjuszonymi psami i jednym krótkim pchnięciem włóczni kładącą kres męce płowego zwierza. Łowczy odpędzili psiarnię od trupa, po czym dobyli noży i zaczęli sprawiać jelenia. Rozwinąłem pergamin, przeczytałem krótką wiadomość i spojrzałem na posłańca.

- Pokazałeś to Arturowi?

- Nie, panie. List był na wasze ręce.

- Zaraz przekaż go jemu - rzekłem, podając mu pergamin.

Rozradowana, powalana krwią Ginewra odstępowała od jelenia.

- Masz taką minę, jakby to była zła wiadomość, Derflu.

- Przeciwnie - rzekłem. - Jest bardzo dobra. Mordred jest ranny.

- Doskonale! - krzyknęła w uniesieniu Ginewra. - Ciężko, mam nadzieję?

- Tak wygląda. Od ciosu topora w nogę.

- Szkoda, że nie w serce. Gdzie przebywa?

- Nadal w Armoryce. - Wiadomość była podyktowana przez Sansuma i wynikało z niej, że król został wzięty z zaskoczenia i pobity przez armię Chlodwiga, wielkiego króla Franków. Podczas bitwy otrzymał paskudną ranę w nogę. Uciekł i teraz był oblegany przez

Chlodwiga w jednym z wiekowych górzystych fortów starego Benoic. Podejrzywałem, że Mordred wybrał na zimowe leże terytoria wydarte Frankom, niewątpliwie sądząc, że założy tam swoje drugie zamorskie królestwo, lecz Chlodwig powiódł na zachód frankijską armię, niespodziewanie urządzając zimową kampanię. Mordred został pobity i chociaż uszedł z życiem, znalazł się w potrzasku.

- Na ile wiarygodne są te wiadomości? - spytała Ginewra.

- Wystarczająco wiarygodne - rzekłem. - Król Budyk posłał Argancie gońca.

- Znakomicie! - powiedział księżniczka. - Znakomicie! Miejmy nadzieję, że Frankowie go zabiją. - Podeszła do rosnącej kupy dymiących flaków, po kawałek dla swoich ukochanych psiaków. - Zabiją go, prawda? - zapytała.

- Frankowie nie słyną z miłosierdzia.

- Mam nadzieję, że zatańczą na jego kościach. Nazywał siebie drugim Utherem.

- Był czas, że dzielnie stawał w polu, pani.

- Nieważne, jak dzielnie stajesz w pierwszej czy drugiej bitwie, Derflu, ważne, czy zwyciężysz w ostatniej. - Rzuciła ochłapy psom, otarła nóż o tunikę i schowała go do pochwy. - Czego więc Arganta żąda od ciebie? Ratunku dla męża? - Takie właśnie było wezwanie królowej i dlatego też Sansum skierował do mnie list. Rozkazywał mi zebrać wszystkich ludzi, pomaszerować na południe, znaleźć statki i płynąć z pomocą Mordredowi. Kiedy opowiedziałem to wszystko Ginewrze, popatrzyła na mnie drwiąco. - A ty zaraz powiesz mi, że przysięga złożona temu wrednemu łotrowi nakazuje ci posłuchać rozkazu?

- Nie składałem żadnej przysięgi Argancie - powiedziałem. - A już na pewno nie Sansumowi. - Mysi Król mógł rozkazywać do woli, lecz nie musiałem go słuchać. Nie miałem również ochoty ratować Mordreda. Poza tym powątpiewałem, by jakakolwiek armia mogła przedostać się do Armoryki zimą. Zresztą mordercza przeprawa przetrzebiłaby moich wojów i ostałoby się ich zbyt niewielu, by mogli sprostać Frankom. Mordred jedynej pomocy mógł się spodziewać od starego króla Broceliandii, Budyka, który ożenił się ze starszą siostrą Artura, Anną. Jednak gdyby nawet Budyka radowała myśl o rzezi Franków z rąk Mordreda na terenach należących niegdyś do Benoic, to pomagając mu, ryzykował gniew Chlodwiga. Pomyślałem, że Mordred jest skazany na śmierć, jeśli nie umrze z powodu rany, to zabije go Chlodwig.

Przez resztę zimy Arganta nagabywała mnie listami żądającymi zbrojnej wyprawy za morze, lecz pozostałem w Sylurii i nie przejmowałem się niczym. Issa dostawał identyczne żądania, lecz beznamiętnie odmawiał ich wypełnienia, podczas gdy Sagramor po prostu ciskał listy do ognia. Arganta, widząc, jak władza umyka jej z rąk wraz z gasnącym życiem



małżonka, podjęła bardziej rozpaczliwe kroki, oferując złoto włócznikom gotowym pozełgować do Armoryki. Wielu z nich złoto przyjęło, lecz woleli popłynąć na zachód do Kernow lub udać się na północ do Gwentu; było tam bezpieczniej niż na południu, gdzie czekała groźna armia Chlodwiga. W miarę jak wzmagala się rozpacz Arganty, rosły nasze nadzieje. Mordred był osaczony i chory, wiadomość o jego śmierci musiała przybyć wcześniej czy później, a wtedy planowaliśmy pognać konno pod sztandarem Artura do Dumnonii, wioząc Gwydra, naszego kandydata na królewski tron. Sagramor ruszy ze wsparciem od granicy saskiej i nikt w Dumnonii nie będzie miał dość siły, aby się nam przeciwstawić.

Ale mężowie poza Dumnonią również myśleli o jej tronie. Dowiedziałem się o tym wiosną, kiedy zmarł święty Tewdryk. Artur kichał i miał dreszcze po ostatnim zimowym przeziębieniu, tak że nakazał Galahadowi pośpieszyć na uroczysty pogrzeb starego króla w Burrium, stolicy Gwentu, leżącej niedaleko w górę rzeki od Iski. Galahad gorąco poprosił mnie o towarzyszenie mu w podróży. Żałowałem Tewdryka, naszego dobrego przyjaciela, niemniej jednak nie miałem ochoty uczestniczyć w jego pochówku, bo musiałbym wytrzymać niemające końca chrześcijańskie obrządki, lecz Artur dołożył swoje prośby do Galahadowych.

- Mieszkamy tu z łaski Meuriga - napomniał mnie. - Postąpimy mądrze, okazując mu szacunek. Pojechałbym, gdybym mógł - zrobił przerwę na kichanie - ale Ginewra rzecze, że to byłaby dla mnie śmierć.

Tak więc Galahad i ja udaliśmy się zamiast Artura na uroczystości pogrzebowe i rzeczywiście nie miały one końca. Odprawiano je w wielkim, przypominającym stodołę kościele wzniesionym przez Meuriga dla upamiętnienia pięćsetnej rocznicy pojawienia się Pana Jezusa Chrystusa na tej grzesznej ziemi, a gdy wreszcie zakończyły się pienia i modły w świątyni, musieliśmy przetrzymać modlitwy przy grobie Tewdryka. Nie było żadnego pogrzebnego stosu, śpiewu włóczników, jeno zimna dziura w ziemi, zastęp bełkoczących księży i niegodny pośpiech, z jakim żałobnicy popędzili do miasta i gospód, kiedy Tewdryk wreszcie spoczął w grobie.

Meurig nakazał Galahadowi i mnie siąść do kolacji przy jego stole. Dołączył do nas Peredur, kuzyn Gatehada, jak i biskup Burrium, ponurak imieniem Lladarn, odpowiedzialny za większość nudnych modłów tego dnia. Kolacja rozpoczęła się od kolejnej niekończącej się modlitwy, po której musiałem znieść dociekliwe wypytywanie o stan mojej duszy. Lladarn wielce się zaniepokoił i zasmucił, kiedy zapewniłem go, iż jestem bezpieczny pod opieką Mity. Taka odpowiedź normalnie wprawiałaby w irytację Meuriga, lecz był zbyt roztargniony,

aby dostrzec prowokację. Wiedziałem, że nie śmierć ojca wyprowadziła go z równowagi - nadal nie mógł mu wybaczyć odsunięcia od tronu w okresie Mynydd Baddon - lecz niewątpliwie nieszczerze pochwały na cześć świątobliwości i mądrości zmarłego. Wyraziłem nadzieję, że śmierć była miłosierna dla starca, na to Meurig rzekł mi, iż ojciec zagłodził się, próbując naśladować aniołów.

- W końcu nic z niego nie zostało - uzupełnił ten obraz biskup Lladarn. - Jenó skóra i kości, skóra i kości! Lecz mnisi powiadają, że było zeń niebiańskie światło, chwala Panu!

- A teraz święty siedzi po prawicy Boga - powiedział Meurig, robiąc znak krzyża. - Tam gdzie pewnego dnia będę wraz z nim. Spróbuj ostrygi, panie. - Podsunął mi srebrny półmisek, po czym nalał sobie wina. Był bladym młodzieńcem o wylupiastych oczach, rzadkiej brodzie i irytująco pedantycznych manierach. Śladem ojca małpował rzymskie zwyczaje. Na rzednących włosach nosił wieniec z brązu, odziewał się w togę i jedząc, spoczywał na łożu. Te łoża były diabło niewygodne. Ożenił się ze smutną, mającą wdzięk wołu księżniczką z Rhegedu, która przybyła do Gwentu jako niechrześcijanka, wydała na świat bliźniaków, po czym, uparta istota, musiała zakosztować bata i dopiero wtedy przeszła na chrześcijaństwo. Pojawiła się na chwilę w słabo oświetlonej sali biesiadnej, obrzuciła nas kilkoma zalotnymi spojrzeniami, nie tknęła jadła ani napitków i znikła równie tajemniczo, jak przybyła.

- Macie jakieś wieści o Mordredzie? - zapytał Meurig po krótkiej wizycie żony.

- Nie słyszeliśmy niczego nowego, królu - powiedział Galahad. - Chlodwig zapędził go w potrzask, ale tego, czy żyje, czy też nie, nie wiemy.

- Ja mam wiadomości - rzekł Meurig, rad, że usłyszał je przed nami. - Wczoraj przybył kupiec z Broceliandii i powiada nam, że Mordred jest bliski śmierci. Rana gnije. - Król dłuwał w zębach ułamkiem kości słoniowej. - To musi być boży wyrok, księżę Galahadzie, boży wyrok.

- Chwała Jego imieniu - wtrącił biskup. Jego siwa broda była tak długa, że znikła pod łożem. Wycierał zatłuszczone dłonie w brudne kłaki.

- Słyszeliśmy wcześniej podobne plotki, królu - powiedziałem.

Meurig wzruszył ramionami.

- Kupiec chyba dobrze wiedział, co mówi - oświadczył, po czym wrzucił sobie ostrygę do ust. - Więc jeśli Mordred jeszcze żyje, pewnie niedługo umrze i nie zostawi po sobie potomka!

- To prawda - rzekł Galahad.

- A Perddel z Powys również jest bezpotomny - kontynuował Meurig.

- Perddel jest nieżonaty, panie królu - zauważyłem.

- Ale czy szuka żeniaczki? - zapytał nas władczo Meurig.

- Mówiło się, że szykuje się poślubić księżniczkę z Kemów - powiedziałem. - A pewni irlandzcy królowie proponowali mu córki, lecz matka chłopca pragnie, by zaczekał jeszcze rok czy dwa.

- Matka nim rządzi, nieprawdaż? Nic dziwnego, że jest słaby - rzekł Meurig swoim rozdrażnionym, cienkim głosem. - Słaby. Ponoć zachodnie wzgórza Powys są pełne zbirów?

- Słyszałem to samo, królu - powiedziałem. Od śmierci Cuneglasa góry przy Morzu Germańskim były nawiedzane przez bezpańskich łotrów, a Arturowa kampania w Powys, Gwynedzie i Lleynie tylko zwiększyła ich liczbę. Byli wśród nich włócznicy z oddziałów Tarczowników Krwawych Diwrnacha. Gdyby zjednoczyli się z niezadowolonymi mieszkańcami Powys, mogliby stać się nowym zagrożeniem dla Perddlowego tronu, lecz jak na razie byli tylko drobnym utrapieniem. Celem ich najazdów było zboże, bydło i porywanie dzieci w niewolę. Kończyły się zawsze uciezkami do niedosiężnych górskich kryjówek.

- A jak miewa się Artur? - dopytywał się Meurig. - W jakim stanie go zostawiliście?

- Nie za dobrym, królu - rzekł Galahad. - Pragnął tu przybyć, lecz, niestety, ma zimową gorączkę.

- To nic poważnego? - Mina króla sugerowała, że ma gorącą nadzieję, iż choroba okaże się śmiertelna. - Oczywiście, tuszę, że jest wprost przeciwnie - dodał pośpiesznie. - Lecz Artur jest stary, a starcy łatwiej ulegają drobnym niedomogom niż młodzieniaszkowie.

- Nie wydaje mi się, by można nazwać Artura starym - zaprotestowałem.

- Pewnie jest blisko szóstego krzyżyka! - wykrzyknął z oburzeniem Meurig.

- Brakuje mu do niego jeszcze roku czy dwóch - powiedziałem.

- Jest stary - upierał się Meurig. - Jest. - Zamilkł i rozejrzał się po pałacowej komnacie, oświetlonej jeno knotami, zanurzonymi w oliwie nalanej do mis z brązu. Poza pięcioma łóżami i niskim stołem nie było żadnych mebli, a gołe ściany urozmaicała tylko wysoka rzeźba Chrystusa na krzyżu. Biskup obgryzał żeberka, Peredur siedział w milczeniu, podczas gdy Galahad przyglądał się królowi z lekkim rozbawieniem. Meurig znów podłubał w zębach, po czym wskazał na mnie wykałaczką. - Co się stanie, gdy Mordred umrze? - Szybko mrugał, jak zawsze kiedy był zdenerwowany.

- Musi się znaleźć nowego króla - rzuciłem lekkim tonem, jakby ta sprawa nie miała dla mnie prawdziwego znaczenia.

- Zdaje sobie z tego sprawę - rzekł kwaśno. - Ale kogo?

- O tym zdecydują panowie Dumnonii - powiedziałem wymijająco.

- I wybiorą Gwydra? - Znów zamrugał, przypatrując mi się wyzywająco. - Tak słyszę, wybiorą Gwydra! Mam rację?

Nie odezwałem się, więc przemówi! Galahad.

- Gwydr z pewnością ma prawo do tronu, królu - rzekł ostrożnie.

- Żadnego prawa, żadnego! Żadnego! - zaskrzeczał z gniewem Meurig. - Czy muszę wam przypominać, że jego ojciec jest bękartem?

- Podobnie jak ja, królu - wtrąciłem.

Meurig zignorował to.

- „Bękart nie znajdzie miejsca wśród wybrańców Pana!” - oświadczył podniesionym głosem. - Tak jest zapisane w Piśmie Świętym. Czyż nie mam racji, biskupie?

- „Nawet do dziesiątego pokolenia bękart nie znajdzie miejsca pośród wybrańców Pana”, królu - rzekł zawodzącym głosem Lladarn, po czym się przeżegnał. - Chwała niech będzie Jego mądrości i wskazówkom, królu.

- Proszę! - rzekł Meurig, jakby w ten sposób ucinął cały spór.

Uśmiechnąłem się.

- Królu, gdybyśmy wzbraniali dostępu do tronu potomkom bękartów, nie mielibyśmy królów - zareplikowałem łagodnie.

Wpatrywał się we mnie bladymi, wytrzeszczonymi oczyma, próbując ustalić, czy nie znieważylem jego drzewa rodowego, lecz pewnie uznał, że lepiej zrobi, nie wszczynając kłótni.

- Gwydr jest młody - powiedział. - I nie jest synem króla. Sasi rosą w siłę, a Powys jest źle rządzone. Brytanii brak przywódców, szlachetny Derflu, brak silnych królów.

- Codziennie wznosimy hymny dziękczynne do nieba, albowiem wy, królu, jesteście zaprzeczeniem tego stanu rzeczy - powiedział służalczo Lladarn.

Uznałem, że pochlebstwo biskupa jest wyłącznie uprzejmą uwagą, pozbawioną znaczenia frazą, jaką dworzanie zawsze sączą do uszu królom, lecz Meurig uznał ją za świętą prawdę.

- Właśnie! - wykrzyknął z entuzjazmem, a potem wbił we mnie spojrzenie, jakby oczekiwał potwierdzenia słów biskupa.

Lecz ja rzekłem jedynie:

- Kogo chcielibyście ujrzyć na tronie Dumnonii, królu?

Zamrugał oczami, szybko i nagle, co wskazywało, że pytanie postawiło go w niewygodnej sytuacji. Odpowiedź była oczywista: Meurig pragnął tronu dla siebie. Bez przekonania usiłował zdobyć go przed Mynydd Baddon. Upierając się przy tym, że armia

Gwentu nie wspomże Artura w walce z Sasami, dopóki mój pan nie zrezygnuje z władzy, chytrze osłabił tron Dumnonii. Miał nadzieję, że ten któregoś dnia opustoszeje. Teraz w końcu dojrzał szansę, chociaż nie śmiał wystawić swojej kandydatury. Czekał na potwierdzone wieści o śmierci Mordreda. Tak więc rzekł jedynie:

- Poprę tego kandydata, który okaże się uczniem naszego Pana, Jezusa Chrystusa. - Uczynił znak krzyża. - Nie mogę uczynić inaczej, służę bowiem Bogu Wszechmogącemu.

- Chwała niech będzie Panu! - rzekł pośpiesznie biskup.

- I mam godne zaufania informacje, szlachetny Derflu - mówił z naciskiem Meurig - że chrześcijanie w Dumnonii wznoszą błagania o zacnego chrześcijańskiego władcę. Błagania!

- A kto poinformował was o tym, królu? - zapytałem głosem tak kwaśnym, że biedny Peredur spoglądał na mnie z wielkim niepokojem. Meurig nie odpowiedział, lecz tego się spodziewałem, tak więc zrobiłem to za niego. - Biskup Sansum? - zasugerowałem i po oburzonej minie Meuriga przekonałem się, że trafnie zgadłem.

- Czemuż to sądzicie, że Sansum ma cokolwiek do powiedzenia w tej materii? - spytał podniesionym głosem, czerwony jak burak.

- Sansum pochodzi z Gwentu, czyż nie tak, królu? - zapytałem i Meurig zaczerwienił się jeszcze mocniej, wyraźnie potwierdzając, iż Sansumowy spisek ma na celu osadzenie Meuriga na tronie Dumnonii, za co ten zrewanżuje się biskupowi, obdarzając go jeszcze większą władzą. - Lecz nie wydaje mi się, by chrześcijanie z Dumnonii potrzebowali waszej ochrony, królu, ni Sansumowej. Gwydr, jak i jego ojciec, jest przyjacielem waszej wiary.

- Przyjacielem! Artur przyjacielem Chrystusa! - warknął na mnie Lladarn. - W Sylurii są pogańskie świątynie, składa się ofiary ze zwierząt na ołtarzach starych bogów, niewiasty płasają nago w czasie pełni księżyca, dzieciątka są przenoszone nad ogniem, druidzi bełkocą! - Bryzgał śliną, wyliczając te nieprzystojności.

- Bez błogosławionej władzy Chrystusa - Meurig pochylił się ku mnie - nie może być pokoju.

- Nie może być pokoju, królu, tam, gdzie dwóch mężów pragnie jednego królestwa - rzekłem wprost. - Co mam powiedzieć w waszym imieniu mojemu zięciowi?

Moja bezpośredniość znów wprawiała Meuriga w zmieszanie. Poobracał w dłoniach muszlę ostrygi, zanim odrzekł, wzruszając ramionami:

- Możecie zapewnić Gwydra, że będzie miał ziemię, poszanowanie, wysoką rangę i moją ochronę - mrugał przy tym szybko - lecz nie wyobrażam sobie, bym zgodził się na wyniesienie go na tron Dumnonii.

Zaczerwienił się, mówiąc ostatnie słowa. To był mądry człek, lecz zajęczego serca, i taka bezpośredniość wiele musiała go kosztować.

Może lękał się mojego gniewu, lecz ja dałem mu dworną odpowiedź.

- Powiem mu to, królu - rzekłem, chociaż po prawdzie wiadomość była nie dla Gwydra, lecz dla Artura. Meurig nie tylko zgłaszał swoją kandydaturę do tronu Dumnonii, lecz ostrzegał Artura, że świetna armia Gwentu sprzeciwi się kandydaturze Gwydra.

Biskup Lladarn pochylił się ku swemu królowi i gorączkowo szeptał mu coś do ucha. Czynił to po łacinie, przekonany, że ani Galahad, ani ja go nie zrozumiemy, lecz mój towarzysz mówił tym językiem i częściowo usłyszał szeptane słowa.

- Zamierzasz uwięzić Artura w Sylurii? - spytał oskarżycielsko Lladarna w języku Brytów.

Ten zarumienił się. Jako biskup Burrium sprawował urząd głównego doradcy królewskiego i cieszył się znaczną władzą.

- Mój król - skłonił głowę przed Meurigiem - nie może wyrazić zgody na przejście włóczników Artura przez terytorium Gwentu.

- Czy to prawda, królu? - spytał uprzejmie Galahad.

- Miłuję pokój - rzekł wyzywająco Meurig. - Lecz jedynym sposobem jego utrzymania są ostre włócznie na podporządku.

Nie rzekłem nic, obawiając się, że gniew przywiedzie mnie do obelg, które jeno pogorszą sytuację. Jeśli Meurig uparłby się przy zakazie, rozdzieliliby wojska chętne Gwydrowi. Artur nie mógłby połączyć się z Sagramorem ani Sagramor z Arturem, przez co Meurig najprawdopodobniej zostałby następnym królem Dumnonii.

- Meurig nie wyruszy do boju - upierał się Galahad, kiedy następnego dnia jechaliśmy wzdłuż rzeki ku Isce. Bazie pojawiły się na wierzbach, lecz dzień był jeszcze zimowy; wiał chłodny wiatr, goniąc mgły.

- Może wyruszyć, jeśli będzie miał po co. - A tym czymś byłyby połączone rządy Gwentu i Dumnonii, panowanie nad najbogatszą częścią Brytanii. - To zależy od tego, ile włóczni stanie przeciwko niemu.

- Twoje, Issy, Artura, Sagramora - wyliczył Galahad.

- Może pięć setek wojowników? A Sagramor jest daleko i Artur byłby zmuszony przebyć terytorium Gwentu, chcąc dotrzeć do Dumnonii. A ilu wojów Meurig ma pod sobą? Tysiąc?!

- Nie zaryzykuje wojny - upierał się Galahad. - Łaknie podwójnej korony, lecz śmiertelnie lęka się ryzyka. - Wstrzymał konia, przyglądając się rybakowi łowiącemu ryby z łódeczki na środku rzeki.

Tamten zarzucał sieci z niedbałą zręcznością i podczas gdy mój towarzysz podziwiał jego umiejętności, ja wróżyłem sobie z jego pracy. Rzekłem sobie, iż jeśli w sieci zatrzepece się łosoś, Mordred umrze. Wielka ryba niebawem szamotała się w górze, na co uznałem, że jestem głupcem, wszyscy bowiem umrzemy, tak więc szepnąłem sobie w duchu, iż jeśli teraz będzie ryba, Mordred umrze przed Beltain. Sieć wynurzyła się pusta i dotknąłem żelaznej rękojeści Hywelbane'a. Rybak sprzedał nam część swojego połowu. Włożyliśmy łososa w juki i pojechaliśmy dalej. Modliłem się do Mitry o to, by moje głupie wróżby okazały się mylne, a potem o to, by Galahad miał rację i Meurig nigdy nie ośmielił się rzucić przeciwko nam swych wojsk. Lecz czy nie uczyniłby tego dla Dumnonii? Bogatej Dumnonii? To było coś warte ryzyka, nawet w przypadku tak ostrożnego męża jak Meurig.

Słabi królowie są przekleństwem tej ziemi, lecz przysięgi składamy królom, a bez przysięg nie stałoby prawa, a bez prawa zapanowałby chaos, tak więc musimy narzucać sobie prawo i składać przysięgi. Jeśli zmienialibyśmy królów wedle naszego widzimisię, wtedy odrzucalibyśmy przysięgi wraz z niewygodnym królem. Tak więc potrzebujemy królów, gdyż musimy mieć niezmiennie prawo. Wszystko to prawda, niemniej jednak, gdy jechaliśmy do domu przez zimowe mgły, małym się nie rozpląkał na myśl, że mąż, który winien być królem, nim nie jest, natomiast ci, którzy nigdy nie powinni być królami, są nimi co do jednego.

Zastaliśmy Artura w kuźni. Wzniósł ją własnymi rękami, zbudował wielki piec z rzymskich cegieł, po czym nabył kowadło i kowalskie narzędzia. Zawsze głosił, że pragnie być kowalem, chociaż, jak to zauważyła Ginewra, chcieć i być to nie to samo. Lecz Artur starał się, starał się po stokroć! Najął prawdziwego kowala, wychudłego milczka imieniem Morridig, którego zadaniem było nauczyć go rzemiosła, lecz Morridig dawno temu oświadczył z żalością, że jedyne, co łączy naszego pana z kowalstwem, to niegasnący entuzjazm. Niemniej jednak wszyscy zostaliśmy obdarowani przez Artura jego wyrobami: powykrzywianymi żelaznymi świecznikami, przeciekającymi garnkami o pokracznych rączkach lub rożnami, które gięły się nad ogniem. Kuźnia przysparzała mu radości i bez końca wystawał przy huczącym piecu, zawsze przekonany, iż jeszcze tylko trochę nauki i będzie tłukł młotem kowalskim równie bez wysiłku i sprawnie jak Morridig.

Był sam w kuźni, gdy ja i Galahad powróciliśmy z Burrium. Przywitał nas burknięciem, skupiony na waleniu w bezkształtny kawał żelaza, mający być podkową dla

jednego z jego koni. Kiedy wręczyliśmy mu w prezencie zakupionego łososa, niechętnie opuścił młot, po czym przerwał naszą relację, mówiąc, iż podobno Mordred jest bliski śmierci.

- Wczoraj przybył z Armoryki pewien bard - powiedział. - Wedle jego słów, noga króla gnije do biodra. Ponoć śmierdzi jak zdechła ropucha.

- Skąd ten bard o tym wie? - spytałem, spodziewałem się bowiem, iż Mordred jest odcięty od wszystkich innych Brytów w Armoryce.

- Powiada, że cała Brocelandia o tym wie - rzekł Artur, po czym radośnie dodał, że spodziewa się, iż wolny tron Dumnonii to kwestia dni, lecz popsuliśmy mu humor, opowiadając, że Meurig nie zgadza się na przemarsz obcych wojsk przez Gwent, a ja dodałem jeszcze najnowsze wieści o Sansumie.

Przez chwilę spodziewałem się, że Artur zacznie kłąć, co bardzo rzadko mu się zdarzało, lecz pohamował się i jedynie odsunął łososa od pieca.

- Nie chcę, żeby się usmażył - powiedział. - Więc Meurig zamknął przed nami wszystkie drogi?

- Rzecz, że wynika to z jego pragnienia pokoju, panie - wyjaśniłem.

Artur roześmiał się kwaśno.

- Chce się sprawdzić, i tyle. Jego ojciec nie żyje, więc pali się udowodnić, że przerasta Tewdryka. Najlepszy sposób ku temu to zostać bohaterem w bitwie, a kolejny to kradzież królestwa bez bitwy. - Kichnął gwałtownie, po czym potrząsnął gniewnie głową. - Nie cierpię przeziębień.

- Powinniście odpoczywać, panie, a nie pracować - rzekłem.

- To nie praca, jeno przyjemność.

- Powinniście pić podbiał na miodzie - doradził Galahad.

- Nie piję nic innego od tygodnia. Na katar są tylko dwa remedia: śmierć i czas. - Porwał młot i grzmotnął z brzękiem w stygnący kawał żelaza, po czym nacisnął miech doprowadzający powietrze do pieca. Zima dobiegła końca, lecz choć Artur wciąż twierdził, że pogoda zawsze jest łaskawa dla Iski, dzień był lodowaty. - Co knuje ten twój Mysi Król? - spytał mnie, nie poprzestając na jednym naciśnięciu miecha.

- To nie mój Mysi Król - odparłem.

- Lecz knuć knuje, nieprawdaż? Chce własnego kandydata na tronie.

- Ale Meurig nie ma prawa do tego tronu! - zaprotestował Galahad.

- Żadnego - zgodził się z nim Artur. - Lecz ma wiele włóczni. I miałby częściowe prawo, gdyby pojął za żonę Argantę.



- Nie może się z nią ożenić - powiedział Galahad. - Już jest żonaty.

- Muchomor strąci z tronu niewygodną królową - rzekł Artur. - Tak Uther pozbył się pierwszej żony. Muchomor w borowikach ze śmietaną. Zastanawiał się przez chwilę, po czym wsunął podkowę w żar. - Sprowadź mi tu Gwydra - rozkazał Galahadowi.

Tymczasem torturował rozpalony do czerwoności kawał żelaza. Podkowa jest nad wyraz prostym przedmiotem, ochroną delikatnego kopyta. Wystarczy wygiąć żelazo z przodu, ukształtować parę bolców z tyłu, przez które przechodzą rzemienie, lecz wyglądało na to, że Artur nigdy sobie z tym nie poradzi. Żelazny łuk był za wąski i za wysoki, bolce za wielkie.

- Prawie dobra - oświadczył po długim zaciekłym tłuczeniu młotem.

- Dobra do czego? - spytałem.

Wsadził podkowę z powrotem do pieca i zdjął fartuch, zniszczony ogniem. Gdy Galahad powrócił z Gwydrem, Artur przekazał synowi wieści o spodziewanej śmierci Mordreda, zdradzie Meuriga i zakończył prostym pytaniem:

- Chcesz być królem Dumnonii, Gwydrze?

Ten wyglądał na zaskoczonego. Zapowiadał się na świetnego męża, lecz były to dopiero zapowiedzi, nieśmiałe i dalekie. Nie był szczególnie ambitny, chociaż jego matka wyrównywała ten brak z nawiązką. Miał oblicze Artura, pociągłe i kościste, chociaż gościł na nim stale wyraz ostrożności, jakby oczekiwał, że los w każdej chwili może mu zadać nieuczciwy cios. Był chudy, lecz na tyle często ćwiczyłem z nim szermierkę, by wiedzieć, że to zwodniczo wątle ciało dysponuje nie lada siłą.

- Mam prawo do tego tronu - rzekł ostrożnie.

- Bo twój dziad wlaźł do łóżka mojej matki - powiedział z irytacją Artur. - Tak wygląda twoje prawo, nie inaczej. Chcę wiedzieć jedno: czy naprawdę chcesz być królem?

Gwydr zerknął na mnie, szukając pomocy, lecz nie znalazłszy jej, wrócił spojrzeniem do ojca.

- Chyba tak, tak.

- Dlaczego?

Znów się zawahał i, jak podejrzewałem, mrowie przyczyn przeleciało mu przez głowę, lecz w końcu na jego twarzy pojawił się wyraz buntu.

- Bo, rodząc się, zyskałem prawo do tronu. Jestem w równej mierze potomkiem Uthera jak Mordred.

- Twierdzisz więc, że urodzenie daje ci do tego prawo, hę? - W głosie Artura pojawił się sarkazm. Pochylił się i nacisnął miech, a piec zahuczał i plunął iskrami w komin. Artur

przemówił z naciskiem: - Każdy w tej kuźni jest królewskim synem, Gwydrze, poza tobą, a ty powiadasz, że rodząc się, zyskałeś prawo do tronu?

- W takim razie ty bądź królem, ojcze, a naonczas będę też synem króla.

- Dobrze powiedziane - wtrąciłem się.

Artur popatrzył na mnie gniewnie, chwycił ścierkę leżącą obok kowadła i wysmarkał się w nią. Cisnął ją do ognia. My wszyscy pozostali smarkaliśmy po prostu w palce, lecz Artur zawsze był delikatnych manier.

- Przyjmijmy, Gwydrze - mówił - że pochodzisz z królów. Że jesteś wnukiem Uthera i stąd też masz prawo do tronu Dumnonii. Tak się składa, że ja też je mam, ale zdecydowałem się z niego nie korzystać. Jestem za stary. Lecz czemu tacy mężowie jak Derfel i Galahad mieliby walczyć, by osadzić cię na tronie Dumnonii? Powiedz mi to.

- Bo będę dobrym królem - oświadczył Gwydr, piekąc raka, i dodał, patrząc na mnie: - A Morwenna będzie dobrą królową.

- Każdy, komu kiedykolwiek zachciało się korony, mówił, że będzie dobry - burknął Artur. - A większość okazała się zła. Czemu ty miałbyś się od nich różnić.

- Ty mi to powiedz, ojcze - powiedział Gwydr.

- Pytam ciebie!

- Lecz kto, jeśli nie ojciec, zna charakter syna? - odparł bezzwłocznie Gwydr.

Artur podszedł do drzwi, otworzył je i wpatrywał się w podwórzec. Jak zwykle nie było tam nikogo poza psiarnią, więc odwrócił się do nas.

- Poczciwy z ciebie człek - przyznał niechętnie. - Poczciwy. Jestem z ciebie dumny, lecz żywisz zbyt dobre mniemanie o świecie. Tam kłębi się zło, prawdziwe zło, a ty nie bierzesz go pod rozwagę.

- A ty żeś je brał pod rozwagę, jak dobiegałeś mojego wieku? - spytał Gwydr.

Artur uśmiechnął się półgębkiem, potwierdzając celność pytania.

- Kiedy dobiegałem twojego wieku, wierzyłem, że potrafię ukształtować świat na nowo. Wierzyłem, że on potrzebuje uczciwości i dobroci. Wierzyłem, że traktując dobrze prosty lud, dając mu pokój i sprawiedliwość, spotkam się z podzięką. Myślałem, że pokonam zło dobrem. - Urwał i po chwili ciągnął smętnie: - Pewniem myślałem o ludziach jak o psach, że jeśli okaże im się dość uczucia, będą karni, lecz ludzie to nie psy, Gwydrze, to wilki. Król musi uporać się z tysiącem ambicji, a wszystkie one żyją w piersiach zwodzicieli. Będą ci pochlebiać, a za plecami szydzić z ciebie. Ludzie jednym tchem będą przysięgać ci wierność, a drugim układać spiski na twoje życie. A jak przeżyjesz ich spiski, to któregoś dnia będziesz siwobrody jak ja i kiedy obejrzyysz się na swoje życie, zdasz sobie sprawę, że nie osiągnąłeś

niczego. Niczego. Niemowłeta, którym przyglądałaś się z rozculeniem w ramionach matek, wyrosną na morderców, sprawiedliwość, którą narzuciłeś, będzie na sprzedaż, ludzie, których strzegłeś, będą nadal głodni, a wróg, którego pobiliś, będzie wciąż zagrażał twoim granicom.

- W miarę jak mówił, rósł w nim gniew, lecz złagodził go uśmiechem. - Czy tego właśnie chcesz?

Gwydr uciekł przed wzrokiem ojca. Przez chwilę myślałem, że straci głowę, a może wda w spór z Arturem, lecz on odpowiedział, jak należy:

- Chcę, ojcze, dobrze traktować mój lud, dać mu pokój i sprawiedliwość.

Mój pan uśmiechnął się, słysząc, jak własne słowa wracają doń z ust syna.

- W takim razie może winniśmy spróbować uczynić cię królem, Gwydrze. Ale jak? - Powrócił do pieca. - Nie możemy przemaszzerować z włócznikami przez Gwent, Meurig nas zatrzyma, lecz bez włóczników nie zdobędziemy tronu.

- Łodzie - powiedział Gwydr.

- Łodzie? - spytał Artur.

- Na naszym wybrzeżu musi być pełno łodzi, a każda może zabrać dziesięciu do tuzina ludzi.

- Lecz nie koni - zauważył Galahad. - Wątpię, by mogły przewieźć konie.

- W takim razie musimy walczyć bez koni - orzekł Gwydr.

- Może nawet nie będziemy musieli walczyć - powiedział Artur. - Jeśli pierwsi znajdziemy się w Dumnonii, a Sagramor do nas dołączy, to może młody Meurig się zawaha. A jeśli Oengus mac Airem wyśle oddział ku Gwentowi, to być może Meurig tym bardziej się wystraszy. Dusza mu w pięty pójdzie, bylebyśmy zrobili na nim groźne wrażenie.

- Ale czemu Oengus miałby nas wspomóc w walce z własną córką? - spytałem.

- Bo mu na niej nie zależy - odparł Artur. - A poza tym my nie walczymy z jego córką, Derflu, my walczymy z Sansumem. Arganta może pozostać w Dumnonii, lecz nie może być królową, nie po śmierci Mordreda. - Znów kichnął. - I wydaje mi się, że niebawem powinieneś wybrać się do Dumnonii, Derflu - dodał.

- Po co, panie?

- Żeby wywąchać, co knuje Mysi Król, ot, po co. Knuje spiski i trzeba kocura, żeby sprawić mu nauczkę, a ty masz ostre pazury. I możesz jechać z chorągwią Gwydra. Ja nie mogę się ruszyć, bo to byłaby zbyt wielka prowokacja wobec Meuriga, lecz ty przepłyniesz Severn, nie budząc podejrzeń, a kiedy dotrą wieści o śmierci Mordreda, ogłosisz Gwydra królem w Caer Cadarn i zadbasz, by Sansum i Arganta nie mogli przedostać się do Gwentu. Umieścisz ich oboje pod strażą, mówiąc, że to dla ich własnej ochrony.

- Będą potrzebowal żołnierzy - ostrzegłem go.

- Weź ich tylu, ilu zmieści się na łodzi, potem wykorzystaj wojowników Issy - rozkazał Artur. Konieczność podejmowania decyzji dodała mu wigoru. - Sagramor da ci ludzi, a kiedy dowiem się o śmierci Mordreda, przyprowadzę Gwydra ze wszystkimi moimi włócznikami. Oczywiście, jeśli będę jeszcze żył - dodał, kichając.

- Będziecie, panie - powiedział bez cienia współczucia Galahad.

- Za tydzień. - Artur popatrzył na mnie oczyma w czerwonych obwódkach. - Za tydzień, Derflu.

- Tak, panie.

Pochylił się, ciskając kolejną garść węgla do płonącego ognia.

- Bogowie świadkiem, że nigdy nie wyciągałem rąk po tron - rzekł. - Ale strawiłem życie, walcząc o niego tak czy inaczej. - Pociągnął nosem. - My zaczniemy gromadzić, łodzie, Derflu, a ty ściągniesz włóczników do Caer Cadarn. Jak nabierzemy pozorów siły, Meurig dwa razy się zastanowi, zanim ruszy w bój.

- A jak nie będzie się zastanawiał? - zapytałem.

- Wtedy jesteście zgubieni - powiedział Artur. - Chyba że rozpoczniemy wojnę, a nie jestem pewien, czy tego chcę.

- Nigdy nie jesteście tego pewni, panie - rzekłem. - Lecz zawsze je wygrywacie.

- Jak do tej pory - mruknął ponuro Artur. - Jak do tej pory.

Sięgnął po szczypce, by wyratować niedoszłą podkowę z ognia, a ja udałem się na poszukiwanie łodzi, dzięki której miałem sprzątnąć Meurigowi królestwo sprzed nosa.

Następnego dnia, na fali odpływu i przy zachodnim wietrze, który pociął rzekę Usk w krótkie strome fale, wsiadłem na łódź mojego szwagra. Balig był rybakiem ożenionym z moją przyrodnią siostrą, Linną, i z rozbawieniem przyjął wiadomość, iż jest krewniakiem jednego z panów Dumnonii. Nieoczekiwany związek przyniósł mu także profit, lecz zasługiwał na uśmiech losu, był bowiem zręcznym i przyzwoitym człekiem. Rozkazał części moich włóczników wziąć się za długie wiosła, a czwórce przysiąść w zęzie. W Isce miałem jedynie tuzin włóczników, reszta była z Issą, lecz uznałem, iż ci mężowie winni zapewnić mi bezpieczeństwo w drodze do Dun Caric. Balig zaprosił mnie na drewniany kufer obok wiosła sterowego.

- I rzygajcie przez burtę, panie - dodał wesoło.

- A było kiedy inaczej?

- Było, było. Ostatnim razem zapchaliście mi szpigaty śniadankiem. Jak można było tak marnować zadaną rybkę. Odbijamy, ty zżarta przez robaki żabo! - wrzasnął na saskiego niewolnika, pojmanego pod Mynydd Baddon, który miał teraz żonę z Brytów, dwójkę maluchów i przyjaciela w Baligu, co dało się stwierdzić po stekach przekleństw, jakimi się nawzajem obrzucali. - Zna się na łodzi, to muszę mu przyznać - rzekł o nim Balig, po czym pochylił się po linę, która nadal biegła od rufy do brzegu. Już miał cisnąć cumę, kiedy rozległ się krzyk i ujrzeliśmy Talezyna, biegnącego ku nam z trawiastego wzniesienia amfiteatru Iski. Balig wybrał cumę. - Chcecie, bym zaczekał, panie?

- Tak - rzekłem, gdy Talezyn się zbliżył.

- Płynę z wami! - krzyczał bard. - Czekaście! - Nie miał ze sobą nic, poza małą sakwą i złoconą harfą. - Czekaście! - zawołał po raz wtóry, po czym zadarł wysoko białą szatę, zdjął buty i zaczął brodzić w lepkim mule zalegającym brzeg Usk.

- Nie można czekać, nie wiadomo ile - burknął Balig, gdy bard z trudem zląził stromym brzegiem. - Odpływ się wzmaga.

- Chwila, chwila! - krzyknął Talezyn. Rzucił harfę, sakwę i buty na pokład, zadarł wyżej szatę i brodził dalej. Balig złapał go za rękę i bezceremonialnie przeciągnął przez burtę. Bard rozłożył się na pokładzie, pozbierał manatki i wyjął brzeg szaty. - Nie przeszkadza wam, panie, że się z wami zabiorę? - spytał. Srebrna opaska przekrzywiła się na czarnych włosach.

- Czemu miałyby mi to przeszkadzać?

- Nie zamierzam długo się wam narzucać. Pragnę jeno dostać się do Dumnonii. - Poprawił opaskę, po czym spojrzął z ukosa na szczerzących zęby włóczników. - Czy ci mężowie umieją wiosłować?

- Oczywiście, że nie - odrzekł za mnie Balig. - To włócznicy, nie nadają się do żadnej użytecznej roboty. Razem, bękarty! Gotowi? Odbijamy! Do wiosła! Raaaz! - Potrząsnął głową w udawanej rozpacz. - Lepiej uczyć świnię tańca.

Z Iski do otwartego morza było jakieś dziewięć mil, dziewięć szybko przebytych mil, ponieważ nasza łódź była niesiona przez odpływ i skłębiony rzeczny nurt. Usk bieżała między lśniącymi mulistymi brzegami, które sięgały ku płowym polom, nagim lasom i rozległym bagnetom. Wiklinowe smołówki stały na brzegach, czaple i rybitwy łowiły łososie, walczące z odpływem. Brodźce nawoływały płaczliwie, a bekasy krążyły nad gniazdami. Wiosła były prawie niepotrzebne, albowiem pływ i nurt niosły nas szybko, a kiedy tylko dotarliśmy do szerokiej delty, Balig i jego saski niewolnik postawili porwany brązowy żagiel, który złapał zachodni wiatr i szparko pociągnął łódź.

- Wiosła na pokład! - rozkazał moim ludziom, a sam, uczepony wielkiego wiosła, sterował rozradowany, gdy mała łódź prula tęnym dziobem pierwsze wielkie fale. - Morze będzie dzisiaj żwawe, panie! - zawołał wesoło. - Wylewać tę wodę! - krzyknął do włóczników. - Co mokre, ma być za burta, nie w środku. - Wyszczrzył zęby, spodziewając się mojej mizarii. - Trzy godziny, panie, to wszystko, i wysadzimy cię na brzeg.

- Nie lubicie pływać łodzią? - zapytał mnie Talezyn.

- Nienawidzę.

- Modlitwa do Manawydana powinna zapobiec chorobie morskiej - rzekł cicho. Ułożył się koło mojego kufra i siedział na niej. Gwałtowne ruchy łodzi wyraźnie nie sprawiały mu przykrości, wprost przeciwnie, zdawał się doskonale czuć na pokładzie. - Ostatniej nocy spałem w amfiteatrze - rzekł. - To było bardzo przyjemne - ciągnął, spostrzegłszy, że jestem zbyt umęczony, by odpowiedzieć. - Kiedy zasypiasz na dole tej wieży, to jakbyś ułożył się w wieży snów.

Zerknąłem na niego. Choroba morska jakby zelała na dźwięk tych dwóch ostatnich słów, przypomniały mi bowiem o Merlinie, który miał kiedyś wieżę snów na szczycie wzgórza Ynys Wydryn. Merlinowa wieża była pustą drewnianą budowlą. Twierdził, że w niej lepiej słyhać wieści od bogów. Rozumiałem, że rzymski amfiteatr Iski z jego wysoką koroną law i zagrabioną piaskową areną mógł służyć temu samemu celowi.

- Widziałeś przyszłość? - udało mi się wykrztusić pytanie.

- Część przyszłości - rzekł. - Ostatniej nocy spotkałem we śnie Merlina.

Teraz niepokój, który dotychczas tylko chwilowo nawiedzał mój brzuch, zadomowił się tam na stałe.

- Rozmawiałeś z Merlinem? - spytałem.

- Przemawiał do mnie - poprawił mnie Talezyn. - Lecz mnie nie słyszał.

- Co mówił?

- Rzeczy, których nie mogę ci wyznać, panie, bo wolałbyś ich nie wiedzieć.

- Jakie rzeczy? - spytałem porywczo.

Łódź ześlizgnęła się ze stromej fali i Talezyn złapał się burty. Bryzgi piany leciały na nasze zbroje, ukryte w bagażach. Talezyn upewnił się, czy harfa jest dobrze osłonięta szatą, sprawdził, czy srebrna opaska nie zsunęła się z wygolonej głowy.

- Myślę, panie, że zmierzasz ku niebezpieczeństwu - rzekł cicho.

- Czy to wiadomość od Merlina? - spytałem, dotykając rękojęści Hywelbane'a. - Czy jedna z twoich wizji?

- Tylko wizja - wyznał. - I tak, jak ci kiedyś powiedziałem, panie, lepiej widzieć jasno terażniejszy dzień, niżli próbować rozeznąć wizję jutra. - Przerwał, widać było, że dobiera słowa. - Jak myślę, nie dotarły do was, panie, potwierdzone wieści o śmierci Mordreda?

- Nie.

- Jeśli moja wizja jest prawdziwa, to nasz król wcale nie jest cierpiący, lecz ozdrowiał. Mogę się mylić. Prawdę rzekłszy, modłę się, abym się mylił, lecz czy miałaś złe wróżby?

- Co do Mordreda? - spytałem.

- Co do własnej przyszłości, panie.

Pomyślałem chwilę. Otrzymałem przepowiednię z sieci rybaka, lecz przypisywałem ją raczej moim zabobonnym lękom niż bogom. Lecz co bardziej niepokojące, wypadł mały agat z pierścionka Aelle'a przekazanego Ceinwyn i ktoś ukradł jedną z moich starych opończy. Chociaż oba te zdarzenia mogły być uznane za złe wróżby, równie dobrze mogły być przypadkowe. Nie dało się tego rozsądzić, a żadna ze strat nie była na tyle znacząca, by wspominać o niej Talezynowi. Tak więc rzekłem tylko:

- Ostatnio nic nie przyprawiło mnie o niepokój.

- Dobrze - rzekł, kołysząc się wraz z łodzią.

Jego długie czarne włosy unosiły się na wietrze, który wydymał mocno żagiel i targał jego postrzępione brzegi. Porywał pienne grzywy fal i rozpylone ciskał na pokład, lecz chyba więcej wody dostawało się do środka przez rozeschnięte klepki dna niż przez burty. Moi włóczęnicy nieprzerwanie czerpali wodę.

- Myślę, że Mordred nadal żyje - kontynuował Talezyn, nie zwracając uwagi na gorączkowe prace - a wieści o jego bliskiej śmierci to mydlenie oczu. Ale nie mogę na to przysiąc. Czasem mylimy się i uznajemy nasze lęki za proroctwa. Lecz nie wymyśliłem sobie Merlina, panie, ani jego słów.

Znów dotknąłem rękojeści Hywelbane'a. Przywykłem czuć się pewniej na każdą wzmiankę o starym druidzie, lecz słowa Talezyna napawały mnie lodowatym lękiem.

- Śniłem, że Merlin jest w gęstym lesie - mówił swoim dźwięcznym głosem - i nie może się z niego wydostać; przeciwnie, za każdym razem, gdy znajdował przecinkę, drzewo wydawało jęk i zastępowało mu drogę, jak wielka żywa bestia. Ze snu wynikało, że Merlin jest w tarapatach. Odzywałem się do niego, lecz mnie nie słyszał. Oznacza to chyba, że nie można się do niego dostać. Jeśli wyślemy ludzi na jego poszukiwanie, wrócą z niczym, a może nie wrócą wcale. Lecz potrzebuje pomocy, to pewne, albowiem posłał mi sen.

- Gdzie jest ten las? - spytałem.

Bard skierował na mnie spojrzenie ciemnych, głęboko osadzonych oczu.

- Może nie być żadnego lasu, panie. Sny są niczym pieśni. Nie przekazują dokładnego obrazu świata, lecz wieści o nim. Myślę, że obraz lasu oznacza, że Merlin jest uwięziony.

- Przez Nimue - powiedziałem, nie przychodził mi bowiem do głowy nikt inny, kto śmiałby stanąć na drodze druida.

Talezyn skinął głową.

- Tak, myślę, że ona jest jego dozorcą więziennym. Pragnie jego mocy, a kiedy ją zdobędzie, przepoczwarzy Brytanię na kształt swych marzeń.

Przylapałem się na tym, że trudno mi było nawet wyobrazić sobie Merlina czy Nimue. Lata całe żyliśmy bez nich i granice naszego świata zespoliły się, bo stały się rzeczywiste. Ograniczały nas ambicje Meuriga, los Mordreda, nadzieje Artura, nie mgliste, nieuchwytno marzenia druida.

- Lecz marzenia Nimue pokrywają się z marzeniami Merlina - sprzeciwiłem się.

- Nie, panie - łagodnie wyprowadził mnie z błędu Talezyn. - Nie pokrywają się.

- Ona chce tego co on - upierałem się. - Powrotu bogów.

- Merlin przekazał Excalibura Arturowi. Czy nie pojmujecie, panie, iż czyniąc to, scedował na niego część własnej mocy? Wiele razy zastanawiałem się nad tym jego darem, sam Merlin bowiem niczego mi w tej materii nie wyjaśnił, lecz wydaje mi się, że teraz rozumiem jego czyn. Wiedział, że skoro bogowie zawiedli, to Artur mógł odnieść zwycięstwo. I w rzeczy samej, Artur zwyciężył, lecz jego sukces pod Mynydd Baddon nie był pełny. Brytania jest w rękach Brytów, ale chrześcijanie nie zostali pobici, a to klęska starych bogów. Nimue, panie, nigdy nie zadowolili się połowicznym zwycięstwem. Dla niej jest tylko jeden wybór: bogowie albo nicość. Nie obchodzi ją, jakie potworności mogą spotkać Brytanię, byle bogowie powrócili i zmiotli z powierzchni ziemi jej wrogów, i aby dopiąć tego



celu, panie, pragnie Excalibura. Pragnie każdego skrawka mocy, tak by z chwilą ponownego zapalenia ognisk bogowie nie mieli wyboru i musieli odpowiedzieć.

Wtedy pojąłem.

- A wraz z Excaliburem chce dostać Gwydra.

- W rzeczy samej, panie - zgodził się ze mną Talezyn. - Syn władcy jest źródłem mocy, a Artur, bez względu na to, czy tego chce, czy nie, jest sławnym przywódcą w Brytanii. Gdyby kiedykolwiek zdecydował się zostać królem, panie, zyskałby tytuł wielkiego króla. Tak więc, macie rację, panie, ona chce dostać Gwydra.

Patrzyłem na profil Talezyna. Straszliwe ruchy łodzi chyba sprawiały bardowi przyjemność.

- Czemu mi to mówisz? - zapytałem.

Moje pytanie wzbudziło w nim zdziwienie.

- Czemu miałbym wam o tym nie mówić?

- Bo tym sposobem ostrzegasz mnie, że winienem ochraniać Gwydra, a jeśli będę go ochraniał, zapobiegnę powrotowi bogów. A ty, jeśli się nie mylę, chciałbyś, aby oni powrócili.

- Zaiste - przyznał. - Lecz Merlin nakazał mi wam to powiedzieć.

- Czemu Merlin miałby chcieć ochraniać Gwydra? - spytałem, wyprowadzony nieco z równowagi. - Jemu zależy na powrocie bogów!

- Zapominacie, panie, że przewidział dwojaki rozwój wydarzeń. Pierwszy po myśli bogów, drugi po myśli ludzi. Ten drugi obejmuje los Artura. Jeśli Artur zostanie zniszczony, nie pozostanie nam nikt poza bogami, a Merlin chyba wie, że bogowie już nas nie słyszą. Pamiętajcie, co przydarzyło się Gowenowi.

- Umarł, lecz poniósł chorągiew do bitwy - rzekłem ponuro.

- Umarł, lecz potem ułożono go w Kotle z Clyddno Eiddyn - poprawił mnie Talezyn. - Powinien zmartwychwstać, panie, taka jest bowiem moc Kotła, lecz on nie zmartwychwstał. Nie oddychał już więcej i jestem pewien, że to oznaka osłabnięcia starych czarów. Nie są one całkiem bezsilne i podejrzewam, że przysporzą nie lada szkód, zanim się rozplyną, lecz Merlin, to również podejrzewam, mówi nam, byśmy oczekiwali naszego szczęścia od ludzi, nie od bogów.

Zamknąłem oczy, bo wielka fala rozłożyła welon bieli nad wysokim dziobem łodzi.

- Powiadasz, że Merlin zawiódł? - spytałem, gdy wodny pył opadł.

- Podejrzewam, że zdał sobie z tego sprawę, kiedy Kocioł nie przywrócił Gowena do życia. Z jakiego innego powodu włóklby jego trupa pod Mynydd Baddon? Gdyby chociaż

przez chwilę sądził, iż zdoła wykorzystać trupa do ściągnięcia bogów na ziemię, nigdy nie roztrwonilby jego czarodziejskiej mocy w bitwie.

- Niemniej jednak zabrał popioły do Nimue - przypomniałem.

- To prawda - zgodził się ze mną Talezyn. - Lecz uczynił to dlatego, że obiecał jej pomoc, a nawet popioły Gowena mogły zachować trochę mocy. Merlin może i wiedział, iż zawiódł, lecz jak każdy człowiek nie potrafi się pożegnać ze swoimi marzeniami i może uwierzył w skuteczność energii Nimue? Lecz nie przewidział jednego, panie. Tego, do jakiego stopnia ona nadużyje jego dobrej wiary.

- I go ukarze - rzekłem z goryczą.

Talezyn pokiwał głową.

- Ona go nienawidzi, bo zawiódł jej oczekiwania, a przy tym jest przekonana, że ukrywa przed nią wiedzę. Nawet teraz, panie, ten sam wiatr owiewa nas i ją, wydzierającą Merlinowi tajemnice. Ona wiele wie, lecz nie wie wszystkiego. Jeśli mój sen jest prawdziwy, to Nimue wypija z niego wiedzę. Być może będzie potrzebowała miesięcy, a nawet lat na nauczenie się wszystkiego, czego potrzebuje, lecz nauczy się, panie, a kiedy to nastąpi, wykorzysta zdobytą moc. I wy, jak przypuszczam, dowiecie się o tym pierwsi. - Złapał się sieci, nastąpił bowiem alarmujący przechył. - Czynię to, co Merlin mi nakazał. Ostrzegam was, panie, lecz przed czym? Nie wiem. - Uśmiechnął się przeprasząco.

- Przed tą podróżą do Dumnonii? - spytałem.

Talezyn potrząsnął przecząco głową.

- Myślę, że prawdziwe niebezpieczeństwo przebija wszystko, co planują wasi nieprzyjaciele w Dumnonii. W rzeczy samej jesteście w takim niebezpieczeństwie, że Merlin szlochał. Rzekł mi również, że pragnie umrzeć. - Podniósł wzrok ku żaglowi. - A gdybym wiedział, gdzie on przebywa, panie, i miał taką władzę i moc, posłałbym was, byście go zabili. Lecz my jedynie musimy czekać na Nimue, aż się odsłoni.

Złapałem zimną rękę Hywelbane'a.

- Więc co mi radzisz? - spytałem.

- Nie moja to sprawa radzić moźnym - powiedział bard. Odwrócił się do mnie, uśmiechnął i nagle ujrzałem, iż jego głęboko osadzone oczy są zimne. - Nie ma dla mnie znaczenia, panie, czy będziecie żyć, czy umrzecie, jestem bowiem pieśniarzem, a wy jesteście moją pieśnią. Jak na razie, idę waszym śladem, szukając melodii, i jeśli będę musiał, zmienię ją. Merlin mi to nakazał i uczynię to dla niego. Myślę jednak, że ratuję was przed jednym niebezpieczeństwem po to tylko, by narazić na jeszcze większe.

- To, co mówisz, jest bez sensu - powiedziałem chrapliwie.

- To ma sens, panie, lecz żaden z nas jeszcze go nie pojmuje. Jestem przekonany, że z czasem się objawi. - Przemawiał niezwykle spokojnie, lecz moje obawy były tak ponure jak chmury w górze i tak pełne niepokoju jak morze w dole. Dla uspokojenia pogładziłem ręką Hywelbane'a, zmówiłem modlitwę do Manawydana i powiedziałem sobie, iż ostrzeżenia Talezyna to jedynie sen i nic więcej, a sny nie mogą zabić.

Lecz mogą i zabijają. Gdzieś w Brytanii, w mrocznym ukryciu, Nimue, pochylona nad Kotłem z Clyddno Eiddyn, warzyła koszmar z naszych snów.

Balig przyprowadził łódź do wybrzeża Dumnonii. Talezyn pożegnał mnie radośnie, po czym ruszył między wydmy, stawiając długie kroki.

- Wiesz, dokąd zmierzasz?! - zawołałem za nim.

- Dowiem się, kiedy tam dotrę, panie! - odkrzyknął, po czym znikł.

Nałożyliśmy zbroje. Nie wziąłem najlepszego rynsztunku bojowego, jeno stary wysłużony napierśnik i pogięty hełm. Zarzuciłem tarczę na plecy, wziąłem do ręki włócznię i ruszyłem jak Talezyn w głąb łądu.

- Wiecie, gdzie jesteśmy, panie? - spytał mnie Eachern.

- Dość blisko - odrzekłem. W deszczu, który padał w oddali, rysowały się znajome wzgórza. - Pójdziemy na południe i dotrzemy do Dun Caric.

- Rozwinąć chorągiew, panie? - zapytał Eachern. Zamiast mojego gwiazdzonego znaku przywieźliśmy chorągiew Gwydra, na której niedźwiedź Artura sąsiadował ze smokiem Dumnonii, lecz postanowiłem jej nie rozwijać. Chorągiew na wietrze to utrapienie, a poza tym jedenastu włóczników maszerujących pod wielką uroczystą płachtą robi raczej śmieszne wrażenie, tak więc postanowiłem poczekać, aż ludzie Issy wzmocnią mój skromny oddziałek, i dopiero wtedy rozwinąć sztandar na długim drzewcu.

Znaleźliśmy ścieżkę i szliśmy przez kolczaste zarośla i leszczynę do małej osady składającej się z sześciu szop. Jej mieszkańcy uciekli na nasz widok, zostawiając jeno staruchę, zbyt przygarbioną i kulawą, aby mogła się szybko ruszać. Osunęła się na ziemię i splunęła wyzywająco w naszym kierunku.

- Niczego tu nie znajdziecie - zaskrzeczała. - Ni ma nic, jeno gnojówki. Gnojówki i głód, panie, tyle se u nas znajdziecie.

Kucnąłem obok niej.

- Nie chcemy niczego poza wieściami - powiedziałem.

- Poza wieściami? - powtórzyła to słowo takim tonem, jakby nie wiedziała, co znaczy.

- Wiesz, kto jest twoim królem? - spytałem łagodnie.

- Uther, panie - rzekła. - Wielki to mąż, panie. Jak jaki bóg!

Było jasne, że niczego się tam nie dowiemy, a w każdym razie niczego sensownego, tak więc poszliśmy dalej, zatrzymując się tylko na posiłek. Zjedliśmy chleb i suszone mięso, które nieśliśmy w mieszkach u pasa. Byłem we własnym kraju, a jednak czułem dziwną ciekawość, jakbym poruszał się na ziemi wroga, i chociaż sztychłem z siebie za nadmiar wiary w mgliste ostrzeżenia Talezyna, to nadal trzymałem się ścieżki ukrytej w lesie. Kiedy zapadł wieczór, powiodłem moją grupkę przez bukowy las, na wzgórze, skąd mogliśmy dostrzec innych włóczników. Nie ujrzeliśmy żadnych, lecz daleko na południe promień gasnącego słońca przebił się przez wał chmur, rozjaśniając zielony pagór Ynys Wydryn.

Nie paliliśmy ogniska. Spaliśmy pod bukami i rano obudziliśmy się zmarznięci i zeszywniali. Szliśmy na wschód, trzymając się bezlistnych drzew, kiedy poniżej, na mokrych polach, mężczyźni orali proste bruzdy w ciężkiej ziemi, kobiety siały, a dzieci biegały i darły się, odganiając ptactwo od cennego ziarna.

- Tak się to robiło w Irlandii - powiedział Eachern. - Przez połowę dzieciństwa odpędzałem ptaki.

- Trza przybić wronę do pługa, i już - doradził inny włócznik.

- Przybić wronę do każdego drzewa koło pola - zasugerował inny.

- Dalej będą wyżerać ziarno, ale przynajmniej będzie ci się zdawało, żeś coś zaradził - wtrącił trzeci.

Szliśmy wciąż wąską ścieżką między wysokimi żywopłotami. Liście nie ukrywały jeszcze gniazd, tak że sroki i sójki kradły jajka, protestując wrzaskliwie przeciwko naszej obecności.

- Ludzie dowiedzą się, że tu jesteśmy, panie - rzekł Eachern. - Mogą nas nie widzieć, ale wiedzieć będą. Usłyszają sójki.

- To nie ma znaczenia - powiedziałem. Nawet nie wiedziałem, dlaczego wkładam tyle trudu w ukrywanie się. Może dlatego, że było nas tak niewielu i jak większość wojowników czułem się pewnie jedynie wtedy, kiedy miałem za sobą liczny zastęp. Brakowało mi reszty moich ludzi. Jak na razie, pozostawało nam przemykać się chyłkiem, chociaż w południe dróżka poprowadziła nas w dół, na pola i ku rzymskiemu traktowi. Zające szalały na łąkach, a skowronki śpiewały nad nami. Nie ujrzeliśmy nikogo, chociaż niewątpliwie wieśniacy zoczyli nas i wieści o naszym przejściu szybko rozeszły się po okolicy. Obecność uzbrojonych mężczyzn zawsze wywoływała alarm, tak że kazałem części moich ludzi nieść tarcze przed sobą, aby miejscowi ujrzeli insygnia i wiedzieli, iż jesteśmy przyjaciółmi. Dopiero po przekroczeniu rzymskiej drogi blisko Dun Caric ujrzałem człowieka, a była to niewiasta.

Znajdowaliśmy się jeszcze zbyt daleko, by mogła rozpoznać gwiazdy na tarczach, tak więc uciekła do lasu za wioską.

- Wieśniacy trzęsą się ze strachu - powiedziałem Eachernowi.

- Zwiedzieli się o tym, że Mordred rozstaje się z życiem - rzekł, spluwając. - Obawiają się tego, co nastąpi, ale powinni skakać z radości, że łotr zdycha. - W młodości Mordreda Eachern służył w jego gwardii i nabrał głębokiej nienawiści do króla. Eachern z kolei dał się lubić. Nie był mądry, lecz zażarty, lojalny i nieustępliwy w boju. - Czują, że wojna blisko, panie - dodał.

Przeszliśmy przez strumień pod Dun Caric, minęliśmy chaty i ruszyliśmy stromą dróżką, wiodącą do ostrokołu obiegającego małe wzgórze. Panowała zupełna cisza. Na ulicach nie wałęsały się nawet psy, a co bardziej niepokojące, żaden włóczęga nie strzegł palisady.

- Nie ma Issy - rzekłem, kładąc dłoń na rękojeści miecza. Jego nieobecność sama w sobie nie była niczym niezwykłym, spędzał bowiem wiele czasu w innych częściach Dumnonii, lecz wątpiłem, by pozostawił Dun Caric bez straży. Nie widać było dymu nad dachami, nawet nad kuźnią.

- Żadnego psa na wzgórzu - zauważył złowróźnie Eachern. Po dworze Dun Caric zwykle wałęsała się sfora, a do tej pory kilka kundli powinno zbiec w dół na przywitanie. Lecz witały nas jedynie hałaśliwe kruki na dachu dworu i inne duże ptaki siedzące na palisadzie. Jeden z nich wyfrunął, trzymając w dziobie długi strzęp czerwonego mięsa. Nikt z nas nie odzywał się podczas wspinaczki na wzgórze. Cisza była pierwszą zapowiedzią koszmaru, kruki drugą, a w połowie wzgórz dopadł nas słodko-kwaśny smród śmierci, zatykający gardło. Ten smród, silniejszy niż milczenie i bardziej wymowny niż kruki, ostrzegł przed tym, co czeka za rozwartymi wrotami. Czekala śmierć, tylko śmierć. Zapanowała niepodzielnie w Dun Caric. Porozrzucane ciała mężów i niewiast leżały przed dworem i w środku. Czterdzieści sześć trupów, wszystkie bez głów. Ziemia przesiąkła krwią. Dwór splądrowano, przewrócono każdy kosz i każdą skrzynię, stajnie stały puste. Zabito nawet psy, chociaż one przynajmniej zachowały łby. Jedynymi żywymi stworzeniami były koty i kruki, a wszystkie zmykały przed nami.

Oszołomiony szedłem przez koszmar. Dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, iż wśród trupów widzę tylko dziesięciu młodych mężów. Musieli to być strażnicy, pozostawieni przez Issę, podczas gdy reszta to były ich rodziny. Leżał tam też Pyrlig, biedny Pyrlig, który pozostał w Dun Caric, wiedział bowiem, iż nie dorówna Talezynowi, a teraz spoczywał martwy. Biała szata przesiąkła krwią, a dłonie harfiarza były głęboko poranione,

ponieważ osłaniał się nimi przed ciosami miecza. Nie znaleźliśmy Issy ani Scarach, jego żony, albowiem w tamtej kostnicy nie było młodych niewiast, nie było też dzieci. Zostali pewnie zabrani, czy to do zabawy, czy w niewolę, podczas gdy starsi, niemowlęta i strażnicy zostali zmasakrowani co do jednego, a ich głowy zabrano jako trofea. Rzeź była niedawno, bo ciała nie zaczęły puchnąć ani gnić. Muchy pełzały po krwi, lecz w ranach pozostawionych przez włócznie i miecze jeszcze nie mrowiły się robaki.

Wrota wyważono z zawiasów, lecz poza tym nie było śladów walki i podejrzewałem, iż ludzie, którzy tego dokonali, zostali początkowo uznani za miłych gości.

- Kto to uczynił, panie? - spytał jeden z moich włóczników.

- Mordred - odparłem posepnie.

- Ale on umarł! Albo umiera!

- Chciał, żebyśmy właśnie tak pomyśleli - rzekłem i nie znajdowałem żadnego innego wytłumaczenia. Talezyn ostrzegł mnie i obawiałem się, że bard miał rację. Mordred wcale nie umierał, lecz powrócił i spuścił ze smyczy swoje psy na własny kraj. Plotki o śmierci miały uspić czujność, a przez cały czas planował powrót i wybicie do nogi wszystkich włóczników, którzy mogliby stanąć przeciwko niemu. Mordred zrzucił wędzidło, a to z pewnością znaczyło, iż po rzezi w Dun Caric musiał udać się na wschód na poszukiwanie Sagramora lub może na południe i zachód tropem Issy. Jeśli ten drugi jeszcze przebywał między żywymi.

To był nasz błąd, niczyj inny. Po Mynydd Baddon, kiedy Artur zrezygnował z władzy, pomyśleliśmy, że Dumnonię ochronią włócznie mężów wiernych Arturowi oraz jego przekonaniom i że władza Mordreda będzie ukrócona, ponieważ nie dysponował on włócznikami. Nikt nie przeczuł, że nasz król pod Mynydd Baddon zasmakuje w wojaczce, że zacznie odnosić takie sukcesy w bitwach i że przyciągnie włóczników pod swój sztandar. Teraz miał włócznie, władzę i widziałem jej pierwszy owoc. Mordred oczyszczał kraj z ludzi, których zadaniem było strzec granic jego panowania i którzy mogli poprzeć Gwydrowe prawo do tronu.

- Co uczynimy, panie? - spytał mnie Eachern.

- Udamy się do domu - powiedziałem. - Udamy się do domu. - A mówiąc „dom”, miałem na myśli Sylurię. Nie mogliśmy tu nic zrobić. Było nas zaledwie jedenastu i mieliśmy marne szansę dotrzeć do Sagramora, którego oddziały stacjonowały daleko na wschodzie. Mały garnizon Dun Caric łatwo uległ Mordredowi, lecz skrócenie Numidyjczyka o głowę było znacznie trudniejszym zadaniem. Nie mogłem też liczyć na to, że znajdę Issę, jeśli w ogóle żył, tak więc nie pozostawało nic, jeno udać się do domu, czując bezsilność i furię. Trudno opisać taką furię. Jej jądrem była zimna nienawiść do Mordreda, lecz równocześnie

niemoc i ból, w żaden bowiem sposób nie mogłem szybko pomścić tych umarłych, którzy należeli do mojego ludu i mojego oddziału. Czułem się tak, jakbym ich zawiódł, zostawił na pastwę nieprzyjaciela. Zżerało mnie poczucie winy, nienawiść, litość i rozdzierający ból.

Postawiłem jednego człowieka na straży przy rozwalonej bramie, reszta zajęła się ściąganiem trupów do dworu. Zamierzałem ich spalić, lecz nie miałem tyle drewna, by wznieść stosy pogrzebne, ani tyle czasu, by zwalić na trupy słomiany dach, tak więc zadowoliliśmy się ułożeniem ich w równej linii, a potem wzniosłem modlitwę do Mitry, żeby sprawił, aby ci ludzie zostali pomszczeni jak należy.

- Lepiej przeszukajmy wioskę - powiedziałem następnie Eachernowi, lecz nie zdążyliśmy tego zrobić. Tamtego dnia bogowie nas opuścili.

Żołnierz przy bramie nie pilnował, jak należy. Nie mogę go o to winić. Wszyscy na tamtym wzgórzu mieliśmy mętlik w głowie i wartownik pewnie gapił się na złane krwią otoczenie dworu, zamiast wypatrywać wroga, tak że zbyt późno dostrzegł jeźdźca. Usłyszałem ostrzegawczy krzyk, lecz zanim wybiegłem z dworu, żołnierz już nie żył, a jeździec w ciemnej zbroi wyszarpywał z jego ciała włócznię.

- Brać go! - krzyknąłem i ruszyłem pędem ku niemu. Spodziewałem się, że zawróci konia i ucieknie, lecz on tymczasem puścił włócznię, spiął konia i ruszył ku dworowi, a za nim natychmiast pojawili się nowi jeźdźcy.

- Szyk! - ryknąłem i pozostała dziewiątka żołnierzy zbiła się wokół mnie, tworząc mały krąg, chociaż większość z nas nie miała tarcz, cisnęła je bowiem na ziemię, kiedy wlokła trupy do dworu. Niektórzy nie mieli nawet włóczni. Dobyłem Hywelbane'a, lecz wiedziałem, że opór jest beznadziejny, miałem bowiem przed sobą ponad dwudziestu konnych, a następni gnali w górę wzgórza. Pewnie schowali się w lesie za wioską, może oczekując powrotu Issy. Nie inaczej czyniłem w Benoić. Wyrzynaliśmy Franków strzegących jakiejś odległej placówki, a następnie zalegaliśmy w zasadzce, czekając na następnych. Teraz sam wszedłem w potrzask.

Nie rozpoznawałem żadnego z konnych; nie mieli znaków na tarczach. Kilku z nich posmarowało je na czarno smołą, lecz nie byli to ludzie Oengusa mac Airema, Tarczownicy Czarni. Miałem przed sobą grupę weteranów, pobliźnionych, brodatych, kudłatych, srogo patrzących i pewnych swoich umiejętności. Ich dowódca dosiadał karego wierzchowca i miał świetny hełm z grawerowanymi policzkami. Roześmiał się, kiedy jeden z jego ludzi rozwinął sztandar Gwydra. Skierował ku mnie konia.

- Witaj, szlachetny Derflu! - rzekł.

Przez chwilę nie zwracałem na niego uwagi, rozglądając się w rozpaczliwej nadziei, że może uda mi się znaleźć jakąś możliwość ucieczki, lecz otaczał nas krąg jeźdźców, zbrojnych we włócznie i miecze, gotowych zabić i tylko czekających na rozkaz.

- Kim jesteś? - spytałem męża w pysznej zbroi.

Miał odpowiedzieć, odsunął policzki hełmu. Potem uśmiechnął się do mnie.

Nie był to przyjemny uśmiech, ale też nie był to przyjemny mąż. Miałem przed sobą Amhara, jednego z Arturowych bliźniaków.

- Witaj, Amharze synu Artura - rzekłem i splunąłem na ziemię.

- Księżę Amharze - poprawił mnie.

Jak jego brat Loholt, Amhar cierpiał dotkliwie z powodu swego nieprawego pochodzenia i pewnie dlatego postanowił przybrać tytuł księcia, chociaż jego ojciec nie był wcale królem. Byłoby to jeno żałosne, gdyby Amhar nie zmienił się tak bardzo od naszego ostatniego spotkania na zboczach Mynydd Baddon. Wyglądał starzej i o niebo świetniej. Brodę miał gęstsza, nos poblížniony, napierśnik podziobany wielokroć grotami włócznie. Wyglądało na to, że osiągnął dojrzałość na polach bitewnych Armoryki, lecz owa dojrzałość nie ukoła ponurej urazy.

- Nie zapomniałem twoich obelg pod Mynydd Baddon - rzekł. - Marzyłem o dniu, w którym się za nie odplacę. Ale wydaje mi się, że mój brat jeszcze bardziej ucieszy się na twój widok.

Nikt inny, tylko ja trzymałem Loholtowe ramię, kiedy Artur odrąbywał mu dłoń.

- Gdzie twój brat? - spytałem.

- Z naszym królem.

- A kto jest tym waszym królem? - Znałem odpowiedź, lecz chciałem potwierdzenia.

- Ten, co jest i twoim - odparł Amhar. - Mój drogi kuzyn Mordred.

A do kogo innego udaliby się Amhar i Loholt po klęsce pod Mynydd Baddon? Jak wielu innych bezpieczeństwa wojowników Brytanii, szukali schronienia u Mordreda, który z otwartymi ramionami witał każdego desperata przybyłego pod jego sztandary. Z jakąż uciechą musiał wcielić do swych szeregów synów Artura!

- I król żyje? - spytałem.

- Zdrow jak ryba! - powiedział Amhar. - Królowa posłała pieniądze Chlodwigowi, a ten przedłożył złoto nad starcie z nami. - Uśmiechnął się i wskazał na swoich żołnierzy. - Tak więc jesteśmy, Derflu. Przybyliśmy skończyć to, co zaczęliśmy rano.

- Wydrę ci duszę z ciała za to, co uczyniłeś tym ludziom - rzekłem, wskazując Hywelbane'em krew, która jeszcze nie wsiąkła cała w podwórzec.



- To ja, mój brat i nasz kuzyn jesteśmy tu od wydzierania, Derflu, a co tobie wydrzemy, to się dopiero okaże - rzekł, pochylając się na siodle.

Spojrzałem na niego wyzywająco.

- Byłem lojalnym sługą twojego kuzyna.

Uśmiechnął się.

- Wątpię, by nadal potrzebował twoich usług.

- W takim razie opuszczam ten kraj.

- Nie sądzę - rzekł łagodnym tonem Amhar. - Sądzę natomiast, że król chciałby się spotkać z tobą ten ostatni raz, a o ile wiem, mój brat wprost pali się rozmówić się z tobą.

- Wolałbym odejść - powiedziałem.

- Nie - rzekł z naciskiem. - Udasz się ze mną. Odłóż miecz.

- Musisz go sam zabrać, Amharze.

- Skoro muszę... - Nie wydawał się przejęty tym, co go czeka, lecz czemu miałby się przejmować? Mieli nad nami przewagę liczebną, a połowa moich ludzi była bez tarcz i włóczy.

Zwróciłem się do nich:

- Jeśli pragniecie się poddać, wystąpcie z kręgu. Ja będę walczył. - Dwaj nieuzbrojeni postąpili z wahaniem pół kroku naprzód, lecz wystarczyło jedno warknięcie Eacherna, a zamarli. - Idźcie - powiedziałem ze smutkiem. - Jeśli twoi kompani weszli na Most Mieczów bez przekonania, lepiej już pokonać go samemu.

Tamci wyszli przed krąg, lecz Amhar tylko skinął na swoich jeźdźców. Ci otoczyli bezbronnych, unieśli miecze i wzgórze Dun Caric nasiąkło świeżą krwią.

- Ty łotrze! - krzyknąłem i rzuciłem się na Amhara, lecz on spał konia, odwiódł go na bok, podczas gdy inni jeźdźcy runęli na moich włóczy.

To była kolejna rzeź i nie mogłem w żaden sposób odwrócić biegu wypadków. Eachern zabił jednego z ludzi Amhara, lecz kiedy jego włócznia nadal tkwiła w brzuchu trupa, inny konny zadał mu śmiertelny cios z tyłu. Reszta moich żołnierzy zginęła równie szybko. Włócznicy Amhara przynajmniej pod tym względem byli litościwi. Nie pozwolili duszom moich ludzi długo czekać na wędrówkę do Krainy Cieni, zaciekle rąbali i kłuli.

Widziałem niewiele z tego, kiedy bowiem goniłem Amhara, jakiś konny zajechał mnie od tyłu i obalił potężnym ciosem w ciemność. Upadłem, zanurzając się w czarną mgłę przeszywaną błyskami światła. Pamiętam, że w pierw dotknąłem ziemi kolanami, ale po drugim uderzeniu rozciągnąłem się jak długi i pomyślałem, że umieram. Lecz Amhar pragnął mnie żywego i kiedy się ocknąłem, leżałem na gnojówce, nadgarstki miałem związane, a

Hywelbane wisiał u boku Amhara. Odebrano mi zbroję, skradziono cienki złoty naszyjnik, lecz Amhar i jego ludzie nie znaleźli broszki Ceinwyn, nadal bezpiecznej pod kaftanem. Teraz zajmowali się odcinaniem głów moim włócznikom.

- Łotr! - cisnąłem obelgą w Amhara, lecz on tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu i wrócił do swojej straszliwej roboty. Odrąbał Hywelbane'em głowę Eachernowi, złapał ją za włosy i cisnął na stos, rosnący na płaszczu.

- Przedni miecz - powiedział mi, balansując nim na dłoni.

- To użyj go i wyślij mnie do Krainy Cieni.

- Brat nigdy by mi nie wybaczył, że okazałem ci taką łaskę - rzekł, po czym otarł miecz o swój podarty płaszcz i wsadził go do pochwy. Wezwał trzech mężów i wyjął z za pasa mały nóż. Zbliżył się do mnie. - Pod Mynydd Baddon nazwałeś mnie zdradzieckim gównem i stworem wyzbytym honoru. Czy uważasz mnie za męża gotowego zapomnieć obelgi?

- Prawda zawsze pozostaje w pamięci - rzekłem mu, chociaż zuchwałość wiele mnie kosztowała, gdyż przeraźliwy strach przenikał mnie aż do pięt.

- Twoją śmierć z pewnością wielu zapamięta - powiedział Amhar. - Lecz na razie musisz się zadowolić robotą balwierza. - Skinął na wybraną trójkę.

Walczyłem, lecz miałem związane ręce, a w głowie nadal pulsował mi ból. Mój opór był więc słaby. Dwaj wcisnęli mnie w gnojówkę, trzeci złapał za włosy, podczas gdy Amhar wbił mi kolano w tors i odcinał brodę. Nie robił tego delikatnie; odrzynał włosy wraz ze skórą, po czym cisnął je jednemu ze swoich szeroko uśmiechniętych ludzi, który rozdzielił kłaki i splótł z nich krótki sznurek. Ze sznurka uczyniono pętlę i włożono mi ją na szyję. Taka niewolnicza smycz z własnej brody była najwyższą obrazą pojmanego woja, szczytem poniżenia. Śmiali się ze mnie przez cały czas, po czym Amhar poderwał mnie na równe nogi, szarpnąwszy za smycz.

- To samo zrobiliśmy Issie - oświadczył.

- Kłamca - rzekłem słabym głosem.

- I kazaliśmy jego żonie patrzeć - mówił dalej z uśmiechem. - A potem kazaliśmy jemu patrzeć, kiedy zajmowaliśmy się nią. Oboje już nie żyją.

Splunąłem mu w pysk, ale tylko się śmiał. Nazwałem go kłamcą, lecz wierzyłem mu. Mordred niezwykle przemyślnie przygotował sobie powrót do Brytanii. Rozpuszczał wieści o swojej bliskiej śmierci, a przez cały ten czas Arganta przesyłała uciulane złoto Chlodwigowi, po czym przekupiony Frank puścił króla na wolność. Mordred pożeglował do Brytanii i teraz zabijał swoich wrogów. Issa nie żył i niewątpliwie większość jego włóczników także, a ci,

których zostawiłem w Dumnonii, umarli wraz z nim. Ja byłem więźniem. Pozostał tylko Sagramor.

Przywiązali moją smycz do ogona Amharowego konia i ruszyli na wschód. Czterdziestu włóczników utworzyło szyderczą eskortę, śmiejącą się za każdym moim potknięciem. Chorągiew Gwydra wałała się w błocie, przywiązana do ogona innego konia.

Zabrali mnie do Caer Cadarn, a kiedy się tam znaleźliśmy, cisnęli mnie do chaty. Nie było to więzienie Ginewry sprzed wielu lat, coś wiele mniejszego, z niskimi drzwiami, przez które musiałem się czołgać. Dopomagano mi kopniakami i pchnięciami drzewców. Wpełzłem do ciemnej chaty i ujrzałem innego męża, przywiezionego z Dumnonii, o twarzy czerwonej od płaczu. Przez chwilę nie poznawał mnie z powodu braku zarostu, lecz po chwili sapnął ze zdumieniem:

- Derfel!

- Witaj, biskupie - rzekłem ze znużeniem, miałem bowiem przed sobą Sansuma i obaj byliśmy więźniami Mordreda.

To pomyłka! - powtarzał z uporem Sansum. - Nie powinienem tu być! - Powiedz to im - wskazałem ruchem głowy strażników przed chatą - nie mnie.

- Niczego nie zrobiłem. Jeno służyłem Argancie! I patrz, jak mnie nagrodzili!

- Bądź cicho.

- Och, słodki Jezu! - Upadł na kolana, rozłożył ramiona i wbił spojrzenie w pajęczynę pod strzechą. - Ześlij mi aniołów! Przygarnij mnie do Twego słodkiego łona!

- Będziesz wreszcie cicho? - warknąłem, lecz on nadal modlił się i beczał, podczas gdy ja patrzyłem markotny ku mokremu szczytowi Caer Cadarn, gdzie wznosił się stos uciętych głów. Były tam głowy moich żołnierzy, obok wielu innych, przywiezionych ze wszystkich zakątków Dumnonii. Na szczycie stosu umieszczono krzesło okryte błękitną materią, tron Mordreda. Kobiety i dzieci, rodziny włóczników Mordreda patrzyły na ten koszmarny wzgórek, a czasem ktoś zaglądał przez niskie drzwi naszej chaty i ryczał ze śmiechu na widok mojej twarzy, pozbawionej brody.

- Gdzie Mordred? - zapytałem Sansuma.

- A skąd mam wiedzieć? - odparł, przerwawszy modły.

- To co wiesz? - spytałem.

Poczłapał z powrotem na ławę. Uczynił mi drobną przysługę, rozwiąawszy sznur na dłoniach, lecz niewiele poprawiło mi to humor, widziałem bowiem sześciu włóczników strzegących chaty i nie wątpiłem, iż są jeszcze inni, niewidoczni. Właśnie jeden z żołnierzy

siadł przed otwartymi drzwiami i zapraszał mnie do wyczołgania się na dwór, tak żebym dał mu możliwość zadźgania mnie. Nie miałem żadnej szansy w walce z nimi.

- Co wiesz? - spytałem znów Sansuma.

- Król wrócił dwie noce temu z setkami ludzi.

- Iloma setkami?

Wzruszył ramionami.

- Trzema? Czterema? Nie mogłem ich policzyć, było ich tak wielu. Zabili Issę w Durmovarii.

Zamknąłem oczy i odmówiłem modlitwę za biednego Issę i jego rodzinę.

- Kiedy cię pojмали? - zapytałem Sansuma.

- Wczoraj. - Zionął oburzeniem. - I za nic! Przywitałem go gorąco! Nie wiedziałem, że żyje, lecz ucieszyłem się na jego przybycie. Wielce się ucieszyłem! I za to mnie pojмали!

- Więc jaki mógł być tego powód?

- Arganta twierdzi, że pisałem do Meuriga, panie, ale to nie może być prawda! Nie posiadałem umiejętności pisania. Wiesz o tym.

- Twoi skrybowie umieją pisać.

Sansum nadął się.

- A czemu to miałbym pisać do Meuriga?

- Bo spiskujesz, żeby zapewnić mu tron, Sansumie. I nie zaprzeczaj. Rozmawiałem z nim dwa tygodnie temu.

- Nie pisałem do niego - powiedział nadąsany.

Wierzyłem mu. Mysi Król był za sprytny, by uwiecznić swoje zamysły na papierze, lecz nie wątpiłem, że słał gońców. I jeden z nich lub może dworzanin Meuriga zdradził go przed Argantą, która niewątpliwe pożądała Sansumowego złota.

- Zaslugujesz na wszystko, co cię spotka - rzekłem. - Spiskowałeś przeciwko każdemu władcy, który okazywał ci dobroć.

- Pragnąłem jedynie tego, co najlepsze, dla mojego kraju i dla Chrysta!

- Ty żabo stoczona przez robaki! - Splunąłem na podłogę. - Jedyne, czego pragnąłeś, to władza.

Uczynił znak krzyża na piersi i posłał mi nienawistne spojrzenie.

- To wszystko wina Fergala - oświadczył.

- Czemu jego?

- Bo chciał być skarbnikiem!

- Chcesz powiedzieć, że zapragnął dorównać ci bogactwem?

- Dorównać bogactwem? Mnie? - Sansum wytrzeszczał oczy z udawanym zdziwieniem. - Przysięgam na Boga, odkładałem jedynie psi pieniądz na wypadek, gdyby królestwo było w potrzebie! Byłem zapobiegliwy, Derflu, zapobiegliwy. - Usprawiedliwiał się tak i stopniowo zdałem sobie sprawę, iż wierzy we wszystko, co belkoce. Mógł zdradzać, mógł knuć mordercze spiski, tak jak knuł zamordowanie Artura i mnie, kiedy udaliśmy się na aresztowanie Ligessaka, i mógł osuszyć skarbiec do ostatniej sztuki złota, ale przez cały ten czas potrafił usprawiedliwić przed sobą każdy popełniony występki. Jego jedyną zasadą była ambicja i kiedy ten dzień nędzy i rozpacz przechodził w noc, dotarło do mnie, że kiedy ze świata znikną mężowie pokroju Artura i królowie pokroju Cuneglasy, naonczas wszelka władza przejdzie w ręce takich kreatur jak Sansum. Jeśli Talezyn miał rację, nasi bogowie znikali, a z nimi druidzi, a po nich wielcy królowie, aż wreszcie miało zapanować nad nami plemię Mysich Królów.

Następny dzień przyniósł słońce i niestały wiatr, który pchał smród gnijących głów ku naszej chacie. Nie wolno nam było jej opuszczać, tak więc musieliśmy załatwiać się w kącie. Nie dostawaliśmy pożywienia, jedynie ciśnięto nam pęcherz z cuchnącą wodą. Warty zmieniały się, lecz nowi żołnierze byli równie czujni jak poprzedni. Amhar raz zjawił się przed chatą, lecz po to tylko, aby się pysznić. Dobył Hywelbane'a, ucałował ostrze, oczyścił je o swój płaszcz, sprawdził czubkiem palca świeżo naostrzoną głownię.

- Dość ostry, żeby ci odjąć dłonie, Derflu - powiedział. - Mój brat na pewno zechce oderznąć ci rękę. Przypnie ją sobie do hełmu! A ja wezmę sobie drugą. Potrzeba mi nowego zwieńczenia na hełmie.

Milczałem i po jakimś czasie prowokacje mu się znudziły. Poszedł sobie, ścinając osty Hywelbane'em.

- Może Sagramor zabije Mordreda - szepnął mi Sansum.

- Modlę się o to.

- Jestem pewien, że król udał się właśnie za nim. Przybył tu, posłał Amhara do Dun Caric i pojechał na zachód.

- Ilu ludzi ma Sagramor?

- Dwie setki.

- Niewielu - rzekłem.

- A może Artur przybędzie?

- Pewnie już wie, że Mordred jest w Dumnonii - powiedziałem. - Lecz nie może przemaszerować przez Gwent, bo Meurig mu na to nie pozwoli, co oznacza, że musiałby posłać żołnierzy łodziami. A wątpię, by to uczynił.

- Czemu?

- Bo Mordred jest naszym prawym królem, biskupie, a Artur, bez względu na to, jak go nienawidzi, nie odbierze mu tego tytułu. Nie złamię przysięgi danej Utherowi.

- Nie spróbuje cię wyratować?

- Jak? - spytałem. - Ci wojownicy poderznąliby nam gardło w tej samej chwili, w której ujrzeliby zbliżającego się Artura.

- Niech Bóg nas ma w swojej opiece. Jezusie, Maryjo i święci, strzeżcie nas.

- Ja raczej pomodłę się do Mitry - powiedziałem.

- Poganin! - zasyczał Sansum, lecz nie próbował przerwać mej modlitwy.

Dzień ciągnął się powoli. Była przepiękna wiosna, ale mnie jawiła się gorzka niczym żółć. Wiedziałem, że moja głowa spocznie na stosie na Caer Cadarn, lecz nie to przysparzało mi najcięższych mąk; nie mogłem przeboleć, iż zawiodłem własnych ludzi. Wprowadziłem moich włóczników w pułapkę, widziałem, jak ginęli, zawiodłem. Jeśli przywitają mnie w Krainie Cieni wyrzutami, zasłużyłem na nie. Wiedziałem jednak, iż przywitają mnie radośnie, a to jedynie wzmagało poczucie winy. Niemniej jednak wizja Krainy Cieni niosła mi pocieszenie. Miałem tam przyjaciół, dwie córki, a kiedy przyjdzie kres tortur i dusza splecie się ze swym widmem, zaznam szczęścia, jakie towarzyszy spotkaniu z dawno niewidzianymi bliskimi. Religia Sansuma chyba nie przynosiła mu tego rodzaju pociechy. Jęczał przez cały dzień, kwilił, szlochał i złorzeczył, lecz te wszystkie hałasy w niczym mu nie pomogły. Przeżyliśmy jedynie jeszcze jedną noc i jeszcze jeden dzień głodu.

Mordred wrócił po południu drugiego dnia. Przybył ze wschodu, prowadząc długą kolumnę włóczników, którzy przywitali okrzykami wojów Amhara. Królowi towarzyszył zastęp konnych, a wśród nich był jednoręki Loholt. Wyznaję, że przestraszyłem się na jego widok. Niektórzy ludzie Mordreda nieśli toboły. Uznałem, że są w nich ucięte głowy, i potem przekonałem się, że miałem rację, lecz głów było mniej, niż się obawiałem. Dwadzieścia czy trzydzieści poleciało na oblepiony przez muchy stos, lecz żadna z nich nie należała do czarnoskórego męża. Mordred zaskoczył i wyrznął jeden z patroli Sagramora, lecz nie zdobył głównej nagrody. Numidyjczyk przebywał na wolności i zaznałem pewnego pocieszenia. Sagramor był cudownym przyjacielem i straszliwym wrogiem. Artur potrafił być groźny, lecz zawsze okazywał się skłonny do wybaczenia. Sagramora nie dało się przejednać. Numidyjczyk poszedłby tropem wroga na kraj świata.

Niemniej jednak jego ucieczka niewiele znaczyła dla mnie owego wieczora. Mordred na wieść o moim pojmaniu wydał okrzyk radości, po czym zażyczył sobie pokazania zabłoconej chorągwi Gwydra. Śmiał się na widok niedźwiedzia i smoka; nakazał rozłożenie

jej na trawie, tak by jego ludzie mogli ją oszczać. Loholt nawet zatańczył na wieść o mojej niewoli, albowiem to właśnie tu, na tym wzgórzu, utracił rękę. Okaleczenie było karą za próbę rebelii przeciwko ojcu i teraz mógł zemścić się na przyjacielu swojego dręczyciela.

Mordred nakazał mnie przyprowadzić, a Amhar przybył przed chatę, niosąc smycz z brody. Towarzyszył mu wielki mąż, o martwych oczach, bezzębny, który wlaź do chaty, złapał mnie za włosy, zmusił do uklęknienia na czworakach, po czym wyciągnął przez niskie drzwi. Amhar włożył mi smycz na szyję, a kiedy próbowałem się podnieść, ściągnął mnie z powrotem na czworaki.

- Pełzaj - rozkazał. Bezzębny zbior przydusił mi głowę do ziemi, Amhar szarpnął za smycz i tak musiałem pełznąć na szczyt, między szeregami naigrawających się ze mnie mężczyzn, niewiast i dzieci. Wszyscy opluwali mnie, niektórzy kopali, inni dźgali drzewcami włóczni, lecz Amhar nie pozwolił mi okaleczyć. Chciał dostarczyć mi bratu całego.

Loholt czekał przy stosie głów. Kikut prawego ramienia okrywała srebrna rękawica zakończona parą niedźwiedziich pazurów. Szcherzył zęby, kiedy przyczołgałem się do jego stóp, lecz radość tak zmąciła mu umysł, że nie można było zrozumieć ani słowa z tego, co bełkotał. Opluwał mnie, kopał po brzuchu i żebrach. Wkładał w to całą siłę, lecz wściekłość tak go zaślepiła, że jedynie mnie posiniaczył. Mordred przyglądał się temu wszystkiemu ze stosu głów, oblepionego muchami.

- Dość! - krzyknął po chwili; Loholt dał mi ostatniego kopniaka i stanął z boku.

- Witaj, szlachetny Derflu - rzekł Mordred z szyderczą uprzejmością.

- Witajcie, królu - powiedziałem. Po moich bokach stali Loholt i Amhar. Wokół zebrał się tłum chciwy mego poniżenia.

- Wstań, szlachetny Derflu - rozkazał mi Mordred.

Wstałem i podniosłem ku niemu wzrok, lecz nie widziałem niczego, słońce bowiem zachodziło za jego plecami i oślepiło mnie. Arganta stała obok stosu głów, a z nią był Fergal. Musieli przyjechać z Durnovarii za dnia, nie dostrzegłem jej bowiem wcześniej. Widok mojej gładkiej twarzy wzbudził w niej uśmiech.

- Co się stało z twoją brodą, szlachetny Derflu? - spytał mnie Mordred z udawanym przejęciem.

Milczałem.

- Gadaj! - rozkazał Loholt i smagnął mnie po twarzy niedźwiedzimi pazurami. Pozostawiły dwie krwawiące szramy.

- Ucięto ją, królu - powiedziałem.

- Ucięto! - rzekł Mordred i roześmiał się. - A wiesz, czemu ją ucięto, szlachetny Derflu?

- Nie, panie.

- Boś mój wróg.

- To nieprawda, królu.

- Jesteś moim wrogiem! - wrzasnął nagle ile sił w płucach, tłukąc w poręcz krzesła i szukając u mnie oznak strachu. - Jako dziecię byłem oddany w opiekę temu psu - ogłosił tłumowi. - Bił! Nienawidził! - Tłum zawył z furją i uciszył się dopiero na znak Mordreda. - I ten człek - wskazał mnie palcem, co miało mi przynieść nieszczęście - pomagał Arturowi odciąć prawicę księcia Loholta. - Tum wydał kolejny gniewny okrzyk. - A wczoraj szlachetny Derfel został znaleziony w moim królestwie wraz z dziwną chorągwią. - Skinął nagle i dwaj żołnierze wybiegli przed tłum, ciągnąc zlaną uryną flagę. - Czyja to chorągiew, szlachetny Derflu?

- Należy do Gwydra, syna Artura, panie.

- A czemu chorągiew Gwydra znalazła się w Dumnonii?

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie skłamać. Mógłbym twierdzić, że dostarczam mu ją w wyrazie hołdu, lecz wiedziałem, że mi nie uwierzy, a co gorsza, sam znenawidzę się za takie kłamstwo. Więc miast skłamać, uniosłem hardo głowę.

- Miałem nadzieję, królu, że wzniosę ją wysoko na wieść o waszej śmierci.

Był zaskoczony moją szczerością. Tłum zaszemrał, lecz Mordred jedynie bębnił palcami po poręcz krzesła.

- Przyznajesz więc, żeś zdrajca - oświadczył po chwili.

- Nie, królu - powiedziałem. - Liczyć na czyjąś śmierć to jedna rzecz, ale sprowadzić ją to druga.

- Nie przypląnąłeś do Armoryki, żeby mnie uratować! - krzyknął.

- Zaiste - powiedziałem.

- Dlaczego? - spytał groźnym tonem.

- Bo poświęciłbym życie zacnych mężów, by ratować podłych. - Przy tych słowach wskazałem jego wojowników. Ryknęli śmiechem.

- I żywiłeś nadzieję, że Chlodwig mnie zabije? - spytał Mordred, kiedy śmiech ucichł.

- Wielu ją żywiło, królu. - Znów odniosłem wrażenie, że moja szczerość wprawia go w zdziwienie.

- Tak więc podaj mi jedną ważną przyczynę, szlachetny Derflu, dla której nie powinienem cię zabić - rozkazał Mordred.



Przez chwilę milczałem, po czym wzruszyłem ramionami.

- Nie znajduję takiej przyczyny, królu.

Mordred dobył miecz, położył go na kolanach i przykrył jego głownię dłońmi.

- Derflu, skazuję cię na śmierć - oznajmił.

- To mój przywilej, królu! - wykrzyknął zapalczywie Loholt. - Mój! - I tłum zawył, popierając jego żądanie. Przyglądanie się mej powolnej śmierci zaostrzyłoby apetyty, albowiem akurat warzono kolację.

- Twoim przywilejem jest pozbawić go dłoni, książę Loholcie - oświadczył Mordred. Wstał i kulejąc, ostrożnie zszedł ze stosu głów, dzierżąc miecz w prawicy. Kiedy zbliżył się do mnie, rzeki: - Lecz moim przywilejem jest pozbawić go życia. - Szturchnął mnie mieczem między nogami i uśmiechnął się krzywo. - Zanim umrzesz, Derflu, pozbawimy cię czegoś więcej niż dłoni.

- Lecz nie dziś wieczór! - rozległo się wyraźne wołanie zza tłumy. - Królu! Nie dziś wieczór! - Tłum zaszemrał. Mordred wydawał się raczej zaskoczony niż obrażony tym, że ktoś mu się sprzeciwił, i nic nie rzekł. - Nie dziś wieczór! - powtórzyło się jeszcze raz, a gdy się odwróciłem, ujrzałem Talezyna, idącego spokojnie wśród podnieconego tłumy, który rozstępował się przed nim. Niósł harfę i małą sakwę, lecz teraz wpierał się na czarnej lasce, tak że wyglądał zupełnie niczym druid. - Jest bardzo ważna przyczyna, która sprawia, że Derfel nie powinien umrzeć dziś wieczór, królu - powiedział, znalazłszy się na otwartej przestrzeni obok koszmarnego stosu.

- Kim jesteś? - spytał władczo Mordred.

Talezyn zignorował pytanie. Podszedł do Fergala. Dwaj mężowie objęli się i pocałowali. Dopiero po tym uroczystym powitaniu Talezyn spojrział na Mordreda.

- Jestem Talezyn, panie królu.

- Pies Artura - prychnął Mordred.

- Nie jestem niczym psem, królu - rzekł ze spokojem Talezyn. - A jeśli postanowiłeś mnie złżyć, w takim razie niech moje słowa pozostaną niewypowiedziane. Mnie wszystko jedno. - Odwrócił się plecami do Mordreda i ruszył w dół wzgórza.

- Talezynie! - zawołał Mordred. Bard odwrócił i popatrzył na króla, lecz bez słowa. - Nie zamierzałem cię złżyć. - Nie chciał zrażać sobie czarownika.

Bard zawahał się, po czym skinieniem głowy przyjął królewskie przeprosiny.

- Dziękuję wam, królu - powiedział. Wyrzekł to z powagą, jak przystało druidowi rozmawiającemu z królem, bez unizoności ni lęku. Talezyn był sławny jako bard, nie jako druid, lecz wszyscy zebrani na wzgórzu traktowali jak druida całą gębą, a on nie uczynił nic,

by poprawić ich omyłkę. Miał onsurę, czarną laskę, przemawiał głębokim głosem, z władczą pewnością siebie, i przywitał Fergala jak równego sobie. Talezyn wyraźnie chciał, by uwierzono w jego maskaradę, druida bowiem nie można zabić ani maltretować, nawet jeśli jest kapłanem nieprzyjaciela. Druidom nic nie grozi nawet na polu bitwy i Talezyn zapewnił sobie bezpieczeństwo. Jako bard nie mógł być pewien nietykalności.

- Więc powiedz mi - Mordred wskazał na mnie - czemu ten pies nie powinien umrzeć dziś wieczór.

- Kilka lat temu ten oto szlachetny Derfel zapłacił mi w złocie, bym rzucił urok na waszą żonę - rzekł Talezyn. - Urok ściągnął na nią bezpłodność. Do rzucenia czarów użyłem łona sarny wypełnionego popiołami zmarłego dziecka.

Mordred popatrzył na Fergala, a ten skinął głową.

- Niewątpliwie to jeden ze sposobów, by osiągnąć taki cel, królu - potwierdził irlandzki druid.

- Nieprawda! - krzyknąłem i za moje usiłowania zostałem ukarany kolejnym palącym smagnięciem niedźwiedzich pazurów.

- Mogę odwrócić czar - ciągnął ze spokojem Talezyn. - Lecz musi to nastąpić, kiedy szlachetny Derfel żyje, to on bowiem błagał mnie o jego nucenie, a jeśli zabrałbym się do cofnięcia uroku teraz, kiedy słońce zachodzi, nie uczyniłbym tego, jak należy. Musi być to uczynione o świcie, albowiem czar można cofnąć tylko przy wschodzącym słońcu, królu. W innym wypadku królowa pozostanie bezdzietna na zawsze.

Mordred znów zerknął na Fergala i kostki wplecione w brodę druida zagrzechotały, kiedy pokiwał głową na znak potwierdzenia.

- Prawda płynie z jego ust, królu.

- Kłamie! - zaprotestowałem.

Mordred schował miecz do pochwy.

- Czemu jesteś gotów to uczynić, Talezynie? - spytał.

Ten wzruszył ramionami.

- Artur jest stary, królu. Jego władza zanika. Druidowie i bardowie muszą szukać oparcia tam, gdzie władza rośnie.

- Moim druidem jest Fergal - powiedział Mordred. Uważałem go za chrześcijanina, lecz nie byłem zaskoczony, słysząc, że nawrócił się na wiarę ojców. Nigdy nie trzymał się nakazów księży i biskupów, a można by podejrzewać, że był jeszcze gorszym człowiekiem niż chrześcijaninem.

- Będę zaszczycony, mogąc skorzystać z krynicy wiedzy mego brata - rzekł Talezyn, kłaniając się Fergalowi. - I przysięgam iść za jego wskazówkami. Nie zależy mi na niczym, królu, jeno na tym, by użyć cząstki mej skromnej mocy dla waszej wielkiej chwały.

Gładko mówił, jakby maścił słowa miodem. Nie dostał ode mnie sztuki złota za swoje czary, lecz wszyscy mu uwierzyli, a nikt z większym przekonaniem niż Mordred i Arganta. W taki to sposób Talezyn, Promienne Oblicze, dał mi dodatkową noc życia. Loholt był zawiedziony, lecz Mordred pocieszył go nieco, obiecawszy, że dostanie mą duszę oraz rękę o świtanie.

Mnie zmuszono do przeczołgania się z powrotem do chaty. Po drodze byłem kopany i bity, ale żyłem.

Amhar zdjął mi smycz i kopniakami zapędził do chaty.

- Zobaczymy się o świcie, Derflu - obiecał.

Kiedy słońce miało mi zajrzeć w oczy, a nóż spocząć na gardle.

Tamtej nocy Talezyn śpiewał Mordredowym ludziom. Zebrali się w nieukończonym kościele, który Sansum zaczął budować na Caer Cadarn, a który teraz służył za niezadaszony dwór o częściowo zburzonych ścianach. Tam Talezyn czarował swoją muzyką. Nigdy przedtem ani potem nie słyszałem go śpiewającego równie pięknie. Początkowo, jak każdy bard zabawiający wojowników, musiał uporać się z gwarem i rozgardiaszem, lecz stopniowo jego sztuka okazała się przemożna. Towarzyszył sobie grą na harfie i podniósł lament, lecz lament o takiej urodzie, że włócznicy Mordreda słuchali go zachwyceni i w ciszy. Nawet psy przestały ujadać i leżały cicho, gdy głos barda niósł się daleko w noc. Jeśli uczynił zbyt długą przerwę między pieśniami, włócznicy domagali się następnej, tak więc śpiewał znów. Głos zamierał pod koniec melodii, by wznieść się z nowymi wersami, lecz zawsze kojąco, a wojacy Mordreda słuchali i pili, a miód i pieśni przywodziły ich do płaczu, podczas gdy Talezyn nie przestawał śpiewać. Sansum i ja również słuchaliśmy i też łkaliśmy, wsłuchani w nieuchwytny smutek jego lamentów, lecz im dalej w noc, tym częściej Talezyn sięgał po kołysanki, słodkie kołysanki, delikatne kołysanki, układające pijanych mężów do snu, a gdy śpiewał, napłynął chłód i ujrzałem, że mgły zbierają się nad Caer Cadarn.

Mgły gęstniały, a Talezyn wciąż śpiewał. Jeśli świat czeka panowanie nawet tysiąca królów, to wątpię, aby ludzie kiedykolwiek usłyszeli równie cudne śpiewanie. A przez cały czas mgła otulała coraz szczelniej wierzchołek wzgórze, ogniska bledły w oparze i pieśni wypełniały mrok jak widma pieśni, idące echami z Krainy Cieni.

Potem pieśń zakończyła się w ciemnościach i słyszałem jeno słodkie akordy harfy i wydawało mi się, że ta muzyka jest coraz bliższa naszej chaty i strażników siedzących na mokrej trawie, wsłuchanych w brzęk strun.

Dźwięk harfy przybliżał się cały czas i w końcu ujrzałem we mgle Talezyna.

- Przyniosłem wam miodu, pójcie - rzekł strażnikom.

Wyjął z sakwy zatkany pieczołowicie dzban i wręczył go jednemu ze straży, a gdy dzban zaczął wędrować między wojownikami, Talezyn śpiewał im. Śpiewał im najdelikatniejszą pieśń ze wszystkich, jakie spowiły tę noc, kołysankę układającą do snu niespokojny świat, i pograżyli się w sen. Jeden z nich przewalił się na bok, a Talezyn nadal śpiewał, jego głos oczarował całą fortecę, a gdy rozległo się chrapanie strażników, przestał śpiewać i opuścił dłoń, trącającą harfę.

- Myślę, panie Derflu, że możecie teraz wyjść - rzekł z wielkim spokojem.

- Ja też! - powiedział Sansum i odepchnawszy mnie na bok, pierwszy wylazł na dwór.

Talezyn uśmiechnął się na mój widok.

- Merlin polecił mi was uratować, panie - rzekł. - Chociaż powiedział, że może nie podziękujecie mu za to.

- Oczywiście, że mu podziękuję - szepnąłem.

- Dajcie spokój! - zaskamlał Sansum. - Nie czas na gadki. Chodźcie! Szybko!

- Czekaj, ty ofiario - rzekłem mu, po czym pochyliłem się po włącznię jednego ze strażników. - Jakiego czaru użyłeś? - spytałem Talezyna.

- Nie trzeba żadnych czarów, żeby uśpić pijanych mężów - odpowiedział. - Lecz dla strażników przyszykowałem wywar z korzenia mandragory.

- Zaczekajcie na mnie - nakazałem.

- Derfel! Musimy iść! - zasyczał ostrzegawczo Sansum.

- Musisz poczekać, biskupie - powiedziałem i znikłem w mgle, idąc ku największym ogniskom, świecącym przymglonym blaskiem. Płonęły w częściowo zbudowanym kościele. Niedokończonych ścian z bali nie wypełniono nawet powróżkami. Między ścianami spała masa ludzi, chociaż niektórzy budzili się i rozglądali nieprzytomnym wzrokiem jak człowiek, który nagle się ocknie z rzuconego uroku. Psy myszkowały między śpiącymi, szukając zarcia, i krzątania zwierząt budziła następnych ludzi. Niektórzy patrzyli na mnie, lecz żaden mnie nie poznał. Brali mnie za włócznika szwendającego się po nocy.

Znalazłem Amhara przy jednym z ognisk. Spał z rozdziawionymi ustami i tak samo umarł. Wsadziłem mu grot włóczni między zęby, zaczekałem, aż otworzy oczy i mnie pozna, a kiedy byłem tego pewien, przedziurawiłem mu kark na wylot, przyszpiliłem go do ziemi.

Rzucił się, gdy go zabijałem, a ostatnią rzeczą, jaką widział na ziemi, był mój uśmiech. Pochyliłem się, wyciągnąłem zza pasa trupa smycz z mej brody, odpiąłem Hywelbane'a i wyszedłem z kościoła. Chciałem poszukać Mordreda i Loholta, lecz budziło się więcej ludzi, a jeden z nich zawołał do mnie, chcąc wiedzieć, kim jestem, tak więc wróciłem między zasnutą mgłą cienie i pospieszyłem w górę wzgórza, gdzie czekali Talezyn i Sansum.

- Musimy iść! - biadolił Mysi Król.

- Schowałem uzdy przy wałach, panie - rzekł mi Talezyn.

- Pomyślałeś o wszystkim - powiedziałem z podziwem. Przystanąłem, ciskając resztki mojej brody do małego ogniska, które ogrzewało naszych strażników, a gdy ostatki kudłów buchnęły płomieniem i zamieniły się w popiół, ruszyłem za Talezynem ku północnemu wałowi. Wyszukał w cieniach dwie uzdy, potem wspięliśmy się na wał i pod osłoną mgły opuściliśmy się na zbocze. Mgła urwała się w połowie stoku i popędziliśmy ku łące, na której spala większa część Mordredowego stada. Talezyn obudził dwa zwierzaki, łagodnie gładząc je po chrapach i szepcząc do długich uszu, a konie bez oporu dały włożyć sobie uzdy i wędzidła.

- Dacie radę jechać bez siodła, panie? - zapytał mnie.

- Tej nocy to i bez konia, jak będzie trzeba.

- A co ze mną? - zapytał Sansum, kiedy dosiadłem wierzchowca.

Spojrzałem na niego. Korciło mnie, by zostawić go na lasce losu, całe życie bowiem był zdradzieckim mężem i nie miałem ochoty przedłużać jego istnienia, lecz tej nocy mógł się nam przydać, tak więc pochyliłem się i wciągnąłem go na koński grzbiet.

- Powinienem zostawić cię tu, biskupie - rzekłem, gdy kokosił się za mną. Nie był łaskaw mi odpowiedzieć, tylko ucałił się mnie kurczowo w pasie. Talezyn prowadził drugiego konia ku bramce zamykającej ogrodzenie łąki. Otworzył ją. - Czy Merlin rzekł ci, co powinniśmy teraz zrobić? - spytałem barda, po tym jak przejechałem na drugą stronę ogrodzenia.

- Nie, panie, lecz zwykła mądrość nakazuje nam udać się na wybrzeże i znaleźć łódź. I to szybko, panie. Sen na tym wzgórzu nie potrwa długo, a kiedy tylko zwiedzą się, że was nie ma, wyślą pogoń. - Z braku pacholka, który by go podsadził, wlaźł na bramkę, a z niej na konia.

- Co robimy? - zapytał ogarnięty paniką Sansum, ściskając mnie ile wlezie.

- Zabijemy cię? - zasugerowałem. - Wtedy Talezyn i ja moglibyśmy szybciej jechać.

- Nie, panie, nie! Błagam, nie!

Bard zerknął ku zasnutym mgłą gwiazdom.

- Na zachód? - spytał.

- Wiem, dokąd dokładnie się udajemy. - Skierowałem konia ku traktowi wiodącemu w kierunku Lindinis.

- Dokąd? - zapytał gorączkowo Sansum.

- Na spotkanie z twoją żoną, biskupie, na spotkanie z twoją żoną. - Dlatego to oszczędziłem Sansuma tamtej nocy, Morgan bowiem była naszą największą nadzieją. Nie sądziłem, by mnie uratowała, a gdyby Talezyn poprosił ją o ratunek, z pewnością splunęłaby mu w twarz. Lecz dla Sansuma zrobiłaby wszystko.

Tak więc ruszyliśmy ku Ynys Wydryn.

Wyrwaliśmy Morgan ze snu i podeszła do drzwi swego dworu w złym humorze, czy raczej w humorze jeszcze gorszym niż zwykle. Nie poznała mnie bez brody i nie widziała swego małżonka, który obolały po jeździe, włókł się za nami; zobaczyła natomiast Talezyna i przywitała go nie inaczej niż każdego druida, który ośmieliłby się przekroczyć święte progi jej chrześcijańskiej świątyni.

- Grzesznik! - zaskrzeczała. Mimo że świeżo wytrącona ze snu, nie straciła ani kropli jadu. - Bezecnik! Bałwochwalca! W imię świętego Boga i jego błogosławionej Matki rozkazuję ci odejść!

- Morgan! - zawołałem, lecz akurat dojrzała umęczoną, kulejącą postać Sansuma. Zakwiliła radośnie i pośpieszyła ku niemu. Księżyc w kwadrze odbijał się od złotej maski, która zakrywała zniszczoną pożarem twarz.

- Sansumie! - wołała. - Słodczy moja!

- Skarbeczku! - wyjęczał Sansum i rzucili się sobie w objęcia.

- Mój drogi - bełkotała Morgan, gładząc go po twarzy. - Co oni ci zrobili?

Talezyn uśmiechał się i nawet ja, który nienawidziłem Mysiego Króla i nie przepadałem za Morgan, nie mogłem powstrzymać uśmiechu na widok tego wybuchu radości. Ze wszystkich małżeństw, które znałem, to było najdziwniejsze. Sansum był najbardziej nieuczciwym człowiekiem pod słońcem, a Morgan najuczciwszą niewiastą w całym świecie, a jednak darzyli się uwielbieniem lub przynajmniej ona uwielbiała Mysiego Króla. Urodziła się gładka, lecz straszliwy pożar, w którym zginął jej pierwszy małżonek, wynaturzył jej ciało, a poblizniona twarz budziła grozę. Żaden mąż nie mógł kochać Morgan dla urody lub charakteru, zgorzkniałego i wynaturzonego przez płomień tak okrutnie jak i oblicze, lecz znaleźliby się tacy, którzy kochaliby Morgan dla jej powiązań rodzinnych, była bowiem siostrą Artura. To, jak mniemam, zwabiło ku niej Sansuma. Lecz nawet jeśli nie kochał jej

szczerze, to odgrywał uczucie tak przekonywająco, że była szczęśliwa. Za to byłem gotów wybaczyć Mysiemu Królowi jego fałsz. Poza tym darzył ją podziwem, Morgan bowiem była mądrą niewiastą, a Sansum cenił tę cnotę. Tak oboje skorzystali na tym małżeństwie; Morgan miała czulego męża, podczas gdy on protektorę i doradczynię, a że żadne z nich nie szukało u drugiego rozkoszy ciała, związek ten okazał się lepszy niż wiele innych.

- Ludzie Mordreda będą tu niebawem - brutalnie przerwałem ich uściski. - Wtedy musimy znaleźć się już daleko stąd, a twoje niewiasty, pani, muszą poszukać schronienia na bagnach - powiedziałem. - Żołnierze Mordreda nie będą się przejmować ich świętością, zniewolą wszystkie.

Morgan przeszywała mnie spojrzeniem jednego oka, lśniącego w dziurze maski.

- Lepiej ci bez brody, Derflu - powiedziała.

- Gorzej byłoby mi bez głowy, pani, a Mordred gromadzi stos z głów na Caer Cadarn.

- Nie wiem, czemu Sansum i ja mielibyśmy ratować wasze grzeszne żywoty - burknęła. - Lecz Bóg nakazuje nam okazywać litość.

Wysunęła się z objęć Mysiego Króla i koszmarnym głosem wrzasnęła na swoje niewiasty. Talezyna i mnie skierowano do kościoła, dano nam kosz i kazano napęłnić złotem ze skarbca, podczas gdy Morgan wysłała niewiasty do wioski, by obudziły wiosłarzy. Była stworzona do rozkazywania. Klasztor przenikała panika, lecz Morgan panowała nad wszystkim i nie minęło wiele czasu, a pierwsze niewiasty wsiadały z pomocą wiosłarzy na płaskodenne łodzie, które ruszyły na zamglone jezioro.

My wypłynęliśmy ostatni i przysiągłbym, iż słyszałem tętent kopyt ze wschodu, gdy nasz wiosłarz odpychał się drągiem zanurzonym w ciemnych wodach. Talezyn usiadł na dziobie i zaczął lament z Idfael, lecz Morgan skarciła go, ukrócając te, jak mówiła, „pogańskie pienia”. Odjął palce od harfy.

- Muzyka nie ma boga ni pana - zadrwił lekko.

- To diabelska muzyka - warknęła.

- W żadnym razie - zaprotestował Talezyn i podjął pieśń, lecz tym razem taką, jakiej nigdy wcześniej nie słyszałem: - „Nad wodami Babilonu, tam, gdzie spocząć mogliśmy, łzy gorzkie nam z oczu ciekły, gdy dom wspominaliśmy świetlisty”.

Morgan wsunęła palce pod maskę, jakby ocierała łzę. Bard śpiewał. Wyniosły pagór rozpływał się za nami, w miarę jak otulały nas mgły, a wiosłarz prowadził nas przez rozszepiane trzciny, po czarnej wodzie. Kiedy Talezyn skończył, słysząc było jeno mlaskanie jeziora o kadłub i plusk drąga wiosłarza.

- Powinieneś śpiewać dla Chrystusa - rzekł z naganą Sansum.

- Śpiewam dla wszystkich bogów - powiedział Talezyn - A w nadchodzących dniach będziemy potrzebowali każdego z nich.

- Jest tylko jeden Bóg! - syknęła zapalczywie Morgan.

- Jeśli tak twierdzicie, pani, pewnie tak jest - rzekł łagodnie Talezyn. - Lecz obawiam się, że nie przysłużył się wam tej nocy.

Wskazał w kierunku Ynys Wydryn, a kiedy się obejrzelśmy, ujrzelśmy, jak żywy blask rozjaśnia tam mgłę. Kiedyś widziałem już coś podobnego, przez te same mgły na tym samym jeziorze. Był to blask podpalonych domów, płonących strzech. Mordred udał się za nami i chram świętego Thorna, w którym spoczywało ciało jego matki, spłonął na popiół, lecz my byliśmy bezpieczni na bagnach, na które żaden człek nie śmiał się zapuścić bez przewodnika.

Zło kolejny raz zwarło szpony wokół Dumnonii.

Lecz nam na razie nic nie groziło i rankiem znaleźliśmy rybaka, który w zamian za złoto był gotów popłynąć do Sylurii. I tak powróciłem do domu, do Artura.

I do nowego nieszczęścia.



Ceinwyn zachorzała.

- Choroba przyszła szybko - rzekła mi Ginewra niedługo po tym, jak przypląnąłem do Iski. Ceinwyn pierw dostała dreszczy, z kolei potów, a wieczorem nie miała siły stać, tak więc położono ją do łóżka i Morwenna otoczyła ją opieką. Znachorki dały jej napoju z podbiału i ruty i położyły lecznicze amulety między piersiami, lecz do rana wszędzie wylały jej czyraki. Bolał ją każdy staw, gardło spuchło tak, że nie mogła nic przełknąć i ledwo co dychała. Potem zaczęła bredzić, rzucać się na łóżku i chrapliwym głosem wołać Dian.

Morwenna starała się przygotować mnie na śmierć Ceinwyn.

- Jest przekonana, że rzucono na nią urok, ojczy - powiedziała mi. - W dniu twojego wyjazdu przybyła do nas obca niewiasta i poprosiła o coś do zjedzenia. Daliśmy jej mieszek z jęczmieniem, lecz kiedy poszła, na progu była krew.

Pogładziłem głowicę Hywelbane'a.

- Urok można odpędzić.

- Wezwaliśmy druida z Cefucrib. Zdrapał krew z drzwi i dal nam wiedźmi kamień. - Umilkła, wpatrzona ze Izami w przewiercony kamień, wiszący nad łóżkiem Ceinwyn. - Ale zły urok wciąż działa! - krzyknęła. - Ona umrze!

- Nie tak szybko - powiedziałem. - Nie tak szybko. - Nie byłem zdolny uwierzyć w bliską śmierć Ceinwyn, zawsze bowiem tryskała zdrowiem. Nie posiwał jej ani włoska na głowie, wciąż miała prawie wszystkie zęby i kiedy opuszczałem Iskę, była gibka jak dziewczeczka, lecz teraz nagle zrobiła się stara i mizerna. I cierpiała bóle. Nie mogła nam o nich powiedzieć, lecz zdradzała je twarz, a ciekące po policzkach łzy krzyczały o nich w głos.

Talezyn długo się jej przypatrywał i potwierdził, że rzucono na nią urok, lecz Morgan splunęła na te słowa.

- Pogańskie zabobony! - zaskrzeczała. Zajął się wyszukiwaniem nowych ziół, parzeniem ich na miodzie i karmiła chorą łyżeczką. Zauważyłem, że Morgan pielęgnuje Ceinwyn z niezwykłą łagodnością, chociaż wciąż nazywała ją pogańską grzesznicą.

Byłem bezradny. Mogłem jeno siedzieć przy boku Ceinwyn, trzymać ją za rękę i płakać. Jej włosy zmatowiały i w dwa dni po moim powrocie zaczęły wychodzić garściami. Czyraki pękały, łóżko przesiąkło ropą i krwią. Morwenna i Morgan sprawiły nowe posłanie, dały świeżą słomę i płótna, lecz Ceinwyn każdego dnia brudziła łóżko i trzeba było gotować płótna w kadzi. Bóle trwały i były tak straszne, że nawet ja zacząłem błagać śmierć, by wyrwała ją z tych mąk, lecz Ceinwyn nie umierała. Cierpiała i czasem krzyczała z bólu, zaciskając z wielką mocą palce na mojej dłoni, a ja mogłem tylko ocierać spocone czoło, przemawiać do niej, czując, jak lęk przed samotnością wślizguje się w serce.

Bardzo kochałem moją Ceinwyn. Nawet teraz, po latach, uśmiecham się na myśl o niej i czasem budzę się w nocy, zlany łzami, i wiem, że płakałem za nią. Nasza miłość poczęła się w żarze namiętności i mądrzy ludzie powiadają, że taka namiętność musi w końcu uschnąć, lecz nie nasza, ta bowiem przemieniła się w długą głęboką miłość. Kochałem ją i podziwiałem, dni zdawały się jaśniejsze dzięki jej obecności i nagle pozostało mi tylko patrzeć, jak demony zadają jej tortury, ból wprawia w dreszcze, czyraki pęcznieją coraz czerwieńsze, i pękają, wypływając paskudztwo. A ona wciąż nie umierała.

W niektóre dni Galahad i Artur zmieniali mnie przy łożu boleści. Wszyscy starali się pomóc. Ginewra posyłała po najmądrzejsze znachorki ze wzgórz Sylurii i wsuwała im złoto do rąk, by przyniosły nowe zioła lub dzbanki wody z odległego świętego źródła. Culhwch, już wyłysiały, lecz nadal krzepki i wojowniczy, płakał jak dziecko i dał mi krzemienny grot, który znalazł na zachodnich wzgórzach, chociaż gdy Morgan znalazła pogański talizman w łożu Ceinwyn, wyrzuciła go, jak i wiedźmi kamień od druida i amulet znaleziony między piersiami Ceinwyn. Biskup Emrys modlił się serdecznie za chorą i nawet Sansum, zanim udał się do Gwentu, przyłączył się do modłów, chociaż trudno mi było uwierzyć w jego szczerość. Morwenna była oddana matce i nikt nie starał się bardziej od niej. Opiekowała się Ceinwyn, myła ją, modliła się za nią i płakała wraz z matką. Ginewra oczywiście nie mogła znieść widoku choroby ani smrodu, jaki unosił się wokół Ceinwyn, lecz poświęcała mi wiele czasu, gdy Galahad czy Artur trzymali Ceinwyn za rękę. Pamiętam, jak jednego dnia poszliśmy do amfiteatru, chodziliśmy wokół wysypanej piaskiem areny i Ginewra starała się mnie nieco niezdarnie pocieszyć.

- Miałeś szczęście, Derflu - rzekła. - Doświadczyłeś czegoś rzadkiego. Wielkiej miłości.

- Jak i wy, pani.

Skrzywiła się i pożałowałem tego, że moje słowa przywołały niewypowiedzianą myśl, iż jej wielka miłość została nadwątlona, chociaż, prawdę rzekłszy, Ginewra i Artur przetrwali czas nieszczęścia. Podejrzewam jednak, że tamten głęboki czarny cień musiał w nich żyć. Czasem, gdy jakiś głupiec wymienił imię Lancelota, nagłe zażenowanie zamykało wszystkim usta, a pewnego razu podróżny bard niewinnie zaśpiewał nam lament o Blodeuwedd, pieśń o żoninej niewierności, i zadymione powietrze w sali biesiadnej zgęstniało od milczenia. Lecz przeważnie Artur i Ginewra byli naprawdę szczęśliwi.

- Tak - rzekła. - Ja też jestem szczęśliwa. - Nie chciała więcej o tym mówić, nie dlatego, iż mnie nie lubiła, lecz dlatego, że zawsze czuła się niezręcznie, gdy rozmowa schodziła na sprawy osobiste. Tylko na Mynydd Baddon pokonała tę rezerwę i wtedy

staliśmy się niemal przyjaciółmi, ale z czasem oddaliliśmy się od siebie; nie wróciliśmy jednak do naszej starej wrogości. - Dobrze ci bez brody - zauważyła, zmieniając temat. - Wyglądasz młodziej.

- Przysięgłem, że zapuszczę ją dopiero po śmierci Mordreda - powiedziałem.

- Oby stało się to niebawem. Krew burzy mi się w żyłach na myśl, że mogę umrzeć, zanim ten robak dostanie to, na co zasłużył. - W jej głosie było okrucieństwo i autentyczny strach, iż może dokonać żywota, zanim Mordred umrze. Wszyscy liczyliśmy sobie już ponad czterdzieści lat, a niewielu ludzi dożywało późniejszego wieku. Oczywiście, Merlin przeżył dwa razy po czterdzieści lat i więcej, a wszyscy znaliśmy takich, którzy dobili szóstego, siódmego czy nawet ósmego krzyżyka, lecz uważaliśmy się za starych. Włosy Ginewry posiwały wyraźnie, lecz nadal była piękna, a jej oczy w wyrazistej twarzy nadal spoglądały na świat z dawną mocą i arogancją. Przyglądała się Gwydrowi, który ćwiczył z koniem. Pomachał jej ręką, po czym zajął się zwierzęciem. Szykował tego ogiera na konia bojowego, który musi umieć stawać dęba, kopać i chodzić w miejscu, tak że wróg nie może podciąć mu pęcín. Ginewra nie odrywała wzroku od syna.

- Czy myślisz, że będzie kiedyś królem? - spytała z zadumą.

- Tak, pani - powiedziałem. - Wcześniej czy później Mordred zrobi błąd i wtedy rzucimy się na niego.

- Mam nadzieję - rzekła, biorąc mnie pod ramię. Sądzę, że nie chodziło jej o to, by mnie pocieszyć, sama szukała pocieszenia. - Czy Artur rozmawiał z tobą o Amharze? - zapytała.

- Przelotnie, pani.

- Nie wini cię. Wiesz o tym, prawda?

- Pragnąłbym w to uwierzyć.

- No to uwierz - rzekła opryskliwie. - Smuci się tym, że nie sprawdził się jako ojciec, nie śmiercią tego łotrzyka.

Podejrzywałem, że smutek Artura jest w większym stopniu spowodowany losem Dumnonii niż Amhara, albowiem wieści o masakrach bardzo go przygnębiły. Jak ja pragnął zemsty, lecz Mordred miał pod sobą armię, a tymczasem Artur ledwie dwie setki ludzi i musiałby ich przeprowadzić przez Severn, jeśli chciałby walczyć z królem. Szczerze mówiąc, nie widziałem, jakim sposobem dałoby się tego dokonać. Zresztą poważnie zastanawiał się nad tym, czy wolno mu to robić.

- Ludzie, których pozabijał, złożyli mu przysięgę wierności - rzekł - Miał prawo ich zabić.

- A my mamy prawo ich pomścić - upierałem się, lecz nie jestem pewien, czy Artur całkowicie się ze mną zgadzał. Zawsze starał się przedkładać prawo nad emocje i zgodnie z naszym prawem, które czyniło króla prawodawcą, Mordred mógł robić we własnym kraju, co mu się żywnie podobało. Tak stanowiło prawo, a Artur, jak to on, obchodził się z nim jak z jajkiem, lecz również rozpaczał nad mężami i niewiastami, którzy zginęli, i nad dziećmi, które poszły w niewolę. Wiedział przy tym, że skoro Mordred żyje, ten sam los czeka następnych. Wyglądało na to, że należy nagiąć prawo, lecz Artur nie wiedział, jak to zrobić. Gdybyśmy mogli przemaszerować przez Gwent, poprowadziłby nas ku granicy z Lloegyrią i połączyłby się z Sagramorem, a wtedy mielibyśmy dość żołnierza. Pobilibyśmy okrutną armię Mordreda czy przynajmniej starli się z nią jak równy z równym, ale król Meurig uparcie wzbraniał nam prawa do marszu przez swój kraj. W razie przeprawy przez Severn musielibyśmy zostawić konie, a od Sagramora dzielilyby nas wojska Mordreda. Mógł wpierw pobić nas, a potem rozprawić się i Numidyjczykiem.

Dobre chociaż i to, że Sagramor nadal żył, lecz była to słaba pociecha. Morderd zabił część jego ludzi, lecz nie udało mu się dopaść samego dowódcy. Wycofał więc swoich żołnierzy z terenów przyfrontowych, zanim Sagramor zdążył poprowadzić kontrofensywę. Jak słyszeliśmy, Numidyjczyk ostatnio zaszył się ze stu dwudziestoma żołnierzami w forcie na południu kraju. Mordred lękał się zaatakować go, a on z kolei miał zbyt wątłe siły, by zrobić wycieczkę i pobić armię króla, tak więc obaj kontentowali się obserwacją przeciwnika, podczas gdy Sasi Cerdyka, zachęceni bezsilnością Sagramora, znów najeżdżali nasze zachodnie ziemie. Mordred wysyłał przeciw nim pojedyncze zagony, nieświadom obecności posłańców, którzy ośmielali się przecinać jego kraj, nosząc wieści między Arturem i Sagramorem. Dowiedzieliśmy się, że Numidyjczyk jest bezsilny - nie wiedział, jak przeprowadzić swoich ludzi z Dumnonii do Sylurii. Odległość była wielka, a zbyt liczny nieprzyjaciel bronił drogi. Wyglądało na to, że jesteśmy bezradni i nie pomścimy rzezi, lecz trzy tygodnie po moim powrocie z Dumnonii przyszły wieści z dworu Meuriga.

Przywiózł je Sansum. Przybył do Iski ze mną, lecz uznał towarzystwo Artura za zbyt drażniące i pozostawiwszy Morgan pod opieką brata, udał się w te pędy do Gwentu. Teraz, być może chcąc nam zademonstrować, jak jest blisko króla, zawiadomił, iż Mordred stara się o pozwolenie Meuriga na przepuszczenie jego armii przez Gwent. Chciał zaatakować Sylurię. Jak twierdził Sansum, Meurig nie ustosunkował się jeszcze do tej prośby.

Artur powtórzył mi te wiadomości.

- Czyżby Mysi Król znów coś knuł? - zapytał.

- Wspiera zarówno was, panie, jak i Meuriga - powiedziałem kwaśno. - Tak więc obaj będziecie winni mu wdzięczność.

- Lecz czy mówi prawdę? - rozważał na głos Artur. Miał taką nadzieję, jeśli bowiem Mordred zaatakowałby Artura, wtedy żadne prawo nie potępiłoby napastowanego za obronę, a jeśli Mordred poszedłby ze swoimi wojskami na północ, przez Gwent, wtedy moglibyśmy popłynąć przez zatokę Severn i połączyć się z Sagramorem gdzieś w południowej Dumnonii. Zarówno Galahad, jak i biskup Emrys wątpili w prawdziwość doniesień Sansuma, lecz ja miałem swoje zdanie na ten temat. Mordred nienawidził Artura jak nikogo na świecie i nie oparłby się próbie pokonania go w bitwie.

Tak więc przez kilka dni układaliśmy plany. Nasi żołnierze ćwiczyli włóczniami i mieczami, a tymczasem Artur posłał gońców do Sagramora, podając zarysy przyszłej kampanii, lecz albo Meurig nie dał Mordredowi potrzebnego pozwolenia, albo ten zrezygnował z ataku na Sylurię, nic bowiem się nie wydarzyło. Mordredowa armia stała między nami i Sagramorem, nie przyszły żadne nowe wieści od Sansuma i byliśmy skazani na czekanie.

Czekanie i przyglądanie się męce Ceinwyn. Jej twarz coraz bardziej przypominała trupa czaszkę obleczoną skórą. Bredziła, uściski wychudzonych dłoni zdradzały przeżywaną mękę, smród ciała zapowiadał śmierć, która jednak nie nadchodziła.

Morgan próbowała nowych ziół. Położyła krzyż na nagim ciele chorej, lecz Ceinwyn zareagowała na jego dotyk przeraźliwym krzykiem. Talezyn czynił czary, by odwrócić urok, wciąż bowiem uważał, że to urok sprowadził na Ceinwyn chorobę, lecz chociaż ubiliśmy zajęcia i posmarowaliśmy świeżą posoką oblicze Ceinwyn, chociaż wypaliliśmy czyraki rozżarzoną czubkiem jesionowego pręta i obłożyliśmy jej łóżko wieloma różnorodnymi amuletami, chociaż zawiesiliśmy w pokoju gałązki jeżyny i jemiolę uciętą z lipy, chociaż położyliśmy u jej boku Excalibura, jeden ze Skarbów Brytanii, choroba nie ustępowała. Modliliśmy się do Grannosa, boga ozdrowienia, lecz nasze modlitwy pozostały bez odpowiedzi, a ofiary były zignorowane.

- Po prostu czary są zbyt mocne - rzekł smutno Talezyn.

Następnej nocy, kiedy Morgan spała, sprowadziliśmy do chorej druida z północnej Sylurii. Był to wiejski druid, z brodą do pasa i cuchnący. Rzucił czary, zmiażdżył na puder kości skowronka i wrzucił je do świętego pucharu z wywarem bylicy. Podał tę miksturę Ceinwyn, lecz wszystko na nic. Próbował karmić ją skwarkami z serca czarnego kota, lecz wypłuła je, tak więc sięgnął po najsilniejszy czar - dotknięcie ręką trupa. Ręka, która przypominała mi Cerdykowy hełm, była szerniała. Druid dotknął nią czoła Ceinwyn, nosa i

szyi, a potem, mrucząc zaklęcia, pogładził skórę czaszki, lecz udało mu się jedynie przenieść zastęp wszy ze swej brody na głowę chorej, a kiedy próbowaliśmy je wyczesać, wyszarpnęliśmy resztki włosów. Zapłaciłem druidowi i wyszedłem za nim na podwórzec, uciekając przed dymem z ziół palonych przez Talezyna. Morwenna podążyła ze mną.

- Ojczy, musisz odpocząć - rzekła.

- Później będzie czas na odpoczynek - powiedziałem, patrząc za druidem, który, powłócząc nogami, oddalił się w mrok.

Morwenna objęła mnie i położyła głowę na moim ramieniu. Włosy miała złote jak niegdyś Ceinwyn i podobnie pachniały.

- Może to wcale nie czary - powiedziała.

- Gdyby to nie były czary, to już by umarła.

- W Powys żyje ponoć niewiasta obdarzona wielkimi umiejętnościami.

- To poślij po nią - rzekłem ze znużeniem, całkiem bowiem utraciłem już wiarę w druidów. Wielu zabrało złoto, lecz nikt nie uzdrowił Ceinwyn. Składałem ofiary Mitrze, modliłem się do Bela i Dona i wszystko na nic.

Ceinwyn zajęczała, a jęk przeszedł w krzyk. Zadygotałem i łagodnie odsunąłem Morwennę.

- Muszę do niej iść.

Wtedy właśnie ujrzałem postać okutaną w opończę, stojącą na środku podwórca. Nie potrafiłem zgadnąć, mężczyzna to czy niewiasta, nie wiedziałem też, od jak dawna tam stoi. Miałem wrażenie, że ledwie przed chwilą podwórzec był pusty, lecz teraz nieznajomy był przede mną, a w świetle księżyca nie widać było twarzy osłoniętej cieniem wielkiego kaptura. Ogarnął mnie nagły lęk. Może to śmierć? Podeszedłem ku przybyszowi.

- Kim jesteś? - spytałem mocnym głosem.

- Nikim, kogo Tyś znał, szlachetny Derflu. - To był głos kobiety, a gdy zsunęła kaptur, ujrzałem pomalowaną na białą twarz i zaczerwioną sadzą oczodoły. Wydawało się, że to żywy trup. Morwennie odjęło oddech.

- Kim jesteś? - powtórzyłem pytanie.

- Jestem tchnieniem zachodniego wiatru, szlachetny Derflu - rzekła świszczącym głosem. - I oddechem deszczu padającego na Cadair Idris, i szronem na graniach Eryri. Jestem posłanką z czasów przed królami, jestem tancerką. - Wtedy się roześmiała, a jej śmiech był jak szaleństwo nocy.

Ten odgłos przywabił Talezyna i Galahada do drzwi komnaty chorej. Stali w progu, wpatrzeni w śmiejącą się kobietę o białym obliczu. Galahad przeżegnał się, a Talezyn pogładził żelazny skobel.

- Chodź tu, szlachetny Derflu - rozkazała mi kobieta. - Chodź do mnie.

- Idźcie, panie - zachęcił mnie Talezyn i poczułem nagły przypływ nadziei, że czary tamtego zawszonego druida jednak zadziałały, bo chociaż nie uzdrowiły Ceinwyn, to sprowadziły zjawę na podwórzec. Tak więc wszedłem w światło księżyca, zbliżając się do otulonej opończą niewiasty.

- Obejmij mnie, szlachetny Derflu - rzekła, a jej głos tchnął zgnilizną i brudem, lecz mimo drżenia postąpiłem o krok i położyłem dłonie na wąskich ramionach. Pachniała miodem i popiołem. - Chcesz, żeby Ceinwyn żyła? - szepnęła mi do ucha.

- Tak.

- W takim razie chodź ze mną teraz - szepnęła i wysunęła się z mojego uścisku. - Teraz - powtórzyła, widząc moje wahanie.

- Pozwól mi zabrać opończę i miecz.

- Tam, gdzie się udajemy, nie będziesz potrzebował miecza, szlachetny Derflu, i możesz okryć się moją opończą. Chodź już lub skarzesz swoją panią na cierpienia. - Z tymi słowami odwróciła się i wyszła z podwórca.

- Idźcie, panie! - zachęcił mnie Talezyn. - Idźcie!

Galahad zamierzał ruszyć za mną, lecz kobieta odwróciła się u bramy i nakazała mu wrócić.

- Szlachetny Derfel idzie sam - rzekła. - Albo nie idzie wcale.

Tak więc poszedłem za śmiercią w noc, kierując się ku północy.

Szliśmy przez całą noc, tak że o świcie znaleźliśmy się na skraju wielkich wzgórz, a ona wciąż parła przed siebie, wybierając ścieżki, które z daleka omijały wszelkie ludzkie siedziby. Owa niewiasta, która zwała siebie tancerką, kroczyła boso, czasem podskakując, jakby wypełniała ją niepohamowana radość. Godzinę po świcie, gdy słońce powlekło młodym złotem wzgórz, zatrzymała się przy jeziorku, opłukała twarz wodą i potarła policzki wiązkami trawy, zmywając z lic mieszankę miodu i popiołu, która je wybieliła. Aż do tamtej chwili nie wiedziałem, czy jest stara, czy młoda, lecz ujrzałem, że jest niewiastą dwudziestoletnią i bardzo piękną. Miała delikatną twarz pełną życia, radość w oczach i była skora do śmiechu. Wiedziała o swej urodzie i roześmiała się, widząc, że się jej przyglądam.

- Ległbyś ze mną, szlachetny Derflu? - zapytała.

- Nie.

- A gdyby miało to uleczyć Ceinwyn, ległbyś ze mną?

- Tak.

- Ale to jej nie uleczy, nie uleczy! - Roześmiała się i wybiegła przede mnie, zrzucając ciężką opończę, pod którą miała cienką lnianą suknię, przylegającą do gibkiego ciała. - Pamiętasz mnie? - zapytała, odwracając się do mnie.

- A winienem?

- Ja cię pamiętam. Wpatrywałeś się w moje ciało jak głodny mąż, lecz byłeś głodny. Bardzo głodny. Pamiętasz? - I z tymi słowy przymknęła oczy i ruszyła ku mnie ścieżką wydeptaną przez owce, wysoko unosząc kolana i stawiając stopy na palcach, a wtedy natychmiast ją sobie przypomniałem. To była ta dziewczeczka, której naga skóra świeciła w Merlinowej ciemności.

- Jesteś Olwena - rzekłem. Jej imię powróciło do mnie sprzed lat. - Olwena Srebrna.

- A więc mnie pamiętasz. Jestem teraz starsza. Starsza Olwena. - Roześmiała się. - Chodź, panie! Weź opończę.

- Dokąd zmierzamy?

- Daleko, panie, daleko. Tam, gdzie wiatry tryskają spod ziemi, deszcze się zaczynają, mgły rodzą i żaden król nie rządzi. - Tańcowała na ścieżce. Zdawała się mieć niewyczerpany zapas sił.

Tańcowała cały dzień i cały dzień mówiła kompletne bzdury. Myślę, że była szalona. Raz, gdy szliśmy dolinką, w której srebrnolistne drzewa dygotały w lekkim powiewie, zdjęła suknię i tańcowała na trawie nago. Czyniła to, by mnie poruszyć i skusić, lecz gdy szedłem uparcie dalej i nie okazywałem żadnej chuci, tylko się roześmiała, przerzuciła suknię przez ramię i szła obok mnie, jakby nagość nie była niczym niezwykłym.

- To ja przyniosłam urok do twojego domu - rzekła z dumą.

- Dlaczego?

- Bo musiał zostać przyniesiony, oczywiście - odparła z całą szczerością. - Tak jak teraz ma być zdjęty! To dlatego udajemy się w góry, panie.

- Do Nimue? - spytałem, wiedząc już, jak chyba wiedziałem od pojawienia się Olweny na podwórku, dokąd idziemy.

- Do Nimue - potwierdziła radośnie. - Widzisz, panie, przyszedł czas.

- Czas czego?

- Czas końca wszystkiego, oczywiście - powiedziała i wcisnęła mi suknię, żeby mieć całkowitą swobodę. Podskakiwała przede mną, czasem odwracając się, rzucając chytre



spojrzenia i radując się niezmiennością mego oblicza. - Kiedy słońce świeci, lubię być nago - oznajmiła.

- Co to jest koniec wszystkiego?

- Uczynimy Brytanię doskonałą krainą - rzekła Olwena. - Nie będzie choroby ni głodu, strachu ni wojen, burz ni upiorów. Wszystko się skończy, panie! Góry runą, rzeki zawrócą swój nurt, morza będą wrzeć i wilki wyć, lecz kiedy to ustanie, kraina będzie zielona i złota, nie będzie lat ani czasu, a my wszyscy będziemy bogami i boginiami. Ja będę boginią drzew. Będę rządziła modrzewiem i grabem, rankami będę tańczyć, a wieczorami będę pokładać się ze złotymi mężami.

- Czy nie miałaś lec z Gowenem? - zapytałem. - Kiedy wyjdzie z Kotła? Myślałem, że miałaś być królową.

- Ległam z nim, panie, ale on był martwy. Martwy i wyschnięty. Miał smak soli. - Roześmiała się. - Był martwy, wyschnięty i słony. Ogrzewałam go przez całą noc, ale się nie poruszył. Nie chciałam z nim legać - rzekła mi tonem zwierzenia. - Lecz od tamtej nocy zaznałam jeno szczęścia! - Odwróciła się wdzięcznie, tańcząc i gibając się na wiosennej murawie.

Szalona - pomyślałem - szalona i piękna tak, że serce się kraje, piękna jak niegdyś Ceinwyn. Chociaż ta dziewczka była kruczowłosa, skóra zbrązowiła jej od słońca, a moja Ceinwyn miała złote włosy i jasną skórę.

- Czemu nazywają cię Olweną Srebrną? - zapytałem.

- Bo moja dusza jest srebrna, panie. Włosy mam ciemne, lecz duszę srebrną! - Okręciła się wokół siebie i pobiegła lekkimi kroczkami.

Po chwili zatrzymałem się, łapiąc oddech, i ujrzałem w dolinie owczarza ze stadem. Pies pognał w górę za zbłąkaną owcą, a poniżej ruchliwego stada stał dom, przy którym niewiasta rozkładała mokre odzienie do wyschnięcia na krzakach janowca. Pomyślałem, że życie w dole jest prawdziwe, podczas gdy ta podróż wzgórzami to szaleństwo i sen. Dotknąłem blizny wewnątrz lewej dłoni, blizny wiążącej mnie z Nimue. Szrama poczerwieniała. Przez lata była biała, a teraz się zaogniła.

- Musimy iść, panie! - wzywała mnie Olwena. - Dalej i dalej! W górę, do chmur! - Ku mej uldze wsunęła przez głowę czarną sukienkę, zakryła szczupłe ciało. - W górach może być zimno, panie - wyjaśniła i znów ruszyła w taniec, a ja rzuciłem owczarzowi i jego psu ostatnie, smętne spojrzenie i poszedłem za tańczącą Olweną, wąskim szlakiem między wysokimi skałami.

Po południu odpoczęliśmy. Zatrzymaliśmy się w stromej dolinie, w której rósł jesion, jarzębina i jawor, a wietrzyk marszczył długie wąskie jezioro o czarnych wodach. Wsparty o wielki głaz, musiałem przysnąć, kiedy się bowiem ocknąłem, ujrzałem Olwenę nagą. Pływała w zimnych, nieprzeniknionych wodach. Drżąca, wyszła z jeziora, wytarła się opończą, włożyła sukienkę.

- Nimue powiedziała mi, że jeśli legniesz ze mną, Ceinwyn umrze - rzekła.

- To czemuś mnie kuśiła? - spytałem ochrypłym głosem.

- Żeby sprawdzić, czy kochasz swoją Ceinwyn, oczywiście.

- Kocham.

- W takim razie możesz ją uratować - powiedziała radośnie.

- Co za klątwę rzuciła na nią Nimue?

- Klątwę ognia i klątwę wody, i klątwę tarniny - odparła i przykucnąwszy u moich stóp, wpatrywała mi się w oczy. - I straszną klątwę widma - dodała złowieszczo.

- Dlaczego? - spytałem w gniewie, bo nie liczył się dla mnie rodzaj czarów, lecz to, że w ogóle zostały rzucone.

- A dlaczego nie? - odparła Olwena, po czym wybuchła śmiechem, narzuciła na ramiona mokrą opończę i ruszyła przed siebie. - Chodź, panie! Jesteś głodny?

- Tak.

- Posilisz się. Posilisz się, wyśpiesz, pogadasz. - Znow tańczyła, drobiać po kamieniach. Krew sączyła się z delikatnych stopek, lecz nie zwracała na to żadnej uwagi. - Cofamy się.

- Co to znaczy?

Odwróciła się do mnie, tak że skakała tyłem do kierunku marszu.

- W czasie, panie. Nawijamy lata na szpulę czasu. Wczorajsze lata mijają nas w pędzie, ale tak szybko, że nie widzimy dni ani nocy. Jeszcześ się nie urodził, twoi rodziciele się nie urodzili i cofamy się, stale się cofamy, do czasów przed królami. Tam oto się udajemy, panie. Do czasu przed królami.

- Stopy ci krwawią - powiedziałem.

- Wyleczą się - rzekła i skocznie podążyła przed siebie. - Chodź! Chodź do czasu przed królami!

- Czy Merlin czeka tam na mnie? - zapytałem.

Dźwięk tego imienia wstrzymał Olwenę. Znow odwróciła się do mnie i zmarszczyła czoło.

- Ległam raz z Merlinem - powiedziała po chwili. - Raz! - W jej głosie była stanowczość, jaką daje szczerść.

To mnie nie zaskoczyło. Był z niego chutliwy cap.

- Czy czeka na nas? - zapytałem.

- On jest w sercu czasów przed królami - powiedziała z powagą. - W samym sercu, panie. Merlin jest zimnem w szronie, wodą w deszczu, płomieniem w słońcu, oddechem w wietrze. No, chodźże już. - Szarpnęła mnie za rękaw z nagłym pośpiechem. - Nie mamy teraz czasu na pogaduszki.

- Czy Merlin jest więziony? - spytałem, lecz nie odpowiedziała mi. Wybiegała naprzód, czekała niecierpliwie, aż się z nią zrównam, i znów wybiegała. Jej krok nie przestawał być lekki, podczas gdy mój był ciężki i utrudzony, a przez cały czas zapuszczaliśmy się coraz dalej w góry. Uznałem, że opuściliśmy Sylurię i znaleźliśmy się w Powys, w tej części kraju, dokąd nie sięgała władza młodego Perddela. To była kraina nie podległa prawu, leże rozbójników, lecz Olwena pomykała beztróska mimo czających się niebezpieczeństw.

Zapadła noc. Chmury nasunęły się z zachodu, tak że niebawem znaleźliśmy się w całkowitej ciemności. Rozejrzałem się i nie ujrzałem niczego. Żadnych świateł, nawet migotania dalekiego ogniska. Pewnie tak wyglądała Brytania, gdy natrafił na nią Bel, niosąc życie i światło.

Olwena wsunęła swoją dłoń w moją.

- Chodź, panie.

- Nic nie widać! - zaprotestowałem.

- Widzę wszystko, zaufaj mi. - I z tymi słowy poprowadziła mnie dalej, czasem ostrzegając przed przeszkodą. - Tu musimy przejść strumień, panie. Ostrożnie.

Wiedziałem, że nasz szlak wspina się cały czas, lecz niewiele poza tym. Minęliśmy zdradzieckie rumowisko skalne, lecz Olwena nie przestawała pewnie wieść mnie za rękę, a raz wydawało mi się, że podążamy wysokim grzbietem górskim. Wiatr gwizdał mi w uszach, a Olwena śpiewała dziwną pioszeczkę o elfach.

- One wciąż żyją na tych wzgórzach - rzekła mi, gdy zakończyła śpiewy. W całej Brytanii wybito je do nogi, ale nie tu. Spotykałam je. Nauczyły mnie tańczyć.

- Dobrze cię nauczyły - powiedziałem, nie wierząc ani jednemu jej słowu, lecz dziwnie spokojny z racji uścisku ciepłej rączki.

- Mają opończe z pajęczyny - dodała.

- Nie tańczą nago? - rzekłem, drażniąc się z nią.

- Pajęczynowa opończa nie kryje niczego - powiedziała z przyganą. - Lecz czemu mielibyśmy ukrywać to, co jest piękne?

- Pokładałaś się z elfami?

- Pewnego dnia uczynię to. Ale jeszcze nie. W czasie po królach będę pokładać się z elfami. Z nimi i ze złotymi mężami. Lecz wpierw muszę lec z innym słonym mężem. Muszę otrzeć brzuch o brzuch innej wyschniętej istoty z wnętrza Kotła. - Roześmiała się i pociągnęła mnie za rękę. Zeszliśmy z górskiego grzbietu i szliśmy równą łąką, ku wyższemu grzbietowi. Tam, po raz pierwszy, od kiedy chmury zakryły księżyc, ujrzałem światło.

Daleko było wzgórze, a przed nim dolina tak rozjaśniona ogniskami, że blask pokładał się na stoku. Stałem, zapomniawszy o tym, że Olwena trzyma mnie za rękę, a ona roześmiała się z zachwytem, czując napięcie, jakie wzbudziło we mnie nagłe pojawienie się światła.

- To kraj z czasu przed królami, panie - powiedziała mi. - Znajdziesz tam przyjaciół i jadło.

Uwolniłem rękę z jej uścisku.

- Jaki przyjaciel mógł rzucić klątwę na Ceinwyn?

Znów wzięła mnie za rękę.

- Chodź, panie, już niedaleko - rzekła i powiodła mnie w dół, próbując zmusić do biegu, lecz ja jej nie uległem. Szedłem powoli, wspominając słowa powiedziane mi przez Talezyna w czarodziejskiej mgle, którą ściągnął na Caer Cadarn; że Merlin rozkazał mu uratować mnie, lecz że być może nie będę mu za to wdzięczny, a gdy coraz bardziej zbliżałem się ku temu zagłębieniu między wzgórzami, pełnemu światła ognisk, ogarnął mnie lęk, że niebawem odkryję znaczenie słów Merlina. Olwena kpiła ze mnie, wyśmiewała moje obawy, a w jej oczach odbijał się blask ognisk, lecz ja z ciężkim sercem kroczyłem ku gorejącemu horyzontowi.

Wejścia do kotliny strzegli włócznie. Byli to dzicy mężowie, przyodziani w skóry, zbrojni w prymitywne włócznie o topornie wykutych żeleźcach. Nie odzywali się do nas słowem, chociaż Olwena witała ich radośnie, po czym poprowadziła mnie w zionące dymami serce doliny. Na samym dole znajdowało się wąskie jezioro, a przy ogniskach stały szałas, wśród kęp karłowatych drzew. Obozowała tam masa ludzi, płonęły bowiem dwie setki ognisk albo i więcej.

- Chodźcie, panie - rzekła Olwena i poprowadziła mnie w dół stoku. - Oto przeszłość i oto przyszłość. Oto miejsce, w którym spotykają się obręcze czasu.

To dolina - rzekłem w duchu - górzystej części Powys. Kryjówka zdesperowanych. Obręcze czasu nie mają tu nic do rzeczy - klarowałem sobie. A jednak wzdygnąłem się z

obawą, gdy Olwena wiodła mnie obok szałasów, w których obozowała cała armia. Początkowo myślałem, iż ludzie ci pewnie śpią, był bowiem środek nocy, lecz im bliżej jeziora, tym większy tłum mężów i niewiast wyrażał się z szałasów, gapiąc się na nas. Dziwni to byli ludzie. Niektórzy śmieli się, nie wiedzieć czemu, inni bełkotali bez sensu, niektórzy podrygiwali. Widziałem wola u szyi, puste oczodoły, kołtuny na głowie, powykręcane członki.

- Co to za nieszczęśnicy? - spytałem Olweny.

- To armia obłąkanych, panie - rzekła.

Splunąłem w kierunku jeziora, by odpędzić zły urok. Nie byli to sami szaleńcy czy kaleki, albowiem widziało się pośród nich wojowników, a kilku miało tarcze obleczone ludzką skórą i poczernione ludzką posoką; był to oręż należący niegdyś od Diwrnachowych Tarczowników Krwawych\* [\*W poprzednich dwóch częściach cyklu, w Zimowym monarsze i Nieprzyjacielu Boga, wojowników tych nazywano „Krwawymi Tarczami”.

]. Inni nosili herb Powys - orla - a jeden mógł nawet pochłubić się lisem Sylurii, znakiem, który nie pojawił się w żadnej bitwie od czasów Gundleusa. Ci ludzie, jak i armia Mordreda, to były wyrzutki Brytanii; pobici, bezrolni, nie mający nic do stracenia i wszystko do wygrania. Nad kotliną unosił się smród odchodów. Przypomniała mi się Wyspa Umarłych, miejsce, gdzie Dumnonia wysyłała swoich straszliwych szaleńców, miejsce, do którego niegdyś udałem się na ratunek Nimue. Ci ludzie mieli to samo dzikie spojrzenie i stwarzali to samo niepokojące wrażenie, iż w każdej chwili mogą rzucić się na człeka i rozerwać na strzępy bez żadnego powodu.

- Jak ich karmicie? - spytałem.

- Żołnierze troszczą się o jado - wyjaśniła Olwena. - Prawdziwi żołnierze. Często jemy baraninę. Lubię baraninę. No i jesteśmy, panie. Koniec podróży! - I z tym radosnym stwierdzeniem puściła moją dłoń i pobiegła tanecznym krokiem. Doszliśmy do końca jeziora i miałem przed sobą kępę wielkich drzew rosnących pod osłoną skalnego urwiska.

Płonęło tam kilkanaście ognisk, a pnie drzew tworzyły dwie linie, przez co cała kępa miała układ rozległego dworu. W głębi stały dwa szare wyniosłe kamienie, niczym ogromne głazy stawiane na sztorc przez dawnych ludzi, chociaż w tym wypadku nie zgadłbym, czy mam przed sobą coś wiekowego czy młodego.

Między kamieniami, na potężnym drewnianym krześle, z czarną laską Merlina w dłoni siedziała Nimue. Olwena pobiegła i rzuciła się jej do stóp. Objęła ją za nogi, złożyła głowę na podołku siedzącej.

- Przeprowadziłam go, pani! - oznajmiła.

- Czy pokładał się z tobą? - spytała Nimue, mówiąc do Olwenty, lecz przeszywając wzrokiem mnie. Sterczące ku górze głązy były zwieńczone czaszkami; każdą z nich pokrywała gęsta skorupa zastygłego wosku.

- A zachęcałaś go? - Oko Nimue nadal było utkwione we mnie.

- Tak, pani.

- Czy obnażałaś się przed nim?

- Przez cały dzień, pani.

- Grzeczna dziewczeczka - powiedziała Nimue i pogładziła Olwenę po głowie. Niemal wyobraziłem sobie, jak mruczy z rozkoszy, leżąc zadowolona u stóp Nimue. Ta wpatrywała się we mnie nieruchomo, a ja odpowiadałem jej spojrzeniem, przechadzając się między wysokimi drzewami, oświetlonymi ogniskami.

Nimue wyglądała tak samo jak wtedy, kiedy zabrałem ją z Wyspy Umarłych. Wyglądała, jakby się nie myła, nie czesała i nie dbała o siebie od lat. Pustego oczodołu nie osłaniała przepaska, nie nosiła złotego oka; zaciętą zniszczoną twarz przecinała pomarszczona blizna. Brud wżarł się głęboko w skórę, zatuszczone zmierzwiłone włosy opadały do pasa. Te włosy były niegdyś czarne, lecz teraz całkowicie pobieleły, wszystkie z wyjątkiem jednego pasma. Biała szata była brudna, lecz Nimue nosiła na niej opończę, o wiele na nią za dużą. Nagle zdałem sobie sprawę, że to musi być Opończa z Padarnu, jeden ze Skarbów Brytanii, podczas gdy pierścień na lewej ręce był wyraźnie Pierścieniem z Elund. Paznokcie miała długie, a te niewiele zębów, które jej zostały - czarne. Wyglądała niezwykle staro, lecz być może to brud podkreślał ponure zmarszczki oblicza. Nikt nigdy nie nazwałby jej piękną, lecz to oblicze ożywiała inteligencja, zwracająca uwagę. Teraz Nimue budziła wstręt, a niegdyś żywa twarz była zgorzkniała, chociaż uśmiechnęła się do mnie lekko, gdy uniosła lewą rękę. Ukazała się blizna, taka sama, jaką miałem na lewicy. W odpowiedzi podniosłem tę rękę, na co Nimue pokiwała głową z satysfakcją.

- Przybyłeś, Derflu.

- A miałem wybór? - spytałem z goryczą, po czym wskazałem swoją bliznę. - Czyż to nie wiąże mnie z tobą? Czemu sprowadzasz nieszczęście na Ceinwyn, kiedy masz już to? - Znów wskazałem bliznę.

- Bobyś nie przybył - powiedziała. Jej obłąkane stwory zbiegły się wokół tronu jak dworzanie, inne dorzucały dREW do ognia; jeden obwąchiwał mi kostki nóg niczym pies. - Ty wcale nie wierzyles - mówiła oskarżycielskim tonem. - Modlisz się do bogów, lecz w nich nie wierzysz. Teraz nikt nie wierzy, jak trzeba, jeno my. - Wskazała laską na chromych,

półślepych, kalekich i szalonych, wpatrujących się w nią z uwielbieniem. - My wierzymy, Derflu.

- Ja też wierzę - odparłem jej zarzut.

- Nie! - wrzasnęła, na co niektóre ze stworów pod drzewami zawyły ze zgrozy. Wskazała na mnie laską. - Byłeś tam, kiedy Artur zabrał Gwydra spomiędzy ognisk.

- Chyba nie spodziewałaś się, że będzie się przyglądał, jak ginie jego syn.

- Spodziewałam się, durniu, że ujrzę Bela, przybywającego z nieba w płonącym powietrzu, w płaszczu błyskawic i deszczu gwiazd, spadających z nieba jak liście z drzew podczas burzy! Tego się spodziewałam! Na to zasługiwałam! - Odrzuciła w tył głowę i zawyła ku chmurom, a wszyscy chromi obłąkańcy zawyli wraz z nią. Tylko Olwena Srebrna milczała. Wpatrywała się we mnie półuśmiechnięta, jakby chciała powiedzieć, że tylko ona jedna jest zdrowa na umyśle w tym azylu. - Tego właśnie chciałam! - krzyczała Nimue, przebijając się przez kakofonię zawodzenia i ujadania. - I to dostanę. - Z tymi słowy wstała, wrywając się z uścisku Olweny, i skinieniem laski kazała mi iść za sobą. - Chodź.

Poszedłem za nią, mijając stojące kamienie, do pieczary w skalnym urwisku. Nie była głęboka, na tyle tylko, że mogła pomieścić leżącego na plecach człowieka, i w pierwszej chwili wydało mi się, iż to właśnie widzę: nagiego człeka, spoczywającego w cieniach. Olwena stanęła u mego boku i próbowała wziąć mnie za rękę, lecz ja odepchnąłem ją, gdy obłąkani naciskali na mnie ze wszech stron, próbując dojrzeć, co leży na kamiennej posadzce groty.

Płonęło tam małe ognisko. W jego niewyraźnym blasku ujrzałem, że to nie człowiek, lecz gliniana figura, i to nie męża, lecz niewiasty. Była naturalnej wielkości, o niekształtnych piersiach, rozłożonych szeroko nogach i ledwo zaznaczonych rysach. Nimue weszła do środka i usadowiła się w kucki przy głowie postaci.

- Pozieraj, Derflu Cadarn - rzekła. - Oto twa niewiasta.

Olwena roześmiała się i podniosła ku mnie głowę.

- Twa niewiasta, panie! - powiedziała, na wypadek gdybym nie zrozumiał.

Popatrzyłem na groteskową glinianą postać, a potem na Nimue.

- Moja niewiasta?

- To zaświatowe ciało Ceinwyn, ty durniu! - rzekła Nimue. - A jam jest jej zguba. - U wejścia do pieczary leżał wystrzępiony koszyk, Kosz z Garanhiru, kolejny Skarb Brytanii, i Nimue dobyte z niego gałązki wyschniętych jagód. Pochyliła się i wcisnęła jedną jagodę w kobiece ciało z niewypalanej gliny. - Nowy czyrak, Derflu! - oznajmiła i ujrzałem, iż glina jest nimi pokryta. - I jeszcze jeden, i jeszcze jeden! - Śmiała się hucznie, wciskając

wyschnięte jagody w czerwoną glinę. - Przysporzymy jej bólu, Derflu? Zmusimy ją do krzyku? - Z tymi słowy dobyła zza pasa nóż, Nóż z Laufrodeddu, i dźgnęła poszczerbionym ostrzem w głowę glinianej niewiasty. - Och, ależ ona krzyczy! - rzekła mi. - Próbują ją przytrzymać, ale ból jest taki straszny, taki straszny! - Wwierciła nóż głębiej.

Ogarnął mnie taki gniew, że pochyliłem się, gotowy wejść do pieczary, a Nimue natychmiast puściła nóż i wymierzyła dwa palce w gliniane oczy.

- Mam ją oślepić, Derflu? - zasyczała. - Tego pragniesz?

- Dlaczego to robisz? - spytałem.

Wydobyła Nóż z Laufrodeddu z umęczonej glinianej czaszki.

- Dajmy jej spać - zagruchała. - A może nie? - Ryknęła szalonym śmiechem, porwała żelazną łyżkę z Kosza z Laufrodeddu, zgarnęła płonące węgle z dymiącego ogniska i rozrzuciła je po ciele. Wyobraziłem sobie Ceinwyn. Dygoce, krzyczy, wyginając się w łuk, ogarnięta nagłym bólem. Nimue śmiała się, widząc mój gniew i bezradność. - Dlaczego to robisz? Dlatego że nie dałeś mi zabić Gwydra. I dlatego że możesz sprowadzić bogów na ziemię. Dlatego.

Patrzyłem jej w oczy.

- Jesteś szalona - powiedziałem cicho i spokojnie.

- Co ty wiesz o szaleństwie? - Powiedziała to tak, jakby splotowała na mnie. - Ty i twój umysł, twój żaloszny mały umysł. Ty możesz mnie osądzać? Och, ból! - I wbiła nóż w gliniane piersi. - Ból! Ból! - Szalone istoty dołączyły się do jej krzyku.

- Ból! Ból! - wykrzykiwali w uniesieniu, niektórzy klaszcząc w dłonie, inni śmiejąc się zachwyceni.

- Przestań! - krzyknąłem.

Nimue czała się nad postacią, z nożem wymierzonym do ciosu.

- Chcesz ją odzyskać, Derflu?

- Tak. - Byłem bliski łez.

- Ma dla ciebie największą wartość?

- Wiesz, że tak.

- Jesteś raczej gotów pokładać się z tym - wskazała na groteskową glinianą figurę - niż z Olweną?

- Nie pokładam się z inną kobietą poza Ceinwyn - powiedziałem.

- W takim razie oddam ci ją - rzekła Nimue i czule pogładziła po czole glinianą postać. - Przywrócę ci twoją Ceinwyn - obiecała. - Lecz pierw musisz dać mi to, co najbardziej wartościowe. Taka jest moja cena.



- A co jest najbardziej wartościowe dla ciebie? - spytałem, znając odpowiedź, zanim ją usłyszałem.

- Musisz dostarczyć mi Excalibura, Derflu - powiedziała Nimue. - I Gwydra.

- Czemu Gwydra? - spytałem. - Nie jest synem władcy.

- Bo był obiecany bogom, a bogowie domagają się tego, co było im obiecane. Musisz mi go dostarczyć przed następną pełnią. Zabierzesz Gwydra i miecz tam, gdzie wody spotykają się poniżej Nant Dduu. Wiesz, gdzie to jest?

- Wiem - rzekłem ponuro.

- A jak ich nie dostarczysz, to przysięgam, że cierpienia twojej Ceinwyn wzrosną. Umieszczę w jej brzuchu robaki, sprawię, że oczy się rozplyną, skóra popęka, ciało będziegniło na trzaskających kościach i chociaż będzie błagała o śmierć, nie ześlę jej śmierci, lecz jedynie ból. Ból i ból.

Chciałem ruszyć przed siebie i zabić Nimue na miejscu. Niegdyś była moim przyjacielem i raz nawet kochanką, lecz teraz oddaliła się ode mnie - do świata, w którym duchy były żywe, a żywi zabawkami.

- Dostarcz mi Gwydra i Excalibura - ciągnęła Nimue; jej jedyne oko migotało w mroku pieczary. - A ja uwolnię Ceinwyn z zaświatowego ciała, a ciebie z przysięgi wobec mnie, a poza tym dam ci te dwie rzeczy. - Pomacała za sobą i wyciągnęła jakiś lach. Strzepnęła go i ujrzałem, że to stara opończa, którą skradziono mi w Isce. Pogrzebała w niej, znalazła coś i ujęła w dwa palce. Był to zgubiony agat z pierścionka Ceinwyn. - Miecz i ofiara za opończę i kamyk. Zrobisz to, Derflu?

- Tak - rzekłem, nie zamierzając dotrzymać obietnicy, lecz skazany na to kłamstwo. - Puścisz mnie teraz i zostawisz ją w spokoju? - spytałem podniesionym głosem.

- Nie - odparła Nimue, uśmiechając się. - Lecz pragniesz, aby zaznała tej nocy spokoju? W takim razie, Derflu, ulżę jej tej jednej nocy. - Zdmuchnęła z gliny popioły, wyjęła jagody i inne rzeczy wbite w ciało. - Rankiem umieszczę je na powrót - rzekła.

- Nie!

- Nie wszystkie, lecz z każdym dniem coraz więcej, aż usłyszę, że przybywasz tam, gdzie wody łączą się poniżej Nant Dduu. - Zdjęła z glinianego brzucha kawałek spalonej kości. - A kiedy będę miała miecz, moja armia szalonych rozpali takie ogniska, że noc w wilię Samain zamieni się w dzień. A Gwydr zostanie ci zwrócony, Derflu. Spocznie w Kotle i bogowie pocałunkiem przywrócą go do życia, Olwena legnie z nim, a on pocałuje w chwale, dzierżąc Excalibura w dłoni. - Zaczerpnęła nieco wody z dzbana, spryskała czoło

figury, łagodnie rozsmarowała wodę. Glina rozbłysła. - Idź teraz, twoja Ceinwyn zaśnie, a Olwena ma ci coś jeszcze do pokazania. Rankiem odjedziesz.

Poszedłem za Olwena na drżących nogach, przepychając się przez tłum ohydnych postaci szczerzących zęby, które cisnęły się do pieczary. Kroczyłem za tańczącą dziewczeczką wzdłuż urwiska, do następnej pieczary. W środku ujrzałem inną glinianą figurę, tym razem mężczyzny; Olwena wskazała na nią i zachichotała.

- Czy to ja? - spytałem, ujrzałem bowiem, że glina jest gładka, bez śladu, lecz po chwili, wyteżając wzrok w ciemności, ujrzałem, że oczy glinianego męża wylupiono.

- Nie, panie, to nie ty - powiedziała Olwena. Schyliła się i podniosła długą kościaną igłę leżącą obok nogi figury. - Patrz. - Wbiła igłę w glinianą nogę. Gdzieś za naszymi plecami rozległo się wycie bólu mężczyzny. Olwena zachichotała. - Jeszcze raz. - Wbiła igłę w drugą stopę. Kolejne wycie. Roześmiała się i sięgnęła po moją dłoń. - Chodź - powiedziała i powiodła mnie w głębokie pęknięcie w skale.

Zwężało się, a potem nagle skończyło się przed nami, widziałem bowiem tylko blask ogniska odbity na wysokiej skale, a u końca skalnej gardzieli ukazała mi się jakby klatka. Rosły tam dwa krzewy głogu, a do ich pni przybito na krzyż nieobrobione drewniane bale, tworzące więzienną celę. Olwena puściła moją dłoń i pchnęła mnie.

- Przybędą po was rankiem, panie. Tu czeka jadło. - Uśmiechnęła się, odwróciła i uciekła.

Początkowo wydawało mi się, że klatka jest rodzajem schronienia i że podchodząc bliżej, znajdę drzwiczki między balami, lecz nie było tam żadnych drzwi. Klatka była wciśnięta w koniec gardzieli i obiecane jadło czekało pod jednym z głogów. Stęchły chleb, suszona baranina, dzban wody. Siadłem, przełamałem chleb i nagle coś poruszyło się w klatce. Drgnąłem, spłoszony, a to coś podpełzło ku mnie.

Spodziewałem się zwierzęcia, lecz ujrzałem, iż to człowiek, a potem przekonałem się, że tym człowiekiem jest Merlin.

Będę grzeczny - zamruczał. - Będę grzeczny. - Wtedy zrozumiałem, kogo przedstawia druga figura, albowiem Merlin był ślepy. Z twarzy wycierał mu potworny strach. - Kole w stopy, kole w stopy - biadolił. Padł obok kraty i zajęczał. - Będę grzeczny, obiecuję!

Przykucnąłem.

- Merlinie...?

Zadygotał.

- Będę grzeczny! - wykrzyczał w rozpaczy, a gdy wsunąłem dłoń między belki, chcąc pogładzić zmierzwione włosy, szarpnął się w tył i zadygotał.

- Merlinie...? - powtórzyłem.

- Krwi do gliny, musisz dolać krwi do gliny - mamrotał. - Dobrze wymieszaj. Najlepsza jest krew dziecka, tak mi przynajmniej mówiono. Nigdy tego nie robiłem, mój drogi. Tanaburs tak, wiem, i kiedyś rozmawiałem z nim na ten temat. Był durniem, to oczywiste, ale znał niemało tandetnych chwytów. Krew rudzielca, tak mi powiedział, a najlepiej kalekiego rudzielca. Oczywiście, w razie czego byle dziecię wystarczy, ale mały rudy kaleka to jest to.

- Merlinie, jestem Derfel - rzekłem.

Bełkotał dalej, podając przepis, jak najlepiej zrobić figurę z gliny, tak by zło podziałało z wielkiej odległości. Mówił o krwi i rosie, i o tym, że glinę trzeba urabiać przy dźwięku gromu. Nie słuchał mnie, a kiedy wstałem i spróbowałem oderwać belki od krzewów, z cieni za moimi plecami wyłonili się dwaj włócznie, szczerząc zęby. Byli to Tarczownicy Krwawi, a widząc ich włócznie, zrozumiałem, że wszelkie próby uwolnienia starca są nadaremne. Znow przykucnąłem.

- Merlinie! - powiedziałem.

Podpełzł bliżej, wachając.

- Derfel?

- Tak, panie.

Wyciągnął rękę, chcąc mnie wymacać, a ja podałem mu dłoń. Uchwycił ją mocno, a potem, nie wypuszczając jej z uścisku, osunął się na ziemię.

- Jestem szalony, wiesz? - rzekł rozsądnym tonem.

- Nie, panie.

- Zostałem ukarany.

- Za nic, panie.

- Derfel...? To naprawdę ty?

- To ja, panie. Czy chcecie jeść?

- Mam ci wiele do powiedzenia, Derflu.

- Żywię taką nadzieję, panie - rzekłem, ale wyglądało na to, że nie jest w stanie zebrać myśli do kupy i przez długą chwilę znow gadał o glinie, potem o innych czarach, po czym znow zapomniał, kim jestem, i nazywał mnie „Arturem”. Wreszcie zamilkł na długo i w końcu się odezwał: - Derflu...?

- Tak, panie.

- Nie wolno niczego zapisywać, czy rozumiesz?

- Mówiliście mi o tym bardzo wiele razy, panie.

- Cała nasza wiedza musi być zapamiętana. Caleddin ją spisał i właśnie wtedy bogowie zaczęli się wycofywać. Ale mam ją w głowie. Miałem. A ona ją zabrała. Całą. A przynajmniej prawie całą. - Ostatnie cztery słowa wyszeptał.

- Nimue? - spytałem, a on straszliwie mocno ścisnął mi dłoń na dźwięk tego imienia, po czym znów umilkł.

- Oślepiła was, panie? - spytałem.

- Och, musiała to uczynić! - rzekł, krzywiąc się na ton nagany w moim głosie. - Inaczej nie da się tego zrobić, Derflu. Mnie wydaje się to oczywiste.

- Mnie nie - powiedziałem z goryczą.

- Całkiem oczywiste! Tylko idiota może myśleć inaczej. - Puścił moją dłoń i zajął się wygładzaniem włosów i brody. Jego tonsura znikła pod warstwą zlepionych kudłów i brudu, broda była zmierzwiona i pełna liści, biała szata przybrała kolor błota. - Ona jest teraz głównym druidem - rzekł tonem zachwytu i podziwu.

- Myślałem, że niewiasty nie mogą nimi być - powiedziałem.

- Nie opowiadaj bzdur, Derflu. To, że żadna niewiasta nigdy nie była głównym druidem, nie znaczy, że któraś nie może nim być! Każdy może być głównym druidem! Wystarczy tylko wykuć na pamięć sześćset osiemdziesiąt cztery zaklęcia Beli Mawra, dwa tysiące sześćdziesiąt dziewięć uroków Lleu i mieć w głowie z tysięcy innych pożytecznych informacji, a Nimue, muszę to przyznać, była znakomitym uczniem.

- Ale czemu was oślepiła?

- Mamy teraz pospołu jedno oko. Jedno oko i jeden umysł. - Zamilkł.

- Opowiedzcie mi o glinianej figurze, panie - poprosiłem.

- Nie! - wykrzyknął ze zgrozą. Oddalił się ode mnie, powłócząc nogami. - Zabroniła mi ci mówić - dodał chrapliwym szeptem.

- Jak mogę dać temu radę? - spytałem.

Roześmiał się.

- Ty, Derflu? Ty miałbyś pokonać moje czary?

- Powiedzcie mi jak - naciskałem.

Wrócił do krat i skierował puste oczodoły w lewo i w prawo, jakby szukał wroga, który mógłby nas podsłuchać.

- Siedem razy i trzy śniłem na Cam Ingli - powiedział.

Oddalił się w oblężenie i tamtej nocy przekonałem się, że każda próba wydobywania z niego tajemnicy choroby Ceinwyn kończy się tym samym. Belkotał o snach, o pszenicznej dziewczęce, z którą pokładał się nad wodami Claerwenu, o brytanach Trygwyltha, które go ściagały. Tak mu powiedziano.

- To stąd te kraty, Derflu - tłumaczył mi, wskazując drewniane łąty - żeby te psiska nie mogły mnie dopaść, i to dlatego nie mam oczu. Żeby one nie mogły mnie wypatrzeć. Wiesz, te brytany nie dojrzą cię, kiedy nie masz oczu. Dobrze to sobie zapamiętaj.

- Nimue sprowadzi bogów? - spytałem.

- To dlatego zabrała mi umysł, Derflu - rzekł Merlin.

- Uda się jej?

- Trafne pytanie! Znakomite pytanie. Pytanie, które wciąż sobie zadaję. - Usiadł i objął kościste nogi. - Zabrakło mi odwagi, prawda? Zdradziłem sam siebie. Ale Nimue tego nie zrobi. Ona pójdzie do końca, choćby nie wiem, ile ją to kosztowało, Derflu.

- Ale czy się jej uda?

- Chciałbym mieć kota - wyznał po chwili. - Strasznie mi się cknę bez kotów.

- Opowiedzcie mi, panie, coś o wezwaniu bogów.

- Już wiesz wszystko! - rzekł z oburzeniem. - Nimue znajdzie Excalibura, dorwie się do biednego Gwydra i wypełni rytuały, jak należy. Tu, na tej górze. Ale czy bogowie przybędą? Oto jest pytanie. Ty czcisz Mitrę, jak mi się zdaje?

- Czczę, panie.

- A co o nim wiesz?

- Bóg żołnierzy, urodzony w grocie. Bóg słońca. Merlin wybuchnął śmiechem.

- Wiesz tak mało! Jest bogiem przysiąg. Wiedziałaś o tym? A czy znasz stopnie mitraizmu? Ile masz stopni? - Zawahałem się, nie chcąc odsłaniać tajemnic misteriów. - Nie bądź durniem, Derflu! - Jego głos był głosem człowieka zdrowego na umyśle, jak poprzednio.

- Ile? Dwa? Trzy?

- Dwa, panie.

- Więc zapomniałeś o pozostałych pięciu! Jaki są te twoje dwa?

- Żołnierz i Ojciec.

- Miles i Pater, tak powinieneś je nazywać. A kiedyś były jeszcze Leo, Corax, Perses, Nymphus i Heliodromus. Niezwykle mało wiesz o swoim żalonym bogu, lecz twoja wiara to jedynie cień wiary. Czy wstępowałaś po siedmioszczeblowej drabinie?

- Nie, panie.

- Czy piłeś wino i jadłeś chleb?

- To obrządku chrześcijan, panie - zaprotestowałem.

- Chrześcijan! Ale z ciebie półgłówka! Matka Mitry była dziewicą, pasterze i mędrcy przybyli oddać pokłon jej nowo narodzonemu dziecięciu, a sam Mitra, gdy urósł, stał się uzdrowicielem i nauczycielem. Miał tuzin uczniów, a w przeddzień swej śmierci wydał na ich cześć ostatnią wieczerzę z chleba i wina. Pogrzebany w grocie, powstał z martwych, a uczynił to wszystko na długo przedtem, nim chrześcijanie przygwoździli swojego boga do drzewa. Pozwoliliście chrześcijanom skraść szaty waszego boga, Derflu!

Wpatrywałem się w niego.

- Czy to prawda? - spytałem go.

- To prawda, Derflu - powiedział Merlin i zwrócił pobrużdżoną twarz ku kracie. - Czycie cień boga. Widzisz, on odchodzi, tak jak nasi bogowie. Oni wszyscy odchodzą, Derflu, odchodzą w pustkę. Patrz! - Wskazał na zachmurzone niebo. - Bogowie przychodzą i bogowie odchodzą, Derflu, i nie wiem już, czy nas słyszą, czy nas widzą. Przemieszczają się na wielkim kole niebios i teraz rządzi chrześcijański bóg, i będzie rządził przez jakiś czas, lecz koło zabierze w pustkę i jego, a ludzkość kolejny raz będzie drżała w mroku i szukała nowych bogów. I znajdzie ich, bogowie bowiem przychodzą i odchodzą, Derflu, przychodzą i odchodzą.

- Ale Nimue cofnie to koło? - spytałem.

- Być może - powiedział smutnie Merlin. - Bardzo bym tego chciał, Derflu. Chciałbym mieć z powrotem moje oczy, młodość i radość życia. - Oparł czoło o kraty. - Nie pomogę ci złamać czarów - rzekł cicho, tak cicho, że prawie go nie słyszałem. - Kocham Ceinwyn, lecz jeśli ona musi cierpieć dla bogów, to cierpi w szlachetnej sprawie.

- Panie... - zacząłem go błagać.

- Nie! - krzyknął tak mocarnie, że w obozie ocknęły się psy i zawyły. - Nie - powtórzył ciszej. - Raz poszedłem na kompromis i nigdy więcej, jaka jest bowiem cena kompromisu? Cierpienie! Lecz jeśli Nimue zdoła wypełnić rytuały, wtedy nastąpi kres naszych cierpień. Bliski kres. Bogowie powrócą, Ceinwyn będzie tańczyć i ja odzyskam wzrok.

Spał chwilę i ja też pogrążyłem się we śnie, lecz po jakimś czasie obudził mnie, wysunąwszy szponiastą dłoń między kratami, i chwycił mnie za ramię.

- Czy strażnicy śpią? - zapytał.

- Tak mi się zdaje, panie.

- W takim razie poszukaj srebrnej mgły - szepnął.

Przez chwilę myślałem, że znów opanowało go szaleństwo.

- Panie...? - spytałem.

- Czasem myślę - jego głos był zupełnie trzeźwy - że tylko tyle czarów zostało na ziemi. One znikają tak jak bogowie. Lecz nie dałem wszystkiego Nimue, Derflu. Ona myśli, że dałem jej wszystko, lecz uratowałem ostatni czar. I zadbałem o niego przez wzgląd na ciebie i na Artura, was dwóch bowiem ukochałem ponad wszystkich ludzi. Jeśli Nimue się nie uda, Derflu, wtedy poszukaj Kadwga. Pamiętasz go?

Był to rybak, który uratował nas z Ynys Trebes przed wielu laty, poławiacz Merlinowych świdraków.

- Pamiętam - rzekłem.

- Mieszka teraz w Camlannie - powiedział szeptem. - Poszukaj go, Derflu, i poszukaj srebrnej mgły. Zapamiętaj. Jeśli Nimue się nie uda i stanie się rzecz straszna, wtedy zabierz Artura do Camlannu, znajdź Kadwga i szukajcie srebrnej mgły. To ostatni czar. Mój ostatni dar dla tych, którzy byli moimi przyjaciółmi. - Zacisnął palce na moim ramieniu. - Obiecujesz mi, że jej poszukasz?

- Obiecuję, panie.

Ulżyło mu. Siedział przez jakiś czas, tylko ściskając mnie za ramię, po czym westchnął.

- Żałuję, że nie idę z tobą. Ale nie mogę.

- Możecie, panie.

- Nie opowiadaj bzdur, Derflu. Moim przeznaczeniem jest tu zostać i Nimue wykorzysta mnie po raz ostatni. Mogę być stary, ślepy, na wpół obłąkany i prawie nieżywy, ale moc nadal we mnie żyje. Nimue tak chce. - Z piersi wyrwało mu się straszne skomlenie. - Nie mogę już nawet płakać, a bywa, że chciałbym tylko płakać i nic więcej. Ale w srebrnej mgle, Derflu, w srebrnej mgle, nie będzie płaczu ani czasu, jeno radość.

Znów zasnął, a gdy się ocknął, był świt i przybyła po mnie Olwena. Poglądziłem Merlina po głowie, lecz kolejny raz popadł w obłąkanie. Skamlał jak pies, a Olwena skwitowała to głośnym śmiechem. Żalowałem, że nie mam niczego, co mógłbym mu dać, ale przybyłem tam z pustymi rękami. Tak więc zostawiłem go i zabrałem ze sobą jego ostatni podarunek, chociaż nie rozumiałem, co to jest ten ostatni czar.

Olwena nie powiodła mnie z powrotem tą samą ścieżką, którą przyszedliśmy do obozu Nimue, lecz zabrała stromym grzbietem, a potem w mroczny las, wzdłuż strumyka pluszczącego między skałami. Zaczęło mżyć, ścieżka była śliska, lecz Olwena i tak tańczyła przede mną w mokrej opończy.

- Lubię deszcz! - zawołała do mnie w pewnej chwili.

- Myślałem, że lubisz słońce - rzekłem kwaśno.

- Lubię i to, i to, panie - powiedziała. Jak zwykle promieniowała radością, ale ledwie słuchałem tego, co mówiła. Myślałem o Ceinwyn, Merlinie, o Gwydrze i Excaliburze. Myślałem, że znalazłem się w potrzasku, i nie widziałem drogi wyjścia. Czy musiałem wybrać między Ceinwyn i Gwydrem? Olwena pewnie zgadła moje myśli, bo wróciła i wsunęła mi rękę pod ramię.

- Niebawem nastąpi kres twoich kłopotów, panie - rzekła pocieszająco.

Wyswobodziłem się z jej uścisku.

- One dopiero się zaczynają - powiedziałem z goryczą.

- Ale Gwydr nie umrze na zawsze! - rzekła, dodając mi otuchy. - Spocznie w Kotle, a Kocioł daje życie.

Ona w to wierzyła, ale ja nie. Nadal wierzyłem w bogów, lecz ztraciłem już przekonanie, iż możemy przymuszać ich do naszej woli. Pomyślałem, że Artur miał rację. Musimy szukać pomocy u ludzi, nie u bogów. Oni mają własne rozrywki, a jeśli nie jesteśmy ich igraszką, to już mamy powód do radości.

Olwena zatrzymała się u jeziorka pod drzewami.

- Tu są bobrze żeremia - powiedziała, wpatrzona w lustro wody popstrzone kroplami deszczu. Nie odpowiedziałem, więc podniosła wzrok i uśmiechnęła się. - Jak pójdziesz wzdłuż tej strugi, panie, dojdiesz do szlaku. Trzymaj się go. Idąc w dół, trafisz na drogę.

Postąpiłem zgodnie z jej wskazówkami i droga wyłoniła się ze wzgórz w pobliżu starego rzymskiego fortu Cirucium, służącego za schronienie kilku strachliwym rodzinom. Mężczyźni dojrzeli mnie i wyszli przed połamaną bramę. Mieli włócznie i prowadzili psy, lecz gdy znalazłem bród w strumieniu i wdrapałem się na górę, zrozumieli, że nie mam złych zamiarów. Byłem bezbronny i na pewno nie służyłem w zwiadzie żadnej bandy łupieżców, więc poprzestali na szyderstwach. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek od czasów dzieciństwa tak długo nie nosił broni. Czuję się nagi.

Powrót do domu zabrał mi dwa dni; dwa dni ponurych rozważań, prowadzących donikąd. Gwydr ujrzał mnie pierwszy, kiedy wlokłem się główną ulicą Iski, i wybiegł mi na przywitanie.

- Lepiej z nią, panie! - zawołał.

- Ale znów zaczyna być gorzej - powiedziałem.

Zawahał się.



- Tak. Ale dwie noce temu myśleliśmy, że wydobrzeje. - Spoglądał na mnie z niepokojem, zmartwiony moim przygnębieniem.

- A od tamtej pory z każdym dniem choroba wraca z dawną siłą - powiedziałem.

- Przecież musimy mieć jakąś nadzieję - próbował dodać mi otuchy.

- Może - rzekłem, chociaż nie miałem żadnej. Udałem się do łoża Ceinwyn. Rozpoznała mnie i próbowała się uśmiechnąć, lecz ból rósł w niej znowu i uśmiech przeszedł w grymas na zeszpeconej chorobą twarzy. Miała na głowie świeży puszek włosów, lecz był on całkiem biały. Pochyliłem się nad moją Ceinwyn, brudny z podróży, i ucałowałem jej czoło.

Przebrałem się, umyłem, ogoliłem, przypiąłem Hywelbane'a do pasa i udałem się na poszukiwanie Artura. Powiedziałem mu wszystko, co usłyszałem od Nimue, lecz Artur nie znalazł żadnego wyjścia z sytuacji, a przynajmniej mi nie zdradził. Nie zamierzał oddać Gwydra w szpony Nimue, a to oznaczało wyrok śmierci na Ceinwyn, lecz nie mógł mi tego powiedzieć prosto w oczy. Nie krył jedynie gniewu.

- Mam dość tych idiotyzmów, Derflu.

Sprzeciwiłem mu się.

- Te idiotyzmy sprawiają Ceinwyn nieznośny ból, panie.

- W takim razie musimy ją wyleczyć - powiedział. Chciał mnie zbyć, lecz sumienie zmusiło go do zastanowienia. Zmarszczył czoło. - Czy wierzysz, że Gwydr ożyje, kiedy złoży się go w Kotle?

Myślałem nad tym i nie mogłem go okłamać.

- Nie, panie.

- Ani ja - rzekł i posłał po Ginewrę, ale jej jedyna rada to było wezwać pomocy Talezyna.

Bard wysłuchał mojej opowieści.

- Powiedzcie, jakie to klątwy, panie - rzeki, gdy skończyłem.

- Klątwa ognia, klątwa wody, klątwa tarniny i czarna klątwa zaświatowego ciała.

Zwinął się, usłyszawszy tę ostatnią.

- Pierwsze trzy potrafię odwrócić - powiedział. - Ale czwartą? Nie znam nikogo, kto by to potrafił.

- Czemu to takie niemożliwe? - ostro zapytała Ginewra.

Talezyn wzruszył ramionami.

- To najwyższe wtajemniczenie, pani. Druidowie nie kończą nauki wraz z pierwszym wtajemniczeniem, lecz uczą się dalej, poznając coraz to sekretniejsze misteria. Nie przebyłem

tej ścieżki. I, jak podejrzewam, nie przebył jej nikt w Brytanii z wyjątkiem Merlina. Zaświatowe ciało to sprawa wielkiej magii i żeby stawić jej czoło, potrzeba magii równie potężnej. Niestety, nie jest mi ona znana.

Wpatrywałem się w deszczowe chmury nad dachami Iski.

- Jeśli odetnę głowę Ceinwyn, panie, odetniecie mi moją zaraz potem? - spytałem Artura.

- Nie - powiedział z obrzydzeniem.

- Panie...! - rzekłem błagalnie.

- Nie! - odparł gniewnie. Czuł się obrażony rozmową o czarach. Chciał, aby świat rządził się rozsądkiem, nie czarami, lecz Arturowy zdrowy rozsądek nie mógł nam teraz w niczym pomóc.

- Morgan - powiedziała cicho Ginewra.

- Co z nią? - spytał Artur.

- Była kapłanką Merlina przed Nimue - wyjaśniła Ginewra. - Jeśli ktoś zna Merlinowe czary, to ona.

Tak więc wezwano Morgan. Kulejąc, pojawiła się na podwórku, jak zawsze przynosząc ze sobą powiew złości. Błyszczała złota maska, kiedy żona Sansuma spoglądała na nas po kolei i nie dojrawszy żadnego chrześcijanina, uczyniła znak krzyża. Artur podsunął jej krzesło, lecz nie skorzystała z niego, dając do zrozumienia, iż ma dla nas mało czasu. Od kiedy jej małżonek udał się do Gwentu, pracowała bez wytchnienia w chrześcijańskiej świątyni na północ od Iski. Chorzy przybywali tam wydać ostatnie tchnienie, a ona była ich karmicielką, opiekunką, wznosiła modły w ich intencji. Ludzie po dziś dzień uważają jej męża za świętego, lecz ja myślę, że w tym związku Bóg nazaczył świętością niewiastę.

Artur przekazał jej moją opowieść. Pomrukiem witała każdy szczegół, lecz gdy usłyszała o klątwie zaświatowego ciała, przeżegnała się i splunęła przez maskę.

- Czego więc chcecie ode mnie? - spytała wojowniczo.

- Czy potrafisz zdjąć klątwę? - zapytała Ginewra.

- Modlitwa może ją zdjąć! - oświadczyła Morgan.

- Modliłaś się ty i modlił się biskup Emrys - rzekł doprowadzony do ostateczności Artur. - Wszyscy chrześcijanie w Isce się modlili i Ceinwyn wciąż leży chora.

- Bo to poganek - powiedziała obelżywie Morgan. - Czemu Bóg miałby trwonić swą łaskę na poganek, kiedy Jego własna trzoda szuka u Niego wsparcia?

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - rzekła lodowato Ginewra. Nienawidziły się z Morgan, lecz przez wzgląd na Artura traktowały się z zimną dwornością.

Morgan chwilę milczała, a potem nagle skinęła głową.

- Kłatwę można zdjąć - powiedziała. - Jeśli wierzy się w zabobony.

- Ja wierzę - rzekłem.

- Ale nawet myślenie o tym to grzech! - zawołała Morgan i przeżegnała się.

- Twój bóg z pewnością ci wybaczy - powiedziałem.

- Co ty wiesz o moim bogu, Derflu? - spytała kwaśno.

- Wiem, pani - rzekłem, starając się przypomnieć sobie wszystkie rzeczy, które Galahad opowiedział mi przez lata - że jest miłującym bogiem, przebaczącym, bogiem, który posiał na ziemię własnego syna, żeby inni nie musieli cierpieć. - Przerwałem, lecz Morgan nie odezwała się, więc dodałem łagodnie: - Wiem też, że Nimue czyni wielkie zło na wzgórzach.

Wzmianka o Nimue mogła przekonać Morgan, albowiem zawsze złościło ją, iż młodsza niewiasta zagarnęła dla siebie jej miejsce u boku Merlina.

- Czy jest to gliniana postać? - zapytała mnie. - Zrobiona z krwi dziecka, rosy i ukształtowana przy huku gromów?

- Właśnie tak - odparłem.

Zadygotała, rozłożyła ramiona i pomodliła się w milczeniu. Nikt z nas się nie odezwał. Modliła się długo i być może liczyła na to, iż odejdziemy, lecz nikt nie wyszedł z podwórca, więc opuściła ramiona i odwróciła się do nas.

- Jakich środków używa ta wiedźma?

- Jagód, odłamków kości, węgielków - powiedziałem.

- Nie w tym rzecz, durniu! Jak dosięga Ceinwyn?

- Ma kamień z jednego z jej pierścionków i moją opończę.

- Ach! - wykrzyknęła Morgan. Obrzydzenie obrzydzeniem, ale była zaciekawiona pogańskimi zabobonami. - Dlaczego korzysta z tej twojej opończy?

- Nie wiem.

- To proste, durniu. Zło płynie przez ciebie!

- Przeze mnie?

- Czy ty w ogóle coś pojmujesz? - parsknęła. - Oczywiście, że płynie przez ciebie. Byłeś bliski Nimue, zgadza się?

- Tak - przyznałem, nie mogąc pohamować rumieńca.

- A jaki jest symbol tamtego związku? - spytała. - Zostawiła ci amulet? Kawalek kości? Jakiś pogański świński wisior?

- Zostawiła mi to - powiedziałem i ukazałem bliznę na dłoni.

Morgan spojrzała na nią i zadrżała. Nie powiedziała nic.

- Zdejmij z niej klątwe, Morgan - poprosił Artur.

Jego siostra nadal milczała. Po chwili rzekła:

- Zakazane jest parać się czarnoksięstwem. Pismo Święte powiada nam, że więdźmy nie mają prawa żyć.

- W takim razie powiedz mi, jak to uczynić - błagał Talezyn.

- Co?! - krzyknęła Morgan. - Co...?! Tobie się wydaje, że zdołasz pokonać Merlinowe czary. Jeśli ma to być uczynione, to niech już będzie uczynione, jak należy.

- Przez ciebie? - spytał Artur i jęknęła. Przeżegnała się zdrową ręką, a potem potrzęsnęła głową i wydawało się, że nie zdoła wydusić więcej ani słowa. Artur zmarszczył czoło: - Czego to pragnie twój bóg?

- Waszych dusz! - wrzasnęła.

- Chcesz, bym stał się chrześcijaninem? - spytałem.

Złota maska z wyrytym krzyżem poderwała się ku górze.

- Tak - rzekła po prostu Morgan.

- Zostanę nim - rzekłem z równą prostotą.

Wskazała na mnie.

- Przyjmiesz chrzest, Derflu?

- Tak, pani.

- I przysięgniesz posłuszeństwo mojemu mężowi.

Na to odebrało mi mowę. Wybałuszyłem oczy.

- Sansumowi? - zapytałem wreszcie słabym głosem.

- Jest biskupem! - oświadczyła z naciskiem. - Ma za sobą władzę Boga! Przysięgniesz mu posłuszeństwo, przysięgniesz, że przyjmiesz chrzest, i dopiero wtedy zdejmę klątwe.

Artur wpatrywał się we mnie. Przez długą chwilę nie mogłem przełknąć poniżenia, jakie wiązało się z żądaniami Morgan, lecz pomyślałem o Ceinwyn i skinąłem głową.

- Zrobię to - rzekłem.

Tak więc Morgan zaryzykowała gniew swojego boga i zdjęła klątwe.

Uczyniła to po południu. Zjawiła się na pałacowym podwórku odziana w czarną szatę, bez maski, tak że porażający widok zniszczonej ogniem, czerwonej, pobliźnionej, pożłobionej i wykręconej twarzy objawił się nam wszystkim. Wściekła na siebie, lecz zdecydowana

dotrzymać obietnicy, szybko przeszła do czynów. Rozpalono ogień w żelaznym koszu, karmiąc go węglem, i gdy żar rósł, niewolnicy przynieśli skrzynie z gliną garncarską. Morgan ulepiła z niej niewiastę. Do gliny wlała krew dziecka zmarłego rankiem w mieście i rosę, którą niewolnik zebrał o poranku z trawy. Nie waliły pioruny, lecz oświadczyła, iż przy zdejmowaniu klątwy są niepotrzebne. Splunęła ze zgrozą na widok tego, co stworzyła. To była pokraczna figura, niewiasta z wielkimi cycami, rozłożonymi szeroko nogami i rozwartym kanałem rodnym. W brzuchu postaci wygrzebała dziurę, zło bowiem musiało spocząć w łonie. Artur, Talezyn i Ginewra przyglądali się oszołomieni, gdy kształtowała glinę, po czym trzy razy obesła obrzydliwą postać. Czyniła to zgodnie z ruchem słońca na niebie. Po trzecim obejściu zatrzymała się, wzniosła głowę ku chmurom i zawyła. Przez chwilę myśleliśmy, iż przeszywa ją taki ból, że nie zdoła kontynuować obrządku i że jej bóg rozkazuje jej zaprzestać wszystkiego, lecz ona tylko zwróciła ku mnie zniekształconą twarz.

- Teraz potrzebuję amuletu zła - powiedziała.

- Czyli czego? - zapytałem.

Rozcięcie na jej twarzy, zastępujące teraz usta, jakby wykrzywiło się w uśmiechu.

- Twojej ręki, Derflu.

- Mojej ręki?

Teraz na pewno się uśmiechała.

- Tej ręki, która wiąże cię z Nimue. A według ciebie, przez co przechodzi zło? Musisz ją odciąć, Derflu, i dać mnie.

- Ależ... - zaczął protestować Artur.

- Zmuszasz mnie do grzechu, a potem sprzeciwiasz się mojej wiedzy?! - wrzasnęła na niego.

- Nie - rzekł pośpiesznie.

- Dla mnie to bez znaczenia - powiedziała niedbale. - I jeśli Derfel pragnie zatrzymać rękę, to proszę bardzo. Ceinywn może cierpieć.

- Nie, nie - rzekłem.

Posłaliśmy po Galahada i Culhwcha, po czym Artur poprowadził nas trzech do kuźni, w której ogień płonął noc i dzień. Zdjąłem z lewej dłoni miłosną obrączkę i dałem ją Morridigowi, kowalowi Artura. Miał ją potem wkuć w głowicę Hywelbane'a. Była to zwykła obrączka, żelazna obrączka wojownika, lecz zdobił ją krzyżyk ze złota, skradzionego przez mnie z Kotła z Clyddno Eiddyn, i była bliźniaczką obrączki Ceinwyn.

Położyliśmy na kowadle gruby kawał drewna. Galahad objął mnie mocno, a ja obnażyłem ramię i położyłem lewą rękę na polanie. Culhwch trzymał mnie za przedramię. Nie obawiał się, że je cofnę. Chodziło o to, co miało być zrobione potem.

Artur uniósł Excalibura.

- Jesteś pewny, Derflu? - spytał.

- Czyńcie swoje, panie - rzekłem.

Morridig wytrzeszczał oczy, gdy jasne ostrze dotknęło krokwi nad kowadłem. Artur zastygł, a potem ciął raz. Uderzył z całej mocy i przez chwilę nie czułem bólu, żadnego, lecz Culhwch zaraz wepchał chlustający krwią kikut w płonące węgle i ból przeszył mnie jak włócznia. Krzyknąłem, a potem nic nie pamiętam.

Dowiedziałem się później, iż Morgan wzięła uciętą rękę, oznaczoną zgubną blizną, i wsadziła ją w gliniane łono. Następnie przy wtórze pogańskiej pieśni, starej jak czas, wyciągnęła zakrwawioną dłoń przez kanał rodny i cisnęła ją do kosza z płonącymi węglami.

I tak oto stałem się chrześcijaninem.

## **CZEŚĆ CZWARTA**

Ostatni czar

Wiosna przybyła do Dinnewrac. W klasztorze robi się cieplej, a ciszę naszych modlitw przerywają beczenia jagniąt i pieśni skowronków. Tam, gdzie długo leżał śnieg, rosną białe fiołki i gwiazdnice, lecz najlepsza wiadomość pochodzi z izby, w której Igraine rodziła dziecko, dała życie bowiem chłopcu. Matka i synek żyją. Dzięki za to Bogu i za ciepło wiosenne, lecz za niewiele więcej. Wiosna powinna być szczęśliwą porą roku, lecz krążą ponure wieści o nieprzyjacielu.

Sasi wrócili, chociaż nikt nie wie, czy to ich włócznicy wzniecili pożary, które widzieliśmy na wschodzie ostatniej nocy. Płonęły jasno, rozświetlając nocne niebo i dając przedsmak piekła. Pewien wieśniak przybył o świcie z lipowymi deszczułkami na nową maślnicę i twierdził, że pożary to robota irlandzkich najeźdźców, lecz my powątpiewamy w jego słowa, w ostatnich tygodniach bowiem krąży zbyt wiele opowieści o saskich zagonach. Artur osiągnął to, że trzymał Sasów na wodzy przez całe pokolenie. Udało mu się, ponieważ nauczył naszych królów odwagi, lecz jakże słabowici stali się nasi władcy od tamtych czasów! A teraz Sasi powrócili niczym zaraza.

Dafydd, skryba, który przekłada te pergaminy na język Brytów, przybył dziś po najświeższe zapiski i powiedział mi, że pożary to prawie na pewno saskie dzieło, po czym poinformował mnie, że syn Igraine ma nosić imię „Artur”. Artur, syn Brochvaela, który zaś był synem Perddela, który zaś był synem Cuneglasa; zacne miano, chociaż Dafyddowi jest ono wyraźnie nie w smak i początkowo nie miałem pojęcia dlaczego. Jest mężem niewielkiego wzrostu, niczym Sansum, ma taki sam wyraz przejęcia na obliczu i taką samą ostrą szczecinę na łbie. Siedzi w moim oknie, czyta pergaminy, nie przestając cmokać i kręcić głową. W końcu pyta:

- Dlaczego Artur opuścił Dumnonię?
- Dlatego, że Meurig na to naciskał, i dlatego, że sam Artur nie chciał rządzić - wyjaśniłem.
- Ależ to nieodpowiedzialność z jego strony! - mówi surowym tonem Dafydd.
- Artur nie był królem, a nasze prawa stanowią wyraźnie, że tylko król może rządzić.
- Prawa można naginać wedle woli. - Dafydd prychnął z pogardą. - Dobrze o tym wiem, a Artur powinien zostać królem.
- Zgadza się z tym, ale nie został. Nie urodził się ku temu, a Mordred tak.
- W takim razie i Gwydr nie urodził się ku temu, by zostać królem.
- Prawda, lecz gdyby Mordred umarł, Gwydr miałby takie samo prawo ubiegać się o tron jak każdy, oczywiście z wyjątkiem Artura, lecz ten nie chciał być królem. - Ciekawe, ile razy wyjaśniałem to samo. - Artur przybył do Brytanii, ponieważ przysiągł otoczyć opieką



Mordreda, i zanim udał się do Sylurii, osiągnął wszystko, co sobie zamierzył. Zjednoczył królestwa Brytanii, dał Dumnonii sprawiedliwość, pobił Sasów. Mógł oprzeć się Mordredowym żądaniom i nie przekazywać mu władzy, lecz w swym sercu jej nie pragnął, tak więc oddał Dumnonię prawowitemu królowi i widział, jak wszystko, co osiągnął, rozlatuje się w drzazgi.

- W takim razie powinien pozostać u władzy - wyklóca się ze mną Dafydd. Pod tym względem przypomina świętego Sansuma - jest nieomylny.

- Tak - przyznaję mu rację. - Lecz był zmęczony. Chciał złożyć ciężar rządzenia na barki innych mężów. Jeśli kogoś można o to winić, to mnie! Powinienem zostać w Dumnonii, zamiast spędzać tyle czasu w Isce. Lecz w owym czasie żaden z nas nie widział, ku czemu to wszystko się toczy. Żaden z nas nie zdawał sobie sprawy, że z Mordreda wyrośnie żołnierz całą gębą, a gdy się to stało, wmawialiśmy sobie, że niebawem umrze, a Gwydr zostanie królem. Wtedy wszystko miało się ułożyć. Żyliśmy w świecie naszych marzeń, a nie w takim, jaki był on naprawdę.

- Nadal sądzę, że Artur nas zawiódł - powiada Dafydd. Ton jego głosu tłumaczy, dlaczego nie pochwała imienia malutkiego eilinga. Ileż razy musiałem wysłuchiwać tych samych potępień sypiących się na głowę Artura? Gdyby Artur zachował władzę, powiadają ludzie, wtedy Sasi nadal płaciliby nam haracz, a Brytania rozciągałaby się od morza do morza. Lecz gdy Brytowie mieli Artura, potrafili tylko na niego narzekać. Kiedy dal im to, czego chcieli, narzekali, że dostali za mało. Chrześcijanie atakowali go za faworyzowanie niechrześcijan, poganie atakowali za tolerowanie chrześcijan, a królowie zazdrościli mu, wszyscy poza Cuneglasem i Oengusem mac Airemem. Wsparcie Oengusa miało niewielkie znaczenie, lecz gdy padł Cuneglas, Artur stracił najbardziej wartościowego sprzymierzeńca. Poza tym mój pan nikogo nie zawiódł. Brytania zawiodła samą siebie. Pozwoliła przepelznąć z powrotem Sasom, była skłócona, a potem skomlała, że to wszystko wina Artura. Artura, który dal jej zwycięstwo!

Dafydd przelatuje ostatnie kilka stron.

- Czy Ceinwyn wydobrzała? - pyta.

- Chwała Bogu, tak, i żyła przez wiele lat. - Jestem gotów opowiedzieć Dafyddowi o tych latach, lecz wiem, że nie jest ich ciekaw, więc zachowuję wspomnienia dla siebie. Ceinwyn umarła w końcu na gorączkę. Byłem z nią i chciałem spalić jej ciało, lecz Sansum uparł się, że ma być pochowana po chrześcijańsku. Usłuchałem go, lecz miesiąc później nakazałem kilku mężom, synom i wnukom moich starych włóczników, wykopać trupa i spalić na stosie, tak aby jej dusza mogła się połączyć z córkami w Krainie Cieni. Nie żałuję tego

grzesznego czynu. Wątpię, by jakiś człowiek uczynił tyle dobrego dla mnie, chociaż może Igraine, jeśli przeczyta te słowa, każe wznieść pogrzebny stos. Modłę się o to.

- Czy zmieniasz opowieść, kiedy ją przekładasz? - pytam Dafydd.

- Zmieniać ją? - Robi urażoną minę. - Moja królowa nie zezwoliłaby mi zmienić ani sylaby!

- Naprawdę?

- Może poprawiłem jakieś uchybienia gramatyczne - powiada, zbierając karty. - Ale nic więcej. Mniemam, iż koniec jest już bliski?

- Tak.

- W takim razie powrócę za tydzień - obiecał, wepchnął pergaminy do torby i wyszedł z pośpiechem.

Po chwili biskup Sansum wślizguje się do mojej celi. Przynosi ze sobą jakieś dziwne zawiniątko, wyglądające na kij owinięty starą opończę.

- Czy Dafydd przyniósł jakieś wieści? - pyta.

- Królowa ma się dobrze, jak i jej dziecko - odpowiadam. Postanowiłem nie mówić, iż owo dziecko będzie nosiło imię „Artur”, albowiem to wprowadziłoby jedynie świętego w rozdrażnienie, a życie w Dinnewrac bywa o wiele znośniejsze, kiedy Sansum jest w dobrym humorze.

- Pytałem o wieści, nie o babskie plotki o jakimś smarku. Co z pożarami? Czy Dafydd wspominał o pożarach?

- Wie nie więcej od nas, biskupie, lecz król Brochvael uważa, że to Sasi.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - mówi Sansum i podchodzi do okna, z którego nadal rozciąga się widok na smugi dymu. - Bóg i wszyscy święci. - Po tych słowach składa na pergaminie dziwne zawiniątko. Rozwija opończę. Ku mojemu zdumieniu i niemal czując łzy w oczach, rozpoznaję Hywelbane'a. Nie śmiem okazać żadnych uczuć, jedynie kreślę ręką znak krzyża, jakbym był wstrząśnięty widokiem oręża w klasztorze. Sansum wyjaśnia mi obecność miecza: - Nieprzyjaciel się zbliża.

- Lękam się, że masz rację, biskupie - mówię.

- A nieprzyjaciel ośmiela głodnych ludzi na tych wzgórzach, tak więc tej nocy staniesz na straży klasztoru.

- Niech będzie twoja wola, panie - powiadam pokornie. Lecz ja? Stanać na straży? Jestem siwy, stary i słabowity. Można by równie dobrze kazać raczkującemu dziecku stanąć na straży, lecz nie protestuję. Kiedy tylko Sansum opuszcza izbę, dobywam Hywelbane'a z pochwy i myślę sobie, że wielce przybył na wadze podczas tych długich lat spędzonych w

szafie klasztornego skarbcza. Cięży mi w dłoni, nieporadnej, bo odwykłej od władania orężem, lecz nadal jest moim mieczem, tak więc patrzę na świńskie kości wprawione w rękojeść, na miłosną obrączkę przykutą do głowicy i na tym spłaszczonym kółeczku dostrzegam malutkie kawałeczki złota, skradzione przeze mnie z Kotła... ileż to lat temu. Przywraca mi wspomnienia wielu chwil, ten miecz. Na ostrzu jest plama rdzy, więc zdrapuję ją starannie nożem, którym ostrzę pióra, po czym ściskam rękojeść przez długi czas, wyobrażając sobie, iż jestem młody i wciąż dość silny, by nim władać.

Lecz ja? Stanąć na straży? Po prawdzie Sansum nie chciał, bym stawał na straży, lecz raczej stał jak dureń, jak baran zostawiony na rzeź, podczas gdy on wymknie się tylnymi drzwiami, jedną ręką ciągnąc świętego Tudwala, a w drugiej dźwigając klasztorne złoto. Lecz jeśli taki ma być mój los, nie będę narzekał. Wolę raczej umrzeć jak mój ojciec z mieczem w dłoni, chociaż me ramię jest słabe, a miecz tępy. Nie takiego losu pragnął dla mnie Merlin ani Artur, lecz nie jest to zła śmierć jak na żołnierza i chociaż jestem mnichem od wielu lat, a chrześcijaninem nawet dłużej, w mojej grzesznej duszy nadal jestem włócznikiem Mitry. Całuję mego Hywelbane'a, rad, iż jest przy mnie po tych wszystkich latach.

Tak więc teraz zrobię swoje do końca, mając mój oręż przy sobie, i żywię nadzieję, iż wystarczy mi czasu na zakończenie rzeczy o Arturze, moim panu, zdradzonym, zelżonym, a gdy już znikł, wytęsknionym tak jak nikt w całej historii Brytanii.

Po tym, jak straciłem rękę, zawładnęła mną gorączka, a gdy się ocknąłem, Ceinwyn siedziała przy moim łóżku. Początkowo nie poznałem jej, włosy bowiem ledwo zaczęły jej odrastać i były bielutkie jak popiół. Lecz to była Ceinwyn, moja Ceinwyn, żywa i wracająca do zdrowia, a ujrawszy światło w moich oczach, pochyliła się i przytknęła policzek do mojego. Objąłem ją lewym ramieniem i okazało się, że nie mam ręki, nie mogę pogłodzić mojej Ceinwyn; został mi jeno kikut owinięty szmatą, z której sączyła się krew. Czulem tę rękę, czulem nawet, jak swędzi, lecz jej nie było. Spłonęła.

Tydzień później ochrzczono mnie w rzece Usk. Biskup Emrys dokonał obrzędu, a kiedy tylko wepchnął mi głowę w zimną wodę, Ceinwyn zeszła moim śladem po mulistym brzegu i powiedziała, że też chce być ochrzczona. „Pójdę tam, gdzie mój mężczyzna” - rzekła Emrysowi, tak więc złożył jej dłonie na piersiach i położył ją na rzece. Cały czas śpiewał chór niewiast, a wieczorem, kiedy odziliśmy się na biało, po raz pierwszy otrzymaliśmy chrześcijański święty posiłek - chleb i wino. Po mszy Morgan wyciągnęła z fałdów szaty pergamin, na którym spisała obietnicę posłuszeństwa jej małżonkowi i wierze Chrystusowej. Kazała mi się pod tym podpisać.

- Dałem ci już słowo - protestowałem.

- Podpiszesz, Derflu, i na dodatek przysięgniesz na krucyfiks - upierała się.

Westchnąłem i podpisałem. Wyglądało na to, że chrześcijanie nie wierzą starszej postaci przysięgi. Im potrzeba pergaminu i atramentu. Tak więc uznałem Sansuma za swego pana, a gdy już umieściłem moje imię na pergaminie, Ceinwyn uparła się, że doda tam i swoje. Tak zaczęła się druga połowa mojego życia, połowa, podczas której dotrzymywałem przysięgi Sansumowi, chociaż nie tak ściśle, jakby życzyła sobie tego Morgan. Gdyby Mysi Król wiedział, że piszę tę opowieść, uznałby to za złamanie obietnicy i ukarałby mnie stosownie do rozmiaru wykroczenia, lecz nie dbam już o to. Popełniłem wiele grzechów, lecz nie było wśród nich wiarołomstwa.

Po chrzcie spodziewałem się wezwania od Sansuma, który nadal przebywał u króla Meuriga w Gwencie, lecz Mysi Król jeno zachował pergamin z moją obietnicą i nie żądał niczego, nawet pieniędzy. Do czasu.

Kikut goił się z wolna, a ja nie pomagałem mu, uparcie ćwicząc z tarczą. W bitwie wojownik wsuwa lewe ramię przez dwa rzemienne ucha i łapie drewniany imacz, lecz teraz nie miałem czym go chwycić, tak więc kazałem zamienić ucha na rzemienie do wiązania. Nie było to takie pewne, jak powinno, lecz lepsza jako tako trzymająca się tarcza niż żadna i kiedy tylko przyzwyczaiłem się do rzemieni, ćwiczyłem z Galahadem, Culhwchem i Arturem. Okazało się, że władam tarczą nieporadnie, lecz nie zaprzestawałem ćwiczeń, chociaż kikut krwawił za każdym razem, tak że Ceinwyn fukała na mnie, zmieniając opatrunek.

Przyszła pełnia księżyca i nie udałem się z mieczem ani z ofiarą do Nant Dduu. Czekałem na zemstę Nimue, lecz nie doczekałem się. Tydzień po pełni było święto Beltain. Ceinwyn i ja, posłuszni rozkazom Morgan, nie wygasiliśmy palenisk ani nie czuwaliśmy, by obejrzeć rozpalenie nowego ognia, lecz rankiem zawitał do nas Culhwch, przynosząc gałąź z nowym ogniem, którą cisnął do naszego paleniska.

- Chcesz, bym udał się do Gwentu, Derflu? - zapytał.

- Do Gwentu? - spytałem. - Po co?

- Oczywiście po to, żeby zarznąć tę ropuchę, Sansuma.

- Nie dręczy mnie.

- Na razie - warknął Culhwch. - Ale będzie. Nie może mi się pomieścić w głowie, że zostałeś chrześcijaninem. Czujesz się odmieniony?

- Nie.

Biedny Culhwch. Radował się wyzdrowieniem Ceinwyn, lecz krew burzyła się w nim na myśl, iż uległem woli Morgan. Jak wielu innych, zdumiewał się, dlaczego nie zламаłem

obietnicy danej Sansumowi, lecz ja lękałem się, iż choroba Ceinwyn mogłaby powrócić, tak więc dochowałem danego słowa. Z czasem posłuszeństwo weszło mi w nawyk, a gdy Ceinwyn umarła, poczułem, że nie chcę złamać obietnicy, chociaż ze śmiercią Ceinwyn przysięga straciła nade mną moc.

Lecz w tamtym dniu, w którym nowy ogień rozgrzewał stare paleniska, to była tajemnica dalekiej przyszłości. Mieliśmy piękny dzień, pełen słońca i kwitnących pąków. Pamiętam, że kupiliśmy na targu gąsiątka, wyobrażając sobie, że nasze wnuczęta będą się radowały, widząc, jak rosną przy stawku za domem. Następnie udaliśmy się z Galahadem do amfiteatru, gdzie kolejny raz ćwiczyłem posługiwanie się tarczą bez pomocy dłoni. Byliśmy tam jedynymi wojownikami, większość bowiem nadal dochodziła do siebie po nocnym pijaństwie.

- Gąsiątka to zły pomysł - powiedział Galahad, zadając cios tępym końcem włóczni, od którego zatrzęsła się moja tarcza.

- Czemu to?

- Jak wyrosną, będą mieć paskudny charakter.

- Bzdura - rzekłem. - Jak wyrosną, będzie z nich wyśmienita kolacja.

Gwydr przerwał nam, wzywając przed oblicze swego ojca, a kiedy pośpieszyliśmy do miasta, okazało się, iż Artur udał się do pałacu biskupa Emrysa. Biskup siedział, podczas gdy Artur, w koszuli i portkach, opierał się o wielki stół, zasłany szerokimi strużynami drewna, na których biskup sporządził listy włóczników, broni i łodzi. Artur podniósł ku nam wzrok i przez chwilę nic nie mówił, lecz pamiętam, iż jego siwobroda twarz była niezwykle ponura. Wreszcie rzekł jedno słowo:

- Wojna.

Galahad przeżegnał się, a ja, przywykły do dawnego zwyczaju, uściskałem rękąjęć Hywelbane'a.

- Wojna? - spytałem.

- Mordred maszeruje na nas - powiedział Artur. - Właśnie w tej chwili! Meurig dał mu pozwolenie na przejście przez Gwent.

- Jak słyszymy, idzie w towarzystwie trzystu pięćdziesięciu włóczników - dodał Emrys.

Do dziś dnia jestem przekonany, iż to namowy Sansuma skłoniły Meuriga do zdrady. Nie mam na to dowodu, a Mysi Król zawsze temu zaprzeczał, lecz ten plan z dala cuchnął jego przebiegłością. To prawda, że Sansum ostrzegał nas kiedyś przed możliwością podobnego ataku, lecz Mysi Król, zdradzając, zawsze czynił to nad wyraz ostrożnie i gdyby

Artur wygrał batalię, wtedy on mógłby zgłosić się do niego po nagrodę. Z pewnością nie oczekiwał nagrody od Mordreda, plan Sansuma bowiem, jeśli faktycznie można go tak nazwać, miał na celu przyniesienie korzyści Meurigowi. Mordred i Artur mieli się pozabijać, po czym Meurig miał zaanektować Dumnonię, a rządzić nią miał Mysi Król, jego namiestnik.

Meurig pożył Dumnonii. Chciał jej żyznych pól i majątnych miast, tak więc podzegał do wojny, chociaż stanowczo temu zaprzeczał. Skoro Mordred chciał odwiedzić wuja, jakże mógłby stawać temu na przeszkodzie? A jeśli Mordredowi zachciało się eskorty trzystu pięćdziesięciu włóczników, jakże mógłby zabronić królowi jego orszaku? Tak więc dał Mordredowi upragnione zezwolenie i kiedy dotarły do nas pierwsze wieści o napaści, konni zwiadowcy Mordreda minęli już Glevum i gnali ku nam.

Tak więc zdrada i ambicje słabego króla doprowadziły do ostatniej wojny Artura.

Byliśmy do niej przygotowani. Od tygodni spodziewaliśmy się ataku i chociaż Mordred początkowo nas zaskoczył, to z naszej strony wszystko było zapięte na ostatni guzik. Mieliśmy przepłynąć na południe przez zatokę Severn, pomaszerować do Durnovarii i połączyć się z ludźmi Sagramora. Następnie, idąc wspólnie na północ pod chorągwią z niedźwiedziem Artura, mieliśmy stawić czoło Mordredowi powracającemu z Sylurii. Spodziewaliśmy się bitwy, spodziewaliśmy się zwycięstwa, a potem mieliśmy ogłosić Gwydra królem Dumnonii na Caer Cadarn. Stara śpiewka: tylko jeszcze jedna bitwa i wszystko się zmieni.

Posłano gońców z rozkazami sprowadzenia wszystkich syluryjskich łodzi rybackich do Iski, a gdy te cumowały kolejno na fali przyływu, my z pośpiechem szykowaliśmy się do wypłynięcia. Ostrzono miecze i włócznie, polerowano zbroje, ładowano prowiant do koszy i worków. Pakowaliśmy skarby z trzech pałaców i monety ze skarbca, ostrzegliśmy również mieszkańców Iski, że mają być gotowi do ucieczki na zachód, zanim przybędą żołnierze Mordreda.

Następnego rana dwadzieścia siedem łodzi rybackich huštało się na falach pod rzymskim mostem. Stu sześćdziesięciu trzech włóczników było gotowych do zaokrętowania. Większość z nich miała rodziny, lecz na pokładach było miejsce dla wszystkich. Musieliśmy zostawić wierzchowce, Artur bowiem przekonał się, że z koni są marni żeglarze. Kiedy ja udałem się do Nimue, on próbował załadować rumaki na jedną z łodzi, lecz zwierzęta wpadały w panikę przy najmniejszej fali i jedno z nich nawet wybiło kopytami dziurę w dnie i zatoneło. Tak więc w dniu poprzedzającym podróż odprowadziliśmy konie na odległe pastwisko i złożyliśmy sobie obietnicę, iż wrócimy po nie, kiedy tylko Gwydr zostanie

królem. Jedyna Morgan odmówiła popłynięcia z nami. Udała się do Gwentu, na spotkanie z małżonkiem.

O świcie zaczęliśmy załadunek. W dole kładliśmy złoto, na nim zbroje i prowiant, po czym sami zajmowaliśmy miejsca. Niebo było szare, dmuchał ostry wiatr. Większość łodzi zabierała dziesięciu czy jedenastu ludzi, a kiedy już się zapełniły, wypływały na środek rzeki i zarzucały kotwice. Zamierzaliśmy płynąć razem.

Nieprzyjaciel pojawił się w ostatniej chwili, pod koniec załadunku ostatniej łodzi. Była największa i należała do Baliga, mojego szwagra. Siedzieli w niej: Artur, Ginewra, Gwydr, Morwenna z dziećmi, Galahad, Talezyn, Ceinwyn, ja, Culhwch, jedna żona, która mu pozostała, i dwaj synowie. Chorągiew Artura łopotała na wysokim dziobie, chorągiew Gwydra - na rufie. Byliśmy w świetnych nastrojach, albowiem zwieńczeniem naszej wyprawy miała stać się koronacja Gwydra, lecz właśnie gdy Balig popędzał Hygwydda, sługę Artura, zjawił się nieprzyjaciel.

Hygwydd niósł ostatni toból z pałacu Artura i znajdował się pięćdziesiąt kroków od brzegu rzeki, gdy obejrzał się i zobaczył dwóch konnych gnających od bramy miasta. Zdażył jeszcze rzucić niesiony ciężar i wyrwać z pochwy połowę miecza, gdy konie go dopędziły, a włócznia utkwiała w szyi.

Balig wyrzucił trap, dobył nóż zza pasa i odciął cumę rufową. Saska załoga rzuciła cumę dziobową i prąd porwał naszą łódź na środek rzeki. Tymczasem jeźdźcy dopadli brzegu. Artur patrzył ze zgrozą na konającego Hygwydda, lecz ja spoglądałem ku amfiteatrowi, skąd przybyła horda.

Nie była to armia Mordreda. To było rojowisko obłąkańców; szybko pełznący potok zgiętych, powykręcanych, zawziętych stworów, który opłynął kamienne łuki amfiteatru i ujadając z cicha, sunął ku rzece; łachmaniarze o włosach w nieładzie i oczach wypełnionych fanatyczną wściekłością. To była armia obłąkanych Nimue. Większość dzierżyła jedynie kije, chociaż kilku miało włócznie. Wszyscy jeźdźcy byli uzbrojeni we włócznie i tarcze i nie byli szaleni. To byli uciekinierzy z armii Diwrnacha, Tarczownicy Krwawi. Nadal mieli potargane czarne płaszcze i poczerwione krwią tarcze. Roztrącali szaleńców, podążając wzdłuż brzegu i dotrzymując nam kroku.

Niektórzy z obłąkanych padali pod końskimi kopytami, lecz dziesiątki pozostałych rzucały się do wody i niezdarnie płynęły ku łodziom. Artur krzykiem rozkazał wiosłarzom odciąć kotwice. Ciężko obciążone łodzie uwalniały się jedna po drugiej i płynęły. Część załóg nie chciała stracić ciężkich kamiennych kotwic i zaczęła je podnosić. Płynące łodzie

taranowały te unieruchomione, a tymczasem zdesperowane, żalosne, oszalałe istoty płynęły ku nam, ciskając się w wodzie.

- Drzewcami włócznie! - krzyknął Artur. Złapał swoją, odwrócił i uderzył nią z całej siły w głowę pływaka.

- Do wiosła! - ryknął Balig, lecz nikt go nie usłuchał. Byliśmy zbyt zajęci walką. Posługiwałem się jedną ręką, wpychając atakujących pod wodę. Jeden z nich złapał drzewce mojej włócznie i mało brakowało, a wciągnąłby mnie do wody. Puściłem włócznie, dobyteł Hywelbane'a i zadałem cios. Pierwsza krew ubarwiła fale.

Północny brzeg rzeki był teraz gęsto nabity wyjąłymi, płaszącymi poplecznikami Nimue. Niektórzy ciskali w nas włóczniami, lecz większość jedynie wyła z wściekłością, podczas gdy inni rzucali się ku nam do wody. Długowłosa mężczyzna z zajęczką wargą usiłował wdrapać się do naszej łodzi, lecz jakiś Sas kopnął go w twarz, raz, drugi, aż tamten poleciał z powrotem do wody. Talezyn porwał włócznie i dźgał innych pływaków. Poniżej nas łódź wbiła się w mulisty brzeg i jej załoga rozpaczliwie odpychała się wiosłami, próbując wyrwać się z potrzasku, lecz włócznie Nimue wdarli się na pokład. Nacierali pod wodzą Tarczowników Krwawych i tamci doświadczeni mordercy z szyderczym wrzaskiem nieśli śmierć, pracując włóczniami na zatłoczonym pokładzie. Siwowłosa biskup Emrys sparował mieczem cios włócznie, lecz został zabity i sfera obłąkańców runęła za Tarczownikami na śliski pokład. Rozległ się krótki krzyk żony biskupa, po czym zginęła pod włóczniami. Noże cięły, szarpały i kłuły, krew spływała ku morzu. Jakiś mąż w tunice ze skóry jelenia stanął na rufie zdobytej łodzi i kiedy przepływaliśmy obok, skoczył ku nam. Gwydr uniósł włócznie i tamten z wrzaskiem nadział się na długi grot. Pamiętam, jak zaciskał ręce na drzewcu, wijąc się niczym przygwożdżony robak, aż wreszcie Gwydr zrezygnował z włócznie na rzecz miecza i poleciała wraz ze swoją zdobyczą do wody. Ginewra kłuła włócznie ramiona tłukące o wodę wokół łodzi. Deptaliśmy ręce łapiące się burty, cięliśmy je mieczami, a łódź stopniowo oddalała się od atakujących. Wszystkie łodzie płynęły już z prądem, niektóre bokiem, inne rufą w kierunku morza, a kapitanowie klęli, darli się na siebie nawzajem lub na włóczników, żeby łapali za wiosła. Z brzegu poleciały włócznie i z głuchym stukotem utkwily w naszym kadłubie. Potem śmignęły pierwsze strzały. To były strzały myśliwych i świszczwały, przelatując nad naszymi głowami.

- Tarcze! - krzyknął Artur i stworzyliśmy wzdłuż burty osłonę z tarcz. Nastroszyła się pierzyskami. Kucnąłem obok Baliga, osłaniając nas obu, a moja tarcza zadygotała, gdy krótka strzała utkwiała w celu.



Szybki prąd i odpływ zapewniły nam ratunek. Niosły w dół zdeorganizowaną małą flotyllę, poza zasięg łuczników. Wiwatująca, szalejąca horda początkowo dotrzymywała nam kroku, lecz na zachód od amfiteatru rozciągały się bagniste tereny. To utrudniło pogoń i dało nam czas wprowadzić porządek. Ścigały nas okrzyki atakujących, a ich trupy dryfowały obok naszej flotylli, lecz w końcu, pracując wiosłami, skierowaliśmy łódź, jak należy, dziobem w kierunku żeglugi, i popłynęliśmy za innymi ku morzu. Nasze dwie bandery gęsto jeżyły się strzałami.

- Co to za ludzie? - spytał Artur, oglądając się za siebie.

- Armia Nimue - rzekłem z goryczą. Dzięki umiejętnościom Morgan czary Nimue przestały działać, tak więc spuściła ze smyczy swych popleczników.

- Jak udało im się przybyć bez zwrócenia naszej uwagi? - chciał wiedzieć Artur.

- Czar niewidzialności? - rzekł Talezyn i przypomniałem sobie, że Nimue potrafiła rzucać taki czar.

Galahad skrzywił się na to pogańskie wytłumaczenie i rzekł:

- Maszerowali nocą i ukryli się w lasach, czekając, aż będziemy gotowi. Byliśmy zbyt zajęci i nie mieliśmy czasu się rozglądać.

- Ta suka mogłaby uderzyć na Mordreda, zamiast na nas - powiedział Culhwch.

- Nie, ona się do niego przyłączy - rzekłem.

Ale Nimue nie skończyła jeszcze z nami. Grupa jezdnych galopowała drogą wiodącą na północ wokół mokradeł, a piesza horda śpieszyła za włócznikami. Rzeka nie biegła prosto do morza, sunęła szerokimi zakosami przybrzeżną równiną i wiedziałem, że przy każdym zachodnim zakolu będzie na nas czekał nieprzyjaciel.

W rzeczy samej było tak, lecz rzeka rozlewała szeroko wartkie wody, tak więc mijaliśmy wroga bezpiecznie. Konni obrzucali nas klątwami, po czym galopowali do następnego zakola, szukając miejsca, z którego mogliby nas razić włócznikami i strzałami. Tuż przed ujściem koryto rzeki prostowało się na dłuższym odcinku. Konnica dotrzymywała nam kroku i wtedy po raz pierwszy ujrzałem Nimue. Dosiadała białego konia, odziana w białą szatę i z tonsurą druida na głowie. Miała laskę Merlina i miecz. Krzyczała na nas, lecz wiatr porywał słowa. Rzeka zakręciła na wschód, a my oddaliliśmy się od zarosłych gęstą trzcinaą brzegów. Nimue odwróciła się i popędziła konia ku ujściu rzeki.

- Teraz jesteśmy bezpieczni - powiedział Artur.

Czuliśmy woń morza, mewy wołały nad naszymi głowami, z oddali dobiegał nas huk fal, wiecznie rozbijających się o brzeg. Balig i Sasi zakładali topenantę. Czekало nas jedno

wielkie zakole, ostatnia potyczka z konnymi Nimue, a potem mieliśmy wypłynąć na zatokę Severn.

- Ilu ludzi straciliśmy?! - chciał wiedzieć Artur i pomiędzy łodziami zaczęły biegać pytania i odpowiedzi. Tylko dwaj wojownicy padli od strzał i nieprzyjaciel opanował jedną łódź, lecz większość naszej małej armii była bezpieczna. - Biedny Emrys - powiedział i zamilkł na chwilę, lecz odepchnął smutki na bok, mówiąc: - Za trzy dni będziemy z Sagramorem. - Wcześniej wysłał gońców na wschód i teraz, gdy armia Mordreda opuściła Dumnonię, nic nie mogło stanąć na drodze Numidyjczykowi, który podążał ku nam. Byliśmy tego pewni. - Sformujemy skromną armię, ale świetną. Na tyle świetną, by pobić Mordreda i zacząć wszystko raz jeszcze od początku.

- Zacząć wszystko od początku...? - spytałem.

- Pobić jeszcze raz Cerdyka i wbić trochę rozumu do głowy Meuriga - powiedział i roześmiał się gorzko. - Zawsze jest jeszcze jedna bitwa. Zauważyłeś? Kiedy tylko pomyślisz, że wszystko się wreszcie ułożyło, znów zaczyna się rozsypywać. - Położył dłoń na rękojeści Excalibura. - Biedny Hygwydd. Będzie mi go brakowało.

- Będzie wam też mnie brakowało, panie - oznajmiłem posępnie. Kikut pulsował boleśnie, a ucięta ręka swędziała w sposób nie do opisania, za to tak prawdziwie, że wciąż próbowałem się w nią podrapać.

- Będzie mi ciebie brakowało? - spytał Artur, unosząc brew.

- Kiedy Sansum mnie wezwie.

- Ach! Mysi Król. - Uśmiechnął się do mnie przelotnie. - Myślę, że on zechce powrócić do Dumnonii, prawda? Nie wyobrażam sobie, by wdrapał się na wyższe stanowiska w Gwencie. Już mają tam za dużo biskupów. Nie, będzie chciał wrócić, a biedna Morgan zechce odzyskać świątynię w Ynys Wydryn, tak więc pójdę z nimi na zamianę. Gwydr pozwoli im zamieszkać w Dumnonii w zamian za twoją duszę. Uwolnimy cię od tej przysięgi, Derflu, nie przejmuj się. - Klepnął mnie w ramię i poszedł do Ginewry siedzącej pod masztem.

Balig wyciągnął strzałę z rufy, wyrwał żelazny grot i schował go do kieszeni, a drzewce z pierzyskiem cisnął za burtę.

- Nie podoba mi się ten widok - powiedział, wskazując podbródkiem ku zachodowi. Odwróciłem się i ujrzałem ciemne chmury nad morzem.

- Idzie deszcz? - spytałem.

- I odrobina wiatorku przy okazji - rzekł złowróźnie i splunął do wody, by odwrócić nieszczęście. - Ale nie mamy daleko. Możemy się wywinąć. - Napał na wiosło sterowe, gdy

Łódź minęła ostatnie wielkie zakole. Płynęliśmy teraz na zachód, mocno pod wiatr. Powierzchnia rzeki była posiekana niskimi falami o białych grzywach. Rozbijały się o dziób i zalewały pokład. Żagiel pozostał zwinięty. - Mocniej! - krzyknął Balig do wiosłarzy.

Saski niewolnik pracował przy jednym wiosle, Galahad przy drugim, Talezyn i Culhwch dzielili środkową ławkę. Synowie Culhwcha byli ostatnimi członkami załogi. Sześciu mężów wiosłowało ciężko, walcząc z wiatrem, lecz prąd i pływ były po naszej stronie. Chorągwie na dziobie i rufie trzepotały mocno na wietrze, miotając strzałami wplecionymi w materiał.

Rzeka przed nami skręcała na południe i wiedziałem, że Balig niebawem postawi żagiel, by wykorzystać moc wiatru. Znalazłszy się na morzu, będziemy zmuszeni trzymać się kanału, jaki wyznacza łożina, biegnącego między szerokimi płyciznami, aż dotrzemy na głęboką wodę, gdzie będziemy mogli uciec od wiatru i popędzić ku wybrzeżu Dumnonii.

- Przepawa potrwa niedługo - pocieszał Balig, zerkając na chmury. - Niedługo. Powinniśmy przegonić ten wiaterek.

- Czy łodzie zdołają utrzymać się razem? - spytałem.

- Może. - Ruchem głowy wskazał łódź przed nami. - Ta stara balia odstanie. Płynie jak prośna maciora, tak jest, ale może, może.

Tam, gdzie rzeka skręcała na południe, ku morzu, oczekiwali nas jeźdźcy, stłoczeni na wąskim przylądku. Gdy znaleźliśmy się blisko, Nimue wyjechała przed gęste szeregi i wpędziła konia na płyciznę. Dojrzałem za nią dwóch włóczyków. Ciągnęli jeńca.

Początkowo myślałem, że musi to być jeden z naszych, wywleczony z unieruchomionej łodzi, lecz po chwili go poznałem. To był Merlin. Ucięto mu brodę, a wiar rozwiewał zmierzwioną siwiznę, gdy starzec kierował ku nam puste oczodoły. Mógłbym jednak przysiąc, że uśmiechał się przy tym. Nie widziałem wyraźnie twarzy, odległość bowiem była zbyt wielka, lecz przysięgam, iż uśmiechał się, kiedy wleczono go coraz głębiej. Przewidywał swój los.

Nagle również przeczułem, co nastąpi, a w żaden sposób nie mogłem temu zapobiec.

To morze wyrzuciło na brzeg Nimue, kiedy była dzieckiem. W Demecji porwała ją banda handlarzy niewolników i wiozła przez zatokę Severn do Dumnonii, lecz sztorm zatopił łódź porywaczy. Załoga i więźniowie utonęli. Tylko Nimue żywa wylądowała na skalistym wybrzeżu Ynys Wair. Merlin, ratując dziecko, nazwał je Vivien, ponieważ okazało się ulubieńcem Manawydana, Boga morza, a Vivien to imię należące do Manawydana. Zawsze przekorna Nimue nie chciała tego miana, lecz teraz przypomniałem je sobie, jak i to, że

Manawydan ją kochał. Wiedziałem, iż uda się po pomoc do swego boga i ciśnie na nas wielką klątwę.

- Co ona robi? - spytał Artur.

- Nie patrzcie, panie - rzekłem.

Dwaj włócznicy wrócili na brzeg, zostawiając oślepionego Merlina przy Nimue. Nie próbował ucieczki. Stał, a wiatr rozwiewał jego siwe włosy. Nimue dobyła noża zza pasa. Noża z Laufrodeddu.

- Nie! - krzyknął Artur, lecz wiatr cisnął ten protest z powrotem ku łodzi, a potem na bagna, między trzciny, w nicość. - Nie!

Nimue skierowała laskę druida na zachód, uniosła głowę ku niebiosom i zawyła. Merlin nadal się nie poruszył. Nasze łodzie mijały ich, każda blisko płycizny Nimue, zanim wiatr porwał je na południe, po tym jak załogi podnosiły żagle. Nimue czekała na naszą oflagowaną łódź, a wtedy opuściła głowę i wbiła w nas spojrzenie jedyne ślepie. Uśmiechała się, jak i Merlin. Byłem na tyle blisko, że widziałem wszystko doskonale. Uśmiech nie znikł z twarzy Merlina, kiedy Nimue pochyliła się w wiadomym celu. Nóż poszedł w ruch. Wystarczyło jedno mocne cięcie.

Merlinowe białe włosy i biała szata poczerwieniały.

Nimue zawyła po raz wtóry. Wielokroć słyszałem ten przeraźliwy głos, lecz wówczas osiągnął zenit swej mocy, bo zespolił mękę i zwycięstwo. Cisnęła klątwę.

Zeskoczyła z konia i wypuściła z dłoni laskę. Merlin pewnie umarł szybko, lecz trup nadal miotał się między niewysokimi falami i przez chwilę wyglądało to tak, jakby Nimue nie mogła się z nim uporać. Krew splamiła jej białą szatę, ale czerwień natychmiast rozpuściła się w morzu, kiedy Nimue szarpała ciało, wrywając je z mułu. W końcu uwolniła je z dna i zakołysało się na powierzchni, a ona pchała je dalej, jako dar dla swego pana, Manawydana.

A cóż to był za dar! Trup druida zawiera potężny czar, tak potężny, na jaki tylko stać ten biedny świat, a Merlin był ostatnim i największym z druidów. Oczywiście, po nim zjawili się inni, lecz żaden nie dorównywał mu wiedzą, mądrością ani mocą. A cała jego moc posłużyła do jednego zaklęcia, jednego wezwania do boga morza, który uratował Nimue wiele lat temu.

Uniosła laskę z wody i wskazała naszą łódź, po czym wybuchła śmiechem. Odchyliła głowę w tył i ryczała ze śmiechu jak obłąkańcy, którzy przyszli za nią z gór, by posiąć śmierć na wodzie.

- Przeżyjecie! - zawołała ku nam. - Jeszcze się spotkamy!

Balig wciągnął żagiel na maszt, wiatr wypełnił płachtę i porwał nas na pełne morze. Nikt się nie odezwał. Jedyne spoglądaliśmy ku Nimue i tam, gdzie ciało Merlina płynęło za nami ku głębiom, białe w przelewających się szarych falach.

Pośród których czekał nas Manawydan.

Skierowaliśmy się na południowy wschód, łowiąc wiatr w dziurawy brzuch żagla, a mój brzuch cierpiał przy każdej fali.

Balig walczył z wiosłem sterowym. Wsunęliśmy na pokład wiosła, oddając się wiatrowi, lecz silny pływ spychał nas z kursu i wykręcał dziób na południe. Żagiel wpadał w łopot, a wiosło sterowe gięło się alarmująco, lecz łódź wracała na kurs, naprężony żagiel strzelał jak wielki bicz, a dziób nurzał się w wodzie. Żołądek mi się wywracał i żółć rosła w gardle.

Niebo pociemniało. Balig spojrział na chmury, splunął i znów naparł na wiosło sterowe. Spadły pierwsze krople deszczu, wielkie, czerniące pokład i brudny żagiel.

- Spuścić te bandery! - krzyknął Balig i Galahad zajął się dziobową, a ja rufową. Gwydr pomógł mi, po czym stracił równowagę, gdy łódź zachwiała się na szczycie fali. Upadł na burtę, gdy woda wdarł się przez dziób.

- Wybierać wodę! - krzyknął Balig. - Wybierać wodę!

Wiatr rósł. Rzygnąłem przez burtę, a kiedy podniosłem głowę, ujrzałem resztę flotyli rozrzuconą po szarym koszmarze łamiących się wodnych ścian i wodnego pyłu zrywanego z grzbietów fal. Nad moją głową rozległ się trzask. Żagiel pękł. Balig zaklął. Za nami ciemniała linia brzegowa, a dalej lśniły w słońcu zielone wzgórza Sylurii, lecz wszędzie wkoło nas było mroczno, mokro i groźnie.

- Wybierać wodę! - znów krzyknął Balig i siedzący na dnie czerpali hełmami wodę, w której pływały toboły ze skarbcami, zbrojami i żywnością, i wylewali ją za burtę.

Potem rozpoczął się prawdziwy sztorm. Dotychczas łupnia dawali nam jedynie harcownicy burzy, lecz w końcu zawył prawdziwy huragan i skośne strugi deszczu podziurawiły kipieli. Deszcz był tak gęsty, niebo tak ciemne, że straciłem z oczu inne łodzie. Wybrzeże znikło i byliśmy w królestwie koszmarne wysokich, grzywiastych fal, ściągających nas w dół. Żałosne resztki żagla zwisały z masztu jak sponiewierane sztandary. Piorun rozdarł niebo, spadliśmy z grzbietu fali i zielonoczarna woda runęła ku burtom, lecz Balig jakimś cudem wprowadził łódź na falę i woda zawahała się, po czym opadła, kiedy my wdrapaliśmy się na kolejny, męczony wiatrem grzbiet.

- Opróżnić łódź! - wrzasnął Balig, pokonując wycie wiatru.

Cisnęliśmy złoto za burtę. Pozbyliśmy się skarbu Artura, mojego, Gwydrowego i Culhwchowego. Daliśmy to wszystko Manawydanowi, ciskając monety, puchary i sztaby złota w jego głodne szczęki, a jemu nadal było mało, tak więc wyrzuciliśmy za burtę kosze z jadem i zwinięte sztandary, lecz Artur nie zamierzał oddać swojej zbroi ani ja swojej. Ukryliśmy ryszunek i broń w kabince pod pokładem rufowym, natomiast cisnęliśmy do wody jeszcze część balastu. Zataczaliśmy się jak pijani, ciskani przez fale, ślizgając się na kleistej mieszance rzygowin i wody. Morwenna przyciągnęła swoje dzieci, Ceinwyn jej w tym pomagała, Ginewra się modliła, Talezyn wylewał wodę hełmem, podczas gdy Culhwch i Galahad pomagali Baligowi i saskiej załodze spuścić resztki żagla. Rzucili go za burtę wraz z reją, lecz nie pozbyli się go całkiem. Przywiązali szczątki do długiej liny z końskiego włosia i ta dryfkotwa jakoś ustawiła dziób na wiatr. Stawiliśmy czoło gniewnemu sztormowi, wznosząc się i opadając na wielkich falach.

- Pierwszy raz widzę tak chyży sztorm! - krzyknął do mnie Balig. I nie dziwota. To nie był zwykły sztorm, lecz furia wywołana śmiercią druida, a świat ograniczył się do przeraźliwego zawrota głowy i plusku fal, gdy nasza łódź skrzypiała, wznosiła się i opadała, poddana ich uderzeniom. Woda wlewała się przez dziury w kadłubie, lecz my zaraz pozbywaliśmy się jej.

Zobaczyłem pierwszy wrak na szczycie fali, a w chwilę potem dojrzałem pływającego człowieka. Krzyczał do nas, lecz morze ściągnęło go na dno. Manawydan rozszarpał flotę Artura. Czasami, gdy przeszedł szkwiał i widoczność polepszała się chwilowo, widzieliśmy ludzi szaleńczo wyczerpujących wodę, widzieliśmy, jak nisko zanurzają się łodzie w zmierzwionym żywiole, a potem sztorm znów nas oślepił. Kiedy przygasł, nie stało żadnej łodzi, na powierzchni unosiły się jedynie szczątki. Łodzie Artura poszły na dno, jedna po drugiej, jego poddani także. Ci mężowie, którzy mieli na sobie zbroje, umarli pierwsi.

A przez cały ten czas, tuż poza ciskanymi przez morze szczątkami żagla, wleczonymi przez utrudzoną łódź, płynęło ciało Merlina. Pojawiło się niebawem po tym, jak spuściliśmy dryfkotwę, i trzymało się nas. Biała szata rozłożyła się na falach; to znikła, to pojawiała się na wzburzonym morzu. Raz wydawało się, że głowa się uniosła, demonstrując zbielełą ranę na szyi. Puste oczodoły wbiły w nas spojrzenie, lecz zaraz woda ściągnęła trupa w dół, a ja pogładziłem żelazny gwóźdź w rufie, błagając Manawydana, by na zawsze zabrał druida na dno. Weź go ku sobie i poślij jego duszę do Krainy Cieni - modliłem się. Lecz on trzymał się nas wiernie. Plama siwych włosów rozkładała się na niestałej morskiej powierzchni.

Merlin trwał przy nas, lecz łodzie przepadły. Przenikaliśmy wzrokiem deszcz i pył wodny, lecz nie dostrzegaliśmy niczego poza mrocznymi skłębionymi chmurami,

szarobrudnym morzem, szczątkami kadłubów i Merlinem, nieodstępnym Merlinem. Wydaje mi się, że nas ochraniał, nie dlatego, że życzył nam bezpiecznej przeprawy, lecz dlatego, że jego pani nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Nasza łódźniosła to, czego Nimue pożałowała najbardziej, tak więc jedynie my mieliśmy wyratować się z wód Manawydana.

Merlin znikł dopiero z odejściem sztormu. Po raz ostatni ukazał nam swą twarz i poszedł na dno. Przez chwilę widziałem biały kształt, rozpostarte ramiona na zielonym sercu fali, a potem znikł. I w tej samej chwili ustały wiatr i deszcz.

Morze nadal rzucało nami, lecz widoczność poprawiła się, chmury z czarnych stały się szare, potem białawe, a wszędzie wokół nas morze było puste. Zachowała się jedynie nasza łódź, a gdy Artur rozglądał się po falach, ujrzałem w jego oczach łzy. Jego żołnierze udali się do Manawydana, wszyscy, wszyscy jego dzielni żołnierze, z wyjątkiem naszej garstki. Cała armia poszła do Krainy Cieni.

Byliśmy sami.

Wciągnęliśmy na pokład reję i resztki żagla, po czym wiosłowaliśmy przez resztę dnia. Poza mną każdy mąż miał bąble na rękach i nawet ja próbowałem wiosłować, lecz okazało się, że jedna ręka nie wystarcza do posługiwania się wiosłem, tak więc jeno siedziałem i patrzyłem, kiedy płynęliśmy na południe po wzburzonym morzu, aż wieczorem kil zazgrzytał o piasek i wyszliśmy na brzeg z resztkami bagażu.

Spaliśmy na wydmach, a raniem oczyściliśmy broń z soli i przeliczyliśmy te monety, które nam jeszcze pozostały. Balig i jego Sasi zostali przy łodzi, twierdząc, że doprowadzą ją do znośnego stanu, a ja dałem mu ostatnią sztukę złota, uściskałem go i udałem się za Arturem na południe.

Na przybrzeżnych wzgórzach znaleźliśmy dwór, a jego pan okazał się poplecznikiem Artura, tak więc zaoferował nam osiodłanego konia i dwa muły. Próbowaliśmy dać mu złoto, lecz odmówił przyjęcia go.

- Żałuję, że nie mogę dać wam włóczników, lecz niestety... - Wzruszył ramionami. Jego dwór był biedny, a on dał nam już więcej, niż było go stać. Zjedliśmy posiłek, wysuszyliśmy odzież przy palenisku, po czym siedliśmy z Arturem pod kwitnącą jabłónką w sadzie.

- Nie możemy teraz walczyć z Mordredem - rzekł ponuro Artur. Siły Mordreda liczyły co najmniej trzystu pięćdziesięciu włóczników, a w odwodzie miał jeszcze armię Nimue. Tymczasem Sagramor dysponował niecałymi dwoma setkami żołnierzy. Wojna była przegrana, zanim właściwie się zaczęła.

- Oengus przybędzie nam z pomocą - zasugerował Culhwch.

- Będzie próbował - zgodził się z nim Artur. - Lecz Meurig nigdy nie pozwoli Tarczownikom Czarnym przejść przez Gwent.

- Natomiast przybędzie Cerdyk - rzekł cicho Galahad. - Przymaszeruje, kiedy tylko usłyszysz, że Mordred uderzył na nas. A my będziemy mieli dwie setki ludzi.

- Mniej - wtrącił Artur.

- Żeby stawić czoło ilu? - spytał Galahad. - Czterystu? Pięciuset? A ci, którzy przeżyją, nawet jeśli zwyciężymy, będą musieli walczyć z Cerdykiem.

- W takim razie co uczynimy? - zapytała Ginewra.

Artur uśmiechnął się.

- Udamy się do Armoryki - rzekł. - Mordred nie będzie nas tam ścigał.

- Nie wiadomo - burknął Culhwch.

- Zajmiemy się tym problemem, kiedy przyjdzie czas - rzekł ze spokojem Artur. Tego ranka był ogarnięty goryczą, lecz nie złością. Los wymierzył mu straszliwy cios, tak że teraz pozostawało mu jedynie zmienić plany i natchnąć nas nadzieją. Przypomniał nam, iż Budyk, król Broceliandii, jest mężem jego siostry, Anny, i na pewno udzieli nam schronienia. - Będziemy biedni - rzekł z przeproszającym uśmiechem do Ginewry - lecz u przyjaciół, gotowych nam pomóc. A Brocelandia z zadowoleniem przywita włóczników Sagramora. Nie umrzemy z głodu. I kto wie...? - Uśmiechnął się do syna. - A nuż Mordred umrze i będziemy mogli powrócić.

- Ale Nimue będzie nas ścigać na koniec świata - powiedziałem.

Artur skrzywił się.

- W takim razie musi zostać zabita - rzekł. - Lecz i ten problem musi poczekać. Teraz przede wszystkim należałoby podjąć decyzję, jak dotrzeć do Broceliandii.

- Udamy się do Camlannu i poszukamy rybaka Kadwga - zaproponowałem.

Artur popatrzył na mnie, zaskoczony moją pewnością.

- Kadwga?

- Merlin o to zadbał, panie - wyjaśniłem. - To on rzekł mi o tym. To jego ostatni podarunek dla was, panie.

Zamknął oczy. Wspominał Merlina i przez chwilę myślałem, że uroni łzy, lecz on jedynie zadrzał.

- W takim razie do Camlannu - rozkazał, otwierając oczy.

Einion, syn Culhwcha, wziął konia i udał się na wschód, by szukać Sagramora. Miał mu polecić, by znalazł łodzie i przepłynął do Armoryki. My z kolei mieliśmy poszukać sobie łodzi w Camlannie. Jako miejsce spotkania z Numidyjczykiem wyznaczono wybrzeże



Broceliandii. Zamiast bitwy z Mordredem i koronacji na Caer Cadarn czekała nas haniebna ucieczka przez morze.

Po wyjeździe Einiona posadziliśmy Artura-Bacha i małą Seren na muła, załadowaliśmy nasze zbroje na drugie zwierzę i ruszyliśmy na południe. Artur spodziewał się, że Mordred wie już o naszej przeprawie z Sylurii i że przeprowadza odwrót. Niewątpliwie towarzyszyli mu żołnierze Nimue. Sprzyjało mu to, że szedł bitą rzymską drogą, podczas gdy nas czekało wiele mil górzystych polnych ścieżek. Tak więc śpieszyliśmy się.

Lub raczej próbowaliśmy się śpieszyć, albowiem wzgórza były strome, a droga długa. Ceinwyn nie odzyskała jeszcze sił, muły nie nawykły do pośpiechu, a Culhwch kulał od czasu dawnej bitwy pod Londynem. Wlekliśmy się jak żółwie, lecz Artur z rezygnacją przyjmował swój los.

- Mordred nie będzie wiedział, gdzie nas szukać - powiedział.

- Lecz Nimue może wiedzieć - rzekłem. - Kto zgadnie, co Merlin musiał jej na końcu wyjawić?

Artur nie odzywał się chwilę. Szliśmy przez las rozjaśniony dzwonkami i świeżymi listkami.

- Wiesz, co powinienem zrobić? - rzekł po jakimś czasie. - Powinienem znaleźć głęboką studnię i cisnąć do niej Excalibura, a potem zasypać ją kamieniami, tak by nikt nie znalazł go do końca świata.

- Czemu tego nie uczynicie, panie?

Uśmiechnął się i pogładził rękojeść miecza.

- Przywykłem do niego. Zatrzymam go, aż nie będzie mi już potrzebny. Lecz jeśli będę musiał, ukryję go. Jednak nie teraz. - Długo szedł zamyślony. Wreszcie zapytał: - Jesteś na mnie zły?

- Na was, panie? Dlaczego?

Uczynił gest, który jakby obejmował całą Dumnonię, całą tę smutną krainę, tak jasną od pąków i świeżego listowia owego wiosennego przedpołudnia.

- Gdybym został, Derflu, gdybym nie dał Mordredowi całej jego władzy, to by się nie stało. - W jego głosie był żal.

- Ale kto mógł się spodziewać, że Mordred okaże się żołnierzem? Lub że zbierze armię?

- To prawda, a gdy przystałem na żądanie Meuriga, myślałem, że Mordred zgnije w Dumnovarii. Myślałem, że zapije się na śmierć lub padnie w jakiejś burdzie z nożem w

plecach. - Pokręcił głową. - Nigdy nie powinien zostać królem, lecz jaki miałem wybór? Złożyłem Utherowi przysięgę.

Wszystko sprowadzało się do tej przysięgi i przypomniałem sobie Wielką Radę, ostatnią w Brytanii, na której Uther wysmażył przysięgę, mającą doprowadzić Mordreda na tron. Król był już starcem, obrzydliwym, chorym umierającym staruchem, a ja dzieckiem, którego jedynym marzeniem było zostać włóczynikiem. To było dawno temu, wtedy kiedy Nimue była moim przyjacielem.

- Uther nawet nie chciał, żebyście składali tę przysięgę - powiedziałem.

- Chyba nie - rzekł. - Ale ją złożyłem. A przysięga jest przysięgą i jeśli świadomie łamiemy jedną, łamiemy wiarę we wszystkie.

Pomyślałem, że złamano dużo więcej przysięg, niż dotrzymano, lecz nie wypowiedziałem tego na głos. Artur starał się traktować przysięgi poważnie i to podtrzymywało go na duchu. Uśmiechnął się nagle i byłem pewien, że skierował myśli ku przyjemniejszym rzeczom.

- Dawno temu widziałem w Broceliandii kawałek ziemi - zwierzył się. - To była dolinka prowadząca do południowego wybrzeża. Płynął tam strumień, rosła kępa brzoź. Pomyślałem wtedy: co za świetne miejsce, żeby wznieść dwór i spokojnie żyć.

Roześmiałem się w głos. Nawet teraz zależało mu jedynie na tym, żeby mieć dwór, trochę ziemi i krąg przyjaciół, dokładnie na tych samych prostych rzeczach, których zawsze pragnął. Nigdy nie przepadał za pałacami, władzą, lecz był świetny w bitwie i lotnej myśli, przez co stał się żołnierzem jakich mało. To żołnierka przysporzyła mu chwały, pozwoliła zjednoczyć Brytów i pobić Sasów, lecz niechęć do władzy, przeklęta wiara we wrodzoną ludzką dobroć i uparte obstawanie przy świętości przysięg sprawiły, że ludzie mniejszego formatu zniweczyli jego dzieło.

- Drewniany dwór - rzekł marzycielsko. - Z kolumnadą wychodzącą na morze. Ginewra uwielbia morze. Ziemia chyli się ku południowi, ku plaży, i moglibyśmy wznieść nasz dwór na górze, tak że nocą i dniem słyszelibyśmy fale rozbijające się o brzeg. A za dworem zbudowałbym nową kuźnię.

- Żebyście dalej mogli torturować żelazo? - spytałem.

- Ars bnga, vita brevis - rzucił lekkim tonem.

- Łacina?

Pokiwał głową.

- Sztuka jest długa, życie krótkie. Poprawię się, Derflu. Moim błędem jest niecierpliwość. Widzę w żelazie to, czego pragnę, i popędzam go, lecz ono nie lubi

popędzania. - Położył dłoń na moim obandażowanym ramieniu. - Ty i ja mamy jeszcze lata przed sobą, Derflu.

- Żywię taką nadzieję, panie.

- Wiele lat starzenia się, słuchania pieśni i opowiadania różnych historii - dodał.

- I marzenia o Brytanii? - spytałem.

- Dobrze jej służyliśmy, a teraz musi służyć sobie sama.

- A jeśli Sasi wrócą i zostaniecie znów wezwani, czy wrócicie?

Uśmiechnął się.

- Mogę wrócić po to, by dać Gwydrowi tron, lecz poza tym zawieszę Excalibura na najwyższej krokwi dachu mojego dworu, Derflu, i pozwolę zarosnąć mu pajęczynami. Będę patrzył na morze, sadił zboże i przyglądał się, jak rosą moje wnuki. Ty i ja zrobiliśmy, co do nas należało, przyjacielu. Jesteśmy zwolnieni z naszych przysiąg.

- Ze wszystkich poza jedną - powiedziałem.

Spojrzał na mnie ostro.

- Masz na myśli przysięgę pomocy Banowi?

Zapomniałem o tej przysiędze, tej jednej, jedynej, której Artur nie dotrzymał, a która przyprawiała go o wieczną zgryzotę. Banowe królestwo Benoit wpadło w ręce Franków i chociaż Artur posłał tam żołnierzy, sam nie popłynął. Lecz to było dawno i nikt nie miał o to do Artura pretensji. Chciał pomóc, lecz akurat naciskali mocno Sasi Aelle'a i nie mógł walczyć na dwa fronty.

- Nie, panie, myślałem o mojej przysiędze Sansumowi - powiedziałem.

- Mysi Król zapomni o tobie - rzekł lekceważąco.

- On nie zapomina o niczym, panie.

- W takim razie będzie musiał zmienić zdanie, bo nie wydaje mi się, bym mógł zestarzeć się bez ciebie.

- Ani ja bez was, panie.

- To się ukryjemy, ty i ja, a ludzie będą zachodzić w głowę, gdzie jest Artur? I gdzie jest Derfel? A gdzie jest Galahad? Lub Ceinwyn? I nikt się nie dowie, ukryjemy się bowiem pod brzozą nad morzem. - Roześmiał się, lecz widział bliskie spełnienie tego marzenia i ta nadzieja wiodła go przez ostatnie mile naszej długiej podróży.

Droga zajęła nam cztery dni i noc, lecz w końcu znaleźliśmy się na południowym wybrzeżu Dumnonii. Ominęliśmy wielkie mokradło i idąc grzbietem wysokiego wzgórza, dotarliśmy nad ocean. Zatrzymaliśmy się na wzniesieniu, podczas gdy poranne światło padało

nam na ramiona i rozjaśniało szeroką dolinę rzeki, która łączyła się z morzem w dole. To był Camlann.

Byłem tu już kiedyś, w tej południowej krainie poniżej dumnońskiej Iski, której mieszkańcy tatuowali sobie oblicza na niebiesko. Kiedy znalazłem się tu po raz pierwszy, służyłem Owenowi, i to pod jego przywództwem wziąłem udział w masakrze na wysokich mokradłach. Lata później zbliżyłem się do tego wzgórza, gdy wraz z Arturem próbowałem uratować Tristana, jednak nie udało się nam i Tristan postradał życie. Teraz zjawiałem się po raz trzeci. To była śliczna kraina, piękniejsza ponad wszystko, co widziałem w Brytanii, chociaż w moich oczach szpeciło ją wspomnienie morderstwa i wiedziałem, że miło mi będzie patrzeć, jak znika za rufą łodzi Kadwga.

Wpatrywaliśmy się w ostatni przystanek naszej podróży. Pod nami rzeka Exe wpływała do morza, lecz zanim połączyła się z oceanem, tworzyła szeroki zalew, oddzielony od morza wąską mierzeją. Ta mierzeja była zwana Camlann, a u jej końca, ledwo widocznego z naszego wysokiego miejsca obserwacyjnego, Rzymianie wznieśli małą fortecę. Osadzili tam wielki maszt, na którego żelaznym bocianim gnieździe płonęło nocą ognisko i ostrzegało kursujące galery przed zdradziecką mierzeją.

Teraz patrzyliśmy w dół na zalew, mierzeję i zielony brzeg. Żadnego nieprzyjaciela w zasięgu wzroku. Żadne ostrze nie odbijało popołudniowego słońca, żaden jeździec nie cwałował po nadmorskim trakcie i żaden włócznik nie czernił wąskiego pasa piasku. Wydawało się, że jesteśmy sami na całym świecie.

- Znasz Kadwga? - spytał mnie Artur, przerywając ciszę.

- Spotkałem się z nim raz, panie, przed laty.

- W takim razie, znajdź go, Derflu, i powiedz, że będziemy na niego czekać przy forcie.

Spojrzałem ku morzu. Było wielkie, puste i błyszczące, było drogą, która miała wyprowadzić nas z Brytanii. Zszedłem więc na dół, aby umożliwić tę podróż.

Ostatki migotliwego światła zaprowadziły mnie do domu rybaka Kadwga. Zapytałem ludzi o drogę i skierowano mnie do chatki na północ od Camlannu. Ponieważ przyływ był dopiero w połowie, przed chatą lśniła błotna łacha. Łódź Kadwga nie stała na wodzie, lecz na suchym lądzie; spoczywała na balach, podparta drągami.

- Nazywa się „Prydwen” - powiedział rybak bez żadnych wstępów. Zobaczył mnie obok łodzi i wyszedł z domu. Miał gęstą brodę, mocną opaleniznę i był odziany w wełniany kaftan, poplamiony smołą i błyszczący od rybiej łuski.

- Merlin mnie przysłał - rzekłem.

- Tegom się spodziewał. Zapowiedział wasze przybycie. A sam się zjawi?

- Nie żyje.

Kadwg splunął.

- Myślałem, że nigdy czegoś takiego nie usłyszę. - Splunął po raz drugi. - Myślałem, że śmierć go ominie.

- Zamordowano go.

Pochylił się i dorzucił drew do ogniska pod bulgocącym garem. W garze była smoła, którą uszczelniał kadłub „Prydwen”. Łódź pięknie się prezentowała. Kadłub oczyszczono do białości, że aż lśnił. Świeża warstwa drewna ostro kontrastowała z uszczelniającą smołą, która zabezpieczała łódź przed wszędobyłską wodą. Dziób i rufa sięgały wysoko; długi nowy maszt spoczywał na kozłach obok.

- W takim razie będzie wam potrzebna - powiedział Kadwg.

- Jest nas trzynastu - rzekłem. - Czekamy przy forcie.

- Jutro o tej porze.

- Dopiero? - spytałem zaniepokojony zwłoką.

- Nie wiedziałem, że przybędziecie - burknął. - Nie mogę jej zwodować do przyływu, to znaczy do jutra rana, a zanim osadzę maszt i ster, przygotuję żagiel, znów będzie odpływ. Będzie na wodzie po południu, na pewno, i przyplynę po was najszybciej, jak się da, ale czy się to wam podoba, czy nie, będzie zmierzch. Powinniście wcześniej dać mi znać.

To była prawda, lecz żaden z nas na to nie wpadł, bo nie znaleźliśmy się na łodziach. Myśleliśmy, że przybędziemy tu, znajdziemy łódź i popłyniemy. Żadnemu z nas w głowie nie powstało, że łódź może być na lądzie.

- A inne łodzie? - spytałem.

- Nie na trzynastu luda - odpowiedział. - I nie ma takiej, która zabrałaby was tam, gdzie ja was zabiorę.

- Do Broceliandii - powiedziałem.

- Tam, gdzie Merlin kazał mi was zabrać - rzekł uparcie Kadwg. Obszedł dziób i wskazał szary kamień wielkości jabłka. Nie było w nim niczego niezwykłego, poza tym że zręcznie wbito go w dziobnicę i dębowe drewno trzymało go jak złota oprawa klejnot. - On dał mi ten kamień. - Miał na myśli Merlina. - Powiedział, że to widmowy kamień.

- Widmowy kamień? - powtórzyłem. Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym.

- Zabiorę Artura tam, gdzie Merlin chciał go wysłać, i nikt inny tego nie dokona. Żadna inna łódź go tam nie przewiezie, tylko ochrzczona przez Merlina - powiedział Kadwg.

„Prydwen” znaczyło „Brytania”. - Artur jest z wami, panie? - zapytał mnie, nagle zaniepokojony.

- Tak.

- W takim razie wezmę też złoto.

- Złoto?

- Stary zostawił je dla Artura. Myślał, że mu się przyda. Mnie ono na nic. Nie złapiesz ryb na złoto. Kupiłem sobie za nie nowy żagiel, to muszę powiedzieć. Merlin kazał go kupić, tak że musiał mi je dać, ale złoto to nie przynęta na ryby. Na niewiasty tak - zachichotał - ale nie ryby.

Popatrzyłem na wyciągniętą z wody łódź.

- Potrzebujesz pomocy? - spytałem.

Kadwg roześmiał się bez wesołości.

- A jak wy możecie mi pomóc? Wy z waszą krótką ręką? Potraficie uszczelniać smołą kadłub? Potraficie postawić maszt albo przyszyć żagiel do rei? - Splunął. - Wystarczy mi gwizdnąć, a zleci się kupa chłopów do pomocy. Rano usłyszycie naszą śpiewkę. To znak, że wodujemy. Jutro wieczór - skinął mi nieznacznie głową - będę was wypatrywał przy forcie. - Odwrócił się i poszedł do chaty.

A ja ruszyłem do Artura. Zrobiło się już ciemno i wszystkie gwiazdy pokazały się na niebie. Księżyc rzucił na morze lśniąca kładkę i rozjaśnił zwałone mury fortu, przy którym mieliśmy czekać na „Prydwen”.

Jeszcze jeden dzień w Brytanii - pomyślałem. - Jedna noc i jeden dzień, a potem popłyniemy z Arturem księżycową kładką i Brytania pozostanie tylko wspomnieniem.

Nocny wiatr dmuchał łagodnie przez zwałone mury fortu. W górze zardzewiałe resztki wiekowej latarni kiwały się na zbieleńszym drągu, małe fale łamały się na długiej plaży, księżyc powoli chylił się w objęcia morza i noc ciemniała.

Spaliśmy pod skromną osłoną ziemnych wałów. Rzymianie wzniesli je z piasku i obłożyli ziemią, zasadziwszy morską trawę, po czym na szczycie wbili drewniany ostrokół. To ogrodzenie musiało być niezbyt mocarne w chwili stworzenia, lecz fort służył jedynie za placówkę obserwacyjną i schronienie przed wiatrem dla małego oddziałku latarników. Palisada przegniła ze szczytem, a deszcze i wiatry naruszyły większą część wałów. Zaledwie w kilku miejscach wyrastały na cztery czy pięć stóp.

Nastał jasny poranek i przyglądaliśmy się małej flotylli iódek rybackich, wyruszających na morze do codziennej pracy. Pozostała tylko „Prydwen”. Artur-Bach i Seren

bawili się na piasku zalewu, wolnym od wysokich fal, podczas gdy Galahad udał się z synem Culhwcha po żywność. Wrócili z chlebem, suszonymi rybami i skopkiem ciepłego świeżego mleka. Byliśmy dziwnie radośni tamtego ranka. Pamiętam śmiechy, jakie towarzyszyły Seren toczącej się w dół wydm, i wiwaty dla Artura-Bacha, wlokącego wielką kupę wodorostów z płycizny na piasek. Rozrośnięta zielona masa musiała ważyć tyle samo co on, ale chłopczyk ciągnął, szarpał i jakimś cudem przywłókł ciężką płataninę aż pod zrujnowany wał fortu. Gwydr i ja oklaskiwaliśmy jego wysiłki, po czym zajęliśmy się rozmową.

- Jeśli nie sądzono mi zostać królem, to niech tak będzie - rzekł mój zięć.

- Niezbadane są wyroki losu - powiedziałem, a gdy popatrzył na mnie ze zdziwieniem, uśmiechnąłem się. - To było jedno z ulubionych powiedzeń Merlina. To i: „Nie bzdurz, Derflu”. Zawsze uważał, że bzdurzę.

- Jestem pewien, że wcale tak nie myślał - rzekł lojalnie.

- Myślał tak o wszystkich. Może wyjąwszy Nimue i Morgan. Cała reszta po prostu nie była dość mądra. Może jeszcze twoja matka, ale nigdy nie było między nimi prawdziwej przyjaźni.

- Żałuję, że nie poznałem go lepiej.

- A jednak kiedy osiągniesz sędziwy wiek, Gwydrze, będziesz mógł opowiadać ludziom, że znałeś Merlina.

- Nikt mi nie uwierzy.

- Hm, pewnie nie - przyznałem mu rację. - A do czasu twojej starości wymyślę o nim nowe opowieści. I o twoim ojcu też.

Cisnąłem kawałek muszli w kierunku fortu. Z oddali dobiegała mnie rytmiczna śpiewka i wiedziałem, że „Prydwen” toczy się do wody. Już niedługo - pomyślałem - już niedługo.

- Może nikt nie będzie znał prawdy - powiedziałem Gwydrowi.

- Prawdy...?

- O twoim ojcu lub o Merlinie. - Już słyszało się pieśni przypisujące chwałę za Mynydd Baddon nie komu innemu, jak Meurigowi, a wiele pieśni wynosiło Lancelota ponad Artura. Poszukałem wzrokiem Talezyna i zadałem sobie w duchu pytanie, czy on poprawi te pieśni. Tego ranka bard oznajmił nam, iż nie zamierza przeprowiać się przez morze razem z nami, lecz powróci pieszo do Sylurii lub Powys. Myślę, że Talezyn przebył z nami szmat drogi tylko dlatego, że mógł rozmawiać z Arturem i w ten sposób wydobyć od niego historię jego życia. Lub też może ujrzał przyszłość i przybył, aby zobaczyć, jak się staje, lecz bez względu na powód jego obecności, bard rozmawiał teraz z Arturem. Nagle ten zostawił go

samego i pośpieszył ku zalewowi. Stał tam długo, wyciągając oczy ku północy, po czym nagle odwrócił się i pobiegł ku najbliższej wydmi. Wdrapał się na nią, odwrócił i znów spoglądał ku północy.

- Derflu! - zawołał - Derflu!

Ześlizgnąłem się w dół wału i pośpieszyłem ku niemu.

- Co widzisz? - zapytał mnie Artur.

Popatrzyłem ku północy, nad połyskliwym zwierciadłem zalewu. Ujrzałem „Prydwen” w połowie drogi ku wodzie, ujrzałem ogniska, tam gdzie warzono sól i wędzono połów, ujrzałem sieci rybackie suszące się na rejach wbitych w piasek, a potem ujrzałem jeźdźców.

Słońce zaświeciło na grocie włóczni, potem na następnej i nagle zobaczyłem cały zastęp, może dwa, galopujące drogą równoległą do zalewu.

- Kryć się! - krzyknął Artur i ześlizgnęliśmy się w dół wydmy, chwyciwszy wpierw Seren i Artura-Bacha. Przykucnęliśmy za rozsypującymi się wałami fortu jak winni jakiegoś występku.

- Widzieli nas, panie - powiedziałem.

- Może nie.

- Ilu ich? - spytał Culhwch.

- Dwudziestu, trzydziestu? - zgadywał Artur. - Może więcej. Wyłonili się zza drzew.

Tam może być setka.

Rozległ się cichy zgrzyt i kiedy się odwróciłem, ujrzałem Culhwcha z dobytym mieczem. Uśmiechnął się do mnie.

- Nieważne, czy jest ich tam dwie setki, Derflu, nie utną mi brody.

- Czemu miałyby im zależeć na twojej brodzie? - spytał go Galahad. - Kawałku cuchnącego włosia, pełnego wszy?

Culhwch roześmiał się. Lubił przygadywać Galahadowi, a ten nie pozostawał mu dłużny. Nadal zastanawiał się nad odpowiedzią, gdy Artur ostrożnie wychylił się nad wał, pozierając ku zachodowi, skąd mieli wyłonić się jeźdźcy. Zastygł i ucichliśmy, po czym nagle zerwał się na równe nogi i pomachał.

- To Sagramor! - krzyknął do nas, a radość w jego głosie była niewątpliwa. - To Sagramor! - powtórzył i był tak podniecony, że mały Artur-Bach podjął radosny krzyk.

- To Sagramor! - zawołał chłopczyk.

Wszyscy wleźliśmy na wał, chłonąc wzrokiem ponurą czarną flagę Numidyjczyka. Furkotała na włóczni zwieńczonej czaszką. Prowadził sam Sagramor, w swoim czarnym



spiczastym hełmie. Ujrawszy Artura, skierował konia przez piasek. Artur wybiegł mu na powitanie. Numidyjczyk zeskoczył z wierzchowca, padł na kolana i uściskał Artura.

- Panie! - zawołał. Rzadko okazywał tyle uczucia. - Panie! Myślałem, że was nie ujrzę.

Artur podniósł go i objął.

- Mieliśmy się spotkać w Broceliandii, mój przyjacielu.

- W Broceliandii? - rzekł Sagramor i splunął. - Nienawidzę morza. - Na czarnej twarzy były łzy i przypomniałem sobie, co rzekł mi raz, tłumacząc, czemu służy Arturowi. „Bo kiedy nie miałem nic, Artur dał mi wszystko”. Przybył do Camlannu nie dlatego, że wstrętne mu było wejście na pokład łodzi, lecz dlatego że Artur potrzebował tu pomocy.

Numidyjczyk sprowadził osiemdziesięciu trzech ludzi. Pośród nich był Einion, syn Culhwcha.

- Miałem tylko dziewięćdziesiąt dwa konie, panie - rzekł. - Gromadziłem je od miesięcy. - Liczył, że zdoła wyprzedzić Mordreda i przywiedzie wszystkich żołnierzy bezpiecznie do Sylurii. Lecz mógł przyprowadzić tylko tyłu na ten wyschnięty piach między zalewem i oceanem. Parę koni padło w drodze, ale pozostałe osiemdziesiąt trzy miało się dobrze.

- A reszta twoich ludzi? - spytał Artur.

- Wczoraj wypłynęli na południe z naszymi rodzinami - oznajmił Sagramor, po czym wysunął się z uścisku Artura i popatrzył na nas. Musieliśmy prezentować żaloszny widok, bo uraczył nas jednym ze swoich rzadkich uśmiechów, zanim skłonił się Ginewrze i Ceinwyn.

- Czeka na nas tylko jedna łódź - powiedział z niepokojem Artur.

- W takim razie wy wsiądźcie do tej łodzi, panie - rzekł spokojnie Sagramor. - A my udamy się konno do Kemów. Znajdziemy tam łodzie i popłyniemy za wami na południe. Lecz pragnąłem spotkać się z wami po tej stronie wody, na wypadek gdyby nieprzyjaciel również was znalazł.

- Jak do tej pory nie objawił się - wyznał Artur, dotknąwszy rękojeści Excalibura. - Przynajmniej nie po tej stronie zatoki Severn. Nasza łódź nadpłynie o zmierzchu i wyruszymy.

- W takim razie będę strzegł was do zmierzchu - powiedział Sagramor, a jego ludzie zsiadli z koni, zsunęli tarcze z pleców i wbili włócznie w piasek. Ich spienione i dyszące konie chwiały się z wyczerpania, podczas gdy jeźdźcy prostowali zmęczone ramiona i nogi. Teraz tworzyliśmy oddział, prawie armię, a naszym znakiem była czarna chorągiew Sagramora.

Lecz zaledwie godzinę później, na koniach równie utrudzonych jak rumaki Sagramora, przybył do Camlann nieprzyjaciel.

Ceinwyn pomogła mi włożyć zbroję, trudno bowiem unieść ciężką kolczugę jedną ręką, a zawiązanie zdobycznych nagolenników z brązu było wręcz niemożliwe. Jednak nie ważyłbym się z nich zrezygnować. Chroniły nogi przed pchnięciami włóczy tam, gdzie nie osłaniała ich już tarcza. Po nałożeniu nagolenników, kolczugi i pasa z Hywelbane'em Ceinwyn przymocowała mi do lewego ramienia tarczę.

- Mocniej - poleciłem, instynktownie wyciągając pod kolczugą broszę od mojej Ceinwyn. Ten talizman przyniósł mi szczęście podczas niezliczonych bitew.

- Może nie zaatakują - powiedziała, zaciskając z całych sił rzemienie tarczy.

- Módl się o to.

- Do kogo? - zapytała z gorzkim uśmiechem.

- Do tego boga, któremu ufasz najbardziej, miłości moja - rzekłem, po czym ucałowałem ją. Nałożyłem hełm, a ona zapięła rzemień biegnący pod brodą. Wygięcie, jakie zarobiłem pod Mynydd Baddon, wyklepano, a na rozdarciu przynitowano łąkę z żelaza. Pocałowałem Ceinwyn jeszcze raz. Wiatr targał wilczą kitą. Zasłoniła mi oczy, więc odrzuciłem w tył głowę. Byłem ostatnią wilczą kitą. Inne zmasakrował Mordred lub zabrał na dno pod swą opiekę Manawydan. Ja byłem ostatnią, podobnie jak byłem ostatnim wojownikiem, który nosił na tarczy gwiazdę Ceinwyn. Uniosłem włócznię bojową o drzewcu grubym jak nadgarstek mojej niewiasty i ostrym grocie z najlepszej stali Morridiga.

- Kadwg zaraz przyplynie - rzekłem. - Nie będziemy musieli długo czekać.

- Tylko przez cały dzień - powiedziała Ceinwyn, zerkając ku zalewowi, gdzie „Prydwen” unosiła się przy mulistym brzegu. Stawiano maszt, lecz niebawem odpływ miał ją unieruchomić, a dopiero przyplływ uwolnić. Ale przynajmniej wrogowie nie nękali Kadwga, bo i dlaczego mieliby go nękać? Był zwyczajnym rybakiem, zupełnie ich nie obchodził. Myśmy ich obchodzili.

Było ich sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu, sami konni, i musieli pędzić do utraty tchu, chcąc nas dopaść, a teraz czekali u nasady mierzei i wszyscy wiedzieliśmy, iż niebawem dołączą do nich inni. O zmierzchu czekała nas rozprawa z armią, może dwiema, albowiem ludzie Nimue niewątpliwie nadciągali z włócznikami Mordreda.

Artur przyoblekł się w zbroję. Jego łuskowy pancerz, o złotych jęczyczkach pośród żelaznych płytek, połyskiwał w słońcu. Nałożył hełm zwieńczony białymi gęsimi piórami. Zwykle przy Arturze krzątał się Hygwydd, lecz jako że nie było go już pośród żywych, Ginewra przypięła mężowi pas z Excaliburem i zawiesiła mu na ramionach biały płaszcz. Artur uśmiechnął się do niej, pochylił się, słuchając, co ma mu do powiedzenia, po czym się roześmiał. Dwaj ludzie pomogli mu dosiąść jednego z koni Sagramora, a kiedy znalazł się już

w siodle, podali mu włócznię i nabijaną srebrem tarczę. Dawno zdarł z niej krzyż. Ujął wodze w rękę trzymającą tarczę i popędził ku nam wierzchowca.

- Rozruszajmy ich! - krzyknął do Sagramora, który stał obok mnie. Artur planował zaatakować trzydziestką ludzi, następnie udać paniczny odwrót i wciągnąć wroga w zasadzkę.

Zostawiliśmy paru żołnierzy w forcie, na straży niewiast i dzieci, a sami pod wodzą Sagramora udaliśmy się do rowu za nadbrzeżną wydumą. Mierzeja na zachód od fortu tworzyła piaszczyste góry i doliny, labirynty i ślepe zaułki. Aż prosiło się urządzić tam pułapkę. Płaski był jedynie cypel, dwieście kroków na wschód od fortu.

Artur odczekał, aż się ukryjemy, po czym powiodł brzegiem trzydziestu konnych. Fale lizwały kopyta koni. My kucaliśmy ukryci za wydumą. Zostawiłem włócznię w forcie, uznawszy, że wygodniej będzie mi walczyć samym Hywelbane'em. Sagramor również planował walczyć jedynie mieczem. Garścią piasku ścierał z krzywego ostrza plamę rdzy.

- Straciłeś brodę - mruknął do mnie.

- Wymieniłem ją na życie Amhara.

Błysnęły zęby, kiedy uśmiechnął się.

- Dobra zamiana - powiedział. - A twoja ręka?

- Żeby zniweczyć czary.

- Ale to nie ręka do miecza. - Podniósł ostrze do światła, stwierdził z zadowoleniem, iż rdza znikła, po czym zadarł głowę. Słuchał, lecz docierał do nas jedynie szum fal. - Nie powinienem przyjeżdżać - rzekł po chwili.

- Dlaczego? - Sagramor nigdy nie unikał bitwy.

- Musieli mnie śledzić. - Skinął głową, wskazując na zachód, tam gdzie stacjonował nieprzyjaciel.

- Równie dobrze mogli wcześniej się dowiedzieć, że tu przybędziemy.

Staralem się go pocieszyć. Może Nimue wydarła Merlinowi tajemnicę Camlann. Jednak bardziej prawdopodobne było to, że konny zwiad Mordreda śledził Sagramora i odkrył naszą kryjówkę. Tak czy siak, stało się. Mordred wiedział, gdzie jesteśmy, i cała rzecz sprowadzała się do wyścigu między Kadwgiem i nieprzyjacielem.

- Słyszycie?! - zawołał Gwydr. Przywdział zbroję i nosił na tarczy niedźwiedzia, znak ojca. Był zdenerwowany. Nie dziwota, czekała go pierwsza prawdziwa bitwa.

Słuchałem. Wyłożony skórą hełm zagłuszał dźwięki, lecz w końcu dotarł do mnie łomot kopyt na piasku.

- Kryć się! - warknął Sagramor na tych, których podkusiło wychynąć nad grzbiet wydmy.

Tętent był coraz bliższy, stał się głośny jak łoskot gromu. Złapaliśmy za włócznie i miecze. Rozwarta lisia paszczyka wieńczyła hełm Sagramora. Patrzyłem na lisa, lecz głowę bez reszty wypełniał mi rosnący zgiełk kopyt. Było ciepło, pot leciał mi po twarzy. Kolczuga wydawała się ciężka, ale tak było zawsze przed bitwą.

Przełopowały pierwsze konie a potem rozległ się okrzyk Artura:

- Teraz! Teraz! Teraz!

- Naprzód! - krzyknął Sagramor i wszyscy zaczęliśmy drapać się w górę wydmy. Buty osuwały się na piasku i miałem wrażenie, iż nigdy nie dotrę na szczyt, lecz nagle znaleźliśmy się po drugiej stronie i biegłem ku plaży, na której kopyta rumaków spychały fontanny mokrego piasku ku morzu. Artur zawrócił i jego trzydziestu konnych zwarło się z pogonią. Liczyła co najmniej sześćdziesięciu wojów. Goniący ujrzeli jednak w końcu, że nadbiegamy z flanki. Bardziej ostrożni natychmiast zawrócili i pogalopowali na zachód, w bezpieczne miejsce. Większość została i podjęła walkę.

Wydałem okrzyk bojowy i przyjąłem cios jeźdźca na środek tarczy. Przejechałem mieczem po tylnych nogach konia, kulawiąc zwierzę, a gdy przysiadło na zadzie, wbiłem Hywelbane'a w plecy jeźdźca. Zawył z bólu. Odskoczyłem. Koń wraz z jeźdźcem padli w kurzawie piasku i krwi. Kopnąłem w twarz wstrząsanego drgawkami rannego i dobiłem go. Mieczem sparowałem cios następnego wroga. Ogarnięty paniką jeździec bez przekonania atakował mnie włócznią. Sagramor wydał przerażający okrzyk wojenny, a Gwydr zakłuwał włócznią męża leżącego na brzegu morza. Nieprzyjaciel podawał tyły. Kierował się w bezpieczne miejsce, galopując płycizną, na której ustępujące morze tworzyło wiry piasku i krwi. Culhwch rzucił się konno na wroga i zwałił go z siodła. Tamten usiłował powstać, lecz Culhwch obalił go ciosem miecza, zawrócił konia i zadał następny cios. Ta garstka nieprzyjaciół, która jeszcze żyła, znalazła się w pułapce między nami i morzem. Zabijaliśmy ich z ponurą zaciętością. Konie kwiczały i tańczyły w miejscu. Niewielkie fale poróżwiały, piasek zaczął się krwią.

Zabiliśmy dwudziestu, a szesnastu wzięliśmy do niewoli. Kiedy powiedzieli nam wszystko, co wiedzieli, zabiliśmy również ich. Artur krzywił się, wydając ten rozkaz, nie cierpiał bowiem zabijać bezbronnych, lecz nie mogliśmy poświęcić żadnego włócznika do pilnowania więźniów ani nie czuliśmy litości dla wrogów, których tarcze były pozbawione znaku. Był to objaw pychy i dzikiej żądzy krwi. Zabiliśmy ich szybko, musieli uklęknąć na piasku i Hywelbane lub ostry miecz Sagramora odrąbały im głowy. To byli żołnierze Mordreda i sam król poprowadził ich plażą, lecz zawrócił konia, gdy tylko dostrzegł zasadzkę, i krzykiem nakazał cofnąć się.

- Był blisko - rzekł smętnie Artur. - Ale nie dość blisko. - Mordred uciekł, lecz pierwsze zwycięstwo było nasze, chociaż straciliśmy bezpowrotnie trzech żołnierzy, a siedmiu innych krwawiło mocno. - Jak walczył Gwydr? - spytał mnie Artur.

- Dzielnie, panie, dzielnie - rzekłem. Garścią piasku czyściłem miecz z krwi. - Zabijał, panie - zapewniłem Artura.

- Dobrze - powiedział, po czym szybkim krokiem udał się do syna i go uściskał.

Oczyściłem Hywelbane'a, po czym rozwiązałem rzemień hełmu i zdarłem go z głowy. Dobilśmy ranne konie, a zdrowe zaprowadziliśmy do fortu, po czym zebraliśmy wrazą broń i tarcze.

- Nie wrócą, chyba że dostaną posiłki - powiedziałem do Ceinwyn. Spojrzałem na słońce; wspinało się po bezchmurnym niebie.

Mieliśmy niewiele wody, jedynie tyle, ile ludzie Sagramora przywieźli w bukłakach, tak więc racjonowaliśmy ją. Zapowiadał się długi dzień, niosący pragnienie, szczególnie w przypadku rannych. Jeden z nich miał dreszcze. Oblicze mu zbieleło, niemal żółkło, a kiedy Sagramor próbował go napoić, tamten gryzł konwulsyjnie bukłak. Zaczął jęczeć, a odgłosy jego męki dręczyły nasze dusze, tak że Sagramor przyspieszył śmierć własnym mieczem.

- Musimy rozpaść stos u cypla mierzei - rzekł. Skinieniem głowy wskazał płaski teren. Morze pozostawiło tam zmierzwione i wypłowiałe w słońcu wodorosty.

Artur zdawał się nie słyszeć tej sugestii.

- Jak chcesz, możesz teraz udać się na zachód - powiedział Sagramorowi.

- I zostawić was tu?

- Jeśli zostaniesz, to możesz się nie wydostać - rzekł cicho Artur. - Będziemy mieli tylko jedną łódź. Mordredowi przybędzie żołnierzy. Nam nie.

- Będzie ich więcej do zabicia - stwierdził krótko Sagramor, lecz wydawał się świadom, iż zostając, skazuje się na pewną śmierć. Łódź Kadwga mogła zabrać dwudziestkę ludzi, lecz z pewnością nie więcej. - Moglibyśmy przepłynąć na drugi brzeg, panie - powiedział wskazując głową wschodni brzeg kanału, tam gdzie głęboki szybki nurt opływał cypel mierzei. - Ci z nas, którzy umieją pływać - dodał.

- A ty umiesz?

- Na naukę nigdy nie jest za późno - oświadczył Numidyjczyk i splunął. - Poza tym, jeszcze nie jesteśmy martwi.

Nie byliśmy też jeszcze pokonani, a każda mijająca chwila zbliżała nas ku bezpieczeństwu. Ludzie Kadwga nieśli żagiel do „Prydwen”, pochylonej nad brzegiem morza. Postawiono już maszt, chociaż nie wszystkie wanty były przymocowane do pokładu. Za

godzinę lub dwie pływ zmieni kierunek i łódź spocznie na wodzie, gotowa do podróży. Musieliśmy jedyne przetrwać do wieczora. Zabijaliśmy czas, budując wielki stos pogrzebny z drewna wyrzuconego przez morze, a kiedy zapłonął, wrzuciliśmy ciała naszych w płomień. Włosy zapłonęły jasno, po czym rozszedł się smród palonego mięsa. Dodaliśmy więcej drewna, aż ogień huczał, rozżarzony do białości.

- Płot upiorów mógłby odstraszyć wroga - zauważył Talezyn, gdy odmawialiśmy modły za czterech płonących mężów, których dusze unosiły się wraz z dymem, poszukując swych widm.

Nie widziałem płotu upiorów od lat, lecz tamtego dnia wzniesiliśmy go. To była ohydna robota. Mieliśmy trzydzieści sześć trupów nieprzyjaciół, trzydzieści sześć głów. Nadzialiśmy je na groty zdobycznych włócznie. Następnie osadziliśmy włócznie w poprzek mierzei i Talezyn, doskonale widoczny w swej białej szacie, wspierając się na drzewcu włócznie jak prawdziwy druid, siedł od jednej zakrwawionej głowy do drugiej, by nieprzyjaciel wyobrażał sobie, że rzuca czary. Niewielu mężów byłoby gotowych przekroczyć płot upiorów bez druida, który potrafiłby odczynić złą moc, tak więc kiedy było po wszystkim, mogliśmy odpocząć bez obaw. Spożyliśmy niewielki południowy posiłek i pamiętam, jak Artur, jedząc, spoglądał smutnie na płot upiorów.

- Od Iski do czegoś takiego - rzekł cicho.

- Od Mynydd Baddon do czegoś takiego - dodałem.

Wzruszył ramionami.

- Biedny Uther - powiedział i pewnie myślał o przysiędze, która wyniosła Mordreda na tron, przysiędze, która zawiodła nas wszystkich na tę spieczoną słońcem mierzeję.

Następni żołnierze Mordreda przybyli wczesnym popołudniem. Byli to głównie piechurzy, długa kolumna maszerująca wzdłuż zachodniego brzegu zalewu. Naliczyliśmy ponad setkę ludzi, a wiedzieliśmy, że przybędą jeszcze następni.

- Będą zmęczeni - rzekł Artur. - A my mamy płot upiorów.

Lecz wśród nieprzyjaciół pojawił się druid. Fergal zjawił się z posiłkami i godzinę po tym, jak ujrzeliśmy pierwszą kolumnę włóczników, druid podpełzł do płotu. Chwytał słony wiatr niczym pies. Cisnął garście piasku ku najbliższej głowie, przez chwilę skakał na jednej nodze, a potem podbiegł ku włócznie i ją przewrócił. Płot został obalony, a Fergal uniósł głowę ku słońcu i wydał wielki okrzyk triumfu. Nałożyliśmy hełmy, sprawdziliśmy, czy mamy tarcze pod ręką i zajęliśmy się ostrzeniem włócznie i mieczy.

Zmienił się pływ i pierwsze łodzie rybackie wracały do domu. Pozdrawialiśmy je, gdy mijały mierzeję, lecz większość rybaków nie zwracała na nas uwagi, prosty lud bowiem aż

nazbyt często miewał powody lękać się włóczników, lecz Galahad pokazał złotą monetę. To zwabiło łódź, która skierowała się ku brzegowi i osiadła niezgrabnie na piasku, w pobliżu płonącego stosu. Jej dwuosobowa załoga - mężowie o gęsto wytatuowanych twarzach - zgodziła się zabrać kobiety i dzieci na łódź Kadwga, która prawie unosiła się na morzu. Daliśmy rybakom złoto, wnieśliśmy na pokład kobiety i dzieci, a jeden ranny włócznik miał ich strzec.

- Powiedzcie innym, że złoto czeka na każdego, kto przyprowadzi swoją łódź z Kadwgiem - rzekł Artur wytatuowanym mężom. Krótco pożegnał się z Ginewrą, podobnie jak ja z Ceinwyn. Tuliłem ją mocno przez chwilę i nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Zostań przy życiu - rzekła mi.

- Dla ciebie zostanę - obiecałem jej, po czym pomogłem zepchnąć obciążoną łódź na morze i przyglądałem się jej, jak z wolna oddala się kanałem.

Po chwili jeden z naszych konnych zwiadowców przygalopował od wyłamanego płotu upiorów.

- Nadchodzą, panie! - krzyczał.

Byłem wdzięczny Galahadowi za zaciągnięcie mi rzemienia hełmu. Wyciągnąłem ramię i przywiązałem do niego mocno tarczę. Podał mi włócznię.

- Niech Bóg będzie z tobą - rzekł, po czym uniósł swoją tarczę, na której migotał chrześcijański krzyż.

Tym razem nie mogliśmy walczyć między wydrami, nie mieliśmy bowiem tylu wojowników, by sformować mur tarcz, który rozciągałby się przez cały ten obszar, tak że konni Mordreda mogliby nas oskrzydlić i zginęlibyśmy w zacieśniającym się pierścieniu wroga. Nie zamierzaliśmy też walczyć w forcie, bo tam też mogliśmy zostać otoczeni i odcięci od morza, od Kadwga. Wycofaliśmy się na wąski cypel mierzei, gdzie nasze tarcze sięgały od brzegu do brzegu. Stos pogrzebowy nadal płonął tuż nad linią wodorostów, wskazującą granicę przypływu. Gdy czekaliśmy na wroga, Artur rozkazał dorzucić do ognia więcej drewna naniesionego przez wodę. Zajmowaliśmy się tym, aż ujrzeliśmy zbliżających się żołnierzy Mordreda, a wtedy sformowaliśmy szyk, tuż przed stosem. W środku linii ustawiliśmy czarną chorągiew Sagramora, ścieśniliśmy tarcze i czekaliśmy.

Było nas osiemdziesięciu czterech mężów, a Mordred przyprowadził do ataku ponad setkę, lecz kiedy ujrzeli, że nasz mur tarcz jest sformowany i gotowy, zatrzymali się. Niektórzy konni wjechali do zalewu, mając nadzieję nas oskrzydlić, lecz dno opadało szybko, tam gdzie kanał obiegał południowy brzeg. Stwierdzili, że nie zdołają nas okrążyć. Spieszyli się, po czym zbrojni w tarcze i włócznie wzmocnili długi mur tarcz Mordreda. Słońce powoli



zsuwało się za zachodnie wzgórza. „Prydwen” była niemal gotowa, chociaż prace wciąż trwały. Niebawem się zakończą i Kadwg przyplynie - pomyślałem. Jednak kolejny włócznieci nieprzyjaciela przybywali zachodnią drogą. Wojska Mordreda rosły w siłę, a nasze mogły tylko słabnąć.

Fergal zbliżył się do nas i podskakiwał na jednej nodze, unosił dłoń w powietrze i przymykał oko. Przeklinał nasze dusze, obiecując im ogniste robaki Crum Dubh i wilcze stada, nawiedzające Przełęcz Strzał Eryri. Nasze niewiasty miały być igraszką demonów Annwnu, nasze dzieci miały być przybite do dębów Arddu. Przeklinał nasze włócznie i miecze, rzucał czary, które miały roztrzaskać nasze tarcze i sprawić, że będzie nas rznąć w kiszkaach. Wykrzykiwał zaklęcia, obiecując nam, że w zaświatach jeść będziemy gówna brytanów Arawna, a pić żółć węzów Cefydda.

- Oczy zajdą wam krwią! - wyśpiewywał. - Brzuchy wypełnią się robakami, a języki szernieją! Będziecie patrzeć na gwałty waszych kobiet i śmierć waszych dzieci! - Niektórych z nas wymieniał po imieniu, obiecując niewyobrażalne męki, a my, dając odpór jego zaklęciom, wznieśliśmy pieśń bitewną Beli Mawra.

Od tamtego popołudnia po dziś dzień nie słyszałem tej pieśni, a nigdy nie była ona śpiewana lepiej niż na tym ścieśnionym przez morze pasemku rozgrzanego piachu. Została nas garść, lecz byliśmy najlepszymi wojownikami, jakich kiedykolwiek Artur miał pod swoją komendą. W naszym szyku stało zaledwie kilku młodych; reszta to doświadczeni, zahartowani w bojach mężowie, których nozdrza nieraz owionął smród rzezi i którzy umieli zabijać. Byliśmy panami wojny. Nie było tam słabego męża ani takiego, któremu nie zaufałyby sąsiad w szyku, ani takiego, który straciłby odwagę, a jak śpiewaliśmy onego popołudnia! Zagłuszyliśmy Fergalowe przekleństwa, a mocarny śpiew niósł się przez wodę do naszych niewiast, czekających na „Prydwen”. Śpiewaliśmy do Beli Mara, który zaprzągnął wiatr do rydwanu, który wystrugał drzewce włócznie z wielkiego drzewa i którego miecz ciął nieprzyjaciół jak zniwny sierp osty. Śpiewaliśmy o jego ofiarach, trupach rozrzuconych na polach pszenicy, o wdowach, których przysporzył światu jego gniew. Śpiewaliśmy, że jego buty były niczym kamienie młyńskie, tarcza to skała żelazna, a pióropusz hełmu zamiatął gwiazdy. Śpiewaliśmy tak, że łzy stanęły nam w oczach i lęk ścisnął serca wroga.

Pieśń skończyła się dzikim wyciem. Nie wybrzmiało jeszcze do końca, gdy kulejący Culhwch wyskoczył przed szyk, wygrażając włócznieci nieprzyjacielowi. Lżył ich od tchórzy, wyklinał przodków, zapraszał do posmakowania grotu swojej włócznie. Tamci przyglądali się mu, lecz nikt nie podjął wyzwania. Tworzyli obszarpany, budzący lęk oddział, zahartowany w zabijaniu tak jak my, chociaż może nie w bitwach regularnych szyków. To były wyrzutki

Brytanii i Armoryki, łotry, przestępcy i bezpańscy ludzie, którzy zbiegli się pod znak Mordreda, zwabieni obietnicą rabunków i gwałtów. Przybywało ich z każdą chwilą, jednak nowi mieli pęcherze na nogach i chwalili się z wyczerpania. Wąski pas mierzei był naszym sprzymierzeńcem, ograniczał rozmiary szeregu wroga. Mogli nas odepchnąć, lecz nie byli w stanie nas oskrzydlić.

Żaden z przeciwników nie palił się do pojedynku z Culhwchem. Ten wrył stopy w piasek naprzeciwko Mordreda. Król stał w środku linii.

- Urodziła cię żabia kurwa, a spłodził tchórz - wołał do niego Culhwch. - Walcz ze mną! Jestem kulawy! Jestem stary! Jestem łysy! Ale ty nie masz odwagi zmierzyć się ze mną!  
- Splunął w kierunku Mordreda, lecz nadal żaden z wojowników tamtego ani drgnął. - Dzieci!  
- szydził z nich Culhwch, po czym pokazał im tyłek.

Wtedy jakiś młodzik wyrwał się z szeregów wroga. Jego hełm był za duży, policzków nie pokrywała jeszcze broda, piersi nie chronił porządny napierśnik, jeno marny płat wolej skóry, rozeschnięta tarcza była pęknięta na pół. To był młody chłopak, lecz jeśli szukał bogactwa i sławy musiał podjąć walkę z czempionem. Pędził na Culhwcha, wyjąc z nienawiścią, zagrzewany wrzaskiem kompanów.

Culhwch odwrócił się, przykucnął i skierował włócznię w krocze biegnącego. Młodzieniaszek uniósł włócznię, szykując się zadać pchnięcie nad górnym brzegiem tarczy przeciwnika, i zrobił to, wydając okrzyk triumfu, lecz okrzyk przeszedł w zdławiony charkot, gdy włócznia Culhwcha śmignęła w górę, wyszarpując młodą duszę z rozwartych ust. Culhwch, stary lis, cofnął się. Nieprzyjaciel nawet nie dotknął jego tarczy. Konający zachwiał się; grot tkwił mu w gardle. Młodzieniec wykręcił się na bok i upadł, jego przeciwnik tymczasem kopnięciem wytrącił mu włócznię z ręki, wyszarpnął swoją i przebił nią szyję wroga. Potem uśmiechnął się do żołnierzy Mordreda.

- Następny?! - zawołał. Nikt się nie poruszył. Culhwch splunął w kierunku króla i powrócił między nasze wiwatujące szeregi. Zbliżywszy się, puścił do mnie oko. - Widziałeś, jak to się robi, Derflu? Patrz i ucz się - rzekł i najbliżsi wojownicy wybuchli śmiechem.

„Prydwen” unosiła się już na fali, biały kadłub odbijał się i migotał na wodzie, mierzwionej słabym zachodnim wiatrem, który przyniósł nam smród Mordredowych ludzi; pomieszane wonie skóry, potu i miodu. Wielu nieprzyjaciół było pijanych, albowiem nie odważyliby się na trzeźwo ruszyć na nasze ostrza. Zadawałem sobie pytanie, czy młodzik, którego usta i szyja czerniły się teraz od much, dodał sobie odwagi miodem, zanim rzucił się ku Culhwchowi.

Mordred zachęcał swoich żołnierzy do natarcia, a najodważniejsi spośród nich namawiali swoich towarzyszy. Wydawało się, że słońce jest o wiele niżej, ponieważ zaczęło nas oślepiać; nie zdawałem sobie sprawy, ile czasu minęło, od kiedy Fergal nas przeklinał, a Culhwch ubliżał wrogowi, a wojownicy króla nadal nie zebrali jeszcze odwagi do ataku. Kilku było gotowych, lecz pozostali ociągali się. Mordred obsypywał ich przekleństwami, wyrównywał szyk i znów popędzał do ataku. Nie było to nic nietypowego. Trzeba wielkiej odwagi, by ruszyć na mur tarcz, a nasz, chociaż mały, był zwarty i pełen sławnych wojowników. Zerknąłem ku „Prydwen”. Postawiono żagiel. Był nowy, szkarłatny i ozdobiony czarnym niedźwiedziem Artura. Kadwg wydał stosik złota na ten żagiel, lecz nie miałem czasu go podziwiać, albowiem żołnierze Mordreda wreszcie się zbliżali. Odważniejsi zachęcali resztę do biegu.

- Zewrzeć szyk! - krzyknął Artur i ugięliśmy nogi w kolanach, szykując się na zderzenie tarcz. Nieprzyjaciel był o kilkanaście kroków, o dziesięć, i już miał wydać okrzyk bojowy, gdy Artur krzyknął: - Teraz! - A jego głos wstrzymał pęd wroga, nie wiedzieli bowiem, co to znaczy.

Wtedy Mordred wrzasnął na nich, że mają zabijać, i wreszcie starli się z nami.

Moja włócznia trafiła w tarczę i została odepchnięta w dół. Puściłem ją i porwałem za Hywelbane'a wbitego w piach przede mną. Po chwili tarcze Mordreda uderzyły o nasze i krótki miecz walnął mnie w głowę. Zadzwonilo mi w uszach i pchnąłem mieczem poniżej mojej tarczy, szukając nóg nieprzyjaciela. Trafiłem, wykręcając się mocno, i mąż naprzeciwko zachwiał się, okulawiony. Chwiał się, lecz nie padał. Miał czarne kudły pod zniszczonym żelaznym hełmem i opluwał mnie, kiedy udało mi się wyrwać Hywelbane'a z jego ciała. Sparowałem szaleńczy cios krótkiego miecza i rąbnąłem z całej siły w hełm wroga. Kudłacz osunął się na piasek.

- Przede mną! - krzyknąłem do włócznika za sobą. Zakłuł okulawionego męża, bo gdyby tego nie zrobił, ten wbiłby mi ostrze miecza w krocze. Usłyszałem okrzyki bólu lub trwogi. Popatrzyłem w lewo, przez gęstwinę mieczy i toporów. Wielkie gorejące polana leciały nad naszymi głowami w szeregi nieprzyjaciela. Artur wykorzystał stos pogrzebny jako broń, a jego ostatni okrzyk przed starciem murów tarcz był do ludzi przy ognisku. Wyciągali polana ze stosu i ciskali je w Mordredowy szyk. Nieprzyjacielscy włócznicy instynktownie cofali się, a nasz wódz poprowadził natarcie w dziurawy szyk.

- Rozstąpić się! - usłyszałem za sobą.

Odskoczyłem w bok, przykucając. Włócznik z wielką płonąca kłodą przebiegł między ludźmi z naszego pierwszego szeregu. Cisnął ją w twarze nieprzyjaciół. Odwracali się od

żaru, a my wdarliśmy się między nich. Rąbaliśmy i kłuliśmy mieczami. Nad nami leciały kolejne głownie. Najbliższy nieprzyjaciel odwrócił się, odsłaniając bok mojemu sąsiadowi, i usłyszałem trzask żeber łamanych grotem włóczni. Krew zapieniła się na ustach wojownika Mordreda i padł. Byłem w drugim szeregu wroga i płonące drewna parzyły mi nogi, lecz ból przemieniał się w bitewny szal, kiedy wbiłem miecz w twarz jakiegoś woja. Prący za mną włócznicy zasypywali płomienie paskiem. Rwali przed siebie, wypychając mnie w trzeci szereg. Nie miałem miejsca, by użyć miecza, dociśnięto mnie bowiem do przeklinającego, plującego męża, który na dodatek usiłował zadać mi cios nad tarczą. Nad moim ramieniem przesunęła się włócznia, wbijając się w policzek przeklinającego wroga i jego nacisk zelżał na tyle, że zdołałem wysunąć tarczę i zadać cios mieczem. Później, o wiele później przypomniałem sobie, że wydawałem niezrozumiałe okrzyki, zionąc wściekłością, gdy siekłem przeciwnika na piasku. Ogarnęło nas szaleństwo bojowe, desperackie szaleństwo walczących mężów, uwięzionych na malej przestrzeni, lecz to nieprzyjaciel ustępował. Wściekłość zamieniła się w coś przerażającego i Walczyliśmy jak bogowie. Słońce gorzało nad zachodnim wzgórzem.

- Tarcze! Tarcze! Tarcze! - ryczał Sagramor, przypominając nam o utrzymaniu szyku, a mój sąsiad z prawej założył swoją tarczę za brzeg mojej, wyszczerzył zęby w uśmiechu i pracował włócznią. Ujrzałem, jak nieprzyjacielski miecz dźwiga się do potężnego cięcia i wyprzedziłem je, tnąc Hywelbane'em uniesioną dłoń. Wszedł w kość, jakby to była gałązka trzciny. Miecz z zakrwawioną ręką, nadal zaciśniętą na rękojeści, frunął między nasze tylne szeregi. Żołnierz po mej lewej padł z nieprzyjacielską włócznią w brzuchu, lecz towarzyszy z drugiego szeregu zajął jego miejsce i z wielkim okrzykiem na ustach pchnął przed siebie tarczę i ciął mieczem znad głowy.

Kolejny pniak frunął nad nami i upadł na dwóch przeciwników, którzy zatoczyli się na różne strony. Wskoczyliśmy w tę szczelinę i nagle mieliśmy przed sobą pusty piasek.

- Nie rozdzielać się! - krzyknąłem. - Nie rozdzielać się! - Szeregi nieprzyjaciela łamały się. Ci z pierwszego nie żyli lub byli ranni, ci z drugiego umierali, a ci z tyłu najmniej palili się do walki i dlatego najłatwiej było ich zabijać. Te tylne szeregi wypełniali mężowie którzy byli wprawni w gwałtach i przemyślni w plądrowaniu, lecz nigdy nie stawiali oporu muirowi tarcz, zahartowanym zabijakom. I jakże wspaniale zabijaliśmy! Ich szyk rozlatywał się, nadwątlany ogniem i lękiem, a my wznosiliśmy chóralny okrzyk zwycięzców. Potknąłem się o trupa, przewróciłem przed siebie, zasłaniając tarczą. Czyjś miecz rąbnął w tarczę, rozległ się ogłuszający huk. Żołnierz Sagramora przeszedł nade mną, a jakiś włócznik dźwignął mnie na nogi.

- Ranny? - spytał.

- Nie.

Rozejrzałem się, szukając miejsca, w którym nasz szyk wymagałby wzmocnienia, lecz wszędzie stały co najmniej trzy szeregi, które przebijały się nieustępliwie w głąb nieprzyjacielskiej formacji, czyniąc rzeź. Wojowie stękali, tnąc, kłując i rąbiąc. Szli w upajającej wojennej chwale, niebywałym uniesieniu, jaki ogarnia wojów, kiedy przełamują mur tarcz i miecze sycą się ciałami znienawidzonego wroga. Artur, mąż niezwykle łagodności, miał w oczach jedynie radość. Galahad, który każdego dnia przysięgał miłować po chrześcijańsku wszystkich ludzi, zabijał teraz z przerażającą skutecznością. Culhwch ryczał obelgi. Pozbył się tarczy i pracował oburącz ciężką włócznią. Gwydr uśmiechał się szeroko spod policzków hełmu, podczas gdy Talezyn szedł z naszym szykiem i dobijał rannych ze śpiewem na ustach. Nie miażdży się muru tarcz rozsądkiem i umiarem, lecz boskim huraganem szaleństwa i wyciem na ustach.

I wrogowie nie mogli sprostać naszemu szaleństwu, tak więc wyłamywali się z szeregów i uciekali. Mordred próbował ich zatrzymać, lecz nie słuchali rozkazów i uciekali, byle dalej od fortu. Niektórzy z naszych, nadal kipiący bitewnym szałem, ruszyli w pogoń, lecz Sagramor ich przywołał. Otrzymał ranę w ramię dźwigające tarczę, lecz nie chciał żadnej pomocy i głosem jak huk gromu nakazywał swoim żołnierzom zaprzestać pościgu. Nie odważyliśmy się biec za uciekającym wrogiem, chociaż bowiem został straszliwie pobity, to, widząc nas na szerszym pasie mierzei, mógł się pokusić o oskrzydlenie. Tak więc zostaliśmy na polu bitwy i szydziliśmy z Mordredowych żołnierzy, nazywając ich tchórzami.

Mewa wydłubywała oczy zabitego. Oddalona „Prydwen” kierowała się ku nam, wolna od cum, jednak jej wyrazisty żagiel ledwo marszczył się w łagodnym powiewie. Lecz dopiero co wyruszyła, płachta rzucała długie drżące odbicie na przejrzystą wodę.

Mordred dojrzał łódź, wielkiego niedźwiedzia na żaglu i pojął, że nieprzyjaciel może uciec morzem, tak więc wrzeszczał na swoich żołnierzy, by sformowali nowy mur tarcz. Z każdą chwilą przybywało mu posiłków, w tym popleczników Nimue, albowiem dwaj Tarczownicy Krwawi zajęli miejsce w szeregu, który miał na nas ruszyć.

Wróciliśmy tam, skąd zaczęliśmy, tworząc szyk na piasku nasączanym krwią, przed ognistym stosem, który pomógł nam wygrać pierwsze starcie. Ciała naszych zabitych spłonęły jedynie częściowo i szerniały oblicza uśmiechały się do nas upiornie, zwęglone usta odsłaniały zmatowiałe zęby. Zostawiliśmy trupy nieprzyjaciół, żeby przeszkadzały w drodze żywym, lecz naszych zmarłych zawlekliśmy obok stosu. Mieliśmy szesnastu zabitych i wielu

ciężko rannych, lecz nadal wystarczało nam wojów do sformowania muru tarcz, wciąż mogliśmy walczyć.

Talezyn śpiewał. Śpiewał swą pieśń o Mynydd Baddon i jej rytm znów zespolił nam tarcze. Nasze miecze i włócznie stępiły się i pokryły krwią, nieprzyjaciel był świeży, lecz gdy szli ku nam, zagrzewaliśmy się wesołymi okrzykami. „Prydwen” ledwo się ruszała. Wyglądała jakby stała na zwierciadle, lecz wreszcie długie wiosła wysunęły się zza burt niczym skrzydła.

- Zabijać ich! - krzyknął Mordred, ogarnięty bitewnym szałem, i sam poprowadził atak. Towarzyszyła mu garstka dzielnych mężów, za którą biegli obląkańcy Nimue, tak więc nasz pierwszy szereg przyjął na siebie bezładny napór, lecz byli tam wojowie chętni zabłysnąć w walce, więc znów musieliśmy ugiąć nogi w kolanach i skulić się za murem tarcz. Słońce oślepiało nas tuż przed tym, jak runęła szaleńcza nawała, lecz zdążyłem jeszcze ujrzyć błyski na zachodnich wzgórzach. Nadchodzili kolejni włócznicy. Miałem wrażenie, że to cała nowa armia, lecz skąd przybyła i kto ją prowadzi, nie potrafiłem zgadnąć, a poza tym nie miałem czasu na myślenie, przyjąłem bowiem na siebie uderzenie tarczy wroga i ból przeszył mój kikut. Zawyłem i zamachnąłem się mieczem. Moim przeciwnikiem był Tarczownik Krwawy. Zadałem potężny cios, znajdując szparę między napierśnikiem i hełmem, a kiedy wyrwałem Hywelbane'a z ciała wroga, poraziłem straszliwym cięciem następnego obląkańca Nimue. Zawirował, krew chlusnęła mu z policzka, nosa i oka.

Ci przeciwnicy biegli przed murem tarcz Mordreda, lecz teraz uderzyły na nas główne siły wroga, a my przyjęliśmy ich atak i wydaliśmy okrzyk pogardy, gdy dźgaliśmy na oślepie mieczami i włócznicami. Pamiętam zamieszanie, brzęk mieczy o miecze i łomot tarcz o tarcze. Bitwa to niemiała sprawa. Całe dzieła człeka od nieprzyjaciela. Czuje się, jak wróg śmierdzi piwem, słyszy, jak oddech rzeźni mu w gardle, dochodzą go stękania, widzi, jak przeciwnik drepce w miejscu, czuje bryzgi jego śliny na swoich oczach i wypatruje niebezpieczeństwa, spogląda w oczy następnego męża, którego musi zabić, wyczuwa wolną przestrzeń, zajmuje ją, znów zwiera szyk, idzie krok dalej, czuje napór z tyłu, potyka się o trupy tych, których zabił, łapie równowagę, prze, a potem pamięta niewiele, jeno te ciosy, które niemal go nie zabiły. Pracuje, pcha, kłuje, żeby rozbić szyk wroga, stęka, rzuca się przed siebie, siecze, powiększając szczelinę, a szal ogarnia go dopiero wtedy, kiedy nieprzyjaciel idzie w rozsypkę, a sam wreszcie zabija jak bóg, bo nieprzyjaciel jest przerażony i ucieka lub stoi osłupiały i ginie bezwolny, kiedy on jest zniwiarzem dusz.

Odparliśmy jeszcze jeden atak! Znów ciskaliśmy szczapami ze stosu pogrzebnego, znów przełamaliśmy ich mur tarcz, lecz czyniąc to, rozerwaliśmy własny. Pamiętam jasne

słońce za wysokim wzgórzem na zachodzie, pamiętam, jak potykając się, wbiegłem na otwartą przestrzeń i krzychałem do żołnierzy o wsparcie, pamiętam, jak ciałem Hywelbane'em w odsłonięty kark jakiegoś wroga i jak krew lała się przez ucięte włosy, a głowa odskoczyła w tył. A potem ujrzałem, że dwie walczące linie rozerwały się nawzajem i zamiast równych szyków były tylko niewielkie walczące grupki zakrwawionych mężów na zlanym krwią piasku, usianym rozżarzonymi głowniami.

Lecz to my zwyciężyliśmy. Ostatnie szeregi nieprzyjaciół wołały uciec niż zakosztować naszych mieczy, ale z centrum, tam gdzie walczyli Mordred i Artur, nikt nie uciekał. Dookoła przywódców toczyła się sroga walka. Próbowaliśmy otoczyć ludzi Mordreda, lecz oni stawili nam odpór, a wtedy przekonałem się, jak niewielu nas jest i jak wielu nigdy już nie weźmie udziału w boju, nasączyliśmy bowiem naszą krwią piaski Camlann. Tłum nieprzyjaciół gapił się na nas z wydm, lecz byli to tchórze i nie pośpieszyli z pomocą towarzyszom, tak więc ostatni nasi wojownicy walczyli z ostatnimi żołnierzami Mordreda. Artur siekł Excaliburem, próbując dostać się do ich króla; był tam również Sagramor, a także Gwydr. I ja przyłączyłem się do tej walki, odrzuciwszy włócznię i tarczę, dźgając Hywelbane'em, a moje gardło było wyschnięte jak dym, a głos przypominał krakanie kruka. Uderzyłem na kolejnego wojownika i Hywelbane zostawił ryse w poprzek jego tarczy. Tamten zatoczył się do tyłu. Nie miał siły zaatakować, ze mnie również uszły siły, tak więc tylko wpatrywałem się w niego. Pot szczypał mnie w oczy. Przeciwnik ruszył powoli, zadałem mu pchnięcie, trafiłem w tarczę, on zatoczył się, pchnął mnie włócznią i teraz ja z kolei poleciałem w tył. Dyszałem, a na całej mierzei zmęczeni wojownicy bili się ze zmęczonymi wojownikami.

Galahad został ranny, złamano mu ramię trzymające tarczę i rozorano twarz. Culhwcha zabito. Nie widziałem tego, lecz później znalazłem ciało z dwiema włóczniami w nieosłoniętym zbroją kroczu. Sagramor kulał, lecz jego szybki miecz był nadal zabójczy. Numidyjczyk próbował osłaniać Gwydra. Młody wojownik krwawił z rany na policzku, lecz dzielnie usiłował zająć miejsce u boku ojca. Gęsie pióra na hełmie Artura i biały płaszcz ociekały krwią. Na moich oczach Artur obalił wysokiego męża, kopnięciem odrzucił desperacko pchniętą włócznię i zadał mocny cios płatowy Excaliburem.

Wtedy to zaatakował Loholt. Nie widziałem go aż do tamtej chwili, lecz on dojrzał swojego ojca, popędził konia i odgiął do tyłu jedyną rękę, szykując włócznię. Wył z nienawiści, szarżując przez kłębowisko zmęczonych wojowników. Przerażony koń wybałuszał ślepią, lecz słuchał ostróg, gdy Loholt zamierzył się na Artura. Jednak Sagramor porwał włócznię i wcisnął ją między końskie nogi. Zwierzę zaplątało się i upadło w fontannie

piasku. Numidyjczyk wstąpił między wierzgające kopyta i zadał czarnym mieczem cios jak kosą. Krew trysnęła z karku Loholta, ale w tej samej chwili, w której Sagramor wyrwał duszę z ciała bękartą, zaatakował go Tarczownik Krwawy. Numidyjczyk ciął mieczem w bok, roznosząc Loholtową krew ze sztychu ostrza. Tarczownik padł, wrzeszcząc przeraźliwie. Równocześnie rozległ się inny okrzyk. Artur dopadł Mordreda i wszyscy instynktownie odwrócili się, obserwując bezpośrednie starcie dwóch mężów. Nienawiść iskrzyła między nimi, długa jak życie.

Król powoli uniósł miecz i zatoczył nim łuk, wskazując swoim żołnierzom, że chce Artura dla siebie. Wycofali się posłusznie. Mordred, podobnie jak w dniu, w którym obwołano go królem na Caer Cadarn, był cały odziany na czarno. Czarny płaszcz, czarny kirys, czarne portki, czarne buty i czarny hełm. Zbroja miejscami była porysowana i zaschnięta smoła odpadła, odsłaniając metal. Również tarcza była smołowana. Czerń rozjaśniły suszona gałązka werbeny, zatknięta za kołnierz zbroi, i gałganki z czerwonego płótna w oczodołach czaszki na hełmie. Czaszka była bardzo mała, dziecięca. Mordred ruszył przed siebie. Włókł szpotawą stopę i wymachiwał mieczem. Artur kazał nam się cofnąć, szykując sobie miejsce do walki. Zważył Excalibura w dłoni i uniósł srebrną tarczę, poszarpaną i zakrwawioną. Ilu nas przeżyło i obejrzało tamten pojedynek? Nie wiem. Czterdziestu? Może mniej. Tymczasem „Prydwen” dopłynęła do ujścia rzeki i sunęła ku nam. Wiedźmi kamień błyskał na dziobie, żagiel ledwie marszczył się w słabym powiewie, wiosła opadały i unosiły się. Przyływ osiągnął niemal najwyższy punkt.

Mordred zadał cios, Artur sparował go i odpowiedział ciosem. Król cofnął się. Był szybki i młody, lecz kalectwo i głęboka rana w udzie, którą zadano mu w Armoryce, przeważały szalę zwrotności na korzyść Artura. Mordred oblizał zeschnięte usta, znów zaatakował i miecze zadźwięczały w gasnącym świetle. Jeden z przyglądających się wrogów nagle zachwiał się i upadł bez widocznej przyczyny. Już się nie poruszył, gdy tymczasem król zrobił szybki wypad i zatoczył mieczem oślepiający łuk. Artur przyjął cios na głownię Excalibura, potem wysunął przed siebie tarczę, szykując się do ciosu, a Mordred cofnął się chwiejnie. Mój pan wyprowadził uderzenie, lecz król, nie wiedząc jak, odzyskał równowagę, przyjął zasłonę i odpowiedział kontruderzeniem.

Widziałem Ginewrę stojącą na dziobie „Prydwen”. Tuż obok stała Ceinwyn. W cudownym blasku świateł wieczoru wydawało się, że kadłub wykuto ze srebra, a żagiel utkano z najdelikatniejszego szkarłatnego płótna. Wiosła zanurzały się w wodzie i unosiły, zanurzały i unosiły; łódź płynęła z wolna, aż tchnienie wiatru nareszcie wypełniło niedźwiedzia na żaglu i woda zmarszczyła się wokół srebrnego kadłuba. Wtedy właśnie



Mordred krzyknął i zaatakował, miecze zderzyły się, tarcze huknęły o siebie, a Excalibur zdarł koszmarną czaszkę z dzwonu Mordredowego hełmu. Król odpowiedział ciosem za cios. Widziałem, że Artur zadygotał, kiedy wraz ostrze zakosztowało jego krwi, lecz odepchnął Mordreda tarczą i dwaj mężowie rozstąpili się.

Mój pan przycisnął dłoń z mieczem, tam gdzie go uderzono, a potem pokręcił głową, jakby zaprzeczając temu, że jest ranny. Lecz Sagramor był ranny. Obserwując pojedynek, nagle skłonił się, uczynił krok i padł na piasek. Podbiegłem ku niemu.

- Włócznią w brzuch - rzekł. Zaciskał dłonie na wysokości pasa, inaczej bowiem kiszki wyleciałyby na piach. Kiedy zabijał Loholta, dosięgnął go grot włóczni Tarczownika i chociaż pomścił cios, sam teraz umierał. Objąłem go zdrowym ramieniem i położyłem na plecach. Ścisnął mi rękę. Zęby mu grzechotały, jęczał, lecz znalazł siły, by unieść obciążoną hełmem głowę i przyglądać się Arturowi, który nacierał ostrożnie, krwawiąc z pasa.

Ostatni Mordredowy cios otworzył łuskową zbroję, znalazł drogę między płatkami metalu i wżarł się głęboko w bok. Kiedy Artur ruszył przed siebie, zalśniła świeża krew i wypełniła rozdarcie zbroi, lecz on skoczył nagle i zmienił pchnięcie w cięcie biegnące w dół. Mordred sparował je tarczą, a następnie spróbował odrzucić Excalibura na bok i zadać pchnięcie samemu, lecz Artur przyjął je na tarczę i zamachnął się w tył Excaliburem. Wysilek, jaki w to włożył, sprawił, że się odsonił, a Mordredowy miecz rozwalił uniesiony brzeg srebrnej tarczy i parł przy wtórze wrzasku króla. Mój pan zdawał się nie widzieć niebezpieczeństwa, aż ostrze wrzasku miecza wbiło się w otwór oczny jego hełmu.

Trysnęła krew. Lecz jednocześnie Excalibur spadł ciosem tak mocarnym, że żaden cios Artura nie mógł się z nim równać.

Excalibur przeciął miecz Mordreda. Przeciął zaczernione żelazo, jakby to był pergamin, a potem przeciął czaszkę i mózg. Artur zachwiał się, krew lśniła na jego hełmie. Odzyskał równowagę i wyrwał miecz, siejąc fontannę kropli krwi. Król, nieżywy w chwili, w której Excalibur rozpołowił mu hełm, padł do stóp Artura. Krew bluzgala na piasek, na buty mojego pana. Żołnierze Mordreda, widząc go martwego, natomiast Artura wciąż na nogach, wydali cichy jęk i cofnęli się.

Wysunąłem dłoń ze stygnącej prawicy Sagramora.

- Formować szyk! - krzyknąłem. - Formować szyk! - I zaskoczone niedobitki naszego oddziału zwarły szeregi przed Arturem. Zsunęliśmy razem poszczerbione tarcze i wykrzywiwszy w nienawiści twarze, ruszyliśmy przed siebie, depcząc trupa Mordreda. Spodziewałem się mściwego natarcia nieprzyjaciół, lecz ci cofali się. Ich przywódcy polegli,

tak że tego dnia bezpowrotnie utracili już chęć do walki, podczas gdy my nadal demonstrowaliśmy wolę oporu.

- Nie ruszać się! - krzyknąłem wojownikom i wróciłem do Artura.

Wraz z Galahadem zdjęliśmy mu hełm. Trysnęła krew. Ostrze miecza minęło oko na szerokość palca, lecz wyłamało kość i rana pulsowała krwią.

- Płótna! - krzyknąłem i ranny mąż zdarł pas z kaftana zabitego i tym zatamowaliśmy upływ krwi.

Talezyn zrobił opatrunek, posłużony kawałkiem swej szaty. Kiedy bard skończył, Artur podniósł ku mnie wzrok i próbował się odezwać.

- Nie mówcie, panie - rzekłem.

- Mordred... - szepnął.

- Nie żyje, panie, nie żyje - powiedziałem.

Chyba się uśmiechnął. Dziób „Prydwen” zaszurał na piasku. Twarz Artura była blada, strumyczki krwi toczyły się po policzku.

- Teraz możesz zapuścić brodę, Derflu - rzekł.

- Tak, panie, zapuszczę brodę - powiedziałem. - Nie mówcie. - Krwawił z pasa, zbyt mocno, lecz nie mogłem zdjąć zbroi i poszukać rany, chociaż lękałem się, że jest gorsza od tego, co widziałem na twarzy.

- Excalibur... - powiedział do mnie.

- Nie mówcie, panie.

- Weź Excalibura. Weź i wrzuć do morza. Obiecujesz?

- Obiecuję, panie. - Wyjąłem mu z ręki zakrwawiony miecz i cofnąłem się. Czterech wojowników, których ominęły włócznie i miecze, dźwignęło go i zaniósło na łódź. Przesunęli rannego nad burtą, a Ginewra pomogła ułożyć go na pokładzie. Podłożyła mu pod głowę zakrwawiony płaszcz, kucnęła obok i gładziła go po twarzy.

- Wchodzisz na pokład, Derflu? - spytała.

Wskazałem na mężów, którzy nadal stali w zwartym szyku na plaży.

- Możecie ich wziąć? - zapytałem. - I rannych?

- Jeszcze tuzin! - zawołał od steru Kadwg. - Nie więcej niż tuzin. Nie ma miejsca dla pozostałych.

Nie przyplęnęła żadna łódź rybacka. Ale czemu miałyby przybyć? Dlaczego rybacy mieliby wchodzić pomiędzy trupy, krew i szaleństwo, kiedy ich pracą było szukanie pożywienia w morzu? Mieliśmy tylko „Prydwen” i musiała popłynąć beze mnie. Uśmiechnąłem się do Ginewry.

- Nie mogę, pani - rzekłem i wskazałem na mur tarcz. - Ktoś musi zostać i poprowadzić ich przez Most z Mieczu. - Kikut mi krwawił, żebra miałem obite, ale żyłem. Sagramor umierał, Culhwch umarł, Galahad i Artur byli ranni. Nie pozostał nikt poza mną. Byłem ostatnim z dowódców Artura.

- Ja mogę zostać! - Galahad usłyszał naszą rozmowę.

- Nie możesz się bić ze złamaną ręką - powiedziałem. - Wsiadaj na pokład i bierz Gwydra. I to szybko. Zaczyna się odpływ.

- Powinienem zostać - rzekł nerwowo syn Artura.

Złapałem go za ramiona i powiodłem na płyciznę.

- Płyn z ojcem dla mojego dobra - powiedziałem. - I powiedz mu, że byłem wierny do końca. - Zatrzymałem go nagle, odwróciłem ku mnie i ujrzałem łzy na młodej twarzy. - Powiedz ojcu, że go kochałem.

Skinął głową i wraz z Galahadem wspięli się na pokład. Artur był teraz z rodziną, a ja cofnąłem się, gdy Kadwg odpychał się wiosłem jak drągiem, kierując łódź do kanału. Podniosłem wzrok ku Ceinwyn, uśmiechnąłem się i miałem łzy w oczach, lecz nie wiedziałem, co jej powiedzieć, poza tym, że będę czekał na nią w Krainie Cieni pod jabłonką; ale kiedy zbierałem się, by skłecić nieporadne pożegnanie i łódź ześlizgiwała się z brzegu, Ceinwyn lekkim krokiem wstąpiła na dziób i skoczyła na płyciznę.

- Nie! - krzyknąłem.

- Tak - rzekła i wyciągnęła dłoń, a ja pomogłem jej wyjść na brzeg.

- Wiesz, co oni ci zrobią? - spytałem.

Wyciągnęła lewą dłoń. Miała w niej nóż. Tak rzekła mi bez słowa, że nim żołnierze Mordreda ją pojną, odbierze sobie życie.

- Jesteśmy ze sobą zbyt długo, miłości moja, żeby się teraz rozstawać - powiedziała i razem ze mną odprowadzała wzrokiem „Prydwen” płynącą na głęboką wodę. Nasza ostatnia córka i jej dzieci oddalały się. Zaczął się odpływ i pierwsze fale ciągnęły srebrną łódź ku morskim dalom.

Byłem z Sagramorem, kiedy umierał. Gładziłem go po głowie, trzymałem jego dłoń i pozdrowiłem duszę mego druha, gdy szła ku Mostowi z Mieczu. Potem, z oczami pełnymi łez, wróciłem do naszego skromnego muru tarcz i ujrzałem, że Camlann jest teraz pełen włóczników. Przybyła cała armia, lecz zjawiała się zbyt późno, jeśli chciała uratować swojego króla, chociaż mogła wybić nas do nogi. Ujrzałem w końcu Nimue; jej biała szata i biały wierzchowiec odbijały się wyraźnie od cieni wydm. Niedysiejsza przyjaciółka i przelotna kochanka była teraz moim ostatnim wrogiem.

- Przyprowadź mi konia - rozkazałem włócznikowi. Wszędzie wałęsały się bezpańskie konie. Biegiem sprowadził mi klacz. Poprosiłem Ceinwyn o odpięcie mi tarczy, włócznicy pomogli mi dosiąść klaczy, a gdy znalazłem się na siodle, wsadziłem Excalibura pod lewą pachę i ująłem wodze w prawą dłoń. Spiałem klacz raz, drugi, a ona popędziła, rozrzucając piasek i ludzi. Znalazłem się pośród żołnierzy Mordreda, lecz utracili wolę walki, nie stało im bowiem pana. Byli bezpańskimi wojownikami; za sobą mieli armię Nimue, a za jej rozrzuconymi siłami była trzecia armia, która przybyła na piaski Camlann.

To było to samo wojsko, które ujrzałem na zachodnim wzgórzu, i zdałem sobie sprawę, że musiało maszerować cały czas za Mordredem, szykując się, by zgarnąć Dumnonię dla siebie. Przybyli, by obejrzeć wzajemną rzeź Artura i króla i teraz, kiedy było po wszystkim, wojownicy Gwentu posuwali się niespiesznie pod sztandarami z krzyżem. Przybyli zawładnąć Dumnonią i wyjeść na jej tron Meuriga. Czerwone płaszcze i szkarłatne pióropusze wydawały się czarne o zmierzchaniu, gdy pierwsze blade gwiazdy zagościły na niebie.

Podjechałem ku Nimue, lecz zatrzymałem się sto kroków od mojej starej przyjaciółki. Olwena przyglądała mi się, Nimue mierzyła mnie groźnym spojrzeniem, lecz ja uśmiechnąłem się, wziąłem Excalibura w prawą dłoń i uniosłem kikut lewej. Niech wie, co uczynię. Pokazałem jej Excalibura.

Pojęła moje zamiary.

- Nie! - wrzasnęła, a armia obłąkanych zawyla za swoją przywódczynią i niebo zatrzęsło się od tego szalonego zawodzenia.

Z powrotem wsadziłem Arturowy miecz pod pachę, ująłem wodze i spiałem klacz, kierując ją ku morzu. Popędzałem ją, słysząc za sobą galop konia Nimue, lecz druidka przybywała za późno, o wiele za późno.

Pędziłem ku „Prydwen”. Lekki wiatr wypełniał żagiel i łódź oddalała się od mierzei, a wiedzmi kamień na dziobie unosił się i opadał wśród nieprzeliczonych morskich fal. Znów spiałem klacz; odrzuciła łeb, a ja krzyknąłem, wpędzając ją w ciemniejące morze, i nie przestawałem jej popędzać, aż zimne fale rozbiły się o pierś zwierzęcia, dopiero wtedy puściłem wodze. Zadygotała pode mną, gdy ująłem Excalibura w prawą dłoń.

Cofnąłem rękę. Na mieczu była krew, lecz głównia zdawała się jarzyć blaskiem. Merlin rzekł kiedyś, że miecz Rhydderchu na końcu zamieni się w płomień, i być może tak się stało, a może zwodziły mnie łzy w oczach.

- Nie! - zawyla Nimue.

A ja rzuciłem Excalibura, rzuciłem go mocno i wysoko, ku głębokim wodom, tam gdzie odpływ orał denne piaski Camlann.

Excalibur obracał się w powietrzu wieczoru. Nigdy nie było piękniejszego miecza. Merlin przysiągł, iż wykuł go Gofannon. Był mieczem Rhydderchu i Skarbem Brytanii. Był mieczem Artura i darem druida, a kiedy wirował na tle mrocznego nieba, mając nad sobą tylko jasne gwiazdy, trysnął błękitnym ogniem. Przez chwilę zawisł na niebiesiech - lśniąca sztaba niebieskiego płomienia - a potem runął w dół.

Rozległ się lekki plusk, na wodzie mignęła biel i znikł.

Nimue była przeraźliwie. Poprowadziłem klacz ku plaży, przez pobojowisko, na którym czekał mój ostatni oddział. Armia obląkanych wycofywała się. Odchodzili, a niedobitki oddziałów Mordreda uciekały przed nadchodzącymi wojskami Meuriga. Dumnonii było sądzone upaść, słabemu królowi objąć rządy, a Sasom - powrócić, lecz nam było sądzone żyć.

Zeskoczyłem z konia, wziąłem Ceinwyn za ramię i podszedłem do najbliższej wydmy. Niebo na zachodzie płonęło czerwienią, słońce bowiem przepadło, i staliśmy razem w cieniu świata, patrząc jak „Prydwen” nurkuje między fale i dźwiga się w górę. Żagiel naprężył się, bo wieczorna bryza wionęła z zachodu, a woda pieniała się pod dziobem; a za rufą rozkładał się coraz szerszy wachlarz kilwateru. Płynęli prosto na południe, po czym skręcili na zachód i chociaż wiatr też wiał z zachodu, a łodzie nie mogą płynąć prosto pod wiatr, to przysięgam, że tamta płynęła. Płynęła na zachód i wiatr wiał z zachodu, a jednak żagiel był naprężony i woda pieniała się pod wysokim dziobem, lecz może nie widziałem tego, co się tam naprawdę działo, oczy miałem bowiem zasnuwane łzami; ciekły niepowstrzymanie, jakbym nigdy nie miał przestać płakać.

I na naszych oczach srebrna mgła uniosła się nad wodą.

Ceinwyn ścisnęła mocniej moje ramię. To był mały tuman mgły, lecz rozrastał się i świecił. Nie było słońca, nie świecił księżyc, były tylko gwiazdy, ledwo widoczne niebo, posypane srebrem morze i łódź o ciemnym żaglu, lecz mgła świeciła. Świeciła jak srebrna kurzawa, ślad pędzących gwiazd. A może była to tylko sprawa łez w moich oczach.

- Derfel! - warknął Sansum. Przybył z Meurigiem i teraz pędził ku nam po piasku, sapiąc z wysiłku. - Derfel! Jesteś mi potrzebny! Chodź tu! Zaraz!

- Mój panie...! - rzekłem, lecz nie do niego. Mówiłem do Artura. Obejmowałem Ceinwyn, płakałem i patrzyłem za nim, gdy migotliwa srebrna mgła wchłonęła jasną łódź.

Tak przepadł mój pan.

I nikt go więcej nie ujrział.



## Od autora

Gildas, historyk, który prawdopodobnie napisał *De Excidio et Conquestu Britanniae* („O zniszczeniu i podboju Brytanii”) w czasie jednej generacji okresu arturiańskiego, wspomina, że bitwa pod Badonici Montis (co zwykle tłumaczy się Mount Badon) była oblężeniem, lecz dręczy nas, nie wspominając słowem o tym, by Artur wziął udział w wielkim zwycięstwie, które, jak lamentuje, „było ostatnią klęską nikkzemników”. Historia Brittonum („Historia Brytów”), która mogła, lecz nie musiała, być napisana przez człowieka imieniem Nynniaw i którą skompilowano co najmniej dwa wieki po okresie arturiańskim, jest pierwszym dokumentem twierdzącym, że Artur był dowódcą Brytów pod Mons Badonis, gdzie „jednego dnia dziewięciuset i sześćdziesięciu mężów padło zaatakowanych przez Artura i nikt inny, jak on sam ich powalił”. W X w. mnisi w zachodniej Walii skompilowali *Annales Cambriae* („Annały walijskie”). Jest w nich mowa o „bitwie pod Badon, w której Artur nosił na swych ramionach przez trzy dni i trzy noce krzyż naszego pana Jezusa Chrystusa i w której Brytowie byli zwycięzcami”. Czcigodny Beda, Sas, którego *Historia Ecclesiastica Gentis Anglorum* („Historia Kościoła angielskiego”) pojawiła się w VIII w., stwierdza klęskę, lecz nie wspomina o Arturze, chociaż nie ma w tym niczego zaskakującego, jako że Beda czerpie większość informacji od Gildasa. Te cztery dokumenty są naszymi jedynymi wczesnymi materiałami źródłowymi (z czego trzy nie są naprawdę wczesne) dotyczącymi bitwy. Czy miała ona miejsce?

Historycy, chociaż mają opory, by przyznać, że legendarny Artur naprawdę istniał, zgadzają się, iż gdzieś w okolicy 500 r. n.e. Brytowie stoczyli i wygrali wielką bitwę z Sasami w miejscu zwanym Mons Badonicus, Mons Badonis, Badonici Montis, Mynydd Baddon, Mount Baddon lub po prostu Badon. Co więcej, sugerują, iż była to znacząca bitwa, ponieważ wstrzymała saski podbój Brytanii na jedno pokolenie. Wygląda też na to, jak lamentuje Gildas, że była to „ostatnia klęska nikkzemników”, ponieważ przez następne dwieście lat Sasi rozlali się po, jak ją dziś nazywamy, Anglii, wypierając tubylczych Brytów. Ta jedna bitwa wyróżnia się znacząco w całym mrocznym okresie najbardziej mrocznej epoki Brytanii, lecz, co smutne, nie mamy pojęcia, gdzie ją stoczono. Sugerowano wiele lokalizacji. Kandydatami są Liddington Castle w Wiltshire i Badbury Rings w Dorset, podczas gdy Geoffrey z Monmouth, piszący w XII w., umieszcza bitwę pod Bath, pewnie dlatego, że Nynniaw nazywa gorące źródła w Bath *balenea Badonis*. Późniejsi historycy proponowali Little Solsbury Hill, tuż na zachód od Batheaston w dolinie Aronu, blisko Bath, i skorzystałem z ich sugestii na potrzeby tej książki. Czy było to oblężenie? Nikt naprawdę tego nie wie, podobnie

jak nie potrafimy ustalić, kto kogo oblegał. Panuje chyba ogólna zgoda co do tego, że bitwa miała miejsce pod Mount Badon, niezależnie od tego, gdzie to jest, że może było tam oblężenie, a może nie, i pewnie zdarzyło się to blisko 500 r. n.e., chociaż żaden historyk nie postawiłby swojej reputacji na tezę, że Sasi przegrali i że Artur był architektem wielkiego zwycięstwa.

Nynniaw, jeśli to on jest faktycznie autorem *Historia Brittonum*, przypisuje Arturowi dwanaście bitew, większość niezidentyfikowalnych, jeśli chodzi o lokalizację, i nie wspomina o Camlann, bitwie tradycyjnie zamykającej opowieść o Arturze. *Annales Cambriae* są naszym najwcześniejszym źródłem informacji o tej bitwie i zostały napisane o wiele za późno, aby można je uznać za wiarygodne. Bitwa pod Camlann jest więc jeszcze bardziej tajemnicza niż Mount Badon i nie da się w tym wypadku ustalić żadnej lokalizacji, jeśli w ogóle możemy mówić o czymś faktycznym. Geoffrey z Monmouth powiada, że stoczono ją przy rzece Camel w Kornwalii, podczas gdy sir Thomas Mallory z XV w. umieszcza ją na Salisbury Plain. Inni pisarze sugerują Camlan w Merioneth, w Walii, rzekę Camlan płynącą nieopodal South Cadbury (Caer Cadarn), Mur Hadriana lub nawet miejscowości w Irlandii. Ja umiejscowiłem ją w Dawlish Warren, w południowym Devonie, tylko dlatego że kiedyś trzymałem łódź u ujścia Exe i po drodze do morza mijałem Warren. Nazwa Camlann oznacza „kręta rzeka”, a koryto u ujścia Exe jest kręte jak żadne inne, niemniej jednak moim wyborem kierował wyłącznie kaprys.

*Annales Cambriae* tylko tyle powiadają o Camlann: „Bitwa pod Camlann, w której poległ Artur i Medraut (Mordred)”. I tak może było, lecz legenda zawsze twierdziła uparcie, że Artur wylizał się z ran i dopłynął na czarodziejską wyspę Avalon, na której nadal śpi ze swoimi wojownikami. Nie ulega wątpliwości, że wykroczyliśmy daleko poza granice, za które wychyliłby nos każdy szanujący się historyk. Kierowała nami jedynie chęć wykazania, iż wiara w przeżycie Artura odzwierciedla głęboką i powszechną nostalgię za utraconym bohaterem, a na całej wyspie Brytanii żadna legenda nie jest tak trwała jak przekonanie, że Artur nadal żyje. „Grobowiec dla Marka - wspomina Czarna Księga Carmarthen - grobowiec dla Gwythura, grobowiec dla Gwgawna o czerwonym mieczu, lecz niestety, myśli przeklęta, grobowiec dla Artura”. Artur pewnie nie był królem, może nawet wcale nie było go na świecie, ale mimo wszystkich wysiłków historyków, zaprzeczających jego egzystencji, jest nadal dla milionów zwykłych ludzi na całym świecie, jak nazwał go kopista z XIV w.: Arturus Rex Quondam, Rexque Futurus - Arturem, naszym niegdysiejszym i przyszłym królem.